

CONN IGGULDEN



LEW

W ATENACH WYRSTA NOWY BOHATER,
PRZED KTÓRYM ZADRŻĄ WROGOWIE



CONN IGGULDEN

LEW

Przełożył
Jerzy Moderski



DOM WYDAWNICZY REBIS

W sprzedaży również:

**CONN
IGGULDEN**

SOKÓŁ SPARTAŃSKI
BRAMY ATEN
PROTEKTOR

Dla Michelle Whitehead

„Pozostaje po nas tylko miłość”

Philip Larkin



TERMINY WOJSKOWE

archont	ἄρχων	jeden z dziewięciu najwyższych urzędników ateńskich wybieranych na rok
epistates	ἐπιστάτης	przewodniczący zgromadzenia ludowego (eklezji)
falanga	Φάλαγξ	szuk piechoty ciężkozbrojnej
keleustes	κελευστής	podający tempo wioślarzom
lochagos	λοχαγός	odpowiednik kapitana
strateg	στρατηγός	dowódca
trierarcha	τριήραρχος	nawigator triery

MIEJSCA

agora	Ἀγορά	główny plac, rynek, centrum życia politycznego
Areopag	Ἄρειος πάγος	Skała Aresa, wzgórze w Atenach, na którym obradowały sądy
Kipros	Κύπρος	Cypr
Plateje	Πλάταια	miasto w Beocji
Pnyks	Πνύξ	„mównica”, miejsce obrad ateńskiego zgromadzenia (eklezji)
Skiros	Σκύρος	wyspa, na której znaleziono kości Tezeusza

POSTACI

Agarysta	Ἀγαρίστη	żona Ksantypposa
Arystydes	Ἀριστείδης	strateg, archont eponim
Eleni	Ἑλένη	córka Ksantypposa i Agarysty (żadne źródła historyczne o niej nie wspominają)
Efialtes	Ἐφιάλτης	polityk ateński
Epikleos	Ἐπικλέος	przyjaciel Ksantypposa
Kimon	Κίμων	syn Miltiadesa
Ksantyppos	Ξάνθιππος	strateg, mąż Agarysty
Kserkses	Ξέρξης	król Persji
Leotychidas	Λεωτυχίδας	król Sparty
Perykles	Περικλῆς	syn Ksantypposa i Agarysty
Tisamenos	Τισαμενός	wróżbita
Zenon	Ζήνων	filozof, przyjaciel Peryklesa

PROLOG

Pauzaniasz odetchnął głęboko, czując ogarniający go spokój. Wymienił spojrzenia ze swoim wróżbitą, po czym podniósł się z kolan i samotnie ruszył w głąb sali. Po upale poranka komnata królewska była przyjemnie chłodna. Gdy maszerował jej środkiem, jego zbroja chrzęściła i podzwaniała. Dzięki patronującym mu bogom, Aresowi i Apollinowi, nie był ranny. Nie zniósłby żadnych okaleczeń ani gorączki odbierającej mu jasność umysłu. W kwiecie młodości w pełni odzyskał już siły po trudach kampanii. Oczywiście zwycięstwo też miało w tym swój udział, pomagając znosić ból i głód. Tylko ci, którzy przegrywali wielkie bitwy, czuli się wyczerpani. Ci, którzy je wygrywali, często po nich odkrywali, że mogą tańczyć i pić za dwóch.

Pauzaniasz cieszył się, że zdążył zażyć kąpieli, zanim go wezwano. Miał wilgotne włosy i mimo panującego na zewnątrz gorąca czuł się rześko i świeżo. A przecież nie minęło wiele czasu, odkąd wrócił do Sparty. Jego heloci wciąż jeszcze czyścili mu płaszcz, gdy przybiegł posłaniec. Większość zaschłej krwi i pyłu została wyszorowana, podobnie jak słone ślady potu. To musiało wystarczyć. Idąc, zarzucił płaszcz na ramiona i spiął żelazną zapinką.

Kiedy wcześniej zanurzył się w chłodnym basenie, dostrzegł, jak odpływa odeń warstwa tłustego brudu. Miał nadzieję, że to dobry omen. Oderwał oczy od plam na wodzie i nagle dostrzegł czerwone oczy swoich helotów i ich drżące dłonie. Zrozumiał wówczas to, czego wcześniej nie zauważył. Przeżywali żalobę.

Mógł ich odprawić za to, że zaburzyli tok jego myśli, ale tego nie zrobił. Oni także walczyli pod Platejami i tysiące z nich straciły życie w starciu z perską piechotą. To było jakieś szaleństwo i do dziś nie mógł wybaczyć Ateńczykom, że zachęcili ich do walki. A Pauzaniasz ostrzegał Arystydesa, żeby nie wmawiał niewolnikom, że są mężczyznami!

Idąc w głąb długiej komnaty, pomyślał, że w tym roku nie trzeba będzie przetrzebiać helotów. W normalnych czasach, kiedy ich liczba zanadto wzrastała, młodzi Spartanie polowali na nich na ulicach i na wzgórzach, zdobywając wojenne umiejętności i gromadząc trofea. Kiedy uniósł głowę, dostrzegł jednak

w ich oczach coś nowego, niepokojącego. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że patrzą na niego jak dzikie psy na rannego jelenia.

Potrząsnął głową. Może jednak mimo wszystko zarządzi selekcję, aby przypomnieć im, gdzie ich miejsce. Przeklęty Arystydes! Heloci byli zbyt liczni, żeby dać im wolność. Spartanie zawsze kroczyli po ostrzu noża i właśnie to nieustanne niebezpieczeństwo czyniło ich silnymi.

Przyłapał się na takich myślach. Nie zarządzi żadnej selekcji. Jego władza skończyła się z chwilą, gdy wkroczył z powrotem na spartańskie terytorium. Zarządzenie wyda mężczyzna, który wezwał go do siebie, i to on będzie podejmował tego rodzaju decyzje.

Kiedy Pauzaniasz dotarł do końca komnaty, przyklęknął na kolano i wbił oczy w wypolerowane kamienie posadzki. Jakoś nie dziwiło go przeciągające się milczenie. Młodszy mężczyzna chciał mu uświadomić, który z nich ma tutaj władzę. Pauzaniasz nakazał sobie ostrożność. Pola bitew są różnego rodzaju.

– Powstań, Pauzaniasz – powiedział w końcu Plejstarchos.

Młodemu królowi wciąż brakowało miesiąca do osiemnastych urodzin, ale to, że był synem Leonidasa, widać było po jego muskularnych przedramionach porośniętych czarnym owłosieniem. Plejstarchos rozpaczliwie pragnął dowodzić pod Platejami, ale eforowie mu zabronili. Stracili już swego wojennego króla pod Termopilami. Jego syn był teraz najcenniejszym zasobem, jaki Sparta posiadała.

Spartańską armię poprowadził więc Pauzaniasz występujący w roli regenta. To on wygrał tę nadzwyczajną, nieprawdopodobną bitwę, kładąc kres wielkiej inwazji i marzeniom perskich królów. Pauzaniasz przełknął ślinę, poczuwszy nagle zagrożenie. Widział to teraz wyraźnie, że jego triumf nie zaskarbił mu przychylności. Podniósł wzrok i napotkał zimne spojrzenie króla. Cokolwiek go czekało, przynajmniej stanie się prędko. Ateńczycy też przyczynili się do tego swoim gadaniem. Jego własni ludzie ostrożniej wazyli słowa.

– Wykonałeś swoją powinność – odezwał się Plejstarchos.

Pauzaniasz pochylił głowę. Było to dość, a zarazem więcej niż młody król chciał powiedzieć.

Dwaj eforowie skinęli z aprobatą, wyrażając swoje poparcie. Znaczyło to więcej niż fakt, że trzej tego nie zrobili. Przyglądali się tylko mężczyźnie, który poprowadził spartiatów i helotów do zwycięstwa.

– Przedstawię imiona wszystkich, którzy z honorem oddali życie – powiedział w zapadłej ciszy Pauzaniasz.

Helotów oczywiście nie zamierzano wymieniać, jedynie poległych wojowników spartańskich. Przynajmniej, dzięki błogosławieństwu Apollina i Aresa, było ich niewiele.

Pauzaniasz próbował powściągnąć odruch rosnącej w tym momencie dumy, pomimo oficjalnych słów, które wypowiedział. Był częścią tamtego niezwykłego dnia! Powstrzymał swoich ludzi w przesłaniającym wszystko pyłe i panującym wokół chaosie, aż nadeszła chwila, aby rzucić ich do walki jak złoty kamień w wody powodzi, aby stanąć przeciwko perskim wodzom. Eforów tam nie było. Nie było tam również syna Leonidasa!

Pauzaniasz poczuł ciężące mu na barkach brzemię. Na tym właśnie polegał ich problem, powód, dla którego patrzyli na niego tak, jakby chcieli otworzyć go jak owoc i zajrzeć mu w głąb wnętrza. Eforowie zabronili Plejstarchosowi opuszczać Spartę, a czyniąc tak, pozbawili go udziału w największym zwycięstwie swego miasta-państwa. Młody król musiał znienawidzić ich za to albo też... Pauzaniasz poczuł suchość w ustach. Został tu wezwany sam. Stawił się jednak tylko dlatego, że towarzyszył mu jego wróżbita. Czy pozwolą im ujść z życiem? Spróbował przełknąć ślinę. Sercem Sparty była *pejtarchia* – absolutne posłuszeństwo. Syn Leonidasa musiał poczuć się bardzo nędznie, widząc armię swego ojca prowadzoną do boju przez kogoś innego. A jednak, jak zauważył Pauzaniasz, nie wypowiedział ani słowa skargi. Wróżyło to raczej dobrze jego przyszłym rządóm.

– Podjąłem decyzję, jak z tobą postąpić – rzekł Plejstarchos.

Pauzaniasz poczuł przenikający go nagle chłód. Jeśli młody król nakazał jego śmierć, to raczej nie opuści już tej komnaty. Zginie z ręki króla bądź z innej. Jego życie było teraz w rękach tego młodzieńca, który go nie lubił, oraz w rękach eforów, którym nie podobała się bitwa, choć ich wszystkich ocalała. Tak czy inaczej, widać było, że nie ma stąd drogi odwrotu. Czując, że jego życie wisi na włosku, Pauzaniasz przemówił prędko:

– Wasza Wysokość, eforowie, chciałbym udać się do wyroczni w Delfach, aby dowiedzieć się, co niesie przyszłość.

Przemyślał to dobrze. Nawet eforowie nie mogli zlekceważyć prośby o rozmowę z przedstawicielką samego Apollina. Pytyjska kapłanka siedziała nad oparami dobywającymi się z głębin świata i przemawiała głosem boga. Pauzaniasz poczuł skurcz serca, gdy dwaj eforowie wymienili spojrzenia.

Król pokręcił głową i zmarszczył brwi.

– Być może tak zrobisz, jeśli obowiązki ci na to pozwolą. Póki co, wezwałem cię tutaj, Pauzaniasz, aby przekazać ci dowództwo floty. Król Leotychidas i ja

jesteśmy co do tego zgodni. Będziesz reprezentował naszą władzę, przewodząc miastom i ich okrętom. Wciąż gdzieś tam są perskie forty. Nie wolno pozwolić, by się odbudowały i ponownie wzmocniły. Sparta przewodzi, wodzu. Przewodź zatem, ale daleko stąd.

Ten ostatni przekaz był dostatecznie jasny. Pauzaniasz poczuł ulgę. Przeszedł drogę od dumy do strachu i z powrotem, a teraz poczuł, że serce mu łomocze, a twarz oblewa rumieniec. Było to doskonałe rozwiązanie. Zwycięzca spod Platejów znajdzie się daleko od młodego króla, który w istocie dowodzi wszystkimi siłami zbrojnymi Sparty. Nie będzie konfliktu lojalności ani ryzyka wojny domowej. Ludzie kochają tych, którzy im przewodzą. Pauzaniasz dobrze o tym wiedział. W tym momencie mógłby rzucić całą armię przeciwko eforom. Musieli się go bać. Widać to w ich oczach, pomyślał. W sposobie, w jaki na niego patrzyli. A jednak był im posłuszny.

Przyklęknął jeszcze raz.

– Czynisz mi honor, Wasza Wysokość – powiedział.

Widok uśmiechu na twarzy Plejstarchosa sprawił mu przyjemność. Musiał się martwić powrotem swego wzmocnionego zwycięstwem wodza.

– To coś więcej niż nagroda za wierną służbę, Pauzaniasz – odparł młody król. – Ateny dążą do dominacji na morzu, tak jak my chcemy rządzić na lądzie. Zbierają się na Delos, ale nie chcę, żeby przewodzili naszym sojusznikom. Sparta jest pierwsza wśród Hellenów i zawsze tak będzie. Zabierzesz tam sześć okrętów z pełną spartańską załogą i helockimi wioślarzami. Otrzymujesz władzę z mojej ręki, aby o tym pamiętali. Będziesz dowodził sojuszniczą flotą, rozumiałeś?

– Tak, Wasza Wysokość – odrzekł Pauzaniasz. Poczuł, że skóra mu cierpnie, a włos jeży się na głowie. Zastanawiał się, jak zareagują na to Ateńczycy.

Wstał i poczuł wielką przyjemność, gdy młody król ujął go za ramiona i ucałował w oba policzki. Był to znak królewskiej przychylności, który oznaczał też, że dane mu będzie przeżyć. Zadrżał z przejęcia, a jego skóra zalsniła od potu.

– Twoje okręty stoją w Argos, Pauzaniasz. Powołaj na dowódców, kogo zechcesz. Pozostawiam to twemu rozeznaniu.

Pauzaniasz skłonił się głęboko. Oczywiście. Król chciał też pozbyć się każdego, kto mógłby wesprzeć Pauzaniusza w dążeniu do władzy. Pauzaniasz zmusił się do chłodnego *praotes* – doskonałego spokoju spartańskiego mężczyzny. Ujął dłoń króla i uniósł ją nad swoją głowę.

– Dobrze przysłużyłeś się Sparcie – powiedział jeden z eforów.

Nie był to żaden z tych, którzy wsparli go na początku, zauważył Pauzaniasz. Pokłonił się jeszcze głębiej. W końcu tych pięciu starców przemawiało w imieniu bogów i królów Sparty.

Zmierzał ku wyjściu szybkim krokiem i trzymając wysoko głowę. Czekający nań Tisamenos uniósł pytająco brwi. Wróżbita nie był pewien, w jakim nastroju jest Pauzaniasz po tym, co mu powiedziano.

Ten, przechodząc, klepnął go po ramieniu, pozwalając sobie nawet na oszczędny uśmiech.

– Chodź, przyjacielu, czeka nas mnóstwo roboty.

– Czyli jesteś zadowolony? – zapytał Tisamenos.

Pauzaniasz zastanowił się chwilę, po czym skinął głową.

– O tak. To dobra wiadomość. Dali mi flotę!

CZEŚĆ PIERWSZA

U szczytu powodzenia ludzie nigdy nie myślą
o możliwym upadku.

– AJSCHYLOS

1

Triera uderzyła o brzeg z szybkością człowieka w biegu, z syczącym odgłosem wcisnęła się w piasek. Chwilę potem, niemal jak cień pierwszej, przybiła do brzegu druga. Ładowały kolejno, zatrzymywały się i przechylały.

Na trzecim okręcie sternicy naparli ciałami na żerdzie sterów, szukając wolnego miejsca na brzegu. Pod ich stopami wioślarze, po dziewięćdziesięciu z każdej strony, spienili wodę wiosłami. Przepatrywali wybrzeże, ale nocą żaden z trzech okrętów nie miał latarni. Ci na ławkach wioślarzy nie widzieli zupełnie nic. Jeden z hoplitów wychylił się daleko nad dziobem, nie zważając na rozbryzgi wody, gotów krzyknąć ostrzegawczo.

Trzeci kil uderzył w brzeg i rozorał jasny piach. Pierwszy wstrząs spotkania z ziemią przewrócił klęczących na pokładzie mężczyzn. Jeden wypadł z cichym okrzykiem za burtę i wylądował w płytkiej wodzie, po czym przetoczył się w panice, aby uniknąć zgniecenia. Chwilę potem żwir pod nim uniósł się w górę jak fala, odrzucając go na bok. Legł na plecach, patrząc w gwiazdy i oddychając z ulgą.

Ateński okręt wojenny lądował, wbijając się coraz głębiej w piasek plaży, aż nagle wytracił szybkość i zamarł. Drewniane wręgi triery jeszcze przez chwilę trzeszczały i pojękiwały. Miało się wrażenie, jakby okręt nagle poczuł się nieswojo, tak szybki, a raptownie unieruchomiony, tak żywy, a nagle martwy.

Pokład przechylił się lekko na wzniesionym kilu, kłaniając się ziemi. Liny i drabinki rozwinęły się jak świąteczne wstążki i ludzie zeskoczyli na ląd. Wioślarze po obu stronach wciągnęli szybko do środka cenne wiosła, ratując je przed połamaniem na drzazgi nadające się tylko na podpałkę. Oni również zeskoczyli na ziemię, przysiadając po skoku na piasku i kamieniach. Brzeg opadał tu łagodnie ku morzu i dlatego Kimon wybrał to miejsce. Innym razem spuściliby na wodę małe łodzie z linami, które przytrzymałyby stojące wciąż na płyciźnie okręty, aby w którymś momencie morze nie upomniało się o swoje.

Kimon posłał swoje trzy okręty jak włócznie na brzeg. Wszyscy Ateńczycy uczyli się wiosłować, zmieniając się, jak czyniła to przed wiekami załoga *Argo*. Na lądzie wzięli ze sobą broń i tarcze i chwycili je mocno, mrując

podziękowania do bogów. Kimon dostrzegał siłę wiosłarzy, ich potężne ramiona i nogi, dzięki którym chodzili kocim krokiem i wspinali się jak magoty. Nalegał, by hoplici spędzali całe dnie przy wiosłach, nabierając sił i kondycji. I odwrotnie: ćwiczył wiosłarzy w posługiwaniu się mieczem i włócznią. Wszyscy wiosłowali, wszyscy walczyli.

Hoplici zebrali się niedaleko ciemnych kadłubów. Ich ekwipunek wart był fortunę, bo nosili na sobie część rodzinnego majątku. Dobra tarcza warta była trzymiesięcznego zarobku i oszczędzano na nią przez cały rok, jej rozmiar dobierano indywidualnie, uchwyt dopasowywano, a potem malowano na tarczy osobisty herb. Nagolenniki również musiał kształtować mistrz, aby dzięki specjalnej sprężynie mocno trzymały się na łydce. Niektórzy nosili miecze przy pasie, ale główną bronią zawsze była długa dorycka włócznia.

Każdy zestaw ekwipunku był ateńskim skarbem, oznaczonym nazwiskiem rodziny, konserwowanym starannie, oliwionym i przynoszonym z każdej bitwy do domu. Ekwipunek tych, którzy polegli, pieczołowicie przechowywano. Któregoś dnia otrzymywał go najstarszy syn albo też sprzedawano go, aby zapewnić wdowie utrzymanie.

Gdy Kimon zeskoczył na piasek, ujrzał wszystkich stojących w szyku pod gwiazdami. Jego ludzie stali w równych szeregach, wygłaszając cichym głosem pozdrowienia i uwagi, gotowi do wymarszu. Zadowolony skinął głową. Hoplici doskonale posługiwali się włóczniami, bo ćwiczyli od dziecka. Każda z tych straszliwych włóczni zakończona była liściastym grotem grubym jak zbroja. Grot równoważyło ciężkie metalowe okucie na drugim końcu. W rękach doświadczonego mężczyzny włócznie te rozbijały jazdę, unicestwiały Nieśmiertelnych, jeżyły się nimi szeregi osłoniętych tarczami hoplitów. Wykazały swoją wartość pod Maratonem i Platejami. Także pod Ejoną, gdzie wzięły perską fortecę.

Perykles obserwował Kimona stojącego nieruchomo na uboczu, w mroku pod światłem gwiazd, tylko jego płaszcz powiewał na wietrze. Sam stał obok Attikosa, przynajmniej dwa razy odeń starszego, który pochodził z jego fyli i demu w Atenach. Attikos dygotał w dmącej od morza bryzie i szcząkał zębami tak głośno, że odgłos ten przebijał się przez panujący wokół gwar. Dużo niższy od Peryklesa, czasem wydawał się bardziej podobny do małpy niż do człowieka. Attikos nie przyznawał się do swego wieku, ale dobrze znał swoje rzemiosło i podziwiał ojca Peryklesa. Czasem Perykles się zastanawiał, czy to nie Ksantyppos przysłał go tutaj, żeby dbał o bezpieczeństwo jego syna.

– To strata czasu stać tutaj i odmrażać sobie jaja – mruzczał Attikos pod nosem, ledwo słyszalnym szeptem. – Słyszałeś? To moje jaja wylądowały na piachu. Poszukałbym ich, gdyby nie było tak ciemno. Muszę je tu zostawić do czasu, gdy wrócimy. Oczywiście, jeśli uda mi się je znaleźć. Nie wspomnę już o moich plecach, które w tej chwili są jak rozpalone żelazo od tego zeskakiwania z okrętu. Tak samo było pod Ejoną. A będzie tylko gorzej...

Perykles pokręcił głową. Attikos gadał, gdy był zdenerwowany. Napominanie go, by umilkł, działało tylko na krótką metę, a potem zaczynał znowu, nieświadomie, jak dziecko mówiące przez sen.

On sam wolał milczenie. Wiedział, że jest gotów. Pomaszeruje ze wszystkimi, gdy Kimon wyda rozkaz. Czuł ciężar tarczy i włóczni, i był mu on miły. Nie wycofa się z bitwy, choć czuł skurcz w jelitach i pęcherzu, który był bliski bezwiednego opróżnienia. Dopóki nie nadeszła chwila wymarszu, znosił bolesne uczucie parcia we wnętrznościach. Nie pomagało też nieustanne mamrotanie Attikosa o jego fizycznych dolegliwościach. Mężczyzna walczył pod Maratonem i Platejami, dorabiając się nowej kolekcji blizn. Za obola pokazywał je każdemu, kto o to poprosił.

Ciarki przeszły Peryklesowi po skórze ramion i gołych nóg, unosząc na nich włoski jak skrzydełka owadów. Powiedział sobie, że to tylko morska bryza i wilgoć. W istocie chodziło o coś jeszcze – miał na sobie zbroję brata. Widział, jak Aryfron został zabity właśnie w tej zbroi, a stało się to niedaleko wybrzeża wyglądającego tak samo jak to, na którym teraz stał, nad tym samym morzem. Próbował zacisnąć brzegi jego rany, ale ślizgały mu się palce. Wyciekająca krew zabrała mu brata. Podczas gdy Attikos wciąż mruzczał, Perykles ujął mocniej drzewce włóczni. Jego palce były wilgotne. Musiała zawinić woda morska albo jego własny pot. Przecież to nie krew brata zlepiała mu palce, to niemożliwe. A jednak nie podniósł dłoni do oczu.

Przygotowywali się do tego, przypomniał sobie. Rozkaz przyszedł prosto z ateńskiego zgromadzenia: odnajdywać i niszczyć wszystkie perskie umocnienia i garnizony w obszarze Morza Egejskiego. Cała flota wypłynęła trójkami i tuzinami okrętów, polując na wroga i nie pozwalając mu spocząć. Persja kończyła się na brzegu morza. Nie miała mieć na nim żadnych punktów oparcia – ani wysp, ani nawet wybrzeża Tracji.

Kimon zgromadził prawie sześciuset ludzi, korzystając ze swego nazwiska i rangi stratega, której dorobił się pod Salaminą. Dziewięćdziesięciu z nich było doświadczonymi hoplitami, a reszta była lepiej wyszkolona od zwykłych wioślarzy. Miesiąc wcześniej wylądowali w części trackiego wybrzeża

utrzymywanego przez Persów od stulecia. Kimon wybrał ten bastion będący symbolem ich wpływów. Były tam mury i przepływająca obok rzeka. Perykles pamiętał, jak Kimon z oddali obserwował i oceniał teren wokół miasta.

Oczywiście gubernator odmówił poddania się. W odpowiedzi Ateńczycy zabili posłańców, których wysłał, po czym zablokowali wszystkie drogi wokół otoczonej murem fortecy. Tamtej nocy Kimon objaśnił im swój plan. Perykles zauważył jego wzrok, który na nim spoczął, szacując go.

– Achilles to wiedział, stojąc pod Troją – rzekł Kimon. Mężczyzna powinien biec ku śmierci, a nie tylko ją przyjmować. Powinien jej szukać, ocierać krew z brody i z twarzy i się śmiać! Tylko w ten sposób zwyciężymy, bo tylko chwała odróżnia nas od żeglarzy, rolników i garncarzy. A tylko wtedy zasłużymy na prawdziwą chwałę, *kleos*, gdy ludzie i bogowie się spotkają.

Perykles przełknął ślinę. Chciał, żeby Kimon wiedział, że jest kimś, komu może zaufać. Miał dziewiętnaście lat. Wiedział, że może biec przez cały dzień, a potem pić albo walczyć, albo kochać się przez całą noc. Pragnął dostać szansę. Był silny, sprawny i był synem wielkiego bohatera. Ateńczykiem. Był do tego stworzony.

A jednak rzeczywistość groziła, że nie zdoła się wykazać. Było to jak straszny sen, tak realistyczny, że czuło się skrzywienie piasku pod sandałami. Nie znalazł *kleos* w perskiej fortecy. Wraz z innymi rozpoczął długie oblężenie, czekając, aż głód pokona mieszkańców. Kimon, badając okoliczny teren, rozmawiał z cieślami i skutnikami. Tygodnie upływały na lenistwie i ćwiczeniach szermierczych. Przygoda wojenna zmieniła się w coś innego, gdy każdej nocy podkradał się, by badać mury fortecy. Drżał, wspominając swój strach, że zostaną zauważeni.

Persowie używali kiepskiej zaprawy. W ciągu trzech dni i nocy ludzie Kimona zatamowali rzekę i skierowali ją na fundamenty perskiej fortecy. W ciągu kilku godzin długi odcinek umocnień runął, a mury zapadły się, jakby były zrobione z piasku.

Perykles wiwatował razem z innymi, biegnąc na spotkanie wrogów. To, co znaleźli, uciszyło ich śmiechy i radość. Wewnątrz umocnień Ejony Persowie woleli raczej umrzeć, niż zostać pojmani. Dowódca zabił swoją rodzinę w ostatniej chwili, po czym sam przyłożył sobie nóż do gardła. Perykles przełknął ślinę na wspomnienie krwi, która spłynęła po posadzce, jaśniejsza, niż zapamiętał z przeszłości. Od tamtego czasu nie wyciągał miecza.

W Ejonie znaleźli wielkie bogactwa i to również stanowiło ich zwycięstwo, niczym wyłupanie klejnotu z rękojeści noża. Co zaś najważniejsze, Persja nie

miała już tam bezpiecznego schronienia i nie była w stanie zabezpieczać pobliskich terenów. Perykles jednak nie poczuł, że miał sposobność się wykazać. Ciągle czuł w sobie jakąś słabość, jak pęknięcie na powierzchni tarczy.

Ani Kimon, ani Attikos nie sprawiali wrażenia nerwowych, a przynajmniej nie w taki sposób jak on. Zaciskał pięści, powtarzając sobie, że dokonał wyboru. Żwir przesunął się pod jego stopami, a on postąpił krok, zmieniając pozycję. Ruszy z innymi, a jeśli będzie to konieczne, umrze. To proste. Potrafi odrzucić życie dla *kleos* i nazwiska swego ojca. Żaden syn Ksantypposa nie przyniesie wstydu rodzinie.

Poczuł ulgę. Może umrzeć, ale cóż w istocie znaczy to życie? Zupełnie nic. Znalazł onegdaj truchło psa swego ojca na brzegu Salaminy. Jego oczy były białe, przypomniał sobie, naznaczone bielą księżycą albo morskiej soli. Tak samo działo się z ludźmi. Kiedy bogowie zabrali swoją część, pozostawało jedynie ciało.

2

Perykles sadził długimi susami w górę wydmy, słysząc w ciemnościach tylko szcęk metalu oraz ciężki oddech biegnących obok niego. Początkowo bieg po suchej trawie i luźnych kamieniach był łatwy, choć niektórzy potykali się o rosnące tam kępy szaławii i ciernistego głogu. W porównaniu z nimi Perykles niemal nie dotykał stopami ziemi, jakby wijące się na niej korzenie nie mogły go zatrzymać. Nie chciał nikogo zawieść. Jego ojciec walczył pod Maratonem i wygrał. Reputacja towarzyszy mężczyźnie jak blizna. To jedno było pewne. Matka nazywała go „Sławnym”, ale istniały rozmaite rodzaje sławy. Nie chciał żyć z hańbą. Pamiętał o tym, pnąc się wraz z innymi po niewidocznym gruncie.

Biegnący za nim Attikos zaklął nagle, choć Kimon nakazał im milczenie. Żaden z nich nie wiedział, co ich czeka na Skiros. Po długich latach wyspa zyskała sławę niebezpiecznego, a nawet przeklętego miejsca. Rybacy nigdy nie zarzucali tu sieci, choć tutejsze wody obfitowały w sardele i kalmary. Powtarzano pogłoski o pojedynczych ludziach zauważanych tu przez przepływające statki, pasterzach, a może zbiegach. Kupcy opowiadali różne historie o spalonych aż do linii wodnej wrakach. O rozbójnikach ze Skiros, o puszczonych z dymem nadbrzeżnych osadach, o uprowadzonych stamtąd kobietach. Ta reputacja chroniła wyspę. Większość omijała ją szerokim łukiem, zamiast ryzykować wysyłanie na brzeg małych łodzi, które mogły zostać spalone.

Złodzieje, piraci i mordercy uczynili Skiros swoim schronieniem. Nie dlatego jednak Kimon wysadził tu swoich ludzi, choć też nie unikałby walki, gdyby nadarzyła się sposobność. Perykles widział w nim zapał i żarliwość, pragnienie wykorzystania siły, jaką dysponował. Wódz nigdy nie zadowoliliby się życiem polegającym na spokojnym wypełnianiu swoich obowiązków. Był człowiekiem pragnącym chwały, jakkolwiek miałby ją osiągnąć. Perykles poczytywał sobie za wielki zaszczyt, że został jednym z jego wybranych towarzyszy. Nie zamierzał go zawieść. Kimon się dowie, że może na niego liczyć jak na dobrą klingę.

Trzy szeregi hoplitów wspięły się na pierwsze wzgórze i zbiegły po drugiej stronie, aż skrzące się w morzu odbite gwiazdy zniknęły za ich plecami. Za nimi

podążyło dwustu wioślarzy. Reszta została, by strzec cennych okrętów. Kimon nigdy nie zdawał się na przypadek. Podobnie jak Perykles, poważnie traktował swoje powinności.

Usiana wzgórzami Skiros była uboga w słodką wodę. Wszędzie kicały stada zajęcy. Nikt nie mógłby wybrać takiego opustoszałego miejsca, by się osiedlić, pomyślał Perykles, chyba jedynie wówczas, gdyby zamierzał odciąć się od świata. Albo zamierzał żyć poza prawem. Ojciec powiedział kiedyś, że niektórzy ludzie są zbyt słabi, by poddać się ograniczeniom. Perykles pokręcił głową. Kiedy był młodszy, sądził, że Ksantyppos wie wszystko. Mylił się.

Wyciągał szyję, rozglądając się w ciemnościach, nie dostrzegł jednak śladu domostw ani ich mieszkańców. Omiatał wokół włócznią, gdy w pewnej chwili ktoś szarpnął ją z tyłu. Attikos powiedział głośno, aby zważał, gdzie po ciemku wtyka tę rzecz, jeśli nie chce, aby on wepchnął mu ją tam, gdzie jest jeszcze ciemniej. Perykles zacisnął szczęki, zachowując milczenie, jak mu nakazano. Setki ludzi robiły w marszu sporo hałasu, to nieuniknione. Nie było jednak powodu, żeby pogarszać sytuację zbędną gadaniną.

Zapadła już późna noc, sierp księżycy zniżył się znacznie, a do świtu pozostało parę godzin. Morscy padlinożercy musieli spać gdzieś na wyspie. Gdy szło się pieszo i w ciemnościach, Skiros zdawała się znacznie większa niż za dnia. Jeśli Kimon zechce szukać dłużej, wstanie słońce i cały efekt zaskoczenia zostanie zaprzepaszczone.

Kilku młodzieńców ruszyło przodem bez broni i zbroi, które mogłyby spowolnić ich ruchy. Niczym długonogie zające zniknęli bezszelestnie wśród niskich zarośli szaławii i kopru. Perykles wypatrywał ich powrotu po wejściu na kolejne wzgórze, spocony pomimo chłodu nocy.

Zdało mu się, że gdzieś daleko usłyszał odgłos podobny do rżenia, jak ostrzegawczy okrzyk. Czy na tej wyspie mogły być konie? Był przekonany, że rozbójnicy i dzicy osadnicy ceniliby te zwierzęta jak wszyscy. Trudno byłoby zbudować cokolwiek bez koni lub osłów. Ateny nadal miały ich tylko kilka, resztę bowiem zjedli wygłodniaли perscy wojownicy. Gdyby na Skiros było jakieś większe stado... Odłożył tę myśl na później.

W głębokim cieniu doliny Perykles nie mógł dostrzec twarzy towarzyszących mu ludzi. Attikos dopędził go i przez jakiś czas wspinali się razem w milczeniu, zważając na każdy krok i chwyt, gdy zbocze stawało się coraz bardziej strome. Obaj podsunęli hełmy wysoko nad czoło, opierając je na splecionych w węzły włosach. Attikos trzymał tarczę w lewej ręce i podpierał się jej krawędzią

podczas wspinaczki. Perykles wciąż dźwigał tarczę na ramionach. Dzięki niej czuł się bezpieczniej.

Pochylali się niżej, w miarę jak grunt stawał się coraz bardziej nierówny, a drobne kamienie osuwały się spod nóg i spadały. W świetle dnia wybieraliby drogę starannie, ale w nocy jedyną rzeczą, jaką mogli zrobić, było trzymanie się razem, niezależnie od trudności marszu.

Perykles dyszał i próbował zapanować nad głośnym oddechem, gdy weszli na płaski, szeroki grzbiet wzgórza. Zauważył z irytacją, że Attikos nie oddycha nawet w połowie tak ciężko jak on. Starszy mężczyzna zdawał się znosić wysiłek, jakby mógł tak kroczyć lub wspinać się bez końca. Tak czy owak, Perykles próbował dotrzymać mu kroku, choć pot spływał zeń kroplami.

Wciąż nie było żadnych grani, tylko obłe pagórki, na których widzieli umykające przed hoplitami jaszczurki lub gniazdujące ptaki. Pierwsze szeregi zatrzymały się nagle, gdy zniemacka pojawił się ruchomy cień. Kilku mężczyzn opuściło nawet włócznie, gdy dobiegł ich niedający się z niczym pomylić tętent. Jakiś wyrwany ze snu koń ruszył w dół zbocza, waląc kopytami i rżąc z oburzeniem. Odgłos niósł się daleko i Perykles mógł jedynie pokręcić głową. Podobnie jak szczekające psy, koń z pewnością ostrzegł wszystkich o obecności obcych na wyspie.

W połowie drogi w dół przeciwległego zbocza Perykles nagle rozpoznał cienie, pojmując, co z trudem zauważył. Opadł na kolano, a Attikos za nim. Reszta hoplitów zrobiła to samo, za nimi zatrzymali się wiosłarze. Patrzyli w dół na znacznie szerszą dolinę niż wcześniej. Nie było w niej światła, lecz Peryklesowi wydało się, że rozpoznaje kształty domów, a nawet jaśniejszy od nich pas drogi, oświetlony światłem księżyca. Wszystko to wyglądało bardziej jak prawdziwe miasto niż prowizoryczny obóz morderców i wygnańców.

Perykles dosłyszał wypowiedane szeptem pytania swoich ludzi. Chwała bogom, nie pomylił się. Zatrzymanie wszystkich fałszywym alarmem byłoby upokarzające. Uświadomił sobie, że słyszy dobiegający z oddali szum płynącej wody. Musiał to być strumień albo przynajmniej jakieś starożytne źródło. Nie bez powodu mieszkańcy Skiros wybrali właśnie to miejsce. Rozejrzał się powoli, widząc wokół obłe szczyty wzgórz. Może dymy ich ognisk nie były widoczne z przepływających statków. A może żyli w chłodzie, bez ognia – nie potrafił powiedzieć.

Od prawej strony, wzdłuż potrójnego szeregu trzydziestu hoplitów, przebiegł Kimon. Wszyscy oni, należąc do trzech załóg, mieli poczucie odrębności, ale razem podlegali Kimonowi. Wódz nie wyróżniał żadnego okrętu, wiedząc, jak

bardzo potrafią być zazdrośni. Można go było znaleźć śpiącego na deskach dowolnego z trzech pokładów. Perykles podziwiał go bezgranicznie, podobnie jak rzeczy, które Kimon potrafił dostrzegać. Kiedy Perykles wraz z ewakuowaną rodziną był zmuszony siedzieć na brzegu Salaminy, Kimon dowodził już eskadrą okrętów, atakując, zdobywając abordażem i paląc perskie jednostki. Wszystko to wyczuwało się w jego głosie, w jego oczach. Z pewnością znał już wówczas swój kleos. W jego obecności Perykles czuł, że na własny musi jeszcze zapracować.

Kimon zatrzymał się przy nim. Strateg miał na sobie hełm, nagolenniki i napierśnik nałożony na lniany chiton odsłaniający gołe nogi. Niósł tarczę tak lekko, jakby nic nie ważyła. Kita na jego hełmie była biało-czarna, ale poza tym wyglądał jak wszyscy. Perykles jednak dobrze go znał.

– Co widzisz? – zapytał cicho Kimon, wpatrując się w noc.

Perykles wytrzeszczył oczy, wiedząc, że ma lepszy wzrok niż mężczyzna, którego tak podziwiał.

– W dole są domy, może sto albo trochę więcej. Jest też droga i skrzyżowanie z inną drogą, słychać też odgłos płynącej wody.

– Słyszę – odparł Kimon.

Pokręcił głową ze skrywaną irytacją. Za dnia nie miał żadnych problemów z widzeniem, Perykles dobrze o tym wiedział. Po prostu niektórzy ludzie widzieli w nocy lepiej niż inni, to wszystko. On dzięki temu czuł się użyteczny. Wyprężył z dumą pierś.

– A więc znaleźliśmy ich – mruknął Kimon.

Perykles potaknął.

– Nie dostrzegam żadnego ruchu – dodał cichym głosem.

Zauważył, że Kimon pociera wierzchem dłoni świeży zarost na podbródku. Ta chwila miała zadecydować o ludzkim życiu – jego hoplitów oraz wyrzutków ze Skiros.

– Raczej nie zostawię ich w spokoju – ciągnął Kimon. – Znają tę krainę lepiej niż my. Nie zamierzam czekać, aż się uzbroją i spadną nam na kark jutro, kiedy będziemy szukać grobu.

Peryklesowi pochlebiała ta rozmowa. Nie był pewien, czy Kimon pójdzie za jego radą, ale istniała taka możliwość.

– Mamy obowiązek wobec miast i wysp, na które napadają – powiedział. – Nie możemy zostawić ich przy życiu.

Hełm obrócił się w jego stronę i wódz w milczeniu obdarzył go spokojnym spojrzeniem, po czym poklepał po ramieniu.

– Zgadzą się – rzucił. – Wchodzimy, ale ostrożnie. Nawet szczury gryzą, gdy czują się zagrożone. Obejmiesz dowództwo lewego skrzydła, Peryklesie. Weź w trzech szeregach po piętnastu i... połowę wioślarzy. Nie pozwól ludziom na żadne ekscesy. Cokolwiek tam znajdziemy, będę zadowolony, jeśli wyjdziemy stamtąd bez jednej rany. Postępuj wobec wrogów ostrożnie, jak w pierwszej linii podczas bitwy. Trzymajcie tarcze wysoko i blisko siebie. Jak się da, używajcie włóczni. Kiedy będziecie wyjmować miecze, uderzajcie łykami tarcz, aby ich odepchnąć.

Były to podstawowe instrukcje z gatunku tych, jakich każdy strateg udziela świeżym rekrutom. Jednak Perykles był za nie wdzięczny. Podniósł się wolno i wyprostował pod gwiazdami, czując się nagle słabo. Zrozumiał, że za chwilę będzie walczył z wrogami, do śmierci ich albo własnej. Wydawało się rozsądne, żeby przypomnieć sobie o pewnych prostych rzeczach, kiedy czuje się pustkę w umyśle. To dlatego ćwiczyli tak ciężko, że aż ociekali potem. Zabijanie było bowiem trudną i brutalną pracą. Tylko niektórzy dobrze się z tym czuli... i albo zostawali bohaterami, albo polowano na nich jak na lwy.

– Nie zawiodę cię – powiedział do Kimona.

– Ani ja, strategu – mruknął za jego ramieniem Attikos.

Perykles poczuł, jak duma miesza się u niego z irytacją, gdy towarzysz wtrącił się właśnie w tej chwili, gdy on dowodził swojej wartości przed Kimonem. Podniósł oczy, ale wódz już się odwrócił i pobiegł z powrotem na swoje miejsce.

– Przekażcie to innym, tylko cicho – szepnął Perykles do mężczyzn za sobą. –

Wchodzimy jako lewe skrzydło, szybko i bezgłośnie. – Odchrząknął, pamiętając, jak jego ojciec zwracał się do ludzi starszych i bardziej doświadczonych. Kluczem była surowość. Miał nadzieję, że nie dosłyszają drżenia w jego głosie, ale jakoś nie potrafił się od niego uwolnić. – Osobiście wychłoszczę grzbiet każdemu, kto wyda okrzyk wojenny – dorzucił.

Jeden czy dwóch wyszczerzyło zęby w uśmiechu. Miał nadzieję, że to z nerwów, a nie z rozbawienia młodym dowódcą tłumaczącym im, co do nich należy.

– Uważajcie, zasrane koguty – powiedział krótko Attikos – albo potem ja z wami porozmawiam.

Perykles zamknął oczy. Attikos przerwał mu w kluczowym momencie. Nie mógł tego tak zostawić. Poczucił, że zapłonęły mu policzki i gorąco uderzyło do głowy, ale Kimon już ruszył naprzód, zostawiając ich w tyle.

– *Dziękuję, Attikosie* – rzucił w ramach reprimendy.

– Nie ma za co, kyriosie – odparł Attikos. – Przeprowadzę cię przez to bezpiecznie, nie martw się.

3

Pies odezwał się serią niskich szczeknięć, która po chwili przeszła w szalone wycie. Gdy Perykles zbiegł na dno doliny, spomiędzy zabudowań wypadł najeżony kłami i pazurami kudłaty cień. Jeden z hoplitów zaklął, gdy do niego doskoczył, bardziej bojąc się jego zębów niż ataku człowieka. Wycie umilkło, gdy ktoś dziabnął psa włócznią. Zawarczał z nagłą, a potem zapiszczał. Perykles skrzywił się. Cała wyspa musiała słyszeć ten jazgot.

– Trzymać szyk – mruknął. – Równy krok.

Wszyscy znali swoje zadania lepiej od niego, ale przynajmniej nie dał im powodu, aby w niego zwątpili. Perykles usłyszał stuk łączących się tarcz zachodzących na siebie jak łuski. Posuwali się teraz w linii bojowej. Utrzymali ten szyk, aż dotarli do chat złodziei i piratów, przynajmniej uniknęli dzięki temu nagłej zasadzki. Już sama walka była wystarczająco niebezpiecznym przedsięwzięciem, jak mawiał ojciec. Nie trzeba było pogarszać sprawy lekkomyślnością.

Więcej psów ruszyło śladem pierwszej bestii, wyjąc i szczekając. Kolejny brytan zaatakował i połamał sobie zęby na krawędzi tarczy, po czym został przebity mieczem. W dalszym ciągu nie było śladu obrońców. Perykles wyteżał wzrok, próbując coś zobaczyć. Chaty tonęły w ciemnościach. Czy były porzucone? Psy mogły być zdziczałe. Byłoby zabawnie, gdyby po tym całym ostrożnym skradaniu zastali opustoszałą wieś.

Perykles wydał rozkaz zatrzymania. Kimona nie widział, ale ten z pewnością na niego liczył i mu ufał. Nie było miejsca na błędy, nie wtedy, gdy sam dowodził. Perykles nie potrafił zapanować nad sporą częścią swego życia, ale tej nocy odpowiadał za ten atak i za swoich ludzi, których nie zamierzał zawieść.

– Trójkami – rzucił. – Połóżcie włócznie po prawej stronie. We wnętrzu chat nie będzie z nich pożytku. Włócznie na ziemię, powiedziałem. Wyjąć miecze. Teraz szybko! Na mój rozkaz wpadamy do środka. Przeszukajcie każdą izbę i strzeżcie się ataków. Coś tu nie gra. Oni... – Perykles przerwał i odwrócił się gwałtownie. Krzyknęła jakaś kobieta, a może dziecko. Głos przebił się przez głosy wojowników. Zatrzymał się. To tam, był niemal pewien. Wskazał dom,

a potem dwóch najbliższych ludzi. – Wy dwaj. Idźcie z Attikosem. Odnajdźcie tę, która krzyczała, i przyprowadźcie ją do mnie. A reszta na co czeka? Trójkami naprzód.

Gdyby nakazał utworzyć czwórki albo piątki, hoplici przegrupowałyby się równie szybko. Wszyscy znali swoje grupy i potrafili sformować dziesiątki rozmaitych szyków nawet w środku bitwy. Znaczyło to, że każdy lochagos czy strateg potrafił dostosowywać szyk bojowy, jak uznał za stosowne, decydując, gdzie naprzec najmocniej. Jedynie cała falanga funkcjonowała jak jednolita formacja, naciskając równomiernie na wroga.

Kiedy wyłamano kopniakami pierwsze drzwi, Perykles uśmiechnął się, trochę ze zdenerwowania, a trochę z przejęcia. W wyobraźni odgrywał wielką scenę. Hoplici w hełmach i zbrojach będą jak wcielenie Achillesa: nietykalni, szybcy, zabójczy. Jeśli w chatach kryją się jacyś wyrzutkowie, z pewnością zostaną rozsiekani. A jednak dręczyło go to, sprawiało, że serce mu dudniło i trzepotało w piersi. Tutejsi ludzie dobrze znali to miejsce. Było ich domem, on zaś zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył.

Krzyk dobiegł z prawej strony. Perykles podniósł głowę, wsłuchując się i próbując się rozeznać w sytuacji. Wioślarze wciąż stali za jego plecami. Czuł, że nie kwapią się do wejścia. Bez wyraźnego rozkazu większość mężczyzn wolała czekać, niż przekroczyć próg w kompletnych ciemnościach, nie wiedząc, co czai się za drzwiami. Woleli unikać zasadzki. Tylko czterdziestu pięciu hoplitów ruszyło uliczką wzdłuż stojących po bokach chat. Z dala słyszał krzyki i uderzenia żelaza o drewno, gdy Kimon wprowadził drugie skrzydło z przeciwnej strony. Kogokolwiek osaczą, z pewnością będzie bezradny, ale wciąż towarzyszyło mu dojmujące uczucie, że coś jest nie tak. Perykles chciał zobaczyć więcej, ale gdyby zapalił lampy, przyciągnąłby wrogów jak komarnice. Jeśli jacyś tam byli.

Usłyszał, jak Attikos wraca, jeszcze zanim go zobaczył.

– Ugryź mnie jeszcze raz, a cię ogłuszę – warknął.

On i jeszcze jeden hoplita prowadzili między sobą wykręcającą się kobiecą postać. Musiała zignorować polecenie, bo Attikos ponownie syknął z bólu. Uniósł pięść, ale Perykles złapał go za rękę.

– Musimy ją przesłuchać – powiedział.

Attikos puścił ją. Mruknął coś, co kazało jej podjąć próbę wymierzenia mu kopniaka, ale w porę odskoczył, klnąc i się śmiejąc.

Drugi z hoplitów wciąż trzymał kobietę za długie włosy, które owinął sobie wokół pięści. Perykles dał mu znak, po czym mężczyzna uwolnił ją ostrożnie,

odstępując w tył, zanim zdążyła się na niego rzucić. Perykles podziwiał jej zaciekłość, choć była bezradna jak kot i w nieporównanie groźniejszej sytuacji. Podcięliby jej gardło w jednej chwili, gdyby tylko powiedział słowo. Sądząc po tym, jak Attikos ssał palec i na nią patrzył, zrobiłby to bez mrugnięcia okiem.

– Ilu mężczyzn tu mieszka? – zapytał Perykles.

Kobieta zignorowała pytanie, rozglądając się wokół i najwyraźniej szukając sposobu ucieczki. Ujrzawszy, że trzech mężczyzn blokuje jej drogę ku wolności, zrezygnowała.

– Mówisz po grecku? – ciągnął Perykles. – Jeśli nie, jesteś dla mnie bezużyteczna.

– Pochodzę z Teb – odrzekła. – A ty? Słyszę ateński akcent.

– Dobrze – odparł z ulgą. – Jeśli jesteś tu więziona, to z pewnością możesz mi powiedzieć, ilu mężczyzn tu jest. Możemy cię stąd zabrać nawet do samych Aten, jeśli nam pomożesz.

– Dlaczego miałabym wam pomagać? – rzuciła. Nagle podniosła głos i skierowała w ciemność krzyk: – Jeśli mój mąż ma choć trochę rozumu, to pozostanie...

Attikos zbliżył się i uderzył ją w twarz, tak że upadła na ziemię.

– Kazaliśmy ci wrzeszczeć, kochanie? – warknął.

Perykles był wściekły. Nie zabronił Attikosowi jej bić, ale sądził, że dla starszego mężczyzny to będzie oczywiste.

Słyszał, jak wracają pozostałe grupy. Sądząc po głosach, wojownicy prowadzili kobiety i dzieci, z których część głośno płakała. Pokręcił głową zdenerwowany zaistniałą sytuacją. Ledwo widział w ciemnościach pojmaną kobietę. Kiedy upadła, jej włosy rozsypały się, zasłaniając twarz jak kurtyna. Dostrzegł, jak pod włosami poruszyło się coś jasnego, a zarazem jej ręka sięgnęła po coś do paska. Potem poderwała się gwałtownie i rzuciła ku nogom Attikosa, który zaryczał z bólu, gdy go dźgnęła. Potężnym ciosem uderzył ją w bok głowy i pozbawił przytomności, po czym zaczął wyciągać nóż z uda.

– A to dziwka! – krzyknął i zamierzył się nożem.

Perykles przeciął mu drogę.

– Prowadzę przesłuchanie. Cofnij się, Attikosie, i odłóż to.

Towarzysz dyszał ciężko, bardziej z gniewu niż bólu. Mało brakowało, a puściłyby mu nerwy. Perykles odwrócił na chwilę wzrok, w pełni ufny w swoje bezpieczeństwo. Gdyby Attikos nie posłuchał, zabiłby go. Miał dziewiętnaście lat, był szybki i dobrze wyćwiczony. Nie wątpił w siebie. Coś z tej pewności przeniknęło w końcu do świadomości stojącego naprzeciw niego mężczyzny.

Attikos skłonił głowę i ustąpił. Perykles obserwował go, w razie gdyby tamten zmienił zdanie. Zbyt często walczył z bratem, żeby dać się nabrać na jakąś sztuczkę czy fałszywe poddanie. W takich chwilach boleśnie odczuwał brak Aryfrona. Brat wciąż udzielał mu lekcji, choć od dawna już leżał w grobie.

– A teraz, Attikosie, ruszaj raz jeszcze i przyprowadź mi kogoś przytomnego.

Wojownik odwrócił się na pięcie i zniknął, jeszcze nim Perykles skończył mówić, zostawiając go z setką wioślarzy za plecami, czekających na rozkazy, oraz bezwładną kobietą u stóp. Tłum kobiet i dzieci zgromadził się na drodze wokół nich, pilnowany przez hoplitów.

– Zwiąż jej ręce – rozkazał Perykles jednemu z wioślarzy. – To Greczynka, chociaż z Teb. Traktuj ją łagodnie. Jest jedną z naszych i być może obchodzono się z nią okrutnie. – Były to szlachetne słowa i był dumny z tego, co powiedział. Pomiął milczeniem wulgarny komentarz, który padł z ust innego mężczyzny. Gdyby reagował na wszystko, nie dokonałby niczego. – Gdzie są wasi mężczyźni? – zapytał, unosząc głowę i zwracając się do tłumu pojmanych kobiet.

Niektóre zaczęły płakać, a wioślarz za jego plecami mruknął coś, co sprawiło, że się zaczerwienił. Perykles powściągnął irytację. Postrzegał hoplitów jako dobrych ludzi, którzy mogą walczyć za ich miasto, a potem zasiadać w radzie. Szlachetnie urodzeni byli częścią snu o wielkich Atenach. Ale wioślarze nie wydawali się należeć do tego samego gatunku. Zacisnął pięści. Albo przykładem zainspiruje tych sukinsynów, albo zmusi każdego z nich do przyzwoitości, przykładając mu żelazo do gardła. Nie będzie zaczepiania kobiet, przynajmniej nie wtedy, gdy on tutaj dowodzi.

– Przecież nie jesteście tu same! – zawołał znowu. – Gdzie wasi mężczyźni?

Uświadomił sobie, że czuje ich zapach, mieszaninę ziół i niemytego ciała. Świt był już blisko. Gdy będzie więcej światła, pomyślał, ich nędza i brud staną się jeszcze bardziej widoczne. Gdy tak na nie patrzył, ciemność rozjaśnił pierwszy odcień szarości. Mogło ich być osiemdziesiąt lub coś koło tego. Uznał, że muszą pochodzić z różnych stron. Zawsze będą mężczyźni wyrzucani ze swoich miast za jakieś przestępstwa, zsyłani na wygnanie jak psy. Jakimś sposobem odnajdywali drogę na Skiros, nie było co do tego wątpliwości, ale nie kobiety. Kobiety musiały być porwane albo już rodziły się tutaj.

Niektóre szły z małymi dziećmi albo niosły je na biodrze, pochlipując i patrząc okrągłymi oczyma. Nie stanowiły zagrożenia, ale wciąż było tajemnicą, gdzie podziali się mężczyźni.

– Zostawcie nas w spokoju! – wrzasnęła jedna z nich głosem starej wiedźmy.

Perykles się zawahał, poczuwszy nagle lęk, że w tym ciemnym tłumie może stać Atena. Radzenie sobie z kobietami mogło się okazać zgubne, gdyby wśród nich pojawiła się bogini. Przełknął ślinę. Odezwał się ponownie, choć zabrzmiało to słabo.

– Spytam po raz ostatni – oznajmił. – Gdzie wasi mężczyźni?

– Wyszli na polowanie, ale wrócą – krzyknęła jedna z kobiet. – Zabiją was wszystkich, jeśli tylko tkniecie choć jedną z nas!

Słyszał strach w jej głosie. Attikos wrócił, kulejąc, i stanął u jego boku. Perykles widział go już wyraźnie. W końcu nadszedł świt, w całej chwale swojej porannej szarości.

– Na polowanie po ciemku? – dosłyszał mruknięcie Attikosa. – Nie wydaje mi się. Tak czy inaczej, niewiele tu jest do upolowania. Chyba że ma na myśli te kucyki...

Starszy mężczyzna przerwał, a Perykles poczuł, że oczy robią mu się okrągłe. Mężczyźni nie polowali na lądzie. Wypłynęli w morze na połów albo w poszukiwaniu łupu innego rodzaju.

Spojrzał na zbliżającego się Kimona. Wyprostował się i zauważył, że Attikos zrobił to samo.

– Nie znalazłem nikogo poza kobietami i dziećmi. A ty?

Perykles pokręcił głową.

– To samo po mojej stronie. Myślę, że mężczyźni wypatrują statków, które mogliby zaatakować.

Kimon skinął.

– Skoro tak, mogą nie wracać przez długie dni. Nie szkodzi. Zostaw paru ludzi przy tych... Takich, którym możesz zaufać.

Ostatnie słowa wypowiedział ze szczególnym naciskiem, który sprawił, że Perykles się zarumienił.

– Mogę zostać, kyriosie – powiedział Attikos do Kimona, ale to Perykles odpowiedział:

– Nie, będę cię potrzebował, Attikosie. Sam wybiorę tych, których tu zostawimy. – Bardziej poczuł, niż zobaczył skrywaną furię mężczyzny, gdy zwrócił się do Kimona: – Zamierzasz rozpocząć poszukiwanie grobu?

Kimonowi nie umknęło dziwne napięcie między tymi dwoma. Fakt, że niewiele mu umykało, ale nie widząc żadnych słabości w Peryklesie, chętnie pozwalał mu rozwiązywać własne problemy. Po chwili wahania skinął głową.

– Po to tu przybyliśmy. Nie dla szmatławych piratów ani ich kobiet. Tezeusz umarł na Skiros. Jeśli znajdziemy tu jakiś grób, to z pewnością jego. Chcę

przewieźć jego szczątki z powrotem do Aten, aby zapewnić im godziwy pochówek. Był ateńskim królem. Jego ojciec nazwał to morze Egejskim!

Kobieta u ich stóp drgnęła, a gdy zrozumiała, że ją związano, zaczęła się szamotać. W świetle brzasku Perykles zauważył, że jest od niego nieco starsza. Miała gęste włosy, których nigdy nie ścinała, tak że sięgały jej do bioder. Była brudna, ale gdy spojrzał jej w oczy, doznał dziwnego uczucia fascynacji. Jej twarz zaczęła już puchnąć, a na jednym policzku wystąpił wielki siniak, podchodzący aż do oka.

– Chłopaki was zabiją, kiedy wrócą – powiedziała.

Kimon się zaśmiał.

– Jesteś Greczynką? Rozejrzyj się dookoła. Śmiało, teraz to już nie są tylko cienie. Widzisz moich hoplitów i wioślarzy? Sądzisz, że wasi mężczyźni nas pokonają? Nie wydaje mi się. Jeśli mają resztki rozumu, pozostaną poza zasięgiem wzroku i zaczekają, aż odpłyniemy. Nie jesteśmy zainteresowani żadnym z was.

– Zabiją was – powtórzyła i splunęła na ziemię pod swoje stopy.

Nawet w gniewie uważała, żeby nie napluć mu na sandał, zauważył Perykles.

Poirytowany jej bezczelnością Attikos znowu postąpił krok ku niej i podniósł rękę.

– Cofnij się, Attikosie! – warknął Perykles. – Przysięgam, że jeśli choć raz uderzysz tę kobietę, to gdy ruszymy w morze, każę cię przywiązać na tydzień do dziobu.

– Kyriosie, ona...

– Ani słowa! – rzucił Perykles.

Odwrócił się ku niej, jakby sprawa była już załatwiona i poza wszelką dyskusją. Gdy zauważyła, że Attikos został poskromiony, kąćki jej ust uniosły się, co jednak starała się ukryć pod burzą włosów.

– Czego chcesz? – zapytała Kimona z widocznym zaciekawieniem.

– Przede wszystkim podaj mi swoje imię.

– Tetyda – odparła, wzruszając ramionami.

– Jak matka Achillesa? – Potwierdziła skinieniem głowy i Kimon się uśmiechnął. – To pradawne imię, o wielkiej mocy. No cóż, Tetydo, szukamy tutaj grobu... a może jakiejś świątynki. Starej, zagubionej, zapewne zarośniętej. Gdzieś na tej wyspie. Ojciec mi opowiadał, że słyszał o czymś takim. – Cekał, podczas gdy kobieta się zastanawiała. Coś mignęło w jej oczach po przedstawionym opisie, Kimon zaś wstrzymał oddech, wzruszenie ścisnęło go za gardło. – Widziałaś tu coś podobnego? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Być może. Jest tutaj stary grób po północnej stronie, wysoko na wzgórzach, o tam. Czasem bawią się przy nim dzieci.

– Możesz mi powiedzieć, jak się tam dostać – poprosił Kimon. – Tylko po to tu przybyliśmy. Nic więcej się dla mnie nie liczy.

Jego głos nagle złagodniał, jakby oswajał dziką sarnę. Ona nie odwróciła wzroku, a Perykles ku swemu zdziwieniu poczuł nagłe ukłucie zazdrości. To przecież on obronił ją przed Attikosem! To on był wolny, podczas gdy Kimon miał w Atenach młodą żonę, już ciężarną, noszącą ich pierwsze dziecko. A jednak spojrzenie kobiety spoczywało tylko na jego przyjacielu.

– Mogę ci go pokazać – powiedziała.

4

W promieniach wschodzącego słońca młoda kobieta prowadziła Greków w górę zbocza po przeciwległej stronie doliny. Kimon rozkazał wciąż utykającemu Attikosowi, aby jej pilnował. Ten chwycił ją za ramię i ścisnął okrutnie. Perykles zauważył na jej skórze białe ślady po jego palcach, ale nic nie powiedział. Nie zamierzał ryzykować, że Tetyda zechce się wyrwać i pozostawić ich w tyle. Attikos najwyraźniej cierpiał z powodu rany uda, choć przewiązał ją mocno. W drodze mruczał jakieś groźby i obietnice pod adresem kobiety, która odchylała się od niego niechętnie.

Droga była trudna, gęsto porośnięta porostami i starymi drzewami oliwnymi, zapewne dorównującym wiekiem samej wyspie. Dwukrotnie zauważyli krępego kuczka, który pojawiał się nagle, po czym pierzchał na widok zbrojnych mężczyzn. Byłby to nawet pocieszny widok, gdyby nie mieli przed sobą tak ważnego celu. Parli naprzód, kierując się słońcem.

Kimon szedł prędko, podekscytowany perspektywą odnalezienia grobu, lekkomyślnie pozostawiwszy za sobą resztę sił. Perykles zagryzł wargi na tę myśl. Wódz był starszy od niego o kilkanaście lat, ale popełniał typowy młodzieńczy błąd. Zabrali ze sobą tylko sześciu hoplitów. Reszta czekała w dolinie albo wróciła pilnować okrętów.

Kozią ścieżką szeroką ledwie na krok Tetyda dotarła do szczytu. Nie wahała się, szła prosto przed siebie, wyciągając wolną rękę dla zachowania równowagi na stromym zboczu. Powłóczący nogą Attikos szarpnął nią dziko, prowokując ją do nagłego krzyku. Perykles zauważył, że zamierzyła się, aby go uderzyć, na co Attikos po raz kolejny podniósł pięść.

– Attikosie! – ryknął.

Użył głosu jak broni, zapominając, że znajdują się we wrogim miejscu. Krzyk odbił się echem od zboczy, aż hoplici odwrócili głowy, podążając za jego źródłem. Inni zrazu zaskoczeni znieruchomieli jak posągi, potem zaś uśmiechnęli się szeroko. Zawsze miał mocny głos, przydatny na polu bitwy.

Usłyszał, jak Attikos zaklął z niedowierzaniem. Kolejny młodzieńczy błąd, tym razem jego własny. Jego irytacja się wzmogła, gdy poczuł wypływający na

twarz rumieniec. To Attikos go sprowokował, zawstydzając ich obu przed Kimonem.

Perykles szedł dalej w milczeniu, czując na sobie spojrzenia pozostałych. Gestem odwołał Attikosa na bok i ujął Tetydę za rękę. Obserwowała go spod gęstwy kasztanowych włosów i najwyraźniej się uśmiechała. Zastanawiał się, kiedy ostatnio się kąpała.

– Więcej cię nie skrzywdzi, masz moje słowo – powiedział.

Zignorował stojącego kilka kroków dalej Attikosa, który prychnął w reakcji na jej szybkie i nerwowe spojrzenie, ale miał dość rozsądku, by zostawić ją sam na sam z Peryklosem.

– Nie zabijecie mnie, kiedy dotrzemy do grobu? – zapytała.

Perykles spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie. Mam siostrę i matkę, które nigdy by mi tego nie wybaczyły. Nie stanie ci się żadna krzywda.

– Twój przyjaciel powiedział, że postąpi ze mną jak... mąż z żoną... – poskarżyła się.

Nawet pod zasłoną włosów widać było, że się zaczerwieniła. Miał wrażenie, że to wierne odzwierciedlenie jego twarzy.

– On nie jest moim przyjacielem, m-myszę więc... nie, to nie ma znaczenia. Chodźmy, teraz tędy?

Zaczęła ponownie schodzić z boczem, a hoplici ruszyli za nią. Perykles zauważył, że zawahała się w miejscu, gdzie spod ziemi wystawały ostre skały. Musiał użyć obu rąk, schodząc za nią, puścił ją więc, gotów jednak rzucić się w pogoń, gdyby spróbowała uciekać. Pokręciła głową, odczytując jego myśli, gdy się do niej zbliżył.

– Pokażę wam grób – powiedziała. – A potem odpłyniecie. On tak obiecał.

– Jeśli jest to grób, będziemy chcieli zajrzeć do środka – odparł. – Ale owszem, później to miejsce przestanie nas interesować i nic nas tutaj nie zatrzyma. Kiedyś, dawno, dawno temu, umarł tu wielki człowiek. Tyle znaczy dla nas Skiros.

Prowadziła ich stromym z boczem, a wokół krążyły dziwne czarne muchy, które najwyraźniej szukały dostępu do odkrytego ciała. Perykles potarł krwawiące miejsce na przedramieniu, gdzie jedna z nich go ugryzła.

– Zostaniesz tutaj, na wyspie, kiedy już odpłyniemy? – zapytał.

Attikos podszedł bliżej i znajdował się teraz kilka kroków za nimi, rozmawiając z jednym z hoplitów. Kimon kroczył z tyłu, nie słyszał więc, jak Attikos sugerował, że „młodego kyriosa” złowiły „pewne części jej ciała jak

haczyki ryby”. Było to słycać bardzo wyraźnie, bo zostało wypowiedziane tak donośnym szeptem, że każdy musiał usłyszeć. Perykles poczuł, jak zaciskają mu się pięści, i siłą zmusił się do rozwarcia palców. Musiał ignorować wszystkie uszczypliwości, które miały go poruszyć. Musiał odłożyć reakcję na później. Jeśli nawet ojciec kazał Attikosowi strzec jego pleców, to najwyraźniej nadszedł czas, żeby oddalić od siebie opiekuna i samemu o siebie zadbać. Cena bliskiej obecności Attikosa była nazbyt wysoka. Perykles zerknął przez ramię ponad tarczą i zauważył, że mężczyzna obserwuje go z krzywym uśmiechem.

– Radzisz sobie jakoś tam z tyłu? – zapytał Perykles.

– Tak, kyriosie. Zawsze czujny i gotowy – odparł bezczelnie Attikos.

Czuło się, że wciąż jest wściekły o to, że nakrzyczano na niego przy wszystkich.

Perykles uśmiechnął się tak niewymuszenie, jak tylko zdołał. Nie mógł już naprawić swojego błędu, było na to za późno. Może był mu jednak winien przeprosiny, zanim go znokautuje. Zastanawiał się, czy zdołałby pokonać Attikosa w uczciwej walce. Wykazywał on odporność na ból, co czyniło z niego trudnego przeciwnika. Perykles wyobraził sobie, jak go tłucze, wywołując tylko uśmiech na twarzy starego sukinsyna.

Słońce wychynęło już całkiem zza wzgórz, zrobił się późny ranek. Dystans, jaki pokonali, nie był imponujący, ale nie kroczyli wytyczoną ścieżką. Perykles wdepnął w kałużę czarnego błota, które przyklepiło mu się do sandała i śmierdziało siarką albo krzemieniem. Przekraczali zwalone drzewa, obłamane gałęzie i ściany cierni, przez które musieli wyrąbywać sobie przejście. Chwilami podejrzewał, że Tetyda specjalnie prowadzi ich najgorszą drogą, jaką znała.

Wyjście na nagie skalne urwiska, nad którymi krążyły mewy, przyniosło wielką ulgę. Po tak długim czasie spędzonym w zielonym cieniu Perykles poczuł się jak odkrywca, który pierwszy raz zobaczył morze. Czuł się dobrze, dopóki nie dostrzegł ośmiu okrążających wyspę długich łodzi wypełnionych ludźmi. Spojrzał na Tetydę, a ona uśmiechnęła się do niego.

– A więc chłopcy wrócili – powiedziała. – A wy wciąż jesteście tutaj. Nie zejdziecie na dół, dopóki nie zabiją wszystkich waszych.

– Zaplanowałaś to? – zapytał z niedowierzaniem.

Widział w jej twarzy tylko triumf, jakby chciało jej się tańczyć. Dostrzegając też, że spodziewa się, iż zechcą ją zabić. W jakiś niepojęty sposób nie przywiązywała jednak do tego wagi. Śmiejąc się, odnajdywała własne *kleos*.

Kimon przesunął się do przodu, raczej wyprzedzając Attikosa, niż spychając go z drogi. Zrobił to z wystarczającym szacunkiem, zauważył Perykles.

– Dlaczego stanęliśmy... – Przerwał nagle, zauważywszy łodzie w dole. Były dostatecznie blisko, żeby policzyć w nich ludzi, ale wciąż bardzo daleko, mierząc rozległością dzielącego ich surowego krajobrazu. Kimon potarł zarost na szczęce, gdy zrozumiał dzikie spojrzenie Tetydy. Drży, spodziewając się śmierci, pomyślał Perykles.

– Spryociuła – stwierdził Kimon. – Czy w ogóle jest tam jakiś grób?

Jej oczy umknęły przez chwilę na wschód, po czym potrząsnęła głową i wzruszyła ramionami. Perykles zacisnął dłoń na jej barku, aż skrzywiła się z bólu. Kimon również zauważył szybki ruch oczu, który ją zdradził. Wskazał kierunek.

– Tam? A może to kolejny podstęp?

– Tamci przybijają do brzegu – stwierdził Perykles. – Nawet gdybyśmy wyruszyli od razu, nie dotrzemy na czas.

Kimon spojrzał na niego i wzruszył ramionami. Był spokojny jak morska bryza, zauważył ze zdziwieniem Perykles.

– Możemy więc trochę się tu porozglądać – uznał wódz. – Oczywiście, jeśli nasza przewodniczka naprawdę widziała tu kiedyś jakiś grób.

Grupka rozdzieliła się i podążyła w kilku kierunkach. Kimon spojrzał na kobietę, którą wciąż trzymał Perykles. Poklepywał dłonią rękojeść miecza, ona zaś wstrzymała oddech, czekając na jego decyzję.

– Zajmę się nią, kyriosie – zaproponował Attikos, który został przy nich. – W końcu dźgnęła mnie nożem. Nie przeszkadza mi, że w rewanżu poświęcę jej trochę czasu.

– Tylko się pospiesz – rzucił Kimon.

On również był wściekły na kobietę, która oddzieliła go od jego ludzi, być może skazując ich na śmierć.

Niewiele się zastanawiając, Perykles zwolnił chwyt. Tetyda spojrzała na niego w pomieszaniu, po czym ruszyła sprintem między skały.

Attikos wykrzyknął jakieś przekleństwo i rzucił się za nią. Innego dnia byłby wystarczająco szybki, pomyślał Perykles. Ale i tak przypominał gończego psa, który z uporem podąża tropem zdobyczy. Jego rana dawała jej sporą szansę, nie większą jednak, niż na to zasługiwała. Oboje zniknęli za skalnym załomem. Jej los leżał teraz w ręku bogów.

Nagle z innego kierunku krzyknął któryś z hoplitów i podniósł wysoko rękę. Reszta zbiegła się w tym miejscu jak złote iskry pożaru przyciągnięte przez zielony kolcolist. Kimon zamknął usta, powstrzymując komentarz lub naganą, które zamierzał wygłosić.

– Macie grób? – krzyknął.
Perykles już ruszył w tamtą stronę.
– Przekonajmy się.
Obaj rzucili się do biegu, nagle nie czując już zmęczenia.

* * *

Kimon użył miecza, żeby wyciąć korzenie i pędy winorośli zarastające kratę na wielkim głązie.

– Pomóżcie mi – rozkazał, zatem inni też przystąpili do pracy, usuwając rękoma i mieczami wszystko, co porastało podłoże.

Widać było wyraźnie, że tego miejsca nie naruszano od bardzo dawna. Kimon sapał, odchylając całą połąć białych korzeni niczym dywan.

– Co to takiego? – zapytał Perykles.

– Spójrz na to. Obrobiony kamień o gładkich krawędziach. Po co taka rzecz znalazła się tak wysoko na wzgórzach Skiros? To robota mistrzów kamieniarskich, Peryklesie. Na Atenę, bez tej kobiety nigdy byśmy tego nie znaleźli! Nawet teraz jest to ledwo widoczne. No dalej, nie mamy młotów, żeby to roztrzaskać. Jeśli chcemy zobaczyć, co jest w środku, musimy odwrócić ten kamień!

Perykles spojrzał za siebie w stronę, gdzie Attikos pobiegł za ich przewodniczką. Kimon dłubał nożem pod kamienną płytą, próbując odszukać jej dolną krawędź.

– Ona nie powinna cię już obchodzić, Peryklesie. To powinno. No dalej, pobrudź sobie rączki.

Perykles skinął głową, poczuwszy ukłucie tej reprimendy. Uklęknął w paprociach i wydobył nóż. Kamień był solidny jak płyta nagrobna w Atenach, gruby na dwie pięści. Odkrywali coraz dłuższy fragment dolnej krawędzi, ale podniesienie płyty było nieludzko trudne, nawet dla tylu mężczyzn. Sześciu się wyteżało, by unieść kamień, i tylko dwóch zostało na straży. Kimon wysiłał się w milczącym skupieniu, gdy dźwigali, dłubali i próbowali poruszyć płytę, odkrywając coraz bardziej jej kształt.

– A teraz wszyscy z jednej strony – rzucił nagle. – Zobaczmy, czy uda się ją odwrócić.

Ustawili się, wciskając palce pod oczyszczoną krawędź płyty, gotowi do jej podźwignięcia.

Perykles odwrócił się, słysząc słaby głos z oddali, niemal jak krzyk mewy.

– Potrzebuję cię tutaj – warknął na niego Kimon. – Chwytaj.

Perykles złapał brzeg kamienia tuż obok Kimona. Część jednej dłoni zniknęła pod krawędzią, aż poczuł pod palcami spód płyty. Po skórze pełzały mu jakieś dziwne żyjątka, aż zadrżał z obrzydzenia.

– Na mój znak – powiedział Kimon. – Gotowi? Podnosimy.

Kamień się uniósł. Mężczyźni poprawiali chwyt i sapali pod wielkim ciężarem. Wapienna płyta była stara jak świat. Grunt pod nią aż syczał, gdy nieprzerwany nacisk zrywał uchwyt tysięcy korzonków. Jakieś chrząszcze i wielonożne stworzenia zwijały się i umykały w pierwszych promieniach światła, jakie widziały w życiu. Płyta unosiła się coraz wyżej i wyżej, gdy z wysiłkiem ją dźwigali, aż nagle opadła i pękła na połowę po drugiej stronie. Perykles poczuł ukłucie żalu. Nie dało się już tego cofnąć i jej naprawić. Było tak jak z jego bratem, gdy mimo wszystkich wysiłków nie udało się scalić tego, co raz się rozpadło.

Na kolanach, podparłszy się rękoma, patrzyli w głąb jamy, która w oczywisty sposób była grobem. W płytkim zagłębieniu wydrążonym w ziemi, pogrążony w śmiertelnym śnie leżał tam wielki mężczyzna. Trawy i korzenie poprzerastały dół, a ich białe pędy wypełniły go całkowicie, tworząc coś w rodzaju gniazda. Ale spizowy hełm, otulający spowitą korzeniami czaszkę, widoczny był wyraźnie. Można było wyróżnić kości udowe i żebra, podobnie jak napierśnik i nagolenniki pokryte zieloną śniedzią po latach leżenia pod kamieniem. Tarczy nie było.

– Ojciec mi powiedział, że Tezeusz zginął na Skiros – mruknął z nabożnym szacunkiem Kimon. – I że jeśli gdzieś spoczywa, to właśnie tutaj... Nie sądziłem, że uda nam się odnaleźć jego grób. Naprawdę nie przypuszczałem. Wiedziałem, że istnieje ryzyko, że trafimy na niewłaściwą wyspę albo że, gdziekolwiek został pogrzebany, jego grób został obrabowany albo rozgrzebany przez dzikie zwierzęta, a kości rozwłóczone. Miałem tylko opowieść o starym królu zabitym przez zdrajcę. A jednak musiałem szukać. Nie mogłem powiedzieć sobie, że nie ma szansy... – Pokręcił głową w milczącym skupieniu. Perykles obserwował, jak Kimon zagłębia dłoń, przepychając ją przez roślinną sieć pokrywającą kości i zbroję. Jak dotyka palców. – Oto Tezeusz, który zwał Heraklesa swoim przyjacielem. Jego prawa ręka ubiła Minotaura i trzymała Helenę trojańską. To największy ateński król! Dalejże, pomóżcie mi odgarnąć te dzikie pędy. Wszystkie kości i części zbroi zabierzemy na okręty.

– Jesteś pewien, że to on? – zapytał któryś z ludzi.

Kimon nie oderwał wzroku od obiektu swego uwielbienia.

– A któż inny mógłby to być: na Skiros, pośrodku pustkowia? Ten człowiek ma na sobie wiekową zbroję hoplity. I spójrzcie na jego wzrost, na długość kości. Gdyby teraz powstał, byłby z nas najwyższy. Kto poza Tezeuszem zasługiwałby na kamień nagrobny o takim ciężarze, że ledwo go udźwignęliśmy. Był wielkim wojownikiem, nawet jako stary człowiek. Ktokolwiek przyniósł go w to miejsce, chciał być pewien, że będzie spoczywał spokojnie. To wiele o nim mówi.

Zaczął odgarniać korzenie, wrywając gęstą masę żółtych splotów. Każda garść ukazywała więcej, a pozostali mężczyźni też pracowali szybko i wytrwale i wkrótce odsłonięto całą postać.

Kimon pochylił się i zajrzał do grobu; miał ręce czarne po łokcie od brudu i błota. Perykles pomyślał, że zamierza ucałować czaszkę króla, ale zamiast tego wyciągnął czarny grot włóczni. Kciukami zdrapał pokrywające go płatki rdzy, po czym się roześmiał.

– Podajcie mi włócznię, chłopcy – rozkazał, wyciągając rękę.

Gdy któryś z nich podał mu dorycką włócznię, zestawił razem ich groty, porównując ze sobą stary i nowy. Wszelkie drewno w grobie się rozpadło, pozostało jedynie niszczące żelazo. Można jednak było rozpoznać na nim sowę Ateny. Hoplici patrzyli z uwielbieniem, gdy Kimon podniósł grot i obracał w świetle słońca. Już się rozpadał, barwiąc na czerwono wnętrze jego dłoni, gdy przyklejały się do niej ślady rdzy.

– Zbierzcie w płaszcz to wszystko: broń i kości – polecił. – Tezeusz dość długo czekał na to, to znaczy na nas. Zabierzemy go do domu.

Zaczęli wiwatować, dziękując bogom. Była to chwila wielkiego cudu, na tyle hałaśliwa, żeby spłoszyć siedzące na klifach mewy. Peryklesowi mocno biło serce. Pomógł zebrać szczątki i broń zmarłego, przenosząc każdy element z należnym szacunkiem. Dopiero gdy złożono wszystko w jeden tobolek i zawiązano starannie, cofnął się i spojrzął w stronę miejsca, gdzie wcześniej zniknął Attikos. Podczas gdy Kimon przygotowywał ludzi do wymarszu na drugą stronę wyspy, Perykles poszedł tam i zawołał głośno. Nie chciał pozostawiać Attikosa w tyle, bez względu na urazę, jaką do niego żywił.

– Attikosie! Ruszamy! – ryknął, otaczając usta dłońmi. Tym razem nie miało znaczenia, czy jego głos odbije się echem, bo szum morza i tak odebrał mu połowę mocy.

Słyszał krzyki mew, a potem, na granicy słyszalności, ten sam słaby okrzyk, który dobiegł go wcześniej. Niewiele myśląc, ruszył naprzód, przyciskając plecy do skalnej iglicy, aby ją okrążyć. Spadek terenu pod jego stopami był tak stromy, że bał się spojrzeć w dół.

Z tyłu doleciało go wołanie Kimona, który wzywał go po imieniu, ale Perykles szedł dalej. Musiał się upewnić.

To nie było daleko. Gdy obszedł dookoła skalną kolumnę, teren nagle się urwał. Część biegła w bok wąską granią, od niepamiętnych czasów zwietrzałą od burz i wichrów. Obok ziała przepaść opadająca stromo ku ostrym skałom. Perykles wychylił się, a spojrzawszy w dół, poczuł nagły ucisk w żołądku. Tam.

Attikos upadł fatalnie, widział to wyraźnie. Perykles wzdrygnął się, widząc wygiętą pod dziwnym kątem nogę mężczyzny. Nie było szans, żeby z takim złamaniem wdrapał się z powrotem na urwisko, zwłaszcza z raną drugiej nogi. Tetydy nie było nigdzie widać. Bez wątpienia znalazła drogę ku wolności, gdy Ateńczyk spadł w przepaść.

– Peryklesie! Bogom niech będą dzięki. Pomóż mi! – krzyknął Attikos. W jego głosie słychać było ulgę. Musiał się martwić, że nikt nie przyjdzie i umrze samotnie na tym pustkowiu.

Perykles patrzył na niego, podczas gdy mewy krzyczały, walcząc z wiejącą od morza bryzą.

5

Kiedy Perykles wrócił do pustego grobu, Kimon i pozostali już odeszli. Nie wiedział, czy potraktować to jako krytykę, czy wręcz przeciwnie, jako dowód wielkiego zaufania ze strony Kimona, który wierzył, że on zrobi to, co powinien, i zejdzie na plażę, do okrętów. Grób zupełnie opróżniono. Tylko pęknięta płyta nagrobna i wydeptane korzenie świadczyły, że w ogóle tu byli. Niestety znaczyło to również, że nie ma tu już nikogo, kto mógłby mu pomóc. Stał przez chwilę, rozmyślając. Nie mógł oskarżać Kimona o to, że go porzucił, przynajmniej nie w sytuacji, gdy jego ludzie zostali zaatakowani. On też nie miał wyboru, stwierdził. Gdyby zostawił Attikosa na śmierć, musiałby z tym żyć. Musiał zatem spróbować, choćby po to, by się upewnić, że nic nie da się zrobić. Zadrzał, czując na sobie czyjś wzrok. Nie było nikogo, kto by go obserwował, ale sam grób ział oskarżycielską pustką. Wrócił do skalnej iglicy.

Gdy ponownie wysunął głowę poza krawędź urwiska, Attikos leżał w lekko zmienionej pozycji, przysunawszy złamaną nogę do drugiej. Natychmiast dostrzegł Peryklesa i pomachał ręką.

– Przynieś linę – zawołał. – Obwiążę się nią. Niech paru chłopaków wciągnie mnie na górę.

– Wszyscy już poszli – krzyknął Perykles. – Zostałem tylko ja.

Zauważył, że Attikosowi zrzędła mina. Mężczyzna przeżył upadek, który z łatwością mógł go zabić, gdy uderzył o występ znajdujący się dobre kilkanaście kroków niżej. Gdyby przetoczył się choć jeden raz, spadłby dużo dalej, aż do morza. Wyglądało na to, że wyczerpał całe swoje szczęście.

Attikos był dostatecznie blisko, by Perykles zauważył na jego twarzy ponurą rezygnację. Dzieląca ich wysokość i tak zdawała się nie do pokonania. Perykles bał się, że zszedłszy na dół, nie zdoła wspiąć się na górę. Urwisko było strome i podziurawione gniazdami mew. Jako chłopiec często wspinał się na drzewa, to było jednak coś zupełnie innego. Na myśl o długim locie w przepaść oblał go zimny pot. Gdy spojrzął na Attikosa, widok skał rozmył mu się w oczach. Powoli położył się na brzuchu i wychylił poza krawędź tak daleko, jak tylko

zdołał, wczepiając się obiema dłońmi w trawy. Mewy krzyczały i krążyły nad nim, gdy próbował wypatrzeć drogę zejścia.

Rozważanie, by pozostawić Attikosa swojemu losowi, nie było zbyt honorowe, ale ani bogowie, ani obowiązek nie nakazywały tego, co niemożliwe. Perykles nabrał powietrza, by zapytać, czy Attikos ma coś do przekazania, gdy on wróci na okręt. W tej samej chwili zauważył długie pęknięcie w skale, które mogłoby zapewnić mu częściowe zaczepienie dla rąk w drodze na dół. Tę ścieżkę zamierzał obrać, gdyby okazał się na tyle głupi, by zejść...

Przerzucił jedną nogę poza skraj przepaści, próbując nie myśleć. Serce biło mu w piersi jak oszalałe i czuł zawroty głowy, gdy opuszczał się niżej, przywierając ciałem do zimnego kamienia. To było szaleństwo! Czuł, jak drżały mu ręce, ale zsuwał się, czepiając się szczeliny stalowym chwytem palców. Nie mógł patrzeć w dół na swoje stopy! Jak więc znajdzie miejsce, na którym zdoła stanąć? Modlił się do Ateny, by nad nim czuwała, aż w którymś momencie wyczuł sandałem mały uskok, ledwo wystarczający dla utrzymania jego ciężaru.

Stopniowo, kawałek po kawałku, opuszczał się niżej. Attikos milczał. Postać leżącego rozmywała się Peryklesowi w oczach, gdy szukał kolejnych punktów zaczepienia. Mięśnie przedramion protestowały boleśnie, a nogi drżały mu jak w gorączce. Jestem młody, powtarzał sobie, młody i silny.

– Nie spadnę – szeptał do siebie raz za razem.

Mało brakowało, a nie dotrzymałby tej obietnicy, gdy osunęła mu się stopa i wisiał przez chwilę na rękach niczym krab, szukając oparcia dla nogi. Zerwał część paznokcia u lewej dłoni. Co dziwne, nie bolało go wcale, ale krwawiło, a krew spływała kroplami po kamieniach. Pojął, że stracił czucie w czubkach palców.

Gdy znalazł się na występie, na którym leżał Attikos, przysiadł, opierając się plecami o skałę. Morze groziło okrutnym, długim upadkiem. Attikos patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie masz liny? – zapytał.

Perykles pokręcił głową, próbując odzyskać oddech. Zawinił tu bardziej strach niż wyczerpanie, więc prędko dochodził do siebie.

– Tylko... ja – odparł Perykles.

– Trzeba było wracać z innymi – rzucił Attikos. – Ja nie zdołam się wspiąć na górę, nie z uszkodzonymi nogami. A teraz jeszcze ty tu utknąłeś. Równie dobrze możesz skoczyć. Taka śmierć będzie dużo szybsza od śmierci z pragnienia.

Perykles spojrzał w górę na stok urwiska, którym tak bardzo bał się zejść. Nigdy przedtem nie wspinał się na coś takiego, ale schodząc, z każdym

niepewnym krokiem zdążył się wiele nauczyć. Skrzywił się, dotknąwszy palca z naderwanym paznokciem. Zejście było trudne i bolesne, ale czuł też swego rodzaju satysfakcję, że jednak podołał wyzwaniu. Pomyślał, że mógłby spróbować wspiąć się z powrotem.

– W dole jest tylko morze – powiedział. – Myślisz, że zdołałbyś przeżyć upadek?

Attikos zdobył się na znużone prychnięcie.

– Z jedną nogą złamaną i drugą przedziurawioną nożem? Nie. – Zamilkł. – Domyślam się, że ta dziwka uciekła?

Perykles wzruszył ramionami.

– Nie widziałem jej – odparł. Poczuł na sobie wzrok Attikosa. – Nie widziałem!

– Pomyślałem sobie, że gdybyś ją lepiej trzymał, nie leżałbym tutaj ze złamaną nogą, czekając tylko, by stoczyć się w dół, gdy nie zdołam już dłużej wytrzymać. To wszystko.

Perykles zastanowił się, po czym pokręcił głową.

– Gdybyś jej nie zaatakował, wciąż miałbyś jedną zdrową nogę – powiedział. – Sam to sobie zrobiłeś.

Mówiąc to, patrzył na zbocze urwiska. Miał przedtem pewien pomysł, ale to, co wydawało się możliwe na szczycie, z dołu wyglądało na znacznie trudniejsze. Co ważniejsze, wiedział, że musi odpocząć, zanim podejmie tę próbę. Zapewne nadal będzie to szalenie trudne, ale miał dziewiętnaście lat. A w tym wieku nic nie jest niemożliwe.

– Czy to mój ojciec dołączył cię do załogi Kimona? – zapytał nagle. – Żebyś miał na mnie oko?

Attikos poruszył złamaną nogą i skrzywił się z bólu, który był niemal nie do zniesienia. A jednak nawet nie pisnął, co wyraźnie wskazywało, jaki stary sukinsyn był zawzięty.

– Żebym cię *chronił* – poprawił go Attikos. Ku zdziwieniu Peryklesa tylko wzruszył ramionami. – Teraz nie ma już wielkiego sensu tego ukrywać, co? Donikąd się nie wybieram.

– Mogę cię przenieść – powiedział Perykles. – Na plecach.

Attikos pobladł jeszcze bardziej, gdy spojrział w górę.

– Nie – rzekł wreszcie. – Zostałem dziś dźgnięty nożem i jestem potłuczony, mam połamane kości i zostawiłem na tym przeklętym klifie więcej skóry, niż mam odwagę przyznać. Chyba dość już oberwałem. Powiedziałem twojemu

ojcu, że cię ochronię i będziesz bezpieczny, no i... jesteś. Wleź tam z powrotem, jeśli dasz radę. Zostaw mnie i powiedz ojcu, że spełniłem swój obowiązek.

Perykles się roześmiał. Stary, patetyczny dureń. Kimon się spodziewa, że wrócą obaj. Jeżeli uzbrojeni hoplici nie zostali odcięci przez atakujących, na pewno wyśle kogoś, żeby odszukał brakujących dowódców. Zagryzł wargi. Oczywiście... jeśli Kimon został zabity, to upłynie kilka dni, zanim ktoś zauważy, że ich nie ma. Istniało ryzyko, że nikt po nich nie przyjdzie.

– Nie sądzę, abym był zdolny do czegoś takiego – odparł zdecydowanym głosem. Powoli podniósł się na nogi. – Rozbierz się, Attikosie.

– Dopóki starczy mi sił, nie pozwolę ci na to – powiedział mężczyzna.

Perykles nie miał nastroju na żarty.

– Żeby zmniejszyć wagę. To ma znaczenie. Możesz objąć jedną ręką moją szyję, a drugą przełożyć mi pod pachę. Myślę, że jeśli utrzymasz ten chwyt, zdołam wciągnąć cię na górę. Potem wrócę po twój ekwipunek.

Attikos zaklął z zaskakującą energią, ale stojący nad nim młody człowiek wydawał się gotów go pobić, gdyby protestował. Zręcząc, odpiął skórzany napierśnik, po czym Perykles pomógł mu ściągnąć przez głowę chiton. Jego pierś była znacznie bledsza niż nogi i ramiona i nagle wydał się jakoś pomniejszony. Złamana noga, pokryta krwawymi strużkami, zaczynała puchnąć, tak że wyglądała na bardziej umięśnioną niż druga. Perykles nie patrzył już na jego ciało, tylko złapał Attikosa za ramiona i unióś, nie bacząc na jęk bólu, który rozległ się tuż przy jego uchu.

– Dam radę – powiedział bardziej do siebie, niż do tego, który zawisł na jego plecach.

Złamana noga zwisała, lecz Attikos, najlepiej jak się dało, zdołał owinąć wokół niego drugą nogę. Przełożył pod szyją Peryklesa włochate przedramię, które uciskało mu gardło i tarło skórę. Było to niewygodne i niezgrabne rozwiązanie, ale przynajmniej pozostawiało chłopakowi swobodę wspinania.

Gdy sięgnął w górę, Attikos zaczął mrużyć za jego plecami:

– Niechaj Atena i Apollo, moi patroni, strzegą nas w tej ciężkiej próbie. Wybaczcie temu chłopcu jego młodość i arogancję. Strzeżcie nas obu, jeśli taka wasza wola.

Perykles potaknął skinieniem głowy i dłońmi uchwycił się skały, unosząc jedną stopę w poszukiwaniu solidnego oparcia. Wyprostował nogę, z pełnym wysiłku stęknieniem dźwigając Attikosa i siebie w górę. Do szczytu było daleko, a słońce świeciło na nich z nieba. Uśmiechnął się, powoli wynosząc ich obu coraz wyżej, ruch za ruchem.

– Przyciśnij się do mnie mocniej – syknął w nagłym przypiływie lęku.

Attikos przerzucił swój ciężar, aby ulżyć sobie w jakimś skurczu albo nagłym zmęczeniu. Mężczyzna regularnie pojękiwał, wydając żalosne odgłosy, w miarę jak jego noga kołysała się i uderzała o skałę. Perykles natomiast próbował łapać kolejne hausty powietrza, czując ogarniający go żar i pot ściekający po skórze. Skaleczony palec wybrał właśnie ten moment, by rwać przeszywającym bólem, który pulsował w rytmie oszalałego bicia serca. Był dopiero w połowie drogi, gdy szukając kolejnego oparcia dla stopy, poczuł, że mięśnie drżą mu jak u konia, którego obsiadły muchy. Nie. Miał dość sił. Nie był tego pewien aż do chwili, gdy pierwszy raz wyprostował nogę, mając Attikosa na plecach. Już wiedział, że wniesie go na szczyt urwiska. Że zdoła to zrobić.

Nie ośmielał się spojrzeć nigdzie indziej, tylko tam, gdzie należało zacisnąć kolejny chwyt. Spieszył się, bo czuł, że powoli opuszczają go siły. Stopniowo straci je całkowicie, a wtedy spadną i rozbiją się na skałach albo w morzu.

Attikos zachowywał milczenie, rozumiejąc, że lepiej nie rozpraszać mężczyzny, w którego rękach, dosłownie, spoczywa ich życie. Dopiero gdy zauważył, że Perykles wspina się z rozczapierzonymi palcami, zaczął mu pomagać, wołając na przykład, by sięgnął „lewą ręką nieco wyżej” albo „postawił stopę o palec wyżej”. Też pocił się straszliwie, a jego ramię ślizgało się na szyi Peryklesa w intymnym kontakcie, jakiego żaden z nich nie chciał. Widok kęp trawy nad głową był tylko przedłużeniem męczarni. Perykles wspinał się, nie myśląc o niczym, w absolutnej koncentracji. Nie słyszał nawet krzyku mew. Utracił ten stan, gdy spróbował strząsnąć z czoła pot zalewający mu oczy. Nagle zrozumiał, że może spaść i że był to straszliwy błąd. Ramiona mu drżały i nie widział sposobu, jak wciągnąć się przez krawędź na szczyt urwiska, nie z Attikosem, który ciążył mu jak ładunek ołowiu.

– Attikosie, nie mogę... nie dam rady przerzucić nas na górę.

– Co teraz? – mruknął mu Attikos do ucha. – Co mogę zrobić?

– Musisz... teraz szybko... musisz sięgnąć w górę i złapać się tam czegoś, zanim odpadnę. Jeśli zdołasz, wciągnij się na górę na ramionach, a ja sam pokonam ten ostatni kawałek.

– No to się trzymaj – powiedział Attikos. – Spróbuję.

Usłyszał desperację w głosie Peryklesa. Gdyby chłopak spadł, obaj by zginęli, nie próbował więc dyskutować. Jedną ręką owinął mocniej jego szyję, jakby chciał go udusić, aż Peryklesowi zabłyśły w oczach gwiazdy. Drugą ręką złapał fragment skały nad krawędzią klifu i podciągnął się wyżej. Oparłszy kolano na ramieniu Peryklesa, legł po chwili bez tchu na trawie, sprawniejszą nogą wciąż

szukając oparcia. Ta złamana kołysała się bezwładnie nad przepaścią. Ból musiał być niewyobrażalny, ale Attikos nie jęknął. Obserwował w milczeniu, jak Perykles wciąga się i dysząc ciężko, przetacza nad skrajem urwiska.

Legł wyprężony z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała, a Attikos złapał go za ręce i pociągnął dalej. I tak, dysząc i charcząc, spleceni rękoma i nogami, spoczęli w końcu bez tchu na suchej trawie.

Mewy krążyły nad nimi, oburzone na intruzów, którzy ośmielili się naruszyć ich gniazda. Perykles, nie mogąc złapać powietrza, obserwował je tylko w milczeniu.

– To było... trudniejsze... niż się spodziewałem – wykrztusił w końcu.

Attikos usiadł. Choć wykrwawiony i wyziębiony z powodu ran, nie leżał jednak bezwładnie jak Perykles. Nagi, dygotał w morskiej bryzie.

– Nie wydaje mi się, żebyś był w stanie zejść znowu po mój ekwipunek – powiedział.

Perykles pokręcił głową i zaśmiał się cicho do siebie.

– Nie wydaje mi się. Raczej nie.

– A musisz jeszcze zanieść mnie na okręt – zauważył Attikos po chwili milczenia.

Perykles potrząsnął głową. Wszystkie stawy i mięśnie bolały go okropnie. Sama myśl o dźwiganiu tego gołego małpiszona przez wzgórza i bagna wystarczyła, by zajęczał.

– Lepiej już idźmy – powiedział Attikos. – Nie chcę pozostać na łasce tamtych kobiet, jeśli Kimon uzna, że się nie pojawimy. Jak długo będzie czekał twoim zdaniem?

Perykles przełknął nerwowo ślinę. Nie była to przyjemna myśl. Przetoczył się na brzuch, podniósł na czworaki, a wreszcie stanął wyprostowany. Attikos podźwignął się na jednej nodze, podskakując i sycząc z bólu.

– Jest aż tak źle? – zapytał Perykles, gdy tamten znowu objął go za szyję i przełożył drugą rękę pod pachą.

– Mam złamaną goleń, więc można tak powiedzieć – odparł Attikos. – Trzeba dwóch deseczek i kilku rzemieni, żeby mnie solidnie opatrzyć. Jeżeli nie masz ich ukrytych gdzieś przy sobie, to ruszajmy.

Perykles zagryzł zęby w irytacji, przypominając sobie, jak bardzo zdążył zniechęcić tego typu.

– No to dalej – rzucił.

Attikos nic więcej już nie powiedział, gdy Perykles zarzucił go sobie na ramię i poczłapał z tym niechcianym ładunkiem przed siebie.

Po pewnym czasie, brnąc tak przygarbiony, zaczął się śmiać.

– O co chodzi? – zapytał Attikos. Złamana noga kołysała się przy każdym kroku, co go osłabiało i przyprawiało o zawroty głowy.

– Właśnie myślałem, jak bardzo przypominam dziś Eneasza – wyjaśnił Perykles, chichocząc. – Wyniósł swego ojca w bezpieczne miejsce, gdy Troja padła.

– Rozumiem. Czy Eneasza także zmuszał swego staruszka do wysłuchiwania takiej próżnej gadaniny?

– Nie – mruknął Perykles, patrząc gniewnie spode łba. Przez dłuższy czas się nie odzywał.

6

Perykles osunął się na kępę wilgotnej trawy obok strumienia. Zimna woda spływała mu po ręce, cucąc go. Attikos coś bełkotał, ale on ledwo go słyszał. Dyszał i pochylał się wyczerpany, mając wrażenie, że za chwilę zapadnie w śmierć albo w głęboki sen. W ciągu dnia do starych bólów doszły całkiem nowe: pieczenie otartej skóry oraz ból drżących, nabiegłych krwią mięśni. Wiele razy upadał, ale nigdy świadomie nie zrzucił z pleców Attikosa. Nie, parł dalej, przekraczając zwalone pnie i przeciskając się przez raniące cierniste krzewy, i skupiał się na jednej jedynej myśli o wytrwaniu. Dokuczliwe muchy krążyły nad nimi, przyciągane zapachem słonego potu oraz wszystkich drobnych zranień i zadrapań. Perykles nie czuł już ich ukłuć. Nie miał drewna, żeby rozpalić ogień, ani pożywienia, żeby się wzmocnić. Mógł tylko przymknąć oczy i iść dalej. Kiedyś odzyska siły, był tego pewien. Zawsze odzyskiwał, gdy mógł choćby na chwilę oderwać się od świata.

Attikos poklepał go lekko po ramieniu, próbując delikatnie wyrwać z oszołomienia. Starszy mężczyzna podniósł się w milczeniu i stanął na niezłamanej nodze. Rana po nożu uległa oczywiście zanieczyszczeniu. Nie było w tym nic dziwnego, bo często brnęli przez zielony gąszcz i błoto. Noga była gorąca i dziwnie nabrzmiała, a Attikos czuł ogarniającą go gorączkę. Zmusił się jednak do stanięcia w pozycji hoplity i ponownie klepnął Peryklesa, zmuszając go do skupienia uwagi.

Przed nimi, niecałe parę kroków, pił wodę jasnoszary kucyk. Patrzyli, jak pochyla głowę, przełykając lodowatą wodę. Perykles poczuł nagły przypływ irytacji, gdy Attikos klepnął go w ramię raz jeszcze, jak dziecko domagające się uwagi rodzica.

– No dalej, ruszaj! – Perykles krzyknął nagle, machając rękami.

Kucyk niemal się przewrócił, cofając się gwałtownie, zarżał i pogalopował, przecinając płytkie koryto strumienia.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Attikos. Sprawiał wrażenie, jakby chciał uderzyć Peryklesa, uniósł nawet pięść i się zamierzył.

– To był dziki koń! – odparł Perykles. – Wydaje ci się, że zdołalibyśmy go dosiąść i zjechać na nim w dół? W twoim stanie raczej by cię zabił. Te koniki są silne, Attikosie. Zbyt silne dla nas.

Mężczyzna opuścił pięść i się zarumienił.

– Zupełnie nie znam się na koniach. – Przerwał na chwilę, po czym podjął bardziej zdecydowanie: – Jak wiesz, nie dorastałem w ich towarzystwie.

Perykles przymknął oczy, próbując zebrać siły. Zaniósł Attikosa tak daleko, wyteżając się bardziej niż kiedykolwiek. Wszystko by zmarnował, gdyby zatłukł go na śmierć otoczakiem.

– A ja tak, więc się na tym znam. Teraz, jeśli jesteś spragniony, pomogę ci się napić...

Zamilkł, gdy dostrzegł smugę dymu wznoszącą się zza wzgórza. Poznał, że są już blisko wybrzeża. Nie był tropicielem, ale trudno byłoby przeoczyć ślady grupy Kimona, kiedy już na nie trafił. Od wielu godzin podążał ich tropem. Kiwnął głową, zrozumiał, że niemal dotarli do plaży.

Skrzywił się i sięgnąwszy za siebie, pochylił się.

– Chodź. Już prawie jesteśmy.

Attikos był wyczerpany i spragniony, ale bał się zostać na wyspie. Jedną rzeczą było zginąć w walce, a inną zostać znalezionym i rozszarpanym przez horde mściwych kobiet po odpłynięciu Ateńczyków. Kobiety potrafiły być okrutne, wiedział o tym dobrze. Gorsze niż mężczyźni, mówiąc szczerze. Przynajmniej wtedy, gdy nikt nie patrzył. Pod tym względem przypominały mu delfiny...

Potrząsnął głową, zrozumiał, że jest bliski delirium. Owinął ramieniem szyję Peryklesa, nie bacząc na przejmujący ból w zwisającej nodze.

– No dalej, koniku – mruknął, mlasnąwszy językiem. – Ruszaj.

Perykles zaklął, podnosząc brzemię, ale nie osłabł, choć zostało im więcej drogi, niż sądził.

* * *

Wdrapali się na wydmnę i tam zatrzymali. Attikos zsunął się na piasek i stanął na jednej nodze, pozwalając morskiej bryzie osuszyć pot na jego ciele. Z jękiem, podparłszy się obiema rękami, padł na kępę trawy, rozkraczając się bez wdzięku.

– Wolałbym, żeby chłopaki nie widzieli mnie w tym stanie – powiedział szorstko.

Perykles otworzył szeroko oczy.

– To znaczy gołego?

Attikos spojrział na niego.

– A kogo to obchodzi? Mogą oglądać mój goły tyłek, ilekroć razem biegamy. Nie, chodzi mi raczej o to, że... *rannego*. – Zgrzytnął zębami, jakby piasek dostał mu się do ust. – Niesionego jak dziecko. Jeśli przyniesiesz mi deseczki na łubki i włócznię do podparcia, sam zejść. – Zastanowił się chwilę. Wiatr się nasilił, a on zaczął drżeć. – No i płaszcz, rzecz jasna. Jeżeli jakiś znajdziesz. Nie szukaj zbyt długo. Weź, jeżeli jakiś wpadnie ci w oko.

Perykles czekał, czy powie coś jeszcze, ale Attikos zerkał na leżące na piasku i na płyciźnie ciała, próbując odczytać przebieg bitwy, która się tu odbyła. Pirackie statki najwyraźniej podpłynęły szybko, bo wbiły się głęboko w brzeg. Perykles żałował, że nie widział pierwszego starcia, kiedy piraci nagle zrozumieli, że nie mają przewagi.

Dwa ich statki już płonęły, a kłęby dymu wznosiły się w czystym powietrzu. Attikos uśmiechnął się do siebie. Rabusie i złodzieje musieli okazać się bezbronni w starciu z wyćwiczonymi hoplitami. Chciał to właśnie powiedzieć Peryklesowi, ale ten nagle odszedł, sztywno jak urażona kobieta. Czy powinien podziękować mu za to, że niósł go na plecach przez cały dzień? Podejrzewał, że Perykles uznał, że tak. Ale w końcu jaki chłopak miał wybór? To los wyznaczył im role, kiedy grunt usunął się Attikosowi spod stóp, zrzucając go z urwiska. Gdyby stało się odwrotnie, to Attikos dźwigałby Peryklesa przez całą wyspę. Za tym wszystkim stało poczucie obowiązku, no i młodość, rzecz jasna. No i dobra krew, ze względu na ojca szczeniaka. Nie, nie trzeba dziękować mężczyźnie, gdy ten nie miał wyboru. Zadecydował rozsądek.

Perykles wrócił z zapasowym płaszczem i jednym z okrętowych cieśli. Mężczyzna odwinął zawiniątko z narzędziami i spokojnie zaczął ujmować w łubki złamaną goleń Attikosa, oddychając z cichym świstem przez nos w rytmie fal bijących o brzeg. Kiedy Attikos został już opatrzony, Perykles pomógł mu się podnieść i we trójkę ruszyli do Kimona, kierującego czynnościami po skończonej bitwie.

Uniósł wysoko brwi, ujrawszy Attikosa, ale chwilę potem zamiast wyrzutu na jego twarzy pojawił się uśmiech, za co obaj byli mu wdzięczni.

– Zabiliśmy blisko połowę piratów – oznajmił Kimon. – Reszta uciekła na wzgórze.

Wyglądał na skrycie zadowolonego. Stał spokojnie, podczas gdy jego ludzie przetrząsali brzeg w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów. Ich własne okręty były dalej, w odległości, którą Attikos szacował zrezygnowanym wzrokiem.

Kimon dostrzegł rozczarowanie w oczach Peryklesa i zrozumiał natychmiast. Chłopak był podrapany i brudny. Jedną nogę miał czarną aż do kolana od błota, w które wdepnął, a skórę gęsto poznaczoną ukąszeniami owadów i zadrapaniami po cierniach. Nie brał udziału w bitwie. Zamiast tego taszczył na brzeg jednego rannego mężczyznę. Wódz się uśmiechnął. To był dobry dzień.

– Nic nie szkodzi – powiedział do nich. – Mamy na pokładzie samego Tezeusza. To po niego popłynęliśmy na Skiros! Twój ojciec to rozumie, Peryklesie. Niosłeś Attikosa przez całą drogę od samego grobu? – Pokręcił głową w podziwieniu z uznaniem dla młodzieńca. – To wielki wyczyn.

Perykles zarumienił się i pochylił głowę. Attikos podniósł oczy tylko na chwilę. Jego historia była mniej heroiczna. To, że taszczono go przez całą wyspę, nie było dla niego powodem do dumy, ale zarazem skończyła się mordęga przeszywającego z każdym krokiem bólu i był szczęśliwy, że znalazł się z powrotem w znanym świecie. Był wyczerpany i obolały, ale nie okazywał tego młodszemu od niego o połowę mężczyznom. To było zwycięstwo Kimona, jego ekspedycja.

– Gdybyś mógł zrobić mi jakąś kulę – mruknął Attikos do cieśli – dam ci za to drachmę.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem, oceniając wzrost. Niedaleko na piasku leżało złamane wiosło. Podniósł je i wręczył Attikosowi. Ten już zamierzał powiedzieć, że każdy głupek mógłby to zrobić, ale wiosło miało odpowiednią długość i można było oprzeć się wygodnie na jego piórze, wsuwając je pod pachę. Attikos wyłowił monetę z policzka i rzucił mu, a cieśla złapał ją w powietrzu i uśmiechnął się szeroko, po czym poczłapał ku okrętowi. Wszystkie załogi były teraz skupione na zepchnięciu przynajmniej jednego okrętu na wodę, gdzie mógłby wyciągnąć z piasku pozostałe.

– Możesz iść? – Kimon zapytał Attikosa.

Ten potwierdził skinieniem głowy.

– No to chodźmy. Nie mamy tu nic więcej do roboty.

Attikos zdołał jakoś kuśtykać, a Perykles kroczył blisko niego jak opiekuńcza niańka.

– Wszystko w porządku, kyriosie – powiedział Attikos. Miało to zabrzmieć szorstko, ale wyszło jak podziękowanie, co bardzo go zmieszało. Był szczęśliwy, ponownie znalazłszy się wśród przyjaciół. Powiedział sobie, że nie będzie się rozczulał jak stara baba i musi trzymać fason.

Bryza od morza była czysta i świeża. Trzej mężczyźni minęli wiele ciał leżących na piasku. Perykles przyglądał im się, przechodząc, dostrzegając ciemną

opaleniznę rybaków oraz ich cienkie ramiona i nogi. Piraci nie wyglądali jak wojownicy, uświadomił sobie. Hoplici musieli zacząć ich wycinać, zaraz gdy wylądowali. Pod kierunkiem *lochagoi* utrzymujących porządek i powstrzymujących ludzi od niepotrzebnych szarż to musiała być rzeź. Przyłapał się na rozmyślanii, czy małżonek Tetydy przeżył tę bitwę i czy zdążyła go już powitać. Czyżby uległ złudzeniu, że jest atrakcyjna? Jej oczy z pewnością były ładne, bardziej szare niż brązowe. Pokręcił głową rozbawiony własnymi myślami. Kimon sprawiał wrażenie uszczęśliwionego, więc i mu samopoczucie się poprawiło. Mieli Tezeusza!

Trzeba było sześciu wioślarzy, by sporządzić z lin krzeselko i wciągnąć Attikosa na pokład. Zaskowyczał, gdy kołysząc się, zawadził nogą o kadłub, aż świadkowie skrzywili się ze współczuciem. Wszyscy go znali i widać było po ich twarzach, że z przyjemnością powitali go na pokładzie.

Zepchnięcie triery z wysokiego piaszczystego brzegu nie było łatwym zadaniem. Ciężar okrętu sprawił, że głęboko zarył kilem w piasku. Kimon miał przy okrętach dwie małe łodzie, które zwykle holowano z tyłu na linach. Teraz zaczęto w nich wiosłować, ciągnąc liny, które raz po raz naprężyły się i opadały w wodę. Kimon posłał dwudziestu ludzi, żeby pchali kadłub, tyłu, ilu znalazło sobie miejsce. Napierali ze wszystkich sił, a stopy ślizgały im się na piasku. Dzień się kończył. Kimon tracił powoli dobry humor, gdy o zachodzie słońca wciąż tkwili na brzegu. Musieli zepchnąć tylko jeden okręt, żeby wyciągnąć pozostałe. Spędzanie tam nocy wiązało się z ryzykiem nowego ataku piratów, którzy mogli ponownie nabrać odwagi. Potrafił wyobrazić sobie szereg powodów do obaw, płonące strzały zajmowały wysoką pozycję na tej liście. Jego ukochane okręty wojenne były unieruchomione na brzegu i bezradne. Bał się o nie coraz bardziej, gdy słońce zaczęło się chować za wzgórzami.

Perykles napierał plecami na kadłub i nawoływał do rytmicznych pchnięć, aż wreszcie machnął ręką i pozwolił ludziom chwilę odpocząć. Czuł spływające po twarzy krople potu. Podniósł wzrok na wciąż płonące łodzie piratów. Z trzech zostały już tylko poczerniałe zebra, inne nadal płonęły. Były jednak i takie, których jeszcze nie podpalono. Klepnął się dłonią w czoło.

– *Lochagoi*, do mnie – zawołał. Dwóch z najbliższych stojących kapitanów podbiegło do niego, równie zmartwionych jak on sam i Kimon. Perykles wyciągnął rękę. – Weźcie do tamtych łodzi tyłu wioślarzy, ilu zdołacie. Przywiążcie liny i wiosłujcie razem z naszymi łódkami. Módlmy się do Posejdona, żeby pomógł nam ściągnąć okręt na wodę.

Nie tracili czasu. Gwizdnęli na stojących w grupkach wioślarzy nerwowo obserwujących wzgórze. Około sześćdziesięciu z nich pobiegło w zawody z gasnącym światłem dnia. Zostawili broń i zbroje, po czym zepchnęli łodzie piratów na płyciznę i wskoczyli do nich. Ciemne, umykające od brzegu sylwetki wyglądały tak, jakby nagle wyrosły im pajęcze nogi. Wioślarze dobrze się znali na swej robocie. Ci na pokładzie okrętu rzucili z rufy liny, których pętle zniknęły w mroku. Na ich końcu majaczyły ciągnące je łodzie. Liny powoli wyprostowały się i naprężyły. Sternicy dali znak stojącym na pokładzie, żeby pobiegli na dziób okrętu, pomagając pchającym. Po chwili gwałtowne krzyki posłały ich na rufę, gdzie ich ciężar mógł przydać się bardziej.

– Teraz, chłopaki! – zawołał Perykles do towarzyszy, napierając ze wszystkich sił na belkę kila. – Raz, dwa i trzy... raz, dwa i trzy!

Pracowali razem i opór kadłuba nagle ustąpił, okręt zsunął się po piasku na wodę i zakołysał gwałtownie. Martwy kształt ożył. Mężczyźni zaczęli wiwatować na ten widok, a do ich okrzyków dołączyły powracające z łodzi załogi. Słońce zaszło i zrobiło się ciemno, ale nie tkwili już w pułapce. Choćby nawet ściągnięcie z plaży pozostałych okrętów zajęło całą noc, nie miało to już znaczenia. Byli ludźmi morza, a morze się o nich upomniało.

Gdy ostatni z trzech okrętów wypłynął na wodę z wysuniętymi wiosłami, Kimon podłożył ogień pod ostatnie pirackie łodzie. Z czasem ci, którzy przeżyli, zrobią nowe, ale na jakiś czas ustaną zbójckie rajdy na przepływające statki i sąsiednie wyspy, porwania kobiet i niewolników. Czując rozpierającą go dumę, odczekał, aż płomień ogarną łodzie. Żałował, że jego ojciec nie pożył dość długo, by zobaczyć odnalezione szczątki Tezeusza.

Ich flagowy okręt kołysał się na płyciznie, mając zaledwie tyle wody pod sobą, by nie zaczepić kilem o dno. Na piaszczystym wybrzeżu nie było kamieni, ale Kimon wiedział, że przyjemniej byłoby się znaleźć na głębszej wodzie. Wszedł na pokład po specjalnie w tym celu zrobionej drabince. Dwaj wioślarze złapali rzuconą im linę i zawiązali ją. Kimon zamarł w bezruchu, gdy z oddali dobiegł wysoki, desperacki krzyk.

– Co to było? – zapytał, wpatrując się w ciemność.

Od strony płonących łodzi padał blask, ale jego oczy słabo widziały po zmroku. Poczul ulgę, gdy do burty podszedł Perykles i wskazał gestem kierunek.

– Tam. Ktoś biegnie...

Na plaży pojawiła się niewyraźna postać.

– Ktoś jeszcze? – Kimon mrużył oczy i kręcił głową we wszystkie strony.

– Nie. Nikogo więcej nie widzę – odparł Perykles.

Wydał okrzyk zaskoczenia, gdy biegnąca postać wpadła do wody z chlupotem, który wszyscy słyszeli, i zaczęła wymachiwać rękoma w białej morskiej pianie.

– W takim razie rzućcie linę – powiedział Kimon. – To ktoś z naszych?

Perykles potrząsnął głową.

– Nie sądzę... – odpowiedział. – Nie.

Wszyscy patrzyli, jak Tetyda chwytając rzuconą jej linę i zawisa na niej niezgrabnie, machając nogami, jakby chciała wejść po burcie okrętu. Jej stopy ześliznęły się i zawisała, wrzeszcząc ze strachu. Kimon dał znak i kilku silnych wioślarzy wciągnęło ją dalej, aż stanęła na pokładzie.

– Schronienia! – zawołała, krztusząc się od morskiej wody. – Jestem Greczynką z Teb. Błagam o ratunek.

– Czy to nie...? – zapytał Kimon.

Perykles skinął głową.

– To ta, która zaprowadziła nas do grobu.

– Dokonałaś dziwnego wyboru, wracając do nas – stwierdził Kimon.

– Myślę, że zdradziłam naszych mężczyzn – odparła. – Mój mąż został zabity i nie mam tu nic. Już nic. Jestem wolną Greczynką, trzymano mnie tu w niewoli. Jeśli jesteś tu wodzem, to twoim obowiązkiem jest dostarczyć mnie nietkniętą do naszych. To wszystko, o co proszę. Potem sama znajdę drogę do domu.

Perykles zauważył, że drży. Zlepione włosy opadały jej w grubych splotach, suknia była podarta i brudna, ciemna jak pokład, na którym stała. Czekwała jednak na odpowiedź z godną podziwu odwagą. Doceniał to i już otwierał usta, aby przemówić w jej obronie.

– Bardzo dobrze – rzucił Kimon, zanim Perykles zdążył się odezwać. – Wyszłaś z morza, więc nie będę się narażał na gniew Posejdona, odsyłając cię z powrotem na brzeg...

– Kyriosie, czy jestem pod twoją opieką? – zapytała.

Była to ważna sprawa, a w jej opanowanym spojrzeniu widniała jednak desperacja. Gdyby odmówił, miałyby co najwyżej status więźnia. Jedno jego słowo mogło zmienić ją w niewolnicę stanowiącą rekompensatę za koszt ekspedycji. Kimon podjął szybką decyzję w typowy dla siebie sposób. Skinął głową.

– Daję ci moje słowo. Wysadzę cię na brzeg w Atenach albo...

– Strategu! Okręty! – krzyknął ktoś.

W jednej chwili zapomniano o kobiecie. Wszystkie trzy okręty Kimona były blisko brzegu i nie miały żadnego pola manewru. Słyszeć było coraz więcej

okrzyków i dwa z trzech okrętów zaczęły zwracać się frontem ku zagrożeniu, opuszczając wiosła na wodę. Było już jednak za późno. Perykles wpatrzył się w noc, gdzie opasły księżyc widniał jeszcze nisko nad horyzontem. Przełknął ślinę na widok przynajmniej sześciu okrętów wojennych, które zbliżały się, osaczając ich. Zastanawiał się, czy przyciągnął je dym z płonących statków.

– Będziemy musieli osadzić okręty na piasku – stwierdził ponuro Kimon. – Tutaj nie mamy szans. Na lądzie będą większe.

– Zaczekaj... – mruknął Perykles. – Tylko chwilę, proszę...

Obserwował ruch wiosł, wspominając morską bitwę pod Salaminą. Był pewien, że to nie są perskie okręty. Były bliźniaczo podobne do okrętu, którego pokład miał pod stopami, produktu ateńskich stoczn.

– Wydaje się, że to Grecy – powiedział. – Tak, z pewnością. Główna flota.

Kimon zaciskał i rozprostowywał palce; nienawidził sytuacji, gdy musiał polegać na cudzych oczach. Perykles przełknął ślinę, widząc, że nowo przybyli spuścili łódzie na wodę. Wrogowie próbowaliby połamać im wiosła albo zepchnąć ich na płyciznę, gdzie byliby bezbronni. Może Kimon powinien zostawić ich łódki na wodzie jako przyjazny sygnał, pomyślał. Wciąż uczyli się zachowania na morzu. Wyglądało to na kolejny młodzieńczy błąd, że dali się przyłapać tak blisko brzegu.

– Wysuńmy się trochę – rozkazał Kimon. – Tylko tyle, żeby mieć więcej wody pod kilem. Potem rzućcie kotwice.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy z jednej zbliżającej się triery ktoś zawołał do nich przyjaźnie w ojczystym języku. Napięcie opadło. Mężczyźni obok Kimona zaśmiali się cicho i zaczęli rozmawiać szeptem.

Spojrzenie wodza pozostało zimne, gdy spoczęło przez chwilę na przemokniętej młodej kobiecie wciąż wpatrującej się w niego z obawą. Nie uśmiechnął się. Jeśli przybyłe okręty należały do głównej floty, z pewnością zechcą objąć dowodzenie. Przez krótki czas w tak młodym wieku doświadczył wolności Perseusza, Jazona czy samego Tezeusza. Spojrzał gniewnie.

– Po prostu trzymaj się od nas z dala – rzucił do niej.

Tetyda skinęła głową, a jej wielkie, ciemne oczy błysnęły w ciemnościach.

* * *

Łódź, która dobiła do ich burty, przywiozła trzech mężczyzn, którzy właśnie wspinali się na pokład. Dwaj robili to z łatwością pomimo kołysania zakotwiczonego okrętu. Trzeci wchodził jednak powoli, kładąc dłonie na

szczeblach drabinki i stawiając stopy tak ostrożnie jak ktoś, kto już kiedyś upadł i nie chce, by przydarzyło mu się to ponownie.

Dwaj młodszy mężczyźni byli uzbrojeni jak hoplici, choć na pokładzie okrętu Kimona schowali miecze do pochew. Nie powiedzieli nic, wszystkie głowy obróciły się więc w stronę tego ostatniego, który zatrzymał się na ostatnim stopniu drabinki i wyciągnął rękę.

– Czy ktoś może mi pomóc? – zapytał Arystydes.

Perykles wystąpił prędko i pomógł starszemu mężczyźnie stanąć na pokładzie. Ten dyszał lekko i kręcił głową, rozglądając się wokół.

Kimon opadł na kolano, po czym wstał. Było to minimum szacunku należnego archontowi Aten, temu, którego imieniem oznaczono niejedyn raz w kalendarzu.

– To wielki zaszczyt gościć cię tutaj, archoncie – powiedział.

– No myślę – odparł przybyły. W świetle księżyca widać było, że się uśmiechnął. – Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, Kimonie. Wyprowadziliśmy w morze połowę floty, szukając ciebie. Jestem więc szczęśliwy jako ten, który cię przyprowadzi.

– Przyprowadzi dokąd? – zapytał Kimon.

W jego głosie słychać było napięcie i Perykles zaczął niespokojnie wodzić spojrzeniem od jednego do drugiego.

– Na wyspę Delos – odparł Arystydes – dwa lub trzy dni na południe stąd. Zwołaliśmy wszystkich naszych sojuszników. Szczerze mówiąc, pojawisz się tam chyba jako jeden z ostatnich. Skoro już cię odnalazłem, nie możemy cię pominąć, Kimonie, po tym wszystkim, czego dokonałeś.

Arystydes zmarszczył lekko brwi, spoglądając na tonącą w mroku wyspę, przy której dopalały się płonące łodzie niczym nocne ogniska.

– Ale dlaczego się tu znalazłeś? Rozesłałem okręty, które szukały cię aż w Tracji. Obawiałem się, że nie uda się nam cię odnaleźć. Gdybym nie zauważył dymu, ominąłbym tę wyspę.

Kimon dotknął czoła w zamyśleniu. Kiedy znów podniósł wzrok, Perykles niemal uśmiechnął się na widok jego miny, w której walczyły ze sobą skromność i duma.

– Znaleźliśmy kości Tezeusza – powiedział wódz.

Miło było zobaczyć, jak zmienił się wyraz twarzy starego mężczyzny.

– To jest... na bogów! To wspaniała wieść. Dobry omen dla rozmów na Delos.

– Co to za rozmowy? – zapytał Perykles.

Arystydes zwrócił się w jego stronę.

– Zbyt długo was nie było. Chodzi o porozumienie Hellenów na przyszłość. W sprawie współdziałania floty, która wspólnie pokonała na morzu Persów. To wielkie przedsięwzięcie, a twój ojciec zrobił wiele, by do niego doprowadzić, Peryklesie. Choć tyle... wycierpiał i nadal cierpi. Żyje po to, by tego dopilnować. Och, pozwolę, żeby sam ci o tym opowiedział. Ksantyppos będzie szczęśliwy, gdy cię zobaczy. Chodźmy. Odpoczniecie tej nocy i rano powiosłujecie ze mną na południe. Myślę, że z błogosławieństwem Ateny i Posejdony zobaczycie wiele nowych rzeczy na tym świecie. – Wyciągnął rękę i Kimon chwycił ją w mocnym uścisku. Arystydes nie puścił jego dłoni, zanim nie zapytał: – Mógłbym zobaczyć królewskie szczątki?

Kimon uśmiechnął się i potaknął.

– Mój ojciec zawsze dobrze o tobie mówił, Arystydesie. Dzięki, że nas odszukałeś. Cokolwiek wydarzy się na Delos, będę szczęśliwy, mogąc to oglądać. – Złapał starszego mężczyznę za ramię. – Przynieście lampę! – zawołał.

Siedem okrętów wojennych płynęło w zwartym szyku, wiosłując ku Delos. Choć nie mówiono o tym głośno, załogi Kimona wyteęzały się, by za wszelką cenę pozostawać na przedzie. W końcu to ich okręty wiozły szczątki wielkiego ateńskiego króla. Byli nowym wcieleniem argonautów. Byli flotą Odyseusza, częścią historii. Tak czy inaczej, nie mogli pozwolić, by to Arystydes i inni starcy wprowadzili ich do portu.

Drugiego popołudnia zachmurzyło się i zagroził im deszcz. Poprzedniego dnia płynęli na południe pod żaglami, ale gdy wiatr przestał sprzyjać, musiano je zwinąć i schować pod pokładem. Maszty pozostawiono, a na szczycie każdego, smagany wiatrem, siedział chłopak, którego zadaniem było najprędzej dostrzec pierwszy zarys celu żeglugi. Chłopcy śmiali się do siebie nawzajem z czystej radości tego szybkiego lotu na południe w poszukiwaniu świętego portu na Delos i schronienia przed zapadnięciem zmroku i lodowatą wichurą.

Na flagowym okręcie Kimon patrzył wstecz, gdzie sześciu kapitanów pod dowództwem Arystydesa dotrzymywało im tempa, nigdy nie pozwalając zbyt oddalić. Wiatr był niebezpieczny dla tego rodzaju okrętów. Wioślarze na najniższych ławkach przemokli do nitki, gdy wzburzone fale zaczęły pryskać do środka przez obłożone skórą dulki wiosł. Kimon nie zapominał, że Arystydes jest archontem Aten i weteranem. On i jego pokolenie stało ramie w ramie z ojcem Kimona pod Maratonem! Arystydes dowodził hoplitami w tej wielkiej wojnie, pokonując chmary perskich wojsk bardziej przypominających szarańczę niż ludzi. Należał do pokolenia jego ojca, zestarzał się w obronie Aten. Znaczyło to, że Kimon patrzył na niego z należnym szacunkiem niewolnym od odrobiny zazdrości. Nie znaczyło to jednak, że go lubił, zwłaszcza wtedy, gdy zaganiało się go z powrotem do stada jak niesfornego dzieciaka.

Perykles wynurzył się z ładowni, trzymając w ręku miseczkę fasolowej potrawy, którą posypał odrobiną soli, stanąwszy na pokładzie. Choć trzymał również gliniany kubek w zgięciu łokcia, poruszał się zgrabnie, utrzymując równowagę. Pokład drżał pod ich stopami, gdy taran z impetem rozbijał fale.

– Masz, to cię rozgrzeje – powiedział Perykles, podając miseczkę towarzyszowi.

– A ty nie jesz? – zapytał Kimon. Ujął miseczkę w złożone dłonie i zmówił modlitwę dziękczynną, zanim zabrał się do jedzenia.

Perykles pokręcił głową i pokazał mu kubek z rozgotowaną papką. Była czerwona jak krew.

– Tyle: wino, trochę jęczmienia i odrobina tartego sera. Poprosiłem o trochę miodu, ale kucharz tylko się roześmiał.

Kimon zachichotał.

– Czy to nie... porywy miłości odebrały ci apetyt?

Perykles otworzył szeroko oczy i pokręcił głową.

– Masz na myśli tę kobietę?

– Udajesz, że nie znasz jej imienia?

Młodzieniec się zarumienił.

– Znam oczywiście. Tetyda. Sądzę jednak, że ona bardziej ciebie ma na oku. Jeśli w ogóle o niej myślę, to raczej zważam na to, by nie stała za blisko burty, gdy Attikos jest w pobliżu.

Kimon zmarszczył brwi. Wyskrobał łyżką z miski resztę potrawy, choć składała się głównie z chrząstek i przypalonych jarzyn. Niewybredny żart krążący między załogantami głosił, że to jakieś okropne łajno i nigdy nie ma go dosyć.

– On wciąż jest... na nią wściekły – odparł po kilku chwilach. – Attikos przyszedł do mnie oficjalnie. Powiedział, że kobieta na pokładzie przynosi nieszczęście.

Perykles poklepał się po kroczu i splunął na bok, aby odegnać złe uroki.

– Zrobiła z niego głupca, a to go mocno zabolalo. Tak czy inaczej, nie mogliśmy jej tam zostawić. Wysadź ją na Delos, jeśli taka twoja wola, kyriosie. Tak czy owak, potrwa jeszcze trochę, nim Attikos gotów będzie przejść od gróźb do czynów.

Kimon podrapał się za uchem, zastanawiając się. Wziął na siebie odpowiedzialność dowódcy i dał słowo. Perykles wiedział, że będzie próbował chronić ich pasażerkę. Ale w Attikosie było dość mściwości, aby był głuchy na wszystkie głosy.

Jakby przyciągnięty ich cichą rozmową pojawił się Attikos, z trudem wdrapawszy się na górę po schodkach prowadzących z ładowni. Jego ujęta w łubki noga spuchła tak bardzo, że ludzie krzywili się na sam jej widok. Ateńskie okręty wojenne miały na dole kilka miejsc, gdzie mogli leżeć ranni, ale

były one nie tylko ciasne, ale zawsze wilgotne. Attikos wolał świeże morskie powietrze. Miał już nową kulę, którą zrobił mu cieśla, znacznie lepiej pasowała do jego pachy niż stare, złamane wiosło. Kimon przydzielił mu do pomocy jednego z wiosłarzy. Krępy młody człowiek kręcił się nerwowo w obawie, że Attikos zaraz upadnie, i co rusz zerkał na stratega.

Wyszedłszy na pokład, Attikos skłonił się Kimonowi i Peryklesowi. Cała jego skóra błyszczała od potu. Odczuwał dokuczliwy ból, ale się nie żalił, przynajmniej dopóki leżał bezpiecznie w ładowni. Przez cały ten czas klął jednak zawzięcie. Perykles zmarszczył nos, gdy pomimo bryzy dotarł do niego fetor jego ciała. Zrobił krok, by stanąć bardziej pod wiatr, i podejrzliwie obserwował ruchy Attikosa. Wbrew cierpkiemu spojrzeniu, Perykles był w coraz lepszym nastroju. Osiem okrętów płynęło z tyłu i po bokach, a taka flota, dowodzona przez jego współbraci Ateńczyków, stanowiła poważną siłę.

Siedzący na maszcie chłopak cieśli nagle zawył jak wilk i wskazał ręką, co wywołało uśmiech na twarzy Peryklesa. Na horyzoncie pojawiła się Delos, niska, płaska wyspa pośrodku morza. Na jej brzegach urodzili się Artemida i Apollo. Było tam mnóstwo świątyń i kwitnących ogrodów, a także wielki port. Tylko pracownicy i kapłani mieszkali na Delos przez cały czas, również poza wielkimi świątami. Był to teren neutralny dla wszystkich Greków, choć to Ateńczycy zapłacili za marmurowe świątynie, port oraz uposażenie mężczyzn i kobiet, którzy dniem i nocą podtrzymywali płomień w lampach. Perykles uśmiechnął się gorzko na tę myśl. Statki prowadziły handel, a handel przynosił bogactwo... a bogactwo, no cóż, po prostu oznaczało władzę.

– Czekasz niecierpliwie na spotkanie z ojcem? – zapytał Kimon, przerywając tok jego myśli.

Perykles poczuł, że tężeje mu twarz, gdy Attikos odwrócił się, aby usłyszeć jego odpowiedź.

– Oczywiście – odparł.

Jego oczy pozostały jednak zimne. Ojciec zmienił się wraz z długotrwałym cierpieniem i upływem lat, odkąd ostatni raz stali razem na perskim wybrzeżu. Po stracie starszego syna Ksantypposa ogarnęło szaleństwo i uczynił wiele złego niewinnym ludziom. Perykles nie widział go od długich miesięcy, a myśl o ponownym spojrzeniu w jego przenikliwe oczy nie była łatwa. Nie był Aryfronem. Mógł być jedynie rozczarowaniem dla swego ojca, który najwyraźniej żałował, że z jego dwóch synów to nie Perykles poległ.

* * *

Port na Delos był o tej porze roku równie ruchliwy jak Pireus w Atenach. Widok tak wielu statków przywołał u Kimona i wszystkich, którzy byli pod Salaminą, bolesne wspomnienia. Nikt wówczas nie wierzył, że uda się pokonać perską flotę. A jednak zdecydowali się stawić opór, przy czym tysiące ich ziomków utonęły i poległy w walce. Wszyscy, którzy pamiętali tamten dzień, stracili wówczas przyjaciół, braci lub synów. Wpływając do portu, patrzyli smutno, w zamyśleniu.

Przynajmniej sto okrętów wojennych stało już przy nabrzeżach i pomostach. Dla tych, które przybyły później, nie starczyło już przy nich schronienia. Było tak ciasno, że niekiedy dało się przejść na brzeg, krocząc z pokładu na pokład. Zarzucenie kotwicy wymagało precyzyjnego manewrowania pod kierunkiem doświadczonych dowódców i doskonałej oceny położenia okrętu oraz niezważania na gniewne, ostrzegawcze okrzyki. Kimon wprowadził swoje okręty tak blisko, jak się dało, pozostawiając resztę swoim kapitanom. Przygotowano małą łódź, która miała zawieźć go na brzeg.

* * *

Attikos ze względu na złamaną nogę miał pozostać na pokładzie. Perykles był już w połowie drabinki za burta, gdy uświadomił sobie, że nie powinien zostawiać Tetydy na jego łasce.

– Tylko chwilę, kyriosie – powiedział do Kimona i wspiął się z powrotem.

Wódz uniósł ze zdziwieniem brwi, ale gdy ujrzał Peryklesa wracającego z Tetydą i kierującego się z nią w stronę drabinki, zrozumiał, w czym rzecz.

Długi letni wieczór chylił się powoli ku szaremu zmierzchowi, gdy dwie małe łódki zabrały Kimona i jego dowódców i odpłynęły od flagowego okrętu. Przed sobą ujrzeli Arystydesa stojącego na pokładzie niewielkiej łodzi napędzanej siłami czterech wioślarzy, dzięki czemu płynęła dość prędko.

Kimon i Perykles wymienili szybkie spojrzenia. Na wodzie wokół panował chaos, małe łodzie pływały we wszystkich kierunkach, rzucono cumy i napinały się liny kotwiczne, co stanowiło dla wszystkich spore niebezpieczeństwo. Brzeg był zaledwie dwieście kroków od nich.

– Po tetradrachmie dla każdego, jeśli postawię stopę na lądzie przed Arystydesem – rzucił Kimon do swoich wioślarzy.

Kwota odpowiadała ich dwudniowej gaży, więc przy następnym pociągnięciu wiosła pochylili się w maksymalnym wysiłku, łódź skoczyła naprzód, a woda pod nią aż zasyczała. Kimon zachował obojętny wyraz twarzy, gdy dogonili, a potem wyprzedzili Arystydesa. Perykles uważał, żeby nie oglądać się za siebie,

ale uśmiechnął się, gdy łódka dobiła do pomostu, a Kimon wszedł na żelazną drabinę i przebiegłszy ostatnie kilka kroków, stanął na kamieniach nabrzeża. Trzeba przyznać, że każdemu z wioślarzy rzeczywiście rzucił masywną srebrną monetę z wybitą podobizną Heraklesa. Za Kimonem wdrapał się Perykles, a po nim Tetyda. Czując się obco, stała przejeżdżając obok nich, pochyliwszy głowę.

Kimon patrzył na nią, czekając, aż Arystydes dopłynie do pomostu. Ich łódź odpłynęła już z powrotem w stronę stojących na kotwicy okrętów i słyszał, jak jego wioślarze, mijając okręty z Eretrii i Myken, oferowali pasażerom podwiezienie na brzeg.

– Jeśli masz ochotę pójść teraz własną drogą, nie będę cię zatrzymywał – powiedział do Tetydy. – Nie zostawię cię też tutaj, jeśli zechcesz płynąć z nami dalej, do Aten. Przez ten czas, kiedy będziemy na wyspie, będziesz potrzebowała nowego ubrania, pożywienia i miejsca, w którym się zatrzymasz. Mogę się tym zająć. To tyle, co ofiara dla bogów za naszą bezpieczną podróż i za to, że nam pomogłaś w odnalezieniu grobu Tezeusza.

Perykles się uśmiechnął. W Atenach Kimon kazał przyjaciółom nosić ciepłe szaty, po czym nalegał, by oddawali je każdemu, kto o nie poprosi. Jego szczodrość była przysłowiowa, choć wieści o niej zapewne nie dotarły na Skiros. Tetyda spojrzała na niego podejrzliwie.

– Czy nadal jestem pod twoją opieką, Ateńczyku?

– Jeśli ci na tym zależy – odparł Kimon ze wzruszeniem ramion. – Zawsze dotrzymuję słowa. W gruncie rzeczy...

Postąpiła nagle krok do przodu i wymierzyła mu siarczysty policzek. Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał. Jego zachowanie cechował w tym momencie groźny spokój, choć ona najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Zabiłaś mojego męża, Ateńczyku. Albo raczej mężczyznę, którego nazywałam mężem. Nie był nikim ważnym, ale był mój, a ty mi go odebrałaś, choć nic ci nie zrobił.

Perykles podszedł do niej, aby złapać ją za rękę. Na jego twarz wystąpił rumieniec gniewu. Ku jego zaskoczeniu Kimon podniósł rękę, aby go powstrzymać i nakazać mu spokój.

– Rozumiem – powiedział. – Jesteś usatysfakcjonowana? Czy raczej będę musiał pilnować swoich pleców, gdy będziesz w pobliżu?

Tetyda otworzyła szeroko oczy. Ateński strateg promieniał zdrowiem i siłą. Był synem starszego archonta Aten i dorastając, odbył tysiące walk ćwiczebnych i na wojnie. Na jego twarzy pozostał czerwony ślad po jej uderzeniu, ale on

zdawał się zupełnie tym nie przejmować. W jego oczach i w kącikach ust pojawił się nawet cień uśmiechu. Zadrzała.

– Jestem... – odparła.

– Bądź *pewna* – dodał Kimon z nieco większym naciskiem – że spodziewam się, iż dotrzymasz danego słowa, tak jak ja dotrzymuję mojego. Niektórzy uważają, że kobiety nie mają honoru i zawsze łamią obietnice. Moja matka i żona nazwałyby ich kłamcami. Tak więc... daj mi słowo i przyrzeknij dobre sprawowanie. Przyjmę je. Nikt cię nie zaczepi i nie potraktuje brutalnie. Puszczę cię, kiedy tylko zapragniesz odejść.

Teraz ona się zarumieniła. Arystydes właśnie dotarł i wspiął się po drabinie. Z zainteresowaniem przyglądał się całej scenie.

– Daję ci moje słowo – powiedziała.

Kimon skinął głową i odwrócił się, aby powitać Arystydesa.

– Archoncie, jestem szczęśliwy, widząc cię bezpiecznym. Martwiłem się trochę tym wiatrem, którego porywy wszyscy odczuliśmy.

Arystydes spojrzał na obu Ateńczyków. Wzdłuż wszystkich pomostów zapalono lampy rozpraszające mrok. Widział, że Kimon i Perykles zaangażowani są bardzo w coś, co dla niego nie miało już znaczenia. Być może była to sprawa ich młodości albo tej młodej kobiety, która w jego obecności patrzyła skromnie pod nogi. Z jakiegoś powodu, a może dlatego, że Kimon kazał swoim wioślarzom pracować po wariacku, Arystydes poczuł, że wszyscy oni go denerwują.

– Jak powiedziałem, przybyliśmy niemal jako ostatni. Peryklesie? Twój ojciec będzie chciał zobaczyć się z tobą jutro przed ogólnym zebraniem. Mam mu przekazać, że się z nim spotkasz?

– Oczywiście – odparł Perykles. Zauważył, że Tetyda przygląda się mu ze świeżym zainteresowaniem i poczuł zadowolenie.

Kimon wskazał gestem na masę okrętów wypełniających zatokę i port, więcej niż Delos kiedykolwiek widziała.

– Nie powiedziałaś, dlaczego zostaliśmy wezwani, archoncie.

– Naprawdę? Byłem przekonany, że powiedziałem – odrzekł Arystydes. Przez chwilę pocierał szczękę, szukając właściwych słów. – Jesteśmy tu, by złożyć przysięgę jako sojusznicy, że jeśli któryś z nas zostanie zaatakowany, reszta przyłączy się do wojny. Takie jest sedno tego przymierza. Nauczyliśmy się tego pod Salaminą i Platejami. Samotnie nawet Ateny nie mają dość siły, by sobie poradzić. Jednakże razem... pokonaliśmy stare imperium. Ten sojusz, ta liga będzie formalnym przymierzem, przymierzem żelaznym. Jeden język, jeden lud.

Perykles spojrzał na okręty należące do trzydziestu lub czterdziestu miast i regionów. Mrużył oczy, by sięgnąć wzrokiem jak najdalej, ale nie dostrzegł wśród nich pewnych szczególnych okrętów. Widział je pod Salaminą, kiedy siedział na wydmach, obserwując rzeź, jaka się tam rozgrywała. Wojownicy na ich pokładach nosili czerwone płaszcze.

– Gdzie Sparta? – zapytał.

Arystydes skrzywił się, jakby ugryzł twardą chrząstkę.

– Ich eforowie odmówili przybycia, choć twój ojciec pojechał tam osobiście, aby przedstawić im ten pomysł. Podróż go wyczerpała... – Arystydes machnął ręką. – Och, oni są tacy aroganccy, choć mają ku temu pewne powody. To jednak jest zbyt ważne. Miałem już serdecznie dość przekonywania ich. Zrobimy to bez nich.

Kimon pokręcił głową. Podziwiał Spartan bardziej niż inni, sam nawet przejął niektóre ich zwyczaje, narzucając swemu życiu dyscyplinę, jakiej wcześniej mu brakowało. Nosił u pasa spartański nóż, sławetny kopis, równie użyteczny w ścinaniu małych drzew, jak i zabijaniu ludzi.

– Sparta słusznie może rościć sobie prawo do przewodzenia w wojnach – powiedział, marszcząc brwi. – Byłeś pod Platejami, kyriosie, i dobrze o tym wiesz.

Arystydes spojrzał na niego, oceniając tego poważnego młodego człowieka, jakim stał się Kimon. Kiedyś był pijakiem, dzikim i nieodpowiedzialnym. Wydawał pieniądze na otaczające go kobiety i towarzyszących mu głupców. Teraz nie pozostało w nim nawet śladu ówczesnego Kimona i archont poważnie potraktował rzuconą przez niego uwagę.

– Byłem tam i wiem. Plateje były cudem, podobnie jak przedtem Maraton. Ale przypomnij sobie Salaminę, Kimonie, z Ksantyposem i Temistoklesem. Gdzie była wówczas Sparta? – Kiedy Kimon zabierał się już do odpowiedzi, Arystydes ciągnął dalej: – To nie jest ich dziedzina, Kimonie. Ateny są wielką potęgą na morzu... i dlatego postanowiliśmy przewodzić temu sojuszowi, ze Spartą czy bez niej. Ludzie z Tracji i Chalkidy też są tutaj, i z Lemnos, i z Korkiry. A także dziesiątki innych. Każda wyspa i królestwo, każde miasto, gdzie mówi się po grecku. Sparta nie może oczekiwać, że pozostanie z boku, nie teraz. Robimy razem coś... – Przerwał na chwilę, choć jego entuzjazm rósł. – Zobaczycie sami.

– Bez Sparty to niebezpieczna gra – rzekł spokojnie niewzruszony Kimon. – Potraktuj to jako wyzwanie. – Skłonił głowę przed Peryklosem. – Wybacz,

znam twego ojca jako honorowego człowieka, ale to zła droga, nie powinniśmy nią podążać.

Arystydes pokręcił głową.

– Kiedy ty wyruszyłeś na poszukiwanie starożytnych królów, Ksantyppos i ja założyliśmy wspólnie ligę przyjaciół, rodzaj bractwa. I on, i ja byliśmy świadkami jej narodzin, Kimonie. Twój ojciec dowodził pod Maratonem tylko Ateńczykami, ale na morzu? Flota, która wyruszyła na północ przeciwko Persom, obejmowała trzydzieści miast-państw i wszyscy ryzykowali w niej życie i zdrowie. Ci z nas, którzy mają oczy, dostrzegli tam coś, co warto zachować.

Kimon postanowił nie odpowiadać i zamiast dalej argumentować, po prostu wpatrywał się w morze. Wyraził swoje zdanie i w tym momencie był bardziej Spartaninem niż Ateńczykiem. Arystydes najwyraźniej to zrozumiał, choć go to zasmuciło.

– Chodź, zabierz swoją niewolnicę – powiedział archont. – Może Ksantyppos ci to wytłumaczy. W końcu to jego pomysł.

– Nie jestem... – zaczęła Tetyda.

Perykles pokręcił głową i kobieta zagryzła wargi, ruszając za nimi drogą prowadzącą w głąb wyspy. Wzdłuż niej ciągnęły się w dal światła. Strumień mężczyzn i nielicznych kobiet ciągnął od strony portu. Ich celem była wielka świątynia Apollina, boga wyroczni, poezji i słońca. Uzdrowiciela i siewcy plag.

8

Świątynia Apollina była zaskakująco skromna jak na przybytek znajdujący się w miejscu narodzin boga. Perykles spodziewał się co najmniej miasta albo czegoś, co mogłoby rywalizować z wielkimi świątyniami Akropolu sprzed perskiej inwazji. Zamiast tego stał tam prosty budynek z białego kamienia oświetlony pochodniami. Długi i niski, kryty dachówkami, nie miał odrębnych skrzydeł. Młodzieniec zastanawiał się, gdzie przez resztę roku podziewają się kapłani, jeśli w ogóle mieszkali na Delos.

Pod dachem portyku podał trzymającemu straż hoplicie imiona Kimona i swoje. Młody człowiek był cudzoziemcem, ale najwyraźniej uznał, że jego rolą jest wprowadzenie ich do środka, dał im więc znak, by podążyli za nim. Kimon wzruszył lekko ramionami. Został wezwany i przybył. Cokolwiek wymyślili tego roku Ksantyppos z Arystydesem, nie było jego sprawą. Obawiał się tylko, że mogli się przeliczyć. Starzy mężczyźni często nazbyt mocno przeżywali chwalebne wydarzenia ze swojej młodości i niekiedy próbowali też podtrzymać ten płomień zbyt długo. Szanował Ksantypposa i Arystydesa, ale bał się ich planów i ambicji, zwłaszcza wtedy, gdy nie potrafili zrozumieć Sparty.

Perykles zawahał się, spojrzawszy na kobietę, którą przyprowadzili ze sobą.

– Możesz tu poczekać, jeśli chcesz – powiedział do niej.

Hoplita patrzył na nich niecierpliwie, przestępując z nogi na nogę.

– Chcecie się mnie pozbyć – odparła.

Perykles skinął głową odruchowo, spoglądając ponad nią w stronę wnętrza świątyni. W wielkiej miedzianej misie płonął tam podsycany węglem drzewnym płomień. W migotliwym świetle dostrzegł liczne barwne grupy popijające wino i rozmawiające. Nie odpowiedział, aż Tetyda stanęła tuż przed nim, zasłaniając mu widok.

– Co takiego? Nie interesujesz mnie wcale – rzucił krótko. – Kimon obiecał, że zawiezie cię w bezpieczne miejsce. Uważam, że ja już zrobiłem swoje. – Machnął ręką. – Poza tym nie po to tu jestem. Zaczekaj tutaj.

– Sama? Nie będę bezpieczna.

Perykles obdarzył ją pełnym frustracji spojrzeniem. Tetyda w jakimś stopniu miała rację, choć z trudem mógł sobie wyobrazić, żeby któryś z delegatów lub strażników zainteresował się samotną kobietą, kiedy omawiano tak ważne sprawy. W miejscu, w którym stał, dobiegał go akcent z przynajmniej kilkunastu regionów Grecji. Jeśli Arystydes miał rację, była to chwila zachwytu i cudowności, on zaś musiał jeszcze wypatrzeć ojca. Kiedy tak się wahał, hoplita chrząknął znacząco.

– No dobrze – rzucił Perykles. – Stój przy mnie i nie odzywaj się ani słowem. Myślisz, że dasz radę?

Tetyda potaknęła i uśmiechnęła się. Zmieniło to ją tak bardzo, że zamilkł na chwilę i odwrócił się w zmieszaniu. Hoplita wpatrywał się w strop, czekając na nich. Poprowadził ich w głąb długiej, środkowej nawy.

Perykles minął kilkanaście grup mężczyzn i kilka grupek starszych kobiet. Jedna lub dwie, sądząc po delikatnych szatach, były z pewnością kapłankami Artemidy. Usłyszał, jak Tetyda wciągnęła głęboko powietrze, gdy minęli jedną szczególnie urody rozmawiającą cicho z mężczyzną wyglądającym na bogatego nobila z Tracji. Kobieta trzymała na smyczy jelonka. Rozmawiając, zwijała i rozwijała opasujący jej przegub rzemyk, podczas gdy jelonek siedział u jej stóp jak piesek. Nie było to takie zaskakujące u wyznawczyni bogini łowów, ale przydawało temu miejscu nierealności. Przestrzeń ta oświetlona pochodniami i trzaskającymi lampami oliwnymi, mieniła się złotem i grą światła i cieni, a w sercu tego wszystkiego, w pobliżu świętego ognia, stał jego ojciec Ksantyppos. Ateński archont był bardziej przygarbiony, niż Perykles pamiętał, i opierał się ciężko na okutej lasce z drewna oliwnego.

Hoplita z zewnętrznego przedsionka uklonił się nisko, przerywając obecnym rozmowę. Perykles miał wrażenie, że była to raczej kłótnia, bo zarówno ojciec, jak i jego rozmówca, spojrzeli gniewnym wzrokiem. Ksantyppos niemal odprawił hoplitę machnięciem ręki, ale w tej samej chwili ujrzał swego syna oraz Kimona ze stojącą za nimi o krok Tetydą, która za wszelką cenę próbowała pozostać niewidoczna.

Zapadła chwila milczenia, gdy jego ojciec patrzył uważnie. Perykles czuł jego osąd jak wielki ciężar.

– Peryklesie – odezwał się zimno Ksantyppos. – Kimonie. Przybyliście w ostatniej chwili. Od tygodnia myślałem, że nie wrócicie.

– Też się cieszę, że cię widzę, ojcze – odpowiedział Perykles.

Ksantyppos zignorował tę odpowiedź i ponownie zwrócił się do swego towarzysza:

– Keferosie, to Kimon, syn nieżyjącego już archonta Miltiadesa, który dowodził pod Maratonem. Towarzyszy mu mój najmłodszy syn Perykles.

Nie wyglądało na to, żeby uznał za stosowane przedstawić im z kolei swego rozmówcę. To sugerowało, że Keferos ma bardzo wysoką pozycję albo po prostu że Ksantyppos nie uznał jeszcze swego syna za w pełni dorosłego mężczyznę. Perykles zauważył, że obaj zostali przedstawieni jako synowie innych mężczyzn. Przywykł do takiego traktowania ze strony ojca, ale oburzało go podobne podejście do Kimona. Wódz dowodził częścią floty pod Salaminą. Należał mu się szacunek.

Nieznajomy skinął głową obu młodym mężczyznom. Wydawał się zadowolony, że może odłożyć na chwilę to, o czym właśnie dyskutował z Ksantypposem. Zmierzył też spojrzeniem Tetydę, ale nie zapytał o nią i wnioski zachował dla siebie.

– Słyszałem, że przywieźliście coś ze sobą – powiedział. Perykles uniósł wysoko brwi, na co Keferos roześmiał się głośno. – Wieści rozchodzą się szybciej niż ogień. Szybciej niż wam zajęła droga z portu. A więc to prawda? To rzeczywiście Tezeusz?

Ksantyppos odwrócił ku nim głowę w odruchu nagłego zainteresowania i Perykles zrozumiał, że w tym gronie był jedynym, który o tym nie słyszał. Niewątpliwie był zbyt zajęty, by zajmować się próżnymi plotkami. Wyglądał na zmęczonego.

– Tak – odparł Kimon, postanawiając włączyć się do rozmowy. – Leżał pod kamienną płytą na wzgórzu wznoszącym się nad morskim brzegiem, wojownik bardzo wysokiego wzrostu w ateńskiej zbroi. – Podniósł rękę i Perykles otworzył szeroko oczy na widok grubego złotego pierścienia, którego wcześniej nie zauważył. Kimon musiał wyjąć go z grobu, gdy on ratował Attikosa. – To należało do niego.

Ksantyppos stuknął laską o kamienną posadzkę, postępując krok bliżej. Keferos też się nachylił i obaj przyjrzeni się sygnetowi.

– Herb ze znakiem sowy – stwierdził Ksantyppos. – Pierścień króla Aten. – W jego głosie pobrzmiwało zdumienie i Perykles poczuł dumę. – Ale nie masz prawa go nosić, Kimonie – dodał.

Uśmiechy na ich ustach zamarły, gdy archont wyciągnął rękę.

– Ojczy, nie sądzę... – zaczął Perykles.

Kimon ponownie przybrał maskę skrywającą wszelkie emocje.

– Nie, Peryklesie. Archont ma oczywiście rację. Pierścień nie jest moją własnością tylko dlatego, że go znalazłem. Należy do Aten. Proszę, kyriosie. –

Wręczył go Ksantypposowi na oczach wielu świadków.

Ta mała scena nie pozostała niezauważona i po chwili stali się centrum zainteresowania zafascynowanej nimi grupy.

Ksantyppos schował pierścień w sakiewce i skłonił głowę. Najwyraźniej Kimon zrobił na nim wrażenie.

– Dziękuję – powiedział. – Przypominasz mi mojego syna Aryfrona. To samo poczucie obowiązku. – Przerwał na chwilę, po czym ciągnął dalej: – Kiedy wrócimy do domu, poproszę zgromadzenie, by przegłosowało fundusze na nową świątynię z posągami Tezeusza na Akropolu. To znaczy więcej, niż potrafię wyrazić. – Przez chwilę patrzył w przestrzeń, nie skupiając wzroku na niczym szczególnym.

Marszcząc brwi, Perykles zauważył, jak bardzo ojciec się postarzał. Laska była czymś nowym. Oparta na niej dłoń ojca drżała w przyływach bólu.

Ksantyppos otrząsnął się z ogarniającego go wzruszenia.

– Oczekujemy was na jutrzejszej uroczystości. Przysięga zostanie złożona na lądzie, ale przypieczętowana na pokładach okrętów. Jestem pewien, że to będzie coś wartego obejrzenia. Coś, o czym będziecie opowiadać dzieciom.

– Cieszę się – odparł Kimon. – Czy jednak zawarcie jakiegokolwiek sojuszu bez udziału Sparty może być w pełni prawomocne?

W świątyni zapadła cisza. Nawet echo kroków zamilkło. Tylko żarzące się węgle syczały i trzaskały. Perykles przełknął ślinę. Kimon odpowiedział jego ojcu równie zimnym spojrzeniem, nie okazując najmniejszego śladu słabości, co stanowiło przypomnienie, że nie oddał mu pierścienia Tezeusza z uległości, ale dlatego, że tak postanowił. Kimon nie był przytłoczony ani nie lękał się zgromadzonych tu osobistości, nawet Ksantypposa, pierwszego w Atenach.

– Jesteśmy wolnymi ludźmi, Kimonie – powiedział Ksantyppos. – Przypominam ci, że prosiłem Spartę o przyłączenie się do nas, podobnie jak inne miasta-państwa Peloponezu. Woleli zwrócić wzrok w inną stronę. Nie umniejsza to w niczym naszej przysięgi ani naszego celu. Jutro zbudujemy w świecie coś nowego. Wówczas, jak sądzę, to dostrzeżesz.

Tłum powrócił do rozmów przerywanych brzękiem kielichów i cichymi śmiechami. Ksantyppos zwrócił ramiona w nieco inną stronę, tym samym wyłączając ze swego kręgu obu młodzieńców, i podjął przerwana wcześniej dyskusję. Kimon zamilkł, jakby spotkał go jakiś despekt. Otworzył usta, po czym je zamknął i się oddalił. Perykles został sam z Tetydą. Przyjął kielich wina z rąk służącego i opróżnił do dna. Kobieta spojrzała na niego pytająco, kiedy odciągał ją dalej, poza zasięg słuchu swego ojca.

– Jaki surowy mężczyzna – zauważyła.

Perykles zwrócił się do niej z wyrzutem. Wyglądał na urażonego, wręcz zranionego.

– On nie był... Nie znałaś go, gdy dorastałem. Został wygnany z Aten, rozumiesz to? Byłem dzieckiem, kiedy go odesłali. Ktoś słabszy wzgardziłby nimi wszystkimi i pozwolił rosnać nienawiści... ale nie on. Odłożył dumę na bok, kiedy wezwali go z powrotem, ponieważ go potrzebowali. Ponieważ nikt inny nie mógł objąć dowodzenia flotą.

– Jest dla ciebie bohaterem – stwierdziła.

Stała bliżej niego, a on wyczuł woń róż, jakby ciepło jej ciała uwolniło ten zapach. Zastanawiał się, skąd wzięła olejek różany i jak znalazła na to czas po wylądowaniu na Delos.

– Jest wielkim człowiekiem niezależnie od tego, co ja o nim myślę, I nieważne, co on o mnie myśli.

Pomiędzy jej brwiami zarysowała się linia, gdy zastanowiła się nad jego słowami. Zaczęła coś mówić, ale po chwili przerwała, choć wyraźnie kosztowało ją to trochę wysiłku. Spojrzał na nią zachmurzony.

– O co chodzi?

Tetyda westchnęła.

– Mężczyzna, którego nazywałam mężem... zwykł przynosić do mnie wszystkie problemy, bóleczki i zmartwienia. Rozmawiałam z nim o tym w spokoju, w ciemności. To stary nawyk i niemal zrobiłam to samo z tobą. Przepraszam.

– Nie był naprawdę twoim mężem? – zapytał.

Potrząsnęła głową.

– Raczej mężczyzną, który zniewolił mnie podczas napadu, gdy byłam jeszcze młoda i głupia. Wyszłam zbierać muszelki na plaży. Mój ojciec zajmował się handlem. Hipponikos się pojawił i złapał mnie jak rybkę w sieć. Odbyła się jakaś ceremonia... W końcu zaczęłam nazywać go mężem. Nie był taki zupełnie zły.

Szukała czegoś w głębi pamięci, a Perykles zastanawiał się, czy byłaby dla niego interesująca, gdyby nie była taka ładna. Przekleństwem mężczyzn jest postrzeganie urody jako czegoś większego, niż jest w istocie. Ciekawe, czy gdyby została porwana jako dziecko, to miałaby świadomość tego, co ją spotkało.

– Przykro ci, że on nie żyje... – mruknął.

Tetyda roześmiała się gorzko.

– Na wyspie był moją obroną. Nauczyłam się go uszczęśliwiać, więc mnie nie krzywdził. Rozumiesz? Nie, oczywiście, że nie rozumiesz. Gdybym nie należała do niego, to był tam dobry tuzin mężczyzn gotowych wziąć mnie siłą. Byłam z nim bezpieczniejsza, to wszystko. Wciąż staram się pojąć, że jego naprawdę już nie ma. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałam, że przyjmiecie mnie na pokład. Nie uciekłabym przed wami.

Perykles przypomniał sobie nienawiść Attikosa. Było w nim dużo mniej dobroci niż w człowieku, którego Tetyda nazywała mężem. Kimon także potrafił być bezwzględny, o czym najwyraźniej już zapomniała. Nie, jej instynkt funkcjonował właściwie, pomyślał. Miała rację, że wtedy uciekła.

W tym momencie wrócił Kimon i sprawiał wrażenie niezadowolonego, że zastał ich stojących tak blisko siebie. Towarzyszył mu świątynny akolita, chłopiec noszący świecę osadzoną przed wklęsłym lustrem z kutego brązu. Rzuciło ono wokół nich krąg jasnego światła.

– Wygląda na to, że jest tu coś w rodzaju celi kapłańskiej, którą możemy zająć. Jedna dla nas trojga i była to już ostatnia dostępna. Ja będę spał na podłodze. Chodźcie. Cokolwiek twój ojciec dla nas zaplanował, zacznie się dopiero jutro wczesnym rankiem.

Perykles ruszył za Kimonem i Tetydą, nagle bardzo zażenowany perspektywą spędzenia nocy w małym pomieszczeniu, zamknięty tam razem z nią. Zastanawiał się, czy w ogóle zdoła zasnąć.

* * *

Perykles obudził się w ciemnościach, przez moment nie wiedząc, czy znajduje się na wąskiej pryczy, czy na rozkołysanym pokładzie triery, otulony płaszczem. Po miesiącach spędzonych na morzu miał wrażenie, że pokój kołysze się wraz z nim. Otworzył oczy; leżał bardzo cicho, powoli pojmując, skąd dobiegają miękkie, rytmiczne odgłosy, które go obudziły. Zacisnął zęby oburzony tak, że mało brakowało, a zerwałby się na równe nogi i ich wystraszył. Okienko ciasnej celi było małe i umieszczone wysoko, ale gdy oczy przyzwyczyły mu się już do półmroku, okazało się, że wpada przez nie dość światła, by dostrzec dwie poruszające się pod kocem postacie. Poczul nagłe ukłucie zazdrości. Tak nieznacznie, jak tylko zdołał, obrócił się do ściany, wściekły na siebie i na nich. Po dłuższym czasie dobiegł go cichy, stłumiony szybko jęk. Potem zapadła cisza, ale on jeszcze długo nie mógł zasnąć.

9

Gdy Perykles się obudził, pokój był pusty. Zaklął, obawiając się, że zasnął. Opróżnił pęczek do wysokiego dzbanka i właśnie zamierzał wyjść, gdy z zewnątrz dobiegł odgłos kroków i drzwi się otworzyły. Przytrzymał stopę, Tetyda wniosła miskę parującej wody.

– Siadaj – powiedziała. – Mamy jeszcze czas.

W zgięciu łokcia niosła też butelkę oliwy, a w zębach trzymała brzytwę. Kiedy miska stała już bezpiecznie na bocznym stoliku, Tetyda gestem wskazała krzesło. W tym momencie wszedł Kimon, wycierając kawałkiem płótna twarz i szyję. Wyglądał świeżo i radośnie. Perykles patrzył, jak oboje udają, że od wczoraj nic się między nimi nie zmieniło.

Siedział nieruchomo, gdy Tetyda pochyliła się nad nim i natarła mu skórę oliwą. Zauważył, że policzki i szczęka Kimona są świeżo ogolone. Strateg rzadko pojawiał się bez brody. Dla większości Ateńczyków broda była znakiem, że jej posiadacz osiągnął dojrzałość i jest mężczyzną odpowiedzialnym. Dbali o swoje brody, tak jak i o to, co się o nich mówiło. Peryklesa kusiło, by też ją zapuścić, co miało być widocznym dowodem, że jest mężczyzną, nie zaś nieopierzonym młokosem. Jedyne kłopot stanowiło to, że nie chciała jeszcze obficie rosnąć.

Siedział bardzo spokojnie, gdy Tetyda przeciągnęła brzytwą nad jego górną wargą. Brzytwa wyglądała trochę tak, jak małe ostrze toporka z długim wygiętym trzonkiem, dzięki temu mogła utrzymać ją pewnie w dłoni nawet wtedy, gdy była śliska od oliwy.

– Robiłaś to już wcześniej – mruknął Perykles, gdy przerwała na chwilę, by wytrzeć ostrze w płócienny ręcznik, który wcześniej przewiesiła przez ramię.

– Mój mąż był co prawda biednym człowiekiem, jak zapewne byś go określił, ale stwierdził, że z brodą latem jest mu zbyt gorąco. Golenie było luksusem, za którym tęsknił. Kiedy wreszcie zdobyliśmy brzytwę, robiłam to codziennie.

Przeciągała brzytwą po jego policzkach i szczęce, pomijając te miejsca, które nie wymagały jeszcze golenia. Jej palce były zdecydowane i silne, on zaś czuł w duchu mieszaninę zazdrości, tęsknoty i irytacji w stosunku do obojga swych

towarzyszy. Kimon na pewno jej nie przymuszał. Dlaczego zatem wybrała starszego mężczyznę? Perykles sądził wcześniej, że między nim a Tetydą coś się zrodziło, lecz najwyraźniej się mylił. Odkrycie z ubiegłej nocy sprawiło, że poczuł się jak głupiec albo dziecko wykluczone ze świata dorosłych. Jednakże mówienie o tym odebrałoby mu tę resztkę godności, jaka w nim pozostała.

– Nie ma czasu na posiłek – powiedział Kimon. – Twój ojciec już wstał, jeśli w ogóle spał tej nocy, i jest gotów do działania. Wszyscy na wyspie kierują się w stronę portu, aby przypieczętować przymierze, tę ich ligę.

– Naszą ligę – poprawił go Perykles. Choć zawsze bardzo szanował Kimona, tego ranka nie był w nastroju, żeby się z nim zgadzać.

– Na to wygląda... choć obawiam się, że zbyt mocno nadepnęli Sparcie na odcisk.

– No cóż, być może to, co robimy, zupełnie Sparty nie obchodzi – oznajmił Perykles.

Kimon spojrzał na niego zdumiony. Chłopak wzruszył ramionami, po czym syknął z bólu, gdy Tetyda zacięła go brzytwą. Strużka krwi pociekła w dół policzka. Kobieta starła ją ściereczką, którą Kimon bez słowa włożył jej do ręki.

– To w gruncie rzeczy sojusz wojenny – ciągnął wódz. Choć mówił łagodnie, słyhać było naganę w jego głosie. – A Sparta w wojnie przewodzi. Jak ci się zdaje, co sobie pomyślą, gdy dowiedzą się o tej wielkiej przysiędze, z której zostali wykluczeni? Potraktują to co najmniej jako ujmę na honorze. Bez nich nie zwyciężylibyśmy pod Platejami. Przegralibyśmy i zostalibyśmy podbici, Peryklesie. Taka jest prawda, bez żadnej przesady. Arystydes powinien być lepiej to ocenić. Twój ojciec...

– Mój ojciec wie doskonale, kim są jego sojusznicy, a także wrogowie. Sparta walczyła u boku ateńskich hoplitów i wielu, wielu innych. Owszem, zwyciężyła! Dziękuję za to bogom. Wyleźli z za swego muru, bo Ateny zagroziły, że sprzymierzą się z Persją, aby zapobiec kolejnemu, *trzeciemu* już spaleniu Aten. To my zawstydziliśmy Spartan i zmusiliśmy ich do udziału w wojnie, Kimonie. Nie zapominaj o tym. Ruszyli się z obawy, że oddamy naszą flotę do dyspozycji perskiego króla! To nie było postępowanie godne przyjaciela i sojusznika. Nie wtedy. I nie teraz, kiedy nam odmawiają. Ojciec zbiera wszystkich w ramach wielkiego sojuszu dla naszego wspólnego dobra. Widzę to teraz dobrze.

– Co cię ugryzło? – zapytał Kimon.

Perykles nie odpowiedział, aby nie pomniejszać swoich zarzutów ujawnieniem zazdrości. Przecież miał rację. Fakt, że był wściekły na nich oboje z innego powodu, nie ujmował niczego jego racji!

– Zupełnie nic – odparł w końcu. Potarł podbródek i wymamrotał podziękowanie dla Tetydy, unikając jej wzroku. – Chodźmy więc. Czy Sparta to akceptuje czy nie, chcę zobaczyć, jak się zaczyna ateńska liga.

Tetyda wraz z ciepłą wodą przyniosła też wykałaczkę. Perykles wziął ją i tępym końcem wyczyścił zęby, ostrym zaś wydłubał zakleszczoną między nimi chrząstkę, która go uwierała. Potem wręczył wykałaczkę Kimonowi, a sam napełnił kubek wciąż parującą wodą, przepłukał usta i przełknął. Zanurzył w misce dłonie, po czym przeciągnął nimi po włosach, uważając, by nie dotknąć oczu.

– Gotowi? – zapytał krótko.

Kimon potaknął, a Tetyda zagryzła wargę, zastanawiając się nad zmianą jego nastroju.

Perykles wyszedł z celi, zostawiając ich za sobą. Słońce ledwo ukazało się na horyzoncie, ale ulice pełne już były ludzi. Na Delos pojawiło się ich więcej, niż wcześniej przypuszczał. Królowie i królowe przybyli wraz ze służbą i niewolnikami. Mężczyźni i kobiety szli tłumnie albo byli niesieni w lektykach, jak nakazywał im obyczaj. Jeden człowiek zwołał ich wszystkich, przypomniał sobie Perykles. Nie Kimon ani Arystydes, ani ktokolwiek inny. Zrobił to jego ojciec, Ksantyppos. Idąc, usłyszał, jak Tetyda woła go po imieniu, ale się nie odwrócił.

* * *

Na nabrzeżu ujrzał swego ojca, który stał tam wraz z Arystydesem i kilkunastoma kapłanami. Wyznawcy Apollina i Aresa byli wśród nich najważniejsi, ale dostrzegł też jednego kapłana Hadesa i jedną kapłankę Ateny, dostojną matronę w białej szacie i w bojowym hełmie odsuniętym wysoko na szczyt głowy. Perykles był w tak kiepskim nastroju, że nie zawahał się ani chwili, podchodząc do grupy otaczającej ojca, i stanął obok. Ksantyppos spojrział na niego, gdy się zbliżył, ale nie powiedział nic. Przynajmniej nie kazał mu się oddalić.

Z każdą chwilą na plac napływało coraz więcej ludzi. Powoli ich strumień rzedł, aż wreszcie zdało się, że wszyscy dowódcy, członkowie załóg, wszyscy archonci i nobiles są już obecni. Na wodzie, w pierwszych złocistych promieniach słońca, stały na pokładach okrętów uroczyście skupione załogi.

Kapłani Apollina zaczęli poranny modlitewny śpiew na powitanie dnia, który jest darem ich patrona. Tłum stał z pochylonymi nabożnie głowami, radując się ciepłem dnia nadchodzącym po chłodzie nocy. Perykles obejrzał się i kilka

rzędów za sobą dostrzegł Kimona, który nie podszedł bliżej i stał tam ze zmarszczonymi brwiami, również uświadomiwszy sobie, w jak ważnym przedsięwzięciu uczestniczy.

Byk pochylił głowę w żalonym zagubieniu, gdy poranny śpiew dobiegł końca. Przyrowadzony przez spoconych z wysiłku kapłanów był silnym, potężnym zwierzęciem. Jednak pod skórą widać mu było żebra, co podkreślało jego chudość. Perykles się zastanawiał, czy został przywieziony na wyspę statkiem. Zwierzęta w ładowniach często źle karmiono, podczas gdy ludziom ich kosztem działa się lepiej.

W brązowych stojakach rozpalono ogień, głowę zwierzęcia spryskano winem i posypano ziarnem jęczmienia. Bogowie patrzyli, a więc, jak zauważył Perykles, robiono to starannie i uroczyście, przestrzegając rytuału. Zmówiono modły do całego panteonu bogów, a kapłani poprosili ich o błogosławieństwo i mądrość dla zgromadzonych na tym placu, na świętym brzegu.

Ksantyppos wystąpił naprzód, a wraz z nim Arystydes. Obaj wyglądali na zmęczonych, ale zarazem zadowolonych. Patrząc na zgromadzony wokół tłum, skłonili z szacunkiem głowy. Kapłani i kapłanki podchodzili kolejno, błogosławiąc mężczyzn przez namaszczenie olejem lub pokropienie nawarem z kopru i szaławii. Perykles nagle zdał sobie sprawę, że ominęły go wszystkie spotkania i rozmowy, które się odbywały w ubiegłych miesiącach. Nie znał planów ojca. Teraz, podobnie jak stojący za jego plecami Kimon, był w tym tłumie obcy. Zarówno królowie, jak i niewolnicy patrzyli na ateńskich archontów z wyraźną czcią. Perykles widział to wyraźnie. Miał nadzieję, że dostrzegają to także Kimon i Tetyda, gdyż on sam czuł wielką dumę. To jego ojciec przewodził zebranemu tłumowi. Choć Ksantyppos postarzał się bardzo od czasu, gdy widział go ostatnio, wciąż była w nim wielka siła.

Teraz podniósł lewą rękę, prawą zaś chwycił okutą srebrem laskę z drewna oliwnego.

– Niektórzy z nas ruszyli lądem, inni zaś na pokładach okrętów, gdy Persowie przybyli, by uczynić z nas niewolników – zaczął.

Jego głos rozbrzmiewał kiedyś na polu bitwy pod Maratonem i nie osłabł od tamtego czasu. Czegokolwiek było trzeba, by przyciągnąć uwagę tłumów, Ksantyppos to miał. Perykles czuł, jak w powiewie morskiej bryzy wokół zapada cisza. Był szczęśliwy, że wrócił.

– Stanęliśmy wtedy razem, bo osobno nie mielibyśmy żadnych szans. Razem stworzyliśmy i posłaliśmy w morze wielką flotę, jakiej dotąd nikt nie widział. Wedle mnie jakieś trzy setki okrętów. Ci z was, którzy nie mieli okrętów, zasiedli

na ławkach wioślarzy lub walczyli u boku Ateńczyków. Jeśli nie stawiliście się osobiście, wysyłaliście zapasy żywności i ręce chętne do pracy, kiedy o to prosiliśmy. Bądźmy szczerzy! Prosimy o dobrych ludzi, bo nie mieliśmy wyboru. Moje miasto zostało spalone przez perskiego króla. Nie raz, a dwa razy. Moi ziomkowie uciekli na małą wyspę, niewiele większą od Delos, ufając szczęściu i po prostu... mając nadzieję. Nie raz, a dwa razy. Moja żona, moi synowie... – Być może tylko Perykles i kilku ludzi z ateńskiego kontyngentu wiedziało, dlaczego jego głos był tak słyszalny. Ksantyppos nie zamilkł ani na chwilę, tylko ciągnął dalej: – Moja rodzina czekała na wydmach Salaminy, nie wiedząc, czy tymi, którzy przybiją w końcu do wyspy, będą wojownicy perscy czy nasi, czy przybędą, żeby gwałcić i brać w niewolę. – Powiódł spojrzeniem po wszystkich, lecz nikt się nie poruszył. Jedynie byk osunął się niżej, wydając żałosny głos, ledwo słyszalny w szumie fal chlupiących o brzeg. – Jeżeli nie byliście pod Salaminą, to zapewne przyłączyliście się do nas w Atenach, gdzie zbieraliśmy armię na wojnę z Persją. Może dowoziliście żywność albo srebro bądź wino. Wszyscy odgrywaliście jakąś rolę i żaden z was się nie wykręcał. Nigdy w życiu nie ujrzę już podobnego braterstwa. Persja przybyła niszczyć, a zamiast tego... związała nas razem, czyniąc silniejszymi niż kiedykolwiek. Nazywam was braćmi, ponieważ wierzymy w tych samych bogów i mówimy tym samym językiem. Mamy tych samych przodków. Począwszy od tego dnia, nazywam siebie Ateńczykiem oraz Hellenem. Będę bratem i mężem oraz synem wszystkich naszych współziomków.

Uśmiechnął się, a Perykles poczuł, jak coś chwyta go za serce. Przez długi czas słyszał od ojca jedynie słowa kipiącego gniewu lub rozczarowania. Ujrzenie w nim tej radości sprawiło, że niemal napłynęły mu do oczu łzy z powodu wszystkiego, co zostało między nimi utracone.

– Wzywam was teraz – powiedział Ksantyppos grzmiącym głosem – w obliczu żywej obecności wszystkich bogów i ich kapłanów. Wypowiedzcie, jak uzgodniliśmy, święte słowa wieczystej przysięgi, abyśmy związali złote nici naszych żywotów w jedną złotą linię aż po koniec świata. Po to, by stworzyć i wesprzeć sojusz Hellenów. Aby wnieść udział, zgodne z naszymi siłami, aby móc prosić o wzajemną pomoc zgodną z naszymi potrzebami. Jako jedność.

Z pokładu przycumowanego do nabrzeża okrętu zbiegło po drżącym drewnianym trapie dwunastu hoplitów w pięknie wypolerowanych zbrojach. Nieśli wielką glinianą urnę z rodzaju tych, jakich używa się w Atenach do głosowania nad banicjami, albo jeszcze większą. Do jej przeniesienia trzeba było sześciu mężczyzn trzymających długie, okute żelazem drągi, choć była jeszcze

pusta. Postawili ją na pomoście i Ksantyppos skinął głową do Arystydesa. Ten gestem dał znak dowódcy na okręcie i zszedł z niego kolejny oddział. Tym razem nieśli worki, które dźwięcząc, ujawniały swoją zawartość, zanim jeszcze popłynął z nich do urny strumień srebra. Perykles odwrócił się do Kimona, który był równie zdumiony jak on.

Ateńczycy wsypali przynajmniej trzydzieści worków monet, zanim hoplici odstąpili od urny. Wówczas podszli do niej inni, niosąc kolejne skarby. Każdy worek opisany był na papiusie na tle nazwy miasta-państwa. Niektórzy wsypywali tuzin worków, inni tylko cztery lub pięć albo jeszcze mniej. Arystydes stał przy urnie i z każdą grupą zamieniał kilka słów, dziękując wszystkim. Wydawali się zachwyceni i dumni, mogąc być tego częścią, a Perykles nie dostrzegł w nich ani śladu urazy. Nikt nie wpłacił tyle co Ateńczycy, odnotował z satysfakcją.

– Oto nasz skarb – powiedział Ksantyppos do tłumu. – Nie wątpię, że to suma wystarczająca, by kusić złodziei i wrogów. Gdy odpłyniemy, pozostanie w świątyni Apollina na Delos. Zgodziliśmy się, że administrować tym wielkim funduszem będą Ateńczycy, podczas gdy ateńskie okręty patrolować będą okoliczne wody i dbać o jego bezpieczeństwo. Nikt nie będzie mógł przybić tu do brzegu bez przyzwolenia naszego bractwa. Nikt nie weźmie z niego nawet jednej drachmy, jeśli nie uzgodnimy razem, że ma do tego prawo. Co roku powrócimy tu z takimi samymi wpłatami, tak w roku następnym, jak i przez tysiąc kolejnych lat. Taka jest nasza przysięga poświadczona srebrem w miejscu narodzin Apollina, złożona w obliczu wszystkich bogów. Na honor waszych szlachejnych rodów, waszych miast, waszych królestw i waszych dusz, powtórzcie te słowa.

Zamilkł, a Perykles mógł jedynie podziwiać tego mężczyznę, który był jego ojcem. Sękaty i przygarbiony wiekiem Ksantyppos stał tam, wciąż jeszcze wysoki, unosząc łaskę, na której się już nie wspierał o ziemię.

– Łączy nas braterstwo, jeden związek! – wykrzyknął.

Powtórzyli to, a niejeden miał w tym momencie łzy w oczach. Perykles skłonił głowę i wypowiedział te słowa wraz z innymi.

– Składamy najświętszą przysięgę w tym najświętszym miejscu, że trwać będziemy razem w czas pokoju i wojny... – Ksantyppos znowu przerwał, aby pozwolić zebrany na powtórzenie jego słów. Morska bryza owiewała ich skórę ciepłym oddechem, w miarę jak słońce wschodziło coraz wyżej. – Że powrócimy do tego miejsca, co roku tego samego dnia, aby złożyć tu nasz wkład, każdy wedle swoich możliwości, aby utrzymać pokój i flotę.

Perykles odwrócił głowę, gdy zdał sobie sprawę, że Tetyda powtarza słowa przysięgi razem z nim. Zmarszczył brwi. Nie była przedstawicielką żadnego miasta ani ludu. Nie miała prawa być tego częścią. Choć w tłumie były też inne kobiety, to jednak były kapłankami albo królowymi, stojącymi ponad zwyczajowymi ograniczeniami. To, że Tetyda przyłączyła się do ich głosów, mogło zabrzmieć jak kpina. Perykles zeszywniał. Spojrzał na nią, zamierzając ją powstrzymać wzrokiem. Nie mógł nic powiedzieć, przynajmniej nie w chwili, kiedy mówił jego ojciec.

– Składamy tę przysięgę dobrowolnie... Zeusowi i Herze, Apollinowi i jego siostrze Artemidzie. Składamy tę przysięgę Atenie, Posejdonowi, Aresowi i Demeter, a także kowalowi Hefajstosowi. Składamy ją Dionizosowi i Hestii, winu i domowemu ognisku. Przymierzamy wierność tej przysiędze na nasze cienie, na Parki, na wieczność, aż po kres wszystkich rzeczy, aż po dzień ostatni.

Każde zdanie powtarzano i w końcu zapadła cisza. Perykles przełknął ślinę. Takich słów nigdy nie wypowiadało się lekko. Jeden z przodków jego matki złamał przysięgę dwanaście pokoleń wcześniej. Do tej pory tego nie zapomniano. Obecni tutaj wiązali tę przysięgą nie tylko siebie, ale i swoich potomnych, nieodwołalnie, bez najmniejszych szans odwołania choćby jednego jej słowa. Bogowie potrafili być mściwi wobec tych, którzy łamali przysięgi złożone w ich imię. Cokolwiek powstrzymywało ich gniew w normalnych czasach, w końcu dawali mu upust. Miasta trawił ogień, ziemie przeżerała sól. Zsyłali wojny i całe ludy traciły życie albo szły w niewolę. To nie było byle co: stać na Delos i wypowiedzieć te słowa w ten ciepły poranek.

– Przybyliśmy tu jako setka odrębnych ludów, odejdziemy jako jeden – powiedział Ksantyppos. – Tłum powtórzył jego słowa. Archont postąpił w bok i opuścił laskę, dając do zrozumienia, że składanie przysięgi się zakończyło, po czym polecił: – Przyniescie żelazo.

Oczywiście kilka głosów również to powtórzyło – ludzie myślą zbyt wolno, by zdać sobie sprawę ze zmiany. Wiele osób się roześmiało i nagle wszyscy zaczęli się uśmiechać. Groza związania straszliwą przysięgą ustąpiła dziwnemu poczuciu lekkości.

Perykles rozpoznał żelazne sztaby, które przyniesiono, roztrącając tłum. Zostały wyjęte z najgłębszych czeluści okrętowych ładowni i po raz pierwszy od czasu zwodowania jednostek ujrzały światło dzienne. Były to balasty na trierach, pozwalające im na przechyły pod pełnymi żaglami. Perykles zauważył, że owinięto je linami tworzącymi coś w rodzaju kołyski. Kiedy para hoplitów

opuszczała którąś z nich, żeby zmienić ręce albo poluzować chwyt, widać było, że ich dłonie są zgniecione i białe jak ciało nieboszczyka.

Zerknął w bok, dostrzegłszy, że Tetyda z Kimonem przepychają się do niego przez tłum. Kimon w milczeniu uniósł pytająco brwi. Na nabrzeżu leżało już siedemdziesiąt balastowych sztab.

– Nie wiem – mruknął Perykles. Tetyda pochyliła się, nadstawiając ucha, żeby usłyszeć jego odpowiedź, a on nagle poczuł irytację. Szepnął cichym jak tchnienie głosem: – Wiem za to, że nie powinnaś była wypowiadać przysięgi...

– Nie widzę tu Teb – syknęła. – Może wypowiadałam ją w ich imieniu.

Ta szybka konfrontacja sprawiła, że na moment zabrakło mu słów. Widział, że jego ojciec przygotowuje się do zakończenia rytuału, i nie chciał wdawać się w szaloną kłótnię, jednak zachowanie Tetydy było niedopuszczalne. Ale przy okazji uświadomił sobie, że powiedziała prawdę. Brakowało tu nie tylko Teb, ale co ważniejsze, nie zauważył też Koryntu i Argos. Wraz z nieobecnością Sparty znaczyło to, że na Delos nie pojawiły się główne siły Peloponezu. Skrzywił się, widząc, że kobieta zauważyła coś, czego on nie dostrzegł.

– Nie możesz tu występować w niczyim imieniu – rzucił wściekle. – Nawet Skiros.

Zasznurowała wargi i zacisnęła szczęki jak zbuntowane dziecko.

Na nabrzeżu Ksantyppos uniósł ręce i tłum zamilkł. Skinął głową do potężnego mężczyzny, który podszedł i stanął obok niego. Ten położył na powierzchni sztaby coś, co przypominało metalowy kołek. Drugi mężczyzna zamachnął się ciężkim młotem i wszyscy patrzyli, jak z kamienną twarzą uderza nim z wielką siłą.

Kiedy kołek usunięto, w sztabie pozostało wgniecenie o kolistym kształcie. Obaj przesunęli się zaraz do drugiej sztaby i powtórzyli tę samą czynność, raz za razem rozbrzmiewały głucho odgłosy uderzeń.

– Gdy zabierzecie wasz balast z powrotem – powiedział Ksantyppos – będziecie mieć w swoich ładowniach wieczny symbol tego przymierza, wiedząc przy tym, że inni zrobili to samo. Powróciwszy na okręty, każdy z was zrzuci jedną taką sztabę na morskie dno w pobliżu Delos. Jak wiemy, są one symbolem naszej wierności. Dopóki nie znikną, zżarte przez rdzę, pozostaniemy jednością.

Słyszając to, ludzie wzniesli wiwaty, po czym rozeszli się jak na zakończenie wielkiego święta. Klepali się po plecach, a setki z nich podchodziły z podziękowaniami do Arystydesa i Ksantypposa. Hoplici zebrali żelazne sztaby, układając je w parach, a każda oznaczona była odcisniętym symbolem. Potem, uginając się pod ciężarem, lecz z uśmiechem, taszczo je na stojące przy

pomostach okręty albo stawano przy nich, czekając na swoją kolej. Zapadnie już zmrok, nim zabrane zostaną ostatnie, pomyślał Perykles. Sztaby zatopiłyby z łatwością małą łódź.

Kimon pomyślał to samo.

– Będę musiał ich przypilnować, zanim każę wnieść je na okręt – powiedział.
– Postoisz przy nich ze mną? Mam nadzieję, że jest ich dość.

Perykles skinął głową, choć spod zmarszczonych brwi zerknął też na Tetydę. Kimon oczywiście złożył głośno przysięgę, miał do tego pełne prawo jako ateński strateg.

– Ja nie... – zaczął Perykles.

Ujrzał nagle, że Kimon zbladł, wpatrzony w morze. Perykles odwrócił się. Już wielu ludzi nawoływało i pokazywało coś rękami.

Okręty, które wpłynęły w pole widzenia, nie były okrętami perskimi. Załogi na Delos z dziką radością wyszłyby z portu, gdyby to Persja wysłała przeciw nim swoje siły. Nie, to było coś gorszego. Kilkanaście okrętów płynęło wzdłuż wybrzeża z żaglami lśniącymi w porannym słońcu. Sześć miało żagle czerwone. Przybyły floty Koryntu i Sparty.

Kimon zaśmiał się, choć zabrzmiało to gorzko.

– Wygląda na to, że zaraz się przekonamy – stwierdził. Popatrzył na Peryklesa. – Mam nadzieję, że twój ojciec wie, co robi. Spójrz na tych hoplitów na brzegu! Lwy zmienione w owieczki.

Gestem wskazał tłum zgromadzony na nabrzeżu. Do tej chwili radosny i dumny nagle wydał się załęczniony. Widać to było po sposobie, w jaki stali, w jaki się spieszyli. Ale wciąż nosili sztaby, zauważył Perykles. Nieważne, co Spartanie sobie pomyślą albo zrobią, przysięga została złożona.

Dla Pauzanasza zwołanie wszystkich kapitanów zebranych na Delos nie było łatwym przedsięwzięciem. Ich liczba była zbyt duża. Urządzenie zebrania na jednym flagowym okręcie było niemożliwe. Negocjacje zajęły większość dnia i zapadła już ciemność, kiedy zakotwiczono spartańskie okręty i dwa związane razem, tworząc coś, co Perykles nazwał „pokładem tanecznym Aresa”. Reszta okrętów otoczyła tamte, kotwicząc wokół tego podwójnego kadłuba. Trierarchowie z dalekiej Tracji i Jonii wymieszali się tam z ludźmi z Aten, Eretrii i Leuktry.

Sam Pauzanasz stanął na dziobie swego flagowego okrętu z jedną nogą na stewie, na wypadek gdyby musiał wspiąć się wyżej. Towarzyszył mu wróżbita Tisamenos, prezentując się w każdym calu jak olimpijski pięcioboista, którym kiedyś był. Większość zebranych wiedziała, że delficka wyrocznia przepowiedziała Tisamenosowi zwycięstwo w pięciu zawodach. Zwycięstwo pod Platejami było pierwszym, a obecność wróżbity stanowiła dobry omen dla tych, którzy tę historię znali. Taki wybraniec wyroczni to szczęśliwy zwiastun dla każdego przedsięwzięcia. Sam Apollo wyznaczył go do przyszłej chwały.

Pokłady trzeszczały, gdy Perykles wspinał się na okręt, przyjąwszy pomocną rękę Spartanina, aby nie ryzykować upadku w objęcia podążającego za nim Kimona. Skrzywił się, poczuwszy uścisk stwardniałej dłoni, której skóra bardziej przypominała grubą rękawicę niż cokolwiek ludzkiego. Spartanin wciągnął go na pokład, po czym wyciągnął rękę do kolejnego Ateńczyka.

Za Kimonem wspinała się Tetyda. Miała na sobie luźną szatę kapłanki Artemidy, którą dostała w świątyni, gdy poprosiła o coś czystego. Znaczyło to, że gdyby spadła do morza, ciężar tkaniny z pewnością pociągnąłby ją na dno. Otworzyła szeroko oczy, gdy Spartanin, źle oceniwszy jej wagę, tak pociągnął ją w górę, że niemal przefrunęła dwa szczeble i wylądowała na pokładzie. Perykles wzniósł oczy ku gwiazdom, nie mógł jednak zostawić kobiety na okręcie z Attikosem. Ten już od Skiros wodził za nią wzrokiem z czytelną intencją, a miał we flocie wielu przyjaciół, którzy winni mu byli rozmaite przysługi. Perykles nie chciał też zostawić jej na innym okręcie, bo nie ufał Attikosowi, że

nie weźmie małej łódki i nie popłynie tam. Oczywiście, biorąc pod uwagę jego złamaną nogę, Tetyda miałaby dużą szansę się obronić. Ale gdyby udało jej się go zranić na okręcie, Kimon byłby zmuszony ją powiesić. Przekonanie, że kobieta na pokładzie przynosi nieszczęście, brało się z takich właśnie sytuacji. Tak czy owak, stanęło na tym, że Tetyda pójdzie z nimi.

Perykles nie zająknął się ani słowem o zapamiętanych przeżyciach z poprzedniej nocy. Między Kimonem a Tetydą nie było też oznak żadnych nowych afektów, a przynajmniej on niczego nie zauważył. Ale to, czego był wówczas świadkiem, było realne, tego był pewien. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wciąż patrzy na Tetydę z taką tęsknotą. Powiedział sobie, że jako mężczyzna powinien umieć się odciąć od podobnych uczuć. W końcu nie należała do niego.

Uświadomił sobie, że się w nią wpatruje. Mógłby przysiąc, że nie patrzy na nią częściej niż na Kimona, ale Tetyda co rusz jakoś dziwnie przyciągała jego spojrzenie. Miał nadzieję, że tego nie zauważyła.

– Peryklesie? Jesteś z nami? – Kimon klepnął go w ramię, wyrywając z marzeń. – Chodź, zanim ten pokład zaroi się jeszcze bardziej. Gdyby teraz nadpłynął jakiś perski okręt, mógłby za jednym zamachem zatopić kilkunastu pomniejszych królów i szlchetnych archontów. – Wydawał się rozbawiony dziwacznością całej sytuacji.

Perykles podązał za obojgiem w stronę dziobu, próbując nie obserwować ciała Tetydy pod nową szatą. Powinien jak najprędzej wyrzucić takie myśli z głowy!

Arystydes i Ksantyppos stali przy Pauzaniu, skłaniając głowy z pełną szacunku godnością. Cała liga z Delos znajdowała się na tych dwóch pokładach. Perykles był ciekaw, czy Pauzaniusz i jego kapitanowie przybyli również po to, by przyłączyć się do sojuszu.

W świetle pochodni Spartanin prezentował się imponująco. Na dziobie ustawiono żelazny treliż oparty na koszu z tego samego metalu, który pochylał się nad wodą. Na kracie żarzyły się żagwie, a światło, jakie rzucały, musiało wyglądać jak tonąca w morzu powódź złota, rzucająca cienie i blaski na koronowanych królów czekających, aż Spartanin przemówi. Z twarzą częściowo pogrążoną w cieniu Pauzaniusz powitał skinieniem głowy Arystydesa i tych, których znał. Tisamenos również podniósł rękę, pozdrawiając kogoś w tłumie. Być może były to przemyślane gesty, mające przypomnieć innym o łączącej ich zażyłości, a może chodziło tylko o to, że tak wielu z nich stało z nim pod Platejami naprzeciwko hordy Persów. Przeżyli, choć myśleli, że zginą. Na tym

polegała ich więź, zapewne pod wieloma względami równie silna jak przysięga złożona na Delos.

Pauzaniasz musiał odczuwać pewne napięcie. Wcześniej był regentem zastępującym syna króla Leonidasa. Pod Platejami nie miał nad sobą żadnej władzy. A teraz stał wobec przywódców Aten oraz siedemdziesięciu miast i królestw. Jak daleko zaprowadzi go jego pewność siebie? Perykles nie wiedział.

– Dziękuję bogom, widząc tutaj tak wielu przyjaciół żywych i w dobrym zdrowiu – zaczął Pauzaniasz.

Ma głos stworzony do przemawiania do tłumów, pomyślał Perykles. Dziwne było zobaczyć w innym człowieku to, co stanowiło jego własną największą zaletę, i poczuł ukłucie pewnej urazy. Pauzaniasz wykazał się odwagą na wojnie. Prowadził wojowników, podobnie jak Kimon. Peryklesowi się wydawało, że on sam w żaden sposób nie zdoła wykazać się przed Tetydą... Uświadomił sobie, że jego myśli podążają dziwnym torem. Kobieta stała bezpośrednio przed nim i światło pochodni płonących na dziobie wydobywało zarys spowitej białą szatą nagości. Stulił dłoń i przytknął do biodra, wyobrażając sobie, że jej dotyka. Całe jego ciało buchało gorącem. Poczł strużkę potu spływającą mu po policzku niczym łza.

– Niektórzy z was znają mnie z pola bitwy pod Platejami – ciągnął Pauzaniasz. – Ci, którzy byli tam owego dnia i stali wraz ze mną twarzą w twarz z Persami, wiedzą, że nie jestem człowiekiem pochopnym. Zapytajcie kogokolwiek z ateńskiej rady, jak maszerowałem w ich obronie, mając spartańskich wojowników za plecami. Wiem, kiedy się ruszyć, a kiedy zatrzymać i zaczekać. Będziecie zatem wiedzieli, że gdy mówię, czynię to z wolą bogów. Sparta przewodzi na wojnie, ja zaś jestem synem Sparty stojącym tutaj wśród was. Widzę twarze i stroje z wielu portów, a wy wszyscy znacie mnie, już to dzięki reputacji, już to dzięki braterstwu broni.

Perykles spojrział gniewnie, słysząc ten wyniosły ton. Pauzaniasz mówił tak, jakby to on zebrał tu tych wszystkich ludzi, a nie Ksantypoos! Jakby zebrali się tutaj tylko po to, żeby wysłuchać mowy Spartanina! Działo to jednak i Perykles widział to doskonale. Pauzaniasz wciągnął ich wszystkich do kręgu wielkich ludzi. Przemawiał do nich nie jak do równych sobie – Perykles zbyt dobrze znał spartańską arogancję – ale jak do towarzyszy, braci wyruszających razem na wielką wyprawę. Taki właśnie był duch przymierza z Delos i Perykles był ciekaw, czy Spartanin zupełnie przypadkowo trafił we właściwą nutę, wyczuwając nastrój tłumy, czy też został pobłogosławiony przez Apollina i Aresa, by wypowiadać właściwe słowa we właściwym czasie. Nikt nie mógł

umniejszyć niezwykłego zwycięstwa pod Platejami. To właśnie Pauzaniusz zasiał jego ziarno, to on zaprosił Tisamenosa do swego boku, interpretując słowa wyroczni w taki sposób, by pasowały do ich planu. Może z nich obu to jednak Pauzaniusz został prawdziwie ukochany przez bogów. W jego obecności uśmiechali się trierarchowie i królowie.

– Widzę wśród was także wielu przybyłych z jońskiego wybrzeża – kontynuował Pauzaniusz, obdarzając ich spojrzeniem. – Możecie opowiedzieć pozostałym, jak Persja się cofa, zarówno w handlu, jak i w liczbie swoich urzędników, stanowieniu nikczemnych praw, a także w mowie tych, którzy biorą perskie złoto, aby przemawiać na rzecz imperium i przeciwko wolności.

Wiele głów kiwnęło potakująco, a Pauzaniusz zrobił to samo, aby uwypuklić ich reakcję.

– Persja została pobita pod Platejami, a także pod Salaminą, gdzie mężczyźni tacy jak Temistokles, Ksantyppos i Kimon współpracowali z Eurybiadesem ze Sparty, aby odepchnąć chmurę wrogów. Zatriumfowaliśmy nad nimi na morzu i na lądzie, jednak Persja nadal tu jest i wielu z nas obawia się, że ponownie urosnie w siłę. Nie możemy pozwolić, byśmy pobiwszy ich, zapadli w sen i zaniechanie to stało się naszym przekleństwem! Persowie przybyli na pole kopru pod Maratonem, gdzie Arystydes i Ksantyppos dokonali takich cudów, że jeszcze przez tysiąc lat potomni będą o nich opowiadać. Jednak to wielkie zwycięstwo dało Atenom zaledwie dziesięć lat pokoju, a potem wrogowie zjawili się znowu.

– Co możemy zrobić? – wykrzyknął ktoś.

Perykles był ciekaw, czy krzyknął to któryś ze znajdujących się na pokładzie Spartan. Pauzaniusz odczekał chwilę, jakby nad czymś rozmyślał.

– Jeśli żmija robi sobie gniazdo pod podłogą domu, nie zamykamy na to oczu, by walczyć dopiero wtedy, gdy żmijowe potomstwo wypełźnie w nocy do naszych pokojów. Nie, kopujemy od razu w głąb i palimy gniazdo, aż nic z niego nie zostanie. – Rozejrzał się, dostrzegając skupienie i wolę działania na wielu znanych sobie twarzach. Szerokim machnięciem ręki nad migoczącą za plecami pochodnią wskazał ciemną, cichą wodę.

– To jest *nasze* morze, wieczne. Zostało nazwane od imienia Egeusza, ojca Tezeusza, my zaś wiosłujemy i żeglujemy po nim od krańca do krańca, od Krety do Tracji, od Aten i Argos do wybrzeża Jonii. Zapracowaliśmy na tę wolność, na to prawo, naszym potem i naszą krwią. Pod Maratonem, Platejami i Salaminą. Perskie imperium na wschodzie, jak powiadają, jest rozległe ponad wszelkie wyobrażenia. Ale po tym morzu żeglował Odyseusz, a Jazon szukał runa. Jest

nasze. – Przerwał na chwilę i nikt się już nie odezwał, gdy Pauzaniasz szukał właściwych słów. Dłonią uczynił gest, jakby wyczarowywał je z wieczornego powietrza. – Jestem Spartaninem. I wiem, że nie ma prawdziwych praw poza szacunkiem dla bogów oraz tym, co posiadamy na własność. Wszystko, co dobre, musi zostać wywalczone przez takich jak my, wydarte z rąk wrogów... albo oddane i utracone. Nic więcej nie należy się nam od życia.

Była to mowa męża, który był regentem Sparty i przez jedno lato dysponował pełnią władzy królewskiej. Perykles mógł tylko stać w podziwieniu i słuchać. Pauzaniasz był najlepszym mówcą, jakiego kiedykolwiek znał. Nikt nie przerwał ciszy. Nawet Tisamenos stał z pochyloną głową jak w obliczu świętości.

Pauzaniasz uśmiechnął się, unosząc brew, jakby się dziwił.

– Dzisiejszej nocy reprezentujecie wielką flotę – powiedział – mającą moc zniszczenia ostatnich perskich twierdz na naszym wybrzeżu. W tym celu przybyłem tu do was, aby połączyć moje siły z waszymi. Nie poprowadzę was przeciwko zwykłym osadom ani kruszącym fortecom. Nie, Persja ma już tylko jedną twierdzę na naszym morzu. Mamy okręty i ludzi, by ich stamtąd wykurzyć jeszcze w tym roku, niezwłocznie.

Nazwa, szeptała przez tych, którzy ją znali, przemknęła z ust do ust jak powiew morskiej bryzy.

– Cypr – mówili.

Wyspa kwiatów i miedzi. Perykles słyszał, jak powtarzają to bez końca. Cypr leżał na wschodzie, za Morzem Egejskim, w pobliżu fenickiego wybrzeża. Przed pięćdziesięcioma laty Persowie zbudowali tam fortecę, wyrzynając miejscową ludność. Mówiono, że twierdza jest nie do zdobycia, o wysokich murach i bramach, obsadzona przez perskich wojowników. Persja po klęskach pod Salaminą i Platejami wycofywała się coraz bardziej, aż za Morze Egejskie, ale nie z Cypru. Na kołyszącym się na falach podwójnym pokładzie Perykles wyobraził sobie atakującą tam wielką flotę. Poczłszy szybkie bicie serca na myśl o tak zuchwałym przedsięwzięciu. W końcu zobaczy wielką bitwę. Udowodni swoją wartość. Tetyda przyjdzie do niego, zrozumiawszy, że popełniła okropny błąd, wybierając Kimona, który był już żonaty, i w końcu owinie swoje długie nogi wokół niego zamiast...

– I właśnie dlatego tu przybyłem – mówił dalej Pauzaniasz. Uśmiechnął się szerzej, odzwierciedlając wyraz ich twarzy, dając się ponieść ich nastrojowi. Perykles mógł tylko stać spokojnie, pochłonięty nieczystymi myślami. Zauważył, że jego ojciec kiwa głową. Czy w ogóle miał jakiś wybór? – Będę rozmawiał z poszczególnymi dowódcami i omawiał z nimi formacje –

powiedział Pauzaniasz. – Jak rzekłem, nie działałem pochopnie. Wybieram właściwy moment, a tego lata nadszedł czas, by zerwać dojrzałą brzoskwinę.

* * *

Łódź, która przycumowała do okrętów, obsadzona była przez czterech wioślarzy. Perykles, Kimon i Tetyda usiedli na jednym jej końcu, ale do środka wgramolił się również Ksantyppos owinięty futrem dla ochrony przed chłodem. Zamiast poczekać na własną łódź, postanowił narzucić im swe towarzystwo. Pomagał mu Epikleos, który znał Peryklesa od najmłodszych lat.

– Epikleosie! Nie wiedziałem, że tu jesteś! – wykrzyknął młodzieniec z nieskrywaną radością.

Dużo młodszy od Ksantypposa Epikleos był jednak starszy od Peryklesa i Kimona. Widać już było zaczątki siwizny w jego włosach, ale nadal był bardzo przystojny. Uścisnęli się z Peryklosem pośrodku łodzi, przez co zakołysała się niebezpiecznie.

– Gdzie indziej mógłbym być, jeśli nie u boku twego ojca? – odpowiedział Epikleos. – Wyrosłeś, Peri. Dobrze cię widzieć takim silnym i zdrowym. Kiedy ostatnio o tobie słyszałem, polowałeś na Persów w Tracji.

– I to z dobrym skutkiem! Kimonie, to Epikleos, najstarszy przyjaciel mego ojca, dla mnie zaś od zawsze jak drugi ojciec. – Zerknął na Ksantypposa, aby zobaczyć, jak to przyjął, ale starszy mężczyzna siedział zatopiony w myślach, przetrawiając wszystko, co wcześniej usłyszał.

Ponad nimi pomagano teraz zejść do łódki Arystydesowi. Żyłasty, szczupły, drobnokościsty mężczyzna wciąż każdego dnia biegał wokół Aten, czasem nawet w pełnej zbroi, aby utrzymać formę. Archont zajął miejsce na ławce na końcu łodzi obok Ksantypposa. Pochylili ku sobie głowy w cichej rozmowie, podczas gdy ich łódź odcumowała i odpłynęła, robiąc miejsce dla następnej, która zaraz podpłynęła do burty spartańskiego okrętu. Księżyc wzeszedł, rzucając bladą smugę na powierzchnię morza, która przesuwała się wraz z nimi, podążając za łodzią.

– Co myślisz o tym wszystkim? O Cyprze? – zapytał Perykles.

Epikleos spojrzał na wioślarzy za jego plecami. Perykles pokręcił głową. Wszyscy są lojalni. To ludzie Kimona. Ateńczycy.

– A ta młoda pani? – spytał Epikleos.

– Po prostu bezdomna osoba – odparł Perykles.

Szaleństwem było udzielenie takiej odpowiedzi, lecz Perykles cieszył się z ponownego spotkania z Epikleosem. Kiedy spojrzał znowu na Tetydę, wyraz

jej twarzy był lodowaty. Wioślarze sunęli gładko po ciemnym morzu. Chłupot wiosła był spokojny i rytmiczny. Podczas tej krótkiej chwili wytchnienia mogli nieco odpocząć z dala od zgiełku. Perykles siedział okrakiem na środkowej ławce. Epikleos siadł naprzeciw niego i sięgnawszy ręką, poklepał go po kolanie.

– To prawda, że znaleźliście Tezeusza?

– O tak, na Skiros – odparł dumnie Perykles. – Jego grób był na wzgórzach, z ateńskimi znakami. Powinieneś zobaczyć jego kości! Musiał być prawdziwym olbrzymem.

– To z pewnością dobry omen: wielki król ateński powraca do nas. Może plan Pauzanasza pojawił się w dobrym momencie.

– Czy on... – zaczął Perykles. Zawahał się, niepewny, jak to ująć. – Myślisz, że on wie o lidze, o braterstwie? O przysiędze, którą złożyliśmy?

– Och, wie doskonale – wtrącił szorstko Ksantyppos, zanim Epikleos zdążył odpowiedzieć. – Sądzę, że to właśnie pogłoski o naszym przymierzu ściągnęły go na te wody. Opracowywałem ten sojusz od miesięcy. Byłbym zdziwiony, gdyby Sparta i Korynt nie zdążyły go poznać w najdrobniejszych szczegółach. Jednak jego plan jest dość rozsądny... Też słyszałem pogłoski o perskich siłach okopujących się na Cyprze. Sam wybrałbym ten cel. Byłoby to doskonałą demonstracją siły, jaką zmobilizowaliśmy na Delos. A jednak... skoro Sparta nam przewodzi, to zastanawiam się, czy przypadkiem wszystko, co zrobiliśmy, nie zostanie zaprzepaszczone.

– Nie *potrzebujemy* chyba ich okrętów? – zapytał Perykles. – Co by się stało, gdybyśmy odmówili mu prawa do przywództwa? Wypowiedziałem przysięgę na Delos. Stoimy razem jak jeden. Sparta nie może przymusić nas wszystkich.

Arystydes odchrząknął. Z żalem pokręcił głową.

– Byłem pod Platejami, synu – powiedział. – Prawda jest taka, że Sparta może. Jeśli odmówimy Pauzanaszowi i wyniknie z tego wojna, to nie ma na świecie siły zdolnej powstrzymać ich na polu bitwy. Uwierzcie mi. Widziałem rzeszę Persów pękającą pod ich naporem jak morze rozbijające się o skałę. I skała pozostała niewzruszona.

– Przysięga, jaką złożyliśmy, jest wieczna – rzekł spokojnie Ksantyppos, choć zabrzmiało to jak warknięcie. Perykles nachylił się, żeby posłuchać, co powie ojciec, ale ten nawet na niego nie spojrział. – Przetrwa mnie, przetrwa nas wszystkich. Może Sparta będzie potrzebowała całego pokolenia, żeby zrozumieć, co tutaj uczyniliśmy, a może dwóch albo trzech pokoleń. To nie ma znaczenia. – Ksantyppos podniósł wzrok i spojrział mu w oczy z dumnym wyrazem twarzy. – Dzisiaj stworzyliśmy jeden lud, Peryklesie. Jestem

szczęśliwy, że tu byłeś i mogłeś to zobaczyć. – Zdało się nagle, że zapadł się w sobie, zmałał, po czym owinął się futrem, jakby nagle poczuł powiew morskiej bryzy.

Epikleos podszedł do niego i pomógł mu otulić się szczelniej, bardziej dla zapewnienia mu komfortu niż z powodu realnej potrzeby.

Ateński okręt flagowy zamajaczył w ciemnościach, dostatecznie wielki, by zmiażdżyć podpływającą małą łódź. Perykles stanął z Epikleosem i Arystydesem, aby pomóc ojcu wdrapać się po drabince, gotów go złapać, gdyby się osunął. Ksantyppos oddychał ciężko. Perykles nie wiedział, czy z bólu, czy ze zmęczenia. Gdy ojciec zniknął w górze, Perykles dotknął ramienia Epikleosa.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytał.

Epikleos zawahał się dostatecznie długo, by młodzieńcowi żołądek podszedł do gardła.

– Jest chory, Peryklesie. Mam nadzieję, że wydobrzeje, ale przez te długie miesiące doprowadził się na skraj wyczerpania, a już przedtem nie czuł się dobrze.

Perykles patrzył przez chwilę pustym wzrokiem. Epikleos był obecny także wtedy, gdy umierał jego brat. Dzielili tę żalobę, wiedział, że Epikleos nie jest człowiekiem, który mówiłby lekko o takich rzeczach, przynajmniej nie do niego.

– Przyjdę jutro rano – powiedział.

Epikleos poklepał go po ramieniu i wspiął się po drabince na pokład. Arystydes zrobił to wcześniej i zostali tylko ludzie Kimona. Perykles milczał, gdy wioślarze ruszyli ponownie.

* * *

Tetyda obudziła się w ciemnościach. Nie lubiła swojej ciasnej kabiny pod pokładem, w pobliżu drąga sterowego, który cuchnął wodorostami, kiedy tylko się ruszył. Zawsze się bała, że zostanie przezeń wciągnięta i zmiażdżona. Trzymała się jak najdalej od drewnianej ściany. Leżała spokojnie, słuchając odgłosów okrętu, pojmując, że zbliża się świt. Od strony steru, który poruszał się z ruchem fal, przedostawało się nieco światła. To nie skrzypienie mnie obudziło, pomyślała. Wody wokół Delos wciąż były spokojne. Zastanawiała się... Tok jej myśli przerwało nagłe otwarcie drzwi i wtargnięcie zupełnej ciemności. W tej małej przestrzeni ledwo starczało miejsca dla niej. Gdy wpadli do środka dwaj mężczyźni, oznaczało to, że już się nad nią pochylali. Nabrała powietrza,

by krzyknąć, lecz poczuła szorstką dłoń chwytającą ją za szyję, dławiącą wszelki głos.

– Trzymaj ją mocno, synu. Jest trochę dzika. Witaj, kochanie – szepnął w ciemności Attikos.

Wiergnęła w stronę, gdzie powinna być jego złamana noga. Jęknął z bólu, lecz po chwili się zaśmiał.

– Jesteś mi coś winna, ślicznotko, nieprawdaż? Za tę nogę i za wszystkie moje krzywdy.

Dostrzegła błysk w jego oczach, gdy na nią patrzył. Nadchodził świt. Niebawem załoga zacznie się budzić. Jednak tej nocy Attikosa nie było na pokładzie, była tego pewna. Wylazł skądś jak duch i ją przeraził. Czuła smak soli i krwi na wargach i palcach dłoni zatykającej jej usta, żeby nie krzyczała. Ten drugi mężczyzna był obcy, ale w bladym świetle brzasku ujrzała, że wyraz twarzy ma taki sam. Powiódł dłonią wzdłuż jej nogi z oczywistą intencją. Zadrzała.

– Strateg powiedział, że nie wolno mi cię skrzywdzić – mruknął Attikos. – No cóż, o ile wiem, ta rzecz kobiety nie krzywdzi. Trzymaj ją, synu! Będziesz mógł skorzystać potem.

W ciągu nocy zgromadzone na Delos okręty rozproszyły się nieco, szukając sobie nowych miejsc kotwiczenia i przesuając się względem siebie jak owce w obecności psa. Ateńskie triery się jednak nie ruszyły. Perykles spał zaledwie kilka godzin, kręcąc się i przewracając z boku na bok na pokładzie, otulony płaszczem. Na każdym okręcie były dwa ciasne zamykane pomieszczenia daleko na rufie, przez które przechodziły pionowo drągi sterowe. Kimon zwykle wykorzystywał je do przechowywania wina i zapasów żywności, ale oddał jedno z nich do dyspozycji Tetydzie, aby zapewnić jej bezpieczeństwo do czasu, gdy będą mogli wysadzić ją na ląd. Attikosa przeniesiono tymczasem na inny z trzech okrętów. Ani Kimon, ani Perykles nie sądzili, że porzuci on tak łatwo obiekt swojej nienawiści. O problemie tym rozmawiali cicho, nie chcąc poddawać chłóście lojalnego rannego Ateńczyka.

Gdy pokazało się słońce, Perykles podniósł się ze zwilżonego rosą pokładu, pozostawiając na nim widoczne suche miejsce. Opróżnił pęcherz za burtę i rozważał, czy nie powinien jeszcze w wiadomym celu wystawić pośladków. Ziewnąwszy, szturchnął kilku młodszych hoplitów, budząc ich do pracy. Zaczęli przyciągać łódź holowaną za okrętem. Perykles ziewnął raz jeszcze, patrząc na łódź, po czym zmarszczył brwi. Przy pierwszej łodzi kołysała się druga, mniejsza i pusta. Czy była tam poprzedniego wieczoru? Po wszystkich kursach na spartański okręt i z powrotem nie mógł sobie przypomnieć. Wokół niego zaczęła się budzić reszta załogi, dygocząc i kaszląc w zimnym powietrzu.

Perykles usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, i obróciwszy się, ujrzał Kimona sikającego za burtę. Poczul burczenie w żołądku i zastanowił się, czy zdąży coś zjeść, zanim zobaczy się z ojcem. Minie dłuższa chwila, nim przygotowują jakąś zupę albo potrawkę, on zaś obiecał Epikleosowi, że odwiedzi ich z rana.

– Chcę zabrać łódź na okręt flagowy – powiedział.

Kimon kiwnął głową, podejmując szybką decyzję.

– Popłynę z tobą.

Perykles poczuł się tym mile poruszony i uśmiechnął się. Kimon był dobrym przywódcą. Jego załogi dobrze o tym wiedziały.

– Staruszkowie będą dyskutowali nad spartańską ofertą, jestem tego pewien – rzucił.

Perykles zamrugał, skrywając rozczarowanie. W słowach Kimona nie było żadnej troski o Ksantypposa, a jedynie zimne stwierdzenie. Na ateńskim okręcie flagowym podejmowano decyzje. Kimon miał nadzieję, że będzie w tym uczestniczył.

Gdzieś pod nimi zabrzmiał krzyk, słumiony, lecz wysoki. Kimon z Peryklosem wymienili spojrzenia, nagle przepełnieni podejrzeniami.

– Gdzie Attikos? – zapytał natychmiast Kimon.

Perykles zaklął. Attikos był na innym okręcie, ale w jakiś sposób udało mu się nakłonić kogoś, by w ciemnościach przewiózł go łódką. Perykles już biegł w stronę głównego luku, który prowadził do ław wiosłarzy pod pokładem. Zbiegł do ładowni, która cuchnęła potem, zjełczałą oliwą i innymi nieprzyjemnymi rzeczami.

Belka kila miała zaledwie krok szerokości i stanowiła wąską ścieżkę, po której pobiegł w mroku. Kimon, którego reakcje były szybkie jak u każdego hoplity, podązał zaraz za nim. Usłyszeli ponowny krzyk, niewątpliwie kobiecy. W odpowiedzi odwarknął coś męski głos i krzyk natychmiast umilkł. Perykles, kierując się odgłosami, dobiegł do małej kabiny i silnym kopniakiem wyłamał drzwi.

W środku ujrzeli Tetydę, która walczyła rozpaczliwie z dwoma mężczyznami. W mroku widać było jej wierzgające nogi, gdy kopała napastników. Attikos zamarł, a ona skorzystała z okazji, by przeciągnąć mu paznokciami po twarzy, na co zaskowyczał z bólu.

Perykles złapał Attikosa za fałdy chitonu pod szyją. Jednym szarpnięciem podniósł mniejszego mężczyznę i odrzucił na bok. Attikos z trzaskiem rąbnął głową o drąg sterowy, po czym skulił się jak pijany, a odzyskawszy rozeznanie, zrozumiał, kto go tak potraktował. Opuścił pięści, które podniósł, aby się bronić przed nagłym atakiem. Widok Kimona ostudził w nim wszelką chęć choćby słownej riposty. Stał w przestraszu, drżąc i kuląc głowę.

Perykles pomógł Tetydzie wstać. Jej policzki płonęły rumieńcem upokorzenia.

– Czy nie mówiłem ci, żebyś unikał wszelkiego kontaktu z tą kobietą? – zapytał łagodnym głosem Kimon.

Mężczyzna zszarzał jak popiół, otworzył usta, po czym je zamknął.

– Mówiłeś, żebym nie robił jej krzywdy – mruknął w końcu. – I nie zrobiłem.

Tetyda poruszyła się nagle i kopnęła go w nogę tak mocno, jak zdołała. Wszyscy usłyszeli chrupnięcie, gdy łubki pękły wraz z kością. Attikos wrzasnął i upadł, a wszelki kolor zniknął z jego twarzy. Wyglądał teraz jak woskowa figura. Kimon wyciągnął rękę, gdy Tetyda znów uniosła nogę. Była gotowa nadepnąć na złamaną kość, ale jego autorytet ją powstrzymał.

– Tetydo, proszę, wyjdź na pokład – powiedział Kimon. – Perykles popłynie teraz ze mną na okręt flagowy. Zostawię cię tam.

Spojrzenie, jakim go obdarzyła, świadczyło o poczuciu zdrady.

– Rozumiem. A co z nim? – zapytała. Łzy popłynęły jej z oczu jak woda z przechylnego kubka. Jej głos się załamał, gdy ciągnęła, przecinając dłonią powietrze. – Jestem wolną Tebanką, Kimonie. Pytam, co będzie z tym, który chciał mnie zgwałcić, podczas gdy jego kamrat mnie trzymał? Co z nimi?

Kimon nie uchylił się od odpowiedzi.

– Każę ich związać, a po powrocie zdecyduję, co z nimi zrobić. Teraz muszę odejść, przykro mi.

W wejściu ukazała się głowa keleustesa, który zajrzał przez wyłamane drzwi, żeby sprawdzić, co to za hałasy. Kimon wskazał gestem mężczyzn.

– Weź tych dwóch pod swoją kuratelę, Niko. Dobrze? Zwiąż ich i niech czekają na mój sąd, kiedy wrócę z okrętu flagowego. – Tu zwrócił się do Tetydy i skrzywił się na widok jej twarzy i poszarpanej szaty. – Czy mogłabyś... – mruknął, nagle zbity nieco z tropu, wreszcie machnął ręką. – Możesz zachować spokój, podczas gdy będę na drugim okręcie? Możesz zostać w małej łódce, jeśli chcesz, ale naprawdę muszę już iść.

Tetyda spojrzała żalonym wzrokiem na Peryklesa, jakby Kimon również ją skrzywdził. Obnosiła swoją krzywdę i najwyraźniej nie miała ochoty jej skrywać.

– Potrafię być spokojna – powiedziała.

Attikos jęknął, poruszywszy się na podłodze. Z jednego oka spłynęła mu łza, choć obie powieki miał zamknięte. Kobieta patrzyła na niego bez cienia współczucia. Attikos zaklął słabo, gdy keleustes go podniósł. Noga zwisała mu luźno, a stopa wykrzywiona była pod nienaturalnym kątem. Tetyda wyszła na pokład razem z Kimonem i Peryklosem, nie patrząc na żadnego z nich.

* * *

Kurs łodzią na ateński okręt flagowy upłynął w zupełnej ciszy. Tetyda zgodziła się przyjąć od Peryklesa płaszcz, otuliła się nim jak kokonem, chroniąc się przed

morską bryzą, i siedziała w całkowitym milczeniu. Zarówno Kimon, jak i Perykles trwali w zamyśleniu, zaszokowani tym, co widzieli. Nie mogło się obyć bez wymierzenia kary. Attikos wykazał się nieposłuszeństwem, zlekceważywszy wyraźny rozkaz Kimona, swego stratega i trierarchy.

Kiedy wiosłarze wciągnęli wiosła, zbliżywszy się do okrętu, złapali rzucone im z pokładu liny i siłą ramion utrzymali łódź nieruchomo. Kimon wyciągnął rękę do Tetydy.

– Chodź, jeśli chcesz. Albo zostań tutaj, ale musisz zdecydować od razu.

Zawahała się, ale nie miała ochoty siedzieć w łodzi z krzepkimi wiosłarzami. Kimona i Peryklesa znała. Złapała wodza za rękę i zgrabnie wspięła się za nim, a Perykles podążył za nimi.

Na pokładzie zostali powitani przez stojących na bacność hoplitów w wypolerowanych zbrojach. Perykles i Kimon zostali potraktowani z wielkim szacunkiem, ale gdy schodzili pod pokład, wciąż towarzyszyli im uzbrojeni Ateńscy. Tetyda przełykała nerwowo ślinę. Czowała się tu obco, jednak ufała swoim młodym towarzyszom. Oczywiście słyszała, że Perykles uratował Attikosa na wyspie. Ale jednak pozwolił jej przedtem uciec. Miała mętlik w głowie, nadal nie ufała mu w pełni. Co więcej, Kimon różnił się od Peryklesa, mimo że ten drugi miał ładne rysy i wodził za nią wzrokiem, gdy tylko się ruszyła.

Ateński okręt flagowy, odkąd Kimon widział go ostatnio, został nieco przerobiony. Rozejrzał się po długim pomieszczeniu ciągnącym się aż do rufy, utworzonym przez przybite gwoździemi ścianki. Miało niski sufit, ale było wystarczająco szerokie, by pomieścić spory stół. Jego blat pokrywały karty papieru z wyrysowanymi konturami morskiej linii brzegowej.

Arystydes już tam był, podobnie jak Ksantyppos. Czterech starszych trierarchów, pogrążonych w rozmowie, stało wokół stołu. Archonci podnieśli wzrok, gdy Kimon przekroczył drzwi pomieszczenia, które szeroko przed nim otwarto. Perykles szedł tuż za nim. Arystydes powitał ich skinieniem głowy, natomiast Ksantyppos zmierzył syna długim spojrzeniem, jakby czegoś intensywnie szukał. Sądząc po wyrazie twarzy, poszukiwania te okazały się bezowocne. Lekko kiwnął głową, po czym wrócił do przyglądania się mapie.

Kiedy do środka wkroczyła Tetyda, w pomieszczeniu zapadła cisza.

Arystydes odezwał się pierwszy:

– Jeśli wasza towarzyszka nie jest kapitanem jednego z naszych okrętów, to obawiam się, że będzie musiała poczekać na zewnątrz.

– Ręczę za nią – powiedział Kimon.

Arystydes pokręcił głową.

– Nie dzisiaj. Będzie bezpieczna, Kimonie. Masz moje słowo.

Nikt więcej nie zabrał głosu, ale i Kimon nie odpowiedział, nie zamierzając ustąpić. Arystydes uniósł brwi w milczącym zapytaniu. Znał Kimona lepiej niż większość zebranych, lecz nie mógł pozwolić, by obca osoba przysłuchiwała się naradzie, niezależnie od tego, kto za nią ręczył.

– Pójdę na górę – powiedziała Tetyda, nie mogąc dłużej tego znieść.

Obróciła się na pięcie i wyszła, a przy schodach prowadzących na świeże powietrze ruszyła biegiem. Perykles i Kimon wymienili spokojne, porozumiewawcze spojrzenia, po czym Perykles zamknął drzwi.

– Jak już mówiłem – zaczął z gorzkim naciskiem Arystydes – nie ma nic szczególnie złego w planie, który przywiózł nam Pauzaniasz. Cypr jest takim celem, który sami moglibyśmy wybrać, choć nie ma wiele sensu w gromadzeniu tak wielkiej floty tylko po to, by uderzyć jak młotem w jednym miejscu. Złożyliśmy wieczystą przysięgę, że zniszczymy perskie siły w obrębie Morza Egejskiego. Cypr jest zdecydowanie najsilniejszą z ich fortec.

– W planowaniu wojny zaufajmy Spartanom – rzucił jeden z pozostałych kapitanów. Zabrzmiało to jak stare porzekadło, wręcz przysłowie.

Arystydes spojrzał na niego, marszcząc brwi.

– No cóż, rzeczywiście. Nie po to jednak przechodziliśmy przez wszystkie zawiłości przysięgi na Delos, żeby teraz dać się prowadzić ludziom z Peloponezu! Nasz sojusz nie obejmował Sparty, Koryntu ani Argos. Nie widzę tu okrętów tego trzeciego, ale Sparta i Korynt przysłały do nas swoje małe floty w nadziei, że będą nam przewodzić? Marzę tylko o tym, żeby móc im powiedzieć: zabierajcie się stąd z waszą ofertą.

– Ale nie możemy – powiedział Ksantyppos. – Jego głos zabrzmiał ochryple, uświadomił sobie Perykles, jak na granicy krzyku. Może istotnie chciał krzyknąć. Z pewnością wyglądał na dość zagniewanego. Wciąż miał na sobie futro, choć w ładowni było ciepło. Poszerzało ono jego ramiona, gdy tak toczył spojrzeniem po wszystkich zebranych, jakby upewniał się o ich lojalności. – Jeśli pozwolimy Sparcie tu dowodzić, nasze przymierze utraci swój fundament. Nie możemy jednak odmówić, nie ryzykując, że wojownicy w czerwonych płaszczach ruszą na nasze rodzinne miasta. Persja nie zdołała im się oprzeć. Może Ateny by zdołały, ale raczej w to wątpię. Nie, znaleźliśmy się w potrzasku. – Jeszcze raz rozejrzał się wokół, jakby mógł im zajrzeć w głąb duszy. –

Spędziłem całą noc, dyskutując o tym z Arystydesem. Nie możemy odmówić Pauzaniaszowi. I nie możemy też przyjąć jego planu i pozwolić, by Sparta użyła

naszych sił jako własnych. – Oddychał ciężko i patrzył na nich, jakby wyzywał ich do podważenia tego stwierdzenia.

W zapadłej ciszy odezwał się Arystydes, pozwalając Ksantypposowi chwilę odpocząć.

– Spartanie mają młodego króla wojennego, którym jest syn Leonidasa. Mają też drugiego króla w Leotychidasie, człowieka dobrego charakteru, który nie pali się do wojny. Nasz Pauzaniasz dowodził pod Platejami i po tym wspaniałym zwycięstwie eforowie nie mogli posłać go na spoczynek albo wygnanie. Zamiast tego powierzyli mu flotę, co było genialnym posunięciem, jak sądzę. Jednakże, jeśli tutaj zawiedzie, upłynie dużo czasu, nim znajdą na jego miejsce kogoś o podobnym autorytecie i doświadczeniu.

– Powiedziałeś, że ma wszelkie szanse, by zdobyć Cypr – wtrącił któryś z kapitanów. – A poza tym jest z nim ten wróżbita, jakkolwiek się nazywa, który dał mu zwycięstwo pod Platejami.

– Tak – zgodził się Ksantyppos.

Doszedł już do siebie, zauważył Perykles. Arystydes znał go dostatecznie dobrze, by we właściwym momencie przejąć rozmowę. Ksantyppos wciąż chrząkał jak kruk, jakby zwykłe zaczerpnięcie oddechu sprawiało mu trudność.

– Zaakceptujemy Pauzaniusza jak dowódcę – ciągnął dalej Ksantyppos, przecinając dłonią powietrze. – A celem jest Cypr. Rozdzielę... zadania, kiedy zbierzemy się przed atakiem. A teraz niech wszyscy poniżej rangi stratega stąd wyjdą. Dziękuję wam. Możecie odejść.

Jeden po drugim trierarchowie kłaniali się i wychodzili bez słowa. Kimon został, a jego ostre spojrzenie powiedziało Peryklesowi, że on również powinien opuścić pomieszczenie. Gdy ruszył w stronę drzwi, Ksantyppos potrząsnął głową.

– Nie ty, Peryklesie. Powinieneś to usłyszeć.

Zostali we czterech, balansując dla utrzymania równowagi na lekko kołyszącym się okręcie.

– Nie mogłem tego powiedzieć w obecności wszystkich – dodał Ksantyppos lekko chrapliwym głosem. – Musimy go obalić. Mówię to tylko przy lojalnych Ateńczykach. Przy nikim innym. Pauzaniasz nie może przeżyć ataku na Cypr.

– To szaleństwo – rzucił Kimon. Jego głos nagle stwardniał. – Nie chcę tego słuchać.

– Jesteś Ateńczykiem, Kimonie – odparł z naciskiem Ksantyppos. Poczzerwieniał na twarzy, próbując nabrać tchu. – A może chcesz złamać przysięgę, którą złożyłeś na Delos?

– A cóż to ma z tym wspólnego?

– Obiecałeś wszystkim bogom, wiążąc się wieczystym... sojuszem. Sparty przy tym nie było, a czy chciałbyś powierzyć Sparcie dowodzenie nami? Próbujesz wyłgać się od tej przysięgi. Ryzykujesz, że na nasze głowy spadnie gniew bogów.

– Nie to miałem na myśli... – odrzekł Kimon. Uniósł ręce na znak zgody. – Mogę mieć nadzieję, że Pauzanasz polegnie w bitwie, ale to dalekie od tego, co sugerujesz.

– To brzmi jak tchórzostwo – odezwał się nagle Arystydes. Archont poczuł, że wszystkie spojrzenia skupiają się na nim, i rozejrzał się, wzruszając ramionami. – No co? Zgadzam się z Ksantyposem. Na Delos widziałem coś wielkiego. Sparta nie wzięła w tym udziału i to z własnego wyboru. Korynt i Argos także wołały ich przywództwo od naszego. Cóż, nie mogą mieć wszystkiego. Nie mogą się od nas oddzielać, gardzić nami, a potem żywić nadzieję, że będą nam przewodzić! Nie, to jest ateńska flota. To my nią dowodzimy i nikt inny. Tak jak Temistokles, który musiał usadzić tego pompatycznego głupca Eurybiadesa. To było właściwe postępowanie i tak samo jest teraz.

Kimon zastukał dwukrotnie knykциями w stół, trochę z frustracji, a trochę by zwrócić ich uwagę.

– Nawet jeśli macie rację, a nie powiedziałem, że sama idea jest zła, to nie wolno nam spróbować i przegrać. – Zniżył głos do chrapliwego szeptu. – Jeśli choć jedno słowo na temat zabicia Pauzanasza wydostanie się z tego pomieszczenia, Sparta ruszy na nas w wielkim gniewie. Nie tylko straż królewska, nie tylko tysiąc wojowników, ale oni wszyscy, jak widzieliśmy to pod Platejami. Dobrze wicie, że Ateny zostaną wówczas zniszczone. Tak więc, jeśli zechcecie poświęcić chwilę na zastanowienie, to możemy przedyskutować inne sposoby rozsypnięcia tego szczególnego węzła. Pomysły rodzą się w dyskusji, jak mawiał mój ojciec. Obaj go znaleźcie. Uhonorujcie go chociaż w ten sposób.

Arystydes i Ksantyppos wymienili spojrzenia. Znali Kimona od młodości, a teraz zrobił na nich wielkie wrażenie. Perykles poczuł rosnącą tęsknotę, by na niego również spoglądano w taki sposób. Jak można zdobyć szacunek, jeśli nie w bitwie? To była oczywiście największa zaleta Kimona, podobnie jak upływ lat.

Gdy spotkanie dobiegło końca, w zamkniętym pomieszczeniu pośrodku ateńskiego okrętu flagowego opadło napięcie. Nawet Ksantyppos zaczął oddychać normalnie, a z jego twarzy ustąpił zły grymas. Wyglądało na to, że Kimon znał Spartan lepiej niż oni wszyscy. Nie tylko często bywał w Sparcie

i mieszkał długo wśród nich, ale był też przez cały rok ich przedstawicielem w Atenach. Rozumiał ich sposób myślenia i zarówno Ksantyppos, jak i Arystydes wyrazili niechętną zgodę, gdy wyłożył im swoje plany i przedstawił możliwości ich realizacji. Perykles zauważył, że ojcu, przynajmniej częściowo, spadł z ramion ciężar, jakby nieświadomie czekał, aż zjawi się ktoś, kto weźmie to brzemie na siebie.

Na koniec dyskusja przybrała lżejszy charakter. Kimon wyszedł pogrążony w serdecznej rozmowie z Arystydesem, podczas której archont przyjaźnie objął go ramieniem. Perykles zaś dał znak ojcu, że chciałby zostać jeszcze chwilę i z nim porozmawiać. Znaleźli się nagle sami w tym sztucznie stworzonym, skrzypiącym pomieszczeniu, do którego dochodził odgłos chlupiących o kadłub fal.

Perykles spojrzał na ojca zupełnie nowymi oczyma, widząc nagle, jak bardzo nadwerężyły go czas i zmartwienie. Tylko futro przydawało mu ciała. Gdy Ksantyppos pochwycił jego spojrzenie, Perykles poczuł, że słowa więzną mu w gardle.

– Ojczy, wiem, że Attikos jest twoim człowiekiem – zaczął niezręcznie. – Próbował zgwałcić kobietę, którą tu widziałeś.

– Dyscyplina na waszym okręcie to nie mój interes – odparł Ksantyppos po chwili namysłu. – Zawsze są kłopoty tego rodzaju. Na okrętach niewielu jest wartościowych mężczyzn, Peryklesie. Każcie go wychłostać. – Jego oczy były nieruchome, bez wyrazu.

– Kimon może go zabić – odparł Perykles. – Ale... Attikos twierdzi, że jest jednym z twoich ludzi, ojczy. Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście powierzyłeś mu opiekę nade mną, możesz zażądać, żebyśmy ci go zwrócili. Wystarczy jedno słowo.

Ojciec patrzył zimnym, niemal pogardliwym wzrokiem.

– Nie znam tego człowieka. Zróbcie z nim, co uznacie za stosowne – powiedział, wstając. Kiedy się podnosił, coś go zabolalo. Przymknął jedno oko i przyłożył na moment dłoń do boku, wbijając palce pod żebro, jakby chciał poluzować jakiś szew.

– Źle się czujesz? – zapytał Perykles, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Epikleos mówił, że pracujesz bez wytchnienia i jesteś na skraju wyczerpania.

Ojciec strząsnął jego rękę.

– Nie ma prawa mówić takich rzeczy. Niech licho weźmie tę starą babę i jej niepokoję! Jest gorszy niż twoja matka. Obowiązek i to przymierze, ta

symmachia, trzyma mnie w morzu, Peryklesie. Jak długo się da. Tak samo powinno być z tobą.

Perykles patrzył, jak ojciec wychodzi, drżący i okutany w futro, a kiedyś był szczupły, prosty jak miecz i sprężysty jak puma.

* * *

Tego wieczoru Pauzaniasz wysłał wiadomość do wszystkich członków floty. Aby sięgnąć tam, gdzie kończyło się perskie wybrzeże, trzeba było miesiąca żeglugi i zorganizowania łańcucha zaopatrzenia pozwalającego wykarmić czterdzieści tysięcy ludzi. Delos leżała w sercu Morza Egejskiego, w jego centralnym punkcie, wyznaczając odległość od brzegów we wszystkich kierunkach. Pauzaniasz rozkazał im wrócić na wyspę w ciągu dwóch miesięcy, na koniec lata, z żywnością i wodą, nową bronią i zbrojami, i wszystkim, czego trzeba, by zanieść wojnę do wielkiej twierdzy Persów na wschodzie.

Kimon wrócił z Tetydą i Peryklosem na najbliższy ze swoich trzech okrętów. Nie mówił nic podczas żeglugi powrotnej, a kobieta też wybrała milczenie. Perykles był w ponurym nastroju, wspominając spotkanie z ojcem i nie mając z kim o tym porozmawiać.

Następnego ranka, zanim jeszcze wstało słońce, powróciła też jedna mała łódź z leżącym na ławce jęczącym człowiekiem. Za pomocą lin i przy wsparciu dwóch ludzi na pokładzie wciągnięto Attikosa na okręt flagowy. Członkowie załogi przyglądali się mu, gwizdząc na widok pręg na jego plecach i wciąż świeżych zadrapań na twarzy oraz nogi ujętej w nowe łąbki.

– Wyglądasz, jakbyś był na jakiejś wojnie – powiedział jeden z nich.

Attikos skinął głową i podniósł rękę, prosząc, by postawiono go na nogi. Nie wydał nawet jęku, choć musiał odczuwać przejmujący ból.

– Na pokładzie mojego ostatniego okrętu była kobieta – oznajmił. – Kiedy się na to pozwala, zawsze wynikają z tego kłopoty. Zawsze.

Jeden z mężczyzn poklepał go po plecach.

– Powiem archontowi Ksantypposowi, że tu jesteś. Przybyłeś w odwiedzin czy zostaniesz na stałe jako członek załogi?

Attikos spojrział na morze; trzy okręty podnosiły właśnie żagle. Skrzywił się na ten widok.

– Na stałe – odparł i splunął w bok.

W Pireusie panował wielki ruch, a na wszystkich kamiennych nabrzeżach i przy pomostach naprawczych kłębił się tłum. Oprócz statków przywożących żywność i towary dla mieszkańców Aten w porcie cumowała też główna flota przygotowująca się do wypłynięcia. Perykles i Kimon byli wyczerpani z braku snu i z powodu nieustannej pracy w ciągu ostatnich trzech tygodni. Wszystko zaczęło się od pozornego chaosu, potem zaś sprowadziło się do sprawdzania rachunków i rozdzielania zapasów. Na każdym okręcie musiało być dość świeżej wody, zboża, suszonego mięsa i sera, aby utrzymać w morzu dwustu ludzi, co samo w sobie stanowiło wielkie przedsięwzięcie. Można powiedzieć, że załadowanie zapasów broni, hełmów i tarcz to był dopiero początek. Żagle, wiosła, gwoździe, narzędzia, blachy z brązu i drewno do napraw czyniły z każdej triery wielki warsztat, a zarazem magazyn.

Przynajmniej nie brakowało ludzi do zastąpienia licznych członków załóg. Podczas ćwiczeń wielu hoplitów i wiosłarzy odnosiło rany. Ręka złamana w wiosłowej dulce albo niefortunny cios w głowę zmuszał do odesłania ich do domu. Inni się starzeli albo narzekali na stawy i nie mogli dłużej wiosłować. Kompani wznosili wówczas kubek z winem i spluwali na odegnanie złego, ale tak czy owak na jego miejsce musiał przyjść ktoś inny. Młodzi z miasta zbierali się przy okrętach, gotowi podjąć ćwiczenia albo od razu przejąć wiosło. W ślad za niektórymi przychodzili do portu zagniewani ojcowie lub matki, zmuszając młodzieńców do powrotu do rodzinnego sklepu lub innego interesu, większość jednak była przyjmowana i otrzymywała pierwszą część uzgodnionego wynagrodzenia. W ateńskiej flocie nie było niewolników pracujących za darmo.

Potop srebrnych drachm wydawanych co tydzień w porcie sprawiał, że nawet Kimona oblewał zimny pot. Z grupą starszych trierarchów zwrócił się w końcu do rady na Agorze, aby prosić o nowe fundusze. Choć członkowie rady widzieli okręty patrolujące wody wokół Salaminy, to jednak wciąż trwały targi o pieniądze. Kopalnie w Laurion pracowały dzień i noc, produkując znacznie więcej monet do miejskiego skarbcza niż wtedy, gdy zajmował się tym Temistokles. Wciąż jednak była różnica pomiędzy tym, co uznawano za dobre

i słuszne, a rzeczywistym wydawaniem na ten cel srebrnych talentów i obserwowaniem, jak znikają. A nie było to jedyne źródło pieniędzy. Był jeszcze skarbiec na Delos, który zgromadził czterysta sześćdziesiąt talentów, z czego sto dwadzieścia dały same Ateny, i był to potężny fundusz wojenny. Biorąc pod uwagę nieustanne prośby o kamień, żelazo i drewno, źródło srebra w Laurion nie mogło sprostać wciąż rosnącym potrzebom. Na szczęście flota handlowa sprzedawała teraz i kupowała towary na całym obszarze Morza Egejskiego. Ponieważ Persja została odcięta od handlu, to każdy kapitan statku mógł szybko zbić fortunę, handlując żywnością albo czerwonymi i czarnymi wazami. Zgromadzenie pobierało od tego piątą część i żaden kapitan nie śmiał się żalić. Tylko jeden utracił licencję i zarekwirowano mu statek za długi. Reszta akceptowała cenę korzystania z portu i dostępu do wielkiego ateńskiego rynku. Strumień bogactwa widoczny był nawet w nowym teatrze, gdzie wszystkie rzędy siedzeń zrobiono z drewna z rozbitych perskich okrętów. Wielki namiot, który służył kiedyś na brzegu cieśniny królowi Kserksesowi, posłużył teraz jako osłona kulis. Co prawda bilety kosztowały dwa razy tyle co przed wojną, ale wszystkie miejsca były zawsze zajęte, najpierw żeby zobaczyć komedię, potem zaś by obejrzyć sztukę Frynicha, po której widzowie wracający do domu płakali na ulicy.

Kimon ziewnął, stojąc na nabrzeżu. Było niemal południe i jego żołądek wydawał dziwne odgłosy, przypominając mu, że nic nie jadł od ubiegłego wieczoru. Uświadomił sobie, że schudł dzięki fizycznej pracy, nie myśląc o głodzie. Spał zwykle w porcie na workach z ziarnem i jadał z robotnikami.

Zauważył Peryklesa, który wdał się w spokojną rozmowę z cieślą zatrudnionym przez Arystydesa do sprawdzania portowych rachunków. Człowiek ten regularnie nachodził Kimona do chwili, gdy ten mianował swoim oficjalnym przedstawicielem Peryklesa i powierzył mu prowadzenie tych spraw. Skutkiem tego posunięcia był tydzień błogiego spokoju, choć z kolei Perykles twierdził, że przynajmniej dwukrotnie był bliski uduszenia tego typu.

Kimon zmarszczył brwi na widok Tetydy maszerującej krok za mężczyznami. Przez jedno ramię miała przewieszoną skórzaną torbę, a pod każdą pachą zrolowany zwój pergaminu. Wyglądała tak, jakby chodziła za Peryklosem, zbierając wszystko, o czym ten zapomniiał, na co Kimon uśmiechnął się, choć trochę nieufnie. Stwierdził, że grupka przejdzie za chwilę obok niego, i przygotował się na niezręczne powitanie. Jego żona była z dzieckiem w Atenach. Tetyda wciąż kręciła się w pobliżu podczas przygotowań floty do wyjścia w morze, co oznaczało, że często się widywali. Perykles był w porcie

jego zastępcą, a raczej sam się nim ustanowił, dysponując pracowitością i inteligencją. Spotykali się i konsultowali ze sobą kilka razy dziennie, a Tetyda zawsze była przy tym obecna.

Kimon wydobyl z siebie gardłowe „uhm”. Ateńscy często brali sobie kochanki albo po prostu spędzali czasem noc z jakąś nieznaną. Nie sprowadzało się jednak takiej kobiety do domu. Kimon odetchnął przez nos, pograżając się w myślach. Wykazał się wielką wspaniałomyślnością wobec kobiet ze Skiros. Nie chciał nawet sobie wyobrazić, jak kazałaby mu ją potraktować jego matka w momencie wyjazdu. Tetyda kosztowała go już wiele, biorąc pod uwagę koszty wyżywienia i szereg wynikłych z jej obecności kłopotów, spośród nich zaś nie najmniejszym była utrata kompetentnego wojownika, którego musiał odesłać Ksantypposowi. Kimon wiedział, że mógłby oddalić ją bez grosza, ale tak nie postąpił. Zamiast tego dał Tetydzie dość, zatrzymując ją do czasu znalezienia jakiejś pracy, a nawet załatwił jej zajęcie w pralni i szwalni. Jej rodzinne Teby były daleko i w ostatnim roku nie pozostawały w przyjaznych stosunkach z Atenami. Nie był już za nią odpowiedzialny i nie oglądałby jej więcej, gdyby nie wtrącił się Perykles. Jakimś sposobem ten młody dureń zaproponował jej zwiedzanie miasta, wszystkich jego świątyń i ciekawych miejsc. Zmieniło się to... Kimon podniósł wzrok, gdy cała trójka doszła do niego. Nie był już pewien, w co się to zmieniło.

– Ach, Peryklesie! – powiedział. – Właśnie o tobie myślałem. Nie wiem, dlaczego wszystko w ostatniej chwili dzieje się w takim gorączkowym pośpiechu. Aby wypłynąć jutro, będziemy musieli pracować całą noc. Ale nawet gdybyśmy przeznaczili na to dodatkowy tydzień, na koniec byłoby tak samo.

Uśmiechnęli się, tak jak się spodziewał. Kimon mówił o błahostkach, wyświadczając Peryklesowi grzeczność przez poświęcanie mu czasu. Taki był przywilej stratega. Trzeci członek tej grupki, człowiek Arystydesa... nie, nie zdoła przypomnieć sobie jego imienia. Kimon skinął głową, obejmując także jego tym gestem. Zauważył, że Tetyda mu się przygląda. Czyżby omotała Peryklesa, aby pozostać bliżej tego, którego pożądała? Kimon miał nadzieję, że nie, dla dobra własnego i Peryklesa. Znał już kobiety tego rodzaju, z wielkimi oczyma i zalęknionym wyrazem twarzy. Kiedy zaczynała się obsesja, nigdy nie kończyło się to dobrze dla nikogo.

Nie pierwszy raz myśl o wypłynięciu z portu i pozostawieniu wszystkiego za sobą była dla Kimona źródłem wielkiej radości. Jego okręty. Och, może Ateny zapłaciły za większość prac, może Arystydes i Ksantyppos sprawowali formalne

dowództwo, ale wciąż gdy wiosła zanurzały się w wodę i zaczynały pluskać fale, kłopoty można było zostawić za sobą na brzegu jak stertę starych ubrań.

– Jak się czuje twój ojciec, Peryklesie? – zapytał. Dostrzegł niewyraźny grymas na twarzy młodzieńca i zrozumiał.

– Niezbyt dobrze – odparł Perykles.

W tonie głosu zabrzmiała prawda, nuta zwierzenia, jakiej Kimon już prawie nie pamiętał. Perykles umiał odpowiedzieć właściwie. Jego ojciec leżał w pokoju koło portu, walcząc o oddech. Perykles okazywał mu należny szacunek i powściągliwość, ale w istocie nie wierzył, by Ksantyppos mógł rzeczywiście umrzeć, by nie wydobrał jak zawsze z trapiącej go choroby. Nie znał w życiu jednego dnia bez potężnej obecności Ksantypposa w świecie. Perspektywa życia bez niego była nierealna. Kimon zauważał to w dziesiątkach rozmów, gdy usiłował skłonić młodszego towarzysza, aby odwiedził archonta, i mógł uznać, że zrobił wszystko i powiedział co trzeba.

Ojciec Kimona umarł, gdy ten był jeszcze chłopcem. Pamiętał triumf pod Maratonem i hańbę późniejszej nieudanej ekspedycji. Jego biedny ojciec wrócił do domu jako złamany człowiek, trawiony gorączką, udręczony procesem. Ksantyppos grał w tamtych oskarżeniach główną rolę. Kimon zaś zaczął wówczas pić za trzech. Zatracił się w bólu, smutku i gniewie... Perykles natomiast był nieświadomy, że jego przyjaciel, próbując wyglądać na poważnego i przepełnionego żalem, nie jest zupełnie szczerzy. Kimon zauważył, jak Tetyda pocieszająco dotyka ramienia Peryklesa, i wzniósł oczy w niebo. Nie mógł sprawić, aby młody człowiek pewne rzeczy zrozumiał, choć wkrótce miało to jednak nastąpić.

– Powinieneś tam pójść i zobaczyć się z nim – powiedział łagodnie Kimon. – Jutro ruszamy... trzeba odbyć wszystkie pożegnania.

– Oczywiście, zrobię to – odrzekł Perykles.

Wiedział, że wywierają na niego nacisk, a tego nie lubił. Tetyda najwyraźniej rozumiała to lepiej niż on. A jednak jej oczy skierowane były na Kimona, który odwrócił się i patrzył w morze, chcąc jak najprędzej odpłynąć, by się tam znaleźć.

* * *

Gdy Perykles wszedł do domu przy porcie, światło lamp było przytłumione. Jego ojciec był właścicielem posesji w środku Aten, jak również otaczających ją gruntów, ale podróżowanie do miasta i z powrotem było dla niego zbyt trudne.

Wynajął więc kilka pokoi w porcie, skąd mógł każdego ranka wychodzić do okrętów.

Perykles uniósł brwi w zaskoczeniu, widząc matkę razem z jego siostrą Eleni w ciemnym welonie. Eleni, już zamężna, wyrosła na piękną młodą kobietę. Miała jedno dziecko, a drugie rosło w jej łonie. Czas i przeżycia odcisnęły na niej jednak swoje piętno, uwidaczniając głębokie bruzdy wokół ust. Pełna godności podeszła, żeby powitać brata, i objąwszy go, przycisnęła czoło do jego szyi. Trudno było rozpoznać w niej dziewczynę o podrapanych kolanach, która kiedyś uczyła go konnej jazdy na polu za domem, ale Perykles wiedział już, że kobiety z czasem rezygnują z takich rzeczy.

Oczy Eleni się rozszerzyły, gdy ujrzała Tetydę za plecami brata. Tamta przyszła, bo Perykles ją o to poprosił, ale wyraźnie czuła się nieswojo w takim momencie. Pod świdrującym spojrzeniem obu kobiet Tetyda zaczerwieniła się i opuściła głowę. Wymamrotała jakieś pozdrowienie do matki i siostry Peryklesa zdziwionych jej obecnością w tym domu w towarzystwie młodzieńca. Prawdę mówiąc, Tetyda sama się sobie dziwiła.

Stała obok Eleni, gdy Perykles ruszył dalej w głąb domu, odpowiadając na szybki gest matki. Mężczyzna leżący na pryczy zdawał się nieświadomy ich obecności. Leżał, oddychając płytko, oświetlony słabym płomieniem lampy. W tym świetle wyglądał na ogorzałego, jego skóra miała barwę matowego złota. Perykles ujął dłoń ojca. Była dziwnie gorąca.

Oczy Ksantypposa się otworzyły i przechylił głowę, patrząc na syna. Natychmiast z wielkim trudem próbował się podnieść. Matka z córką stanęły obok Peryklesa, aby pomóc ojcu, podkładając mu poduszki pod plecy. Eleni przyłożyła chustkę do jego czoła i starła z niej pot. Oddech Ksantypposa, głośniejszy niż powinien, zdawał się wypełniać mały pokój.

– Jesteś wreszcie – powiedział. – Myślałem, że nie przyjdiesz. Jak tam... nasza flota? – Kręcił głową na wszystkie strony jak ślepiec, przesuwając językiem po wyschłych dziąsłach i zębach. Perykles zauważył, że dyszy, a jego usta między oddechami pozostawały otwarte. A skóra była bardziej żółta niż złota, uświadomił sobie. Przyszedł nowy transport dębiny? – ciągnął Ksantyppos. – Nie ufam tym macedońskim dostawcom... ktoś powinien przejrzeć wszystkie partie i sprawdzić, czy drewno jest mocne.

– Dobrze, ojcze, zrobię to – odparł Perykles. – Nie martw się.

Poczuł uścisk jego dłoni na swoich palcach i Ksantyppos potaknął, po czym opadł na poduszki. Wystarczyła jego obietnica, jego słowo. Gdy Perykles to zrozumiał, doznał nagłego przypływu dumy. Zjeżyły mu się wszystkie włoski na

karku, gdy ponownie spojrzął na Ksantypposa. Ojciec nie był stary, ale coś okropnego trzymało go w swoich szponach. Coś, co mogło go już nie wypuścić.

– Popłyniesz jutro z flotą? – zapytał. Było to dziecinne pytanie. Perykles pomyślał, że Ksantyppos nie odpowie na nie, ale on otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Nie sądzę. Muszę trochę wypocząć, nabrać sił. Twoja matka robi z tego wielką sprawę, wiesz dobrze. Popłyniesz na Cypr beze mnie. Ufaj Arystydesowi. To dobry człowiek. – Oczy się zamknęły, a on odwrócił głowę, oddychając spokojnie.

– Czy ojciec śpi? – zapytał Perykles. – To dobrze. Wygląda na wyczerpanego.

Matka przez chwilę nie odpowiadała, wyrównując poślanie i poduszki, na których spoczywał Ksantyppos.

Kiedy Perykles się wyprostował, matka podniosła wzrok i spojrzała na niego.

– Musisz nas opuszczać, Peryklesie? Ojciec martwi się o posiadłość. Sam nie jest w stanie... Trzeba mężczyzny, by się nią zajął, aby mieć pewność, że nie osaczają nas złodzieje.

Perykles poczuł wzbierający gniew. Popełniła błąd, mówiąc w ten sposób w obecności Ksantypposa, jakby już nic nie znaczył.

– Sądzę... – zaczął, starannie szukając słów – ...że ty i Eleni jakoś przeżyjecie. Mój obowiązek to być z flotą. – Zabrzmiało to nieco pompatycznie, nawet dla niego. Kiedy się odwrócił, zobaczył Tetydę, która wciąż stała w drzwiach z szeroko otwartymi oczyma. Serce w nim drgnęło, gdy dostrzegł, jaka jest piękna. – Chodź – powiedział. – Nie mamy tu już nic do roboty.

* * *

Powietrze w porcie pachniało solą, rybami i oliwą. Razem z ateńską flotą szykującą się do postawienia żagli następnego dnia był to świat daleki od chorób, miejsce pełne krzątania i zdrowego gwaru, z okrzykami i nawoływaniem mężczyzn noszących worki lub deski. Perykles pomyślał o ostatniej dostawie dębiny i o tym, że należy ją sprawdzić. Machnął ręką. Już go to nie obchodziło.

Spojrzał na Tetydę, która wciąż miała na ramieniu torbę z planami i rachunkami. W jednej ręce trzymała zapomniany zwój. Zauważył, że kreski wokół jej oczu rozmazały się, tworząc smugi.

– Powinienem... zanieść te rejestry do Arystydesa, Tetydo – powiedział. – Wypływam jutro z Kimonem. To wszystko powinno...

Nagle było tego za wiele. W sposobie, w jaki na niego patrzyła, było coś, co kazało mu zamilknąć. Upuściła torbę i przytuliła go. Zrobiła to niezręcznie, niepewna, czy on tego chce.

– On może wyzdrowieć – mruknęła.

Czuł zapach jej włosów, woń kwiatów.

– Na pewno! – odrzekł. – Nie znasz go. Jest taki silny... – Perykles przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza, i pokręcił głową. – Kochał mojego brata Aryfrona, nie mnie. – Spojrzał jej w oczy, uświadamiając sobie nagle, że ją obejmuje, czuje jej oddech na swoich ustach, przywiera do jej ciała. – A co z tobą? – zapytał. –

Co zrobisz, kiedy jutro odpłynę? Miasto nie jest bezpieczne dla samotnej kobiety.

– Mam pokój – odparła Tetyda. Zagryzła wargę, gdy zaczął się jej przyglądać ze zmartwieniem. – Jest tu dość pracy. Z czasem zaoszczędzę tyle, by wrócić do Teb. Może moi rodzice wciąż żyją, nie wiem. Poradzę sobie.

Myśl o jej utracie stała się nagle nie do zniesienia. Czas upływał, a Perykles mówił.

– Dlaczego nie wyjdiesz za mnie? – rzucił. – Chyba wiesz, co do ciebie czuję.

Tetyda stała nieruchomo.

– Jesteś przejęty ojcem i bliskim wyjazdem, Peryklesie. Nie mów czegoś, czego będziesz potem żałował.

– Nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewien – odrzekł. – Jako moja żona zostaniesz z moją matką. Będziesz wtedy bezpieczna, otoczona moją rodziną.

– Jestem od ciebie starsza – szepnęła.

Nie kochała go. Kochała Kimona, swego wybawcę, który ledwie na nią spojrzał, odkąd wrócił do domu. Ale myśl o pozostaniu samej w nieznanym mieście ją przerażała. Znała port i to sprawiało, że cierpła jej skóra. Ateny miały tylko jedno zajęcie dla obcych kobiet. Życie było twardsze, niż sądził Perykles. Została porwana za młodu i zmuszona do życia w otoczeniu mężczyzn niewiele lepszych od wilków. A jednak jakoś wśród nich przetrwała.

– Powiedz „tak” i nic więcej nie będzie miało znaczenia – nalegał Perykles. –

Przyprowadzę kapłana i dopełnimy ceremonii w porcie z Kimonem jako świadkiem. Moja matka i siostra też tu są, Tetydo! Pozwól, by przyjęły cię do rodziny. Powiedz „tak”.

– No więc... tak – powiedziała. Uświadomiła sobie, że płacze, gdy Perykles przycisnął usta do jej ust. Robił to długo i tak mocno, że aż ją zabolalo.

Kapłani Hery i Apollina byli pod ręką, gotowi pobłogosławić okręty. Perykles posłał jednego z wioślarzy, żeby ich przywołał, a praca w tej części portu powoli ustała, gdy słońce zaszło i zapalono pochodnie. Kimon wyszedł z ładowni okrętu flagowego i spojrzał ze zdziwieniem na Peryklesa, gdy ten odciągnął go na bok. Trudno było wytrzymać jego badawczy wzrok, ale Perykles się na to zdobył.

– Słyszałem, że twój ojciec jest bardzo chory – powiedział Kimon. Uściskał młodszego towarzysza. – Przykro mi. Wiem co nieco o tym, co się wówczas czuje. A teraz chciałbym ci poradzić, żebyś nie robił niczego pochopnie, Peryklesie, przynajmniej przez jakiś czas. Może masz wrażenie, że powinienes zrobić to szybko, zanim wypłyniemy o świcie, ale przecież Tetyda wciąż tu będzie, kiedy wrócimy, jestem tego pewien. Lepiej poczekać z ożenkiem do powrotu.

– Nie, tak jest dobrze. I z moim ojcem też będzie dobrze, jest silny. Wiesz co, Kimonie... – Zawahał się i zaczerwienił. – Wiem, że ty i Tetyda...

Perykles przerwał i w tym momencie to Kimon poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, że towarzysz nie spał tamtej nocy.

– Mam... nadzieję, że to nas nie poróżni.

– Nie, wcale nie. Ona mnie kocha, Kimonie. I ja też ją kocham.

– Jesteś więc szczęśliwym mężczyzną. Tylko że ona nie ma tu ojca, który mógłby ją za ciebie wydać.

– Jej były mąż nie żyje, a ona nie ma tu żadnych krewnych. Możesz wystąpić jako jej opiekun, Kimonie, jeśli się zgodzisz.

– Oczywiście. Jeżeli jesteś przekonany.

Perykles poczuł, że rośnie w nim irytacja, bo słyszy wyłącznie wątpliwości i krytykę.

– Tak, jestem przekonany.

– A zatem jestem szczęśliwy z waszego powodu.

Kimon stanął obok Tetydy, twarzą do kapłana Hery, który zaczął intonować słowa ślubnego ceremoniału, poświęcając swojej bogini związek młodych. Z konieczności obrządek ten, ze zrozumiałych względów, miał być jak najkrótszy, bo cała flota czekała, by wypłynąć w morze wczesnym rankiem. Tłum, który zebrał się wokół nich, przybył z okrętów; ludzie byli szczęśliwi, widząc syna Ksantypposa biorącego sobie żonę. Był to dobry omen dla wszystkiego, co ich czekało.

Niewiele tej radości widać było na twarzy jego wścieklej matki. Odwołano ją od łoża chorego męża, ubraną w welon zarzucony na ramiona, z włosami w nieładzie powiewającymi na wietrze. W ciemnym stroju nie była ubrana

stosownie do tej okazji, ale przynajmniej kolor pasował do wyrazu jej twarzy. Siostra Peryklesa też przyszła i ucałowała go, szepcząc mu do ucha, że wszystko będzie dobrze.

Kimon czuł oczy Tetydy na sobie przez długi czas, gdy ujmował ją pod ramię. Perykles stał przed nią, czekając, aż kobieta, która miała zostać jego żoną, zrobi krok do przodu.

Na wezwanie kapłana Kimon zwrócił się ku kobiecie, która miała wyjść za jego przyjaciela. Ich oczy się spotkały, a on poczuł nagły skurcz żołądka, gdy zrozumiał, co w nich widzi. Podeszedł z Tetydą odrobinę naprzód, a potem cofnął się sam, gdy ona zajęła miejsce obok Peryklesa.

Kiedy ceremonia się zakończyła i młodzi się pocałowali, tłum zaczął dziko wiwatować i porwawszy młodą parę, poniósł ją na ramionach do pobliskiej tawerny. Niebo było czyste, a wieczór wciąż jasny pomimo późnej pory.

CZEŚĆ DRUGA

Doświadczenie jest początkiem nauki.

– ALKMAN, spartański poeta

Artabazus opierał się o balustradę balkonu z polerowanego kamienia, zapatrzony w gwiazdzistą noc. Słyszał spokojny chlupot fal bijących o brzeg. Wdychając słone morskie powietrze, toczył między palcami lepka, czarną kulkę i czuł się pogodzony ze światem. Księżyc był w nowiu, ale jego sierp świecił bardzo jasno. Po drugiej stronie cieśniny widać było perski brzeg. Cypr był piękną wyspą, wspaniałym morskim klejnotem. Artabazus skinął głową, zastanawiając się, czy nosi już w sobie właściwy na ten wieczór poemat. Machnął ręką, uprzytomniwszy sobie, że zjadł i wypił zbyt wiele. Poeci potrzebują głodu, a nie smakołyków. Jego poezja zawsze na tym cierpiała.

Położył na języku jedną z małych kulek, mieszankę opium i haszyszowej żywicy. Wiedział, że za jej sprawą będzie miał niebawem marzenia tak żywe, jakby śnił na jawie, a zarazem świat przed jego oczyma zacznie się rozpływać. W taką noc, po czerwonym winie i dobrym towarzystwie, zmieni ona jego kąpielowe niewolnice w nimfy i anioły. Może doświadczenie to będzie jedynie pozłotą, czymś nie do końca realnym, ale czyż piękno nie sprowadza się jedynie do oddziaływania na zmysły?

Być może rankiem nie będę pamiętał wszystkich szczegółów, napomniał sam siebie. Prawdę mówiąc, uczta była trochę zbyt obfita i wiedział, że jeśli dłużej pozostanie na nogach, poczuje się bardzo źle. Kiedyś, dwadzieścia lat wcześniej, wziąłby drugą kulkę i rozpuścił ją w czerwonym perskim winie, po czym tańczyłby albo uprawiał miłość aż do wschodu słońca. Beknął cicho w stuloną dłoń.

Należało mu się nieco przyjemności i trochę snów lepszych od wspomnienia Greków i bitwy pod Platejami. Wciąż pamiętał zaufanie, jakie żywił wobec wielkiego króla pod Salaminą, zanim Kserkses zabrał część ich armii i floty i po prostu wrócił do domu. Jego biedni wodzowie poczuli się wówczas zagubieni, niezdolni zdecydować, czy lepiej będzie zaoferować Grekom wolność, czy raczej spalić wszystkie ich miasta na popiół.

Artabazus westchnął. Nocne powietrze pachniało słodką wonią kwiatów. Przybywszy tu, był zaskoczony wielką ich ilością i mnogością jaskrawych barw

na okolicznych wzgórzach. Cypr był odległym przypomnieniem kraju Greków, a nawet jego własnego domu. Nie znał nazw czerwonych kwiatów rosnących tam w takiej obfitości ani licznych krzewów pokrytych różowymi i purpurowymi pączkami wzdłuż drogi do portu, których olejkowym zapachem przepojona była morska bryza. Uśmiechnął się. Nie musi tego wiedzieć. Był wojownikiem, przynajmniej dawniej.

Pod Platejami Artabazus był świadkiem, jak wielka i szlachetna armia perska rozpada się w zderzeniu ze spartańskim czworobokiem. Sam posuwał się na lewym skrzydle razem z Mardoniuszem. Widział Persów i Medów miażdżących rozproszonych Greków ubranych w czapki z psiej skóry, zaczęło się tak dobrze! Odbiło mu się ponownie i gorzki smak rozlał mu się w gardle.

Potem chmara Persów rzuciła się na czerwone płaszcze. Artabazus był i wrzeszczał razem z innymi, czekając, aż wróg zostanie zmieciony w tym wielkim naporze będącym znakiem rychłego zwycięstwa. Wcześniej, pod Termopilami, w końcu ono nastąpiło. Ale nie pod Platejami. Zamiast tego Mardoniusz został trafiony rzuconą celnie włócznią, a krzyk, który się potem podniósł, był krzykiem rozpacz.

Wszędzie galopowały konie, przypomniał sobie Artabazus, oszalałe wierzchowce bez jeźdźców. Kwestią chwili było złapanie za uzdę jednego z nich i wykorzystanie jego szybkości do wskoczenia na siodło jak akrobata. Artabazus zmarszczył brwi na to wspomnienie. Może miał jeszcze zamiar zebrania armii, zwołania rozproszonej konnicy, która wydawała się tak zagubiona po stracie swego dowódcy Masistiusza. On również poległ i Artabazus w momencie, gdy znalazł sposób, by salwować się ucieczką, poczuł, że jak cień zbliża się jego własna śmierć. Nie było to więc takie dziwne, że spiął wierzchowca i wycofał się o kilkaset kroków.

Kilku zawstydzonych zwiadowców wycofało się wraz z nim z opuszczonymi głowami. Kiedy się odwrócił, ujrzał za sobą scenę zupełnego zniszczenia. Serce armii perskiej zostało wyrwane, a Spartanie wciąż stali otoczeni zwałem trupów. Ateńscy hoplici utworzyli własny czworobok i stali się kolejnym kamieniem, na który trafiła kosa jego doskonałych wojsk... Artabazus zapłakał na to wspomnienie. Otarł oczy. Opium dawało czasem takie skutki, zwłaszcza że zawsze był człowiekiem wielkich pasji. Obwód jego pasa świadczył o tym dobitnie. Widziałem zbyt wiele, myślał z żalem, odczuwałem zbyt głęboko. Ludzie w rodzaju Mardoniusza w porównaniu z nim byli zwykłymi bryłami lodu, podczas gdy Artabazus przez dziesięciolecia potrafił rozpatrywać rozmaite

wątki swoich wspomnień, ponownie przeżywając dawne cierpienia nawet w czasach radości.

Pod wpływem impulsu Artabazus wsunął do ust drugą kulkę, rozgryzł ją i połknął od razu. Tak właśnie należy przeżywać życie, pomyślał. Łykać je! Niech przypłyną dzikie sny! Cypryjski satrapa obiecał tego wieczoru swoim gościom wszystkie rozkosze świata. Jego gościnność była godna tego miana, a kąpiące się niewolnice stanowiły rozkosz szczególną. Artabazus spojrzął na księżyc, zaskoczony, jak szybko upłynęła większa część nocy. Zawsze jest miejsce na nowe rzeczy, pomyślał. Przesłaniają dawne cierpienia.

Plateje były już za nim jako wspomnienia z dalekiego kraju, z innego czasu. Artabazus skierował podziękowania do Ahura Mazdy i swoich aniołów stróżów za umożliwienie mu ucieczki z koszmaru tej klęski. Kości Mardoniusza na wieki pozostaną na polu bitwy, razem z Masistiuszem i Hydarnesem z Nieśmiertelnych. Z wszystkich perskich dowódców Artabazus był jedynym, który uszedł z życiem. Dziękując za to, dotknął ust i serca.

Około dwudziestu tysięcy umknęło wraz z nim z pola bitwy i w tumanach pyłu odjechało na północ, do Tesalii. Uniknął podejrzeń ze strony macedońskich sojuszników, mówiąc, że jedzie z misją zleconą mu przez wielkiego króla. W Tracji niemal zginął w zasadzce, ale wyszedł z niej cało. Powrót do domu zajął mu większą część roku, ale król Kserkses powitał go z otwartymi ramionami i wiele razy ucałował w usta. Artabazus zastanawiał się, czy równie ciepło powitałby Mardoniusza. Wyglądało na to, że dobrze być kuzynem wielkiego króla.

Kserkses obiecał mu własną satrapię w pobliżu Hellespontu. Miał tam zbudować nowy most. Artabazus poczuł, jak jego zmysły rozmywają się pod wpływem krążącego w żyłach opium. Poczuł też zimne mrowienie w nozdrzach i westchnął, podparłszy głowę ramionami, zapatrzony w morze. Jego kuzyn był dobrym człowiekiem. Kserkses cenił Artabazusa jako członka rodziny, ale też za to, że doskonale znał ziemie Hellenów. Artabazus wiedział, że gdy nadejdzie czas powrotu, otrzyma dowództwo. Nie popełni błędów Mardoniusza, nie z takim doświadczeniem. Miał plany, od których świat zadrży w posadach...

Myśli odpłynęły, zmieniając się w przejrzyste szkło, którego nie mógł już uchwycić. Wpatrzył się szeroko otwartymi oczyma w morze, nad którym wisiał srebrny sierp księżyca, rzucając na wybrzeże wąską smugę srebrzystej poświaty. Coś tam jest, pomyślał. Coś się rusza. Wytrzeszczył oczy, czując przyspieszone bicie serca palące w piersi jak ogień. Pojawił się strach, który odebrał mu mowę.

Przybyli po niego, był tego pewien. Węże ślizgające się po wodzie. Wiedzieli, że przed nimi uciekł, i pojawili się tutaj. Grecy, Grecy, Grecy. Zaczął płakać ze strachu, a jego głos zmącił nocną ciszę.

* * *

Arystydes słyszał, jak wydany przez niego rozkaz zatrzymania powtórzono na pokładzie. Wioślarze pod jego stopami wykonali długi wsteczny ruch wiosłami, wstrzymujący posuwanie się okrętu do przodu. Pokręcił głową, jakby się zdziwił, podczas gdy reszta floty przepłynęła obok. Zostały wokół niego tylko cztery okręty, trzy ateńskie i jeden pod wodzą spartańskiego trierarchy. Widok dwustu okrętów, albo i więcej, mknących z pełną szybkością w stronę wybrzeża, a potem wypływających ludzi na brzeg, porwał jego serce. Arystydes stał pod Maratonem przeciwko dwukrotnie lub trzykrotnie liczniejszej perskiej armii. Jeszcze większą chmarę ich wojska widział pod Platejami. Teraz, po raz pierwszy w życiu, wróg nie przewyższał liczebnie jego ludzi. Byli żelaznym młotem spadającym na uśpionego wroga. Rozkoszował się tą myślą.

Obserwował, jak na brzegu, pod gwiazdami, dowódcy ruszają z hoplitami w głąb wyspy. Srebrzyste czworoboki odrywały się od okrętów jak chrząszcze, umykając na wszystkie strony w poszukiwaniu wroga. Pewnie Kimon i Perykles chcieliby być wśród nich, pomyślał Arystydes. Dwaj przyjaciele mieli własne zdanie, lecz zachowywali je dla siebie, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie. U Peryklesa, odkąd wyruszyli z Aten, dawało się zauważyć przemyślaną ostrożność i rozwagę. Arystydes próbował z nim pomówić, gdy podnieśli żagle i ruszyli z główną flotą w stronę Cypru. Młodzieniec zbył jednak jego rady.

Nie komentowano choroby Ksantypposa, choć Arystydes każdego dnia boleśnie odczuwał jego brak. Ksantyppos onieśmiał nawet starszych dowódców, tak że w jego obecności gubili wątek. Był to szczególny dar i Arystydes żałował, że Ksantypposa z nimi nie ma.

Z uśmiechem przypomniał sobie pospiesznie zaaranżowany w ateńskim porcie ożenek. Uśmiechnięci hoplici i wioślarze stali wzdłuż nabrzeża i wykrzykiwali z tłumu różne sugestie. To wydarzenie podniecało lubieżną wyobraźnię tych wszystkich, którzy ponieśli Peryklesa z nowo poślubioną żoną do tawerny, gdzie młodym przydzielono najlepszy pokój na poślubną noc.

Arystydes chciał ostrzec Peryklesa, aby nie postępował pochopnie. Młodzi mężczyźni ciągle popełniali tego rodzaju błędy, co często powodowało, że cała rzecz kończyła się równie prędko, jak się zaczęła. Powstrzymywał go, choć wiedział, że w zamian spotkają go tylko ostre słowa i wyrzuty. Kobieta – Tetyda

– wyglądała pięknie. Bez względu na historię jej pierwszego małżeństwa wciąż była zdolna rodzić dzieci. Arystydes miał nadzieję, że się myli, ale wolał jednak małżeństwa solidne, aranżowane między wielkimi rodzinami, a nie takie pokazy. To był swego rodzaju teatr, uświadomił sobie, choć jeszcze nie było wiadomo, czy przedstawienie okaże się tragedią czy komedią.

Ksantyppos zasługiwał na wnuki. Życie pędziło naprzód i nie mogło być inaczej.

Okręty na brzegu pozostawiono pod strażą, w dobrym porządku. Inne stały na płyciźnie, gotowe w razie potrzeby do wyciągnięcia. Pauzaniasz doskonale potrafił zaplanować każdą kampanię, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Kimon także był godzien zaufania i Arystydes uspokoił się, widząc jego okręt kołyszący się na fali. Jego zadanie było mniej gwałtowne, mniej chaotyczne, może miało też okazać się niepotrzebne, lecz tego jeszcze nie wiedział. Cypr miał wiele zatok i zatoczek. Grecy obejrzeni to sobie dokładnie z łodzi rybackiej poprzedniego dnia, ale było tam tylko kilkanaście miejsc, w których dało się ukryć szybki okręt, być może dla powiadomienia perskiego króla.

Tę właśnie rolę wybrał dla siebie Arystydes. Pauzaniasz miał poprowadzić hoplitów na wyspie, ale gdyby jakiś perski okręt wyskoczył z ukrycia, czekał nań Arystydes, gotów połamać mu wiosła, staranować i posłać na dno.

Obserwując brzeg, miał wrażenie, że widzi jakiś bledszy kształt ukryty w kępie drzew. Czy był to maszt, czy może jakiś uschnięty dąb z odartą korą? Kręcił głową, wyciągał szyję, ale nie miał pewności. Nikt inny tego nie zauważył.

– Spuście łódź na wodę i powiadomcie innych. Ja podpłynę, żeby coś sprawdzić, a wy powiedzcie pozostałym, żeby utrzymali pozycje i zachowali czujność.

Pozostałe trzy okręty zostały wysłane na drugi koniec wyspy, choć miał wrażenie, że jest to tylko trwonienie sił. Perska twierdza znajdowała się po wschodniej stronie wyspy, bliżej stałego lądu. Pomiędzy ich garnizonem a drugą stroną wyspy rozciągały się góry. Pauzaniasz ostrzegł ich przed ogniskami sygnałowymi i Arystydes nie mógł zarzucić Spartaninowi, że cokolwiek zaniedbał. Wiadomość o tym najeździe nie powinna się przedostać do Persji, zanim będzie po wszystkim.

Odczekał, aż wysłana przez niego mała łódź przepłynęła od okrętu do okrętu, a potem zawróciła. Ksantyppos zawsze kochał morskie rytuały, zwłaszcza podczas wojny. Jednak Arystydes uważał je za nieznośnie powolne

w porównaniu z walką na lądzie. W dowodzeniu okrętami wydawało się, że nie potrafi podjąć najmniejszej decyzji bez poinformowania o niej innych. Oczywiście mieli flagi sygnałowe na użytek w ciągu dnia, ale nocą każdy okręt był tylko cieniem, gdyż podczas ataku zakazywano palenia lamp na pokładzie. Począł, aż księżyc znajdzie się nad jego głową, wychylił się przed dziób i obserwował wyspę.

Jeden z jego hoplitów wrócił, uklonił się przed archontem, onieśmielony koniecznością przemówienia do niego.

– Spartanin powiedział, że nasze rozkazy nakazują utrzymywać pozycje, a nie uganiać się za każdym cieniem. Kazał czekać.

Mówił bardziej w przestrzeń, niż patrząc wprost na Arystydesa. Starszy mężczyzna rozumiał jego zakłopotanie. Spartanie nigdy nie dbali o to, jak ich słowa zostaną przyjęte. Arystydes westchnął w duchu.

– Rozumiem. Możesz wrócić na swoje stanowisko.

Odczekał, aż mężczyzna dołączy do milczących pokładowych wojowników, po czym nieco mocniejszym głosem wydał własne rozkazy:

– Keleustesie, ćwierć szybkości do przodu. Sternicy, kierujcie się na tę ciemną plamę na brzegu. Tam „utrzymamy pozycję”, jak kazano. Kiedy wytropimy tę zatoczkę, zatrzymamy się przed jej ujściem.

Może była to głupia дума albo niepotrzebny dziecinny upór, lecz Arystydesowi serce zabiło szybciej. Pod Płatejami wykonywał wiernie rozkazy Pauzanasza, ale morze nie należało do Spartan. Morze było dla ludzi takich jak Temistokles, Ksantyppos, Kimon... i on sam. Powrócił myślami do tego, co Kimon powiedział o Spartanach i ich oskarżeniach. Arystydes wiedział, że jeśli nadarzy się okazja, nie zawaha się ani chwili. Morze należało do Aten.

Pod jego stopami zagrzechotały cicho wiosła, po czym zgodnie zanurzyły się w wodę. W spokojnej ciszy słyszał delikatny rytm wybijany przez keleustesa. Wioślarze mu ufali, wiosłując po omacku. Arystydes cichym gwizdnięciem przywołał pomocnika cieśli. Kazał mu stanąć na dziobie i wypatrywać, gdzie w białej pianie załamują się drobne fale. Posuwali się naprzód powoli i równo. Arystydes pewnie trzymał się na nogach, nie okazując zdenerwowania. Wiedział, że gdyby wprowadził ich na mieliznę albo przedziurawił kadłub, nigdy by się nie dowiedział, jak to wszystko się skończy.

Perykles rzucił się naprzód mrocznym korytarzem. Kimon dotrzymywał mu kroku z lewej. Tarcze, które trzymali przed sobą, były zaprojektowane dla potrzeb pola bitwy. Każda z nich miała częściowo osłaniać sąsiada w szyku. Perykles z Kimonem całkowicie blokowali tę wąską przestrzeń. Postępujący za nimi wyłamywali kopniakami mijane drzwi, przeszukując pomieszczenia i zabijając tych, których tam znaleźli. Perykles nie miał najmniejszego pojęcia o wielkości perskiego garnizonu, a ich jedynym atutem było zaskoczenie, które z każdą chwilą malało.

Główne bramy były otwarte w związku z jakąś uroczystością obchodzoną na Cyprze. Plany się zmieniły, gdy Perykles z setkami hoplitów przez nie przebiegł, podczas gdy ludzie przystawali w szoku. Greckie oddziały wtargnęły za kurtynowe mury i znalazły się w obrębie umocnień wewnętrznych w samym środku świątecznych obchodów. Gdy perscy goście zobaczyli spiżowe hełmy i czerwone płaszcze biegnących mężczyzn, upuścili na ziemię puchary z winem i rzucili się do ucieczki.

Z wysokich murów wystrzelono kilka strzał, ale to jedynie przyciągnęło uwagę Greków w dole, którzy natychmiast wysłali pościg po schodach wiodących na szczyt. Wiele rzeczy złożyło się źle dla perskiego garnizonu, ale wojna nigdy nie jest uczciwa. Wrogowie myśleli, że są na tej wyspie bezpieczni, uświadomił sobie Perykles, daleko od floty Morza Egejskiego. Był to straszliwy błąd.

Gdy dotarł do końca korytarza, oddziałek Persów wzniosł tam tarcze, lekkie, lecz mocne, zrobione z wikliny. Nie wyglądało na to, by mieli zamiar uciekać. Perykles ledwo miał czas pojąć, co się dzieje, a już zderzył się tarczą z tamtymi, chroniąc biegnącego z lewej Kimona. Prawą ręką ciął z góry, zahaczając mieczem o belkę stropową. Spróbował go wyrwać i tylko wąski korytarz i powstałe zamieszanie uratowały mu życie. Pers uchylił się przed ciosem, który nie spadł, po czym odzyskał orientację i pchnął mieczem, zamierzając przebić się przez szeroką tarczę hoplity. Takie były niedogodności walki w ciasnej przestrzeni! Perykles przeżył krótki atak paniki, gdy rękojeść uwięzłego

w drewnie miecza wymknęła mu się z dłoni. Na szczęście wróg okazał się dość powolny i Perykles, pozostawiwszy wbite w belkę ostrze, zdążył sięgnąć do pasa Kimona i wyrwać zza niego kopis.

Krótką spartańska klinga okazała się w tym miejscu znacznie lepszą bronią. Perykles poczuł jej ciężar w dłoni, jakby nagle odkrył coś wielce przyjaznego. Machnął kopisem i ciął mężczyznę w szczękę, odrąbując jej kawałek. Krew trysnęła na nich obu i Pers upadł z krzykiem. Dwaj pozostali strażnicy wymierzyli w nich włócznie, zdzierając z tarczy Peryklesa cienki pasek brązu, gdy ten zablokował pchnięcie, ratując Kimona. Ograniczył się do ciosów wokół krawędzi tarczy, tnąc piszczele, stopy, ręce i wszystko, czego zdołał dosięgnąć. Persowie byli dzielni, ale Grecy mieli przewagę. Wrogowie padli albo uciekli, kuśtykając, gdy rany odebrały im wolę walki i siły.

Kimon i Perykles parli naprzód. Za ich plecami kolejna para hoplitów zachowała długie doryckie włócznie, co w tym korytarzu było zupełnie pozbawione sensu. Byli jednak doświadczonymi wojownikami i używali liściastych grotów, zadając na przemian pchnięcia i cofając drzewce, jakby szli w drugim szeregu falangi. Okazało się, że ta czwórka stała się nagle murem migających ostrzy, stale poruszającym się do przodu. Persowie nie mogli bronić się przed jednymi, nie będąc ranieni przez drugich.

Perykles nie był pewien, czy on i Kimon stali się szybsi, czy po prostu ich zmysły sprawiały, że tacy się czuli. Przez chwilę zdawało mu się, jakby byli nietykalni. Ciął kopisem w szyję następnego Persa i wyrwał ostrze, widząc, jak na twarzy tamtego maluje się wyraz zaskoczenia, a zarazem strachu i bólu. Była to bardziej rzeźnia niż bitwa. W tym momencie Perykles poczuł, jak ostrze miecza trafiło go w pierś i zgrzytnęło o kość, a potem ześlizgnęło się w bok, przecinając ciało. Ból przeniknął go jak błyskawica, po czym zniknął równie szybko, jak się pojawił. Jego riposta była błyskawiczna, trafił w rękę tego, który go zranił. Kopis był narzędziem rzeźnickim, wymagający bardziej siły i szybkości niż umiejętności szermierczych. Dzierżąc go w rękę, Perykles szarpał wrogów jak wilk. Wraz z Kimonem rozgniatali Persów, ufając, że idący za nimi poderzną leżącym gardła, aby mieć pewność, że nie wstaną.

Perykles wznosił wysoko tarczę, gdy więcej strażników wypadło z bocznej komnaty. Ten spizowy krąg był sam w sobie bronią, napierał więc nim na twarze atakujących, miażdżąc im palce i osłabiając chwyt na rękojeściach mieczy. Uderzał krawędzią tarczy albo umbem. Po raz pierwszy Perykles zrozumiał, dlaczego trening ateński kładł taki nacisk na ćwiczenia pięściarskie. Kimon dyszał ciężko. Perykles jednak oddychał równo, w końcu był synem

Ksantypposa, który go szkolił. Tarcza nie ciążyła mu zbyt na ramieniu, które przez tysiące godzin ćwiczeń odpierało i zadawało ciosy.

Poczuł ogarniające go falami gorąco. Powietrze zdawało się migotać, wirować cienkimi nitkami światła, przesłaniając mu oczy. Wiedział, że otrzymał cięcie. Nie było czasu, by przyjrzeć się ranie, ale czuł mdłości i coś chłodnego, co pokrywało przód jego chitonu. Persowie nosili ciemne zbroje lamelkowe z przytwierdzonymi do ubrania paskami emalii. Stwierdził, że kopis nie daje rady ich przeciąć, choć Persowie krzywili się z bólu po każdym jego ciosie.

Coś uderzyło go w nogę. Kiedy spojrzał w dół, dostrzegł wyciekającą ponad krawędzią nagolennika krew, jakby przelewała się nad brzegiem pucharu. Noga w jednej chwili osłabła i z każdym krokiem pryskały z niej krople krwi. Nie czuł jednak bólu, za co był wdzięczny. Zdało mu się, że Kimon krzyczy i odciąga go w tył. Zauważył, że posadzka zrobiona była z polerowanego drewna. Jeden z Persów uderzył w jego tarczę, wbijając mu jej krawędź w twarz. Z jakiegoś powodu zabolalo to bardziej niż poprzednie rany, na nowo wzbudzając w nim gniew. Perykles ciął kopisem dłoń trzymającą rękojeść miecza, za co wynagrodzony został wrzaskiem, gdy palce Persa pofrunęły w powietrze. Jego broń upadła i Perykles uśmiechnął się zakrwawionymi zębami.

Walka wewnątrz budynku, a nie na wolnym powietrzu, była jak sen. Cały plan uległ zmianie, gdy zastali otwarte bramy. Pauzaniasz ze Spartanami ruszył do ataku na strażników, którzy byli tam obecni, i zabił ich, zanim zdążyli się zorientować, co się dzieje. Szok sprawił, że Persowie zamarli w bezruchu, a hoplici przebili się przez tłum, nie zwalniając na dziedzińcu, po czym wbiegli na schody. Forteca była całym miastem z większą liczbą komnat, sal i krużganków, niż mogli sobie wyobrazić. Perykles nie miał pojęcia, w którym miejscu zabudowań się znalazł ani jaką rolę odgrywa w ogólnym planie ataku. Miał tylko nadzieję, że cała ich siła nie została odcięta w jakimś ograniczonym miejscu, podczas gdy główny perski garnizon zbiera się gdzieś, by runąć na nich jak zimowy sztorm.

Nie zmęczył się tak jak ci, którzy stawiali im czoło. Strażnicy, z którymi walczyli, byli już ostatni w tej części forticy i przypuszczalnie najstarsi. Widział w ich brodach kosmyki siwizny oraz złoto na szyjach i nadgarstkach. Gdy broń zaczęła im ciążyć, Perykles wyciągnął kopis i ciął nim ciało i kości w nieprzerwanym ataku. Ranił jednego z Persów w kostkę, gdy przysiadł pod tarczą, aby się osłonić. Tamten upadł z krzykiem, który był najstraszliwszy w całym szoku, jakiego doznał. Perykles przyklęknął na kolano, aby go zabić,

lecz przeciwnik przelazł górą nad jego tarczą. Perykles wstał pomimo ciężaru, wspomagany młodością, siłą mięśni i woli.

Kimon chrząknął, gdy z ledwością udało mu się zbić zabójczy cios. Stojący naprzeciw niego Pers zachował tyle spokoju, żeby zahaczyć grecką tarczę i odciągnąć ją w bok. Zrobił to zgrabnie i następny cios ciął Kimona przez żebra, gdy uchylał się desperackim obrotem. Rana zapiekła jak ogień, ale lepsze to, niż zostać przebitym. Zabił przeciwnika szybkim wypadem. W tym momencie akcja się zatrzymała i zapanował krótki spokój, gdy wszyscy przykucnęli w gotowości, gotowi do następnego ataku.

Ostatni strażnik leżał nieruchomo, gdy Kimon i Perykles przedostali się do dalszych pomieszczeń. Dyszeli ciężko, ubrudzeni kurzem i krwią, ale stali z bronią w pogotowiu i z uniesionymi tarczami.

W komnacie znajdowali się mężczyzna i dwie kobiety. Mężczyzna zamiast zbroi miał na sobie jedwabne szaty i stał przed kobietami z mieczem wysadzonym drogimi kamieniami. Na jego twarzy malowała się furia, jak również pewna kalkulacja, gdyż najwyraźniej wziął pod uwagę ich rany i widoczne zmęczenie. Jedno było pewne: nie zamierzał się poddać.

Kimon spojrzał na Peryklesa i otworzył szeroko oczy, ujrawszy ciągnącą się za młodym Ateńczykiem strużkę krwi. Perykles był poważnie ranny, choć zdawał się o tym nie wiedzieć. Za nimi do komnaty wpadło jeszcze dwóch hoplitów. Bez rozkazu rozeszli się na boki i stanęli z uniesioną bronią, osłonięci tarczami, gotowi stawić czoło jednemu wrogowi. W korytarzu jakiś keleustes czy trierarcha przywoływał następną grupę. Wsunął na moment głowę do środka z milczącym zapytaniem w oczach.

– Wszystko pod kontrolą – rzucił Kimon.

Głowa zniknęła, a po chwili rozległ się donośny szcęk metalu oraz tupot wojowników biegnących w poszukiwaniu wrogów.

– Odłóż miecz albo zostaniesz zabity – powiedział Kimon wyraźnie i głośno, jakby mówił do dziecka.

Pers zdawał się nie rozumieć, uświadomił sobie Perykles. Zdążyli się jednak nauczyć paru perskich słów.

– *Teszlam?* – zapytał Kimon, próbując cudzoziemskiego słowa. Raczej nie zabrzmiało to jak rozkaz poddania.

Mężczyzna zmarszczył brwi, ale nie opuścił miecza. Perykles poczuł zawroty głowy. Zrobił krok naprzód, aby złapać równowagę, jakby ktoś popchnął go z tyłu. Pers wyrzucił wtedy z siebie potok słów, a Kimon postąpił ku niemu z mieczem i tarczą, gotów go zabić.

Jedna z kobiet podniosła ręce, ukazując puste dłonie.

– Proszę... dosyć – powiedziała nieporadną greką. – Mój brat nie mówi. Poddajemy się. – Potem wyrzuciła z siebie gwałtownie szereg słów po persku, a mężczyzna spojrzął przez ramię i odparł coś gniewnie. Ona czekała, on zaś po chwili rzucił z niechęcią miecz. Broń brzęknęła na płytach posadzki i potoczyła się pod nogi Kimona. – Ród królewski... Achemenidzi – ciągnęła kobieta. Jej akcent był dziwny, ale Perykles ją rozumiał. – Wy nagroda... jeżeli nie skrzywdzicie.

Perykles zmierzył ją wzrokiem. Komnata nagle pojaśniała. Na wschód wychodziło okno, w którym wisiały falujące w powiewie bryzy zasłony. Stracił poczucie czasu i kierunku, a pomieszczenie wypełniły niespodziewanie wspomnienia krwi i śmierci. Posadzka zrobiona była z gładzonych kamiennych płytek, w pokoju stały ogromne łóżko, dwie toaletki, a także polerowane srebrne lustro odbijające światło. Dostrzegł w nim nagle jakiś ruch, uświadomił sobie. Poruszył ręką, dostrzegając jej odbicie. Powierzchnia zwierciadła była niewiarygodnie gładka. Czyżby to słońce wzeszło? Istotnie tak było.

Perykles nie przyjrzał się zrazu kobiecie, ale po chwili zdumiał się jej widokiem. Miała ogromne, ciemne oczy, które wpatrywały się w niego. Jej usta... Przypomniał sobie, że jest od niedawna żonaty. Miała na sobie bladoniebieskie, wielowarstwowe okrycie z czegoś w rodzaju cienkiej gazy, która przesłaniała ciało pod spodem, ale jej młodość i uroda i tak były oczywiste. Powietrze przesycone było zapachem perfum, a może wonią kwiatów otwierających się w słońcu. Postąpił jeszcze jeden krok.

– Twój przyjaciel chyba upadnie – powiedziała kobieta. – Proszę, nie zabijajcie... jeżeli upadnie. Jesteśmy jeńcami. Daję słowo... przysięgam jako córka Achemenidów.

Kimon spojrzął na Peryklesa.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Pers, który odrzucił miecz, wyrzekł coś tonem równie gniewnym jak wcześniej. Kimon patrzył na niego przez chwilę, po czym skinął głową i zwrócił się do kobiety:

– Powiedz bratu, żeby milczał albo go zabiję.

Natychmiast przetłumaczyła jego rozkaz. Brat spojrzął na nią, przeciągnął dłonią po włosach, ale więcej się nie odezwał.

– Zwiążcie ich – rzucił do dwóch stojących za jego plecami hoplitów.

Kiedy to mówił, Perykles runął z trzaskiem jak długi na wypolerowaną posadzkę.

* * *

Arystydes poczuł skrytą satysfakcję, gdy wpłynęli do zatoczki. Rzeczywiście kotwiczył tam przy kamiennym nabrzeżu perski okręt. Na jego pokładzie trwało widoczne poruszenie. Gdy wiosłarze Arystydesa wprowadzili ateńską trierę do wylotu zatoczki, tamci właśnie odcumowali. Rzucili liny na brzeg, a ich wiosła zagrzechotały, odpychając okręt od nabrzeża.

Coś się zmieniło w jednej chwili, gdy zauważyli, że drogę ucieczki blokuje im obcy okręt. Arystydes uśmiechnął się na myśl o Spartaninie. Z pewnością wytknie mu ten błąd, kiedy go zobaczy. Zawsze uważał, że takie lekcje nie idą na marne.

Przez chwilę, w zapadłej nagle ciszy, Arystydes rozważał swój następny ruch. Na wodzie nie było dość miejsca, aby wrogowie mogli go ominąć albo uciec. Znaleźli się w potrzasku, tak jakby Arystydes związał ich linami. Usłyszał rozkazy wydawane po persku i zmarszczył brwi, widząc, jak ich okręt zaczyna się cofać do nabrzeża. Ktokolwiek nim dowodził, zauważył beznadziejność swego położenia. Może nadal chcieli się wymknąć. Świt sprawił, że stało się to trudniejsze, ale Cypr był wielką wyspą. Ktoś znający ją dobrze mógłby z łatwością tam zniknąć.

– Sternicy! – krzyknął za siebie Arystydes. – Wsuńcie nas między nabrzeże a nich.

Był to delikatny manewr, ale wciąż jeszcze płynęli siłą bezwładu, a woda była gładka jak szkło. Zanim perska jednostka zdążyła zanurzyć wiosła i zacząć się wycofywać, ateńska triera już do niej dotarła i zaczęła się o nią ocierać. Wciągnęła błyskawicznie wiosła, nie dopuszczając do ich połamania. Zostało to pięknie wyliczone, a zgrzytające o siebie kadłuby zaczęły się zatrzymywać. Kilku ludzi widocznych na nabrzeżu rzuciło się do ucieczki.

– Do abordażu! – krzyknął Arystydes.

Miał dwudziestu hoplitów gotowych do ataku. Podbiegli do burty, a w tej samej chwili tamta załoga ukazała się na pokładzie, podnosząc ręce na znak poddania.

– Artabazus z rodu Achemenidów poddaje ci się – zawołał ktoś po grecku. – Z honorem, bez podstępów. Masz jego słowo i uległość.

Arystydes znał to imię. Poczuł skurcz w gardle na wspomnienie tamtego dnia na równinie pod Platejami, gdy powietrze gęste było od pyłu i obecnego w nim smaku śmierci. Machnął ręką na hoplitów, ci zaś przeskoczyli na drugi pokład bez przemocy i zajęli pozycje. Arystydes zerknął nieufnie na niewielką szczelinę

między burtami okrętów, ale zdołał dołączyć do tamtych i zaczął szukać tłumacza.

Dostrzegł go leżącego twarzą w dół na deskach w pozycji absolutnego poddaństwa. Tłumacz był oczywiście osobą bez znaczenia. Liczył się tylko jego perski pan, który stanął nad nim. Artabazus był niski i gruby w porównaniu ze swymi rodakami. Arystydes uświadomił sobie, że już go widział dowodzącego wojskiem tamtego dnia.

– Ty jesteś Artabazus? – zapytał.

Tłumacz powtórzył jego słowa, a człowieczek potaknął. Miał ciemne oczy, a w nich widoczny był smutek czy może wściekłość, trudno było to stwierdzić. Artabazus przez cały czas kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało. W porównaniu z nim Arystydes zachowywał się dość pewnie i wyrozumiale.

– Moje życie przyniesie wam fortunę – powiedział Artabazus – ale tylko wtedy, gdy będę dobrze traktowany.

Tłumacz powtarzający słowa swego pana ani na chwilę nie podnosił głowy, więc jego głos dobiegał ich uszu nieco stłumiony. Arystydes się uśmiechnął. Artabazus przybył do Grecji z wielkim królem, z jego Nieśmiertelnymi, jazdą i całą chmarą wojska, aby przerazić i podporządkować Hellenów. Arystydes czuł teraz smak tej chwili jak dobre wino na języku, widząc go tak pomniejszonym.

– Przyjmuję twoje poddanie, Artabazusie – powiedział z pewną satysfakcją. – Jesteś moim jeńcem.

Artabazus skłonił się głęboko, gdy tłumacz przełożył te słowa na perski. Arystydes potarł podbródek w zamyśleniu.

– Powiedz swemu panu, że z przyjemnością wysłucham jego wspomnień spod Platejów.

Gdy Artabazus to usłyszał, odpowiedział coś po persku z wyraźnym zaskoczeniem.

– Byłeś tam? – powtórzył tłumacz.

– Dowodziłem ateńskimi hoplitami – odparł Arystydes rzeczowym tonem.

Ku jego zdziwieniu Artabazus ponownie się uklonił.

– Walczyłeś dobrze – mruknął tłumacz, jakby niepewny tych słów. – Tylko przywódca Spartan zrobił więcej tamtego dnia.

Arystydes uśmiechnął się szerzej, ukazując wszystkie zęby, gdy pomyślał o Pauzaniu.

– On także tu jest. Przedstawię ci go, Artabazusie. – Z zadowoleniem ujrzał, jak usta mężczyzny otwierają się i zamykają jak u ryby, i zaśmiał się. –

Wyobrażam sobie, że Pauzaniusz będzie chciał wysłuchać, co masz do powiedzenia.

Perykles obudził się, gdy słońce stało już wysoko. Czyste bandaże spowijały jego szyję oraz ramię aż do żeber. Wszystko to swędziało niemiłosiernie i zaczął wiercić się w łóżku, próbując przyciągnąć uwagę tego, którego z nadzieją uznał za lekarza. Sądząc po kędzierzawej brodzie, mężczyzna był Persem, choć nosił szatę, która nie przyniosłaby mu ujmę nawet na Pnyksie w Atenach. Kimkolwiek był, podszedł natychmiast, gdy zauważył ruch. Perykles odchylił się od niego, unosząc rękę jak w obronnym odruchu. Lekarz cmoknął z niezadowoleniem i klepnął ją karcąco.

– Uspokój się, Ateńczyku – powiedział.

– Perykles – mruknął w odpowiedzi. Palce go zapiekły.

– Imię, które znaczy... „sławny”? Szeroko znany?

Perykles zarumienił się i skinął głową.

– Moje imię to Golszan – odparł medyk, uderzywszy się w pierś. – Oznacza ogród.

Przez chwilę uważnie mierzyli się wzrokiem.

– Stwierdzam, że wy, Grecy, jesteście w znacznym stopniu jak prawdziwi ludzie, a przynajmniej w tym, co się tyczy oczyszczania ran. Twoje zostały zszyte i zasklepione miodem w stylu egipskim. Tak? Wszystko będzie oczyszczane i nakładane na nowo co drugi dzień, aby wyciągnęło całą wodę i zgniliznę. Stary miód nie nadaje się do jedzenia. Rozumiesz?

– Tak. Mówisz bardzo dobrze.

Lekarz wzruszył ramionami, choć wydawał się zadowolony.

– Spędziłem część młodości w Knidos, gdzie uczyłem się w waszej szkole. Mój ojciec mawiał, że człowiek, który zna się na ranach, nigdy nie zazna biedy. Miał pod tym względem rację.

– Dziękuję ci – odparł Perykles. Spróbował nieco poluznić bandaże, wsuwając pod ich skraj palec i Pers ponownie klepnął go po ręce.

– Spartanie nie drapią – powiedział.

– Nie jestem Spartaninem – odrzekł Perykles.

Golszan się uśmiechnął.

– Wiem. Próbowałem zachęcić cię do przyjęcia wyższych standardów niż twoje własne. Lekarze kochają Spartan. Z wszystkich mężczyzn żalą się najmniej. Twoje rany są lekkie. Będiesz miał bliznę wzdłuż obojczyka i przez pewien czas będziesz utykał. Noga powinna odpoczywać przez miesiąc. Potem będzie znowu mocna. Nie wypada mi mówić o twoich osobistych nawykach. Jeśli jednak uda ci się przeżyć, to sugeruję, żebyś mył się trochę częściej. Rozumiesz?

Perykles poczuł, że rumieni się w zakłopotaniu. Na straży przy drzwiach stał hoplita, niewątpliwie przysłany tu przez Kimona, aby się upewnić, że Pers nie spróbuje udusić bezbronnych podopiecznych. Kiedy młodzieniec uniósł się na łokciach, jęknął z bólu, ale dzięki temu dostrzegł w komnacie jeszcze trzech wojowników leżących na niskich łózkach. Wydało mu się, że rozpoznaje jednego z nich, ale nie zdołał przypomnieć sobie jego imienia, więc tylko skinął mu głową i uniósł brwi w niezręcznym milczącym pozdrowieniu. Ku jego konsternacji mężczyzna udał, że drapie się pod pachami i między nogami, najwyraźniej rozbawiony. Perykles odwrócił z niechęcią wzrok, nagle rozgniewany. Nie zauważył już zmiany na twarzy mężczyzny.

– Sam cię umyłem ściereczką i wodą z wiadra – kontynuował bezlitośnie medyk. – Nie powinieneś zostawiać oliwy na ciele tak długo, aż się zepsuje. Powinieneś zeskrobywać ją każdego dnia, kąpać się, a potem przemywać ciało wodą różaną albo oliwką lżejszą od oliwy z oliwek. Nie ma nic złego w zdrowym pocie, ale po pewnym czasie on kwaśnieje. Twój, muszę przyznać, był szczególnie gryzący.

– Dziękuję za rady – odparł sucho Perykles. Miał nadzieję, że jego wzrok sprawi, iż tamtemu zapłoną włosy, ale Golszan tylko wzruszył ramionami.

– To wszystko za darmo albo w zamian za pozostawienie mnie przy życiu, jak wyjaśnili wasi dowódcy. Nie zapomnij. Woda różana albo może...

– Tak. Dziękuję ci! – uciał krótko Perykles.

Lekarz zacisnął wargi w cienką linię. Wstał, zwracając się do strażników:

– Wasz pan zażądał, żeby go poinformować, kiedy ten młody człowiek się zbudzi.

– Kazano mi tu zostać – odrzekł hoplita.

Jego słowa spotkały się z ponownym wzruszeniem ramion.

– To już nie moja sprawa. Zrobiłem, o co mnie proszono.

Hoplita skrzywił się i wybiegł z komnaty. Perykles poczuł się nagle bezbronny, gdy medyk usiadł na brzegu jego łóżka i położył mu dłoń na czole.

Zastanawiał się, czy miałby dość siły, żeby się obronić, gdyby ten stary drań postanowił go udusić. Miał nadzieję, że tak.

– Jak długo tu jestem? – zapytał.

Golszan mruknął coś w swoim języku i wyprostował się.

– Zszywając rany, dałem ci do wypicia wyciąg z maku zmieszany z winem. Przez jakiś czas... gadałeś i miotałeś się, nie chciałeś leżeć spokojnie. Rana przy szyi była szarpana i wymagała pewnej ręki. Powiedziałbym, żebyś wrócił do mnie po sześciu tygodniach na wyciągnięcie szwów, ale któż wie, gdzie wówczas obaj będziemy, co? Och, wpadliście tu jak złodzieje i piraci dwie noce temu. To twój trzeci dzień na Cyprze.

– Czy... – Perykles spojrział w jego czarne oczy, tak czarne, że wokół źrenicy nie było nawet śladu jakiegoś koloru. – Zdobyliśmy wyspę? Utrzymujemy fortecę? – Przyszła mu nagle do głowy straszna myśl, że może być więźniem i że garnizon się obronił. Nie. Przecież wtedy stałby tam ich strażnik.

Medyk pochylił się ostrożnie i splunął na podłogę, po czym odpowiedział:

– Jesteście panami Cypru. Przynajmniej dzisiaj. Zanim wielki król ofiaruje górę pieniędzy waszemu przywódcy, tak żeby go całkiem przykryć monetami.

Mówił z szyderczym uśmiechem, który przerodził się w zmieszanie, gdy Perykles zaczął się śmiać, krzywiąc się co rusz z bólu.

– Myślisz, że wasz król zaproponuje pieniądze Spartaninowi? – wykrztusił. –

Ach... Ojej, nie mogę się śmiać. To boli. Proszę, proszę, pozwólcie mi spróbować. Pęknie mi serce na widok Pauzanasza, który załaduje to wszystko na statek, żeby zatopić go w morzu, albo wybierze jakiś inny spektakularny gest. Proszę, zabawcie nas rozmowami o bajecznym okupie.

Stukot podkutych sandałów zaanonsował powrót hoplity. Rzucił okiem na leżących pacjentów, wyraźnie uspokojony, że Pers nie skorzystał z jego nieobecności, aby pozbawić ich życia. Medyk przewrócił oczyma.

– Wstawaj, synu – powiedział hoplita. – Kimon prosi cię do siebie.

Ze stłumionym jękiem Perykles spuścił nogi z łóżka, jedną po drugiej, i wstał. Był nagi, nie licząc bandaża na piersiach i nodze. Hoplicie najwyraźniej to nie przeszkadzało, ale młodzieniec zaczął rozglądać się za jakimś odzieniem i z zadowoleniem zauważył na stole stosik czystych rzeczy obok całej kolekcji tarcz i hełmów. Nie było wśród tej broni kopisa, którym posłużył się w walce. Zapewne zabrał go już Kimon. Perykles powiedział sobie, że będzie musiał kupić od Spartan drugi, chociaż, zreflektował się, trudno będzie to zrobić, skoro nie używają monet.

– Pomóż mi się ubrać – polecił.

Golszan odruchowo postąpił krok ku niemu i to samo zrobił hoplita, słysząc rozkazujący ton, którego Perykles nauczył się od ojca. Owinęli stojącego między nimi Peryklesa w jedną sztukę jasnoblękitnego lnu, spinając ją na ramieniu brązową klamrą. Ten, stojąc, odprężył się. Poczł się lepiej, choć opuściwszy rękę do biodra, gdzie powinien być pas z mieczem, nie znalazł go tam.

* * *

Perykles wszedł do sali, która bardziej pasowałaby do królewskiego pałacu niż do wojskowej twierdzy. Nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie posadzek z gładzonego marmuru, które odzwierciedlały go tak wyraźnie, jakby stąpał po podszwach nóg własnego odbicia. I nie złożonych filarów albo kamiennego sklepienia, które rozciągało się promieniście jak skrzydła ptaka. Gdy spojrział w górę, powróciło wspomnienie sekcji martwej wrony, jaką przeprowadził, będąc chłopcem, i podniósłszy jej kości ku światłu, dziwił się ich złożoności.

Hopliti pełnili straż po bokach sali, ale nie panowała tam atmosfera ciszy i spokoju. Gdy Perykles podszedł bliżej, usłyszał brzękliwe odgłosy, jakby żelaza kutego na kowadle. Na jednym końcu pomieszczenia zebrał się tłum dwustu lub więcej ludzi. Jednak byli to jego ludzie. Tyle Perykles mógł stwierdzić jednym rzutem oka. Ale w tej samej chwili dostrzegł groźbę przemocy w środku panującego tam ścisku. Powietrze wręcz nią cuchnęło. Można było to zauważyć w sposobie poruszania głowami, we wskazywaniu palcami i w ostrym tonie podniesionych głosów dobiegających pomiędzy dzwoniącymi uderzeniami młota, i to na długo przedtem, nim zdołał wyłowić poszczególne słowa.

Perykles musiał przejść powoli, kulejąc, przez całą długość sali, aby tam się zbliżyć, pozbawiony zwykłej równowagi i pewności kroku. Żałował, że nie zapewnił sobie jakiejś podpory, kuli podobnej do tej, jaką miał Attikos. Zapewniłaby mu większą wygodę, tym bardziej że zaczął już odczuwać ból w nodze, który z każdym krokiem narastał. Już w połowie drogi zaczął się pocić i zastanawiał się, czy ten pot cuchnie tak, jak opisał to medyk.

Schylił głowę, pogrążając się w mglistych wspomnieniach. Nienawidził lekarzy, zwłaszcza tych wojskowych, specjalistów od pól bitewnych. Perykles myślał, że zagłądanie do wnętrza ciał innych ludzi w jakiś sposób im szkodziło. Żaden młody wojownik nie miał ochoty oglądać tych rzeźników kroczących po polu tuż po zakończonej bitwie i oglądających rannych w chwili ich największej słabości. Tak czy owak żałował, że nie potraktował perskiego medyka bardziej

obcesowo, zamiast dziękować mu jak jakiś głupiec. Typ był w końcu jego wrogiem.

Dotarłszy na skraj zbiorowiska, Perykles dostrzegł w ciżbie czerwony płaszcz Pauzanasza. Spartanin i jego strażnicy stali na czymś w rodzaju podwyższenia, górując o jeden krok ponad tłumem. Pauzanasz opierał dłoń na poręczy złoczonego tronu. Wróżbita Tisamenos stał obok niego, napełniając puchar winem, z wyrazem twarzy zupełnie dla siebie nietypowym. W gruncie rzeczy nie było prawie żadnej celebracji, jakby Grecy raczej przegrali, niż wygrali bitwę. Perykles przecisnął się przez stojących. Jego rany mu w tym pomogły. Ludzie rozsuwali się, widząc bandaż, niezwiązane włosy i bladą, spoconą skórę.

Perykles zauważył Kimona i Arystydesa, zanim oni go dostrzegli. Byli pogrążeni w rozmowie, a ich miny były równie ponure jak u Tisamenosa albo jeszcze bardziej. Przepychając się przez tłum, podążył wzrokiem za ich spojrzeniami. Zatrzymał się, ujrawszy dwie różne grupy w sercu zbiegowiska. Dźwięczący odgłos rozległ się znowu i Perykles w końcu zrozumiał.

Na posadzce klęczał szereg Persów z pochylonymi głowami. Hoplici w pełnych zbrojach z wyciągniętymi mieczami stali w niewątpliwie groźnej postawie nad grupką czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Do Peryklesa wróciło wspomnienie falujących zasłon w jasnobłękitnej i złocistej komnacie. Zostawił tam swoją krew w odciskach stóp, przypomniał sobie nagle. Fala zawrotów głowy kazała mu zamknąć oczy. Kiedy je otworzył, Kimon stał przy nim, trzymając go za rękę i witając uściskiem.

– Cieszę się, że cię widzę, Peryklesie. Już ci lepiej? Majaczyłeś przez chwilę.

– Wyzdrowieję – odparł krótko Perykles.

W jakiś sposób krępowiała go cudza troska, choć pot spływał mu po plecach, a łydka bolała go jak zanurzona we wrzątku. Nie tylko on odniósł rany. Postanowił nie okazywać bólu, choćby nie wiadomo jak cierpiał. Arystydes tu był, mężczyzna, który znał jego ojca i walczył wraz z nim pod Maratonem. Nie będzie pojękiwał ani syczał z powodu kilku głupich szwów, a przynajmniej nie wtedy, kiedy inni też cierpią. Kimon najwyraźniej miał już dosyć. Nie mówiąc ani słowa, odwrócił się plecami do rozgrywającej się sceny.

Za szeregiem klęczących Persów stała lub leżała druga grupa. Składała się z ośmiu mężczyzn, brudnych i potarganych, z kajdanami na kostkach, tak krótkimi, żeby nie mogli zrobić pełnego kroku. Dwóm brakowało prawej dłoni; inny był ślepy, bo wyłupiono mu oczy, a w ich miejscu ziały wielkie, obwiedzione bliznami dziury. Połowie zdjęto już kajdany. Perykles patrzył, jak

hoplici żelaznymi młotkami wybijają z nich bolce, jeden po drugim. Odgłos tych uderzeń rozlegał się dźwięczną nutą, która wcześniej zwróciła jego uwagę.

Czuł ich zapach, uświadomił sobie, odór zgnilizny, niemal śmierci. Nikt nie stał zbyt blisko tych nieszczęśników. Natomiast sami mężczyźni rozglądali się wokół w mieszanym lub z wściekłością. Ślepiec pozwolił wsunąć sobie do rąk puchar wina. Sączył trunek powoli, jakby go parzył.

– Kim są ci biedacy? – zapytał Perykles.

– Te obdartusy? To jeńcy pojmani przez Persów podczas wojny – odparł spokojnie Kimon. – Dwaj to keleustes. Ślepiec był trierarchą pod Salaminą. To Ateńczycy wyłowieni z wody, kiedy trzymali się czegoś, by nie utonąć, i mieli nadzieję na ratunek. Zamiast tego zostali pojmani i wydani na tortury. – Tu zniżył głos do szeptu. – Zostało tylko tych ośmiu.

– Znacznie więcej nie przeżyło niewoli – dodał Arystydes. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, że tu są... Umarli, czekając na nasze przybycie.

– Znaleźliśmy ich głęboko w podziemiach fortecy – ciągnął Kimon. – Odciętych nawet od światła. – Pokręcił głową, otrząsając się z koszmaru, i podjął wątek. – To piekielne miejsce, Peryklesie. Setki małych pomieszczeń. Jest tam mnóstwo kości i cała masa szcurów. Chyba o nich zapomniano lub świadomie pozostawiono na śmierć. Niektórzy z trierarchów chcieliby wymierzyć taką samą karę naszym jeńcom.

– Tym? – zapytał łagodnie Perykles, pochylając głowę.

Kimon potaknął.

– Tym sześciorgu i Artabazusowi, kuzynowi wielkiego króla, który pod Platejami dowodził całym skrzydłem. Póki co, jest pod strażą w jednej z cel pod naszymi stopami. Pauzaniasz nalegał, żeby dać mu pojęcie o tym, jak traktowani byli Grecy.

Kimon z kolei zerkał na Arystydesa, kiedy ten mówił. Było między nimi jakieś niepisane porozumienie, którego nie trzeba było artykułować. Perykles poczuł ukłucie zazdrości, żałując, że z powodu ran nie było go w czasie, gdy podejmowano ważne decyzje. Ojciec nie pytałby, co zrobią, wiedziałby to od razu. Ksantyppos po prostu by im to powiedział i miałby rację.

– Pauzaniasz nie przyjmie okupu – stwierdził Perykles.

Arystydes westchnął.

– Zdaje się, że to prawda. Omawiałem ten punkt ze Spartanami, którzy nagle okazali się głusi na wszelkie argumenty, uważając, że rozmowa o pieniądzach uwłacza ich godności. Oczywiście oni nie płacą swoim wioślarzom. Nie mają też tyłu okrętów co my. Ale to Pauzaniasz tutaj dowodzi. I to będzie jego decyzja.

Tisamenos dał mu na Cyprze drugie zwycięstwo po Platejach. Kto zaprzeczy, że bogowie uśmiechają się teraz do Spartan? To, czy Pauzaniasz ma prawo odmawiać nawet propozycji okupu, jest tematem całej dyskusji. W końcu to ja pojmałem Artabazusa. Pauzaniasz nie ma prawa decydować o jego losie.

I znów wydało się Peryklesowi, że między Arystydesem i Kimonem zachodzi jakieś porozumienie, do którego nie został dopuszczony.

Ostatnie kajdany opadły. Ostatni z uwolnionych Greków zaczęli rozciągać mięśnie, których nie używali od miesięcy, a nawet lat. Widać było, że bardzo cierpią. Spod kajdan ukazały się blizny i świeże rany. Jeden z nich rozpłakał się, kryjąc twarz w zgięciu łokcia. Inni zdawali się niemal oszaleli z radości, co rusz wybuchając syczącym śmiechem, który wydobywał się przez szpary pomiędzy zębami. Odór ich ciał narastał i ludzie oddychali przez usta albo sączyli wino, żeby bronić się jakoś przed cuchnącym powietrzem.

Perykles zauważył, że Spartanie nie zdradzali żadnego dyskomfortu. Wznowił wysiłki, żeby zapanować nad bólem, uświadamiając sobie nagle, że unosi jedną piętę, bezwiednie opierając stopę na samych palcach.

Odgłos maszerowania wzmógł nagle czujność Greków, której jeszcze przed chwilą zupełnie im brakowało. Perykles odwrócił się wraz z innymi, gdy do sali wkroczył oddziałek sześciu Spartan otaczający jakąś postać w poszarpanym ubraniu.

– Artabazus – powiedział Arystydes do Kimona.

Widać było, że Pers został mocno pobity. Miał okropnie opuchniętą twarz, a jedną przykurczoną rękę przyciskał do piersi w typowym geście chronienia złamanej kości. Utykał równie mocno jak Perykles, zerkając na tłum jednym sprawnym okiem. Drugie było całkowicie zamknięte albo wręcz wybite, czego Perykles nie mógł stwierdzić. Najwyraźniej Spartanie, którzy poganiali go teraz ostrzami włóczni, okazali się bardzo skrupulatni. Sam pomysł zostawienia więźnia pod ich pieczę budził niepokój, pomyślał Perykles. Spartanie od początku przechodzili niezwykle surowy trening, na koniec dzieciństwa uwięziony publiczną chłostą, którą musieli znieść w zupełnym milczeniu, aby pokazać siłę woli. W torturowaniu nie znali litości.

Artabazus został rzucony na kolana za pomocą silnych uderzeń po łydkach. Podniósł głowę w obecności swoich wrogów wysiłkiem woli pobudzonym setkami wpatrzonych w niego nienawistnych oczu. Perykles dostrzegł jego odwagę i zastanawiał się, co powiedziałyby na to medyk Golszan, gdyby tu był. Poczł w tym momencie przebłysk wstydu.

Pauzaniasz, zszedłszy z podium, na którym stał tron, przepchnął się przez tłum. Stanął przed Persem i kciukiem odgarnął kosmyk włosów z twarzy mężczyzny, po czym spojrzął w jedyne widzące oko perskiego wodza. Uśmiechnął się i odwrócił w stronę swoich ludzi.

– Wyrocznia Apollina w Delfach obiecała memu wróżbicie Tisamenosowi pięć wygranych w zawodach, pięć życiowych zwycięstw – powiedział. Jego głos niósł się daleko, choć wcale go nie podnosił. – Plateje były pierwszym, dowodziłem tam wszystkimi naszymi siłami i rozbiłem perskie wojska.

Mężczyzna u jego stóp nie znał greckiego, ale nie był głupcem. Wiedział, że jest tematem tej przemowy. Powoli pochylił się i splunął na wypolerowaną posadzkę.

– Cypr to drugie zwycięstwo – kontynuował Pauzaniasz, nie do końca świadomy, jak bardzo przemawia przezeń pycha. – Wyspa jest teraz nasza i pozostanie w naszych rękach. Kto wie, kiedy nadejdzie trzecie? Tylko bogowie. Bogowie, którzy wydawali w moje ręce, jednego po drugim, tych miękkich perskich dowódców. – Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy powiódł spojrzeniem po tłumie.

Spartanie za jego plecami stali w czerwonych płaszczach jak straż honorowa, a Perykles przypomniał sobie, że Pauzaniasz był regentem wojennego króla Sparty. Zachował królewski sposób zachowania; teraz uniósł brew, jakby wszyscy zebrani mieli wielkie szczęście, mogąc przebywać z nim w tym samym pomieszczeniu.

– Niektórzy spośród was, starsi mężowie i stratedzy, przyszli do mnie i powiedzieli, że powinniśmy zażądać fortuny w zamian za tych ludzi, bo przecież ta kreatura, Artabazus, jest kuzynem wielkiego króla. Niektórzy twierdzą, że bogactwo też jest formą prowadzenia wojny.

Jego surowe spojrzenie zdawało się szukać w tłumie Arystydesa i Perykles też spojrzął w tamtą stronę. Argument ten pasował doskonale do tego, co mógł powiedzieć Arystydes. Archont stał prosto, nie odwracając wzroku.

Pauzaniasz pokręcił głową.

– Nie potrafię zrozumieć ludzi patrzących na świat w taki sposób. Na szczęście to ja sprawuję tutaj dowództwo i nie zamierzam sprzedawać naszej naturalnej przewagi jak dziedzicznego prawa. Nie jesteśmy kupcami, lecz przywódcami i wojownikami! Moim zamiarem jest zabezpieczenie tej wyspy, założenie na niej nowego garnizonu i stałej floty nieustannie patrolującej te wody. Taki jest mój cel, nie zaś los jeńców! – Powiódł spojrzeniem po zebranych z pogardą wypisaną na twarzy. – Za dziesięć dni, na koniec lata, zaczyna się

święto Apollina Karnejosa. Zostaną wówczas poświęceni bogu, którego wyrocznia i błogosławieństwo przyniosły mi zwycięstwo pod Platejami i tutaj, na Cyprze.

Tłumacz Artabazusa został wyprowadzony. Mężczyzna nie miał więc pojęcia, o czym mówi Spartanin, ale czuł, że słowa te nie są dla niego korzystne. W głębi pomieszczenia odszukał spojrzeniem jedyną znaną mu twarz i popatrzył w oczy Arystydesa. Pomimo bicia, jakie mu sprawiono, Artabazus zachował jakiś rodzaj godności. Gdy zauważył, że Arystydes wciąż na niego patrzy, uśmiechnął się i skinął mu szybko głową. Jego jedyne oko błysnęło i tym razem to Arystydes odwrócił wzrok.

Noc była spokojna. Hoplici patrolowali wybrzeże i przynajmniej część floty pozostawała w pogotowiu, wypatrując zagrożenia odwetem ze stałego lądu. Setki lat wcześniej Cypr został najpierw zasiedlony przez Greków od strony zachodniej. Kiedy Persja urosła w siłę i poszerzyła swoje terytorium, te małe osady i wioski rybackie zostały wysiedlone i zaludnione wojownikami czczącymi Ahura Mazdę i aniołów. Zbudowali obce świątynie i potężne mury. Wyspa była stara jak świat, a powietrze przesycone zapachem starożytności.

Perykles dostawał gęsiej skórki na myśl, że zostaną odkryci. Stał w świetle księżyca przy łodzi po północnej stronie wyspy. Jego oczy przywykły do ciemności i miał poczucie, że jest tam doskonale widoczny. Czterej wiosłarze siedzieli w łodzi z wiosłami na kolanach. Nie wydawało się, by czuli takie samo napięcie, i Perykles zastanawiał się, czy dobrze rozumieją, co tu robią, choć może po prostu słuchają rozkazów dowódców i nie dbają o nic innego. Jeden nawet pochrapywał, dopóki nie uciszono go kopniakiem.

Peryklesowi serce waliło jak szalone. Spartanie nie są głupcami. Co by powiedział Pauzaniusz, gdyby ich tam nakrył? Perykles zadał sobie wiele trudu, żeby zdobyć dwie szpulki linki wędkarskiej, i zadreślał się wyobrażaniem sobie niezliczonych scenariuszy porażki. Nocne łowienie kalmarów wydawało się prawdopodobne, ale nie był przekonany, czy Pauzaniusz tak łatwo by w to uwierzył. A co, jeśli Kimon z Arystydesem zostaną złapani? Mogłoby to oznaczać wojnę, a gdyby zaczęła się ona na Cyprze, Perykles znalazłby się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Spartańscy wojownicy byli we flocie w mniejszości, ale gdyby doszło do walki, nie można by ich zlekceważyć. Bój pod Termopilami wciąż był przedmiotem licznych opowieści, które powtarzano jak Grecja długa i szeroka. Młodzieniec czuł niepokój, wyobrażając sobie, co by było, gdyby doszło do takiej konfrontacji.

Powiadano, że przeżyło tylko trzech Spartan spośród broniących przesmyku pod Termopilami. Jeden został odesłany zaraz na początku z wiadomością. Nie zdążył wrócić przed zakończeniem bitwy i powiesił się ze wstydu. Kiedy Persowie, fala za falą, wyczerpywali obrońców, a walka stała się nieustanną

rzezią, Leonidas wysłał jeszcze dwóch posłańców. Pył uszkodził wzrok mężczyznom i widzieli tylko niewyraźne plamy. Perykles drżał na myśl o takim losie. Jeden z nich uznał, że śmierć jest lepsza niż ślepotą, i wrócił na przesmyk, gdzie zginął. Drugi, jak słyszał Perykles, nazywał się Arystodemos. Pomimo pogłębiającej się ślepoty zdołał dotrzeć do Sparty. Tam spotkał się z powszechną pogardą. Nikt nie chciał podać mu wody ani ognia czy odezwać się do niego choćby słowem. Nazywano go tchórzem i opluwano. W tej sytuacji wyprosił sobie miejsce w pierwszym szeregu bitwy pod Platejami, na co wyrażono zgodę. Choć ślepy, walczył tam jak szalony, przez cały czas się śmiejąc. Spotkał śmierć, ale odzyskał honor.

Tak opowiadali to Spartanie. Perykles zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdoła ich zrozumieć. Wiedział, że przecież nie czczą śmierci. Szafowali jednak życiem, jakby to były liście na wietrze.

Nie był pewien, jak by zareagował, gdyby wszyscy nazywali go tchórzem. Wiedział, że jego ojciec zasłużył sobie na szacunek i nie przywiązywał do tego wagi. A jednak często mówił z gniewem o swoim wygnaniu, kiedy mieszkańcy Aten zwrócili się przeciwko niemu. Perykles myślał czasem, że reputacja znaczy więcej niż cokolwiek innego, innym zaś razem, że nie znaczy nic. Nie był pewien, która z tych dwóch rzeczy jest prawdą.

Zamarł i wszystkie myśli rozwiały się, gdy usłyszał, jak coś porusza się w zaroślach. Wybrał sobie miejsce na północnym brzegu, przy cyplu, który wskazywał jak palec na wschód, z dala od spartańskich okrętów. Jeśli jednak któryś z ludzi Pauzanasza dostrzegłby tu jego małą łódź, mógłby zaalarmować Spartan, którzy ruszyliby w pościg.

Przełknął ślinę i dotknął zatkniętego za pas kopisa. Kimon oddał mu go bez słowa, gdy tylko o niego zapytał, ale nie przydałby mu się specjalnie przeciwko samym Spartanom. Mieli własne kopisy i był pewien, że potrafią znacznie lepiej się nimi posługiwać. Poza tym wciąż dokuczały mu rany. Nie dało się uniknąć zanurzenia nóg w płytkiej wodzie, gdy podpłynęli do brzegu. Pieczenie w łydce od morskiej soli nie ustępowało, pomyślał więc, że woda wypłukała miód z rany. Golszan byłby przerażony, gdyby spotkali się ponownie.

Perykles uświadomił sobie, że oddycha ciężko, próbując zgadnąć, czy dostrzeżone cienie należą do wrogów czy też nie. Przyłapał się też na tym, że się uśmiecha, co było nerwową reakcją niemającą nic wspólnego z jego nastrojem. Miał nadzieję, że przydaje mu to dzikiego wyrazu, choć żywił co do tego pewne wątpliwości.

Gdzieś po jego lewej stronie zahukała sowa. Perykles poczuł ulgę. Złożywszy dłonie przy ustach zahukał w odpowiedzi. Odezwało się więcej głosów, zbyt donośnie jak na nocną ciszę. Musieli to być jego ludzie. Spartanie podeszliby w milczeniu, co byłoby znacznie straszniejsze. Skrawek łądu, na którym czekał, był zaledwie kawałkiem piaszczystej plaży przysłoniętym nieco dryfującą gałęzią długości łodzi oraz plamami wysuszonych na słońcu wodorostów. Coś zaszeleściło nieopodal i Peryklesowi się wydało, że tym razem jest to jakieś zwierzę, może jaszczurka albo żółw. Czekał, sięgając ręką, by zastukać knykciami w burtę łodzi i dać sygnał wioślarzom. Przynajmniej teraz sprawiali wrażenie czujnych.

Z zarośli wyszedł Kimon, otrzepując się z liści. Za nim podążała grupa obszarpanych ludzi, niezgrabnie się poruszających i zmęczonych. Ostatni mocno kulał, otoczywszy ramieniem szyję Arystydesa, drugą rękę zaś tuląc do piersi. Dysząc z wyczerpania, Artabazus osunął się na ziemię, niemal pociągając za sobą Ateńczyka. Archont nie był już młody i musiał stać przez jakiś czas pochylony, opierając ręce na kolanach i łapiąc oddech.

– To było... trudniejsze, niż sądziłem... – wykrztusił Kimon między oddechami. – Myślałem, że... będziemy zmuszeni zawrócić. – Zadrżał, drapiąc się po twarzy i głowie. – Tam było pełno pajaków! Odnosiłem wrażenie, że w nie wlażem. Jeden mnie ukąsił, jestem tego pewien. No chyba że był to... kolec jakiegoś krzewu. Przysięgam, to było gorsze niż Skiros, Peryklesie. Na bogów, jestem szczęśliwy, że cię widzę! Kiedy usłyszałem, jak nam odpowiadasz, niemal krzyknąłem z radości.

Peryklesowi uśmiech powrócił na twarz. Z kontuzjowaną nogą nie mógł się przydać, gdy przyszło do uwolnienia więźniów. Jego rola nie była tak kluczowa, choć prawdę mówiąc, ktoś musiał wybrać właściwe miejsce i trzymać wioślarzy w pogotowiu. Może Kimon mówił to tylko z uprzejmości, ale docenił jego wkład.

– Mieliście jakieś problemy w celach?

Kimon odchylił się w tył, patrząc na księżyc jak ktoś, kto musi skończyć opowieść przed wschodem słońca. Jest ostrożny, pomyślał Perykles, jeszcze zanim Kimon pokręcił głową.

– Musieliśmy ogłuszyć jednego z naszych, ale wprawdzie rozbiliśmy lampę. Niczego nie widział. Wie tylko tyle, że sami uciekli. No tak. Artabazus ledwo trzyma się na nogach. Pomóż mi wsadzić go do łodzi razem z innymi. Z ulgą się ich nareszcie pozbędę.

– Nie płyniesz z nami? – zapytał Perykles.

– Nie. Arystydes i ja musimy przed zachodem słońca wrócić na pokłady naszych okrętów. Jeśli nie będzie nas tam o świcie, zrodzi się zbyt wiele pytań. Wszystko, co zrobiliśmy, pójdzie na marne. Dotyczy to także ciebie, Peryklesie. Jeśli potrwa to zbyt długo, jeśli wstanie słońce, będziesz musiał ukryć łódź i poczekać do zapadnięcia nocy. Powiem, że jesteś na innym okręcie, zajęty liczeniem zapasów. W porządku? Pomóż mi go przeprowadzić, dobrze?

Podeszli do miejsca, gdzie jęczał cichutko Artabazus. Perykles wymruczał zdawkowe przeprosiny po persku, jedno ze zdań, które gdzieś zasłyszał. Mężczyzna odpowiedział lawiną słów, ale chłopak mógł jedynie wzruszyć ramionami i powtórzyć to samo.

Ze zduszonym krzykiem Artabazus dał się podnieść na nogi. Perykles z Kimonem przekazali wodza w ręce wioślarzy, po czym patrzyli, jak owinięto go kocem i pozostawiono, nie troszcząc się o jego wygodę. Wszedł na pokład prowadzony przez dwóch Persów, z których jeden spojrzał na Peryklesa i uniósł ręce, pokazując w proteście związane nadgarstki. Perykles sięgnął do pasa po kopis, lecz Kimon powstrzymał go dotknięciem ręki.

– Lepiej, żeby pozostał związany. Dotąd był uprzejmy, ale nie zaufam mu dalej, niż zdołam splunąć.

Perykles pamiętał tego mężczyznę z komnaty, do której wpadli, stał tam z uniesionym mieczem. Kiwnął głową. Podał rękę podchodzącym kobietom, witając je lekkim ukłonem, one zaś uśmiechnęły się do niego. Na końcu szła ta, którą zapamiętał na tle falujących, złoto-błękitnych zasłon. W świetle księżyca była równie piękna.

– Czy prowadzicie nas, żeby zabić? – spytała po grecku.

Kimon pokręcił głową.

– Żeby uwolnić. Zabierzemy was na ląd i tam uwolnimy.

Kobieta pochyliła się szybko i pocałowała go, zanim Kimon zdążył się cofnąć. Po prawdzie nie wysiłał się zbyt, zauważył Perykles. Nawet objął ją lekko w pasie, przyciągając do siebie. Perykles obserwował to chłodno, myśląc o Tetydzie.

Persjanka westchnęła lekko, gdy Kimon ją puścił, i odwróciła wstydliwie głowę, zasiadając na ławce obok swego brata. Wydawał się jeszcze bardziej rozgniewany niż wcześniej, ale nic nie powiedział.

Ledwo starczyło miejsca dla tylu osób. Perykles miał nadzieję, że uda mu się zepchnąć łódź na głębszą wodę. Rana ponownie zamoknie, uświadomił sobie z rozpaczą. Choć od ostatniego razu i tak nie zdążyła wyschnąć.

– Teraz wszystko zależy od ciebie – powiedział Kimon. Dotknął dłonią ust, jakby wciąż czuł na nich pocałunek kobiety. – Pamiętaj: jeśli pojawi się jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ukryj się na jeden dzień i wróć jutro w nocy. Nikt z nas nic nie powie. Do zakończenia całej akcji wszyscy będziemy głusi i ślepi. – Kimon mówił to zarówno do Peryklesa, jak i do wiosłarzy.

Wszyscy zgodnie skinęli głowami niczym sowy.

– Dobrze.

Pochylił się razem z Peryklosem i napał na dziób łodzi, wypychając ją z płyčizny. Perykles wdrapał się na pokład, wciągając gwałtownie powietrze, gdy zawadził łydką o burę.

– Niechaj Posejdon czuwa nad szaleńcami takimi jak my – powiedział Kimon.

W jego głosie wyczuwalny był uśmiech. Perykles podniósł rękę i wiosłarze przejęli inicjatywę, a łódź pomknęła na szersze wody.

* * *

Rogi zabrzmiały nad zatoką, nakazując sojusznicznej flocie gotowość bojową. Hoplici sięgnęli po zbroje i broń, po czym klękli na pokładach, trzymając tarcze i włócznie w pogotowiu. Wiosłarze zbiegli pod pokłady, porzucając miski z jedzeniem, zajęli miejsca na ławach i z łomotem wypchnęli wiosła na zewnątrz. Wyciągnięto z wody kotwice i okręty zaczęły krążyć jak szerszenie, nagle ożywione i groźne.

Gdy nie pojawiło się żadne niebezpieczeństwo, napięcie powoli opadło i obawy się rozproszyły. Pauzaniasz nie miał zwyczaju ostrego musztrowania załóg alarmami, ale ci, którzy pływali z Ksantyposem, znali to dobrze. Jednak spartańskie jednostki nie powróciły do sennego spokoju. Gdy słońce wstało, Pauzaniasz wywiesił czarną flagę na rufie, wzywając starszych dowódców na pokład okrętu flagowego.

Arystydes i Kimon dostrzegli flagę sygnałową z pokładów swoich okrętów. Mieli pewne podejrzenia, co się za tym kryje. Ateńskie triery, jedna po drugiej, ponownie zarzuciły kotwice. Pauzaniasz miał do tego pełne prawo jako nauarcha. W całej flocie spuszczo na wodę łodzie, które zabrały trierarchów i archontów do mającego nad nimi władzę Spartanina. Arystydes czuł narastający sprzeciw. Nie lubił być wzywany. Nie był też zadowolony, musząc odwiedzać w pojedynkę flagowy okręt spartański. Przypuszczał, że zostanie wezwany do cel więziennych na wyspie, żeby wyjaśnić, w jaki sposób cała grupa perskich jeńców mogła zniknąć w ciągu jednej nocy. Znalezienie się na

pokładzie spartańskiego okrętu stawiało go w bardzo niekorzystnym położeniu. Żaden z pozostałych nie czuł tego co on, ale oni przecież w niczym nie zawinili.

Przyciągnięcie małej łodzi kołyszącej się na falach za jego okrętem zajęło chwilę. Arystydes wiedział tylko tyle, że Perykles jeszcze nie wrócił. Czy zauważono jego nieobecność? Młody Ateńczyk nie miał wysokiej rangi pomimo poważania, jakim się cieszył ze względu na ojca. Arystydes snuł wizje, że cały misternie uknuty plan został odkryty. Zacisnął szczęki. Nie, to już się zaczęło. To był kryzys. Teraz nie mieli już wyboru. Trzeba było myśleć szybko i trafnie przewidywać.

Nieopodal zobaczył Kimona klęczącego na jednym kolanie w drugiej łódce, która właśnie dopływała do spartańskiego okrętu. Arystydes zauważył, że spartańskie okręty połączyły się w ścisłą grupę z jednostkami korynckimi. Było to w jakiś sposób znamienne, jakby przestali już ufać zakotwiczonej wokół nich flocie.

Arystydes poczuł się stary, płynąc tak łódką do spartańskiego okrętu, który widniał coraz bliżej. Na pokładzie kręcili się ludzie w czerwonych płaszczach. Gdy łódź przybiła do burty, Arystydes spojrział w górę na drewniane szczeble. Morze falowało nieco mocniej i okręt unosił się na falach w budzącym mdłości kołysaniu, to wyżej, to niżej. Arystydes był już oczywiście ochlapany, bo trudno było zrobić cokolwiek na morzu, nie moknąc. Zignorował wyciągnięte ręce swoich ludzi i chwycił pomocniczą, prowadzącą wzdłuż szczebli linę, łapiąc równowagę podczas wspinaczki. Musiał zatrzymać się tylko na chwilę, gdy okręt przechylił się w jego stronę, ale utrzymał linę. Gdy okręt przechylił się na drugą burtę, wykorzystał ten ruch, by znaleźć się na pokładzie. Jego łódź odpłynęła i inna zajęła jej miejsce.

Arystydes spojrział na Spartan na pokładzie, uzbrojonych i odzianych jak na wojnę. Hełmy odsunęli nad czoła, opierając je na splotach zawiązanych w węzeł warkoczy, ale było to jedyne ustępstwo na rzecz pokojowych rozmów. Poza tym wyglądali tak, jakby w każdej chwili gotowi byli rozpocząć rzeź. Swoją drogą zawsze byli do tego gotowi, pomyślał Arystydes. Jak wściekłe psy potrafili w jednym momencie przejść od pozornego spokoju do bitewnego szału.

Pauzaniasz stał na pokładzie z Tisamenosem i obaj patrzyli na Arystydesa tak, jakby chcieli zajrzeć mu w głąb czaszki. Kołysanie okrętu zdawało się zupełnie im nie przeszkadzać. Odruchowo się do niego dostosowali. Wróżbita ścisnął knykcie jednej dłoni drugą ręką, zupełnie zmieniając dotychczasowy, łagodny sposób bycia. Pauzaniasz skrzyżował potężne ramiona na piersiach. Patrzył wzrokiem pełnym wściekłości albo poczucia zdrady, a w każdym razie groźnym.

Arystydes zobaczył stojącego na pokładzie kilka kroków dalej Kimona, spoglądającego nieufnie. Powstrzymał się przed staniem przy młodszym towarzyszu, żeby nie zostało to poczytane za przyznanie się do winy.

– Dlaczego mnie wezwano? – spytał Arystydes. – Są jakieś wieści z Aten? – Uniósł brew, jak zwykł to robić Pauzaniasz, i stanął w zrelaksowanej postawie. Przypomniawszy sobie, że w setkach debat stawiał czoło mężczyznom pokroju Temistoklesa. Pauzaniasz nie złapie go w tę pułapkę.

– Jeńcy zniknęli – odparł Pauzaniasz. Jego obcesowość była typowo spartańska, ale Arystydes był na nią przygotowany.

– Wypuściłeś ich? – zapytał z udawanym zdziwieniem.

– Niczego takiego nie zrobiłem – rzucił Pauzaniasz.

Arystydes z zainteresowaniem zauważył, że Spartanin zerka na swoich kapitanów. To byli jego ludzie, ale może nie miał do nich pełnego zaufania. Ateńczyk żywił taką nadzieję. Wiele od tego zależało.

– Ty tutaj dowodzisz, Pauzaniasz! Jeśli postanowiłeś wypuścić Persów, to wolałbym, żebyś to wcześniej z nami omówił. Ja skłaniałbym się do przyjęcia okupu, jak powiedziałem wcześniej.

Rozwścieczony Pauzaniasz oblał się ciemnym rumieńcem. Arystydes starał się nie okazywać strachu, który skręcał mu wnętrzności, powodując ucisk w żołądku. Każdy, kto drażni wściekłego psa, naraża się na ukąszenie, ale on w istocie nie przemawiał do Pauzania. Ufając, że jego autorytet jednak go ochroni, mówił bardziej do pozostałych Spartan, trierarchów, którzy mogli zacząć dziwić się swojemu wodzowi.

– Artabazus był przede wszystkim moim jeńcem – ciągnął Arystydes takim tonem, jakby właśnie sobie o tym przypomniawszy. – Chcesz mi powiedzieć, że on też zniknął?

Pauzaniasz wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Po żadnym z nich nie ma nawet śladu.

Arystydes mógłby przysiąc, że w głosie tamtego słyhać było autentyczny zwierzęcy warkot. Poczł, jak ścisła mu się pęcherz, a uczucie to znał dobrze od czasu Platejów, kiedy chmara Persów atakowała jego pozycje. Było okrucieństwem mówić coś takiego do Spartanina, który wówczas triumfował, ale stawka była zbyt wysoka.

– Rozumiem. To bardzo... przykre.

– Chcesz powiedzieć, że nic o tym nie wiesz? – rzucił Pauzaniasz.

Arystydes potrząsnął głową.

– Od samego początku jasno stawiałem sprawę. Uważałem, że kuzyn króla wart jest fortunę. Albo jakieś inne korzyści, sam nie wiem. Kserkses słynie z tego, że rozdaje całe miasta tym, którzy mu się spodobali, nawet całe ludy. W grę mogła wchodzić jakaś satrapia. – Arystydes zauważył, jak dwaj spartańscy dowódcy wymienili szybkie spojrzenia, w których wyraźnie zabłysło podejrzenie. Sam obrzucił Pauzaniaśa wzrokiem pełnym dezaprobaty. – Muszę powiedzieć, Pauzaniaśu, że jestem bardzo rozzarowany.

– Zgodzisz się na przeszukanie twoich okrętów? – spytał Pauzaniaś. – Aby mieć pewność, że nie schowali się na któryś z nich?

– Przeszukanie moich...? To wielka obraza ze strony sojusznika, nauarcho. Nie żywię żadnych podejrzeń wobec moich kapitanów. – Mówiąc to, Arystydes przybrał urażoną minę. – Zdaje się, że ty tu dowodzisz. Persowie byli twoimi więźniami, nie moimi. Skoro Spartanie nie dbają o okup, to może pozwolono im uciec w zamian za jakieś inne korzyści, kto wie! Persowie potrafią wiele obiecać, a kto jest całkowicie odporny na takie pokusy? Ty, Pauzaniaśu? – Pomimo niebezpieczeństwa dźgnął palcem powietrze. Miał niemal pewność, że od dzieciństwa nikt nie przemawiał takim tonem do Pauzaniaśa. Spartanin odniósł zwycięstwo pod Platejami, a dziś miał zostać pokonany. – Jeśli nie zaakceptujesz mojej przysięgi – ciągnął dalej – pozwolę ci przeszukać każdy okręt, choć będzie to wstyd dla nas obu oraz wyślę ludzi, żeby przeszukali twoje okręty. Dlaczegoż by nie? Skoro nie możemy już ufać sobie nawzajem?

– Arystydesie, proszę, uspokój się... – powiedział milczący do tej chwili Kimon.

Archont machnął ręką z niesmakiem.

– Dlaczego miałbym się uspokoić? Przyjąłem twoje dowództwo, Pauzaniaśu, czyż nie? Pod Platejami, gdy nie widzieliśmy żadnej nadziei. – Przywołanie tego dnia zabrzmiało jak bluźnierstwo, lecz Arystydes mówił dalej: – Okazywałem ci wyłącznie szacunek ze względu na twoją władzę i pozycję we flocie. A ty oskarżasz mnie o coś takiego? Domagasz się prawa do przeszukania moich okrętów? Przynosisz nam wstyd. I wiesz, co jest dziwne, Pauzaniaśu? Prosiłem o zgodę na przyjęcie okupu za tych jeńców, a ty chciałeś skazać ich na śmierć, przynajmniej tak mówiłeś. I właśnie wtedy uciekli. Nie będzie pieniędzy z okupu, żebym mógł opłacić moich wioślarzy! Nieważne, co się wydarzyło, to ty jesteś odpowiedzialny za ich stratę, nie ja. – Odwrócił się i wskazał łódź czekającą na niego w pewnej odległości od okrętu. Odkąd wszedł na pokład, nie ruszył się nawet na krok. – Wyślij swoich ludzi, Pauzaniaśu. Przeszukaj ładownie sojuszników i pokaż swoim ludziom, jak bardzo nam nie ufasz. Ciekaw

jestem, czy nie jest to z twojej strony tylko zasłona dymna, która ma mnie oślepić. Ale i tak uważam, że odpowiedzialność spoczywa na tobie.

Pauzaniasz patrzył na starszego mężczyznę schodzącego po szczeblach do łodzi, nie spuszczał z niego wzroku. Nie ufał Arystydesowi ani żadnemu Ateńczykowi. W końcu przymusili Spartę do przybycia na pole bitwy, uciekając się do kłamstw i grózb. Gardził nimi wszystkimi.

Kimon opuścił okręt tuż za starym archontem, patrząc z zimną wściekłością, jakby to ich skrzywdzono. Pozostali kapitanowie, jeden po drugim, poprosili o zgodę na odejście, po czym wrócili na swoje okręty.

Pauzaniasz został na pokładzie z sześcioma trierarchami oraz Tisamenosem. Jego przyjaciel wyglądał na zmartwionego i tał z zakłopotaniem podbródek. Wódz stał w milczeniu, pogrążony w myślach. Arystydes odwrócił się od niego. Pauzaniasz wezwał wszystkich, żeby odkryć, kto go zdradził, lecz Arystydes w jakiś sposób podał w wątpliwość jego podejrzenia. Pauzaniasz widział, w jaki sposób patrzyli po sobie jego kapitanowie. Przepęłniały go złe przeczucia.

– Nauarcho, Ateńczycy chcieli pieniędzy za jeńców – powiedział jeden ze Spartan. – Jeśli to oni za tym stoją, więźniowie muszą być gdzieś ukryci, albo na wyspie, albo na którymś z ich okrętów. Może powinniśmy ich poszukać.

Pauzaniasz pochylił głowę z wdzięcznością. Dwaj inni kapitanowie kiwnęli głowami z aprobatą, ale żaden nie spojrzał mu w oczy. Wódz przełknął ślinę, czując się niezręcznie. Eforowie chcieli wysłać go gdzieś daleko. Młody król wojenny nie mógł bardziej czytelnie wyrazić swoich intencji. To zaś osłabiło pozycję Pauzaniusza, bardziej niż ktokolwiek mógł się domyślać. Pokręcił głową. Eforowie nigdy nie uwierzą, że przyjął łapówkę. Czyżby? Niestety znał odpowiedź. Gdyby to miało posłużyć do zniszczenia go, uwierzą z pewnością.

Słońce wschodziło coraz wyżej. Pauzaniasz miał przed sobą cały dzień, żeby odszukać jeńców i wykazać, że wszystko to było ateńskim spiskiem. Uświadomił sobie jednak, że zaważy to na relacjach ze wszystkimi falcjami symmachiei. Być może, w dłuższej perspektywie, taki właśnie był ich plan. Zacisnął szczęki. Nie miał wyjścia.

– Przeszukać wyspę – rozkazał. – No i flotę.

Arystydes obserwował Spartan przeszukujących jego okręt, zagląających pod wszystkie ławki i wyważających kopniakami drzwi pomieszczeń magazynowych. Widział narastającą we własnych ludziach złość. Wydał ostrożne instrukcje, żeby pozwolić na przeszukiwanie nawet rzeczy osobistych. Mimo to ateńscy hoplici wrzeli z oburzenia. Tylko obecność dowódców powstrzymała ich od wybuchu, i to o włos.

Kiedy Arystydes podniósł wzrok, dostrzegł czerwone płaszcze na kilkunastu kotwiczących obok okrętach. We flocie było mniej niż dwustu spartańskich wojowników, ale wyglądało na to, że wysłano większość. Na okrętach nie było wiele miejsca do ukrycia zbiegów. Poza kilkoma ciasnymi pomieszczeniami na rufie cały pokład i ławki wioślarzy stanowiły przestrzeń otwartą i można je było omieść jednym spojrzeniem.

Z rosnącym zaciekawieniem Arystydes ujrzał, że dwa okręty Pauzanasza zaczynają opływać wyspę. Jedyne sens miało przepatrywanie brzegów, bo sama wyspa była wielka. Dobre dwa miesiące zajęłoby Pauzanaszowi przeszukanie każdej jaskini i kępy drzew. Ateńczyk uśmiechnął się na tę myśl, a potem odwrócił wzrok i spojrzął na spartańskiego dowódcę, który przyszedł złożyć mu meldunek.

– Nie znaleźliśmy nikogo na pokładzie, archoncie – powiedział mężczyzna.

– To dla mnie nic nowego – rzucił Arystydes. – Ani dla Pauzanasza, jak podejrzewam. W jakąkolwiek grę grają twoi przywódcy, nie mam tych więźniów. Przysięgam na Atenę i Apollina, a także na Posejdona, w którego królestwie teraz przebywam.

Spartanin drgnął, słysząc taką przysięgę, jakby spodziewał się, że Arystydesa trafi za chwilę grom z jasnego nieba albo nagle ukażą się sztormowe chmury. Gdy schodził z okrętu, żeby przepłynąć do następnego, czuł się wyraźnie zmieszany. Nie wątpił w słowa archonta. To płynący z nich wniosek wprowadził go w zakłopotanie.

Arystydes obserwował, jak Spartanie wiosłują w stronę kolejnej triery. Nie uśmiechał się. Wiedział jednak, że każde ich wejście na pokład któregoś

z okrętów sojuszu wbija klin między nich a Spartan i bynajmniej nie dzieje się to z korzyścią dla Sparty. Widział, jak przeszukują również jednostki Koryntu, nie oszczędzając nawet tych z Peloponezu. Pauzanasz budził gniew wszędzie, gdzie wtykał nos, ale Arystydes wciąż miał nadzieję na więcej. Kimon znał Spartan lepiej niż ktokolwiek inny. To on zasugerował, że Spartanie mogą odwołać Pauzanasza i jeśli tylko znajdzie się właściwe oskarżenie, może on zostać usunięty zupełnie bezkrwawo. Cały plan Kimona polegał na jego ocenie spartańskiego honoru. Arystydes zagryzł dolną wargę, patrząc w morze.

W oddali jakiś grecki statek handlowy opłynął zgrabnie cypel. Eskortował go jeden z okrętów spartańskich. Arystydes westchnął do siebie w duchu. Oczywiście sępy nie próżnują. Podążają za wojskami i za flotą, wypatrując zdobyczy. Rzecz jasna, na Cyprze można teraz zbić fortunę – sama sprzedaż niewolników może zapewnić niezłe dochody. Spartanie pogardzają okupami w srebrnych drachmach, ale Ateny mają dwadzieścia tysięcy wioślarzy, którym muszą płacić.

* * *

Perykles ani drgnął, gdy obsiadły go muchy. Dzień był gorący i czuł już oparzenia na karku. Wyciągnął z wioślarzami łódź z wody, gdy jeszcze było ciemno, grzęznąc do połowy uda w czarnym mule, który wciąż jeszcze go oblepiał.

Perscy jeńcy na szczęście nie ociągali się zbyt. Ślizgali się i upadali w błocie, nieustannie narzekając. Pod przewodnictwem mężczyzny, który prowadził Artabazusa, wyszli na brzeg w szarym świetle przedświt, rozglądając się trwożliwie, jakby się bali, że świeżo zdobyta wolność może zostać im odebrana. Perykles obserwował, jak odchodzą, aż upewnił się, że nic im nie grozi. Było już jednak za późno, by wracać.

Podróż z wyspy na ląd zajęła im więcej czasu, niż się spodziewał. Wioślarze się wyteżali, lecz nie wiadomo, czy dystans był dłuższy, niż obliczyli, czy napotkali jakieś przeciwne prądy, dość, że upłynęło zbyt wiele godzin i świt był bliski. Gdy on odganiał muchy, wyczerpani wioślarze spali jak zabici. Słońce wstało i Perykles dostrzegł w oddali okręty z czerwonymi żaglami płynące wzdłuż wybrzeża wyspy; najwyraźniej ich szukano. Pomyślał, że gdyby poznali jego imię, już nigdy w życiu nie byłby bezpieczny. Spartanie byli przeczuleni na punkcie swego honoru i potraktowaliby to jak wyzwanie. Teraz nie pozostało mu już nic do roboty. Choć czuł ssanie w żołądku, choć lękał się odkrycia przez miejscowych lub nawet powrotu uwolnionych więźniów, którzy mogli

sprowadzić wojowników, by go pojмали, musiał trwać w tym miejscu, pocąc się i drapiąc przez cały długi dzień.

Łódź przykrył gałęziami i morskimi wodorostami oraz wszystkim, co udało mu się znaleźć na brzegu. Perykles zrobił to wszystko, nim zaczęło świtać. Ukłakł w gęstej trawie w cieniu krzywego drzewa. Skrzywił się, poczuwszy skurcz w nodze. Lękał się o szwy w łydce. Czuł, jakby coś w niej puściło, gdy wypychał łódź na brzeg, nie myśląc nawet o własnym bezpieczeństwie. Nie odważył się jednak zajrzeć pod opatrunek.

Godziny upływały nieskończenie wolno. Słońce wznosiło się coraz wyżej, aż oczy bolały od patrzenia. Jeden z wiosłarzy poruszył się i klepnął samego siebie, aby pobudzić czujność. Dostrzegł, że Perykles czuwa, i kiwnął mu uspokajająco. Młodzieniec z ulgą oparł się plecami o drzewo i po kilku chwilach zasnął, opuściwszy głowę na ramię, aby uchronić się przed palącymi promieniami słońca.

Zasypiał i budził się na zmianę, gdy wiosłarze kolejno przejmowali wartę, ale nie niepokoił go już. Był synem Ksantypposa i wszyscy znali jego ojca spod Salaminy albo przynajmniej z reputacji. Kiedy Perykles obudził się ponownie, dzień był chłodniejszy i nadchodził wieczór. Słońce przeszło na drugą stronę wyspy, chowając się za wznoszącymi się tam górami. Byli na jońskim wybrzeżu, przypomniał sobie Perykles, wstając, by opróżnić pęcherz, i opierając się przy tym o drzewo. Jeden z wiosłarzy zebrał trochę liści, żeby się podetrzeć, i z przyjemnością dostrzegł dziki figowiec, mimo że drzewko było małe i potargane. Perykles rozejrzał się wokół. Skóra mu napuchła i swędziała od tysiąca ukłuc. Noga pulsowała i wyglądała na grubszą, jakby napuchła od trucizny lub ropy. Nie był pewien, jaki wpływ wywrą na zszytą ranę sól i błoto, ale wyobrażał sobie, że niezbyt dobry. Poczł burczenie w żołądku i ucisnął go palcami.

– Przygotujcie łódź – zawołał do wiosłarzy. – Gdy tylko się ściemni, ruszamy. Żadnych świateł, żadnych głosów.

Wszyscy byli ludźmi Kimona i znał ich od czasu Skiros. Kiwnęli głowami i zaczęli zbierać wiosła. Jeden nawet skusił się na pomarszczoną, zieloną figę, ale okazała się gorzka, więc wypluł jej kawałki na ziemię. Gdy słońce zaszło, zajęli się pracą przy łodzi.

Perykles obserwował zmiany światła i ruch okrętów na jego tle. W zasięgu wzroku nie było żadnych czerwonych żagli. Pomodlił się do Posejdona, by otoczył opieką ich małą łódkę. W tym momencie wydała mu się bardzo krucha jak na to, że miała przewieźć ich wszystkich.

Kiedy zapadła ciemność, zepchnęli łódź na wodę i wskoczyli do środka. Perykles zaklął, uderzywszy się w nogę w tym samym miejscu co wcześniej, co rozśmieszyło jednego z wiosłarzy.

Zostawili za sobą brzeg i Perykles natychmiast odczuł poprawę nastroju. Odstawił jeńców i cokolwiek ich teraz czekało, nie było już jego sprawą. Z dala od lądu stał się znowu częścią floty. Jedynym zmartwieniem było to, by nie spotkać się w ciemnościach z żadnym ze spartańskich okrętów. Wówczas wszystko by się wydało.

Wiosłarze pracowali ciężko i łódź mknęła po powierzchni morza bezgłośnie, nie licząc lekkiego świstu i bulgotania wody pod wąskim kadłubem. Odbyli wcześniej tę podróż w dwóch etapach: wokół wyspy, a potem przez cieśninę. W drodze powrotnej spróbowali opłynąć cypel, który jak wielki palec wskazywał perskie wybrzeże. Mamy przed sobą całą noc, pomyślał Perykles. Jednak w miarę jak upływały godziny, zaczął odnosić wrażenie, że przeżył całe życie na tej łodzi, z pulsującą z bólu nogą i głodem powodującym zawroty głowy.

Trzymali się z dala od brzegu. Perykles wyciągał szyję, wypatrując w mroku ciemnych sylwetek okrętów. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jadł, miał spękane i obolałe usta, choć co rusz przeciągał po nich językiem.

W oddali ukazało się światełko, samotny punkt pośród nocy, który pojawiał się i znikał wraz z falowaniem morza.

– Tam – powiedział.

Przepełniło go uczucie ulgi. Czas spędzony w ciemnościach wydawał się snem, a noc trwała jakby w nieskończoność. Wiosłarze obrali kierunek na to światło, na lampę, którą zgodnie z obietnicą wywiesił dla nich Arystydes. Byli w domu.

* * *

Gdy słońce wstało następnego dnia, spartańskie okręty zachowywały się tak, jakby ktoś kopnął gniazdo os. Żagle wydymały się na wietrze, a wiosła napędzały triery patrolujące brzegi Cypru. Kiedy Arystydes spuścił na wodę łódź, żeby zapytać, co się dzieje, został zbyty machnięciem ręki przez spartańskiego trierarchę, który nie zatrzymał się, by z nim porozmawiać. Mała łódź pozostała w pianie za okrętem.

Arystydes potrafił jednak liczyć. Wstające słońce ukazało pięć spartańskich trier, a nie sześć jak poprzedniej nocy. Ateńczyk wiedział, że jedna z nich mogła zniknąć za wyspą, jednak przeczyły temu gorączkowe ruchy pozostałych.

Spartan coś niepokoiło i Arystydes miał nadzieję, że ich plan się powiódł. Wrócił na okręt flagowy i wezwał do siebie Kimona.

Ten przybył we własnej łodzi, z Peryklosem u boku, obaj w widocznym napięciu, choć starali się okazywać tylko grzeczne zainteresowanie. Nawet słowem nie pisnęli o tym, co ich zdaniem mogło się zdarzyć, a na co mieli wielką nadzieję. Kimon pomógł Peryklesowi wspiąć się na pokład, po czym wdał się w pogawędkę o zupełnie zwyczajnych rzeczach, jak zbiorniki na wodę i dostawy suszonej fasoli oraz zboża. Wokół nich trwały nieustanne drobne prace, jakim zwykle oddawano się we flocie, Spartanie zaś byli jeszcze bardziej zajęci, pływając wokół Cypru w poszukiwaniu zaginionych jeńców.

Dopiero późnym popołudniem Arystydes zauważył, że flagowy okręt spartański podniósł kotwicę. Zza jego rufy wypłynęła mała łódź z zaledwie czwórką wioślarzy oraz jednym pasażerem i ruszyła w ich stronę.

Arystydes spodziewał się, że zostanie wezwany tam, gdzie Pauzaniusz czuł się najsilniejszy. Był zaskoczony, gdy rozpoznał siedzącą w łodzi postać osłaniającą się czerwonym płaszczem od rozbryzgów fal. Morze było dość spokojne, lecz Arystydes podejrzewał, że Pauzaniusz wprost przeciwnie. Wymienił spojrzenia ze stojącymi przy nim Kimonem i Peryklosem.

– Imponujący – mruknął archont. – Doprawdy, gdybyście mogli widzieć go pod Platejami... Pomimo całej jego arogancji konieczność zrobienia czegoś takiego rozdziera mi serce.

Kimon i Perykles nie odezwali się słowem. Nazbyt byli świadomi lekkości, z jaką spartański nauarcha wspiął się po drabince i wskoczył na pokład jak wielki kot. Niezwykłe było oglądać go samego, bez nieodłącznego wróżbity. Tisamenos był dla niego jak talizman. Ta nieobecność bardziej niż cokolwiek innego mówiła o jego klęsce. Pauzaniusz miał przypasany krótki miecz oraz pochwę z kopisem i przytrzymującym go rzemieniem. Tak uzbrojony stał milcząco na pokładzie, gdy Ateńczycy mu się pokłonili. Arystydes był zarówno ateńskim archontem, jak i strategiem, lecz Pauzaniusz był do niedawna regentem i wciąż dowodził ich flotą.

– Wiem, co zrobiliście – stwierdził krótko Spartanin.

Arystydes uniósł brwi.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Pauzaniusz zbył to machnięciem ręki, jakby te słowa były tylko tchnieniem powietrza.

– Nie znam szczegółów ani powodu, dla którego zwróciliście się przeciwko mnie. Wiem tylko, że to zrobiliście. Wasze motywacje nie mają większego

znaczenia. Nie wiem nawet, czy bym je pojął. Często nie potrafię zrozumieć sposobu myślenia Ateńczyków. – Uśmiechnął się, ale w jego oczach widoczny był bezmiar goryczy. Spojrzał na morze, na pięć, a nie sześć spartańskich okrętów. – Jeden z moich kapitanów podjął się doniesienia o tym, co się tu wydarzyło, o rzucanych na mnie oskarżeniach. Straciłem kolejny dzień, którego nie będę już w stanie nadrobić, przynajmniej nie teraz. No tak. On doniesie eforom o ucieczce Persów, o tym, że jeńcy dosłownie rozplynęli się w powietrzu. Uwierzą... No cóż, w cokolwiek uwierzą, osiągnąłeś swoje, Arystydesie. Muszę wracać do domu, żeby się bronić. Jesteś tu teraz najstarszy rangą. Czy tego właśnie chciałeś? Chodziło po prostu o to, kto będzie dowodził flotą?

Pytanie wydawało się trafne, a Pauzaniasz wciąż był niebezpieczny jak kobra rzucona na pokład. Arystydesa nie opuściło napięcie. Zmarszczył brwi w konsternacji.

– Czego chciałem...? Niczego, Pauzaniasz! Działania poszczególnych spartańskich kapitanów wcale mnie nie obchodzą. Podobnie jak polityczne rozgrywki w twojej ojczyźnie. Jednak jako ten, którego kiedyś wygnano z Aten, muszę ci przypomnieć, że zawsze pozostaje nadzieja powrotu.

– Może w Atenach – powiedział ponuro Pauzaniasz.

Arystydes potrzęsął głową.

– Wszędzie, gdzie żyją ludzie, Pauzaniasz. Nie wierzę, że nasze losy są z góry zapisane. Pozostają w naszych rękach, oczach i umysłach. Jesteś młody. Możesz ująć z katastrofy. Ja tak zrobiłem. Czerp z tego nadzieję. Skoro musisz odpłynąć, to mogę tylko życzyć ci powodzenia.

Pauzaniasz długo patrzył mu w oczy, wreszcie zaś pokręcił głową zdegustowany nimi wszystkimi.

– Ta... – odezwał się – ...jak to nazywacie? Ta symmachia, liga, którą założyliście na Delos. Tak, oczywiście, że o niej wiem. Ona nie przetrwa. Zdajecie sobie z tego sprawę? To błąd próbować zebrać i związać ze sobą tak różnorodną grupę. Istnieje tylko kilka silnych miast-państw, jak Sparta czy Korynt, a także Ateny, Teby, Argos i kilka innych. Reszta jest... słaba. Nigdy nie będą z tamtymi na równi, nie naprawdę. Udawanie, że tak jest, to rodzaj obelgi dla nich, nie widzicie tego? – Widząc ich puste spojrzenia, przeciął dłonią powietrze. – Trudno to ująć słowami. Skoro Ateny mają flotę i wielkie rynki, to żadne z małych miast nie ośmieli się wam powiedzieć, żebyście opuścili ten sojusz. Nazywanie ich równymi wam jest zmuszaniem ich do zaakceptowania kłamstwa z uśmiechem. To... nieuczciwość, która weźre się w serca ludzi.

Arystydes otworzył szeroko oczy. Po raz kolejny przekonał się, że Pauzaniasz nie jest głupcem. Spartanin sprawował dotąd wielką władzę, która dała mu wgląd większy, niż Ateńczyk sądził. Jeszcze raz poczuł nagły wyrzut sumienia, że zniszczył tego wielkiego człowieka, ale prawda była prosta: Sparta nie należała do ich sojuszu. Pytano ją, ale odmówiła. Od tej pory nie mogła już sprawować nad nimi dowództwa jak gdyby nigdy nic.

– Może masz rację – odpowiedział uprzejmie.

Pauzaniasz czekał na więcej, ale się nie doczekał. Skrzywił usta w grymasie i odwrócił się, przywołując gestem łódź.

– Nie wiem, czy jeszcze się spotkamy – rzucił, obejmując spojrzeniem również Kimona i Peryklesa. – Ale może lepiej będzie, jeśli nie.

Obrócił się na pięcie i zszedł po drabince do swojej łodzi. Siadając na ławce, spojrzał w górę na Ateńczyków, po czym owinął się płaszczem.

Wszyscy trzech patrzyli za nim, jak płynął w stronę swego okrętu.

Wyglądało na to, że kapitanowie czekali już na jego powrót. Na maszty spartańskich i korynckich okrętów wciągnięto żagle. Niemal równocześnie złapały wiatr i popłynęły, kierując się na zachód, w stronę Morza Egejskiego i Sparty.

– Całkowicie się myli – rzekł po chwili Arystydes.

Perykles spojrzał na niego pytająco, archont zaś wzruszył ramionami.

– Jesteś młodym człowiekiem z fyli Akamantis, jak twój ojciec. A należysz do demu...?

– Cholargos – odparł szybko Perykles.

Arystydes kiwnął głową.

– Czyli... siadujesz w teatrze z ludźmi z Akamantis, a do tawerny chodzisz w Cholargos, bo to twój dom i twoi ludzie. A jednak największą lojalność czujesz wobec tych, których prawie nie znasz, do twarzy, których nie rozpoznajesz. Prawda?

– Wobec Aten? O tak – odrzekł Perykles.

– Dobrze. Człowiek może kochać swoją ulicę i miasto, które ją otacza. Wierzę, że potrafi równocześnie kochać także swoją ojczyznę. Nie jest to takie trudne, Peryklesie. Istnieją więzy łączące nas wszystkich jako jeden lud, bo mamy wspólną kulturę. Wszyscy znamy wyrocznie w Delfach albo w Olimpii na Peloponezie. Każdy z nas może odwiedzić Eleuzis, aby wziąć udział w rytuałach Demeter i Persefony. Znamy imiona bogów i wiemy, gdzie się urodzili. Choć nasze akcenty się różnią, mówimy jednym językiem, od Jonii po Macedonię.

Nie, Pauzanasz się myli. Człowiek może być Ateńczykiem, a ponadto kochać cały lud jako własny.

Gdy Arystydes mówił, okręty o czerwonych żaglach powoli znikwały w oddali. Dzień się kończył, a Spartanie płynęli w stronę zachodzącego słońca, na którego tle widniały jeszcze czarne sylwetki ich okrętów.

– Myślicie, że Pauzanaszowi nic się nie stanie? – zapytał Perykles. – Wyglądał na... pokonanego.

– Jest wystarczająco przyzwoitym człowiekiem – odparł Kimon. – Jak na Spartanina oczywiście. Twój ojciec rozumiał jedno: Sparta nie może przewodzić na morzu. Morze jest nasze. To, co zrobiliśmy, jest dla Pauzanasza lepsze niż zabicie go.

Perykles zauważył jednak rozpacz w oczach Spartanina. Nie był pewien, czy można się z tym zgodzić.

Jeszcze jeden rozpięty na maszcie żagiel przyciągnął ich uwagę. Statek płynął bliżej cypryjskiego brzegu i był odległym wspomnieniem trier, które znali. Sam żagiel był ogromny i wydymał się na wietrze, przytrzymywany napiętymi linami umocowanymi daleko na rufie. Statek handlowy nie miał tarana, lecz ciął fale umocowanymi na dziobie blachami z ołowiu, nasmarowanymi smołą w celu zabezpieczenia drewna przed zbutwieniem. Unosił się na wodzie wyżej niż okręty wojenne i prędko się zbliżał.

Kupiec nie miał wioślarzy, którzy ułatwiliby mu dopłynięcie do ateńskiej triery, ale kapitan był najwyraźniej obyty z wiatrem. Perykles patrzył z podziwem na wysokie burty i ołowiane osłony statku. Zwykł myśleć, że okręty są wrażliwymi skorupkami, gotowymi się przewrócić do góry dnem pod naporem większej fali. Ta koga wyglądała na to zbyt solidnie. Zbliżając się, zakołysała się w przechyle, podpływając niebezpiecznie blisko. Arystydes zmarszczył brwi.

– Zachowaj odstęp, szaleńcze! – ryknął ich keleustes do sternika tamtego statku.

Typ tylko wzruszył ramionami i podpłynął tak blisko, że mógł popatrzeć z góry na ich pokład. Manewr został wykonany wzorowo, choć wyglądało na to, że tamta załoga była nieliczna. Perykles podejrzewał, że stoi za tym ograniczony fundusz płacowy, który zawsze sprowadzano do minimum. Był zafascynowany wyglądem tej dziwnej jednostki.

Obserwowali, jak kapitan spuszcza na wodę łódź z drugiej strony, gdzie nie było ryzyka zmiążdżenia tej łupinki między burtami. Sam, wiosłując, opłynął statek, po czym przywiązał linę do drabinki ich okrętu. Keleustes posłał tam

dwóch hoplitów, ale kupiec nie stanowił wielkiego zagrożenia. Gdy wspiął się na pokład, opadł na kolano, aby wręczyć teatralnym gestem pakunek przywiązany do płaszcza.

– Archoncie Arystydesie, przywożę listy z domu. Chciałbym też omówić, jakie towary mógłbym zabrać z Cypru. Jak rozumiem, dowodzisz teraz flotą.

– Tak. A kto ci o tym powiedział? – odparł Arystydes.

Mężczyzna zmarszczył czoło, lękając się, że popełnił błąd.

– Spartanin Pauzanasz. Podpłynąłem najpierw do niego.

Arystydes skinął głową. Pauzanasz rozmawiał z kupcem wcześniej, jeszcze zanim przybył do nich, żeby oznajmić to, co miał im do powiedzenia. Znowu poczuł wyrzuty sumienia. Pauzanasz był interesującym człowiekiem.

– Bardzo dobrze – rzucił archont. – Peryklesie, odbierz od niego listy.

– Perykles? – zapytał mężczyzna. Jego twarz spoważniała. – Przykro mi z powodu twego ojca.

Perykles poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

– Mego ojca? A co się z nim stało?

Kapitan pokręcił głową.

– Ach. Wobec tego tym bardziej mi przykro, że jako pierwszy przynoszę ci tę wiadomość. Twój ojciec zmarł kilka dni przed moim wyjazdem. Ateny są pogrążone w żałobie.

Perykles znieruchomiał. To nie mogła być prawda. Nie było jednak żadnego powodu, by ten człowiek go okłamywał. Był obcokrajowcem. Nie. Ksantyppos nie mógł odejść. Wróci teraz do domu i porozmawia z nim jeszcze jeden raz. Powie mu, ile dla niego znaczył...

Kimon wyciągnął rękę i dotknął jego ramienia.

– Współczuję – szepnął.

Perykles czuł tylko irytację. Ojciec nie mógł umrzeć.

– Oczywiście wrócisz do domu – powiedział Arystydes. – Pożyczę ci okręt albo możesz wziąć koję na tym handlowym. Nie, triera będzie szybsza. Chciałbym móc wrócić razem z tobą, ale mam tutaj mnóstwo pracy, zwłaszcza teraz. Nie mogę odłożyć tego na później.

Perykles odwrócił wzrok. Wróci do domu. Tyle zrozumiał. Słowa nie przechodziły mu przez ściśnięte gardło. Zarówno Arystydes, jak i Kimon znali Ksantypposa dłużej od niego. Byli Ateńczykami i jego przyjaciółmi. Rozumieli, ale mieli także swoje zmartwienia. Nie będzie płakał w ich obecności. Przez chwilę patrzył w morze, po czym uznał, że jest gotowy do podróży.

Perykles zszedł na ląd w Pireusie. Panował tam taki rozgardiasz jak dawniej, ale w tym momencie poczuł się tam obcy. Kiedy opuszczał Ateny, był początkujący w roli żonatego mężczyzny, czekała go wyprawa z flotą i bitwa. Jego ojciec żył, a on zakładał... Tu Perykles pokręcił głową. Podróż z Cypru zajęła mu trzy tygodnie. Zatrzymywali się po drodze na kilku małych wyspach, aby uzupełnić zapasy wody lub przeczekać złą pogodę. Przez większość czasu załoganci triery pozostawiali go samemu sobie. Nie był pewien, czy ze współczucia, czy dlatego że odrzucał podejmowane przez nich próby nawiązania rozmowy. Perykles całymi dniami nie odzywał się ani słowem. Kiedy stanął na wielkim portowym nabrzeżu, uświadomił sobie, że będzie mu brakowało ciszy i szumu fal.

Mewy krążyły nad głową i przysiadły na każdym słupie, obserwując rozwieszanie sieci. Odważniejsze przechadzały się dumnie obok stojącego Peryklesa, wrzaskiem domagając się okruchów. Po trapie wynoszono z jakiegoś statku worki z ziarnem, czemu towarzyszyły krzyki i przekleństwa. Każdy załadowany wózek odjeżdżał po bruku w żwawym tempie, pchany z werwą przez chłopców. Wszędzie kręcili się śpiesznie ludzie, zaabsorbowani interesami i własnym życiem. Perykles znalazł się w domu i to zaczynało docierać do niego w jesiennym słońcu.

Po tak długim czasie spędzonym w morzu nie spodziewał się spotkać nikogo, kto zechciałby go pozdrowić. Trochę się łudził, że ujrzy gdzieś wyczekującą Tetydę, wypatrującą ukochanego. Była to pokrzepiająca myśl, ale Tetydy nie było. Kupiec, który zawiózł wieści na Cypr, przebywał od dobrego miesiąca w morzu. Od śmierci Ksantypposa upłynęło sporo czasu i nigdzie nie było już widać śladów żałoby. Pogrzeb odbył się dawno temu. Ciało musiało spoczywać w rodzinnym grobowcu.

Perykles podniósł głowę. To tam właśnie zamierzał pójść. Kimon był tak dobry, że wręczył mu sakiewkę pełną drachm, czyli jego zapłatę, choć nigdy nie uzgadniali stawki. Był jednak wdzięczny, nie musząc obciążać rodziny nowymi długami ani zależeć od łaskawości obcych ludzi. Pomyślał, że może kupi

w porcie konia. Powiadano, że człowiek z sakiewką srebra może tam nabyć niemal wszystko.

Nie, postanowił jednak pójść piechotą. Przyjemna była myśl o rozprostowaniu nóg. Zrzucił swój worek podróżny na ramię i ruszył w stronę miasta. Cmentarz mieścił się przy zewnętrznym murze, on zaś wiedział, że właśnie tam znajdzie grób ojca. Przed odejściem pożegnał kapitana triery uniesieniem ręki i wykrzyknął kilka słów podziękowania. Mężczyzna pozdrowił syna Ksantypposa głębokim ukłonem, kładąc dłoń na piersi.

Perykles szedł z łatwością, czując radość z nieskrępowanego ruchu. Droga do Aten była ruchliwa jak nigdy. Przypomniał sobie opowieść ojca o tym, jak to ścigał się z Temistoklesem od portu do wielkiego muru i przegrał o włos, choć z wysiłku niemal pękło mu serce. Zaczął bezwiednie biec, co rusz poprawiając na plecach worek z dobytkiem. Ludzie schodzili mu z drogi, wykrzykując obelgi pod jego adresem. Inni byli zbyt zajęci ciągnięciem wózka lub prowadzeniem osła albo nazbyt pogrążeni w rozmowie. Tych wymijał, zaskakując ich swym nagłym pojawieniem się, na co reagowali śmiechem lub wulgarnym gestem. Jego krajanie! W biegu zaczął się uśmiechać, jednak w pewnej chwili wzrok mu zmętniał, aż przestał widzieć cokolwiek.

Zwolnił w końcu i przystanąwszy, oparł dłonie na biodrach i wciągał haustami powietrze. Uświadomił sobie, że czas spędzony na pokładzie pozbawił go kondycji. Ojciec by powiedział... Odczuł to jak cios w brzuch. Zawsze gdy myślał o radach Ksantypposa albo o czymś, co by mu powiedział, odbierało mu na chwilę oddech. Perykles miał nadzieję zobaczyć go znowu, na drugim brzegu Styksu, ale gdy do tego dojdzie, nie chciałby się wstydzić. Miał własne życie do przeżycia z czekającymi nań sukcesami i błędami. Na pewno nie dorówna ojcu, który walczył pod Maratonem i Salaminą i należał do złotego pokolenia. Osiągnęli to, co zdawało się niemożliwe, pokonali imperium, które przedarłszy się przez przesmyk w Termopilach, zagroziło wszystkiemu, co kochali.

Mury miasta po zburzeniu przez Persów odbudowano. Wyrosły nawet wyższe, niż pamiętał Perykles, i widać je było już z daleka. Wielki cmentarz również się rozrósł od czasu wojny. Wiele starożytnych grobów popadło w ruinę. Niektóre groby masowe zastąpiły indywidualne pomniki. Temistokles obraził wielu, gdy użył płyt nagrobnych do odbudowy głównej bramy. Perykles zadrzał na tę myśl. Jego ojciec powiedział, że w każdym świeżym grobie odkrywano głębiej jakieś stare kości. Zbierano je z szacunkiem, nawet najmniejsze, i ponownie zakopywano. Grabarzami byli dawni hoplici, którzy się zestarzelili albo zostali inwalidami.

Perykles skinął głową dwóm mężczyznom, pielącym chwasty między grobami. Odpowiedzieli uprzejmym skinieniem, choć nie sądził, by go rozpoznali. Czuł się jak powracający duch. Ostatni raz był tutaj, gdy przywieziono jego brata Aryfrona i pochowano pod białym kamieniem. Przełknął ślinę, przypomniawszy sobie tamten dzień i krew, która wcześniej spływała mu po rękach, jaśniejsza od słońca. W porównaniu z tamtą śmiercią śmierć ojca była... nieobecnością. Tak ją odczuwał. Nie jako szok albo rozdzierającą rozpacz jak w przypadku brata. To była po prostu świadomość, że już nigdy nie usłyszy głosu ojca ani jego śmiechu z powodu jakiegoś drobiazgu. Nigdy już nie uściśnie staruszka i nie zobaczy dumy ani smutku w jego oczach.

Perykles zwolnił, gdy ujrzał kogoś w miejscu, do którego zmierzał. Mężczyzna przycupnął przy grobowcu z marmuru i żelaza, a Perykles przez chwilę poczuł rosnące zagrożenie. Miał przy pasie kopis otrzymany od Kimona; położył na nim dłoń, przyspieszając kroku. Odsunął rękę, gdy rozpoznał tę postać.

– Epikleosie! – zawołał.

Jako przyjaciel Ksantypposa i najbliższy Peryklesowi człowiek często zastępował mu ojca. Był przy nim przez całe jego dzieciństwo, zwłaszcza w latach, gdy Ksantyppos przebywał na wygnaniu.

Epikleos, usłyszawszy swoje imię, podniósł wzrok. Był zgrabny i szczupły, a gdy się wyprostował, widać było, że trochę schudł. Miał zmierzwiłone włosy i ogorzałą twarz, zniszczoną nieco przez upływ czasu i smutek. W pobrudzonych rękach trzymał jakieś ogrodnicze narzędzie. Patrzył z rosnącym zdumieniem, stopniowo rozpoznając Peryklesa.

– Bogom niech będą dzięki! – zawołał. – Tak mi przykro, Peri. Chciałem wysłać ci wiadomość, ale wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie cierpiał długo.

Perykles rozpostarł ramiona i uściskali się serdecznie, tak mocno, że zabrakło mu tchu.

– Dziękuję. Oczywiście dbasz o jego grób – powiedział, gdy odstąpili od siebie. Mówiąc to, otarł oczy. – Przez całe życie dbałeś też o niego.

– O tak – odparł z dumą Epikleos. – To był dla mnie zaszczyt. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to już koniec.

– Gdzie teraz mieszkasz? – zapytał Perykles. – Jeszcze nie byłem w domu.

– Och, mam takie skromne miejsce, blisko Akropolu. Pracuję tam w teatrze. Kiedy nie jestem tutaj. Przez większość czasu przychodzę porozmawiać z twoim ojcem. Chodź, przejdę się z tobą. – Wręczył Peryklesowi rydel, po czym wyjął

zza pasa zakorkowaną blaszaną butelkę. Ostrożnie uronił kilka kropel na kamienną płytę. Zaiskrzyło w nich słońce, Epikleos zaś zauważył wahanie na twarzy Peryklesa. Zaczerwienił się. – Przepraszam. Zostawię cię samego. Poświęć mu tyle czasu, ile chcesz. Zaczekam przy drodze.

Podniósł i zabrał kilka narzędzi. W nagłej ciszy Perykles przeciągnął palcem po wyrytym w kamieniu imieniu ojca, a potem po reliefie wyrzeźbionym dla Aryfrona. Była to tylko jedna scena, na której przedstawiono gęstwę perskich tarcz, jego jedyną bojową chwałę. W części Ksantypposa dodano Maraton i Salaminę, ateńskich hoplitów i flotę okrętów wojennych. Na końcu znajdowała się tam jeszcze prosta scena domowa. Wyrzeźbiona postać ścisnęła dłonie członków rodziny, żegnając się z nimi. Perykles dotknął wypolerowanej twarzy ojca i poczuł się lepiej. Jego własny wizerunek nie był tak udany jak portrety ojca i Aryfrona, ale w czasie, gdy nagrobek powstawał, nie było go na miejscu, by pozować rzeźbiarzowi. Ksantyppos i Aryfron uczynili go tym, kim się stał, na dobre i na złe.

– Dziękuję wam obu – powiedział. – Za wszystko, co zrobiliście.

Pochyliwszy głowę, zmówił modlitwę za dusze mężczyzn. Kiedy podniósł wzrok, poczuł się lżej. Nabrał do płuc powietrza, smakując jego świeżość.

– Jestem ostatni z rodu – powiedział. – Baczcie na mnie i dbajcie o moje bezpieczeństwo. Nie zawiodę was. – Poklepał grób.

Słońce zachodziło, on zaś uśmiechnął się, odwrócił i ruszył do domu.

* * *

Pauzaniasz zmarszczył brwi, gdy zrozumiał, że eforowie nie słuchają. Stał w świętym miejscu, na spartańskim akropolu. Góry wokół były górami jego dzieciństwa i wszystkich przeszłych pokoleń. Zwykle czuł się tu spokojny, lecz teraz dręczył go lęk. Wiedział, jak bezlitośni potrafią być jego ziomkowie i jak twardzi musieli być od zawsze. Nie dopuszczali słabości, nie godzili się z porażką. Ateny wysyłały tych, którzy ponieśli klęskę, na wygnanie; Sparta ich zabijała. Wiedział to od pierwszej chwili, gdy usłyszał, że perskim jeńcom pozwolono uciec.

– Potępiając mnie, czyniąc mnie za to odpowiedzialnym, postępujecie jak Ateńczycy – powtórzył. Dlaczego nie chcieli tego pojąć? – To ich spisek albo spisek, który poparli. Żaden z nich nie ruszyłby palcem bez zgody Arystydesa. To Ateńczycy przyłożyli rękę do zniknięcia Persów. Może ich zabili i pochowali gdzieś pośród wzgórz na Cyprze, to bez znaczenia. Wiedzieli, że podejrzenie padnie na mnie, że będę zmuszony wrócić do domu i przemówić w swojej

obronie. Podczas tygodni mojej nieobecności Ateńczycy mieli Cypr tylko dla siebie. Wyspę zdobytą pod moim dowództwem, dzięki drugiemu zwycięstwu, które zostało mi obiecane.

Najstarszy z eforów uczestniczył jeszcze w kampanii jońskiej i już od wielu dekad przeszedł w stan spoczynku. Musiał mieć dobre osiemdziesiąt lat, co poznać można było po ciemnych plamach na ciele, zwiotczącej szyi, widocznych ścięgnach, przez które sprawiał wrażenie, jakby był zrobiony z drutu i jedynie obciążony skórą. Para sandałów chroniła jego stopy od kamieni. Aksinos walczył dla Sparty przez czterdzieści lat i wiedział więcej o spartańskich tradycjach i prawach niż ktokolwiek inny spośród żyjących. Inni eforowie działali pod jego kierunkiem i to właśnie do niego odwołał się Pauzaniasz. Aksinos nienawidził Ateńczyków jak wszyscy. Pomstował na nich, gdy szantażowali Spartę i próbowali wciągnąć ją w wojnę, grożąc oddaniem floty wielkiemu królowi. Pauzaniasz wiedział, że Spartanie w rodzaju Aksinosa nie zapomnieli tej zniewagi. Jego los zależał od siły nienawiści tego starca. Nie odwrócił wzroku, gdy Aksinos wbił w niego oczy.

– Persowie korumpują wszystko, czego dotkną – powiedział efor. – Swoją miłością do złota i rozkoszy. Kuszą miękkim ciałem i obietnicami. Czyżby i ciebie przekabacili, Pauzaniaszu? Wypchali ci usta złotem?

– Byłeś dla mnie jak ojciec, Aksinosie. Wiesz, że to nieprawda.

– Niczego nie wiem. Daliśmy ci flotę i powiedzieliśmy, żebyś za jej pomocą stąpił autorytet Aten i poprowadził ten ich sojusz, który wzmacnia owce tak bardzo, że gardzą wilkiem. A ty stajesz przed nami, żeby nam oznajmić, że cię pobili.

Pauzaniasz znowu chciał się odezwać, lecz efor podniósł dłoń i ciągnął:

– Albo zostałeś skorumpowany przez Persję i konspirowałeś, żeby uratować jeńców za jakieś korzyści, za władzę lub bogactwo, czyli nic, co naprawdę się liczy. Albo nie dostrzegłeś, jak zostały użyte przeciwko tobie. Tak czy inaczej poniosłeś klęskę, Pauzaniaszu. Powiedziałeś, że obiecano ci pięć zwycięstw. To kłamstwo. Obiecano je Tisamenosowi. Odejdź i przygotuj się. Wezwiemy cię, gdy nadejdzie czas.

Pauzaniasz ukląkł, wiedząc, że lepiej będzie milczeć, choć na te słowa poczuł skurcz żołądka. W piersiach odezwał się ból będący połączeniem gniewu i rozpacz. Czy powinien był uciec? W ogóle nie wracać do Sparty? Świat był dość wielki, żeby się w nim ukryć, prawda? Ale przecież był zwycięzcą spod Platejów! Sądził, że nie rzucają tego wielkiego zwycięstwa w ogień. Pokręcił głową, wychodząc na zewnątrz, gdzie ujrzał czekającego nań Tisamenosa.

– Nie chcieli słuchać – powiedział tępym głosem.

Tisamenos zbladł. Wiedział jak wszyscy, co te słowa znaczą. Choć nie urodził się jako Spartanin, poznał ich i nauczył się rozumieć. Podziwiał ich bardziej niż jakikolwiek inny lud, ale wiedział też, że są zimni w sposób, którego nie zdołał pojąć. Jedną rzecz liczyła się ponad wszystko: posłuszeństwo. Jeśli eforowie zwrócili się przeciwko niemu, wszystkie słowa świata znaczyły tyle, co plewy na wietrze.

Pauzaniasz szedł otępiały. Całe jego życie legło w gruzach. Wchodził do domu eforów na wzgórzu jako ktoś, kto był wcześniej regentem, jako weteran i przywódca. Dawniej ludzie, rozpoznając go, witali go uśmiechami i ściskali mu dłoń, jeśli na to pozwolił. Teraz schodził na dół jak cień człowieka, opuszczony przez wszystkich.

– Naprawdę nic się nie da zrobić? – zapytał Tisamenos. – Nie możesz zwrócić się do króla?

– Wyobrażam sobie, że jest zachwycony, mogąc się mnie pozbyć – odparł z goryczą Pauzaniasz. – Nie będzie się wtrącał, nawet gdyby mógł. Nie, władzę w czasie pokoju mają eforowie.

– To musi być dla ciebie szansa! Przecież ich ocaliłeś. Ich wszystkich. Nie mogą tego zignorować.

Pauzaniasz poczuł, że ogarnia go chłód. Tisamenos był jego przyjacielem i towarzyszem, stał się spartańskim obywatelem, z prawami równymi prawom każdego urodzonego Spartanina. Ale nie był jednym z nich, nie w głębi duszy, jeśli o to chodzi. Zatrzymał się, a raczej przestał posuwać się naprzód.

– Na tym opierałem moje wątłe nadzieje, Tisamenosie. Wiedziałem o tym. Ateńczycy znaleźli po prostu odpowiedni nóż, żeby mi go wbić. Znają nas dostatecznie dobrze, żeby go znaleźć. Wiedzieli o nieustannych podejrzeniach, o stałej obserwacji. Oskarżenia rujną mężczyznę, przyjacielu, zwłaszcza w Sparcie, gdzie wszyscy wypatrują u innych najmniejszych znamion słabości. Aby stać się takimi jak my, trzeba wiecznej kontroli, ale może to zostać także użyte przeciwko nam... przeciw mnie.

– Czyli odrzucą wszystko, co zrobiłeś dla nich i dla Sparty, z powodu jednego oskarżenia?

Pauzaniasz potaknął.

– Miałem nadzieję... No tak, wygląda na to, że to właśnie zamierzają zrobić. Nie godzą się na żadną słabość. Dopiero śmierć nas oczyszcza. Przykro mi, Tisamenosie.

Ku jego zdziwieniu przyjaciel złapał go za ramiona.

– Może znam zbyt wielu Ateńczyków... – mruknął z naciskiem. – Ale skoro mają cię zabić, to czemu nie zacząć walczyć? Dlaczegoż by nie *uciec*?

Pauzaniasz łagodnie wyzwolił się z jego uścisku, wzruszony jego oburzeniem.

– Jeśli to uczynię, odbiorą mi też honor. Rozumiesz? Moje życie nic nie znaczy. Poświęciłem je pod Platejami. Pozostaje tylko reputacja. Mam syna, który właśnie rozpoczął agoge. Jak by się czuł i jak by go traktowano? Moja matka jeszcze żyje! Umarłaby ze wstydu. Mam też kuzynów, którzy spluwaliby z pogardą, przechodząc koło mego grobu, nieoznaczonego rzecz jasna, gdybym umarł po czymś takim. – Zauważył zmieszanie w oczach Tisamenosa i westchnął. – Nie musieli mnie napominać, żebym nie uciekł, bo wiedzieli dobrze, że tego nie zrobię. Jeśli eforowie rozkażą, żebym odebrał sobie życie, tak uczynię. Jestem Spartaninem, Tisamenosie, a jednak... – Zniżył głos do ledwo słyszalnego szeptu. – A jednak przyznaję, że odczuwam lęk.

Tisamenos zauważył, że Pauzaniasz drży, że targają nim potężne emocje. Był jak zraniony pies, miał szeroko otwarte oczy. Strasznie było widzieć przyjaciela w takim stanie.

– Istnieją różne sposoby walki, Pauzaniaszu – powiedział zdecydowanie. – Nie możesz sięgnąć po miecz, rozumiem to. Ale nie możesz tak po prostu pójść potulnie na śmierć, kiedy po ciebie przyjdą! Czy możemy odroczyć sąd? Odwołać się do króla Plejstarchosa albo króla Leotychidasa? Albo jakiegoś publicznego głosowania?

Zauważył, że Pauzaniasz słucha z uwagą. Serce zabiło mu szybciej.

– Eforowie nie wejdą na poświęcony teren – odrzekł Pauzaniasz. – Na pewno nie, jeśli zażądam azylu. Nie, nie patrz na mnie w ten sposób! To... szaleństwo, Tisamenosie. W żaden sposób nie zmieni to ich decyzji, tylko ją odwlecze. Ale może... królowie mogliby wtedy interweniować.

– Jeśli istnieje szansa, choćby nie wiem jak mała, tyle są ci winni. Za Plateje.

Pauzaniasz pokręcił głową jakby w nerwowym odruchu, a na jego twarzy odmalowało się cierpienie.

– Nie wiesz, co oni powiedzą. Moja krew nic nie znaczy, ale liczą się moje słowo i posłuszeństwo... Nie rozumiesz tego!

– Tam stoi świątynia, Pauzaniaszu! Wejdziesz do niej i ocal życie.

– Za cenę mego honoru – odparł bezbarwnym głosem Pauzaniasz. – Nie, nie mogę tego zrobić.

– Spróbujmy jednak wszystkiego – nalegał Tisamenos. – Twoje życie ma wartość, również dla mnie.

Pauzaniasz spojrział na niego, czując, jakby świat walił się wokół niego z ogłuszającym hukiem. Po długiej jak wieczność chwili skinął głową. Małeńki budynek stał ledwie dwadzieścia kroków od nich. Pauzaniasz pamiętał, że to Mosiężny Dom, sanktuarium Ateny.

Świątynia była mała, odpowiednia dla bogini niezbyt powszechnie czczonej w Sparcie. Z jednego końca na drugi miała długość zaledwie dwóch ludzi. Wchodziło się do niej przez jedno łukowe wejście, a w środku wisiała tylko jedna lampa. Stał tam, przyglądając się im, chłopak, który przyszedł napełnić ją olejem. Sądząc po jego postawie i mocnej budowie, był raczej Spartaninem, a nie helotą. Pauzaniasz zastanawiał się, co takiego mógł zrobić, że obarczono go tą pracą.

– Kyriosie? – odezwał się zakłopotany młodzieniec. Spokój jego wieczoru został zaburzony i zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

– Żądam azylu – powiedział Pauzaniasz. – Zostaw nas.

Chłopak się wycofał, zostawiając naczynie z oliwą. Rano może zostać za to wychłostany, pomyślał Pauzaniasz. Gdy nastąpiła cisza, poczuł wielki ciężar na sercu. Czuł, że już nic nie będzie tak samo. Nic. Pozostawała tylko jedna rzecz.

– Nie mogą cię tu znaleźć – zwrócił się do Tisamenosa.

– Nie jestem oskarżony! Prawo wciąż mnie chroni, jeśli to cokolwiek znaczy – odparł wróżbita.

Pauzaniasz pokręcił głową. W taką noc i po tym wszystkim, co usłyszał w ciągu dnia, nie był już tego taki pewien.

– Idź prędko, może znajdziesz jakieś przychylnie ucho, które cię wysłucha. Ja zostanę tutaj i będę się modlił. Jeśli nie da mi to nic innego, to przynajmniej zyskam jeszcze jeden dzień. Dziękuję ci za to.

Uścisnęli się i Tisamenos zniknął w mroku. Zostawszy sam, Pauzaniasz potoczył spojrzeniem po wnętrzu małego sanktuarium, jego złocistych ścianach wypolerowanych tak, że mógł się w nich przejrzeć. Jednym zdecydowanym krokiem przekroczył próg świątyni, która od tej chwili stała się jego więzieniem.

Perykles był pokryty kurzem i trochę zmęczony, gdy dotarł do rodzinnego domu pod miastem. Musiał poczekać, by go wpuszczono, ponieważ nowy mur był wysoki i solidny. Kiedy otworzono bramę, obaj z Epikleosem weszli do środka i zatrzymali się na granicy krużganka, który ciągnął się wzdłuż domu niczym portyk. Dach pokryty czerwonymi dachówkami podpierał rząd kamiennych kolumn. Perykles właśnie podziwiał ich kunsztowne wykonanie, gdy usłyszał krzyk dobiegający z głębi domu. Obaj uśmiechnęli się szeroko, gdy na zewnątrz wybiegła matka Peryklesa. Epikleos szczególnie promieniał, jakby to on osobiście sprowadził tu jej syna.

Perykles spodziewał się żałoby i rzeczywiście widać było jej oznaki choćby w ciemnym stroju matki. Jego siostra Eleni przebywała we własnym domu wewnątrz murów miejskich. Wyszła za kupca, który posiadał jedną piątą udziałów w trzech statkach, i wydawała się szczęśliwa. Skinął głową i uśmiechnął się do matki, z której oczu popłynęły łzy. Rozglądał się za Tetydą, ale jej nie dostrzegł.

Następny pojawił się Manias, który wyszedł z kuchni i mocno uściskał dłoń Peryklesa.

– Przykro mi z powodu twego ojca. Był wielkim człowiekiem – powiedział. Między jego brwiami pojawiła się zmarszczka, gdy mierzył wzrokiem Peryklesa, dostrzegając coś, co skłoniło go do refleksji. – Dorosłeś. Na bogów, chłopcze, pamiętam, jak bawiłem się z tobą w Minotaura i nosiłem cię na plecach po podwórzu za domem! Ujrzeć cię teraz, jak stoisz tu, taki wysoki i z tymi wszystkimi bliznami... Chciałbym, żeby on mógł cię zobaczyć.

Agarysta spojrzała ponownie na szczupłego, pokrytego kurzem drogi młodego mężczyznę, który wrócił do domu. Perykles rozwiązał jej obawy.

– Było trochę walk na Cyprze. Zostałem raniony w łydkę i lekko tu, pod obojczykiem. Miałem dobrego lekarza. Rany goją się dobrze. O wszystkim opowiem ci później.

Ku jego zdziwieniu Manias poklepał go po plecach.

– Nie miałem na myśli ran, choć jestem szczęśliwy, że się goją. Miałem na myśli to... że nie jesteś już chłopcem.

– Jaki miałem wybór, skoro lata lecą? – odparł lekkim tonem Perykles. Nie całkiem to zrozumiał, więc obrócił w żart.

Manias uśmiechnął się dziwnie i stanął z boku.

Wkrótce pojawiła się Tetyda, a odgłos jej kroków rozległ się w cieniu kruzganka. Była zarumieniona, a gdy odgarnęła dłonią pasemko włosów, na jej czole pojawiła się smużka brudu. Miała włosy upięte wysoko, niedbale przytrzymane tu i ówdzie spinkami, tak że niesforne kosmyki wciąż się wymykały. Miała na sobie krótką, ciemnoniebieską tunikę niezakrywającą kolan, bardziej pasującą stylem do mężczyzny niż kobiety. Wciąż miała doskonałe nogi. Perykles poczuł, że bezwiednie się uśmiecha. W morzu nieraz wyobrażał sobie swój triumfalny powrót. Mocny pocałunek stanowił część tych marzeń, ale nie sądził, że ujrzy żonę w stroju pomocy stajennej, spoconą i ubrudzoną czymś, co wyglądało zupełnie jak końskie łajno.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Nie do końca zdawał sobie sprawę, że jego matka się rumieni i odwraca od nich wzrok w tej intymnej chwili, przejęta własnym cierpieniem i wspomnieniami.

Tetyda podbiegła do niego i przez chwilę wszystko było tak, jak wyobrażał sobie Perykles. Żona rozplakała się, wzruszona jego nagłym przybyciem, i przywarła ustami do jego szyi i policzka. Stało się jasne, że przybiegła ze stajni, ale on rozkoszował się nią, przyciskając ją do siebie tak, że aż zabrakło jej tchu w piersiach.

– Nie tak mocno! – szepnęła. – Bo zrobisz krzywdę naszemu dziecku.

Świat nagle zamarł, jakby zamknięty pod szkłem. Nawet powietrze znieruchomiało, gdy odchylił się i spojrzał na kobietę, której dobrze nie znał, a która miała być matką jego dziecka. Przez chwilę jakiś głosik w jego wnętrzu zapytywał, czy może to być dziecko Kimona, ale czas się nie zgadzał. Przysięgę na Delos składano dobry miesiąc przed ich małżeństwem. Nie, dziecko było jego; w końcu w noc poślubną cztery razy posiał swoje nasienie.

Perykles zdał sobie sprawę, że stoi i patrzy zbyt długo.

– Czy oni wiedzą? – szepnął.

Potrząsnęła głową, znów przyciskając usta do jego szyi.

– Czekałam, bo chciałam, żebyś pierwszy się o tym dowiedział.

Sprawiło mu to taką przyjemność jak sama wiadomość. Tetyda była jego żoną, lojalną tylko wobec niego. Chciał wiedzieć, że stoi po jego stronie przed

nimi wszystkimi, nawet przed jego matką. Z ciekawością położył dłoń na jej brzuchu, wyczuwając niewielkie wybrzuszenie pod tuniką.

– Wygląda na to, że zostaniesz babcią – zwrócił się do matki. – Jeśli to będzie chłopiec, dam mu na imię Ksantyppos.

Agarysta stanęła jak wryta i otworzyła szeroko oczy, patrząc na spoczywającą na łonie żony dłoń swego syna, a potem na jego twarz. Miała czterdzieści lat i najwyraźniej nie pasowała już do świata. Z widocznym wysiłkiem podeszła, by uścisnąć Peryklesa.

– Twój ojciec byłby szczęśliwy – powiedziała. – Dziś wieczorem wydamy ucztę, aby powitać cię w domu, Peryklesie. Zaproszę wszystkich sąsiadów i naszych przyjaciół. Będziemy świętować twój bezpieczny powrót.

Perykles zauważył, że matka nie pogratulowała Tetydzie, i zmarszczył brwi.

– Może mogłaby to być również nasza ucztą ślubną, matko. Przedtem nie było na to czasu.

– Byłoby cudownie! – odezwała się Tetyda.

Coś w jej głosie wyraźnie ukłuło jego matkę, niczym haczyk na ryby. Jej oczy błysnęły, a Perykles wodził spojrzeniem od jednej kobiety do drugiej, próbując zrozumieć, co się dzieje. Tetyda była od niego starsza i była już przedtem mężatką, może o to chodziło. Uświadomił sobie, że to coś więcej niż małe napięcie między dwiema kobietami, choć obie czyniły wiele, aby to ukryć. Uznał jednak, że to musi być coś dobrego. Skoro obie go kochały, znaczyło, że istnieje silna więź, na której będzie mógł budować.

– Oczywiście – powiedziała matka po chwili, która trwała odrobinę zbyt długo. – Tetyda to błogosławieństwo dla tego domu. Organizowała całe nasze życie, Peryklesie, poprawiając wszystko, co dotąd było złe.

– Mam nadzieję, że nie przesadziłam – odparła Tetyda. – Po prostu nigdy nie miałam własnego domu.

Perykles uścisnął ją raz jeszcze, nie widząc, jak powoli zgasł uśmiech jego matki.

– No cóż, to już go masz – zapewnił żonę. Ujął jej ręce i przytulił ją do siebie, przyciskając policzek do jej policzka. – Będiesz tu wychowywać nasze dziecko – mruknął nad jej ramieniem – mając do pomocy najlepsze niańki w całych Atenach. W końcu jesteś panią tego domu.

– Tak myślałam. To wszystko jest jak sen – odparła. A kiedy otworzyła oczy i dostrzegła wpatrującą się w nią Agarystę, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. –

Chodź, mamy nowy pokój kąpielowy, który chcę ci pokazać – powiedziała do męża.

Jej intencje były równie oczywiste jak rumieniec triumfu na jej policzkach. Perykles wymamrotał kilka słów przeprosin i uśmiechnął się jak głupek, gdy Tetyda wzięła go za rękę i wprowadziła do jego rodzinnego domu.

Agarysta stała w milczeniu w towarzystwie Epikleosa i Maniasa.

– Maniasie? – odezwała się w końcu. – Wyślij gońców z zaproszeniem na dzisiejszy wieczór. To krótka wiadomość, ale chcemy dobrze wypaść. Jestem pewna, że uda ci się zaprosić kilka znamienitych osób z miasta.

Gdy służący skłonił się i odszedł, Epikleos odchrząknął. Agarysta wciąż była piękną kobietą. Dużo młodszą od zmarłego męża. Wydawała się nawet szczuplejsza z wiekiem, jakby czas zdarł z niej wszelki nadmiar ciała. Poza tym zupełnie nie wyglądała na swój wiek, lecz dobre kilkanaście lat młodziej. Tylko gdy się uśmiechała lub marszczyła czoło, widoczna była subtelna sieć drobnych zmarszczek. Ale tego popołudnia wyglądała na zmęczoną. Epikleos zastanawiał się, ile z tego zawdzięcza konieczności goszczenia młodszej kobiety w domu przez długie miesiące.

– Zamierzałem wieczorem zabrać Peryklesa do miasta, do teatru – powiedział. – Niektórzy ludzie chcieliby go poznać, bo dobrze znali jego ojca.

Poprzestał na tych słowach. Agarysta znała go dostatecznie dobrze, by się domyślić, że chciałby zaprosić te osoby na przyjęcie. Machnęła ręką.

– Zaproś ich, Epikleosie. Póki możemy to zrobić. Wypełnijmy ten dom światłem i życiem oraz winem. O tak, wino to doskonały pomysł. Mój syn jest w domu!

* * *

Zapalono lampy na terenie całej posiadłości. W przedwieczornym zmierzchu wyglądało to ślicznie. Zniszczeń spowodowanych kiedyś przez Persów nigdzie nie było już widać. Każda spalona belka i rozbita dachówka została wymieniona, każdy płot odnowiono. Agarysta wniosła do małżeństwa z Ksantyposem stare bogactwo swojej rodziny, łącząc starożytne nazwisko z wówczas młodym, obiecującym Ateńczykiem. Jak się okazało, ich ufność i nadzieje zostały dobrze ulokowane. Ksantyppos stał się jednym z największych w Atenach: archontem i strategiem, a także politykiem dostrzegającym korzyści płynące z sojuszu zawiązanego na Delos.

Epikleos zamierzał zwrócić się tylko do czterech lub pięciu z tych, których znał najlepiej. Liczba ta prędko urosła w ciągu popołudnia do trzydziestu, sześćdziesięciu, a wreszcie dwustu zaproszonych. Był zmuszony słać do posiadłości gońca za gońcem z pytaniem, czy kolejny tuzin lub trzydziestka

gości nie będzie stanowić problemu. W takich chwilach Epikleos był szczęśliwy, że nie musi stać obok Agarysty i słuchać jej odpowiedzi. Wracaly do niego tylko grzeczne formalne zaproszenia przynoszone przez tych samych gońców. W miarę upływu czasu w wyrazie ich twarzy widać było coraz więcej zdziwienia i rozbawienia, lecz liczba gości wciąż rosła. Połowa domowych niewolników została wysłana do miasta po zakup wina i żywności, a przy okazji roznosiła te same wieści w postaci plotek i przechwałek. Epikleos stał się nagle bardziej popularny niż kiedykolwiek, gdy w minionych latach archonci i stratedzy wysyłali swoich przedstawicieli próbujących go przekupić. O zachodzie słońca zapłacił już dwukrotną wartość swojej rocznej renty i dodał do tego własną dostawę wina z Thery słynącej ze swoich winnic i żyznej wulkanicznej gleby.

Gdy Epikleos wrócił pod bramy, teren posiadłości był już zatłoczony gośćmi, a w wieczornym powietrzu niosły się dźwięki muzyki. Otworzył szeroko oczy na widok takiego tłumu, martwiąc się, że okazał się zbyt hojny w szafowaniu zaproszeniami. Sam stawiał się w towarzystwie dwóch przyjaciół, których chciał przedstawić Peryklesowi, oraz jednego, któremu nie mógł odmówić, gdy ten go błagał, by mógł poznać syna Ksantypposa. Zostali serdecznie powitani i skierowani oświetloną alejką tam, gdzie odbywało się właściwe przyjęcie. Żaden pokój w domu nie mógłby pomieścić wszystkich zaproszonych. Agarysta kazała więc ustawić dębowe i marmurowe stoły w ogromny krąg i wynieść na zewnątrz wszystkie kanapy, poduszki, koce i krzesła. Na tysiącu półmisków leżały mięsa, chleb, oliwki, figi, ciasteczka miodowe i krojona kiełbasa, podczas gdy na ustawionych w dwóch końcach dziedzińca roznach piekły się dwa dziki, pieczołowicie obracane nad ogniem i polewane tłuszczem przez służbę. Słysząc było gwar i śmiechy, tu i ówdzie nawet tańczono. Wszystko wyglądało na okazję do radosnej zabawy.

Epikleos patrzył na rozbawionych gości z poczuciem winy, które mieszało się na jego twarzy z widocznym wyrazem przyjemności. Rok się kończył, ale bryza była jeszcze łagodna i niebo zupełnie czyste. Bogowie się do nich uśmiechali, a gospodarz przyjęcia zapewne też.

Roznosiciele wina odszukali ich, przeciskając się przez tłum jak łowcy, i stanęli przed nimi z czystymi kielichami, trzymając je między palcami jak wiązanek tulipanów. Z namaszczeniem podali je gościom, po czym napełnili, ukłonili się i odeszli. Jedna do trzech, zauważył Epikleos: trzecia część wina z dwiema trzecimi źródlanej wody. Gdy pociągnął łyk, z tłumu wychynął Perykles.

Do dobrego tonu należało, by gospodarz osobiście witał najważniejszych gości. Wywyższyło to Epikleosa w oczach jego trzech towarzyszy i przyniosło mu poczucie ulgi.

– Kyriosie – odezwał się oficjalnym tonem Epikleos – chciałbym przedstawić moich przyjaciół. To Anaksagoras z Jonii, gość w naszym mieście, choć o ile wiem, stara się o nasze obywatelstwo.

Anaksagoras skłonił się głęboko. Był wysoki, a do tego bardzo chudy. Jego budowa, gdy schylał się i prostował, przywodziła na myśl konstrukcję z wielu drążków powleczonych płótnem.

– Witaj w moim domu, Anaksagorasie – powiedział Perykles. – Niechaj bogowie cię błogosławią.

– To wielce prawdopodobne – odparł przybysz.

Perykles wybałuszył oczy, zaskoczony dziwną odpowiedzią, lecz Epikleos wypychał już przed siebie drugiego towarzysza.

– Zenon to kolejny wolny ptak. Znalazł drogę do Aten z Elei, jednego z naszych miast w Wielkiej Helladzie.

Zenon był mniej więcej w wieku Peryklesa. Miał na sobie dziwaczną szatę, zebraną w liczne fałdy i przepasaną. Wyglądał Peryklesowi na Greka, choć z wielkim nosem i lekko wyłupiastymi oczyma, jakby otwierał je specjalnie szeroko, aby lepiej wszystko widzieć. Gdy Perykles mówił, Zenon rozglądał się po tłumie z wyrazem zachwytu na twarzy.

– Jesteś mile widzianym gościem w moim domu, Zenonie. Nie miałem jeszcze okazji popłynąć do naszych miast na zachodzie. Byłeś może w pobliżu Rzymu?

Zenon przestał poruszać się jak ptak i skupił bez reszty na Peryklesie. Cokolwiek w nim ujrzał, najwyraźniej go zadowoliło, skinął więc głową.

– Mieszkałem kawałek dalej na południe, w Nea Polis. Rzym zrzucił swoich królów i nabilów, słyszałeś o tym, kyriosie? Zdaje się, że zrobili to pod naszym wpływem. Może dostrzegli, jak pozbyliśmy się naszych tyranów! Założyli republikę, w której lud wybiera ludzi władzy. Ateny nauczyły ich wiele, choć chyba zostało im jeszcze drugie tyle do przyswojenia. – Poklepał Peryklesa po ramieniu i przesunął się, wyciągając rękę z pustym kielichem do napełnienia.

Ostatni z trzech mężczyzn był w jakimś sensie mniej dziwaczny. Perykles nie przeoczył go jednak w towarzystwie takich oryginałów jak Anaksagoras i Zenon. Jeden rzut oka powiedział mu, że stoi przed nim rodowity Ateńczyk, pochodzący z tej samej warstwy co on, z przystrzyżoną pięknie brodą, włosami ułożonymi w loki, natartą oliwą skórą, w chitonie spiętym jedną srebrną wypolerowaną

klamrą. Peryklesowi nie umknęła kolejność, w jakiej Epikleos przedstawił swoich kompanów. Pomimo widocznej przyjemności z towarzystwa pierwszych dwóch właśnie tego człowieka wyróżnił, pozostawiając go na koniec.

Perykles był młodszy. Na terenie własnej posiadłości mógł nalegać, by goście kłaniali mu się pierwsi. A jednak, zauważywszy znaki, jakie wysyłał mu Epikleos, pokłonił się przed przybyłym głęboko, oddając mu najwyższy honor.

– Peryklesie – powiedział Epikleos – mam zaszczyt zaprezentowania ci mistrza Ajschylosa, największego dramatopisarza w Atenach.

– Epikleos jest zbyt łaskawy. To zaszczyt dla mnie – powiedział Ajschylos. W jego oczach zabłysło coś w rodzaju podziwu. – Znałem twego ojca. Walczyłem wraz z Ksantyposem pod Maratonem, a także z obecnym tu Epikleosem, z którym stałem w jednym szeregu. Byliśmy wówczas przekonani, że nie wrócimy już do domu. Pamiętam, jakby to było wczoraj! Musiał chyba o tym wspominać? Może widział, jak umierał mój brat. Nigdy nie udało mi się z nim o tym porozmawiać, ale ty znałeś tego wielkiego człowieka lepiej ode mnie. Jeśli znajdziesz trochę czasu, chętnie posłucham wszystkiego, co zdołasz sobie przypomnieć.

Epikleos chrząknął znacząco.

– Wystarczy, Ajschylosie. Perykles jest gospodarzem. W jeszcze wielu miejscach musi się...

Perykles zerknął na starego przyjaciela swego ojca, człowieka, który praktycznie go wychowywał w najważniejszych latach jego młodości. Jeszcze raz czytał między słowami i zrozumiał. Poczuł, jak w niepojętym żalu ściska mu się gardło.

– Nie, bardzo chciałbym o nim porozmawiać – powiedział. Miał obowiązki na przyjęciu, lecz było jeszcze wcześniej, a matka i Tetyda czuwały nad wszystkim. – W domu są wolne pokoje – dodał po chwili zastanowienia. – Na razie ciemne, ale każę przynieść lampy, no i jedną albo dwie amfory. Chodź, Ajschylosie. Wiem, że ojciec bardzo cenił twoje dzieła. Sam widziałem *Niobe*. Kiedy wreszcie przemówiła po tak długim milczeniu! Wszyscy wstrzymaliśmy oddech. To było... cudowne.

– Które wiersze z tej sztuki spodobały ci się najbardziej? – zapytał Ajschylos.

Perykles patrzył przez chwilę w bok. Kiedy podniósł głowę i zacytował je głośno, dramatopisarz stanął jak rażony gromem.

– „Bóg błąd popełnia, rosnąc w śmiertelnikach skłonnych do samozniszczenia. Ludzie winni unikać słów lekkomyślnych i cenić każde małe szczęście, na które godzą się bogowie”. – Nie zauważył, że Ajschylos razem

z nim wyszeptał ostatnie słowa. Uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się je przywołać z pamięci, zupełnie nieświadomy wrażenia, jakie wywarł na słuchaczach. – Chodźcie, jesteście mile widziani w moim domu. Pozwólcie, że się odwdzięczę choćby trochę za tamten dzień. Ku czci mego ojca porozmawiajmy i popijmy, aż staniemy się ślepi, niemi i bezradni jak dzieci.

* * *

Pauzaniasz stał przy wejściu do świątyni, którą ludzie nazywali Mosiężnym Domem. Nie dorównywała rozmiarami świątyniom Apollina, Zeusa czy Aresa. Mniejsze było tylko sanktuarium Dionizosa, boga, którego Spartanie akceptowali, ale nigdy nie pokochali. Atena była przynajmniej wojowniczką, obrończynią domu i ogniska domowego. Kobiety przychodziły szeptać do niej, gdy zbliżał się poród. Niewielu innych się tutaj modliło. Pauzaniasz żałował swego wyboru, ale kamienny łuk tej świątynki był najbliżej, gdy podjął decyzję o wypowiedzeniu posłuszeństwa.

Wieść już się rozeszła. Wzgórze akropolu było tego ranka bardziej zatłoczone niż zwykle, a Pauzaniasz dobrze wiedział, że to on jest tego przyczyną. Nikt do niego nie mówił ani nie wołał go po imieniu, ale połowa tych, którzy wspinali się na wzgórze, najwyraźniej chciała popatrzeć na tego, który przedtem był regentem wojennego króla Sparty, zwycięzcą spod Platejów, a teraz sprzeniewierzył się woli eforów. Pauzaniasz wiedział, że tym jednym czynem zaryzykował nie tylko własne życie, ale też reputację i honor swojej rodziny. Każda mijająca godzina uświadamiała mu straszliwy wybór, jakiego dokonał. Posłuszeństwo stanowiło rdzeń spartańskiego postępowania! Kiedy eforowie kazali mu wrócić do domu i się przygotować, nie wysłali za nim wojowników, żeby upewnić się, że to robi. Nie brali nawet pod uwagę, że mógłby nie podporządkować się ich władzy. A jednak znalazł się tutaj.

Stał pod kamiennym łukiem, patrząc na zewnątrz w milczeniu, gdy ujrzał jednego z eforów wspinającego się na górę, aby naocznie się przekonać, że to prawda. Słońce wschodziło coraz wyżej, ogrzewając wzgórze. Pauzaniasz wspominał znane mu z przeszłości imiona wielkich ludzi i wiedział, że wszyscy oni jedynie zmarszczyliby brwi. Likurg ustanowił ich prawa i powiedział, że wszyscy mężczyźni powinni jadać razem. Leonidas utrzymywał przesmyk pod Termopilami, gdy nikt inny nie zdołał tego zrobić, i zasiał wśród Persów wątpliwość w skuteczność ich maszyny wojennej.

Gapie zniknęli na jakiś czas, jakby im powiedziano, żeby trzymali się z daleka. Pauzaniasz czuł suchość w ustach, gdy tak czekał. Tisamenos

z pewnością przedstawił jego sprawę. Wyjaśnił, jak zaszkoziły mu knowania Ateńczyków bez najmniejszej winy z jego strony. Pauzanasz modlił się do Ateny, żeby go wysłuchano. Choć wydawało się to bluźnierstwem – stać w jej świątyni i szeptać do innego boga – modlił się też do Apollina, swego patrona, a nawet do Aresa, który na pewno był z nim pod Platejami i na Cyprze. To wieszczka Apollina obiecała Tisamenosowi pięć zwycięstw. Pauzanasz odniósł już dwa, udowadniając prawdziwość woli boga. Czy nie należało mu się za to jakieś zadośćuczynienie?

Niebo było tak niebieskie, jak zapamiętał z dzieciństwa. Byłoby miło, gdyby jego los nie ważył się na szali z tym, czego nie mógł zobaczyć. Kiedy usłyszał kroki, mało brakowało, aby się zapomniał i wyszedł za próg Mosiężnego Domu, by zobaczyć, kto nadchodzi. Zatrzymał się w ostatniej chwili. Był bezpieczny tylko na świętej ziemi. Gdyby eforowie zastali go na zewnątrz, mogliby go pojąć.

Gdy ujrzał, kto się zbliża, stanął ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Wojenny król Sparty wyszedł z miasta, aby się z nim spotkać. Pauzanasz przełknął boleśnie ślinę. Młody mężczyzna szedł sprężysto, długimi krokami, jak puma. Plejstarchos, mocnej budowy i z lekkim zarostem, był synem Leonidasas, co było widać. Był drugim władcą w Sparcie w okresie pokoju. Podczas wojny Plejstarchos stawał się pierwszy i nikt nie mógł sprzeciwić się jego słowu. Teraz miał jednak dostateczną władzę i Pauzanasz wiedział, że jego los został postanowiony.

Król zatrzymał się przed wejściem do świątynki, uważając, by nie przekroczyć progu, który zapewniał Pauzanaszowi azyl. Przez chwilę patrzył tamtemu w oczy.

– Przykro mi widzieć cię tak pomniejszonym – odezwał się. – Kiedy twój przyjaciel przyszedł do mnie, ledwo mogłem w to uwierzyć.

Pauzanasz ponownie przełknął ślinę. Jego wargi były tak suche, jakby w każdej chwili miały pęknąć.

– To wszystko, co mogłem zrobić – powiedział. – Eforowie za nic mieli niesprawiedliwość, jakiej doznałem, Wasza Wysokość. Przysięgam na mój honor, że nigdy nie spiskowałem z Persami ani nie przyjąłem złota za uwolnienie jeńców.

– I myślisz, że twój honor na tym korzysta, gdy się tutaj ukrywasz? – zapytał Plejstarchos. – Jeden z twoich kapitanów przyplłynął z wieściami o katastrofie. Cokolwiek zdarzyło się na Cyprze...

– Błagam, Wasza Wysokość! – Pauzaniasz ośmielił się przerwać królowi, choć czuł z tego powodu wstyd. – Ateńczycy...

– Ateńczycy cię przechytzyli! – rzucił Plejstarchos. – Albo cię kupili czy może zdradzili. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

– Przysięgam... – zaczął zdesperowany Pauzaniasz.

Młody król wydał się nagle znudzony, gdy podniósł rękę, żeby powstrzymać jego dalsze słowa. Jednak oczy mu błyszczały w czymś w rodzaju triumfu.

– Nic z tego nie ma już znaczenia. Eforowie w swej mądrości wydali jednogłośnie wyrok. Podobnie uczynili ze mną... gdy zabrałeś moją armię pod Plateje, a ja pozostałem z boku.

Pauzaniasz słuchał go z pustką w głowie; nogi się pod nim ugięły. Wiedział, że król żywi wobec niego urazę za to zwycięstwo. Mógłby już zostać zabity, gdyby nie wybrał azylu. Ten wybór kupił mu dodatkowe kilka godzin życia, choć za cenę jego pamięci, godności... Westchnął głęboko. Stracił wszystko.

– Pozwól mi udać się na wygnanie – powiedział. Czekał z nadzieją tkwiącą w sercu jak nóż, aż wreszcie Plejstarchos pokręcił głową.

– Nie mogę, nie teraz. Eforowie przemawiają, obwieszczając wolę bogów. Obraziłeś ich. Nawet teraz słychać głosy, żeby wywlec cię na zewnątrz i rzucić na pastwę ludzi. Powstrzymuje ich tylko gniew Ateny, Pauzaniasz. Jeśli pozostała ci resztką honoru, sugeruję, żebyś wziął jakiś miecz i wbił go sobie w serce. Tylko to cię tu czeka. Masz, dam ci mój.

To, że młody król wyciągnął ku niemu swój kopis, było już dla Pauzaniusza za wiele. Poczł narastający gniew, choć przyjął oferowaną mu broń.

– Nie sądzę, żebym to zrobił, Wasza Wysokość. Widzę, że moje odejście sprawiłoby ci przyjemność. Mogę cię jednak rozczarować.

– Nic, co zrobisz, nie rozczaruje mnie, Pauzaniasz. Już nie żyjesz.

– Nie jestem pewien – ciągnął Pauzaniasz, coraz bardziej gorączkując się w gniewie. – Wciąż mam przyjaciół, którzy ze mną służyli. Wierne mi załogi. Spartan, którzy tworzyli ze mną czworobok. Może poproszę ich, aby przyszli i mnie uwolnili.

Król stał spokojnie, ale Pauzaniasz zauważył, że drży z emocji. Zastanawiał się, czy gdyby Plejstarchos wciąż miał broń, odważyłby się zadać mu cios. Był synem Leonidasa, lecz nigdy nie wygrał bitwy w rodzaju tej pod Platejami. Pauzaniasz mógł jednak jeszcze pogorszyć sprawę, prowokując go. Mógł ugryźć się w język, a nie mówić takich rzeczy, ale nie dało się już tego cofnąć.

Plejstarchos kiwnął głową, jakby potwierdzał coś ku własnej satysfakcji.

– Osąd eforów był jak najbardziej poprawny – powiedział. – Zrazu się martwiłem, że popełniono jakiś straszny błąd. Ale widzę, że bogowie przemawiają przez nich w swojej mądrości. Nie sądzę, abyśmy jeszcze się spotkali, Pauzaniu.

Król obrócił się na pięcie i zszedł ze wzgórza. Osamotniony Pauzaniusz patrzył za nim. Był głodny i spragniony, pełen niesmaku do siebie po wszystkim, co zrobił.

Perykles jęknął. Wszystko go bolało. Gdy otworzył oczy, poczuł się tak, jakby ktoś dźgnął go nożem w mózg. Gdzie był? Zachował w umyśle jakieś niejasne wspomnienie, że śpiewał, maszerując... maszerując? Głowa pulsowała mu w rytm bicia serca. Ktoś jęczał, a Perykles miał nadzieję, że to nie on.

Pod nim znajdowała się drewniana ławka, wypolerowana i naoliwiona. Jej koniec wyrzeźbiony był w kształt delfina. Perykles przyglądał się przez chwilę radosnemu pyskowi zwierzęcia, głaszcząc go dłonią. Widział już coś podobnego, widział tysiąc takich ławek. Nie mógł jednak tego połączyć z żadnym z konkretnych zdarzeń zachowanych w pamięci.

Jęk rozległ się znowu i tym razem Perykles był już pewny, że jęczy ktoś inny. Uniósł głowę, gdy sterta wymiętych szat rozprostowała się i mężczyzna usiadł. Anaksagoras. Jego imię powróciło do niego wraz z falą wspomnień. Rozmawiali godzinami z Zenonem i Ajschylosem. Perykles pamiętał, jak rozkoszował się mnóstwem ciekawych idei. Dokuczliwy niepokój ogarnął go, gdy rozejrzał się wokół. Był w teatrze, wszędzie ciągnęły się wielkim łukiem rzędy ławek, a za jego plecami widniał Akropol. Widział w górze odkryte niebo, on zaś, leżąc tam, czuł się bardzo mały i nic nieznaczący. Zauważył, że ktoś zwymiotował mu na chiton. Nie pamiętał tego. Jego lewa dłoń wciąż trzymała bukłak, którego zawartość jeszcze bulgotała, gdy go ścisnął. Pachniał kwaśno, choć nie dało się wykluczyć, że był to odór jego własnego oddechu.

– Muszę się wykapać – oznajmił Anaksagoras. – Chodź. Zenon już leży w fontannie.

Peryklesem wstrząsnęły te słowa. Spojrzał trzeźwiej i podniósł się z ławki, opierając się o głowę delfina, aby nie stracić równowagi.

– Utopił się? – zapytał.

Anaksagoras zerknął przez ramię na scenę. Na niej rzeczywiście była fontanna, a w niej kompletnie ubrany człowiek. Jedna jego noga wskazywała w niebo, druga zaś, niewidoczna, spoczywała wewnątrz misy.

– Nie sądzę – odparł. – Nie ma tam wody. To wszystko... – machnął ręką – ...to perski pałac, nieprawdziwy. Rozumiesz?

Perykles powoli zamrugał. Z każdym głębszym oddechem świat nabierał kształtów. On zaś uświadomił sobie dwie rzeczy: że obrzydliwie śmierdzi i jest bardzo głodny. Dotknął czoła i wyczuł na nim nabrzmiałego guza.

– Brałem udział w jakiejś bójce?

Anaksagoras wzruszył ramionami. Gest ten przywodził na myśl poruszające się gałęzie drzewa, jakby poza zwykłymi dwoma barkami miał ich pod szatą dużo więcej.

– Nie na serio... Ty i Zenon używaliście tępych mieczy. Powiedziałeś coś w rodzaju, że pokażesz temu skurczybykowi, co znaczy prawdziwy ateński trening.

W głosie Anaksagorasa pobrzmiwała wesołość i Perykles uśmiechnął się, po czym się skrzywił, poczuwszy, że ma pękniętą wargę.

– Domyślałem się, że nie wygrałem – stwierdził.

– Zenon jest bardzo szybki. Jak żmija. Ale spadł ze sceny i musiał za karę wypić cały bukłak nierozcieńczonego wina. Stąd ta fontanna.

– Pamiętam! – zawołał rozbawiony Perykles. – Wyciągniesz go stamtąd, Anaksagorasie? Mur miejski jest... tam, po południowej stronie. Zaraz za nim płynie rzeka, a ja mam ochotę zamoczyć w niej głowę. To w pobliżu Świętej Bramy. Powinna tam być również tawerna. Ojciec bardzo ją sobie cenił ze względu na świetne smażone ryby.

Obu im zaburczało w brzuchach na sam dźwięk tych słów. Perykles się uśmiechnął.

– Wzywają mnie, a może mój żołądek je przywołuje, sam już nie wiem. Będzie otwarte o tak wczesnej porze?

– Już prawie południe, więc sądzę, że tak – odrzekł Anaksagoras.

Obaj odwrócili się na odgłosy pochrząkiwania i przeklinania dobiegające z fontanny. Zenonowi udało się przetoczyć przez krawędź misy, choć wciąż jeszcze się jej trzymał. Stał tak w zakłopotaniu, dzierżąc wielki kawał malowanego drewna, który zdecydowanie nie był już częścią fontanny.

– Gdzie Ajschylos? – zapytał nagle Perykles, rozglądając się wokół. – I Epikleos?

– Ajschylos poszedł do swoich pokojów, żeby przynieść swoje ostatnie dzieło – odparł Anaksagoras. – Pamiętam, bo właśnie wstawało słońce. Musiałem potem przysnąć. Epikleos woli sypiać we własnym łóżku. Skoro nie ma go tutaj, na pewno będzie tam, to dwie ulice stąd.

Zenon rozglądał się po scenie z wyrazem namysłu na twarzy.

– Dlaczego jestem w fontannie, Peryklesie? Za karę czy w nagrodę?

– W nagrodę – odrzekł zdecydowanie młodzieniec. Powróciło wspomnienie, jak zmierzali do miasta z bukłakami i wysoko uniesionymi pochodniami.

– Idziemy zamoczyć głowy w rzece, a potem na smażoną rybę – dodał Anaksagoras. – W tej właśnie kolejności.

Zenon wyprostował się na całą wysokość, która na nikim nie zrobiła wrażenia. Z wystudiowaną starannością odłożył do misy odłamany pierścień fontanny i się cofnął.

– Dobrze. Muszę się przejść, oczyścić głowę. Odkąd zasnąłem, dwukrotnie zwiększyła swoją objętość – ciągnął Anaksagoras, wznosząc rękę. – I nie mówcie mi, że to nieprawda. Czuję jej ciężar. Ledwo mogę ją udźwignąć. Chodźmy. Może zimna woda przywróci jej właściwy ludzki rozmiar.

Gdy tak szli, Perykles obejrzał się za siebie. Z perspektywy sceny rzędy siedzeń wznosiły się coraz wyżej, z widocznym w tle Akropolem, wapienną górą zwieńczoną ruinami świątyń. Niektórzy chcieli te święte ruiny pozostawić na pamiątkę perskiej inwazji. Jednak nic w Atenach nie trwało w spokoju. Chwiejące się mury musiały dla bezpieczeństwa zostać obalone za pomocą haków na ziemię, a luźne kamienie zostały rozkradzione i wykorzystane do budowy w dolnym mieście. Widać było siedzących tam robotników posilających się chlebem z odrobiną mięsa i cieszących się chwilą odpoczynku od pracy. Wokół widział dziwne, malowane drabiny oraz konstrukcje z desek, które można było przesuwac po scenie, zmieniając ją w razie potrzeby w ławkę albo fortecę, albo statek na morzu.

Perykles siadywał w tych ławkach wraz z dwunastoma tysiącami Ateńczyków i doskonale to pamiętał. Nigdy jednak nie wychodził przez scenę do rozciągającego się za nią miasta. Uśmiechnął się. Ojciec odszedł i wciąż odczuwał jego brak, ale znalazł coś, co pokochał. Czuł to i już samo w sobie było to cudem. Potrafił przeczuć przyszłość, choć mogła to być także zasługa wypitego wina i nadmiaru światła. Był synem archonta i stratega i odbył służbę wojskową. Marząc o przewodzeniu Ateńczykom, musiał dać się im poznać. Uśmiechnął się znowu na tę myśl. Naprawdę był w domu.

* * *

Grupka siadła za stołem w pomieszczeniu tak zatłoczonym i gwarnym, że ledwo słyszeli siebie nawzajem. Perykles z mokrymi włosami rozglądał się czujnie. Jedno ucho miał zatkane po nurkowaniu w rzece. Od czasu do czasu uderzał się w ten bok głowy nasadą dłoni.

Gdy inna grupa wstała i ruszyła do wyjścia, zwolniły się siedzenia pod ścianą. Jedynie determinacja Zenona i Anaksagorasa pozwoliła im zdobyć te miejsca przed kompanią umorusanych garncarzy, którzy zmuszeni jeść i pić na stojąco patrzyli na nich gniewnie spode łba.

Powietrze w tawernie za miejskimi murami gęste było od zapachu potu, jedzenia i wina. Podenerwowana obsługa przepychała się w ścisku pory obiadowej, przyjmując zamówienia i roznosząc talerze spiętrzone po sześć lub siedem. Perykles zamówił wcześniej smażoną rybę, a teraz wjechały równocześnie na stół trzy wspiane półmiski wraz z zakorkowaną amforą, miseczkami do mieszania, dwoma dzbankami i kolekcją glinianych pucharków. Pod nogami chrzęściły już skorupy mnóstwa takich samych rozbitych naczyń.

Uchylając się przed łokciem kogoś gestykującego w ciżbie, Perykles uderzył plecami o ścianę. Wszystko to było bardzo dalekie od muzyki i uprzejmych śmiechów sympozjonu. Potężnie zbudowany mężczyzna opisywał właśnie walkę, jaką odbył z innym cegielnikiem, swoim konkurentem. Typ opowiadał dowcipnie i bardzo głośno, czemu towarzyszyły liczne wybuchy śmiechu. Trudno było w tym nie uczestniczyć, więc przynajmniej połowa klientów chichotała, gdy opisywał bezradną furię swego oponenta.

– Sięgał mi do pasa, przysięgam. To było jak cios rozgniewanego chłopczyka...

Zenon patrzył na niego gniewnie, zabierając się do swego talerza z jedzeniem.

– ...ale potem rzucił się na mnie, machając rękami, a był tak czerwony i wściekły, że zacząłem się śmiać i cała moja siła prysła. Mogłem tylko trzymać go z dala od siebie, a im bardziej się śmiałem, tym bardziej się wściekał. –

Mężczyzna roześmiał się znowu na samo wspomnienie i połowa gości mu zawtórowała.

Perykles poczuł się lepiej po kąpieli w rzece i zjedzeniu smażonej ryby. Żuł machinalnie, zastanawiając się, jak wcielić w życie pomysł, na który wpadł wcześniej, może ostatniej nocy, choć nie był już tego pewien.

– Tu jesteście! – zawołał znany głos.

Przez tłum przepychał się Epikleos, a tuż za nim podążał Ajschylos. Epikleos nie wiedział, że cegielnik opowiada historię, i nie zdawał sobie sprawy, że wcisnął się w sam środek grupy zachwyconych słuchaczy i zagłuszył ostatnie słowa. Obaj z Ajschylosem odwrócili się od czerwonego na twarzy mężczyzny i stanęli plecami do niego, przyciskając się do stołu. Epikleos oderwał palcami kawałek smażonej ryby i włożył do ust.

– Ty, lepiej uważaj – warknął na niego cegielnik.

Epikleos go usłyszał, ale zignorował. Ajschylos się obejrzał i dostrzegł szerokie barki i kwadratową szczękę stojącego za nim mężczyzny. Wzruszył ramionami.

– Mam dla ciebie propozycję, Peryklesie. Czy znajdzie się tu dość miejsca, żeby się przysiąść?

W tym momencie Epikleos dostrzegł zwolniony właśnie stołek i przyciągnął go do siebie nogą, po czym podsunął Ajschylosowi.

– Powiedziałem, żebyś uważał, gdzie leziesz – powtórzył obcy mężczyzna nieco głośniej.

Epikleos i Ajschylos odwrócili się jednocześnie. Perykles, Zenon i Anaksagoras podnieśli się jak jeden mąż, choć stali przyciśnięci do ściany ciężkim stołem blokującym ich ruchy. Anaksagoras musiał się pochylić, bo wielką głową dotykał stropowej belki.

Bez chwili wahania Epikleos dźgnął wielkiego mężczyznę dwoma wyprostowanymi palcami w gardło. Był to paskudny, szybki i zadający ból ruch, bardziej pogardliwy niż gniewny. Cegielnik złapał się za szyję i spojrzał na nich wybałuszonymi oczyma. Zanim zdążył coś powiedzieć, Ajschylos złapał go lewą ręką za brodę, a prawą pięścią wymierzył cios w zdziwioną twarz, pozbawiając go przytomności.

Zgiełk ucichł. Perykles obserwował, czy ktoś się poruszy. Mężczyzna, który upadł, miał przyjaciół, choć nie było pewne, ilu ich tu było. Jeden wyciągnął rękę i chciał złapać Ajschylosa. Epikleos wyjął nóż i przyłożył mu do pachy. Ręka pozostała wyprostowana i wszyscy zamarli.

– Dlaczego nie wyprowadzisz swojego przyjaciela, by zaczerpnął świeżego powietrza? – zapytał Epikleos.

Spojrzenie mężczyzny spoczęło na nim, ale wyraz twarzy Epikleosa pozostał zimny i bezlitosny.

Cegielnik leżał ogłuszony, ale nagle próbował się podnieść, wydając gniewne pomruki. Jego towarzysz spojrzał w dół i na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Jesteś odważny w grupie – powiedział. – Albo gdy bijesz kogoś, kto się tego nie spodziewa. Zobaczymy, jak sobie poradzisz, kiedy on wstanie.

Właściciel tawerny zaczął na nich wrzeszczeć, żeby wynieśli się na zewnątrz. W tłumie znów rozległy się rozmowy, gdy ci, których ta bzdura nie zainteresowała, próbowali skończyć posiłek i wrócić do pracy, żeby zarobić parę groszy na utrzymanie rodziny. Jednak było tam jeszcze trzech czy czterech mężczyzn obok tego, którego powstrzymał Epikleos. Byli oni żywotnie

zainteresowani rozwojem sytuacji, a ponadto, podobnie jak ten, którego ogłuszył Ajschylos, należeli do jednej brygady cegielników, brudnych i twardych.

Perykles przełknął ślinę. Zdarzało się w Atenach, że ludzie ginęli ze znacznie bliższych powodów. Dotknął ręką pasa, ale nie znalazł za nim kopisa od Kimona. Nie zabrał do miasta wojennego oręża. Prawdę mówiąc, bójka, która zakończyłaby się śmiertelnym zranieniem któregoś z uczestników, spowodowałaby kolejne problemy, nawet gdyby jemu samemu udało się wyjść z niej bez najmniejszego zadrapania. Skandal tego rodzaju oznaczałby dla niego zakończenie kariery, zanim naprawdę się zaczęła. Ta myśl sprawiła, że słowa same popłynęły z jego ust.

– To wstyd grozić weteranom spod Maratonu i Salaminy! – powiedział.

Spojrzenia zebranych skierowały się ku niemu, a murarze zmarszczyli brwi w nagłym zakłopotaniu.

– Przyszliśmy tutaj, żeby zjeść i porozmawiać o interesach, a nie żeby się bić! – ciągnął Perykles. – Obecny tu Ajschylos walczył pod Maratonem, a Epikleos wraz z nim. Obaj stali na pokładzie okrętu pod Salaminą i zabijali Persów. Wszystko to widziałem. Byłem zbyt młody, więc zostawiono mnie na straży naszej rodziny. Widziałem perską flotę taranowaną, okręty zdobywane abordażem i palone. To była wojna. Nie jakaś przepychanka w tawernie. Odłóż ten nóż, Epikleosie, a ty, Ajschylosie, przeproś tego człowieka za to, że go uderzyłeś. – Wskazał palcem cegielnika, któremu udało się podnieść na nogi i teraz stał jak buhaj, słuchając i chwiejąc się. – Kupię wam wina, ale to wszystko, co od nas otrzymacie – dodał zdecydowanym tonem. – Idźcie w swoją stronę, zanim ktoś straci tu życie.

Zakończył dostatecznie głośno, aby dotarło to do wszystkich obecnych. Nastąpiła chwila milczenia, a po niej powszechny wybuch śmiechu, gdy opadło napięcie. Perykles się zarumienił. Epikleos odłożył nóż.

– Kim jest ten szczeniak? – zapytał cegielnik, masując szczękę, w którą uderzył go Ajschylos.

– To syn Ksantypposa – odparł Epikleos.

W tawernie znowu zapadła cisza, tym razem jednak nie było w niej śladu humoru. Poblady mężczyzna opuścił rękę. Postąpił krok naprzód i mało brakowało, a Epikleos ponownie wyjąłby nóż, lecz w porę zrozumiał, że żadna przemoc już im nie grozi.

– Naprawdę? Jesteś jego synem? Archont Ksantyppos był wielkim człowiekiem. Skoro jesteś jego synem, przyjmę twoją rękę i zawrzemy pokój.

– Jak masz na imię? – zapytał Perykles. Widywał taki sam płomień w oczach ludzi, którzy służyli pod jego ojcem, łącznie z Ajschylosem. Czuł zakłopotanie, a zarazem dumę, jak pod wpływem mocnego wina.

– Talanas z fyli Leontis, kyriosie. Należałem do floty twego ojca. Walczyłem pod Salaminą.

Wyciągnął rękę i Perykles ją przyjął. Nawet w porównaniu z jego pełną odcisków od miecza dłonią ręka tamtego przypominała wielką szorstką rękawicę. Palce zacisnęły się ze zwykłą dla robotnika siłą.

Mężczyzna zerknął na Ajschylosa i zapytał:

– Ty też? Służyłeś pod jego ojcem?

– Służyłem – odparł dramatopisarz.

– Wobec tego poczytuję sobie za honor, że mnie powaliłeś. Szybko wpadasz w gniew, przyjacielu. Teraz wszystko nabrało sensu.

Ajschylos skinął głową, choć pozostał nieufny. Gwar powoli narastał, w połączeniu z szeptami i pokazywaniem palcami.

– No to chyba... była mowa o kupnie wina – mruknął Talanas.

Perykles westchnął. Jego żołądek dopiero zaczął się uspokajać. Podniósł rękę, przywołując rozlewacza wina, aby przyniósł więcej pucharków.

* * *

Pauzaniasz wpatrywał się w słońce zachodzące za szczyty gór. Znał ten widok od dziecka. Oznaczał on, że naprawdę znalazł się w domu. Biegał po tych zboczach tysiące razy. Stał się silny, szybki i gibki po wszystkich latach ćwiczeń w ramach słynnej surowej dyscypliny, dzięki której ciało było twarde jak dąb, a kości mocne jak z żelaza. Co więcej, nauczył się dowodzić innymi, co zapewniło mu zwycięstwo pod Platejami. Stając oko w oko z burzą, nie ugiął się. Był Spartaninem. Odetchnął głęboko, obserwując, jak słońce wylewa potoki czerwieni i złota na wzgórza, które ukochał.

Odgłos kroków wyrwał go z zamyślenia i serce zabiło mu szybciej, gdy zobaczył, że to Tisamenos wspina się ścieżką prowadzącą z miasta. Czy to dobre czy złe wieści, że jego przyjacielowi pozwolono wrócić? Nie potrafił tego ocenić. Kiedy jednak ujrzał Tisamenosa, który nie wyglądał na uszczęśliwionego, podupadł na duchu, odczytując z wyrazu jego twarzy swoją przyszłość.

– Przykro mi – powiedział wróżbita, zatrzymawszy się przed łukowym wejściem do Mosiężnego Domu. – Eforowie głosowali. Nie pozwolą ci stąd odejść. Prosiłem obu królów o interwencję. Jak mi się wydaje, syn Leonidasa

jest zadowolony, że do tego doszło. Nie skrywał satysfakcji. Król Leotychidas stwierdził, że decyzja należy do eforów. Umył ręce w mojej obecności.

Pauzaniasz skinął głową.

– Czy wobec tego pozwolą ci przynieść mi wody? Jedzenie? Jeśli uda mi się przetrwać jeszcze parę tygodni, może będę mógł apelować.

Gdy tylko to wyrzekł, zrozumiał, jak beznadziejnie to zabrzmiało, ale nie miał wyboru. Nawet gdyby Tisamenos przyprowadził szybkie konie, pozostawał do pokonania mur na Przesmyku Korynckim pilnowany przez spartańskich wojowników. Nikt nie mógł dostać się na Peloponez ani go opuścić bez oficjalnej zgody, nie w tym roku. Zastanawiał się, czy miałby szansę przedostać się do Argos. Z pewnością znalazłby się tam statek, który mógłby go zabrać...?

Tisamenos jakby odgadł jego myśli.

– Powiedzieli, że nikomu nie wolno ci pomagać. Ktokolwiek to zrobi, ściągnie na siebie taki sam wyrok. Ja... nie wiem, co powiedzieć. Rozmowa z nimi była jak przemawianie do pnia. Jakby nie mogli nawet mnie wysłuchać. Chciałem coś zrobić, sprawić, by zmienili decyzję, ale... nie zdołałem.

Pauzaniasz wyciągnął ramię poza granicę świątynki. Tisamenos ujął jego rękę i uścisnął mocno.

– Widziałem wiele rzeczy, Tisamenosie – powiedział wódz. – Żał mi tylko, że nie mogłem dać ci reszty twoich zwycięstw.

– Nie mów tak – odrzekł Tisamenos.

Pauzaniasz pokręcił głową.

– Nie, wszystko w porządku. Czuję spokój, wiedząc, że nie ma innej drogi.

Stali tak na skraju świątyni, oddzieleni niczym granicą między życiem a śmiercią. Tisamenos otworzył usta, potem je zamknął, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Obaj odwrócili się, gdy usłyszeli zbliżające się kroki. Pauzaniasz zmrużył oczy pod słońce, potem otworzył je szeroko.

– Czy to...? – Uśmiechnął się nagle, a jego twarz wyglądała przez chwilę jak buzia chłopca.

Jego matka była bardzo stara i z trudem podchodziła pod górę. Tisamenos postąpił ku niej, aby jej pomóc, ale podniosła rękę na znak protestu. Spojrzał na nią zmieszany, lecz ona nie patrzyła na niego, tylko na syna.

– Dziękuję, że przysłaś – powiedział Pauzaniasz.

Spośród wszystkich żyjących ludzi ona znaczyła dla niego najwięcej. Opowiadał jej zawsze o wszystkich swoich kłopotach i nadziejach. Teano żyła się z nim, gdy był dzieckiem, a kiedy teraz na niego spojrzała, być może poczuł się nim znowu. Choć miała siwe włosy i przygarbiła się z wiekiem, ich

podobieństwo było widoczne. Tisamenos cofnął się, gdy Teano zbliżyła się do świątyni. Sięgnęła do torby na biodrze, a on był ciekaw, czy odważyła się narazić na gniew eforów i przynieść synowi trochę wina i chleba.

Zamiast tego wyjęła z torby cegłę. Starannie ułożyła ją na progu świątyni. Puzaniasz zbladł, jego skóra stała się nagle biała jak воск.

– Niewart jesteś, by być Spartaninem... – powiedziała. – Nie jesteś już moim synem.

Za nią wspinał się pod górę długi szereg ludzi. Większość niosła kamienie, inni kubelki z wapienną zaprawą. Towarzyszył im tuzin wojowników. Puzaniasz ich nie znał, choć uważnie przyglądał się ich twarzom. Pomyślał, że muszą należeć do osobistej straży Plejstarchosa, do tych, którzy zostali, gdy on maszerował pod Plateje.

Jeden z nich machnął ręką, każąc staruszce się cofnąć, po czym przywołał grupę robotników z kielniami ubranych w murarskie fartuchy. Przyszli, by zamurować go w środku świątyni.

Zdruzgotany Puzaniasz osunął się na kolana.

– Wracaj na dół, matko. Nie patrz na to.

Teano ze Sparty odwróciła się z drzeniem od syna i odeszła. Za nią murarze układali jedne na drugich ciężkie kamienie, spajając je zaprawą. Gruby mur rósł, wypełniając łukowe wejście i zamykając go w środku.

Tisamenos zmuszony był się cofnąć, choć dopóki mógł, nie spuszczał z Puzaniasza oczu. Kiedy mur został ukończony i tłum zaczął schodzić, wojownicy zostali na straży. Obserwowali Tisamenosa, zajmując pozycje przed świątynią niczym posągi. Wielkiej odwagi wymagało od niego podejście do muru i przyłożenie doń ucha.

– Puzaniaszu? – zawołał. – Zdaje się, że odpowiadają za to Ateńczycy. To oni to sprawili. No cóż, należą mi się jeszcze trzy zwycięstwa. Jeśli bogowie okażą się łaskawi, przynajmniej jedno z nich zburzy Ateny. Słyszysz mnie? Przysięgam ci to.

Odpowiedzi nie było. Po jakimś czasie wróżbita zszedł ze wzgórza.

Upłynął miesiąc, nadeszła zima, przynosząc w Atenach tydzień deszczu i nawet jedną noc śniegu. Pomimo mroźnej aury w teatrze trwała praca i wrzało w nim jak w ulu. Czterech tragików znalazło swoich choregów – patronów na wiosenne święto, podczas którego miano wystawić szesnaście sztuk. Każda grupa domagała się tylu godzin prób, ile da się przeprowadzić na jednej scenie. Muzycy ćwiczyli nowe melodie w chaotycznym współzawodnictwie. Malarze scenografii negocjowali z cieślami z innej grupy. Między członkami rozmaitych chórów dochodziło nawet do bójek, gdy żądano dla siebie więcej miejsca do ćwiczeń. Święto i festiwal teatralny Dionizosa zapewniały pracę wielkiej liczbie Ateńczyków. Wielu z nich miało to pamiętać przez resztę życia, zachowując wdzięczność dla swoich patronów.

Siedząc wysoko w środku półkola drewnianych ławek, Perykles patrzył w dół. Kręcił głową z podziwem, próbując policzyć wszystkich robotników. Musiały być ich tam setki i jak powiedział Ajschylos, potrzeba było wielkich sum, żeby to wszystko spiąć. Perykles wiedział, że być choregiem któregoś z twórców, który zwyciężył już kiedyś w tym wiosennym święcie, stanowiło wielki zaszczyt. Jedynie słynny Frynich wygrał więcej niż raz, ale zbliżał się już do końca swojej kariery i szczyt miał za sobą. Perykles nie pamiętał, czy połączenie sił było jego pomysłem czy Ajschylosa. Tak czy inaczej, przyszłość należała do Ajschylosa i nawet inwestycja w postaci czterech tysięcy drachm nie wydawała się wygórowana.

Próbował o tym nie myśleć. Każdego dnia do posiadłości przychodziły nowe rachunki. Dał Ajschylosowi słowo, musiał go więc dotrzymać. Ani jego matka, ani żona nie były zachwycone, widząc wielki strumień srebra wypływający z rodzinnych kufrów. Zwłaszcza Tetyda nalegała na sprawdzanie rachunków i często wysyłała gońców, żeby je kwestionowali. Nie rozumiała szkód, jakie to wyrządzało, i wstydu, jaki mu przynosiło. Kiedy protestował, krzyżowała ramiona na piersiach i mówiła, że ograbią go do cna, jeśli ona im na to pozwoli. Rozmyślając o tym, Perykles tylko zagryzał wargi. Obie kobiety bardzo się

różniły, ale w tej jednej rzeczy – w niechętnym wyrazie twarzy – trudno mu było dostrzec różnicę.

Cieszył się na myśl o dziecku. Wiedział, że kobiety często się zmieniają podczas ciąży. Może, gdy dziecko się już urodzi, jeśli wszystko pójdzie dobrze – tu dotknął drewnianej ławki na szczęście – jego żona znów stanie się tą wesołą kobietą, którą poślubił.

Z przejścia zaczął zuć wewnątrz policzka. Cięża Tetydy była już widoczna. Większość dni zaczynała od wymiotowania do miski. Nogi jej spuchły i nieustannie skarżyła mu się, że odczuwa w nich ból. Jedna z niewolnic musiała codziennie wieczorem je masować, choć nie poprawiało to zbytnio nastroju Tetydy. Nieustannie była roztrzęsiona lub wpadała w złość, a ofiarą jej gniewu padał najczęściej Perykles.

On sam, choć się do tego nie przyznawał, czuł się szczęśliwy, mogąc wychodzić rano do miasta i pozostawać poza zasięgiem jej utyskiwań. Jak na kobietę, która zaznała biedy, Tetyda dość szybko przyzwyczała się do posiadania usługujących jej i zawsze gotowych na wezwanie niewolników. Jedynie Maniasowi zostało to oszczędzone, ponieważ został wyzwolony i za swoją pracę otrzymywał stosowne wynagrodzenie. Nie przeszkadzało to jej jednak w podejmowaniu prób rozkazywania mu. Mężczyzna nie wspominał o tym nawet słowem, to Agarysta stawała często w jego obronie, co oczywiście prowadziło do kolejnej poważnej kłótni. W końcu Peryklesowi ulżyło, gdy żona zażądała osobnej sypialni.

Czuł bryzę od strony Akropolu. Potarł skroń, w której odzywał się ból. Wiedział, że nie jest w Atenach człowiekiem nieznanym. Był synem Ksantypposa, na dźwięk tego imienia tłumy zamierały w zachwycie. Czasami Perykles się zastanawiał, czy ojciec w ogóle wiedział, że jest tak poważany.

Młodzieniec wydał znaczną część rodzinnego majątku na przygotowania do Dionizjów, bo Ajschylos również znał jego ojca, ponadto było to jego obowiązkiem. Syn nobila zwykle służył Atenom, fundując okręt, sztukę teatralną albo w wojsku. To prawda, że Perykles walczył na Cyprze, ale to było daleko, po drugiej stronie Morza Egejskiego, nawet ateńscy żeglarze i rybacy rzadko się tam zapuszczali. Gdy stał na Pnyksie, przysłuchując się debatom, albo dołączał do sędziów w jakimś procesie, czuł, że nie cieszy się jeszcze taką estymą jak jego ojciec. Nikt nie szeptał ani nie pokazywał go palcem, gdy szedł przez miasto. Zwycięstwo w festiwalu teatralnym podczas Dionizjów sprawi, że jego imię będzie na ustach wszystkich, a zwycięska sztuka będzie dyskutowana i omawiana przez długie miesiące, a może i lata. Perykles był pewien, że pokażą

coś dobrego, nawet wielkiego, ale nie było gwarancji, zwłaszcza w konkurencji z takim autorem jak Frynich. Mimo arogancji i zwalistej sylwetki był on mistrzem sceny. Nawet Ajschylos, kiedy sobie popił, przyznawał, że nie ma pewności, iż go pokona.

Sam autor sztuki ukazał się na dole widowni, wyszedłszy z parterowego budynku, skene. Przyciskając jednym ramieniem do piersi zwoje papirusu, Ajschylos wolną ręką gestykulował, tłumacząc coś zgromadzonemu wokół zespołowi.

Perykles wstał i zszedł niezadaszonym przejściem między ławkami. Ajschylos wrócił na moment do skene, po czym ukazał się na szczycie drabiny prowadzącej na płaską platformę. Tam mieli się ukazywać bogowie oświetlani z dołu lampami w taki sposób, żeby ich maski płonęły niesamowitym blaskiem. Ajschylos pomógł wejść na platformę zwalistemu, brodatemu młodzieńcowi, po czym pokazał mu, jak ma stać, deklamując strofy. Miał on grać ducha króla Dariusza, przypomniał sobie Perykles. Głos młodego mężczyzny rozlegał się donośnie, odbijając się echem w ogromnej przestrzeni.

Perykles dotarł na dół i wkroczył na proskenion przy wtórze stukotu swoich sandałów na deskach. Czuł narastające wokół podniecenie. W rozgardiaszu przenoszonych elementów scenografii, w rozwieszanych linach i złocistych zbrojach, a wreszcie w samych rozbrzmiewających rozmowach.

Po obu stronach sceny wzniesiono paraskeniony, niskie budyneczki z drewna i płótna, kryte dachówką. Z tych skrzydeł mogli wychodzić i znikać w nich aktorzy, zmieniać tam kostiumy i maski w zależności od tego, czego wymagała sztuka. Perykles usłyszał przyjaciół, jeszcze zanim się ukazali. Uśmiechnął się na widok Zenona perorującego żywo i z uniesionym palcem tłumaczącego coś pozostałym. Anaksagoras był już czerwony, choć Perykles nie wiedział jeszcze – ze śmiechu czy z frustracji.

Epikleos uśmiechnął się, zauważywszy Peryklesa, i najwyraźniej zrozumiał natychmiast, dlaczego stoi tak spokojnie, z rozmarzonym wyrazem twarzy.

– Peryklesie! Musisz posłuchać tych nowych stronic! – zawołał. – Są wspaniałe!

Weszli razem na proskenion, ściskając sobie ręce i wygłaszając na powitanie kpiarskie komentarze. Ajschylos przestał udzielać instrukcji, gdy zobaczył, że zjawił się jego choreg. Zszedł żwawo z drabiny bogów i dołączył do nich, szukając w zwojach tych, o które chodziło.

– Proszę, Peryklesie! Napisałem je ubiegłej nocy. Co o tym myślisz?

– Frynich zje własną brodę, gdy to usłyszysz – dodał z uśmiechem Epikleos.

– Czytałeś nowe sceny? – zapytał Perykles.

Epikleos potaknął.

– Są dobre. Zobaczysz. Ajschylos będzie faworytem.

Perykles zaczął czytać strofy, mrużąc głośno, aby usłyszeć rytm i metrum każdej frazy. Ajschylos był wystarczająco dobry, by mieć szansę wygrać. Jego talent był wyjątkowy, ale to... nie przypominało niczego, co Perykles kiedykolwiek czytał. Była kiedyś taka sztuka wyróżniona na festiwalu podczas Dionizjów. Tłum jej nienawidził, ale sędziowie nagrodzili autora całym talentem srebra, co było sumą, przy której nawet majątny choreg wyglądał na żebraka.

– Kserkses: Biadanie na mój jęk niech odpowiada! – przeczytał. – Chór głośno zawodzi.

– Jest w domu, w łachmanach – wtrącił Ajschylos, a oczy zapłonęły mu jakimś wewnętrznym światłem. – Stoi przed tłumem jako złamany człowiek. To kulminacja, Peryklesie, ostatnie strofy! Jego ojciec pojawił się jako duch i odszedł. Och, tę część też musisz przeczytać. Jego matka dowiaduje się, co jej syn utracił. Na ostatku jest skończony... zostają tylko chór i Kserkses, wielki król Persji, sam na proskenionie. Rozpoczyna wers i chór go dopowiada, jakby on sam nie mógł tego uczynić. I tak za każdym razem. Powiadam ci, ten głupiec Frynich nie ma niczego podobnego. Czytaj dalej, czytaj...

Perykles wyrecytował głośno ostatnie linie:

Chór: Bo w boju...

Kserkses: Ach biada!

Chór: ...morskich okrętów narodu kwiat pada!

Kserkses, idąc: Do domu prowadźcie mnie!

Chór: Królu! Pójdę za tobą, rzewnie łkając z bólu ¹.

Zamilkł ogarnięty zachwytem. Mówił głosem perskiego króla. Wiedział, że ateński lud pokocha każdą linijkę tej sztuki. Została napisana dla zwycięzców spod Salaminy!

– Po czym się osuwa – powiedział podekscytowany Ajschylos, dźgając powietrze palcami złączonymi na kształt ptasiego dziobu. – Aktor ukazuje jego klęskę w każdym słowie, gdy mówi: „Do domu prowadźcie mnie”. Powinno to zostać powiedziane z rozpaczą. Lamy jedna po drugiej gasną... i zapada ciemność.

Perykles podniósł wzrok znad papirusu.

– To cudowne. Ale... jesteś pewien? Połowa widowni była pod Salaminą albo Platejami. Ławki są zrobione ze szczątków perskich okrętów! To było tak niedawno. Wszystkie inne sztuki są o bogach i legendach. Słyszę, że Frynich pracuje nad jakąś opowieścią o Parkach.

– I tak nie zrobi tego dobrze – odparł Ajschylos z szyderyczym uśmiechem. – To uliczny wierszokleta, a nie prawdziwy autor. A to? To całe nasze życie odtworzone w tym miejscu. Powiadam ci, Peryklesie, te strofy płynęły jak wino, jak pieśń, jakbym sam nie miał nic do powiedzenia, jakby prowadziła mnie niewidzialna ręka. Tłum będzie z nami.

– A sędziowie? – rzucił sucho Anaksagoras. – Ci, którzy przyznają nagrodę? To ich masz poruszyć, a nie tłum.

Ajschylos uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Mylisz się, przyjacielu. Jeśli trafię do ludzi, jeśli sprawię, że zaprze im dech w piersiach, a ich serca zabiją szybciej... Jeśli pokochają postacie, które opisałem... to nie będzie miało znaczenia, co pomyślą sędziowie. Przynajmniej nie dla mnie.

Mówił z wyjątkową pasją, a Perykles się zastanawiał, czy sztuka może porwać tłumy, a zarazem przegrać Dionizje. Nie były to przyjemne myśli.

– Ale spróbujemy porwać także sędziów, Ajschylosie?

Zauważył, że dramatopisarz ma palce ubrudzone atramentem tak mocno, jakby już nigdy nie dało się tych plam usunąć. Miał nadzieję, że nie zostawiają śladów na jego nowym, białym chitonie, gdy Ajschylos klepie go po plecach.

– Spróbujemy. Dowiedziałem się, że Frynich przygotował dość drętwe sztuki. Jego komedie są zawsze doceniane, ale mity i tragedie słabe. Nie ma *niczego* tak dobrego jak to. – Ajschylos odebrał cenne zwoje od Peryklesa. – Tę scenę na perskim dworze dopracuję i będzie jak rzeczywista.

– Bo czymże w gruncie rzeczy jest rzeczywistość? – mruknął Zenon.

Ajschylos potaknął.

– Tak. No tak! Nie ma lepszej opowieści nad prawdziwe życie. Niech ten grubas spróbuje temu dorównać!

Za teatrem zaczął narastać głośny dźwięk przypominający szum morza. Śmiechy ustały, wszyscy odwrócili się w tamtą stronę, a hałas był coraz większy. Wiwaty i śpiewy rozlegały się od południowej strony, z każdą chwilą głośniejsze.

– Co tam się dzieje? – zapytał Anaksagoras.

Perykles przełknął ślinę. Być może dlatego, że czekał na tę chwilę od długich miesięcy, od razu się domyślił, co ten hałas oznacza. Wiele zostawił za sobą na

Cyprze: niewinność i sporo krwi. Kiedy wrócił na osobnym okręcie do Aten, oba światy zostały dla niego rozdzielone. Tutaj był choregiem na festiwalu teatralnym, dziedzicem możnej rodziny, synem ateńskiego bohatera. Tam natomiast, skąd dobiegały rytmiczne głosy wioślarzy i hoplitów, niemal czuł w powietrzu zapach morza. Tam był kimś innym.

– To flota – powiedział cicho. Wysoki mężczyzna spojrzął na niego, zdziwiony zmienionym tonem jego głosu. – Flota wróciła do domu.

Zwyczajem miejscowych łobuziaków było domaganie się obola za przyniesienie ważnej wiadomości. Chłopcy pędzili do bogatszych demów, roznosząc wieści i polegając na szybkości swoich nóg, aby dotrzeć tam pierwsi. Kiedy cała grupa wyszła z teatru, Ajschylos zauważył jednego z nich. Gwizdnął i podniósł w palcach obola. Chłopak pomknął ku niemu jak ryba za przynętą. Aby zbyt szybko się nie oddalił, Ajschylos złapał go za fałdy chitonu.

– No i? – zapytał.

Chłopak uśmiechnął się do niego, już się wykręcając, by się uwolnić.

– Okręty w Pireusie! – zawołał. – Całe setki.

Ajschylos odwrócił się do Peryklesa, ale chłopiec jeszcze nie skończył.

– Kimon wrócił do domu, kyriosie. Mówią, że przywiózł ze sobą kości Tezeusza i każdy może ich dotknąć.

Ajschylos puścił go i chłopak popędził dalej, wołając, że ma wieści dla każdego, kto będzie gotów zapłacić. Dramatopisarz chciał coś powiedzieć, ale wszyscy słyszeli coraz bliższe bicie w bębny i granie rogów w głębi ulicy. Te odgłosy Ajschylos znał aż za dobrze, więc zamknął usta i czekał ze skupioną miną.

Anaksagoras i Zenon jęknęli. Perykles patrzył daleko, za ich plecy, klepiąc się dłonią po udzie. Chciał pójść na Agorę, zobaczyć się z Kimonem. Była to właściwa rzecz, którą powinien zrobić, choćby tylko po to, by pogrzać się w słonecznym blasku jego chwały. W końcu zasłużył na miejsce po jego prawicy. Za poprzedniej bytności w Atenach nie przywieźli kości Tezeusza, szykowali się do wojny, a nie świętowali. Zamiast tego jednak obserwował, jak zbliża się do nich potężna postać Frynicha.

Otaczała go grupa dwadzieściora lub trzydzieściora osób. Niektórzy trzymali przed sobą małe bębny, wybijając na nich gorączkowy rytm. Inni dęli w długie metalowe tuby, wydobywając z nich nieharmonijne dźwięki. Zagłuszali wszystko inne, co działo się na ulicy przy teatrze. Przechodnie gapili się na nich lub uśmiechali.

Frynich zatrzymał się w miejscu jak triera na rzuconej z nagła kotwicy. Był wielkim mężczyzną, o głowę wyższym od Peryklesa, i z nich wszystkich jedynie Anaksagoras mógł patrzeć na niego z góry. Bryła jego opasłego ciała naciągała wszystkie szwy i fałdy odzienia, nadając mu wygląd jednolitej masy, co stanowiło widok dość dziwny w Atenach.

– Ach, Ajschylosie – powiedział Frynich. Nachylił się bliżej, jakby chciał zapoznać się z zapachem oddechu rozmówcy.

Perykles zastanawiał się, czy ma słaby wzrok.

– Frynichu – odparł Ajschylos. – Nie wykorzystałem jeszcze całego przysługującego mi czasu. Teatr jest mój przynajmniej przez kolejną godzinę. Rada miejska to potwierdzi, jeśli sobie zażyczysz.

– Och, czekanie mi nie przeszkadza, drogi przyjacielu. Moja mała trupa może się zabawiać obserwowaniem twojej rozgrzewki, jeśli ci to nie przeszkadza. Wszystko, czego potrzebuję, to spokojne miejsce do pisania. Szczerze mówiąc, mogę spisywać moje strofy wszędzie.

Ajschylos wpatrywał się w konkurenta. Miał zamiar udać się na Agorę, żeby uczestniczyć w powitaniu Kimona, może też rzucić okiem na szczątki Tezeusza. Zgiełk wciąż narastał i przynajmniej połowa mieszkańców miasta przepływała w pobliżu, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Jednakże Ajschylos nie miał wcale ochoty ustępować pola rywalowi. Było to dziecinne i poniżej jego godności, ale w tym pyzaty pyszaku było coś, co okropnie go irytowało.

– Jak tam twoje sztuki, Ajschylosie? – ciągnął Frynich. – Ja w ostatnich tygodniach zrobiłem wielkie postępy. Dwie są już gotowe albo porzucone, jeśli wolisz. – Roześmiał się ze swego dowcipu i Perykles zdał sobie sprawę, że też uśmiecha się w zakłopotaniu.

Napięcie było wyczuwalne, aż gęste w powietrzu. Ajschylos wyszedł już na ulicę, lecz upór zatrzymał go w miejscu.

– Skończyłem jedną – odparł sztywno. – Mam już akcję drugiej i notatki do trzeciej. Satyrę napiszę na końcu, rzecz jasna. Nie lubię marnować czasu na takie rzeczy.

– No tak, widziałem twoje dzieło – rzucił lekkim tonem Frynich. Nastąpiła chwila chłodnego milczenia, po czym Frynich spłoszył jeszcze bardziej. –

Chodzi mi o to, że twoje mocne strony to szlachetne emocje, Ajschylosie, lęk, smutek i gniew. Uważam jednak, że komedię jako wyraz miłości znacznie trudniej napisać. No tak, ale widzę, że zebraliście się już do odejścia. Wychodzicie? Jestem szczęśliwy, mogąc zacząć próbę wcześniej. Mój chór przyszedł ze mną.

Perykles był ciekaw, czy Frynich zaplanował to spotkanie. Zdaniem Ajschylosa opłacał szpiegów, którzy obserwowali wszystkie próby i zmiany w scenariuszach u konkurentów. W końcu stawka była bardzo wysoka. Wiosną będzie można zyskać lub stracić reputację, co dotyczyło zarówno autorów, jak i tych, którzy za ich sztuki zapłacili nieźłą fortunę.

– Ruszaj więc, Frynichu – powiedział Ajschylos. – Nie sądzę, żeby wiosną ta godzina stanowiła wielką różnicę. Dziś scena jest twoja.

W oczach Frynicha pojawił się błysk zadowolenia, ukłonił się w podziękowaniu i przemknął do środka. W teatrze bębni odezwały się znowu i cała trupa ruszyła w stronę proskenionu i światła.

– Twoja dzisiaj, moja na zawsze – mruknął Ajschylos.

Perykles roześmiał się razem z innymi, po czym wszyscy razem ruszyli na Agorę, na spotkanie z załogami powracającej floty.

1. Cytat z *Persów* Ajschylosa w przekładzie Józefa Szujskiego z 1879 roku. ↩

Jako wielki rynek Agora była też miejscem, gdzie wywieszano wiadomości, przybijając je do tablic przymocowanych do posągów dziesięciu fyl. Można tam było przeczytać nowe prawa albo deklaracje wojny. W tym sercu miasta otwierano również budynek rady, gdzie o każdej porze kłębiły się tłumy urzędników.

Persowie spalili Ateny do gołej ziemi, ale miasto odbudowano i błyszczało nowością świeżo naoliwionych belek, elegancją rzeźbionego kamienia i jaskrawych dachówek. Coś wisiało w powietrzu, jakiś początek, atmosfera młodości i ambicji, wzmacniana obecnością kupców i okrętów wojennych. Żadne inne miasto nie posiadało podobnej floty ani takiego dopływu srebra, by móc opłacić tak liczne załogi. Wioślarze wydawali swoje zarobki w Atenach, a równocześnie zawierano też liczne umowy handlowe, rodziły się fortuny, przywożono obfitość towarów. Ateńskie triery strzegły na morzu bezpieczeństwa szlaków handlowych przez cały żeglugowy sezon. Rezultaty widać było w nowym bogactwie i wpływach miasta, krótko mówiąc – w jego potędze.

Perykles nie był przygotowany na tak ogromny zgiełk. Wyszli całą grupką zza narożnika prosto na Agorę i hałas uderzył w nich wielką falą. Same Ateny utrzymywały załogi dwustu okrętów wojennych, co stanowiło prawie czterdzieści tysięcy ludzi. Miasto bez nich było znacznie spokojniejsze, ale zimą nie żeglowano. Wyglądało na to, że Kimon przyprowadził wszystkich do domu wraz z należną im zapłatą. Agora była zatłoczona tańczącymi i śpiewającymi żeglarzami oraz ich kobietami, które przyszły powitać mężczyzn. Perykles, znalazłszy się na skraju tłumu, popatrzył w głąb rynku i zawstydzony odwrócił wzrok, ujrzawszy, co się tam dzieje. Żeglarze mieli srebrne monety i długo byli w morzu. Czuł w powietrzu zapach smażonej ryby i kopru, czosnku, mięty i całej masy przypraw. Miał wrażenie, że Ateny wyglądają tak, jakby tego ranka uderzył w nie jakiś nowy sztorm.

Kiedy spojrzął za siebie, droga zatłoczona była biegnącymi, którzy spieszyli zobaczyć to wszystko na własne oczy. Anaksagoras złapał pod ramię Zenona, po

czym wszystkich ich razem porwał pęd tłumy i poniósł jak ryby z wartkim prądem rzeki.

– Chodźcie – powiedział Perykles.

Był najmłodszy w tej grupie i najmniej bał się zanurzyć w wielkiej ciżbie. Czuł w tym miejscu zapach morza, zdrowego ludzkiego potu i wilgotną woń okrętów. Uświadomił sobie, że był on obecny w ich ubraniach i brodach. Po prostu przywieźli go ze sobą.

Ze śmiechem zanurkował w tłum, lawirując między ludźmi, wierząc, że pozostali podążają za nim. Nastrój tych, których mijali, początkowo był pogodny, więc ustępowali im chętnie, bez wielkiego poszturchiwania, i tylko parę razy ktoś krzyknął za ich plecami. Perykles cały czas się uśmiechał, choć nie wiedział, czy jest to ów dziwny grymas, który często pojawiał się na jego twarzy w chwilach strachu i napięcia, czy też sprawił to przypływ dobrego humoru, w każdym razie to wystarczało do ułagodzenia tych, którzy groźnie na nich patrzyli. W miarę jak zagłębiał się w tłum, coraz częściej wysuwała się z niego jakaś ręka i łapała go za chiton, on zaś wykręcał się sprytnym ruchem lub szarpnięciem, umykając, zanim doszło do jakiejś przemocy.

Najdziwniejszą rzeczą była obecność tak wielu kobiet. Być może tłumaczyło to po części gotowość do gniewnych reakcji mężczyzn, którzy próbowali chronić swoje ukochane albo przyhołubione ładacznice. Były tam też dzieci, trzymane wysoko na ramionach ojców albo starszych braci. Perykles stwierdził, że tamtędy łatwiej jest przechodzić. Szybkie klepnięcie w ramię sprawiało, że się odwracali, pozwalając mu się prześliznąć przez powstałą szczelinę.

Czuł się jak pstrąg znajdujący drogę w górę strumienia, choć wątpił, czy jakaś ryba miałaby w wodzie aż takie trudności. Zarobił jednak po drodze parę siniaków od uderzeń łokciem i przydepnięć, a ktoś nawet poczęstował go silnym pacnięciem w tył głowy, które było raczej napomnieniem niż próbą zadania bólu. Miał wrażenie, że przebycie Agory zajęło mu całe wieki, ale znalazł się wreszcie przy buleuterionie, czyli budynku rady. Tu było centrum, miejsce takiego ścisłu, że w tłumie nie było już widać żadnych luk. Ci, obok których się przepchnął, gderali głośno, naciskając na jego plecy jak morski przypływ, raz prąc do przodu, raz cofając się lekko. Zenon został zablokowany przez dwóch czy trzech ogorzałych marynarzy zdeterminowanych, by nikogo nie przepuścić. Anaksagoras i Epikleos go ciągnęli, ale mężczyźni patrzyli tępo przed siebie, udając, że nie dostrzegają ich wysiłków. Nie było śladu Ajschylosa. Perykles miał tylko nadzieję, że nie przewrócił się gdzieś i nie został zdeptany. Tak potężny tłum był bardzo niebezpieczny.

Kimon stał na wysokim podeście z nowego, białego kamienia, promieniejąc zdrowiem i opalenizną. Tuzin starszych trierarchów stał po obu jego stronach, niczym straż honorowa. Perykles z zadowoleniem zauważył, że Epikleos i Anaksagoras wyciągnęli w końcu Zenona zza pleców marynarzy. Rzut oka w tył ukazał mu tylko ich wściekłe twarze, przesunął więc Zenona przed siebie i zasłonił własnym ciałem.

Na stopniach budynku stali też hoplici w wypolerowanych złociście zbrojach. Kimon miał na sobie zwykły chiton i Perykles zastanawiał się, czy zdaje sobie sprawę, jak jest postrzegany przez tłum. Poczł ukłucie zazdrości na widok przyjaciela, który uśmiechał się, wodząc spojrzeniem po zatłoczonej Agorze. To tak właśnie buduje się reputację. Perykles nie wiedział, czy wystawienie szczątków Tezeusza było przemyślanym posunięciem, ale rezultat widać było w sposobie, w jaki ludzie wyciągali szyje i skandowali jego imię. Perykles zmarszczył brwi. On również był obecny, gdy znaleziono ateńskiego króla. Powinien stać na podeście razem z Kimonem, przyjmując wiwaty tłumów.

Ajschylos wychynął nagle przy jego boku, wymięty i zmalretowany gorzej niż Zenon. Miał podpuchnięte oko i oglądał z niepokojem swój podarty chiton, w którym puścił szew. Mało brakowało, a Perykles wybuchnąłby śmiechem, gdyby właśnie nie użalał się nad swoim losem, porównując się z Kimonem.

Ojciec Kimona również był strategiem i archontem, który poprowadził Ateńczyków do zwycięstwa pod Maratonem. Co więcej, sam Kimon również był odnoszącym sukcesy dowódcą wojennym. Cypr stanowił klejnot Grecji, wielka wyspa w morzu mniejszych wysp i wysepek. Perykles pokręcił głową. Rola chorega sztuki teatralnej podczas Dionizjów nie była aż tak wielką rzeczą, jak wydawało mu się jeszcze tego ranka, nie w porównaniu z dokonaniem Kimona. Zastanawiał się, czy postawił na właściwego konia.

Cały czas wypatrywał sposobności. Gdy tłum falował, popychany w różnych kierunkach wyczuwalnym parciem, Perykles nagłym ruchem przepchnął Zenona na sam przód, gdzie ludzi powstrzymywali scytyjscy strażnicy. Byli wyraźnie niespokojni w obliczu tej napierającej masy. Perykles zauważył, że trzymali dłonie na rękojeściach mieczy. Takie cudzoziemskie straże nie były w Atenach popularne, lecz domyślał się, że lepiej było zatrudniać obcych niż swoich do kontrolowania niesfornego zgromadzenia. Scytowie zaganiali niezdyscyplinowanych głośujących za pomocą lin umoczonych w czerwonej farbie, co zmuszało Ateńczyków do szybkiego biegu, bo w przeciwnym razie zostawali naznaczeni. Scytowie to lud nomadyczny, przypomniał sobie Perykles, pochodzący z terenów leżących daleko na wschodzie. Zastanawiał się, czy gdyby

stale nie wędrowali, staliby się częścią perskiego imperium. Była to dziwna myśl.

– Powiedziałem... gdzie są kości? – ryknął mu do ucha Ajschylos, aż Perykles gwałtownie się uchylił.

Nie usłyszał go za pierwszym razem. Tłum albo skandował, albo śpiewał i pojedynczy głos ginął w morzu ogłuszających dźwięków.

– Nie wiem! – odkrzyknął.

Zaczął żałować tego przepychania się przez Agorę, bo i po co? Żeby patrzeć, jak Kimon zostaje bohaterem? Kiedy jednak spojrzął z mniejszej odległości na twarz przyjaciela, dostrzegł w niej wyraz smutku albo goryczy. Poczł się głupio. Pamiętał ojca Kimona, Miltiadesa, jak powracał w triumfie do domu. Perykles był wówczas dzieckiem, ale te wczesne wspomnienia przetrwały w jego pamięci. Kimon widział ojca witanego owacyjnie jako zbawcę Aten, a potem zrzuconego z piedestału.

Perykles był pewien, że cień tego widać na twarzy Kimona. Miltiades wyruszył ponownie i wpadł w perską zasadzkę. Utracił wszelkie zaufanie, jakie wcześniej zdobył, powracając do Aten jako ranny i zdruzgotany człowiek. Ojciec Peryklesa stał wówczas za jego oskarżeniem, które zmusiło rodzinę Miltiadesa do zapłacenia ogromnej sumy w ramach rekompensaty. Perykles słyszał, że za tę grzywnę zbudowano połowę ateńskiej floty.

Może wspomnienia te tłumaczyły, dlaczego Kimon wyglądał tak ponuro, podczas gdy inni śpiewali wraz z tłumem albo lali w gardła potoki wina. Perykles stał bardzo spokojnie, rozmyślając o obu ojcach. Tkwił jako nieruchomy punkt w falującym tłumie i chyba dlatego Kimon spojrzął w tę stronę i go dostrzegł. Wskazał na niego palcem, po czym pochylił się do stojącego obok hoplity i krzyknął mu coś do ucha. Mężczyzna zbiegł po stopniach, gestykulując gwałtownie. Scytom się to rzecz jasna nie spodobało, ale rozsunęli się, groźnie spoglądając na ludzi, na wypadek gdyby komuś jeszcze przyszło do głowy skorzystać ze sposobności przejścia.

Perykles klepnął po ramieniu Epikleosa i wszedł po schodach. Stał w pełnym podziwku milczeniu, patrząc na morze głów swoich rodaków.

– Dobrze wyglądasz, przyjacielu! – krzyknął do niego Kimon. – Małżeństwo ci służy.

Znalezienie właściwych słów przyszło mu bez trudności. Perykles potaknął jedynie skinieniem głowy. W obecności Kimona czuł się jak nieporadny młodzieniaszek, ale był szczęśliwy, że go zawołano. Patrzył na tłum kłębiący się w kolorowych, hałaśliwych wirach. Na tle miasta jak zawsze widniał wielki

Akropol wraz z Pnyksem i Areopagiem oraz innymi wzgórzami. Przypomniał sobie, co Arystydes powiedział o tym, żeby nauczyć się kochać sojusz wszystkich Hellenów, nie zaś tylko znanych z domu. Gdy zaczęli śpiewać *Atenę*, słowa te wydały mu się niewiele znaczące.

Ukryta przed wzrokiem tłumu postać leżała na marach za Kimonem, w cieniu portyku i jego kolumn. Po jej rozmiarach Perykles z łatwością odgadł, kto się kryje pod złocistym płótnem. Położono tam spiżowy hełm z nowym grzebieniem, tak pięknie wypolerowany, że świecił złociście. Kimon zauważył jego spojrzenie.

– Tezeusz – potwierdził. – Byłeś na Skiros, gdy go znalazłem. Powinieneś mieć w tym swój udział.

Perykles uśmiechnął się z wdzięcznością, choć poczuł lekkie napięcie wokół oczu. Wyglądało na to, że sam Kimon „znalazł” Tezeusza i przywiózł go do domu. Wszyscy pozostali byli tam tylko obecni. Uświadomił sobie, że już nie czuje się tak zadowolony jak przed chwilą.

Patrzył na ludzi, gdy Kimon podniósł ręce i powoli zaczęła zapadać cisza. Zajął to wiele czasu, ale w końcu wszyscy stali w milczeniu i tylko niekiedy tu i ówdzie słychać było cichy śmiech lub pomruk.

– Składam dziś podziękowania Atenie za błogosławieństwo dla jej wybranego ludu – zawołał Kimon nad ich głowami. Oczekał, aż umilknie ryk, który rozległ się po tych słowach, po czym mówił dalej: – Składam również dzięki za symmachię, sojusz, który przywrócił nam Cypr, za flotę, która patroluje morze i dba o nasze bezpieczeństwo oraz uczciwość kupców.

To ostatnie wzbudziło falę śmiechu. Perykles spojrzał na niego zdziwiony. Kimon powrócił nagle do życia, przemawiając do zebranych jak do przyjaciół. Większość ludzi drży i się poci, gdy musi przemówić na forum. Niewielu to cieszy, ale jak się zdaje, Kimon był właśnie jednym z nich. Perykles próbował cieszyć się razem z nim.

– Wiecie, że mieliśmy szczęście odnaleźć grób Tezeusza, króla i założyciela tego miasta, przyjaciela Heraklesa, argonauty i zabójcy Minotaura, syna Posejdona. Żeglarza. – Ostatnie słowo znowu wywołało ryk połowy zgromadzonych, aż Perykles drgnął. Kimon się uśmiechnął. – Ofiarowuję jego kości ludowi Aten, prosząc jedynie o to, by był czczony jako syn tego miasta. Wróciliśmy do domu. I on wrócił z nami.

Nie było potrzeby dłuższego przemawiania, nie po tym, co zostało powiedziane. Kimon dłonią dał znak, że skończył, ale ludzie byli w doskonałym

nastroju. Zaczęli skandować „archont”, a on się zarumienił. Kiedy zgiełk w końcu ucichł, zwrócił się do nich jeszcze raz.

– Moje załogi pozostaną w domu aż do wiosny. Nasze okręty są sfatygowane, a ludzie nieco zmęczeni i chcą spędzić trochę czasu z żonami i rodzinami. Ci, którzy zechcą oddać cześć Tezeuszowi, będą mogli wejść tutaj, gdy wydam rozkaz rozejścia się. A teraz stańcie na *baczność*, Ateńczycy!

Rzucił to słowo krótko i zabrzmiało ono jak szczeknięcie, choć cały czas się uśmiechał. Perykles ujrzał nagle, jak na jego rozkaz tysiące krępych wiosłarzy w tłumie zestawia stopy i opuszcza ręce wzdłuż boków, wypinając pierś.

– Idźcie w pokoju! – zawołał Kimon nad ich głowami. – *Rozejść się!* Zgłoście się w porcie po zimową pracę i dodatkowy zarobek.

Zaczęli wymachiwać rękami i ponownie wiwatować, jeszcze radośniej niż przedtem. Scytowie przepuścili pierwszych, którzy chcieli zobaczyć szczątki Tezeusza. Perykles patrzył, jak wyciągają ręce i dotykają ich przez płótno. Część tłumu napierała, aby też pozwolono im przejść i dopuszczono do króla. Scytowie patrzyli groźnie na tych, którzy zostawali przy marach zbyt długo. Większość jednak odeszła i napięcie opadło. Perykles tylko się przyglądał. Pomyślał, że wszyscy przyszli zobaczyć Kimona i królewskie szczątki i wyglądało na to, że rozkaz rozejścia był niepotrzebną formalnością. Uświadomił sobie, że istnieją różne rodzaje teatru.

Ajschylos i Epikleos pozostali, a wraz z nimi Anaksagoras i Zenon. Perykles wskazał ich Kimonowi, gdy wyłonili się z tłumu.

– Epikleosa oczywiście znasz – powiedział, wypychając go do przodu.

Kimon najwyraźniej dobrze wiedział, jak rozmawiać z każdym, ściskając dłonie i wypowiadając kilka miłych słów, które przywoływały uśmiechy na twarzach ludzi. Zenon i Anaksagoras zostali objęci tym powitaniem. Kimon ukłonił się teatralnie Ajschylosovi, kiedy usłyszał jego imię.

– Znam cię oczywiście, kyriosie – powiedział. – Nie mogę się doczekać twojej najnowszej sztuki. Mam nadzieję, że Perykles zapewni ci hojne fundusze, jak być powinno. *Trierarchia* to szlachetna idea. Teatr i okręty wojenne, a co jeszcze tam jest?

Ajschylos zająknął się, po czym zachichotał.

– T-tak, mówiłem... mówiłem to samo!

Kimon się roześmiał i poklepał starszego mężczyznę po ramieniu. Perykles zauważył, że Ajschylos wcale nie poczuł się urażony.

– Chodźcie – rzucił Kimon. – Pokażę wam króla.

Ich oczy się rozszerzyły, gdy wskazał przykryte płótnem mary. Scytowie powstrzymali tłum, robiąc miejsce Kimonowi i jego gościom.

Przykryte szczątki wyglądały jak leżący człowiek i w niczym nie przypominały oplecionego korzeniami grobu. Perykles niemal wyobraził sobie, jak stary Ateńczyk podnosi się i zeskakuje z miejsca, na którym śpi.

Zebrali się wokół mar, patrząc na przykrytą postać. Kimon dał znak stojącym na straży hoplitom. Jeden zdjął leżący na wierzchu hełm, drugi z niezwykłą starannością odwinął płótno, odkrywając kości, które zostały już oczyszczone i wypolerowane, zachowały barwę starej sosny. Wokół nich setka głosów westchnęła z przejęcia i podziwu.

– Prosiłem, żeby pozwolono mi przemówić jutro na Pnyksie – powiedział Kimon. – Dobrze by było, gdyby miasto zapłaciło za posąg i porządny nagrobek, może na Akropolu, gdzie Tezeusz miał swój pałac. Twój ojciec, Peryklesie, powiedział kiedyś, że poparłby coś takiego. Jeżeli się nie uda, sam za to zapłacę.

– Nie odmówią ci – rzekł Epikleos. – Myślę, że dzisiaj mógłbyś prosić ich o wszystko.

– Być może – odparł Kimon. Czuło się pewne napięcie w jego głosie i Perykles zastanawiał się, czy przypomniał sobie o dawnych ranach. Wódz otrząsnął się jednak i widząc, że Perykles patrzy na niego z niepokojem, uśmiechnął się. – Arystydes zaplanował przyjęcie na dzisiejszy wieczór. Jeśli twoi przyjaciele zechcą przyjść, będę zaszczycony, mogąc ich gościć. Jednak dzień jest jeszcze młody. Chciałbym udać się na grób twego ojca, Peryklesie, i pożegnać go, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Perykles otworzył usta w zadziwieniu. Zwykł myśleć o Kimonie jako o rywalu. W tym momencie wszystko się zmieniło.

– To... bardzo miło z twojej strony. Dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

Pozostali zrozumieli, że nadszedł czas, by się pożegnać. Jeden po drugim rzucili ostatnie spojrzenie na kości Tezeusza, po czym zeszli po stopniach. Ajschylos jako ostatni.

– Cześć dla rodziców to szlachetna cecha – powiedział. – Jestem szczęśliwy, że wróciłeś do domu, strategu. Jeśli będzie głosowanie nad wyborem ciebie na stanowisko archonta, możesz liczyć na moje poparcie.

Kimon skłonił głowę, a pisarz się odwrócił. Perykles patrzył, jak odchodzi. Więcej niż połowa tłumy wróciła już do miasta. Niektórzy czekali jeszcze w kolejce, by obejrzeć kości Tezeusza, ale nie było ich już wielu. Jego rodacy patrzyli w przyszłość, nie za siebie. Spojrzał w stronę zimowego słońca, drżąc z chłodu, gdy powiew bryzy przedarł się w końcu przez rzędnący tłum.

Zmarszczył brwi, widząc powracającego Epikleosa, który podszedł do stopni. Scytowie obserwowali, jak się zbliża, gotowi zagrozić mu drogę.

– Peryklesie! – zawołał mężczyzna. Chyba poczuł ulgę, widząc go jeszcze na podeście. – Przyszła twoja żona.

Perykles poczuł skręt wnętrza, jakby wypił za dużo wina albo zjadł zbyt prędko. Był w domu jedynym mężczyzną, samotnym także w zewnętrznym świecie. Może dlatego, że wiedział już, iż ludzie dowiedzieli się o nim i jego żonie oraz o jego życiu prywatnym czegoś, co powinien zachować wyłącznie dla siebie. Było to zderzenie dwóch światów, a on, dziękując Epikleosowi, usiłował nie okazywać niepokoju.

Tetyda oczywiście nie przyszła sama. Ani jej nowy status żony w łonie szlacheckiej rodziny, ani tym bardziej jej stan na to nie pozwalały. Kobiety, które wchodziły do rodzin eupatrydów, nie przepychały się przez tłum pijanych marynarzy tuż po ich powrocie z morza. Nie, przyprowadziła ze sobą tuzin niewolników. Manias był już siwy i zbyt stary do roli, jaką mu wyznaczyła, ale potrzebowała wolnego człowieka w swojej świątyni. Niewolnicy mieli bronić pani domu, to oczywiste, ale mogli też zostać przepędzeni przez każdego hoplitę lub strażnika.

Perykles patrzył z rosnącą wściekłością, jak żona toruje sobie drogę przez pustoszejącą Agorę. Tetyda miała powóz, ale szła pieszo. Bardzo dobrze wiedziała, jakie są jej obowiązki jako żony członka jego warstwy społecznej. Niezależnie od przeszłości jej życie należało do ich rodu i nie powinna paradować po mieście jak biedaczka. Był przekonany, że ona dobrze to rozumie. Sama jej obecność była dla niego zniewagą i upokorzeniem.

Gdy Kimon na niego spojrzał, najwyraźniej też to zrozumiał.

– Wiesz... *moja* żona nigdy nie przychodziła po mnie do miasta – powiedział.

Perykles uśmiechnął się kwaśno, patrząc na zbliżającą się Tetydę. Scytowie zareagowali z wyczuciem delikatnej sytuacji i rozstąpili się, przepuszczając ją. Kimon z Peryklosem zeszli po stopniach na jej spotkanie.

– Dobrze cię widzieć w dobrym humorze – powiedziała Tetyda do Kimona. – I ciebie, mężu.

Ucałowała Peryklesa w oba policzki, po czym zrobiła to samo z Kimonem, podnosząc dłoń w rękawicze, aby przyciągnąć ku sobie jego podbródek. Jej spojrzenie spoczęło na nim z wyrazem swoistej fascynacji.

– Tetydo – odezwał się stropiony Kimon. – Wiesz... że nie znaleźlibyśmy kości Tezeusza bez ciebie. Czy chciałabyś, no... zobaczyć je teraz?

Przez jej twarz przemknął nagły grymas. Perykles wiedział, że nie przyszła na Agorę, aby oglądać szczątki. Miał też niejasne przeczucie, że nie zaryzykowała kontaktu z tłumem dla niego. Zaczął zbierać razem wszystkie okruchy ich przyjaźni, ale poczuł nagły chłód w sercu, gdy dostrzegł, jakim wzrokiem jego żona patrzy na wodza.

Jej ciąża była już widoczna. Kimon pobladł, gdy opuściwszy wzrok, zrozumiał. Perykles po prostu stał obok i patrzył, jak tamten zastanawia się gorączkowo, czy może być ojcem dziecka w łonie Tetydy. Dostrzegł w końcu ulgę na jego twarzy i pokręcił głową. Dzień był zrujnowany i nawet jeśli nie mógł wyraźnie wytłumaczyć źródeł swego gniewu, to i tak tkwił on w nim głęboko.

– Powinnaś wracać do domu, Tetydo – powiedział. – Miasto nie jest bezpieczne, a przynajmniej nie dla kobiety w twoim stanie.

Obróciła ku niemu wzrok, w którym nie było śladu radości.

– Chodziłam po porcie, Peryklesie, jeśli pamiętasz, gdy uczestniczyłeś w przygotowaniach floty. Nie jestem dzieckiem, aby odsyłać mnie do domu.

– Wydaje mi się... – zaczął Kimon, najwyraźniej czując się niezręcznie. – Wydaje mi się, że ktoś mnie woła...

Zniknął, zostawiając Peryklesa i Tetydę syczących na siebie nawzajem. Scytowie słyszeli każde słowo. Można to było poznać po wystudowanym wyrazie obojętności na ich twarzach.

– Wracaj do domu – rzucił gniewnie Perykles. – Jeśli nie myślisz o własnym bezpieczeństwie, to pomyśl o dziecku.

– Dlaczego to robisz? – zapytała. – Chcesz zaimponować Kimonowi? Mam ze sobą Maniasa, a także niewolników. Nic mi nie grozi. A może chcesz uczynić mnie więźniem, Peryklesie? O to chodzi? Czy wolno mi wychodzić z domu tylko za twoim przyzwoleniem?

– No cóż, czemu nie? – odparł z furią. – Widzisz tu gdzieś żonę Kimona?

– Widzę trochę kobiet – stwierdziła Tetyda.

– Kurwy i przekupki – rzucił, wskazując szerokim gestem Agorę. – Te, które nie mają własnych niewolników.

– Na Skiros byłam wolna – odpaliła. – Zanim poślubiłam ciebie.

– Może taka była cena tego małżeństwa – odrzekł, zaciskając szczękę.

– Och? Za wyniesienie i zostanie częścią twojej wspaniałej rodziny, co? Za miny, którymi twoja matka reaguje na moje maniery?

– Za bezpieczeństwo? Za uniknięcie głodu i konieczności kurwienia się?

Próbowała go spoliczkować, ale okazał się zbyt szybki i odtrącił jej dłoń. Po sposobie, w jaki ją cofnęła, zauważył, że ją zabolalo. Ogarnął go wstyd, zmieszany jak kwas z gniewem. Podważył jego pewność siebie.

– Idź do domu, Tetydo – powtórzył.

Otworzyła szeroko oczy, mierząc go wzrokiem, po czym obróciła się na pięcie i odeszła. Zatrzymała się przy Epikleosie i powiedziała do niego kilka słów. Ten odchylił się w tył, jakby go użądliła, i pomasował szczękę. Perykles wiedział, że zapłaci za to wszystko, kiedy znów ją zobaczy. Był dla niej surowszy, niż zamierzał. Sposób, w jaki patrzyła na Kimona, uraził go, lecz nie chciał jej o tym mówić. Wyglądało to tak, jakby tylko Kimon stał na tym przeklętym podeście i jakby Peryklesa wcale tam nie było.

– Trudno, wolę być znienawidzony niż ignorowany – mruknął do siebie.

Było to szlachetne uczucie, lecz on wcale nie był w szlachetnym nastroju. Patrzył na kości Tezeusza i zastanawiał się, co starożytny król zrobiłby na jego miejscu. Szczątki ponownie zakryto, ale jednak była to straszna perspektywa. W nagłym odruchu jego nastrój się zmienił. Postanowił przeprosić żonę. Może nawet wyjaśnić jej, dlaczego poczuł się zazdrosny o Kimona.

Rozejrzał się za wodzem i ujrzał go rozmawiającego z jednym ze swoich dowódców. Oni także zaczęli się już rozchodzić, a przynajmniej ci, którzy nie mieli tu innych obowiązków. Perykles znał kilku i zbliżając się, pozdrowił ich.

– Jesteś... gotów? – zapytał Kimon.

– Tak. Przykro mi z powodu tego, co zaszło.

– Nic nie widziałem, nic nie słyszałem – odparł Kimon. – Chodź, mam amforę cypryjskiego wina. Chciałbym wylać odrobinę na grób twego ojca. Za twoim pozwoleniem.

Perykles uśmiechnął się z wielkim zadowoleniem, wzruszony tym gestem. Nie był nawet pewien, gdzie pochowano ojca Kimona i czy jego grób przetrwał najazd Persów i uderzenia ich młotów.

– Jestem szczęśliwy, że jesteś już w domu. Miasto bez floty było zbyt spokojne.

Kimon się roześmiał.

– Co do mnie, to zimowe miesiące są po to, żeby naprawić i zaopatrzyć okręty, aby wiosną wyjść w morze. Znalazłem sposób na życie, który pokochałem, Peryklesie. Musieliby mnie zabić, żeby mi to odebrać, przysięgam.

– Nawet jeśli uczynią cię archontem? – spytał Perykles. Usłyszał cierpką nutę w swoim głosie, choć Kimon zdawał się tego nie zauważać.

– Nawet wtedy. Moje miejsce jest na morzu, przyjacielu. Nie tutaj. Przez zimę będę sprawdzał nowe stępki i nadzorował naprawy, potem wypłynę.

– Przynajmniej będziesz tu jeszcze podczas Dionizjów?

Kimon wyglądał na autentycznie rozdartego, gdy zrozumiał, że Perykles pragnie, by go zobaczył.

– Postaram się, ale jeśli mnie wezwą... sojusz *działa*, Peryklesie. Wniósł wiele nowego. Może Persowie to sprowokowali swoją inwazją, ale twój ojciec miał wspaniałą wizję. Kto wie, będzie on zapewne celem mego życia, naprawdę.

– Dostrzegł rozczarowanie w oczach Peryklesa i położył mu dłoń na karku. –

Chodźmy, proszę. Pokaż mi grób Ksantypposa, abym mógł oddać honory wielkiemu Ateńczykowi. Pozwól mi zrobić chociaż tyle. Dziś w nocy będziemy jeść i pić, śpiewać i opowiadać. Dobrze?

Perykles skinął głową. Połowa miasta zbiegła się na takie zaproszenie. Zdusił w sobie ból i gniew, zmuszając się do uśmiechu. Kimon to człowiek honoru, przypomniał sobie. Może nie miało znaczenia, że Tetyda była w nim zakochana.

Minął najciemniejszy dzień roku. Poranki przed wschodem słońca wciąż jeszcze były mroźne, ale od czasu do czasu zdarzało się czyste, błękitne niebo obiecujące wiosnę. Perykles uznał, że łatwiej mu będzie korzystać z domu ojca w Atenach, niż każdego wieczoru jeździć na noc do posiadłości. Poza zajmowaniem się rodzinnymi dzierżawami oraz teatrem brał udział we wszystkich sądowych posiedzeniach i debatach zgromadzenia, w jakich dawał radę uczestniczyć. Był już bardzo znany ze swoich wystąpień, krótkich i wyrazistych. Początkowo był zdziwiony, że nikt inny nie wnosi uwag, które on sam uważał za słuszne i konieczne. Niektórzy potrafili wypowiedzieć tysiąc słów i nic przy tym nie powiedzieć, jakby ich celem było wyłącznie to, by ich słuchano. Perykles zaczął znajdować satysfakcję w zwięzłości, w doborze właściwych słów i niczym więcej. Pomagało mu to, że wiele czasu spędzał na rozmowach z Zenonem i Anaksagorasem. Wykpiwali oni wszelkie pokrętne myślenie i każdą dwuznaczność. Zwłaszcza Zenon, który udawał, że mdleje, za każdym razem, gdy Perykles wytoczył jakiś słabszy argument.

Tym właśnie tłumaczył swoją nieustanną obecność w mieście. Inni być może by w to uwierzyli, gdyby nie byli świadkami jego wściekłych kłótni z żoną. Niektóre kobiety uważały ostatnie miesiące ciąży za szczęśliwy okres spokoju i wyciszenia. Wyglądało jednak na to, że Tetyda do tej błogosławionej grupy nie należy. Już od dawna nie dokuczały jej poranne wymioty, ale zawsze było jej albo zbyt gorąco, albo zbyt zimno, a stopy bolały ją nieustannie, o każdej porze dnia i nocy. I najwyraźniej, całkiem inaczej niż Spartanie, nie widziała najmniejszej potrzeby, by zachowywać to dla siebie. W miarę rozwoju ciąży zarówno służba w posiadłości, jak i matka Peryklesa zmuszały się do milczenia. Niezależnie od innych obowiązków on sam rzucił się w wir zajęć mających na celu przygotowanie zestawu sztuk teatralnych, które mogły podbudować albo zniszczyć jego reputację. Rola chorega polegała na czymś więcej niż tylko na płaceniu rachunków. Przekonał Ajschylosa, by raczej rozwinął satyrę, zamiast uważać ją za coś niegodnego jego talentu. Perykles uśmiechał się na wspomnienie tej sceny. Czasami czuł się zakłopotany, uświadamiając sobie, jak

bardzo pokochał to wszystko – cudowne maski, które były jak żywe, nawet leżąc na stertach; kostiumy wyglądające z pewnej odległości tak realistycznie. Nawet aktorzy – *hypokritai* – fascynowali go niezmiernie. Widział, jak człowiek przybywa w łachmanach jako ubogi posłaniec, po czym znika za kulisami, by chwilę później pojawić się ze zbielełą twarzą i w perskiej zbroi jako duch króla Dariusza, mówiąc zupełnie innym głosem i zachowując się po królewsku. Perykles co rusz obserwował te transformacje, ale wciąż były one dla niego czymś cudownym.

Było jeszcze coś innego, co przyznał sam przed sobą w ciszy samotnych wieczorów. Powrót Kimona ukazał mu wagę Dionizjów. Gdyby on i Ajschylos wygrali, przez ich życie zawsze płynąłby strumień srebrnych monet. Ludzie wychwalaliby Peryklesa za ten wybór, a jego imię byłoby sławne w całym mieście. Byłby pożądanym patronem, szczęśliwcem, którego warto mieć przy swoim boku. Jeśli przegra, będzie jeszcze jednym zapomnianym choregiem, który postawił na złego konia.

Po Ajschylosie znać było duże napięcie, gdy z wysiłkiem pracował nad napisaniem komedii do swego zestawu sztuk. Stworzył już trzy poważne dzieła, które zdaniem Peryklesa były większe od wszystkiego, co kiedykolwiek wystawiono na scenie teatru. Wielkim darem była opowieść o Tezeuszu kończąca się przywiezieniem do domu jego kości. Ajschylos był geniuszem, gdy chodziło o strofy mające wstrząsnąć widownią i wzruszyć ją do łez. Rozśmieszanie widzów było całkowicie odmiennym zadaniem, które dla niego zdawało się czymś nieosiągalnym. W desperacji poprosił nawet Zenona i Anaksagorasa, by mu towarzyszyli w tworzeniu kolejnych wersów. Pracując jako grupa, pękali ze śmiechu, ale rezultaty, mówiąc delikatnie, pozostawiały wiele do życzenia.

Perykles patrzył, jak chór przemieszcza się z jednego końca sceny na drugi, ćwicząc sposób poruszenia się mający sprawić, by widownia myślała o duchach, które powróciły, by straszyć w nocy. W malowanych glinianych maskach i czarnych płaszczach wyglądali raczej jak malowidła albo kruki niż ludzie. Niesamowite wrażenie sprawiało, gdy razem recytowali śpiewnie jakiś wers, a potem obracali się zgodnie twarzą do widowni. Mroczne uczucia łatwiej wywołać, niż zabawnie hasać po scenie, wymachując ogromnym fallusem. Jeden z satyrów zawiesił swój tekst na jego uchwycie. To rzeczywiście rozbawiło Peryklesa i stało się potem częścią sztuki.

Nie tracił z oczu kosztów. Zarówno Tetyda, jak i matka nigdy nie pominęły okazji, by przypominać mu o stosie zaległych rachunków. Rodzinne fortuny

ucierpiały mocno przez lata inwazji. Nie wpłacano dzierżaw, gdy Persowie zabili gospodarzy i zjedli ich stada. Znalezienie nowych najemców zajęło Peryklesowi wiele czasu, a jeszcze więcej upłynęło, nim pojawiły się plony, które sprzedawano w mieście lub wywożono statkami na sprzedaż. Miał też doskonałe wazy z dzielnicy Keramejkos, tworzone w nowym stylu, z czerwonymi figurami na czarnym tle zamiast bardziej tradycyjnych czarnych figur na tle czerwonym. Sprzedawały się bardzo dobrze. Sprowadził też ze Skiros dzikie kucyki, z których stworzył stado hodowlane. Sprzedawały się doskonale, gdy tylko dorastały, bo miasto wciąż potrzebowało zwierząt jucznych.

Przyszłość następnego pokolenia malowała się w różowych barwach, choć tymczasem Perykles musiał wykorzystywać zakopane i ukryte srebro, które stanowiło ostatnie rezerwy rodziny. Nie pomogło mu to, że został potłuczony cały zestaw glinianych masek teatralnych. Poniesienie kosztu zatrudnienia strażnika mogło je uratować, lecz zamiast tego zmuszony był zatrudnić natychmiast i za wysoką cenę mistrza garncarskiego. Perykles podejrzewał, że za tym zniszczeniem stał Frynich albo któryś z jego ludzi, ale nie był w stanie tego udowodnić. Ponieważ został już tylko miesiąc, stanął nawet w obliczu konieczności skorzystania z usług lichwiarza, aby załatać dziurę w budżecie. Zastanawiał się, jak to zrobić, żeby zaraz nie dowiedziało się o tym pół miasta.

Westchnął, oglądając kolejną próbę satyrowego dramatu. Ajschylos nie doprecyzował, że rola chorega oznacza utrzymywanie trupy teatralnej przez całą zimę, płacenie za wyżywienie, kostiumy i scenografie wraz z malarstwem i stolarką, fundowanie wielkich i hałaśliwych biesiad kończących się ślizganiem po zamrzniętych ulicach albo chrapaniem w rynsztoku. Perykles uśmiechnął się na to wspomnienie. Kosztowało go to fortunę, lecz zarazem pozwoliło przebywać poza domem.

Frynich wkroczył do teatru przez proskenion, od strony miasta, przeszkadzając jednemu z satyrów w deklamowaniu kwestii. Perykles rozpoznał dramatopisarza po tuszy i zwalistej postaci i pobiegł, aby go zatrzymać, zanim Ajschylos go zauważy. Od czasu zniszczenia masek autorzy byli jak dwa koguty, gdy tylko się spotykali. Zmarnowany dzień prób był kolejnym dniem, za który Perykles musiał zapłacić. Cztery sztuki to szaleństwo, pomyślał, zbiegając przez widownię.

Tym razem wyglądało na to, że Frynich nie przyszedł przeszkadzać ani szydzić z ich występów. Perykles zatrzymał się na drewnianym proskenionie, stwierdziwszy, że przybyłemu towarzyszy Kimon. Młody mężczyzna kroczył obok Frynicha, a gdy znaleźli się w świetle, spojrzął na Akropol.

– To moja scena – mówił Frynich – choć inni roszczą sobie do niej prawo. Mam w tym roku zestaw sztuk, nowych i wyjątkowych. Aby uczcić twego ojca, chciałbym zadedykować moją pierwszą tragedię jemu, Miltiadesowi spod Maratonu.

Kimon nie odpowiedział, jakby go nie usłyszał. To stropiło dramaturga, który zmarszczył brwi i przygryzł wargę. W tejże chwili Perykles radował się widokiem Frynicha przymilającego się do nowo mianowanego archonta. Rzecz jasna bogactwo rodziny Kimona było powszechnie znane. Zrozumiałe było, że Frynich gotów jest na każdy ukłon w stronę tego, który mógł być choregiem w późniejszych latach.

– To by mu się spodobało, jak sądzę – odparł Kimon po chwili milczenia, które świadczyło o braku szczególnego entuzjazmu. – Ach, Peryklesie! Zastanawiałem się, czy masz dziś wolny wieczór, aby przyjść na kolację. Twój przyjaciel Zenon jest wyjątkowym człowiekiem. Przyrowadź go ze sobą. No i tego długiego. Urządzimy sobie świetną zabawę.

Perykles uśmiechnął się, porwany dobrym nastrojem przyjaciela. Frynich przestępował z nogi na nogę, szukając pretekstu, by wznowić swoją część rozmowy. Deski skrzypiały pod jego stopami. Czując dumę z powodu własnej dojrzałości, Perykles kiwnął głową w stronę autora.

– Mam nadzieję, że twoje próby przebiegają dobrze, Frynichu?

– Jakby sami bogowie je oglądali – odparł mężczyzna, nagle podejrzliwy.

Wszyscy zauważyli, że przygląda im się Ajschylos, którego gwałtowny ruch przyciągnął ich uwagę. Frynich spojrzał gniewnie. Inaczej niż Ajschylos, nigdy nie miał okazji służyć w wojsku i groźba przemocy wywołała u niego odruch wściekłej złości. W ich grupce wręcz czuło się zbliżanie się Ajschylosa.

– Powiadają, że twoja satyra jest bardzo zabawna – ciągnął Perykles – ale tragedie? Słyszałem, że wymagają jeszcze trochę pracy.

– Słyszałeś...? Wymagają...? – Frynich rozdziawił usta, a potem odwrócił się do przecinającego scenę rywala. Nie spuszczać oka z Ajschylosa, odpowiedział: – Wstrząsną Akropolem! Mistrz Ajschylos nie ma niczego, co dałoby się porównać z moimi *Minotaurem* i *Narcysem*! – Odwrócił się potem do Kimona, wykorzystując krótką chwilę, zanim Ajschylos do nich dołączył. – Nie wiem, czy został mi więcej niż rok, może dwa, kyriosie. Z właściwym dofinansowaniem... ale nie, honor wystarczy. Może mógłbym działać więcej, gdyby...

– Żebrzesz o pieniądze? – zapytał głośno Ajschylos. Złapał Frynicha za rękę, a ten wyrwał mu ją gwałtownie.

– Niczego takiego nie robię – rzucił Frynich, oblewając się rumieńcem, aż Kimon uniósł brwi.

– Jeśli walczysz o środki, może mógłbym wynająć twój chór do kilku scen – ciągnął Ajschylos, wbijając tamtemu kolejną szpilę. – Albo twoich satyrów. Słyszałem, że ich drewniane fallusy są w tym roku... *wyjatkowo* długie. Cóż za wspaniała innowacja.

– Zobaczysz – prychnął Frynich. – Jeden szczęśliwy rok nie czyni pisarza, Ajschylosie. Zrozumiesz to, gdy sędziowie przyznają mi nagrodę.

– Nie. Już nigdy nie wygrasz – stwierdził Ajschylos. Uśmiechnął się niemal litościwie, choć szczerze nienawidził konkurenta. – Twój czas minął, Frynichu. A ten dzień prób należy do mnie, proszę zatem, abyś opuścił moją scenę. – Frynich stał z otwartymi ustami, Ajschylos zaś odczekał chwilę, po czym mówił dalej: – Żadnych słów? Kiedyś miałeś ich mnóstwo w zapasie. Mój drogi, dokąd one uleciały?

Frynich splunął i oddalił się, pozostawiając Ajschylosa samego z jego triumfem.

– Co za wściekły typ – powiedział dramatopisarz.

– Ale co będzie, jeśli jednak wygra? – zapytał poważnie Kimon. – Przecież będzie pamiętał, co mu powiedziałaś.

Ajschylos wzruszył ramionami.

– Nie wygra. Ale gdyby, to tak czy inaczej będę w żałobie. Kolejny cios nie zdoła mnie zranić. Jeśli natomiast ja wygram, to moje dzisiejsze słowa będą jak gorący popiół w jego głowie. – Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego. – Nie powinno mnie tak cieszyć dogryzanie mu, ale jest w nim coś okropnie pompatycznego. Och, ma swoich zwolenników. I on, i oni wierzą święcie, że jest lepszy niż w rzeczywistości. Czasami to... irytujące.

Perykles zauważył, że wyraz twarzy Ajschylosa się zmienił, gdy autor zobaczył, z kim właściwie rozmawia.

– Nie myślisz, żeby zostać choregiem, archoncie Kimonie? Może w przyszłym roku, skoro już wybrano cię do rady Areopagu. Perykles w tych miesiącach nauczył się więcej, niż sobie wyobrażał. Powiedział, że to uczyniło z niego mężczyznę.

– Niczego takiego nie powiedziałem... – zachnął się Perykles, lecz Kimon tylko się uśmiechnął.

– Służymy miastu na różne sposoby. Póki co, moje miejsce jest na morzu. Stanowiska archonta i nauarchy sojuszu to więcej, niż mogłem sobie wymarzyć.

Ajschylos w lot to pojął. Wyciągnął rękę i pozwolił Kimonowi ująć ją w żołnierskim uścisku. Perykles się zastanawiał, ilu spośród jego przyjaciół wybrałoby Kimona zamiast niego, nie wspominając już o własnej żonie. Na tę myśl prysł jego dobry nastrój.

– Dni robią się coraz jaśniejsze – stwierdził Ajschylos, zerkając na scenę i słońce chowające się już za Akropolem. – Mam jeszcze trochę czasu, żeby jeszcze raz wyjść na scenę z moimi satyrami. Ośle uszy! Tak, ty! Gdzie twoje pieprzone ośle uszy? – Odszedł kilka kroków i oskarżycielsko wymierzył palec w nieszczęśnika, który wyszedł bez nich na proskenion.

– Jest lepszy w tragediach – zauważył Perykles.

Kimon się roześmiał, rozbawiony groteskowym wyglądem satyrów.

– Mam nadzieję!

– Jak ci się zdaje, zostaniesz choregiem Frynicha? W tym roku ma sponsora w Efialtesie, ale nie wydaje się, aby było to szczęśliwe połączenie.

Perykles poczuł ulgę, gdy Kimon pokręcił głową.

– Może innym razem. Chciałem ci powiedzieć... – Najwyraźniej podjął decyzję i mówił dalej: – Nie będzie mnie tutaj podczas Dionizjów. Flota jest wyremontowana i zaopatrzona, a my musimy być widziani. Gdy tylko zrobi się jasno, wypłynę. – Sięgnął ręką i dotknął belki w celu odegnania złych mocy. – Kiedy wrócę, będziesz już ojcem.

– Mam nadzieję... Och, wiesz, o co chodzi.

Perykles zastanawiał się, czy Kimon chce, żeby przyszedł. Pytanie zawisło w powietrzu, ale nie wypowiedział go z obawy, że odpowiedź może być inna niż oczekiwana. Kimon przez chwilę patrzył w dal, jakby coś zmieniło jego nastrój.

– Chodź, Per. W końcu nie musisz oglądać wszystkich prób, prawda? Przyprowadź innych. Tamtej nocy Zenon opowiadał coś o wielkim Achillesie, który nie zdoła zwyciężyć w wyścigu z żółwiem. To jakiś wspaniały absurd. Myślałem o tym i zdaje mi się, że odkryłem błąd w tym rozumowaniu. Chciałbym posłuchać go jeszcze raz. Tym razem z większą ilością wina, żeby zyskać pewność!

Perykles się roześmiał. Był jednym z nielicznych, którzy wiedzieli, że Kimon pije wino tylko w sześciokrotnym rozcieńczeniu i nigdy nie sięga po nic mocniejszego. Odkąd zmarł mu ojciec, Kimon nie upił się ani razu, narzucając sobie żelazną dyscyplinę. Znaczyło to, że traktuje siebie poważnie. Wykapany syn swego ojca, pomyślał Perykles. Może był taki zawsze.

* * *

Zenon wypił kolejny pucharek czerwonego wina i uśmiechnął się, pokazując zęby, które w ciągu wieczoru zabarwiły się na ciemny kolor. Mały mężczyzna nie miał takich możliwości jak Anaksagoras, który najwyraźniej mógł pić i rozmawiać przez cały wieczór, po czym nagle zasypiał. W porównaniu z nim Zenon upijał się bardzo szybko i gdy ukazywało się dno pierwszej amfory, reagował wybuchami dzikiego śmiechu. Był jeszcze wczesny wieczór i Perykles zebrał wokół siebie grupkę, którą z dumą nazywał przyjaciółmi. Zauważył, że Ajschylos od czasu do czasu schyla się pod stół i skrobie coś kawałkiem ołowiu, ale to było dla niego typowe.

– Znowu? – zapytał Zenon. – Bardzo dobrze! Achilles startuje. Uprzejmie dał żółwiowi fory, ale zaczynają wyścig w tym samym momencie. Możecie wyobrazić sobie, że towarzyszy temu dźwięk trąb. Wiemy, że Achilles jest wspaniałym biegaczem...

– To już ustalone – przerwał mu z uśmiechem Anaksagoras.

Zenon kiwnął głową.

– To... *ustalone*.

– A żółw jest bardzo wolny. To również przyjmujemy za pewnik.

Wszyscy kiwnęli głowami, patrząc nieco mętym wzrokiem. Kimon był wśród nich najbystrzejszy, bo pił mocno rozcieńczone wino. Zmarszczył brwi.

– A zatem... Achilles startuje za żółwiem. Wkrótce pokonuje połowę dystansu. Tłum wstrzymuje oddech, ale co to? Żółw nie pozostał nieruchomy! On też ruszył. Achilles pędzi tak prędko, jak zdoła. Pot spływa mu z czoła... i ponownie pokonuje połowę dzielącego ich dystansu. A jednak i tym razem żółw się poruszył! Rozumiecie? – Zenon potoczył po ich twarzach triumfalnym spojrzeniem. – Nieważne, ile razy Achilles będzie przebiegał połowę dzielącego ich dystansu, nigdy nie dopędzi żółwia.

– Gdyby to była prawda... – zaczął Kimon, malując na blacie stołu wzory w rozlanym winie.

– To *jest* prawda! – rzucił natychmiast Zenon.

Kimon pokręcił głową.

– W takim razie nikt nie zdołałby dogonić *nikogo*! Żaden biegacz nie dopędziłby biegnącego przed nim, a żadna armia nie mogłaby podejść do drugiej i doprowadzić do bitwy. Jest coś błędnego w tym sposobie przedstawiania!

– Nie wydaje mi się. To zwykłe ułamki, jeśli dobrze pomyślisz; ich nieskończony ciąg. – Zenon promieniał.

– Opowiedz im teraz o strzale... – wtrącił Epikleos. – Nie, o stadionie! Kiedy mi to opowiedział, pogryzłem sobie knykcie z frustracji. – Zademontrował to,

doprowadzając Ajschylosa do śmiechu.

Kimon wyłowił parę fasolek z miseczki i popchnął jedną po blacie, na którym zostawiła ślad.

– A teraz patrzcie. Jeśli ta fasolka jest zółwiem... – zaczął.

Drzwi tawerny otworzyły się z impetem na oścież, aż zaprotestowała gderliwie grupa stojących przy nich pijaków. Mężczyzna, który wszedł, potoczył wzrokiem po gościach, najwyraźniej kogoś szukając. Ruszył dalej, dostrzegłszy siedzącą przy stole grupę, zatrzymał się przed Peryklosem i uklonił się.

– Kyriosie, wysłano mnie, żebym ci powiedział, że twoja żona rodzi. Położna jest przy niej.

Perykles powiódł po przyjaciółkach szeroko otwartymi oczyma.

– Teraz? – zapytał.

Mężczyzna potaknął, najwyraźniej zniecierpliwiony.

– Tak, kyriosie.

– Lepiej idź – rzucił Kimon z uśmiechem. – Niechaj bogowie pobłogosławią te narodziny, Peryklesie. Życzę ci szczęścia.

Perykles podniósł się wolno. Zgiełk tawerny nie docierał do niego. Był w jakiś sposób stłumiony, a jego myśli płynęły bardzo powoli. Wiedział tylko, że powinien pobiec, i jedynie to się liczyło.

– No dobrze więc – odezwał się. Wszyscy się uśmiechali, co wydawało mu się dziwne. – Powinienem, no...

– Idź! Zobacz się z żoną – rzucił Ajschylos.

Gdy Perykles zniknął za drzwiami, Zenon ponownie wzniosł puchar.

– Bo nikt z nas nie ma na to ochoty – powiedział.

Wszyscy widzieli Tetydę w ciągu ubiegłych miesięcy. Póki co, słowa Zenona wydały im się najzabawniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszeli.

Ajschylos nawet je zapisał, choć następnego ranka zmarszczył brwi, gdy je przeczytał.

* * *

Dyszac ciężko, Perykles dotarł do posiadłości. Mury i bramę rozjaśnił już szary świt, choć gdy ruszał, panowała jeszcze zupełna ciemność. Jeden z domowych niewolników czekał już na niego, nie musiał więc się dobijać, waląc pięścią w żelazo i budząc cały dom. Wrota się otworzyły, a on przez nie wbiegł.

Z wnętrza budynku dobiegł do niego płacz dziecka, przeciągłe zawodzenie, które kazało mu stanąć w zachwycie. Wziął kilka głębokich haustów powietrza i wszedł do domu.

– Tetydo? – zawołał.

– Jest tutaj – łagodnym głosem powiedziała jego matka.

Perykles wszedł do izby, gdzie na łóżku leżała Tetyda z opatulonym, wrzeszczącym dzieckiem. Była przy niej położna, siwowłosa kobieta z bielmem na jednym oku. Zbierała właśnie swoje rzeczy i wkładała je do torby.

Włosy jego żony były wilgotne i potargane. Perykles, patrząc na matkę i dziecko, pomyślał, że Tetyda wygląda trochę ociężale.

– Czy to chłopiec? – zapytał.

Położna skinęła głową, nadal pakując przybory. Poklepała go po ramieniu, po czym wychodząc, przyjęła dwie srebrne monety od jego matki, szepcząc słowa podziękowania. Tetyda z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie poirytowanej, jakby jego pytanie ją rozzłościło. On jednak poczuł, że serce przepęnia mu radość.

– Niech dzięki będą Atenie. Dzięki Herze. Dziękuję, Tetydo! Dam mu na imię Ksantyppos, czyli biały koń. Spójrz na jego czarne włosy!

Agarysta otarła wilgotne oczy. Przez chwilę ścisnęła Peryklesa, choć ten stał jak słup, niepewny, co powinien zrobić.

– Może pocałujesz żonę, co? – zaproponowała Agarysta, popychając go naprzód.

Peryklesa zaskoczył zrazu ten ruch. Pochylił się nad Tetydą, czując zapach potu i krwi, może też odrobiny skwaśniałego mleka. Mimo wszystko ją pocałował. Dziecko się uspokoiło.

– Chłopiec jest zdrowy – dodała jego matka. – Jeśli bogowie okażą się łaskawi i przeżyje, będzie twoim, a także moim dziedzicem. Spadkobiercą długiej linii archontów i strategów oraz doradców królów. – Mówiła tak, jakby chciała, żeby zrozumiała to Tetyda.

Cokolwiek zaszło między kobietami w trakcie porodu, najwyraźniej nie załagodziło ich relacji. Perykles był wdzięczny, że nie było go w tych trudnych chwilach.

– Myślałam, że posłaniec nigdy cię nie znajdzie – powiedziała nagle Tetyda poirytowanym tonem.

Dziecko kręciło się i pojękiwało z zamkniętymi oczyma, a jego malutkie rączki się zaciskały. Jego syn!

– Znalazł – odparł Perykles. – Ja, hm... przeglądałem rachunki z festiwalu.

– Tak, mogę to wyczuć w twoim oddechu. Kimon też tam był? Wrócił tu z tobą?

Wiedział, że zadaje te pytania, żeby mu dokuczyć, bo nie było go przy niej tej nocy. Po raz pierwszy nie poczuł gniewu ani zazdrości. Słońce już wstało tego wiosennego poranka, a on wiedział, co to oznacza.

– Nie, Tetydo. Flota była gotowa do wyjścia w morze. Kimon wypłynął.

Wyraz jej twarzy był miną dziecka, któremu odmówiono miodu albo innych słodczy. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek będzie szczupła. Otworzył usta, aby zadać to pytanie, ale się opamiętał. Jeden kąśliwy komentarz prowadziłby do następnego, a potem skończyłoby się wrzaskiem i złością. To nie był właściwy dzień na takie rzeczy. Miał przecież syna. Odetchnął głęboko i pocałował Tetydę w czoło. Mały znowu zaczął płakać.

– No, Tetydo. Daj mi dziecko. Mamka już czeka.

Matka dała ręką znak i weszła jedna z niewolnic, kobieta z Tracji, którą, jak pamiętał Perykles, zakupiono specjalnie w tym celu. Miała ogromne piersi, a na jej koszuli widać było ciemne plamy wilgoci. Ramiona miała wytatuowane wawię, czarne i błękitne wzory. Wyciągnęła ręce, ale Tetyda nie podała jej maleństwa.

– Czuję, że mleko już napływa. Sama mogę go karmić – powiedziała.

– Ecra może to robić – odezwała się wolno Agarysta, przemawiając jak do dziecka. – Zabandażujemy ci piersi i mleko się zatrzyma. Musisz zarządzać posiadłością, moja droga. *Twoją* posiadłością, jak zwykle mawiasz. A może ci się wydaje, że możesz to robić i zarazem karmić małego kilkanaście razy dziennie?

Niewolnica potaknęła, rumieniąc się. Wciąż wyciągała ręce, chcąc wziąć chłopczyka, co wyglądało dość niezręcznie. Dziecko znowu zaczęło płakać. Przenikliwy, świdrujący dźwięk sprawił, że Perykles się skrzywił.

– Już dobrze, Tetydo – powiedział. – Daj mi go.

Choć protestowała, pochylił się i wziął dziecko. Poczul ciężar i ciepło małego ciała, po czym podał swego syna niewolnicy. Ta siadła w kącie i odsunęła zębami połę koszuli. Perykles nie potrafił odwrócić wzroku, gdy ogromna pierś wysunęła się, już ociekając mlekiem. W końcu matka stanęła między nimi i wypchnęła Peryklesa z izby.

Kiedy poszedł znaleźć sobie coś do zjedzenia, wydało mu się, że słyszy płaczącą Tetydę, i pokręcił głową. Doprawdy, kobiety są dziwnymi istotami. Nosić w sobie dziecko, a potem produkować dla niego pokarm to rzeczywiście największy cud na ziemi. W ciszy poranka, ogryzając machinalnie znalezione w kuchni udko kurczaka, poczuł zadowolenie, że jego rola jest taka prosta.

Perykles siedział w najniższym rzędzie siedzeń zarezerwowanym dla archontów i strategów, a także dla choregów oraz ochotniczych sędziów teatralnych wybranych z wszystkich fyl. Kiedy zza kulis rozległy się krzyki, wdrapał się tam z Epikleosem i ruszył w stronę źródła zamieszania. Spodziewali się jakichś problemów, bo Frynich ze swoją trupą zdawali się pogrążeni w zupełnym chaosie. Mężczyzna stale pojawiał się o niewłaściwej porze, żądając dla siebie czasu na próby i przysięgając zemstę każdemu, kto chciałby zaburzyć porządek dnia. Za każdym razem odsyłano go ze złością, gderając za jego plecami. Ich próby często przerywano i czasami Perykles się zastanawiał, czy nie robiono tego z rozmysłem. Teraz znaczyło to, że na pierwszy sygnał kłopotów zbiegnie się cały zespół gotowy do bitki.

Anaksagoras trzymał kogoś za nadgarstek, wolną ręką przyginając mu kark i głowę, tak że mężczyzna stał mocno pochylony. Kimkolwiek był, wrywał się ze wszystkich sił i Epikleos musiał doń doskoczyć i złapać go za drugą rękę. Jego głowa się uniosła i Perykles spojrzał zdumiony.

Nie widział Attikosa od czasu, gdy odesłali go na inny okręt ze śladami chłosty na plecach. Z wielką satysfakcją patrzył wtedy na każde wymierzane mu smagnięcie. Tetyda nie należała jeszcze wówczas do niego. Prawdę mówiąc, nie należała do nikogo. Jednakże kara dla Attikosa była stosunkowo lekka, biorąc pod uwagę próbę gwałtu, jakiej się dopuścił. Na lądzie zostałyby za to przywiązany do słupa na Agorze, aby umarł z pragnienia albo żeby przechodnie mogli go ukamienować. W warunkach wojennych Kimon wybrał dla niego chłostę i odesłanie na inny okręt. Był to w pewnym sensie dość łagodny wyrok. Od tamtej pory Perykles nie oglądał już więcej tego mężczyzny o małym wyglądzie.

– Attikosie! Co ty tutaj robisz? – zapytał.

Anaksagoras puścił go, gdy zrozumiał, że Perykles go zna. Epikleos trzymał go jednak dalej, lepiej wiedząc, z kim ma do czynienia.

– Zostałem wydalony z mojego okrętu, o czym zapewne wiesz – powiedział Attikos. – Potem się rozeszło, że obraziłem twoją rodzinę, i nikt nie chciał mnie

zatrudnić. Przez krótki czas służyłem jako wiosłarz, żeby jakoś przeżyć. Nie było już żadnej pracy dla hoplity. Kapitan zwrócił się przeciwko mnie i nagle wszyscy się o tym dowiedzieli, i nikt nie miał dla mnie miejsca.

Perykles popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Ale jak to mnie dotyczy? Och, puść go, Epikleosie. Nie stanowi zagrożenia i najwyraźniej nie jest też związany z Frynichem.

– *Jak cię to...?* – wykrztusił Attikos, krzywiąc się. – Zgrabnie mówisz, synu, co? Twój ojciec dał mi robotę, żebym dbał o twoje bezpieczeństwo w tej cholernej starej flocie, gdzie hoplici mogli cię zmusić, żebyś zostałeś ich panienką, i osłaniał cię przed obcymi diabłami, żeby nie przedziurawili ci wątroby jak twojemu bratu. I robiłem to. A co dostałem w zamian za opiekę nad chłopczykiem? Wyrzucono mnie z czarną plamą na imieniu i teraz każdy krzywo na mnie patrzy.

– Niosłem cię na Skiros – warknął Perykles. – Uratowałem ci życie, Attikosie. A ty co z tym zrobiłeś? Próbowaleś zniewolić kobietę. Moją przyszłą żonę.

Anaksagoras poderwał się gwałtownie na te słowa. Perykles czekał na jakąś oznakę zaskoczenia u Attikosa, ale nic takiego nie nastąpiło. Oczywiście słyszał już o tym, podobnie jak cała flota.

– Wtedy nie była twoją żoną, a ja myślałem, że jest chętna. Wyglądała na taką. Słuchaj, pomyliłem się i nie wypieram się tego. Tak jak nie wypieram się śladów na moich plecach! Ale ty odebrałeś mi więcej. Odebrałeś mi moje imię, moje miejsce w życiu, wszystko, czego się dorobiłem. Jestem skończony! Nigdzie nie ma dla mnie koi ani siedziska. Nawet między wiosłarzami. Włóczę się po porcie jak przeklęty kaleka, a archont Kimon wypłynął beze mnie. Tak więc, ponieważ jesteś odpowiedzialny za mój upadek, zjawiłem się tu. –

Rozejrzał się po teatrze i rzędach ławek, po czym pociągnął nosem i otarł go. – Wygląda na to, że spadłeś na cztery łapy, i to nieźle. Bogaty jak Krezus, podczas gdy ja głoduję. Myślę, że mógłbyś dać mi pracę, może jako strażnikowi. Ulice są niebezpieczne w nocy, wszyscy to wiedzą. Nie proszę o wiele, tylko o robotę. To wszystko! – Attikos, w miarę jak mówił, był coraz bardziej rozwścieczony i skończył niemal krzykiem.

Perykles zastanawiał się, co ojciec doradziłby mu w tej sytuacji. Podejrzewał, że Ksantyppos byłby jak kamień. Nigdy nie miał wiele sympatii dla słabeuszy albo takich, którzy użalają się na swój los, zamiast próbować go poprawić. Zauważył jednak, że Attikos jest bardzo chudy, dużo bardziej niż kiedyś. Naprawdę głodował, a w jego słowach, wyczuwalna pod złością, brzmiała nuta

strachu. Dla kogoś bez rodziny i bez nazwiska miasto musiało być trudnym miejscem do życia.

Ajschylos podszedł do nich, żeby sprawdzić, co przeszkodziło w jego próbie. Wyczuwając nastrój, milczał, ale przyglądał się niecierpliwie, marszcząc brwi.

– Mógłbym go zatrudnić przy malowaniu dekoracji albo przy dźwigu – zaproponował.

– Nie – skwitował Perykles.

Ajschylos nie znał go z tej strony. On jednak widział, że Attikos mu nie wybaczył i byłby wiecznym źródłem niesnasek.

– W Atenach zawsze jest praca – ciągnął Perykles. – W garncarstwie albo przy noszeniu piasku i popiołu w porcie, albo przy budowie nowych domów. –

Miał jedną tetradrachmę ukrytą za podszewką paska. Przy oszczędnym gospodarowaniu pozwoliłaby Attikosowi przeżyć tydzień podczas poszukiwania pracy. Wyłowił ją i rzucił mu.

Ten złapał ją w powietrzu.

– To wszystko, tylko tyle? – parsknął, ściskając monetę. – Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem? Taka jest cena twojego sumienia? Nie możesz dać mi pracy? Ty mały skurwysynu!

– Dość tego – warknął Anaksagoras, odpychając go.

– Nie mówiła ci, że zrobiłem wtedy swoje? – wrzasnął Attikos. – A jednak! Jej też się podobało.

Perykles wiedział, że te słowa miały go zranić. Rzecz w tym, że zraniły naprawdę. Epikleos zauważył, jak krew odpływa mu z twarzy, i kiwnął głową, odchodząc na bok. Zenon poszedł za nim. Wyciągnęli Attikosa na zewnątrz, a kiedy wrócili, byli spoceni i krwawiły im knykcie. Epikleos miał nowy siniak nad okiem, ale wyglądał na zadowolonego. Rzucił Peryklesowi tę samą srebrną monetę, a on uśmiechnął się i włożył ją z powrotem za pasek.

– *Persowie*, scena pierwsza! – rzucił głośno Ajschylos. Wskazał jednego z aktorów wpatrującego się w arkusz papirusu. – Włóż maskę i odłóż te notatki! Musicie znać już sztukę na pamięć. Za trzy dni wszystkie te ławki będą pełne. I nie chcę się wtedy za was wstydzić. Jeszcze raz, od początku!

* * *

Perykles wrócił do starego domu swego ojca, niedaleko Pnyksu. Cała ulica została zrujnowana podczas najazdu Persów, a potem z energią odbudowana przez jego ziomków. Nowy budynek z dębiny, cegły i tynku był przestronny

i pachniał nowością, z sześćoosobową służbą przygotowującą jedzenie, a pod nieobecność pana strzegącą domu przed złodziejami.

Nie mógł zasnąć. Gniewna wizyta Attikosa zapadła mu w pamięć, odrzucił serdeczne zaproszenia Ajschylosa i innych udających się do tawerny. Zwłaszcza Epikleos wyczuwał jego ponury nastrój, lecz Perykles musiał pomyśleć i nade wszystko potrzebował samotności i odpoczynku. Oczywiście mógł także wrócić do posiadłości, gdzie jego matka i żona były jak dwa koty zamknięte razem w worku, cały czas miauczące i drapiące... Nie, szczęśliwszy był w swoim miejskim domu, patrząc w ciemnościach w sufit.

W późnych nocnych godzinach ulice były bardzo ciche. Najwyżej jakaś grupka pijaków przeszła ze śmiechem i śpiewem w drodze do domu. Odgłos szybkich kroków był czymś innym i od razu zwrócił uwagę Peryklesa, który podniósł się na łokciu, nasłuchując uważnie. Attikos nie kłamał, gdy mówił, że na ulicach bywa niebezpiecznie, zwłaszcza w nocy. Straż scytyjska gwarantowała bezpieczeństwo oficjalnych masowych imprez i posiedzeń zgromadzenia. Poza tym każdy mężczyzna musiał trzymać dłoń na rękojeści noża i uważnie przyglądać się mijanym ludziom. Żadna żona czy córka nie ryzykowała wyjścia nocą z domu. Burdele przy porcie prowadziły w ciemnościach swoją działalność, ale wolne kobiety spieszyły do domów o zachodzie słońca.

Perykles usłyszał dwóch albo trzech przebiegających koło jego domu. Przechylił głowę, nasłuchując czegoś, co brzmiało jak odległe krzyki. Sięgnął szybko po czysty chiton i znalazł sandały. W pokoju było tak ciemno, że nie widział własnych rąk, ubierał się po omacku. Przypasał do boku kopis. Wyczuwał na skórze blizny: tę na łydce i tę poszarpaną biegnącą od ramienia przez pierś. Wspomnienie dawnego cierpienia.

Coś się działo i zaniepokojeni niewolnicy zaczęli zrywać się z łóżek. Światło zabłysło na dole i Perykles zszedł po schodach. Służba przyglądała mu się, szukając w nim oparcia, niepewna, czy nie grozi im jakieś niebezpieczeństwo, po czym otworzyła drzwi na zewnątrz, wpuszczając do środka nocny chłód.

Perykles wyszedł na brukowaną ulicę. W tym momencie wydawała się bardzo spokojna, choć widział, że w sąsiednich domach zapalano lampy, które rzucały kręgi światła. Wciągnął głęboko powietrze i poczuł dym.

– Niech Atena ma nas w swojej opiece – szepnął, szukając wzrokiem jego źródła.

Miasto zbudowane było z drewna, dachówek i zaprawy murarskiej. Całe ulice stały się piekłem pożaru, kiedy Persowie podłożyli ogień. Od tamtego czasu ludziom zawsze towarzyszyła obawa, że ktoś przewróci glinianą lampę oliwną i wszyscy sąsiedzi spłoną we śnie.

Akropol górował nad miastem niczym wielki wartownik, dobrze widoczny ze wszystkich dzielnic. Słyszając, że ktoś nadbiega z ciemności, Perykles obrócił się szybko, aby stawić czoło ewentualnemu zagrożeniu. Wyciągnął kopis, lecz biegnący niemal się przewrócił, unikając z nim zderzenia.

– Co się dzieje? – zapytał Perykles.

– Ogień! – krzyknął mężczyzna, potem rzucił jakieś przekleństwo pod adresem tego, który go wystraszył.

Perykles stał, zapomniawszy o kopisie, i czując nagle, jak miękną mu nogi. Patrząc w ślad za biegnącą postacią, dostrzegł iskrę w oddali, u stóp wysokiej skały. Chodził tą drogą każdego dnia, od wielu miesięcy, i znał tę część miasta doskonale. Teatr. Rzucił się do biegu.

* * *

Miasto zdawało się rosnać wokół niego, gdy zbliżał się do dziwnego światła. Z tej odległości było jak poruszająca się chaotycznie żywa istota. Kiedy dobiegł na miejsce, wokół już kłębiły się tłumy; ludzie biegali w panice, krzycząc z rozpacz, lub po prostu stali nieruchomo z dłońmi przyciśniętymi do ust.

Perykles dotarł do wejścia od strony ulicy, przez które za kilka dni mieli wchodzić widzowie, aby oglądać sztuki, tragedie i satyry. Jęknął. Ogień płonął wewnątrz teatru. Widział, jak rozszerza się na skrzydła zabudowań proskenionu. Wiedział, że leżą tam maski, trzymane pod strażą. Gdzie był strażnik?

Otrząsnął się. Wiedział, że musi wejść do środka, choć płomienie już wypełzały na zewnątrz i obejmowały coraz większą część budynku. Ogień był niczym bestia z licznymi jęzorami i szponami, niszcząca ich wielomiesięczną pracę. Poczł przypływ nienawiści, a po chwili ujrzał nadbiegającego Epikleosa.

– Peryklesie! Dzięki bogom. Staniemy w szeregu z wiadrami aż do rzeki. Jeżeli zbierzemy dwustu lub trzystu ludzi, będziemy mogli dostarczać wodę na bieżąco.

– A co z piaskiem? – zapytał Perykles. – Tam dalej jest podwórko z materiałami budowlanymi.

– Pokaż mi – rzucił Epikleos.

Przepchnęli się przez tłum i przebiegli pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków do zamkniętej bramy. Stał tam strażnik z włócznią, rozglądając się nerwowo.

– Cofnij się, synu – polecił Epikleos.

Tamten próbował unieść włócznię, lecz Perykles odepchnął go na bok, a Epikleos otworzył kopniakiem bramę, złamawszy blokujący ją drąg. Choć mężczyzna przeklinał ich głośno, wbiegli do środka. Były tam materiały służące do mieszania zaprawy. Perykles złapał rączkę małego wózka, już wypełnionego popiołem i mokrym piaskiem.

– Potrzebujemy więcej ludzi – oznajmił.

Epikleos pobiegł i zaczął skrzykiwać gapiów z ulicy, kierując ich na podwórko. W kilka chwil mieli pół tuzina wypełnionych po brzegi wózków oraz tłum z łopatami i wszelkimi narzędziami, jakie udało się znaleźć.

Perykles krzywił się w dymie, gdy łopata rzucił pierwszą porcję ciemnej masy w płomień przy drzwiach teatru. Nie miał pewności, jak sporządzano tę zaprawę, wiedział tylko, że używano do niej wulkanicznego popiołu przywożonego z nowego miasta, skąd pochodził Zenon. Wymamrotał słowa modlitwy, gdy zaprawa wylądowała w płomieniach, po czym zauważył, że ugasiła ogień. Już raz się paliła i nie zapali się po raz drugi.

– Więcej! Rzucajcie! – ryknął do tłumu.

Nareszcie mieli zadanie do wykonania i jeśli nie mieli narzędzi, nabierali gruboziarnistą zaprawę w ręce. Małe wózki były puste i ciągnęli je właśnie z powrotem po ładunek zaprawy, gdy pojawił się właściciel, który zagroził im pozwaniem przed radę z oskarżeniem o kradzież. Perykles zauważył Ajschylosa, który wyłonił się z ciemności i przemówił cicho do mężczyzny. Po jego słowach zapadła cisza.

Sznur ludzi z wiadrami ciągnął się w dół ulicą ku rzece za murami miasta. Perykles próbował wyobrazić sobie sprawne przekazywanie wiader z wodą z ręki do ręki, ale zabrakło na to czasu; była tylko grupa Ateńczyków, którzy zerwali się z łóżek i starali zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia, sypiąc piasek i popiół. Był wzruszony ich odwagą do chwili, gdy zrozumiał, że robili to, aby pożar nie przeniósł się na ich domy. Odbudowywali je już nie raz. Nie chcieli robić tego więcej.

Deszcz piasku i popiołu sypanych w płomień pozwolił Peryklesowi wbiec przez główne wejście, przeskakując zwęglone belki i chmury dymu. Kaszłał, osłaniając usta dłonią, a świat wirował mu przed oczyma. Ogień wciąż płonął przed nim, widział, jak wżera się w płótna i drewno jasnymi liniami, wydzielając czarny dym, który rozchodził się nisko jak oliwa po wodzie. Wszystkie maski były zmagazynowane w paraskenionach. Proskenion! Dostrzegł tam również

pełzające płomienie i deptał po nich, zerkając na wiszący w górze Akropol. Skala oczywiście przetrwa, ale nie można dopuścić, by ogień strawił ławki.

Gdy obejrzał się za siebie, ogień objął właśnie wejście, odcinając go w środku. Mógł wrócić na proskenion, przeskakując po ławkach. Ogień rozprzestrzenił się jednak coraz bardziej, a on zbyt wcześnie wbiegł do wnętrza. Gdzie była woda?

Usłyszał, jak ktoś krzyczy z bólu, i obrócił się prędko w tamtą stronę. W świetle płomieni mógł dojrzeć niektóre fragmenty paraskenionów, podczas gdy inne ich części tonęły w mroku. Rozpoznał Frynicha po jego tuszy. Mężczyzna młócił rękoma powietrze i krzyczał. Brzeg jego szaty zajął się ogniem.

Chcąc go ugasić, Perykles rzucił się i zaczął okładać go rękoma, Frynich zaś bronił się, wył i próbował się przed nim osłonić. Udało mu się nawet zadać kilka ciosów, ale miał już sześćdziesiąt lat i był dość słaby. Kiedy wreszcie zrozumiał, że Perykles próbuje mu pomóc, był zbyt wyczerpany, by mówić, i po prostu pozwolił wyprowadzić się na ulicę między zwęglonymi szczątkami belek.

– To ty podłożyłeś ogień? – zapytał Perykles.

Frynich spojrział na niego w szoku. Dyszał, był usmarowany sadzą i wyglądał jak najędzniejsza z istot, jakie Perykles kiedykolwiek w życiu widział.

– Nie! Ja kocham... nie. Dlaczego miałbym...? – wysapał z trudem.

Perykles kiwnął głową, uwierzył mu. Miał pewne podejrzenia co do tego, jak doszło do podpalenia. Attikos miał w sobie tyle nienawiści, by spalić ich wszystkich.

Stojąc tam, zauważył, że system podawania wody wiadrami zaczął w końcu działać. Całą wieczność trwało, nim pierwsze skórzane wiadra powróciły z rzeki, ale kiedy już się zaczęło, to ci na przedzie mogli nieustannie lać wodę na ogień i odsyłać puste wiadra z powrotem. Perykles stał i patrzył, jak polewają wejście do teatru, gasząc płomienie i zmieniając mieszaninę piasku i popiołu w mokrą maź. Sznur ludzi z wiadrami posuwał się w głąb, lejąc wodę na wciąż pełgające jezory ognia grożące ponownym rozprzestrzenieniem się pożaru. Była to męcząca praca, ale gdy ktoś z przekazujących wiadra osłabł, ktoś inny z tłumu zajmował jego miejsce. Nie wpływało to na szybkość przekazywania wiader w górę. Tempo nie słabło i rezultaty zaczynały być widoczne.

Zenon i Anaksagoras też zajęli miejsca w rzędzie podających wodę. Perykles stanął za nimi, zmieniwszy jakąś kobietę w koszuli nocnej, która opadła z sił. Pocałowała go w rękę, on zaś zaczął przekazywać pełne wiadra do przodu, jedno po drugim, zaskoczony ich ciężarem. Każdy dom w mieście miał jedno lub dwa

takie wiadra, dość pojemne. W niektórych były pęknięcia i stawały się przez to lżejsze, inne zaś błyszcząły od wosku lub oliwy i miały mocne uchwyty. Przestał myśleć i przez dłuższy czas tylko podawał je dalej, jedno za drugim, jedno za drugim.

Paraskeniony przepadły, to jedno było już jasne. Woda pozwoliła ludziom, którzy sypali piasek i popiół, zapuszczać się dalej w głąb i rzucać je na proskenion. On przynajmniej przetrwa, a także otaczające ławki. Perykles dziękował wszystkim bogom, którzy mogli w tym pomóc.

– Epikleosie! – zawołał.

Nie mógł porzucić swego miejsca w rzędzie, ale Epikleos na szczęście go usłyszał. Pojawił się z usmarowaną twarzą i włosami pozlepianymi sadzą. Uśmiechał się, a jego zęby błyskały bielą.

– Chcesz, żebym cię zmienił? – zapytał.

Perykles potrząsnął głową. Przysunął się bliżej, zerkając za plecy przyjaciela na stojącego dalej Frynicha.

– Szaty chórów możemy zastąpić. Problemem będą maski. Mógłbyś skoczyć do Keramejkos i złożyć zamówienie? Weź ze sobą Ajschylosa. On wie, czego nam potrzeba. Jeżeli zdołają zrobić sto masek w trzy dni, dopłacimy, ilekolwiek zechcą. – Pomyślał o garści monet, która pozostała w zamkniętej skrzyni w posiadłości. Nie było innego wyjścia. – Poślij też kogoś do lichwiarza. O wschodzie słońca. Umów mnie na spotkanie. Stawię się u niego o ustalonej porze.

– Oni żądają zbyt wysokich odsetek! – powiedział Epikleos. – Mam oszczędności. Osiemdziesiąt w srebrze. Nie jest to wiele, ale należą do ciebie.

– Będziemy potrzebowali znacznie więcej – stwierdził łagodnie Perykles.

– Potem zgromadzenie przegłosuje fundusze na odbudowę!

– Jestem pewien, że tak. Epikleosie? Umów spotkanie.

Mężczyzna skinął głową. Kiedy odszedł, Perykles poczuł, że ma trudności z oddychaniem. Miał ściśnięte gardło i nie wiedział, czy to z powodu wielkich emocji, czy od dymu, czy może jednego i drugiego. Oddychał chrapliwie, ale wciąż podawał wiadra. Płomień niemal ugaszono, a gdy nastał świt, poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu.

Tłum spojrział w górę i wielu zaczęło wiwatować. Deszcz się wzmógł i sąsiednie ulice zaczęły lśnić, gdy ulewa zmyła z nich do głównego kanału i w rynsztoki warstwę czarnej sadzy. Sznur ludzi z wiadrami pracował dalej, nie mogli się zatrzymać, choć zwęglone drewno było już na wskroś przemoczone. Robili to od wielu godzin, a rezultaty widać było także w ich zmęczeniu, a potem

w radosnych uściskach. Wreszcie rodziny wzięły swoje wiadra i wylawszy resztki wody, ruszyły do domów. Ulice opustoszały i wzeszło słońce. Deszcz nadal padał, lecz teraz już tylko mżyło. Choć Perykles drżał, odrętwiały z wysiłku, wiedział, że deszcz był odpowiedzią na jego modlitwy, uniósł więc twarz na spotkanie spadających kropli.

Patrzył przez zniszczone paraskeniony i ciągnące się naprzeciw nich rzędy siedzeń. Gdyby były z kamienia, żaden pożar by im nie zagroził. Może któregoś dnia takie powstaną. Tymczasem miał tylko trzy dni i żadnych pieniędzy, ale musiał odbudować teatr.

Ajschylos ruszył z Epikleosem, Perykles zaś podszedł do Frynicha.

Wielki mężczyzna wciąż oglądał brązowe plamy spalenizny na swoim odzieniu, gdzie tkanina zaczęła odpadać jak papier. Krzywił się i próbował ocenić oparzenia skóry, gdy dostrzegł Peryklesa.

– Potrzebujemy cieśli i tkanin – powiedział młodzieniec. – Nie musimy stawiać nowych ścian, a tylko osłonić to, co dzieje się w środku, przed oczyma widzów. Możemy przybić tkaninę do zwykłych ram i będzie dobrze.

– Cała scenografia zniszczona – jęknął Frynich. – Każda malowana część. Każde... – Otarł oczy i ścisnął palcami nasadę nosa, nagle wyglądał jak wyczerpany starzec. – Mam maski, a moi ludzie znają tekst. Straciłem wszystkie kopie, ale oni wciąż mają swoje kwestie tutaj. – Klepnął dłonią w bok głowy. – Ale bez scenografii jakże mam pokazać brzeg rzeki? Kreteński labirynt?

– Mamy trzy dni... – przypomniał Perykles.

W całych Atenach było tylko paru mistrzów malarstwa scenicznego. Frynich najwyraźniej wpadł na tę samą myśl, bo prędko zaczął się wycofywać.

– Tak. Zobaczą, co da się zrobić... – Pospiesznie się odwrócił i wybiegł z teatru.

Perykles zaczął się śmiać, a potem zmarszczył brwi. Zastanawiał się, czy jego garncarze zdołają wymalować scenerię tak sprawnie, jak malują wazy. Sądził, że potrafią to zrobić. Słońce już wzeszło, on zaś był brudny od sadzy i trochę poparzony. Pęcherze wyrosły mu na dłoniach żółtymi zgrubieniami, choć przedtem nawet nie czuł dotyku płomieni. Był wycieńczony i było mu niedobrze, ale w jakiś sposób czuł się odnowiony.

Wiosna nastąpiła w Atenach jakby przywołana przez zaczynający się festiwal. Mając Akropol za plecami, Arystydes odnalazł miejsce, które zarezerwował dla niego jeden z członków rady w uznaniu jego długiej służby publicznej. Innego dnia pewnie debatowałyby nad słusznością lub niesłusznością czegoś takiego. To fakt, że był archontem seniorem i służył jako strateg i polemarch pod Maratonem, Salaminą i Platejami. Sprawował każdy urząd, jaki Ateny mogły zaoferować, i dostąpił wszystkich zaszczytów poza własnym posągiem na Akropolu. Odmówił tego ostatniego, nalegając, by wszelkie środki, jakie zgromadzenie przeznaczyło na ten cel, zostały przekazane na naprawę kanalizacji.

Tego jednak dnia, czując ból w plecach, był szczęśliwy, że nie musiał czekać w długiej kolejce z tłumami. Przymknął na chwilę oczy, rozkoszując się popołudniowym słońcem ogrzewającym mu twarz. Siedzenia amfiteatru, skierowane na południe, wydawały się wprost stworzone, by przyciągać słoneczne ciepło.

Żałował, że Ksantyppos nie dożył tej chwili, by zobaczyć, jak miasto poradziło sobie z pożarem. Nawet bez ludzi z floty każda ulica z domów wokół Akropolu wysłała młodzież do pomocy w odbudowie, a chętnych do dostarczania i noszenia materiałów, do przybijania gwoździ i sprzątanania były tysiące. Teatr nie był jeszcze taki, jak dawniej, jednak wymieciono sadzę i pył, a nowe sosnowe konstrukcje osłaniały aktorów przed wzrokiem widowni. Każda deska proskenionu została wyszlifowana i na nowo naoliwiona. Arystydes czuł ten zapach w powietrzu zmieszany z wonią sezamowych ciasteczek w miodzie. Otworzył oczy, podał brązową monetę jednemu ze sprzedawców żywności i kupił niewielką paczuszkę ciastek. Płótno, w które były zawinięte, miało solidny splot. Gdy je odwinął i zjadł zawartość, wcisnął płótno za pas.

– Nie masz nic przeciwko temu, że się przysiędę, archoncie? – zapytał ktoś z boku.

Arystydes podniósł wzrok, osłaniając oczy przed słońcem. Przed nim stał mężczyzna, którego nie znał dobrze, lecz tak czy owak uprzejmym gestem

wskazał mu miejsce.

– Efialtiesie – powiedział tytułem powitania.

Arystydes wiedział tyle, że ten młody człowiek jest choregiem Frynicha i członkiem tegorocznej rady pięciuset, lecz niewiele więcej. Efialties, o okrągłej twarzy i z czarną brodą, osiągnął wiek trzydziestu lat i cieszył się w Atenach coraz większą popularnością. Arystydes zastanawiał się, czy będzie dla niego sprzymierzeńcem czy zagrożeniem. Szkoda mu też było, że Peryklesowi trafił się tak silny konkurent, zanim jeszcze ten naprawdę odnalazł swoją drogę.

– Dziękuję – odparł Efialties. – Cieszę się, że nie należysz do tych, którzy uważają, że miejsca w teatrze powinny być obsadzone tylko według przynależności do fyl. Nigdy nie lubiłem tych sztucznych klanów. Jakie ma znaczenie to, czy należysz do Akamantis czy Leontis? Chodziło tu raczej o widzimi się starego Klejstenesa. Wszyscy jesteśmy Ateńczykami! Tylko to się liczy.

Arystydes spojrział w błyszczące oczy młodego człowieka, który za wszelką cenę starał się zrobić na nim wrażenie. Istotnie, Efialties zachowywał się jak ktoś, kto znalazł się nagle w obecności swego bohatera, a to sprawiło, że Arystydes poczuł się niezręcznie. Z roku na rok było takich typów coraz więcej. A jednak w tym, co powiedział przybyły, było sporo prawdy, kiwnął więc głową.

– Albo coś jeszcze, jak choćby symmachia – dodał Arystydes. – Widziałem na Delos, jak ten wielki sojusz się zaczął. Byłem świadkiem składania przysięgi na żelazne sztaby balastowe okrętów, które potem wrzucono do morza. Jeden język, jeden lud. Było to... a raczej jest chwalebne marzenie. Jesteś młody, Efialtiesie. Może tacy ludzie jak ty czy Kimon zapiszą ten sojusz w kamieniu, a nie tylko w wodzie.

Lekki cień przemknął przez twarz krzepkiego mężczyzny.

– Może – odparł. – Choć Kimon przyjął stanowisko archonta w Areopagu. Doradzałem mu... żeby tego nie robił. Miałem nadzieję, że odmówi. Zawiodłem się na nim.

Arystydes wyprostował się na ławce. Tłumy wciąż napływały, ludzie szukali swoich miejsc. Większość rzeczywiście siadała w sekcjach przeznaczonych dla dziesięciu fyl oraz dwóch dodatkowych dla kobiet i niewolników. Te ostatnie były zatłoczone tak, że między widzów nie dałoby się wcisnąć nawet płaskiego ciastka. Przypomniał sobie zgromadzenie sprzed roku lub dwóch lat, na którym Efialties przemawiał przeciwko radzie archontów. Arystydes zrozumiał, że jest on jednym z tych, którzy traktują tradycję bardziej jak kajdany niż przyjazne objęcia. W każdym pokoleniu zawsze było kilku takich. Przez chwilę zbierał

myśli. Nagle poczuł się stary. Mając już sześćdziesiąt zim za sobą, wiedział, że nie będzie ich już tak wiele. Miltiades odszedł, podobnie Ksantyppos i Temistokles. On sam był jednym z ostatnich przedstawicieli pokolenia, które walczyło pod Maratonem, rzuciwszy wyzwanie wielkiemu imperium, i zwyciężyło. Jego największe bitwy były wspomnieniami, największe wspomnienia bitwami. Może jednak będzie miał dość czasu na debatę z tym młodym człowiekiem, który uśmiechnął się szyderczo, słysząc słowo „archont”.

– Nie poważasz zatem stanowiska archonta? – zapytał. – Twierdzisz, że jesteś Ateńczykiem, a odrzucasz naszą historię i nasze tradycje? To nie jest tak, że w każdym pokoleniu jesteśmy stwarzani na nowo, a cała przeszłość zostaje odrzucona. Ci, którzy byli przed nami, podtrzymują nas! Dźwigają nas w górę, a my dzięki nim wzrastamy coraz wyżej. Myślicie sobie: och, cóż oni wiedzą, ci starcy? Nie są tacy gładcy i silni jak my! Ale oni przelewali krew za Ateny. Nasz obowiązek jest stosunkowo prosty: nie przynieść wstydu ich ofierze.

– Dla rady archontów nie ma miejsca w nowoczesnych Atenach – odparł Efiates.

Był w dostatecznej mierze Ateńczykiem, by dać się sprowokować do kłótni, której przysłuchiwała się połowa siedzącego wokół tłumu, podczas gdy oni pogryzali sezamowe ciasteczka i przerzucali się uszczypliwościami.

– Sam opisałeś częściowo jej rolę, kiedy uhonorowała Kimona – odparował Arystydes. – Kiedy uhonorowała mnie, przyznając mi to miejsce. – Machnął niedbale ręką. – Och, kiedyś miała prawdziwą władzę, ale Klejstenes odebrał jej miecz i tarczę. Wszyscy wiemy, że prawdziwa władza jest teraz w rękach zgromadzenia, tak jak powinna. W końcu to zgromadzenie może przegłosować rozwiązanie Areopagu. Sytuacja odwrotna nie jest możliwa.

– Nie. Ona jest czymś więcej niż tylko cieniem przeszłości – twierdził uparcie Efiates. – Skoro ludzie klękają przed archontami, skoro kalendarzowe lata noszą imiona ludzi spośród ich grona i mówi się: „To jest rok Arystydesa” albo rok Kimona, to archontowie są wynoszeni ponad nas wszystkich!

– Niektórzy ludzie sami siebie wynoszą – odpowiedział Arystydes z cierpkim uśmiechem. – Wówczas sensowne jest uhonorowanie ich za zasługi. Chyba że wydaje ci się, iż Kimon nie zasłużył na zostanie archontem w uznaniu jego zwycięstw i przywiezienia szczątków Tezeusza do domu? Zdobycia Cypru? A może jesteś zdania, że ja również nie zasługuję na swoje stanowisko? –

Odczekał chwilę, lecz Efiates tylko żuł dolną wargę, świadomy obecności otaczających ich słuchaczy. Arystydes skinął głową i ciągnął dalej, zanim jego oponent zdołał sformułować jakąś odpowiedź: – Były takie czasy, Efiatiesie,

kiedy Atenami rządzili tyrani. Archonci byli wówczas ich wojennymi wodzami, ich nobilami. Gdyby tak było również dzisiaj, mógłbym się z tobą zgodzić. Ale jaką władzę mają obecnie archonci w porównaniu z władzą rady dziesięciu fyl albo zgromadzenia? Nie jesteśmy Spartanami, Efialtiesie. Myślę, że nie szkodzi to naszemu sprawowaniu władzy ani naszym wpływom, że mamy taki tytuł, którym możemy honorować naszych najwybitniejszych ludzi. Bo w końcu, po dziesięcioleciach doświadczeń, archonci jedynie doradzają. Prawdziwą władzę ma zgromadzenie wolnych Ateńczyków. Jest tak, jak być powinno.

Pełen uznania szmer przetoczył się wokół niego, czego Arystydes się spodziewał. Od początku kierował swoje wypowiedzi w tym samym stopniu do tłumu jak do Efialtiesa. Siedzącego obok i szydzącego z archontów! Młodzi zawsze byli aroganccy, choć oczywiście bez tej wiary w siebie nigdy nie osiągnęliby swoich zamierzeń. To rozumiałe! Gdyby przedstawiciele każdego pokolenia byli jedynie zachwyceni swymi poprzednikami, to nie musieliby nawet wstawać z łóżka! Taka była kolej rzeczy.

Wokół niego podniosły się owacje. Arystydes uniósł brwi i patrzył na Efialtiesa, pozwalając tłumowi przemawiać w swoim imieniu. Oczywiście, że się z nim zgadzali! To oni byli zgromadzeniem! Czekali również, aż rozpocznie się sztuka, nudzili się trochę, więc z radością włączali się do każdej rozrywki. Szum zmienił się w ryk, ogarniając coraz więcej ławek. Efialties próbował ich przekrzyczeć, ale nie zdołał przekonać.

– A więc zwykli, niewyróżniający się niczym ludzie nie zasiadają wśród archontów, co? A może to tylko przypadek, że Kimon należy do eupatrydów, że jest właścicielem ziemskim, jak jego ojciec i wszyscy inni?

Arystydes mógł tylko przyłożyć zwiniętą dłoń do ucha, udając, że nie słyszy. Pierwszy chór wkraczał właśnie na scenę. Frynich przepłynął między nimi jak okręt wojenny, by zająć miejsce pośrodku pierwszego rzędu. Weszli również sędziowie, zarumienieni z podniecenia, po jednym z wszystkich fyl, którymi podobno tak gardził Efialties. Sztuka miała się zacząć, tłum się powoli uspokajał, lecz Arystydes nie zamierzał tak łatwo zrezygnować z dyskusji. W końcu i on był Ateńczykiem.

– Nie mam ziemi! – krzyknął, przechylając się i przekrzykując hałas. – Oddałem wszystko, co posiadałem. – Dotknął swojej szaty, która była wytarta i stara, podobnie jak on sam czasem czuł się stary. Kątem oka zauważył, że Efialties znów zwraca się ku niemu.

– To dlatego pomyślałem sobie, że potrafisz to zrozumieć – odparł tamten. – Myślałem, że jesteś rozsądnym człowiekiem, który zdoła dostrzec prawdę.

Mówił cicho, ale tłum nareszcie się uspokoił, czekając na takty muzyki zapowiadające pierwszą scenę.

– Jeśli ufasz mojemu rozsądkowi, przyjmij też moje wnioski – powiedział chłodno urażony Arystydes. – Widywałem tyranów, eforów i królów wyniesionych ponad zwykłych ludzi. Nasze zgromadzenie to szlachetne przedsięwzięcie, z radą, która administruje miastem, a wszyscy członkowie wybierani są losowo, wraz z archontami pełniącymi funkcje doradcze. A co się liczy najbardziej? To, że to działa.

– Będzie działało – odparł Efialtes z uśmiechem – kiedy nie będziemy wynosić innych ponad siebie. Kiedy wszyscy ludzie będą równi.

– Ludzie *nie* są równi – odrzekł zbyt głośno Arystydes, odwracając się w zaskoczeniu. Zapadła cisza i sąsiedzi spojrzeli, marszcząc brwi, w stronę rozmówców. – Niektórzy są odważni, inni zaś tchórzliwi! Niektórzy potrafią ocalić całe ludy przed unicestwieniem, podczas gdy inni są zdolni tylko jęczeć, płakać i rwać włosy z głowy. Jak ich rozpoznasz w twoim nowym, wspaniałym mieście?

– To nie jest konieczne – stwierdził Efialtes. Mimo że chciał okazać chłodną pogardę, zarumienił się w porywie niespodzianej emocji. – Jesteśmy dość szlachetni także bez tytułów, wszyscy, bez wyjątku. Przykro mi, że tego nie dostrzegasz. Dni twojej chwały należą do przeszłości. Pochodzisz ze starego świata, to jasne.

Arystydes spojrział na młodego człowieka z gniewem i zdumieniem.

– Zdaje mi się, że twoje miejsce jest zajęte, choregu – powiedział z naciskiem. – Znajdź sobie inne, bliżej mistrza Frynicha, i to prędko. Nie mam ci już nic do powiedzenia.

Efialtes, nie zważając na pełne wyrzutu spojrzenia sąsiadów, zerwał się z ławki i ruszył przejściem w dół, do pierwszego rzędu, gdzie rzeczywiście czekało na niego zarezerwowane miejsce. Arystydes pokręcił głową i spróbował otrząsnąć się z gniewu, który tamten po sobie pozostawił. Słońce zachodziło, za co był wdzięczny. Zaraz miał zacząć się spektakl.

* * *

Bilety na festiwal Dionizosa można było w tym roku wymienić na złoto. Rywalizacja między Frynichem i Ajschylosem była już dobrze znana, ale pożar w teatrze i ogromna praca, jaką wykonano, by go odbudować, przypomniały wszystkim o cudach, jakie będą w nim oglądać. Każdy z nich mógłby tuzin razy odsprzedać swoje miejsce, a na każdym pokazie na widowni było tak ciasno jak

na ławkach wioślarzy, na ulicach zaś panowała zupełna cisza. Wysoko na Akropolu tysiące ludzi zbierały się rano i wieczorem tylko po to, by oglądać przedstawienia. Choć nie słyszeli słów, to widzieli kostiumy i maski. Docierały do nich także najgłośniejsze akordy muzyki i bębnow. Przez dziesięć dni teatr miał być sercem Aten, a w nim szesnaście sztuk napisanych przez czterech głównych współzawodników.

Dla Peryklesa ostatnią przespaną nocą była ta przed pożarem. Od tamtego czasu łapał tylko krótkie chwile na drzemkę, wypijał pucharek wina i przegryzał coś z jedzenia przynieszonego dla chóru. Nie było tego dość, ale pozwalało przetrwać.

Każdy kolejny dzień upływał pod znakiem swego rodzaju kontrolowanego chaosu, co mimo wszystko jakoś się sprawdzało. Z dala od głównej sceny Ajschylos zachowywał się jak dziki kot, miotając się, zaganiając narzekających aktorów jak gęsi do stada i w odpowiednim momencie wypychając ich na scenę. Pierwsze dwie tragedie poszły całkiem dobrze, ale Frynich również zebrał swoją porcję aplauzu. Byli w końcu dwoma liderami, znacznie przewyższającymi pozostałych, słabszych twórców. Ich notowania nie odbiegały zbyt od siebie, choć Ajschylos miał nadzieję, że na tym etapie zdecydowanie obejmie prowadzenie. Pozostali już tylko jego *Persowie* i satyra.

Na scenie aktorzy Frynicha osiągnęli wielki sukces jakimś epizodem z *Narcyza*, w którym na głównego bohatera rzucono błękitne wstążki. Perykles pomyślał, że to dość prymitywny zabieg, lecz widownia najwyraźniej była zachwycona, co potwierdziły wiwaty, które wybuchły chwilę potem.

Perykles wyglądał przez szparę pomiędzy lnianymi parawanami, które zastąpiły spalone paraskeniony. To, co widział, go denerwowało. Sędziowie siedzieli tak blisko, że mógł obserwować wyraz ich twarzy. Dwaj ocierali oczy. Pozostali kiwali głowami i się uśmiechali. Poczul ucisk w żołądku. Frynich wygrywał festiwal już cztery razy, przypomniał sobie Perykles. Prześladowała go obawa, że naiwnością było wyobrazić sobie, iż tym razem uda im się go pokonać, wierzył jednak zarazem, że w tym roku Ajschylosowi sprzyją bogowie. Myśl, że mogli tyle wycierpieć, wydać tyle pieniędzy i *mimo to* przegrać, sprawiała, że Peryklesa oblewał zimny pot. Co powiedziałby jego ojciec na to zubożenie rodziny dla zwykłych sztuk teatralnych? Sądził niestety, że dobrze zna odpowiedź. Ksantyppos by powiedział, że mógłby za te pieniądze ufundować okręt wojenny i że dobra triera dbałaby o bezpieczeństwo na morzu dla wszystkich Hellenów.

Uświadomił sobie jednak, że niczego nie żałuje. Cokolwiek powiedziała by ojciec, Perykles widział w tych sztukach i w tym zespole coś wielkiego, co napędzało go w życiu. Zastanawiał się, czy czułby to samo, gdyby Frynich wygrał, został wyniesiony na piedestał jako zwycięzca, a potem był witany owacjami i wychwalany przez całe miasto.

– Gdzie jest Dariusz? – zawołał Ajschylos z przykrytego płótnem pawilonu. – Nie, nikt teraz nie wyjdzie i nie obchodzi mnie, czego zapomniałeś! Będzie tylko krótka przerwa na uporządkowanie sceny, a potem wchodzimy. No cóż, w takim razie będziesz się musiał obyć bez tego. Znajdźcie mi Dariusza!

Perykles także czuł zdenerwowanie. Pomyślał z cierpkim uśmiechem, że nie był tak nerwowy od czasu, gdy atakowali Persów na Cyprze. Niewykluczone nawet, że stawka była wtedy niższa. Zawsze czuł, że mógłby poświęcić życie, gdyby musiał, gdyby chwila tego wymagała. Teraz, kiedy miał syna, a na szali ważył się los jego rodzinnej fortuny, wyglądało to inaczej.

Zgromadzenie przegłosowało fundusze na wzniesienie prowizorycznego teatru, choć wyznaczyło zarazem ludzi z rady, którzy mieli kontrolować każdą wydaną monetę. Lecz i tak nie doszłoby do otwarcia festiwalu, gdyby nie setki ochotników. Na nowe maski i kostiumy Perykles zaciągnął kosztowną pożyczkę, marnując cały ranek na wędrówkę od lichwiarza do lichwiarza. Było tak, jakby wraz z zapachem sadzy na jego skórze wyczuwali też jego desperację. Cały czas naradzali się między sobą co do wysokości żądanych odsetek.

Pokręcił głową. Wyjdzie z tego. Jego garncarze byli zmuszeni odłożyć na chwilę swoją robotę, ale ich piece i tak będą pracowały, a to oznacza przyływ srebra. Spłaci długi w terminie, zanim okażą się zbytnim obciążeniem i przygniotą go jak ogromna ropucha. Zmówił modlitwę do Hermesa, boga kupców i ludzi interesu.

Grupa Frynicha powróciła ze sceny z jasnymi oczyma, pokrzepiona aprobatą tłumów. Promienieli, patrząc na swoich konkurentów czekających nerwowo w mroku, żartowali i zasypywali ich uszczypliwościami. Ajschylos warknął na jednego z mężczyzn, który zbyt wolno przechodził, i popędził go. Tymczasem widzowie stawali między ławkami, aby rozprostować nogi. Ludzie chcieli pogwarzyć o tym, co widzieli, oraz pójść do glinianych koryt, w których zbierano urynę dla farbiarzy i garbarzy. Dni festiwalu były długie i połowa tłumu ruszała w przerwie do gimnazjonu, aby wykąpać się w basenie, albo do rzeki, szukając ochłody. Wracali czysti i odświeżeni. Wieczorem tawerny wypełniały się światłem i życiem, gdy przychodzili na wieczorny posiłek, a potem szli spać. Całe miasto celebrowało święto Dionizosa, wznosząc do niego puchary

z czerwonym winem, które oznaczało krew i nowe życie. Perykles uśmiechał się na tę myśl. Sam robił to dość często w ostatnich miesiącach. Jednakże odmawiano niewiele rzeczywistych modlitw, a w każdym razie nie do boga wina. Same sztuki były modlitwami, aktami religijnego kultu, a festiwal był rzeczą świętą.

Wydawało się, że upłynął wiek, zanim tłum rozsiadł się ponownie w ławkach, gotów obejrzeć ostatnią sztukę przewidzianą na ten wieczór. Ajschylos i inni dramatopisarze ciągnęli na początku losy, które decydowały o kolejności wystawiania sztuk. Szczęśliwym trafem Ajschylos znalazł się na końcu. Satyry, ze wszystkimi egzotycznymi kostiumami, miano pokazywać dopiero ostatniego dnia. Znaczyło to, że jego chór będzie ostatni tego wieczoru i będzie miał szansę przyciągnąć szczególną uwagę sędziów oraz wszystkich Ateńczyków, zarówno biednych, jak i bogatych. Tłumy zebrane na Akropolu miały oglądać ją z daleka, rozświetloną złościście pochodniami.

Kiedy wszystko było gotowe, zrobiło się już ciemno. Ajschylos miał przemówić do swojej małej trupy, a Perykles jako choreg stanął obok niego. Uświadomił sobie, że zna już ich wszystkich. Aktorzy przecierpieli długie miesiące prób i powtórzeń, pożar oraz liczne zakrapiane wieczory, o które musiał zadbać. Anaksagoras i Zenon zajęli miejsca w chórze. Perykles znalazł wielu przyjaciół tam, gdzie wcześniej miał tylko sprzymierzeńców. Uśmiechali się, widział to wyraźnie. Byli gotowi.

– Oto doszliśmy do tego miejsca – powiedział Ajschylos. Chórzyści mieli już na sobie maski odsunięte nad czoła i póki co, wyglądali w miarę normalnie. – Frynich trochę nas wyprzedza, o ile wiem. Pokazał już jednak wszystko, na co było go stać, my zaś mamy jeszcze ostatnią szansę. Jutrzejsze satyry już niczego nie zmienią. Ten moment jest szczytowy, to chwila, na którą długo pracowaliśmy. Znacie swoje kwestie. Jeśli dobrze pójdzie, będziecie powtarzać je dzieciom i wnukom. A więc... na miejsca. Chór gotowy? Niechaj Dionizos błogosławi was wszystkich.

Poszedł zająć miejsce na ławce, a Perykles razem z nim. Czuli na sobie oczy wszystkich Ateńczyków. Epikleos miał zostać, aby pilnować kolejności wejść na proskenion i zejść z niego oraz przeciwdziałać ewentualnym nieszczęśliwym zdarzeniom. Autor wraz z choregiem zasiadali jako widzowie, tuż obok sędziów. Perykles zastanawiał się, czy będzie potrafił cieszyć się spektaklem, czy też perspektywa ruiny finansowej zepsuje mu wszystko.

Tłum ich ujrzał i zapadła cisza. Słyszał tylko skwierczenie pochodni, których światło rozlewało się po scenie. W tę przestrzeń wszedł chór w białych

maskach i czarnych szatach niczym kruki. Przesuwał się po scenie jak jedna istota, aż Perykles poczuł przebiegające po skórze ciarki. Ajschylos ćwiczył ich dzień w dzień, aż nauczyli się poruszać w doskonałej harmonii. Efekt był niesamowity. Płynęli jak ruchoma plama nocy.

Muzycy rozpoczęli scenę tonacją w perskim stylu, co zabrzmiało dziwnie w tym miejscu. Ludzie westchnęli i uśmiechnęli się, zrozumiawszy, że widzą to naprawdę. Widzieli na scenie dwór perski z królem Kserksesem, który stał na nabrzeżu w Pireusie, który spalił ich miasto, nie raz, lecz dwa razy. Pochylili się w ławkach, przyciskając dłonie do ust.

Chór przemówił jednym głosem, mocniej wymawiając słowa, aby słyhać je było wyraźnie w szerokiej, otwartej przestrzeni teatru.

Otóż my Persów, co naszli Helladę... ¹

Tym jednym wersem Ajschylos porwał ludzi. Persowie szli, ale nie do domu! Nie, to był powrót, powrót do czasów najazdu. Ruszyli, by napaść Ateny, Termopile, Salaminę i Plateje. Perykles pochylił się, opierając podbródek na złożonych dłoniach.

1. Cytat z *Persów* w przekładzie Józefa Szujskiego z 1879 roku. ↩

Perykles odwinął liść winorośli, odkrywając placuszek z ikry smażonej w okruszynach chleba. Wycisnął na niego połówkę cytryny, krzywiąc się w oczekiwaniu kwaśnego smaku. Z brzegu Salaminy widział po drugiej stronie cieśniny Pireus. Wielki port Aten był ruchliwy jak nigdy, z dziesiątkami statków przy nabrzeżach. Przynajmniej drugie tyle albo i więcej stało na kotwicy, śląc do portu łodzie z prośbą o zgodę na postój i rozładunek, aby przywiezione produkty dotarły na czas do nabywców i nie zepsuły się w ładowniach. W porównaniu z tym ruchem Salamina była spokojna, choć bardzo się zmieniła od czasu perskiej inwazji. Po jej północnej stronie wyrosła nowa osada z rolnikami skuszonymi tanią ziemią i rybakami szukającymi spokojnych wód po drugiej stronie wyspy. Wraz z rodzinami stworzyli oni liczną społeczność i niekiedy trudno było sobie wyobrazić czasy grozy, kiedy Perykles siedział na tych wydmach z matką, siostrą i bratem, patrząc na Persów mordujących ich ziomków.

Dotknął dłonią serca i ust. Salamina była miejscem wspomnień. Wcześniej Perykles odwiedził mały grób przy brzegu z napisem „Konis”. Był tam pochowany pies jego ojca. Utonął, próbując płynąć za okrętem swego pana podczas ewakuacji. Ksantyppos zapłacił za jego kamień nagrobny. Jak na człowieka nieulegającego sentymentom był to zadziwiający gest. Gdy tylko Perykles odwiedzał Salaminę, zawsze schodził nad brzeg i poklepywał ten kamień.

– Wyśmienite. Powinnaś spróbować – powiedział do żony.

Tetyda skinęła głową i wzięła z jego ręki liść z placuszkiem. Perykles próbował nie okazywać narastającej w nim irytacji. Gdzie podziała się kobieta, którą poślubił? Przez jakiś czas myślał, że Tetyda przedwcześnie wpędzi jego matkę do grobu. Kobiety zawarły jednak coś w rodzaju zawieszenia broni, lecz nie wydawało się to pokojowym rozwiązaniem.

– Bardzo dobre – odparła.

Oddała mu liść, a on rzucił go na wiatr. Naprawdę myślała, że zależy mu na liściu? Ofiarował jej na spróbowanie odrobinę smaku, ale ona zjadła wszystko.

W domu nie można było zostawić na wierzchu żadnych słodyczy, żeby nie zeszła i nie zjadła ich w nocy. Zacisnął zęby i nic nie powiedział, ale ona i tak wyczuła jego krytykę. On zaś widział to po sposobie, w jaki na niego patrzyła, po drobnych ruchach, które mówiły raczej o złości i frustracji niż odprężeniu.

W koszu stojącym na ziemi obudził się nagle ich syn i zaczął płakać, domagając się karmienia. Perykles się nie ruszył, w końcu to nie jego chłopiec pragnął.

– Nie mógłbyś przynajmniej wziąć go na ręce? – rzuciła Tetyda z rozdrażnieniem. – Kończę jeść obiad.

– Tak – powiedział.

– To znaczy? – zapytała.

– To znaczy „tak”, Tetydo. Cóż innego mogłoby znaczyć?

– Ton. Chodzi o ton, dobrze wiesz.

– W jednym słowie? Jesteś przeczulona. – Powiedziawszy to, sięgnął do kosza i wyjął chłopca. Malec machał piąstkami i siniał ze złości. Perykles patrzył na niego, trzymając go jak tobołek. – Jesteś gotowa? Nie bardzo mogę go nakarmić. Oczywiście, gdybyś nie odesłała niewolnicy...

– Doskonale. Daj mi go – warknęła.

Podał jej dziecko i wstał, otrzepując piasek z gołych nóg.

– Widzę, że moja matka z Epikleosem wracają z miasta – powiedział.

– Dlaczego do nich nie pójdziesz? – rzuciła Tetyda. – Przyciskała dziecko do piersi, lecz mimo to wyglądała na mocno zagniewaną.

– Powinnaś spróbować się uspokoić. – Westchnął. – Mleko ci skwaśnieje.

Spojrzała na niego gniewnym wzrokiem, unieruchomiona przez ssącego malucha.

– Po prostu idź, dobrze?

– Zawsze jesteś taka wściekła, Tetydo. Powiedziałaś, że chcesz trochę wyjść z domu. No więc przyszliśmy tutaj! Nie możesz po prostu cieszyć się dniem? Słońce świeci, jest piękna pogoda. Mamy dobre jedzenie.

– Myślałam, że pobędziemy trochę sami, Peryklesie – odparła. – Chciałam chwilę porozmawiać z tobą, tylko we dwoje. Nie sądziłam, że zaprosisz Epikleosa i swoją matkę! A także Maniasa, żeby mnie pilnował.

– Mama była ostatnio trochę przygnębiona, jak dobrze wiesz. Manias był na pokładzie okrętu walczącego pod Salaminą. Nigdy nie widział samej wyspy! I nie bardzo mogłem zostawić Epikleosa, gdy wszyscy wyruszyliśmy nad morze na cały dzień.

– Mogłeś – mruknęła Tetyda. – Kiedy zaznam chwili bez *nich*? Ty masz swoje sprawy w mieście, przyjaciół, a ja co? Dokąd pójde? Ten dom jest jak więzienie i wciąż mają mnie na oku.

Perykles zmarszczył brwi, gdy podniosła głos niemal do krzyku. Furia u mężczyzny potrafi być straszna jak letnia burza. Wściekłość kobiety zawsze wydawała mu się komiczna i trochę godna pożałowania. Nauczył się z tego nie śmiać, przemówił tylko z dezaprobatą, czekając, aż się uspokoi.

– No cóż, Tetydo, wiesz równie dobrze jak ja, że dziecko wymaga opieki. Kupiłem ci mamkę, ale się uparłaś, że chcesz sama karmić małego! Nawet teraz mogłabyś przekazać dziecko mamce i pokarm by u ciebie zaniknął.

– Twoja matka tak mówi, co?

– Tak. Biorąc pod uwagę, że wychowała troje dzieci, powiedziałbym, że zgłębiła temat gruntownie. Nie krytykuj mojej matki, Tetydo. Wycierpiała więcej, niż ci się wydaje.

– Zupełnie inaczej niż ja, która miałam lekkie życie? Porwana w dzieciństwie, zgwałcona i przymuszona do odgrywania roli żony jednego z porywaczy. Zmuszona do ucieczki od niego? Porzucona w ateńskim porcie, a potem poślubiona z litości? Niech cię лихо, Peryklesie, z całą twoją dobrocią. – Zaczęła szlochać, Perykles zaś wpatrywał się w nią zupełnie bezradny.

Nic, co by zrobił, nie mogło jej zadowolić. Starał się nie brać sobie do serca tego, co mówiła, ale zraniło go to i bolało jeszcze przez wiele dni.

– Obetrzyj oczy – rzucił szorstko. – Pójde i porozmawiam z matką i Epikleosem.

Odszedł parę kroków i zatrzymał się, doznawszy nagłego przypływu poczucia winy. Nieważne, jak bardzo się złościł w jej obecności, zawsze gdy odchodził, jego lepsza strona brała górę. To było wyczerpujące.

Wrócił i stanął przy niej niepewnie, patrząc, jak karmi dziecko.

– Naprawdę powinien już jeść ugniatane jarzyny. Kiedy mleko przestanie napływać, będziesz znacznie szczęśliwsza.

– Po prostu *idź* – prychnęła.

Perykles oddalił się drugi raz. Zobaczył Epikleosa na wydmie. Starszy mężczyzna osłonił oczy i patrzył na cieśninę. Perykles podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, mrużąc oczy w jaskrawym świetle.

– Co tam widzisz? – zapytał, podszedłszy bliżej.

Epikleos skinął mu głową, zerkając zarazem na widoczną w oddali za jego plecami sylwetkę Tetydy. W jego oczach pojawił się smutek, lecz Perykles tego nie widział, wpatrzony w wody cieśniny.

– Triera... wchodzi do portu. O, tam. To jedna z naszych. To znaczy Kimona.
Perykles poczuł szybsze bicie serca.

Tej wiosny triery sojuszu widywano rzadko, choć do wszystkich docierały wieści o flocie, prawdziwe oraz wysane z palca opowieści i zwykłe plotki. Kimon wykorzystywał siłę, którą mu powierzono, bardzo skutecznie, nawet bez okrętów Sparty i Koryntu. Rezultatem był kwitnący handel na morzu wolnym od Persów i piratów po raz pierwszy od wielu pokoleń.

Perykles wrócił myślami do swoich modlitw, które przed festiwalem kierował do Hermesa. Zdobyć pierwszą nagrodę na festiwalu było z pewnością darem Dionizosa, ale prawdą było też i to, że ich majątki powiększyły się znacznie, gdy sędziowie ogłosili Ajschylosa zwycięzcą. Wciąż pamiętał uczucie przerażenia, gdy doszedł do wniosku, że wszystko poszło źle. Ostatni wyrecytowany wers był słabo słyszalny. Aktor grający Kserksesa zniknął z proskenionu, a światła gasły jedno po drugim. Tłum siedział w ciemności i zupełnej ciszy tak długo, że Perykles poczuł się wręcz chory. A jednak był to tylko rodzaj transu. Potem zaczęli wiwatować, tupać, chwytając się za ręce i krzyczeć tak głośno, jak tylko się dało. Perykles wiedział, że to wspomnienie na zawsze pozostanie w jego pamięci.

Trzej starsi sędziowie przyznali palmę pierwszeństwa Frynichowi, ale reszta zagłosowała na Ajschylosa. Hermes okazał się dobrym posłańcem, który przyniósł im dobre wieści i bogactwo.

Widok samotnej triery dręczył zarówno Peryklesa, jak i Epikleosa. Matka wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, wiedząc, do czego to zmierza. Agarysty nie cieszyła perspektywa spędzenia popołudnia w towarzystwie Tetydy. Pomyślała, że jeśli synowa znowu zacznie jej opowiadać o swoich krwawiących sutkach, to niechybnie ją udusi. Chłopiec już od dawna powinien jeść gotowane ugniatane jarzyny! To nie była jej wina, że Tetyda w porywie złości odesłała mamkę, gdy bolały ją nabrzmiące od mleka piersi! Agarysta nic wtedy nie powiedziała, ale ciężko jej było znosić miesiące narzekania synowej po tej decyzji.

– Dlaczego nie weźmiesz łodzi i nie popłyniesz do portu zapytać, po co przybyli? – zapytała syna.

Spojrzał na nią błędnym od domysłów wzrokiem, rozdarty między obowiązkiem a ciekawością.

– Jesteś pewna?

Agarysta dramatycznie westchnęła.

– Taki rozkojarzony nie przydasz mi się na wiele. Weź Epikleosa i popłyn na drugą stronę, a potem do nas wróc. Manias jest gdzieś niedaleko, szuka dzikich fig. Jest prawie głuchy, ale na pewno nie grozi nam tu niebezpieczeństwo.

Epikleos trącił go w ramię i Perykles się uśmiechnął. Obejrzał się na Tetydę, która wciąż karmiła syna.

– Powiem jej – oznajmiła Agarysta. – Daj jej spokój chociaż na chwilę. Kto wie, może właśnie to poprawi jej nastrój?

Perykles zawahał się, ruszył, po czym zawrócił.

– Poradzisz sobie, prawda, mamó? Ona ma mnie już dosyć.

– Nie zrobię nic, żeby sprawić przykrość twojej drogiej pani.

Agarysta powiedziała to obojętnym tonem, ale Perykles nadal marszczył brwi. Nie pomagało też to, że jego matka wciąż miała w sobie pewien urok i w porównaniu z jego żoną niemal chłopięcą sylwetkę. Tetyda odbierała tę różnicę jako nieustanny przytyk. Westchnął.

– Dziękuję. Chodźmy, Epikleosie.

Poszli razem nad brzeg, gdzie przycumowali małą łódkę. Odwiązali ją i postawili żagiel z wprawą doświadczonych żeglarzy. Epikleos zepchnął łódź z płycizny i wskoczył zgrabnie do środka, manewrując sterem tak, by wiatr wypełnił zwisający żagiel.

Podczas gdy Perykles z Epikleosem negocjowali miejsce przy pomoście w Pireusie, okręt wojenny również zacumował w porcie i opuścił trap. Jako symbol ateńskiej potęgi był wielki w porównaniu z innymi i Perykles uśmiechnął się na ten widok. Co ważne, budowano jeszcze trzy triery, co stanowiło tegoroczny ateński wkład do floty sojuszu. Perykles wszedł na żelazne rusztowanie w sąsiedztwie okrętu, który był niemal ukończony, i zszedł z niego w miejscu, gdzie zauważył na nabrzeżu trierarchę odprawiającego hoplitów.

Był to świat, który dobrze poznał przed powrotem do rodzinnej posiadłości. Zobaczywszy go znowu, poczuł wzruszenie niemal graniczące z bólem. Każdy okręt stanowił odrębny obszar, w którym wszyscy poznawali mocne i słabe strony swoich towarzyszy. Na pokładzie nie było gdzie się ukryć, ale dla tych, którzy kochali takie życie, nie było lepszego miejsca.

Kiedy podeszli do kapitana, ten przeglądał rejestr ładunku i przygotowywał listę zaopatrzenia. Czekala na niego grupa niecierpliwych handlarzy, spojrzali więc z dezaprobatą na nowo przybyłych. Perykles i Epikleos mieli skórę ogorzałą od słońca po całym dniu spędzonym na wyspie, zmierzwił włosy i chitony z plamami morskiej soli. Może wziął nas za robotników portowych,

pomyślał Perykles. Wyminął tłoczących się na nabrzeżu kupców i ich pomocników.

– Witaj, trierarcho! – zawołał. – Jakież wieści od nauarchy Kimona?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że może cię to obchodzić – rzucił mężczyzna, nie podnosząc wzroku.

– Rozumiem – odparł bez urazy Perykles. – Choć Kimon zwykle odnajduje mnie, kiedy przypływa. Mógłbyś go powiadomić, że kości Tezeusza znalazły miejsce spoczynku na Akropolu, w pięknym grobowcu z posągami.

Kapitan zagryzł wargę, najwyraźniej zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

– Och, wybacz mi, kyriosie. Byłem roztargniony. Trierarcha Filander z *Horkosa*. Mógłbym poznać twoje imię?

– Perykles z fyli Akamantis i demu Cholargos, syn Ksantypposa, choreg Ajschylosa – przedstawił się z uśmiechem.

Ku jego zdziwieniu kapitan się roześmiał.

– Właśnie ciebie kazano mi znaleźć. Muszę odwołać gońców, których posłałem, aby cię odszukali. – Odwrócił się i po prostu przywołał kolejnych ludzi, którzy ruszyli biegiem drogą wiodącą do Aten.

– Jakież wieści przywozisz? – zapytał Perykles.

Kapitan wydawał się zadowolony, że zdjęto mu z barków jedno zadanie. Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Żadnych wieści, kyriosie. Tylko trzy słowa. Nauarcha Kimon kazał przekazać ci te słowa: „Przyjedź i zobacz”.

– To wszystko? – Perykles otworzył szeroko oczy. – Nic więcej?

– Nic więcej mi nie powiedział, kyriosie. „Przyjedź i zobacz”, tylko tyle.

Perykles pomyślał o żonie i matce wciąż czekających na wyspie. Tego wieczoru miało się odbyć zebranie na Pnyksie, na którym zgromadzenie miało debatować i głosować nad sytuacją kolonii w rodzaju Neapolis, na południe od Rzymu. To miasteczko kwitło, ale inne, w Tracji, podobno nie radziło sobie tak dobrze. Dziesięć tysięcy ochotników wyposażono w narzędzia i nasiona, aby zaczęli tam nowe życie dzięki swojej pracy. Perykles słyszał, że są nieustannie atakowani. Miał zamiar zabrać głos w tej sprawie, głosując za wysłaniem tam na kilka lat kontyngentu hoplitów, aż sytuacja się uspokoi. Takie rzeczy kosztują sporo pieniędzy i czasu, ale miał nadzieję poprowadzić na ten temat debatę...

Podrapał się po głowie. Czuł zapach morza. Pływał tego ranka przy brzegu wyspy. Sól zaschła mu na skórze i z każdym ruchem czuł ją na sobie jak wspomnienie szczęśliwszych czasów. Lecz Tetyda będzie wyczekiwała jego

powrotu, a matka z pewnością będzie chciała, by wkroczył między nie, aby ich uszczypliwe komentarze nie przerodziły się w otwartą wojnę.

Trierarcha czekał na odpowiedź. Perykles skinął głową i zwrócił się do przyjaciela:

– Epikleosie? Jeśli wezmę łódź na wyspę, to czy znajdziesz w porcie Anaksagorasa i Zenona? Chciałbym, aby udali się tam ze mną.

– A ja? – zapytał urażony Epikleos.

– Nie miałem pewności – odparł uprzejmie Perykles. – Nie jesteś już taki młody i...

– Nie popłyniesz beze mnie – rzucił mężczyzna przez ramię, ruszając biegiem.

Perykles patrzył w ślad za nim. Podejrzewał, że matka i Tetyda będą wściekłe. Gdyby powiedział im o tym przed wypłynięciem do Pireusu, byłaby to bardzo nieprzyjemna wycieczka. A jednak, mimo wszystko, ta perspektywa nie psuła mu rosnącej radości na myśl, że znów wypłynie w morze.

– „Przyjedź i zobacz”... – mruknął do siebie. I uśmiechnął się szeroko.

* * *

Kiedy Agarysta usiadła przy Tetydzie, zobaczyła, że młodej matce, która kołysała dziecko, łzy płyną po twarzy. Tetyda była milcząca, lecz jej przygnębienie poruszyło starszą kobietę, którą często doprowadzała do szału swoją złością i żądaniami.

– Co się dzieje, kochanie? – zapytała.

Tetyda pokręciła głową, lecz bacznie rozglądała się wokoło.

– Och, Perykles popłynął z Epikleosem sprawdzić jakiś okręt – wyjaśniła Agarysta. – Wrócą albo i nie, a my będziemy musiały wrócić do Pireusu łodzią rybacką. Mój syn kieruje się często dzikim entuzjazmem. Obawiam się jednak, że nie zawsze dobrze to przemyśli... – Uprzytomniła sobie, że Tetyda może uznać, że nawiązuje też do jego małżeństwa, więc zamilkła. Widziała nieopodal Maniasa, który kuchennym nożem ścinał fioletowe figi. – Mam wziąć dziecko na chwilę? – zapytała uprzejmie.

Tetyda potaknęła i podała jej synka. Agarysta posadziła sobie chłopczyka na kolanach, a on beknął głośno i zasnął w słońcu.

– No tak... widziałam, jak kłócisz się z Peryklosem – powiedziała. – On jest bardzo młody, Tetydo. To mężczyzna i mąż, ale... Z jego ojcem było inaczej. Ksantyppos był już dojrzałym mężczyzną, kiedy się ze mną ożenił, strategiem

mającym ponad trzydzieści lat, archontem. Perykles z czasem też to osiągnie, ale w jakimś sensie jest jeszcze młodzieńcem.

– Nie chodzi o jego młodość! – rzuciła ostro Tetyda. – Próbuję z nim rozmawiać, ale on nie słucha.

– No cóż, nie jest w tym odosobniony. Manias nie jest wyjątkiem, kochanie. Wszyscy mężczyźni stają się głusi, gdy żony do nich mówią, przynajmniej czasami.

Tetyda uśmiechnęła się i otarła łzy, aż zaczerwieniła się jej skóra pod oczyma.

– Myślałam... – zająknęła się, jakby chciała coś przełknąć. – Matka mówiła mi, że jeśli kobieta karmi piersią, to... nie zajdzie w ciążę.

Uśmiech Agarysty zbladł i siedziała w milczeniu, zatopiona we własnych wspomnieniach.

– Może być to trochę trudniejsze – przyznała cicho – ale jeśli... obcujesz z mężczyzną, to nie jest żadne zabezpieczenie.

– W ostatnim miesiącu było jakieś drobne krwawienie, ale teraz już nie. Więc karmię go, aż krwawią mi sutki, bo myślę, że to pomoże. Ale teraz myślę, że jestem w ciąży! – Twarz jej się wydłużyła, gdy to powiedziała.

Agarysta przygarnęła ją do siebie, trzymając dziecko między nimi w ciepłym uścisku, aż zaczęło płakać w pomieszeniu i przestraszu.

– Jeżeli rzeczywiście jesteś brzemienna, to dobra wiadomość! – stwierdziła. –

Naprawdę. Perykles będzie zachwycony. Wiem, że bardzo chciałby braciszka dla małego Ksantypposa, tak jak on sam miał brata. Albo córeczkę, jak jego siostra Eleni.

– Nie mogę znów tego zrobić – zaszlochała Tetyda.

Agarysta poklepała dziecko jedną ręką, a drugą pogłaskała kobietę po plecach. Równocześnie wzniosła oczy ku niebu i ku wszystkim bogom, którzy mogli je akurat obserwować.

– Oczywiście, że możesz – powiedziała ponuro. Z pewnością nie zamierzała dzielić się wiedzą o pewnych ziołach z matką swoich wnucząt. – A więc czy byłaś... z moim synem od czasu urodzenia dziecka? Pytam, bo niektóre młode kobiety zdają się tego nie rozumieć.

– Nie jestem aż taka młoda – odparła Tetyda, kręcąc głową. – Kilka razy, owszem. Kłócimy się i czasem upływają całe dni, kiedy jest wobec mnie oziębły, jakbym w ogóle go nie obchodziła. Dzielenie łoża jest jedyną rzeczą, która... Myślę, że żałuje, iż się ze mną ożenił. – Znów zaczęła popłakiwać i Agarysta przemówiła, żeby to przerwać.

– Nie, jestem pewna, że to nieprawda. Posłuchaj. Nawet nie wiesz na pewno. Mogłaś nie krwawić, ale wiesz, karmienie dziecka czasem powstrzymuje nieco krwawienie. Wszystko może się dziać w twoim umyśle. A jeśli nie, to przyjdzie na świat braciszek albo siostrzyczka Ksantypposa! To też jest szczęśliwe rozwiązanie! Otrzyj więc oczy, moja droga. Podnieś głowę i podmaluj usta i policzki na powrót Peryklesa, niech nabiorą więcej koloru. Jesteś zbyt blada. Pomyśli, że zachorowałaś.

– Nie podobam mu się już – powiedziała Tetyda. – Kolejne dziecko zrujnuje mnie kompletnie.

Agarysta pokręciła głową. Perykles potrzebował przynajmniej kilku synów i spadkobierców. Wyglądało na to, że wciąż spełnia swoje małżeńskie obowiązki, i tylko to się liczyło. Jej serce skłaniało się ku Tetydzie, bo przypominała młodą żonę, jaką sama kiedyś była. Przetrwiała jakoś te wszystkie lata. Przeżyła także męża. Nie była to pociecha, jaką mogła zaoferować synowej, ale było to jakieś kobiece pocieszenie. W końcu nawet ukochani tyrani trafiają kiedyś do grobu, a ich kobiety zyskują wolność.

Bywały chwile w ciągu ostatnich dni, kiedy jego decyzja o rzuceniu wszystkiego i powrocie na morze była poddawana wielu srogim próbom. Perykles musiał odbyć rozdzierającą serce rozmowę z żoną, która przerodziła się w pełną krzyków kłótnię, gdy Tetyda oskarżyła go, że uczynił ją ciężarną, po czym znowu wyrusza w morze. Matka również potraktowała te wieści jako rodzaj zdrady. W przypływie desperacji Perykles na czas nieobecności zaoferował żonie swój dom w mieście. Agarysta zacisnęła wówczas usta z gniewu, po czym powiedziała, że dopóki żyje, nie odda Tetydzie rodzinnego domu. Zostawił więc sprawę otwartą.

Kiedy kapitan łądował zaopatrzenie, Perykles mógł przynajmniej wziąć udział w końcowej debacie na Pnyksie. Jego wniosek, by argumentować za założeniem stałego obozu hoplitów na trackim wybrzeżu, był tym bardziej uzasadniony, że mógł osobiście tam zawieźć i decyzję, i fundusze. Zgromadzenie przeprowadziło w tym celu szybkie głosowanie, choć zauważył też, że wyliczyli tę kwotę co do jednej srebrnej drachmy.

Mimo tempa, w jakim powziął postanowienie, znalazł też czas na uporządkowanie swoich spraw i wyznaczenie zaufanych ludzi do działania w jego imieniu. Płatność kolejnej półrocznej raty długu przypadała za cztery miesiące. Jeśli los zatrzyma go dłużej w morzu, jego matce i żonie trudno będzie poradzić sobie z tym bez niego. Bardzo się tym przejmował, ale cokolwiek Kimon rozumiał przez „przyjedź i zobacz”, z pewnością nie zajmie to dużo więcej czasu.

To, że na okręcie wojennym było tak mało miejsca na osobiste rzeczy, stanowiło zarówno zaletę, jak i kłopot. Poza wyposażeniem hoplity, które odziedziczył po swoim ojcu i bracie, wliczając w to tarczę z namalowanym lwem, Perykles mógł zabrać jedynie zapasowe peleryny i sandały, brzytwę i kawałki pumeksu, kopis oraz sakiewkę srebrnych monet. Kapitan zgodził się dopisać go do załogi jako płatnego hoplitę, a nie pasażera, co było korzystne. Oczywiście podporządkowywało go to władzy kapitana, a to już było delikatną

kwestią. Epikleosa także dodano do załogi, lecz Anaksagoras i Zenon nie byli wyszkolonymi hoplitami, musieli więc sami opłacić podróż.

Odbili od nabrzeża w Pireusie bez wielkich fanfar, choć Agarysta i Tetyda uparły się przyjść do portu, by popatrzeć, jak odpływa. Stały na brzegu razem z Maniasem i młodym stajennym z posiadłości. Perykles podniósł rękę i pomachał im na pożegnanie.

Okręt zawracał powoli, poruszając wiosłami tylko z jednej strony, by obrócić swoją wielką masę. Perykles nie chciał się zastanawiać nad uczuciem ulgi, którego doświadczał w tym momencie. Wciąż się martwił, że popełnił błąd, ale nie było wątpliwości: jakaś jego część drżała z podniecenia, słysząc znowu chlupot wiosła.

Kapitan przemykał chyłkiem po pokładzie, przyglądając się pracy swoich ludzi kierujących okręt na głębokie wody.

– Hm... Mam nadzieję, że nie uraziłem cię swoimi manierami przy naszym pierwszym spotkaniu, kyriosie – powiedział.

Perykles potrząsnął głową. Wciąż patrzył w stronę nabrzeża na matkę i żonę, rozmyślając, czy powinien tak stać, dopóki nie straci ich z oczu, czy też może odwrócić się wcześniej. Kiedy już się zdecydował, kapitan pochylił się ku niemu i mruknął mu do ucha:

– Zająłem się też tą drugą sprawą. Nie musisz się o nic martwić.

Perykles niemal puścił to mimo uszu. Zenon i Anaksagoras byli na pokładzie, zachwyceni podróżą na ateńskiej trierze. Epikleos przechadzał się w zbroi hoplity; wyglądał poważnie ze swymi srebrnymi włosami. Dla Peryklesa była to chwila czystego nieba i radości. Miał dołączyć do floty i znaleźć się z dala od swoich powszednich obowiązków.

– Jaką drugą sprawą? – zapytał wreszcie.

– Mam nadzieję, że to nie była wielka tajemnica, kyriosie? – ciągnął kapitan. – Chodzi o tego, którego miałem zabrać na pokład. O przysługę, którą miałem ci wyświadczyć. – Dostrzegł na twarzy Peryklesa jedynie zakłopotanie. – Dobrze zrobiłem? Dał mi do zrozumienia, że chciałeś go mieć na pokładzie, ale w sekrecie. Mam nadzieję...

Perykles zrozumiał nagle wszystko z niezbitą pewnością. Przeciął pokład, kierując się do schodków na rufie. Zeskoczył do ładowni, gdzie wiosłarze już pracowali, przechylając się rytmicznie w przód i w tył. Spojrzeli na niego ciekawo, kto wkroczył do ich królestwa. Przyglądał im się kolejno.

Kapitan zbiegł za nim, wymieniając zatroskane spojrzenia z keleustesem. Nie był pewien, co poszło źle, wiedział tylko, że popełnił błąd. A syn Ksantypposa

i przyjaciel Kimona nie był kimś, kogo chciałby obrazić.

Jeden z wioślarzy zaklął nagle. Perykles zauważył, że gwałtownymi ruchami wciąga wiosło do środka, a potem wstaje. Poza przepaską na biodrach nie miał na sobie nic. Perykles rozpoznałby go wszędzie. Dźwigał w końcu ten kościsty worek w górę urwiska.

– Attikosie, wyjdź na pokład – powiedział.

– Podał mi inne imię... – zaczął kapitan.

Perykles nie zwrócił na to uwagi i ruszył na górę, na słońce i powietrze. Jego przyjaciele już się tam zebrali i patrzyli na niego pytająco. W ładowni kapitan rozkazał wioślarzom zaprzestać pracy. Okręt zaczął się kołysać w miarę wytracania szybkości. Wzmogło to wrażenie czegoś niedobrego, gdy Perykles stanął twarzą w twarz z mężczyzną wynurzającym się z półmroku.

– Znam go – powiedział Anaksagoras. – Z teatru. Czy to on podłożył ogień?

– Zrobiłeś to, Attikosie? – zapytał Perykles.

– Nic nie zrobiłem – odparł Attikos.

Miał świadomość, że oczy hoplitów oraz dowódców skierowane są na niego. Perykles miał już okazję obserwować, jak dostosowuje on swój sposób mówienia do osób mających władzę. Attikos miał spuszczone oczy i skulone ramiona. Nie wyglądał na kogoś, kto mógłby stanowić zagrożenie.

– Przyszedłem do ciebie po pracę, kyriosie – odezwał się. – Tylko tego chciałem. Błagałem cię o pracę strażnika albo wioślarza. Choć byłem biedny, odrzuciłeś mnie.

– I wtedy spłonął teatr – stwierdził Perykles.

– Nie miałem z tym nic wspólnego, kyriosie, przysięgam na honor. Mężczyzna musi pracować albo umrze z głodu. Nie wszyscy mamy takich ojców, jak ty miałeś, z domami i cedrowymi drzewami, i końmi... i wszystkim.

Perykles poczuł, że oblewa go zimny pot. W ich posiadłości były cedry posadzone przez matkę po odejściu Persów. Czy to była jakaś aluzja? Wiedział, że Attikos nie zna litości. Skoro zagroził rodzinie Peryklesa, to zapewne odkrył, że Perykles nie jest już sam.

Zapanował nad ogarniającym go gniewem. Mógł wyrzucić Attikosa za burtę. Nie sądził, by kapitan zechciał mu przeszkodzić. Oczywiście, jeśli tamten utonie, będzie to morderstwo. Jakiegokolwiek podstępu użył, by dostać się na pokład, był teraz jednym z wioślarzy na ich okręcie. To chroniło go przed surową sprawiedliwością w rodzaju tej, ku jakiej skłaniał się Perykles. Wioślarze zasiadali wśród sędziów w Atenach i zajmowali stanowiska w radzie. Nie musieli być dobrymi ludźmi, tylko silnymi.

Porzucił myśl o zemście. Synowie archontów nie powinni źle traktować wioślarzy, jeśli nie chcą zrujnować sobie kariery, zanim na dobre się zaczęła. Zgromadzenie w końcu by się o tym dowiedziało i sprawy mogłyby przybrać zły obrót.

Nie było za późno, by wrócić do Aten, ale się zawahał. Gdyby kazał wysadzić Attikosa w porcie, byłoby to jak wypuszczenie na wolność wściekłego szczura. Pomimo obecności Maniasa i innych niewolników zdeterminowany wróg mógłby zagrozić jego żonie, matce... albo synowi. Kiedy Attikos podniósł wzrok, jego spojrzenie było zimne jak lód. Perykles zmusił się do uśmiechu, choć była to najtrudniejsza rzecz, jaką zrobił w życiu. Uświadomił sobie, że kapitan patrzy na niego w oczekiwaniu wyroku, wciąż przerażony, że przyjął człowieka, który go okłamał.

– Bardzo dobrze, Attikosie – powiedział poważnym tonem. – Nie odmówię nikomu prawa do życia. Jestem zwolennikiem dawania drugiej szansy. Nie zmarnuj jej.

Mały, podobny do małpy mężczyzna wykonał gest, jakby ocierał łzę.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony, kyriosie, bardzo. Wiedziałem, że jesteś dobrym człowiekiem. Naprawdę. Nie zawiodę cię, przysięgam.

– Dziękuję, kyriosie – odezwał się kapitan. Skłonił się przed Peryklosem, chociaż mógł to być błąd, skoro był on jednym z okrętowych hoplitów. Kapitan zarumienił się, speszony. – Przywiążcie tego człowieka do masztu – rozkazał, wskazując Attikosa.

Zenon i Anaksagoras stali najbliżej i pochwycili go, mężczyzna zaś zaczął protestować.

– Dlaczego mnie ciągniecie? Precz z tymi łapskami! Co to ma być?

– Podałś mi fałszywe imię i skłamałeś, żeby dostać miejsce na moim okręcie – wyjaśnił kapitan. – To już moja sprawa i twoja. Nikogo innego. – Ostatnie słowa wypowiedział z myślą o Peryklesie, gdyby ten zamierzał protestować.

Peryklesowi trudno było się nie uśmiechnąć, gdy zobaczył obnażonego Attikosa przywiązanego do masztu. Kościste plecy mężczyzny poznaczone były bliznami i wrosłymi w skórę śladami starych tatuaży.

Attikos potoczył wzrokiem po twarzach obecnych na pokładzie, jakby chciał dobrze je zapamiętać. Objął maszt ramionami i przycisnął policzek do surowego drewna.

– No dobra, chłopcy. Popatrzcie sobie – powiedział, szczerząc zęby. – To będzie dla was lekcja.

Perykles pomyślał, że od chwili, gdy znaleźli go wśród wioślarzy, po raz pierwszy zachował się jak mężczyzna. Zauważył, że kapitan spojrzał na Attikosa ze zdziwieniem.

– Przynieście bicz – rozkazał.

CZĘŚĆ TRZECIA

Z każdego miejsca na ziemi zejście do piekła
jest takie samo.

– ANAKSAGORAS

Kimon nigdy nie pozostaje w bezruchu, uświadomił sobie Perykles. Ciasne, małe pomieszczenie na jego okręcie flagowym rozświetlone było jedną lampą, której światło z ledwością docierało do zacienionych kątów. Człowiek, który dowodził trierarchami kilkunastu sojuszników, kroczył tam i z powrotem po niewielkiej powierzchni, szerokiej raptem na cztery kroki. Anaksagoras wydawał się zafascynowany tym, jak Kimon pochyła głowę, aby uniknąć zderzenia z główną belką stropu, najwyraźniej zupełnie odruchowo. Sam jako najwyższy spośród nich nie pasował zbyt do tych spotkań pod pokładem. Guzy i sińce na jego głowie dobitnie o tym świadczyły.

Mężczyzna, który przemawiał do grupy stłoczonej w pomieszczeniu, pocił się obficie, jak zauważył Perykles. Hezjod był królem Tasos, starszym od pozostałych obecnych o kilka dziesięcioleci, miał białą brodę i pociemniałe zęby, nieliczne, które mu jeszcze pozostały. Stał sam, bez ochrony. Być może denerwowało go przebywanie w jednej izbie z przedstawicielami ateńskiej władzy, a może wrażenie to było kwestią ciasnoty i parnej nocy.

Skupiał na sobie bez reszty uwagę Kimona. Pozostali ruchami głów i oczu śledzili kroki archonta i sposób, w jaki się poruszał, zupełnie jak wilk w klatce.

– Nie proszę o zwolnienie z mego zobowiązania, tylko o rok zwłoki w płaceniu daniny – powiedział Hezjod. – Sprzedajemy drewno, marmur i miód. Wasz okręt przypuszczalnie został zbudowany z drewna wyrosłego na Tasos! Jednakże twarde drewno rośnie powoli. Jeśli znów ogołocę lasy, żeby dokonać wpłaty na Związek Delijski, w następnym roku będziemy głodować. Rynek marmuru załamał się po klęsce Persji, natomiast nasze ule się powiększają. Nie możemy jednak codziennie jeść miodu. Tylko jeden rok bez konieczności oddawania sojuszowi każdej zarobionej monety pozwoli nam odzyskać równowagę. Będziemy mogli zapłacić nawet więcej w roku przyszłym albo kolejnym. Oczywiście wszystko spoczywa w rękach bogów.

Kimon się zatrzymał, przyciągając ku sobie wszystkie spojrzenia. Nie było najmniejszej wątpliwości, kto w tym pomieszczeniu i w sojuszu dźrzy faktyczną władzę. Odkąd Sparta się odłączyła, Ateny ponownie objęły

panowanie na Morzu Egejskim. Kimon był archontem i strategiem, nauarchą, następcą Ksantypposa. Perykles w ciągu minionego roku zdążył poznać go doskonale. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie potrafił dowodzić ludźmi tak jak Kimon albo ojciec. Nie był pewien, czy ta umiejętność przychodzi z wiekiem, nie mówiąc już o tytułach, choć te ostatnie również odgrywają ważną rolę. Kimon nie dopuszczał żadnej słabości i stał się mistrzem w swojej dziedzinie. W ostatecznym rozrachunku tylko to się liczyło.

Zadawał też sobie pytanie, jak król Tasos ich postrzega, tę bandę młodych kapitanów i strategów, do których apelował tego wieczoru. Starzec wodził wzrokiem po zatłoczonym pomieszczeniu, wypatrując jakichś oznak wsparcia. Ale tak naprawdę liczył się tylko jeden głos. Wszyscy nań czekali, choć Perykles znał już Kimona dostatecznie dobrze, by móc samemu wypowiedzieć te słowa. Po prawdzie Hezjod z Tasos nie był pierwszym, który prosił o specjalne warunki albo pomoc w spłacie. Perykles widział już kilka mniejszych miast-państw, które próbowały renegocjować wysokość swego wkładu.

– Przemawiasz, Wasza Wysokość, jakby to była prosta kwestia – powiedział Kimon cichym głosem. Starzec zaczął odpowiadać, lecz archont podniósł dłoń. – Ta flota i jej utrzymanie na wodzie kosztuje więcej, niż możesz sobie wyobrazić. Wiesz, jaka to suma? To dziesiątki tysięcy ludzi, którzy muszą otrzymywać zapłatę. To wino i pożywienie, które zapewniają im siłę. Do tego dodajmy koszty napraw, nieustannie łamiących się masztów, nowych lin i drzewc. Właśnie dziś rano mieliśmy wypadek, gdy jeden z ludzi nadepnął na zbutwiałą deskę pokładu. Wszystko to trzeba wycinać i zastępować drewnem, które musi sezonować przez cały rok, zanim będzie można go użyć. W tej sytuacji musimy strzec naszych magazynów na lądzie, zanim całe dobre drewno zostanie rozkradzione. Musimy też pilnować naszych upraw i naszych stad. Za to także trzeba płacić, Wasza Wysokość. Jesteś tego świadomy? Flota tej wielkości to całe pływające miastopanieństwo albo jego prawa ręka.

Król wtrącił się prędko, żeby zdążyć uprzedzić jego wnioski:

– Jeden jedyny rok zawieszenia i moglibyśmy...

Kimon pokręcił głową.

– Powiedziałem ci, jakie są potrzeby. Ta flota zapewnia bezpieczeństwo na całym morzu i chroni wasze drewno, marmur i miód. Piraci już nie przechwytyują i nie palą waszych statków. Persowie nie porywają waszych kobiet i nie wyrzynają wam młodych mężczyzn. Jaką cenę ustanowilibyś za ich życie, skoro przychodzisz tu się z nami targować? Z nami, którzy strzeżemy waszego horyzontu przed wrogami, abyście mogli żyć w pokoju?

Perykles zauważył, że Kimon zrobił się gniewny. Nigdy nie miał cierpliwości do handlarzy. Patrzyli na świat w kategoriach pieniądza, podczas gdy on widział coś więcej. Perykles uważał, że Kimon nie dba o srebro i złoto, w każdym razie nie bardziej niż Arystydes w domu. Dbał o flotę i wpływy Aten. Nic innego się nie liczyło. Perykles był ciekaw, czy kiedykolwiek miał do czynienia z lichwiarzami pukającymi do jego drzwi późną nocą. Raczej w to wątpił.

Król był wyraźnie dotknięty takim pouczeniem ze strony młodszego mężczyzny.

– Archoncie Kimonie – powiedział oficjalnie – lud Tasos wdzięczny jest za flotę, choć pragnę ci przypomnieć, że nie jesteśmy suplikantami przychodzącymi po prośbie. Wpłaciliśmy naszą część, nakładając podatki na każdą rodzinę, aby zebrać pieniądze na ten wkład. Nie widzisz rodzin, które skończyły w łachmanach, aby dołożyć się do wpłaty. Młodych matek szlochających, gdy musiały oddać ostatnie pieniądze!

– Myślisz, że miałyby się lepiej jako perskie niewolnice? – odparł Kimon. – Czy wtedy by nie płakały? Kiedy nie mieliśmy floty, te wody w gruncie rzeczy nie były nasze. Tego się nauczyłem, Wasza Wysokość. Handel i wolność rozkwitają, kiedy mężczyźni tacy jak ja są gotowi odpowiedzieć na każde zagrożenie. Kiedy wilki przychodzą, jesteśmy tutaj, w pogotowiu. Wszystko, co ma dla ciebie wartość, bierze się z tego. Wszystko. Ponieważ bez tej siły wszystko jest jak rzut kośćmi: nie wiadomo, kiedy to, co kochasz, zostanie ci odebrane.

– Czy te wilki stoją na kotwicy wokół Tasos? A może to okręty sojuszu, które zatrzymują i niepokoją moich kupców? – Król spąsowiał, ale opanował się z wysiłkiem. – Trzymacie okręty wokół naszej wyspy już prawie od roku. Nic się nie dzieje! Skoro mamy głodować, to jakie ma znaczenie, kto blokuje dostawy ziarna?

Kimon zaczął znowu chodzić, jakby czerpał z tego spokój i siłę.

– Przysięgałeś na bogów i żelazo, Hezjodzie, podobnie jak cała reszta. Sztaby zostały ostemplowane i wrzucone do morza u brzegów Delos. To są nasze przysięgi, które mają przetrwać aż do końca świata. Mówią, że jeśli jeden z nas zostanie zaatakowany, to jakby zaatakowano wszystkich. Że będziemy trzymać się razem i co roku dawać na ten cel srebro, okręty albo ludzi. Ateny spuściły tego roku na wodę trzy nowe triery, a jeszcze trzy są w budowie. Ćwiczymy nasze załogi, ponosząc ryzyko wojny i chorób, i nie narzekamy. A co z Tasos? Nie mieliście tu kiedyś kopalni złota?

W spojrzeniu, jakie Hezjod posłał młodemu archontowi, błysnęła iskra wściekłości, prędko stłumiona. Perykles pamiętał, że rodzina Kimona miała kopalnie na północy, gdzieś w Tracji, niedaleko brzegów Tasos. Sądząc po reakcji króla, nie był to powszechnie znany fakt.

– Kopalnia upadła – odpowiedział w końcu. – Jej ostatki są niemal bezwartościowe.

– „Niemał” jest dość dalekie od bezwartościowości, gdy mowa o kopalni złota – powiedział Kimon. – Wasz wkład miał wynosić osiem talentów srebra rocznie. Jeden talent złota zapewniłby spłatę długu, Wasza Wysokość. Zalegacie z tym już od roku i kupczycie waszą przysięgą jak na targu. Myślicie, że jestem kupcem?

– Nie, oczywiście...

– Przestań więc mnie tak traktować. Zapłać to, co przysięgałeś płacić. Skutki widzisz wokół siebie i nadal będziesz oglądał na morzu te okręty, dopóki nie wywiązesz się ze swoich zobowiązań. Jeśli będę musiał, Wasza Wysokość, wysadzę na brzeg dziesięć tysięcy ludzi, wejdę do twojego pałacu i wyegzekwuję ten dług od ciebie albo twojego następcy.

– Jestem członkiem sojuszu – odparł zszokowany Hezjod. – A czymże to jest, jeśli nie groźbą wojny? Złamiesz warunki dla kilku talentów?

Kimon podszedł do niego bardzo blisko, tak blisko, że mógłby go uderzyć. Król się cofnął, ale Ateńczyk napierał dalej.

– To ty pierwszy złamałeś umowę z Delos, Wasza Wysokość. Wiem, że wasze kopalnie nie są całkiem wyeksploatowane, ale chciałbyś korzystać z wolnego dostępu do morza, nie płacąc za to. Skoro płacą Ateny, to przecież można skorzystać, co? Czy mądry władca robi coś takiego?

– Jeśli postawicie stopę na Tasos, każdy z sojuszników będzie się zastanawiał, kto będzie następnym. To zrujnuje wszystko, co zbudowaliście.

– Nie – zaoponował Kimon. – Jeśli postawię stopę na Tasos, to tylko po to, żeby dać przykład tym, którzy łamią przysięgi złożone przed bogami. –

Powiedział to ze spokojem, a król przełknął ślinę, aż przesunęło mu się w górę i w dół jabłko Adama. – Daję wam trzy miesiące na zdobycie dwóch talentów złota, jeden za ten rok, drugi za następny. Po upływie tego terminu pomaszeruję na twój pałac.

– Nie ośmielisz się – powiedział król. – Na mojej ziemi? Zniszczę każdego, kto stanie na Tasos bez mego pozwolenia.

– Idź już, Hezjodzie – rzucił Kimon. – Wypełnij swój obowiązek, a ja uściskę ci dłoń jak przyjacielowi i sojusznikowi.

Król przeżuwał w milczeniu jakieś słowa, jakby je smakował. Wreszcie pokręcił głową. Nie znalazł współczucia w Kimonie ani w pozostałych, którzy na niego patrzyli. Perykles zastanawiał się jednak, czy starzec naprawdę rozumie zagrożenie. Kimon głęboko wierzył w Związek Delijski oraz przysięgi, jakie złożyli. Gdyby miał spalić Tasos do gołej ziemi, aby zapewnić sojuszowi przyszłość, zrobiłby to, Perykles był o tym przekonany.

Gdy Hezjod zwrócił się sztywno ku wyjściu, Perykles wyszedł za nim przez wąskie drzwi i zamknął je za sobą. Na schodach wiodących na pokład, na powietrze i światło, wyciągnął rękę, aby podtrzymać starca, lecz ten strząsnął ją, jakby jego dotyk parzył.

– Jestem *królem* – rzucił, pnąc się po stopniach w górę. Wciąż trząsał się z gniewu, a zapewne i strachu. – Nie dotykaj mnie. Zniosłem już dość zniewag jak na jeden dzień.

– Nie słyszałem żadnej – odparł Perykles. – Jedyne troskę o trwałość sojuszu.

Znalazszy się na pokładzie, król spojrział na niego z pogardą. Na świeżym powietrzu łatwiej mu było oddychać.

– Twój przyjaciel Kimon posuwa się za daleko. Postępuje jak Pers albo tyran, nie zaś jak administrator okrętów i handlu. Oto kim jest! Powiedz mu, żeby ważył swoje groźby, gdy następnym razem spotka się z kimś królewskiej krwi. Albo kimś, kto każe mu pożałować każdego chytrego słowa.

Król dźgał palcem powietrze, odważniejszy na pokładzie niż pod nim, gdy Kimon patrzył mu w oczy. Ciekawie było obserwować, jak śmiało przemawia do tych, których uważał za niższych od siebie.

– Wasza Wysokość, tego roku flota ma przynajmniej tuzin wezwań. Zbyttno się rozproszyliśmy, bardziej niż możesz sobie wyobrazić.

– Persja jest spokojna, chłopcze. Kiedy ostatnio widziałeś ich okręt? Schowali rogi. Nie widzisz, że nie ma już potrzeby utrzymywania takiej dużej floty? Ponosiliśmy te koszty podczas wojny, ale teraz Persowie liżą rany i są daleko stąd. Oni się wycofali i nie wrócą. Mam zostać żebrakiem, aby karmić waszą flotę, kiedy nikt jej nie potrzebuje? Nie. – Gestem przywołał łódź, która miała zawieźć go na brzeg.

Jego dwaj wioślarze podpłynęli natychmiast. Więcej uzbrojonych hoplitów oczekiwało swego króla na Tasos, niecałe sto kroków dalej. Hezjod stał sam na pokładzie ateńskiej triery. Był dość odważny, stwierdził Perykles. Jedyne jego osąd budził wątpliwości. Perykles starał się znaleźć właściwe słowa na ocenę mężczyzny, który potraktował jego młodość i status z taką pogardą. Zanim

zdążył się odezwać, starzec ciągnął dalej, jakby jego temperament nagle wykopiał i nie pozwolił mu się powstrzymać.

– Powiedz swemu przyjacielowi, żeby zabrał okręty z moich wód. Jeśli ma inne zadania dla floty, niech je wypełnia! Jestem królem Tasos, sojusznikiem i Hellenem, nie zaś więźniem. I nie wrogiem! Arogancja Ateńczyków! Gdyby Sparta zachowała dowództwo, nie pozwoliłaby na taką niegodziwość. – Obrócił się do Peryklesa, oczy mu zapłonęły. – I ja nie pozwolę.

Perykles mógł jedynie pokręcić głową, gdy starzec zszedł do łodzi i został odwieziony na brzeg. Wiedział, że Kimon nie zmieni zdania, ale wszystko wskazywało na to, że król też nie. Nasuwający się wniosek nie podobał mu się wcale. Jedną rzeczą było pójść na wojnę, by zdobyć perską fortecę, inną zaś dobrać miecza przeciwko własnemu ludowi.

* * *

Kimon wyszedł na pokład chwilę później, a za nim gramolił się wysoki Anaksagoras, któremu wyjście z ładowni zajęło całe wieki. Jończykowi zagwarantowano obywatelstwo Aten dzięki poparciu Ajschylosa i samego Peryklesa. Poprosił Kimona, aby kazał wyszkolić go na hoplitę, żeby mógł się na coś przydać, gdyby doszło do bitwy.

Umiejętności walki nigdy nie nauczano chętnie i bez zastrzeżeń. Jednakże Kimon okazał się wielkoduszny i nie widział przeszkód. Co wieczór przez godzinę lub dwie odbywały się więc ćwiczenia z fechtunku, powtarzane wciąż od nowa, w nieskończoność, żeby opanować rzeczy, których młody wojownik uczył się już od dwunastego roku życia. Kimon zarządzał dawniej to samo dla swoich załóg, zatem gdy teraz kilkunastu wioślarzy wyraziło chęć nauki, wydało się to całkiem naturalne. Epikleos wziął na siebie rolę trenera, a gdy Zenon również nabrał ochoty do ćwiczeń, Perykles do nich dołączył.

Trud szermierczych treningów pozwolił Kimonowi się odprężyć, a na jego dotąd mrocznej twarzy zagościł uśmiech. Po raz pierwszy od dawna, pomyślał Perykles. Była to zasługa Anaksagorasa. Co więcej, stało się to rutynowym, codziennym widokiem dla innych załóg, gdy mężczyźni na ich pokładzie wykonywali wypady, pchnięcia, uniki, co wieczór przygotowując się do prawdziwej walki. Oczywiście zdarzały się zranienia, ale tak bywało, zawsze gdy zbierała się większa grupa mężczyzn z mieczami. Perykles był przekonany, że czyniło to z nich znacznie groźniejszą siłę. Zastanawiał się tylko, czy kiedykolwiek znajdą godnego przeciwnika. Bo gdyby Hezjod miał rację i Persja rzeczywiście wycofała się z walki...

Zręcznie złapał miecz, który rzucił mu Epikleos. Był to właśnie taki zuchwały rzut, który kończył się czasem utratą palca albo skaleczeniem, po którym przez miesiąc trzeba było chodzić z obandażowaną ręką. On jednak lubił takie ryzyko.

– Patrzcie na mnie uważnie, dobrze? – poprosił Epikleos. – Pokażę pierwsze trzy kombinacje.

Na każdą składały się cztery ruchy, a całość obejmowała ich dwanaście i mogła być wykonana w szybkim tempie przez dwóch mężczyzn ufających sobie nawzajem. Perykles skinął głową. Kombinacje pozwalały wyćwiczyć pamięć, aby ciało reagowało automatycznie, bez angażowania myśli. Różnica pomiędzy mężczyzną wyszkolonym i niewyszkolonym stanowiła na polu walki różnicę między życiem a śmiercią. Uświadomił sobie, jak bardzo jest wdzięczny ojcu za tysiące godzin wspólnych ćwiczeń. Ksantyppos jednak odszedł, jak Persowie... Ta myśl nim zawładnęła i nie mógł dostatecznie się skupić. Epikleos rozpoczął pierwszą sekwencję, kończąc uderzeniem barkiem, które go obróciło i po którym zadał cios w jego odkrytą szyję. Epikleos krzyknął, wybijając młodzieńca z zamyślenia.

– Drugi wariant – zapowiedział, zwracając się do obserwujących.

Zenon i Anaksagoras przyswajali sobie wszystko, napinając mięśnie podczas praktykowania w wyobraźni kolejnych kombinacji ruchów poprzedzających prawdziwe ćwiczenie.

– I... raz... – Epikleos ciął nisko, ale Perykles się nie poruszył. Starszy mężczyzna niemal się przewrócił, w ostatniej chwili powstrzymując cios, zanim rozciął mu udo. – Peryklesie! Drugi wariant! Na bogów, mogłem cię...

– Przepraszam. Zenonie, zajmij moje miejsce, dobrze? – poprosił Perykles. Odwrócił się, a szybki jak zwykle Zenon zrobił wypad. – Kimonie?

Nauarcha tłumaczył właśnie jakiś ruch szermierczy któremuś z wioślarzy, powoli obracając w powietrzu klingę i równocześnie przesuwając stopy. Spojrzał na podchodzącego Peryklesa.

– O co chodzi?

– Król Tasos powiedział coś dziwnego, gdy czekał na łódź.

Kimon na chwilę otworzył szerzej oczy.

– To stary głupiec. Na Tasos jest niejedna kopalnia złota, jak słyszałem. Ten człowiek jest bogatszy od połowy członków sojuszu. Mógłby opłacić daninę za sto lat z góry, ale on woli to opóźnić. No cóż, pożałuje.

– Powiedział... że Persowie się wycofali, i to prawda. Nie widzieliśmy perskiego okrętu ani nawet statku handlowego przez... ile? Sześć miesięcy? Może dłużej?

– I co z tego? Kto ośmieliłby się wypłynąć na Morze Egejskie, kiedy my je patrolujemy?

– No tak, wiem, ale... tak zupełnie nic? Nie uderzyło cię to, że Persja nagle jest tak spokojna?

Kimon wzruszył ramionami, ale opuścił miecz, zastanawiając się.

– Był jakiś ruch wokół Hellespontu, pamiętasz? Zatrzymaliśmy tych rybaków i dowiedzieliśmy się od nich, że Artabazus jest tam gubernatorem. Nie, raczej satrapą. Tłuściutka pszczołka. Powinienem był zabić go na Cyprze, kiedy miałem po temu okazję.

– W tym rzecz – odparł wolno Perykles. – Krzątają się na północy, wokół bizantyńskiego wybrzeża. Tam prowadzą handel, a my widujemy ich statki pływające wzdłuż wybrzeży. Ale w pobliżu Cypru nie widać żadnego ruchu. Tamto wybrzeże też jest pod kontrolą Persji. Mają tam swoje garnizony, osady rybackie, rzeki z głębokimi portami, ale od jakiegoś czasu nie mamy żadnych raportów o żegludze w tamtym rejonie.

– Czyli zgadzasz się z królem Tasos? Muszę powiedzieć...

– Nie, on jest głupcem, ale to mnie dręczy, jest w tym coś dziwnego. Wciąż widujemy fenickich kupców wokół Tracji. Wożąc perskie towary, zatrzymują się do kontroli, płacą podatki i wnoszą opłaty portowe, bo i czemuż by nie? To przynosi korzyść nam wszystkim. Ale na południu? Żadnego żagla. Nawet jednego statku. – Spojrzał na Kimona i nagle pomyśleli sobie to samo.

– Może to nic... – powiedział Kimon. Patrzył już na wyspę i w myślach rozdysponowywał siły. – Nigdy nie próbowali odbić Cypru. Zastanawiam się... co twoim zdaniem ukrywają.

– Wydaje mi się, że jest taka możliwość, iż nie chcą widzieć tam naszych patroli, nie chcą, żebyśmy tam zaglądali. Jeśli to prawda, musi tam być coś, co koniecznie musimy zobaczyć, cokolwiek to jest.

– Dałem staremu głupcowi trzy miesiące – mruknął Kimon, mając na myśli króla Hezjoda. – Nie mogę teraz wycofać floty, bo pomyśli sobie, że z nami wygrał.

– Wobec tego tylko kilkanaście okrętów – zaproponował Perykles. – Może to nic takiego. Nieobecność niczego nie dowodzi. Zenon pokochałby to stwierdzenie. Być może się mylę. Poślij choćby kilka trier, żeby przeszukały wybrzeża wokół Cypru. Nie można oczywiście wykluczyć, że po prostu panuje tam spokój.

Kimon cały czas patrzył na wzgórze Tasos. Pokręcił głową.

– Nie, nie jestem więziennym dozorcą, jak król Hezjod chciałby mnie odmalować. Dałem mu ultimatum i pozwoliłem opóźnić nieco wypełnienie przysięgi. Albo zatroszczy się o swój honor, albo nie. Nie będę się biernie przyglądał, jak łamie słowo. Chodź, Peryklesie. Zwołaj kapitanów.

– Wszystkich?

– Co do jednego. Mam połowę ładowni wypełnionych daninami, które muszę w tym roku zawieźć na Delos. Tam rzucimy kotwicę i jeśli pogoda się utrzyma, popłyniemy dalej. Na Cypr. – Dostrzegł, że Perykles zmarszczył brwi, i roześmiał się. – O co chodzi?

– Martwię się. Przekonałem cię, żeby odesłać część floty spod Tasos, na podstawie podejrzeń.

Kimon uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Po to właśnie istnieje sojusz, Peryklesie, i po to mamy flotę. Nawet jeśli się mylisz, to każdy mały król, który zobaczy, jak przepływamy, będzie wiedział, że morze jest nasze. Chodź, przekonamy się, czy przecucia cię nie zawiodły.

Kserkses był ciekaw, czy mężczyzna u jego boku kiedykolwiek doświadczył tego dziwnego, dławiącego uczucia w żołądku, pełzającego lęku, który obudził go, gdy księżyc dopiero wschodził. Nie widział w Artabazusie śladu nerwowości, tylko chłodny profesjonalizm, a może bardziej opiumowe lub haszyszowe odrętwienie. O jego wodzu mawiano, że lubuje się w czarnych kulkach, bo koją jego nerwy, lecz najwyraźniej w niczym mu nie szkodziły. Jeśli już, to dawały odwagę i mężczyzna czuł się jak lew – przynajmniej przez jakiś czas. Kserkses uświadomił sobie, że ręka mu drży, więc przytrzymał ją drugą. Też musiał uśmierzyć jakoś swoje lęki tego wieczoru.

Nie pomagał w tym fakt, że Artabazus pamiętał rozmowy z Mardoniuszem, który poniósł klęskę pod Platejami, a jeszcze wcześniej z Datysem, który wylądował pod Maratonem i tam został rozgromiony. Kserkses zadrżał na wspomnienie dzieciństwa i swego ojca. Persja straciła wiele krwi i mnóstwo złota na zachodnim wybrzeżu, więcej, niż kiedykolwiek dałoby się zliczyć.

Król zatrzymał się i Artabazus natychmiast stanął w miejscu. Był przyzwyczajony do kaprysów i porywów entuzjazmu władcy imperium. Ponad osiemdziesięciu strażników i służących podążało ich śladem, gotowych spełnić każdą królewską zachciankę. Mogli postawić baldachim albo wcisnąć mu do ręki kielich orzeźwiającego napoju, gdyby tylko dał znak.

Kserkses wyjrzał na zewnątrz, na wijącą się w dole rzekę, która zniknęła daleko między górami, setki kilometrów od wybrzeża, gdzie oczy Greków nigdy nie zaglądały. W najszerszym odcinku przypominała Hellespont na północy, gdzie nadał Artabazusowi satrapię. Cała rzeka zatłoczona była okrętami, ciągnąc się daleko i ginąc w zamglonej dali. Miejscami mógłby niemal przejść na drugi brzeg po ich pokładach, nie potrzebując mostu. Jego flota, imperialna armia. Serce mu rosło, gdy patrzył na tę skalę. Wyobrażał sobie, że w porannej bryzie wyczuwa ducha ojca, który obejmuje go i gładzi. To także przysporzyło mu bólu, lecz uniósł dzielnie głowę.

– Długie lata zajęło nam osiągnięcie tego punktu – powiedział. – Niewolnicy oddawali życie tysiącami w tej radosnej pracy. Tonęli i byli miażdżeni

w większej liczbie, niż ktokolwiek zdoła wyrazić. Wykopaliśmy jednak pokłady mułu, tworząc zupełnie od nowa głębokie kanały. Wycięliśmy lasy na budowę okrętów i wyszkoliliśmy ludzi, żeby potrafili prowadzić wojnę. Powiedz mi... – Nie mógł dokończyć, ale Artabazus zdawał się rozumieć.

– Możemy zwyciężyć, Wasza Wysokość – mruknął. – Przysięgam. Mógłbym postawić na to własne życie, ale ono i tak już do ciebie należy, po tysiakkroć. Nauczyliśmy się z wcześniejszych doświadczeń, z tych przeklętych nazw. – Nie mógł wymienić Maratonu ani Platejów, nie w obecności króla. Były to słowa zakazane, które ciążyły na królewskich barkach.

Kserkses patrzył na jednego z tych, których wybrał, by poprowadzili wojska imperium. Artabazus wciąż był tym maleńkim człowieczkiem, choć sądząc po zmarszczkach wokół oczu, nieco już starszym. Zaznał klęsk i bólu, ale zahartowały go one, przynajmniej taką nadzieję miał Kserkses. Zaznawszy ich, sprawniej będzie unikał.

– Imperium jest wielkie, Artabazusie. Nie wydaje mi się, żeby człowiek mógł ogarnąć umysłem jego ogrom. Przywożą mi raporty o zamieszkach i niepokojach, o garnizonach, które muszą wychodzić w pole zmuszone do tego przez moją ludność. Kiedy jednak te wieści docierają do mnie, wszystko jest już wspomnieniem, jakby nigdy nie zaszło. A jednak... – Zerknął na wodza, zastanawiając się, ile ze swoich obaw może mu powierzyć.

Jego szata załopotała na wietrze, a on znów pomyślał o ojcu.

Tron był samotnym miejscem. Któż mógłby dzielić z nim odpowiedzialność? Nikt z tysięcy zgromadzonych w jego imię. Kserkses postanowił nie mówić zbyt wiele w obecności tego człowieka, który mógłby urosnąć w pychę, widząc jego słabość. Potrzebował Artabazusa, aby poprowadził jego flotę i armię do Grecji, aby spędził tam kilka lat na kampanii i przywiózł do domu zwycięstwo, którego dwukrotnie nie udało mu się odnieść.

– Ponowne próby niosą ze sobą wiele niebezpieczeństw, wodzu – powiedział po dłuższej chwili milczenia. – Dla ciebie... i stabilności imperium. Kiedy postawisz żagle, zabierzesz Persję ze sobą. – Król sięgnął dłonią i poklepał Artabazusa po piersi nad sercem. – Tu... i tam. – Dotknął palcami jego oczu.

Artabazus już miał paść przed nim na twarz, ale Kserkses złapał go za ramiona i podtrzymał. Była w tym geście zadziwiająca intymność mówiąca więcej o jego zaufaniu do wodza niż tysiąc słów.

– Nie zawiodę, Wasza Wysokość – zapewnił Artabazus.

Pocił się, co zauważył Kserkses, a jego skóra błyszczała w słońcu.

– Wcześniej wiedzieli, że nadchodzimy. Mój ojciec zbudował flotę w Hellesponcie, a Grecy to obserwowali i wiedzieli o naszej liczbie, naszej drodze, o wszystkim. W ten sposób byli przygotowani, wodzu. Teraz będziemy mieli przewagę. Ile okrętów mamy w tym roku? Ilu ludzi? – Mówiąc to, uśmiechnął się. Lubił przywoływać Artabazusa i zasypywać go pytaniami, sprawdzając jego wiedzę i przy okazji dodając sobie otuchy.

– Wasza Wysokość, mamy trzysta osiem okrętów i jeszcze trzydzieści w budowie. W górze rzeki trzymam załogi wiosłarzy, którzy uczą się rozkazów oraz koniecznych umiejętności. Nowy system flag sygnałowych to cud. Kiedy znów spotkamy Greków, pod każdym względem im dorównamy, przysięgam na życie moich dzieci.

– A jak tam ćwiczenia ludzi? Jak postępują? Nieśmiertelni pobili Spartan pod Termopilami. Gdybym miał pięćdziesiąt tysięcy takich jak oni, Grecy by nas nie odparli.

Termopile nie należały do zakazanych słów. Były jedynym jasnym punktem na mapie tej przeklętej kampanii i Kserkses przywoływał je jako pewne usprawiedliwienie, przeżywając na nowo ten dramat z przeszłości i porażkę Leonidasa.

– Powiedziałbym, że trzydzieści tysięcy wyćwiczonych na wzór Nieśmiertelnych. Albo Spartan, Wasza Wysokość. Kolejne sześćdziesiąt tysięcy zbliża się do tego poziomu.

Artabazus nie sądził, by króla ucieszyły opowieści o chaosie, którego był świadkiem. Prawda była taka, że na wyszkolenie siły równej Nieśmiertelnym trzeba było dużo więcej czasu, niż planowano. Trzeba też było wpoić im wiarę w siebie. Wielka armia złożona z czterdziestu ludów nie miała jeszcze takiej wiary. Dał im jednak sprawność i nauczył ich, odzianych w hełmy i nagolennice, posługiwać się mieczem i tarczą. Naprawdę wiele nauczyli się od Greków, a on, pomimo lęku, cieszył się na myśl, że jeszcze raz, ostatni raz, wdrze się w szeregi wroga. Czy zwycięstwo, czy porażka, w każdym razie będzie to końcowy akt jego życia, tego był pewien. Jeśli wygra, Kserkses nie zdoła dać mu wiele więcej, niż już ma. Człowiek może skosztować ograniczonej ilości dóbr, on zaś stał się ciężki i sztywny w biodrach. Gdyby przegrał, to wiedział, że raczej odbierze sobie życie, niż pozwoli Grekom zawlec się do jakiegoś miasta, gdzie będą go opluwać i się nad nim znęcać. Uśmiechnął się. Takie życie wybrał. W porównaniu z nim Persja była wielkim skarbem, wartym dużo więcej niż jedno bijące serce.

– Ćwicz ich, aż będą krwawić, Artabazusie, aż będą płakać z bólu, a ich oddech będzie jak ogień w kuźni. Uczyni ich sprawnymi, szybkimi i zabójczymi, wszystkich. Będą moimi nowymi Nieśmiertelnymi... a może powinienem nadać im jakąś inną nazwę? Od jakiejś bohaterskiej cnoty, a może budzącej grozę bestii? Tygrysy indyjskie albo lamparty?

Artabazus zastanowił się chwilę nad odpowiedzią, choć wiedział, że jeśli król mówi coś takiego, to nie jest to zwykła sugestia. Podejrzał, że Kserkses przybył do niego tego dnia tylko po to, żeby podsunąć mu ten pomysł. To był jeden z powodów, dla których wódz obawiał się comiesięcznych wizyt króla nad rzeką. Kserkses zawsze miał jakiś pomysł dotyczący ulepszeń uzbrojenia lub metod treningu. Bardzo niechętnie przyjął jego poprzednią myśl, żeby na pole bitwy wypuścić tygrysy, jakby można było wycelować je w nieprzyjaciela jak strzałę z łuku. Wystarczyło, że jeden z nich uciekł z klatki, ciężko poranił dwóch ludzi, a jednego zabił, po czym uciekł gdzieś na wzgórze.

– To świetna myśl, Wasza Wysokość – stwierdził w końcu.

Długo się wahał, aż Kserkses zaczął marszczyć brwi, ale tylko tyle mógł zrobić. Nie był to nawet szczególnie zły pomysł, lecz Artabazus nie lubił, gdy Kserkses wtrącał mu się do przygotowań armii. Był to dla niego nieustanny powód do zmartwień. Wódz nie pamiętał ani jednego spotkania z królem bez zawołanych aluzji do niepokoju w imperium albo kiepskiego stanu szkatuły. Nie był nawet pewien, czy wielki król musiał się kiedykolwiek naprawdę martwić buntem poddanych. Był w końcu wybrankiem Ahura Mazdy i płynęła w nim boska krew. Bywały jednak chwile, w których Artabazus dostrzegał w nim zalęknionego człowieka, ukrytego pod warstwą złota i klejnotów. Kserkses potrzebował zwycięstwa. Postawił wszystko na tę ostatnią szansę pokonania Greków. Gdyby mu się to udało, bez cienia wątpliwości byłby to cudowny, ostatni rozdział tej epopei. Artabazus dotknął ust i serca w akcie milczącej modlitwy.

– Niech bóg będzie z nami – powiedział.

* * *

Efialtes nie okazywał żadnych emocji, gdy policzono głosy i ogłoszono decyzję. Po przejściu na spoczynek dwóch starszych i śmierci jednego, którego nie znał, został wybrany strategiem Aten, jednym z dziesięciu. Siedmiu towarzyszyło Kimonowi i flocie. Efialtes miał wypłynąć z trzema nowymi okrętami i trenować młode załogi na spokojnych, bezpiecznych wodach. W czasie wojny tytuł ten oznaczałby dowództwo skrzydła albo części floty. Dwaj pozostali z wybranych

tego dnia mieli nadzorować miejski garnizon i strażników na murach. W czasach pokoju były to pomniejsze stanowiska.

Na wojnie Efiates mógłby dorobić się wystarczających zasług, które zapewniłyby mu wysoką pozycję w zgromadzeniu. Takich, jakie stały się udziałem Arystydesa, Ksantypposa czy Temistoklesa. Pomyślał, że tamci mieli szczególnie wiele sposobności. Jego droga będzie trudniejsza, skoro Persowie nie atakują.

Mimo wszystko był to jednak duży krok naprzód. Efiates żałował, że jego rodzice już nie żyją i nie mogą tego zobaczyć. Zdążył zaznać biedy, ale koniec z tym. Dziwiło go, jak bardzo bogaci ludzie zabiegają o względy tych, którzy mieli wysoką pozycję w zgromadzeniu, nawet takich, którzy na pozór pogardzali bogactwem. Oferowano mu już udziały w różnych interesach, w nowej kopalni srebra i hodowli koni. Wszystko bez żadnego wkładu z jego strony. Kiedy pytał o przyczyny takiej hojności, ci dobrzy ludzie, których podziwiał, okazywali zdziwienie. Jaki może być inny cel bogactwa niż inwestowanie w nowe pokolenie? Przecież wierzyli w uczciwe społeczeństwo.

Niektórzy z jego patronów siedzieli na ławach ponad zebranymi, aby być świadkami jego wyboru. Nie uszło jego uwagi, że wszyscy oni bez wyjątku wybili się po wojnie. Jego pomysł obalenia rady archontów był powszechnie znany. Nie miał patronów wśród eupatrydów ani z takich rodzin jak Peryklesa czy Kimona. Nie, jego protektorzy zapracowali na to, kim się stali, i dzięki temu byli silniejsi.

Rozejrzał się i dostrzegł Arystydesa, który cierpliwie czekał, by Efiates pochwycił jego spojrzenie. Ten starszy człowiek również przyszedł tutaj jako obserwator. Jego głos już nie dominował w debatach na Pnyksie ani w budynku rady. Stał się słabszy i bardziej piskliwy. Wciąż nosił swoją zwykłą wytartą szatę. Dawniej, jako młodzieniec Efiates uważał ją za dowód skromności i uczciwości. Teraz jednak wydawała mu się sztuczną demonstracją, czymś na pokaz. Jego własna szata była biała i dobrze uszyta, lecz niczego w nim nie zmieniała, choć była najlepsza, jaką w życiu nosił.

Arystydes skłonił głowę, a Efiates skinął mu w odpowiedzi. Tego ranka mógł sobie pozwolić na uprzejmość. Miał już okręty gotowe zabrać go na pokład i dostateczne poparcie w radzie, żeby wyznaczono go na dowódcę. To był jego dzień. Spojrzał na innych wybranych strategów, ale byli oni zwykłymi politykami. Obaj mieli więcej doświadczenia od niego, zarówno na wojnie, jak i na Pnyksie czy w radzie. Przeskoczył ich jednak i w nadchodzących dniach nadal będzie ich przewyższał. Czytał każde opublikowane przemówienie, znał

każdy użyty argument. Ćwiczył umysł i ciało, pracując we własne urodziny i w święta, bo wiedział, że żaden z jego konkurentów tego nie robi. Sukces można wykuć i ukształtować jak metal na kowadle albo podporządkować sobie jak dzikiego konia. Takie było jego odkrycie, które jak dotąd nigdy go nie zawiodło.

– Wypływając, zabiorę ze sobą na okręt część Aten – zaczął Efiates. Uśmiechnął się. Odrobina humoru nie zawadzi, a oni tym bardziej go polubią. –

Choć cieszę się, że kapitan ma więcej doświadczenia niż świeżo upieczony strateg. – Rada zareagowała śmiechem, na tyle długim i głośnym, na ile udało mu się go podtrzymać. Znowu uśmiechnął się z zadowoleniem. – Wdzięczny jestem za ten zaszczyt. Będę reprezentował radę i zgromadzenie na morzu, na wyspach i we flotach naszych sojuszników. Przysięgam, że będę strzegł naszych zasad: prawości, odwagi i władztwa ludu. Ci z was, którzy mnie znają, mogą zaświadczyć o moich przekonaniach. Dziękuję wam za dzisiejsze głosowanie.

Wiwatowali, gdy skończył, on zaś, trochę dla zabawy, a trochę ze złośliwości, podał rękę jednemu z dwóch pozostałych strategów, zmuszając go do wygłoszenia niezgrabnego przemówienia bez przygotowania. Wypadło dość słabo, lecz Efiates mimo to nagroził je oklaskami. Rada wyszła na obiad, on zaś ruszył na Agorę, gdzie zebrali się dowódcy trzech trier.

– Przyjmijcie mnie do floty jako stratega – oznajmił im.

Efialtes gotował się ze złości, krocząc po pokładzie własnego okrętu. Miał tę przeklętą wyspę Delos tuż przed dziobem, gdy jego triera kołysała się na kotwicy. Widział rząd hoplitów – Ateńczyków! – którzy stali na nabrzeżu i zabraniali mu lądowania, odmawiając zaakceptowania jego pozycji stratega. Upokorzyli go przed jego własną załogą, mężczyznami, którzy wyruszyli w morze z nowo wybranym strategiem i zapamiętają to do końca życia.

Przez trzy tygodnie on i jego kapitanowie pływali od wyspy do wyspy, wizytując pozycje ateńskie lub innych członków sojuszu. Traktowano go jak króla, co było w pełni uzasadnione. Jako jeden ze strategów Efialtes uosabiał zgromadzenie. Reprezentował władzę całych Aten i jej zasięg, aż do ostatniego mężczyzny, kobiety i dziecka. Kiedy się przed nim kłaniali, uznawali tę władzę. Nie jego władzę, ale całego ateńskiego ludu. W końcu był ich przedstawicielem i reprezentował ich honor.

Odmówienie mu prawa wylądowania na Delos było więc zniewagą dla Aten. Nie był jednak zły na siebie, mimo że lochagos na brzegu nie okazywał mu żadnego szacunku. Mężczyzna tylko wzruszył ramionami i splunął, gdy Efialtes powiedział mu, kim jest, jaki ma tytuł i prawo do postawienia stopy na wyspie.

Mimo wszystko tej obrazy nie można było puścić płazem. Zgromadzenie zagwarantowało mu minimalny skład załogi i jedynie dwunastu hoplitów, równie niedoświadczonych w boju jak on w roli stratega. Tylko jeden z dowódców miał wojenne doświadczenie i on dowodził całą resztą. Och, byli silni i w dobrej formie i wyglądali na takich, którzy potrafią się posłużyć włócznią i tarczą, ale nie zmieniało to prostego faktu, że hoplici strzegący Delos mieli nad nimi przewagę liczebną cztery do jednego. Efialtes wyobrażał sobie również, że wojownicy pozostawieni do strzeżenia skarbu muszą być doświadczonymi weteranami. Rzeczywiście, wyglądali na takich, kiedy przyjrzał się im uważniej. Ich tarcze i zbroje błyszczały, lecz daleko im było do nowości. Przywodziły na myśl stare wyposażenie, które wypolerowano na błysk.

Nie byli to też ludzie, których mógłby zaskoczyć nocnym lądowaniem. Po południu obserwował z zakłopotaniem, jak na wzgórzu naprzeciwko nabrzeża

rozpalali ogromne ognisko. W rezultacie dwie w pełni wyekwipowane triery wśliznęły się do portu z drugiej strony Delos. Mało brakowało, a połamałyby mu wiosła, przepływając zbyt blisko i przeklinając zagrożenie, jakie stanowił. Efiertes zrobił się purpurowy na twarzy, słysząc obelgi, jakie wykrzykiwali. Żeglarze byli nieokrzęsani, a on, choć utrzymywał, że lubi prostych ludzi, nie doceniał ich poczucia humoru, gdy było wymierzone w niego. Nie istniał sposób, by uzyskać zgodę na przybicie do brzegu, i to jedno było zupełnie jasne. Efiertes popatrzył w stronę zachodzącego słońca i zbladł na widok wielkiej liczby okrętów, które ukazały się na horyzoncie. Czy przywołał je dym z rozpalonego ogniska? Widział większe żagle na czele nadpływającej siły, co sprawiało wrażenie, jakby flota wspinała się na wzgórze. Najbardziej liczyła się ich liczba, morska siła. Tylko jedna morska potęga dysponowała w tym roku tyloma okrętami. Jego początkowa panika na myśl o Persach zmieniła się w irytację. Kimon. Oczywiście, że to Kimon stał za uporczywą odmową ze strony hoplitów strzegących portu na Delos oraz agresywni kapitanowie jego trier, które jak ważki wyłoniły się zza horyzontu, przez co okręty Efiertesego wyglądały przy nich ślamazarnie. To Kimon był odpowiedzialny za upokorzenie legalnie powołanego urzędnika.

– Jak na zawołanie – powiedział głośno Efiertes, tak żeby słyszeli to członkowie jego załogi. – Kiedy przypłyną, z pewnością przekażę swoje niezadowolenie Kimonowi jako głównemu strategowi Aten.

Rozejrzał się, ale jego dowódcy biegali we wszystkie strony, świadomi bliskiej obecności floty. Sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie usłyszeli jego głośnego komentarza. Efiertes już miał ochotę przemówić znowu, lecz nagle na pokład wbiegło sześciu hoplitów, stając na baczność, podczas gdy keleustes sprawdzał wszystkie części okrętu, oceniając, czy są przygotowane do inspekcji. Wszyscy byli nerwowi, uświadomił sobie z szyderczym uśmiechem Efiertes. To żałosne, jak bardzo ludzie potrafią się płaszczyć w obecności innych. Gdyby nie ta skłonność, z pewnością panowałyby równość.

Przez długi czas stał w lekkim rozkroku na pokładzie ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Słońce zaczynało się zniżać, zmieniając barwę na purpurową i szarą, a sojusznicza flota podpływała coraz bliżej. Dym rozwiewał się na wieczornym niebie, lecz w jej ruchu nie widać było żadnego pośpiechu. Od lądu wiała leciutka bryza, gdy zaczęli zarzucać kotwice wokół jego okrętów i w pobliżu brzegów wyspy.

Efiertes przyglądał się temu, skrywając podziw dla ich liczby. Musiało tam być dobre trzysta okrętów i któż wie, ile dziesiątek tysięcy członków załóg!

Widział ich ostatnio przy rozległych kamiennych nabrzeżach Pireusu, gdzie wiele z tych okrętów było jeszcze w budowie albo właśnie je wodowano. Tam flota pasowała do skali portu. Tutaj, na kotwicy wokół Delos, zdawało się to znacznie większym przedsięwzięciem, potężną siłą, niczym całe miasto-państwo na wodzie.

Efialtes rozprostował ramiona. Kiedy opuszczał Pireus, jego trzy okręty zdawały mu się ostrymi mieczami tnącymi morze. Obserwował bryzgi morskiej piany rozdzielane dziobem i pracę wiosł z dziką radością bijących wodę, ale teraz to wrażenie prysło. Otaczająca go flota sprawiała, że czuł się zagubiony pośrodku jej masy. Gdziekolwiek patrzył, widział mężczyzn szorujących pokłady i splukujących je wiadrami morskiej wody wciąganych na linach. Odwrócił wzrok od widoku kilku bladych pośladków wystawionych za burtę. Podczas pierwszych kilku tygodni na morzu dowiedział się, że większość mężczyzn wypróżnia się wtedy, gdy okręty są w ruchu. Kapitanowie woleli nie stać na kotwicy w porcie otoczeni masą pływających odchodów. Zawsze jednak znalazło się paru takich, których przycisnęła nagła potrzeba. Efialtes zauważył, że kompletnie ignorowali jego obecność. Poczul narastający gniew. Był w końcu strategiem Aten! Przynajmniej Kimon mógłby przysłać po niego łódź.

Dostrzegł, że kapitan usiłuje zwrócić jego uwagę. Nie miał mu nic do powiedzenia i spojrzał w inną stronę. Może szczęśliwie okaże się, że mężczyzna uzna go za surowego i wyniosłego, za człowieka godnego podziwu, czekającego na meldunek. Gdzie łódź, na którą czekał? Z pewnością Kimon nie przeoczył jego obecności. Chyba że świadomie chciał go urazić. Nie zdziwiłoby go takie zachowanie ze strony syna takiego rodu. Eupatrydzi słynęli z popisywania się władzą i autorytetem, często postępując okrutniej wobec ludzi ze swojej warstwy niż tych, których uważali za gorszych. Efialtes zacisnął zęby na tę myśl i wyprostował się. Jeśli taka była ich gra, to on też miał w zanadrzu parę własnych sztuczek.

* * *

Kimon przysłał łódź dopiero po zapadnięciu zmroku, kiedy zrobiło się zupełnie ciemno i cała flota udała się na spoczynek. Od razu zauważył małą grupę okrętów przy brzegach Delos nieomylnym wzrokiem pasterskiego psa, który dostrzegł intruzów. W końcu na wyspie spoczywał ogromny skarbiec sojuszu. Dym nad wzgórzem mógł wyglądać na ostrzeżenie, ale oznaczał raczej coś przeciwnego. Poza znacznymi siłami na wyspie Kimon miał tu jeszcze dwa okręty. Smuga dymu oznaczała po prostu obecność obcych. Kapłani prosili

o odwiedzanie miejsca narodzin Apollina dwanaście razy w roku i dym oznaczał wówczas ich przybycie. Druga smuga dymu wznosząca się w niebo wskazywała poważne zagrożenie. Kimon spieszyłby się wówczas i poganiał swoich wioślarzy aż do wyczerpania.

Liczba i rozmieszczenie sił na Delos była jednym z tysiąca zadań, którymi trzeba się było zajmować co miesiąc. Był to jeden z powodów, dla których nauarcha awansował starszych dowódców, którym ufał. Ksantyppos zrobił to z Kimonem, gdy zaatakowali Persowie, okazując mu zaufanie w środku bitwy. Kimon spojrział na jego syna i uśmiechnął się do siebie. Perykles dorastał pięknie i jego barki będą mogły za jakiś czas udźwignąć więcej. Jego z kolei z pewnością już mniej.

Perykles przyplął do niego, gdy pokład jego okrętu był szorowany piaskiem, myty i porządkowany. Drewniane triery wymagały niemal nieustannej pracy, a każdy dzień przynosił nowe zadania, poczynając od naprawy uszkodzonego masztu po ciągle nacieranie oliwą. Słońce i morze zdawały się stale ją osuszać i wypłukiwać i każdy stopień oraz każda deska okrętu wojennego wymagały po krótkim czasie ponownego oliwienia.

Perykles pogrążony był w cichej rozmowie ze swymi towarzyszami, kiedy Kimon przemierzył pokład i podszedłszy do niego, uśmiechnął się. Kimona szczególnie cieszyło towarzystwo Anaksagorasa i Zenona. Ten pierwszy nie marnował czasu, ożenił się z Atenką, która prędko zaszła w ciążę. Nie posiadał się z radości z tego powodu. Kimon upodobał sobie towarzystwo Epikleosa, choć starszy mężczyzna przygłuchł nieco z upływem lat. Nie była to jego wina, ale trzeba było mówić do niego głośniejszym głosem, co bywało irytujące. Liczyło się jednak to, że Epikleos dobrze znał ojca Kimona i walczył z nim pod Maratonem. Archont cenił każde wspomnienie Epikleosa z tamtych dni i skwapliwie gromadził je w pamięci. Jednak z reguły wolał rówieśników, bo nie miał wówczas poczucia, że któryś z nich mógł się przyczynić do śmierci jego ojca.

Kiedy wysłana łódź wróciła, Kimon radośnie rozmawiał już z towarzyszami. Wszyscy trzymali w dłoniach miseczki z gęstą potrawką i kawałki chleba. Jedzenie było okropne, ale na Delos rosły drzewa owocowe i warzywa i wszyscy już się cieszyli, że następnego ranka powetują to sobie, kiedy zejda na ląd. Ładownie okrętów pełne były talentów srebra przekazywanych jako coroczna danina dla sojuszu i pozostawały pod nieustanną strażą. Bogowie wiedzieli, że Kimon kochał swoich ludzi, ale nie ufał im aż tak, żeby pozostawić niestrzeżone worki ze srebrem.

Podniósł wzrok, gdy nowo przybyły wdrapał się po drabince, odmówiwszy przyjęcia pomocy hoplity, który podał mu rękę, aby wciągnąć go na pokład. Kimonowi zrzędała mina, gdy rozpoznał Efiatesa. Nie znał go dobrze, ale mężczyzna jeżył się w jego obecności za każdym razem, gdy się spotykali, jakby Kimon w jakiś sposób go obraził. Podał miseczkę chłopcu kuchennemu i poszedł, aby przywitać się z gościem.

– Witaj, Efiatesie. Nie powiedziano mi, że przybyłeś. Posłałbym po ciebie wcześniej.

Mężczyzna skłonił głowę przed starszym wodzem, ale nawet to zrobił jakby niechętnie, jakby zgięcie karku wiązało się z wielkim wysiłkiem.

– Zastanawiałem się, czy mnie zignorowano, archoncie – odparł Efiates.

Zamierzał mówić dalej, ale Kimon odezwał się szybciej:

– W tej flocie jestem „nauarchą”, Efiatesie.

Gość uśmiechnął się z triumfem, zachwycony, że ma okazję ripostować w podobnym duchu.

– W takim razie „strategu Efiatesie”, nauarcho – odparł.

– Naprawdę? Zatem gratulacje. Czy twoje okręty są kolejnym uzupełnieniem naszej floty? Są bardzo mile widziane.

– Dowodzę nimi, owszem – ciągnął Efiates. – Z upoważnienia zgromadzenia.

– Wobec tego wszyscy jesteście mile widziani – odparł lekkim tonem Kimon. Nie wydawało się, by nowy tytuł Efiatesa zrobił na nim szczególne wrażenie, i przybysz spąsował. – Właśnie myślałem, że potrzeba mi więcej dowódców...

Ku jego zaskoczeniu Efiates przerwał mu twardym tonem:

– Z upoważnienia, którego nie respektowali twoi hoplici na brzegu oraz kapitanowie dwóch trier na tych wodach. Nie chodzi mi o moją godność, ale o godność zgromadzenia. I z tego powodu muszę złożyć skargę u ciebie jako nauarchy.

– Rozumiem. – Kimon ponownie zmierzył wzrokiem stojącego przed nim mężczyznę. Nie lubił Efiatesa, przyjął więc inny ton. – Jaki rodzaj kary masz na myśli? – zapytał.

Być może ci, którzy znali go lepiej, posłyszeliby w jego głosie nutę ostrzeżenia. Efiates jednak niczego nie zauważył. Poważnie rozważał tę kwestię. Nie chciał, by uznano go za człowieka mściwego, ale obraza była faktem i trzeba było zareagować.

– Myślałem może... o chłóście. O niczym więcej.

Kimon przyglądał mu się długo i uważnie, aż Efiates w końcu zrozumiał, że przesadził. Zarumienił się jeszcze mocniej i podniósł głowę wyzywająco, nie odwracając wzroku.

Wódz kiwnął głową, jakby dostrzegł już wszystko.

– No cóż, twoja skarga zostaje odrzucona, strategu. Moje załogi mają wyraźne rozkazy, aby nie dopuszczać nikogo na Delos pod moją nieobecność albo, jeśli zginę, pod nieobecność zastępującego mnie dowódcy sojuszniczej floty. Rozumiesz? Żaden zwykły kapitan czy strateg nie może tu wylądować. Związek Delijski przechowuje swoje srebro na tej wyspie, symbolu naszego przymierza. Tak więc nie popełnili żadnego błędu. I na pewno nie będę schlebiał twojej urażonej dumie, twierdząc, że jest inaczej. Czy to jasne?

– Ja... nie sędzę...

– Czy to jasne, strategu? – powtórzył Kimon dobitniej.

Efiates skinął głową, a oczy mu zabłyśły.

– Doskonale – rzucił Kimon. – Skoro już to ustaliliśmy, mam nadzieję, że zjesz z nami. Nie mam nic świeżego, ale kucharz robi dobry przecier z jęczmienia, sera i zupy ogonowej. Bądź łaskaw przyjąć zaproszenie i być moim gościem. Wiem, że nasi ludzie na pewno zechcą usłyszeć wieści z domu.

– T-to... – Efiates dalej się jąkał, aż w końcu opanował silne emocje i odetchnął głęboko. Kimon zachowywał się ze swobodą wynikającą z bogactwa i władzy, na jakie pracowały pokolenia. Jeśli żywił wobec kogoś wrogość, z pewnością nie dałby tego po sobie poznać. Jednak Efiates nie sądził, by mógł znieść wspólny posiłek z człowiekiem, który publicznie go upokorzył. Odpowiedział więc tak, jakby w jego żyłach płynęła lodowata woda. –

Chciałbym zostać, nauarcho, ale muszę doglądnąć moich okrętów. Zgromadzenie wysłało mnie z ledwie wystarczającą załogą. Mógłbyś dać mi kilku ludzi?

Nie zrozumiał emocji, która przemknęła szybko przez twarz Kimona. Wyglądało to niemal na żal, gdy nauarcho pokręcił głową.

– Będzie lepiej, jeśli pozwolisz mi wybrać ich dla ciebie, Efiatesie. Jutro wylądujemy wszystkie daniny, a potem poześlujemy na Cypr. To kilka tygodni o żaglach i wiosłach. W tym czasie znajdę ci dobrą załogę. Jeśli pozwolisz moim kapitanom...

– Potrzebuję zaledwie sześćdziesięciu ludzi – rzucił Efiates. – Jeśli nie chcesz mnie urazić, to przypominam ci o mojej nowej randze. Czy nie proszę we właściwy sposób? Odkąd pojawiłem się na tych wodach, jestem blokowany i obrażany. Od tej chwili koniec z tym! Czy podoba ci się moje mianowanie czy

nie, poprosiłem o sześćdziesięciu Ateńczyków. Wyślij ich na moje okręty do jutrzejszego wieczoru.

Kimon spojrzał na niego zimnym wzrokiem, po czym skinął głową.

– Jak sobie życzysz, strategu – odparł.

Efialtes odwrócił się na pięcie i podszedł do drabinki, po czym zszedł do czekającej nań łodzi. Kimon spojrzał na stojących dalej Peryklesa, Anaksagorasa, Zenona i Epikleosa. Wszyscy, rzecz jasna, patrzyli ze zdumieniem. Na otwartym pokładzie nie mogli nawet udawać, że nie słyszeli.

Kimon pokręcił głową, podszedł do nich i wziął swoją miseczkę. Potrawka stężała już zupełnie, ale oddzielił kawałek i włożył do ust, po czym żuł wytrwale.

– Jeśli pozwolisz kapitanom wysłać, kogo zechcą – odezwał się Perykles – to otrzyma najgorszych leniuchów, złodziei i rozrabiaczy z całej floty.

– Tak – powiedział Kimon. – Próbowałem mu to wytłumaczyć. Ale nasz przyjaciel nie chciał słuchać.

Perykles zastanawiał się, czy kiedyś widok floty pod pełnymi żaglami przestanie budzić w nim zachwyt. Z lekkim wiatrem mknęli na południe jak klucz dzikich gęsi, a sternicy czuwali nad utrzymaniem szyku. Hoplici w wypolerowanych spizowych zbrojach przechadzali się po pokładach. Była w tym radość, szybkość i wszystko, co ukochał.

Jedynie widok okrętów Efiatesa psuł mu humor tego ranka, już po całych tygodniach żeglugi na południe od Delos. Świeżo mianowany strateg uznał za swoje zwycięstwo przyjęcie sześćdziesięciu ludzi mających uzupełniać ławki wioślarzy i wciągać żagle na maszty. Stało się jednak tak, jak przypuszczał Perykles, który lepiej znał flotę. Połowa kapitanów sojusznicznych okrętów miała w swoich załogach ludzi niezbyt lubianych, pijaków i wichrzycieli, którzy irytowali i demoralizowali pozostałych. Byli szczęśliwi, mogąc się ich pozbyć.

Widać to było już od pierwszego dnia. Okręty pod dowództwem Efiatesa potrzebowały najbardziej doświadczonych ludzi, którzy mogliby szkolić świeże, niezgrane załogi. Zamiast tego jego triery wlokły się w ogonie floty, najwyraźniej nie potrafiąc utrzymać kursu ani właściwej szybkości. Co gorsza, Efiates wyznaczył niektórych nowych ludzi na dowódców mających czuwać nad resztą. Perykles słyszał, że stali się oni tyranami najgorszego rodzaju, podlizującymi się nowemu strategowi i gnębiącymi podwładnych. Opowiadano, że na pokładach tamtych okrętów codziennie urządzano chłosty i połowa ludzi miała na plecach świeże rany. Najwyraźniej nie pomagało to w przywróceniu dyscypliny.

Anaksagoras zauważył, w którą stronę Perykles kieruje ponure spojrzenie, podszedł i stanął obok niego. Wysoki Jończyk zawsze wypatrywał relingu, aby się na nim oprzeć, ale oczywiście na środku otwartego pokładu go nie było. Wielka rufa wznosiła się i opadała i tylko kilka kroków dzieliło ich od burty i upadku w fale. Reszta załogi musiała stać na obowiązkowych wachtach tak długo, aż bolały ich stopy. Anaksagoras odczuwał ten dyskomfort bardziej niż inni i od czasu do czasu masował się po krzyżu. Robił to też, śledząc wzrokiem

trzy ciągnące się daleko w tyle okręty. Jeden z nich cały czas lawirował, przecinając własny kurs i nieustannie tracąc stabilność.

– Powiedz mi, w jaki sposób ten człowiek został mianowany strategiem – mruknął Anaksagoras.

Perykles się uśmiechnął.

– Zgromadzenie co roku wyznacza dziesięciu strategów. Niektórzy się utrzymują, a ich ponowne mianowanie jest niemal formalnością. Mój ojciec był jednym z nich, Arystydes jest drugim. Inni odpadają, jeśli w służbie się nie wyróżnią. Za wcześnie jeszcze osądzać, jak Efialtes sobie poradzi.

– Doprawdy? – rzucił Anaksagoras.

Perykles się roześmiał. Zawsze z lubością dochodził do wniosku, że Anaksagoras potrafi być bardzo zabawny. Na początku łatwo było to przeoczyć. Jończyk rzadko się śmiał, inaczej niż Zenon, któremu wino często pryskało nosem. Anaksagoras co prawda ożenił się z Atenką, ale wciąż pozostawał trochę z boku, jak obserwator. W połączeniu z nadzwyczaj bystrym umysłem nadawało to jego spostrzeżeniom zawsze świeżą perspektywę. Zenon mawiał, że nie ma takiego problemu, którego tamten nie zdołałby rozwiązać, mając czas i ochotę. Był to rzadki komplement.

– Zdziwiasz się, ile niezgody zdążył zasiać w ciągu ledwie kilku tygodni – powiedział Perykles. – Rzuca Kimonowi wyzwanie, jakby była to sprawa osobistego honoru, a zarazem brakuje mu wiedzy, żeby temu sprostać. Nie, morze zdecydowanie nie jest jego żywiołem, Anaksagorasie. Czasami ludzie, głosząc, wynoszą do władzy głupca. Jedyna pociecha w tym, że mogą go również odwołać. Tyran utrzymałby się nieco dłużej.

– Może wcześniej zabije go własna załoga – wtrącił się Zenon, podchodząc do nich z tyłu.

Wszyscy trzej patrzyli wstecz ponad rufą. Kimon płynął na własnym okręcie, niecałe sto kroków od nich. Ta sama bryza wypełniała ich żagle w braterstwie wspólnej żeglugi. Gdy tylko Perykles o tym pomyślał, zauważył, że Kimon też przeszedł na rufę i śledził wzrokiem okręty, które zostawały coraz bardziej w tyle. Nie było potrzeby zgadywania jego myśli. Kimon wyraził je bardzo jasno, choć nie w obecności innych kapitanów floty.

– Jeśli dręczy się psa dostatecznie długo, w końcu rzuci się on na swego pana – stwierdził Perykles. – Jeśli jednak się zbuntują, Kimon będzie musiał wysadzić ich na brzeg, aby zginęli z głodu lub wrócili do domu jako żebracy. A gdyby doszło do przemocy, musiałyby ich powiesić. Są wolnymi ludźmi. Nie muszą służyć we flocie. – Potarł szczękę, czując ślad niegolonego zarostu. – Myślę

jednak, że Kimon zacznie działać, zanim do tego dojdzie. Jeśli rozdzieli ludzi Efialtesa między sto okrętów, zdoła ich jeszcze uratować. Będą mieli okazję zobaczyć, jak wygląda porządna załoga i czego się od niej oczekuje.

– Wedle teorii, że dobre jabłka zmieniają te zgniłe w dobre? – powiedział Anaksagoras. – Być może. Albo podkopią dyscyplinę w całej flocie. Jedno zgniłe jabłko na każdym okręcie może wywołać zamęt, nie sądzicie?

– Zgniłemu jabłku nie wybiją zębów, jeśli porozmawia z doświadczonym człowiekiem – ripostował Perykles. Machnął ręką. – Tak czy inaczej, ludzie to nie jabłka.

– Nie? A nasz przyjaciel strateg wyraźnie kwasi mi humor – mruknął Anaksagoras.

Na drugim końcu okrętu wachtowy krzyknął z całych sił:

– Płycizna! – Pokazał ją lewą ręką i sternicy skorygowali kurs, oddalając tryerę od możliwego zagrożenia.

Byli na odcinku między wyspami, kierując się na południe, a potem na wschód, jak pomiędzy kamieniami w strumieniu. Tym szlakiem Perykles płynął kiedyś z ojcem i bratem i przez chwilę dopadły go wspomnienia. Rodos leżała na południu, a gdy mijali jej północny cypel, na horyzoncie ukazała się Persja, rozległa i nieznana.

Ta myśl przypominała mu o celu, w jakim zapuścili się na te wody. Pierwszy zauważył brak perskich statków i miał nadzieję, że się nie zbłąźnił. Mimo że Kimon wiele mówił o tym, jak ważne jest, by ich flota była widziana, Perykles nie chciał, by zakwestionowano jego osąd. Po usilnych poszukiwaniach mogło się na koniec okazać, że nic nie wykryją.

Oderwał wzrok od nieporadnie wlokących się za flotą trzech okrętów. Był to raczej problem Kimona, nie jego. Perykles osłonił oczy i zaczął wypatrywać choćby pojedynczych perskich jednostek jakiegokolwiek rodzaju. Mrużył oczy i rozglądał się, ale najwyraźniej ta niepojęta pustka się utrzymywała. W południowej części morza nie było najmniejszego śladu żagla. Żadnej rybackiej łodzi czy statku handlowego, nie mówiąc o okrętach wojennych.

To prawda, że Persja była imperium lądowym. A jednak dziwnie było patrzeć na zupełnie puste morze wzdłuż widocznej na południu linii brzegowej. Perykles poczuł, że od długiego wypatrywania pieką go oczy, ale był zadowolony, że nie zajął Kimonowi czasu fałszywym alarmem. Było coś szczególnego w tej nieobecności. Miało się uczucie, jakby nadciągał sztorm.

W miarę posuwania się floty bryza niemal zupełnie ustała. Prawie równocześnie ściągnięto żagle i z grzechotem wysunęły się wiosła, nadając

okrętom szybkość jeszcze większą niż przedtem. Perykles nie mógł się powstrzymać od zerkania na okręty Efiatesa. Płynęły koślawo, jakby uderzyły w jakiś niewidzialny brzeg i miały się niespokojnie na wodzie. Wysunęły się z nich wiosła i triery cofnęły się bez widocznego powodu. Gdyby ta sytuacja nie miała się zakończyć kolejną wieczorną chłostą, byłoby to może zabawne. Ale Perykles zacisnął bezradnie pięści.

W domu, na Pnyksie, Efiates przemawiał dobrze i jasno, zgodnie z własnymi przekonaniami. Stojąc na ziemi, czuł się pewnie, ale morze było inne i nie wybaczało błędów. Ludzie na morzu byli odślonięci. Niewątpliwie Efiates złożył mnóstwo nowych skarg, kiedy Kimon zwoła dowódców na wieczorną odprawę.

Pokręcił głową i odwrócił się. Jego uwagę przykuło przy tym miejsce, na które trudno byłoby nie patrzeć. Zauważył, że Zenon wciąż spogląda zafascynowany za rufę, lecz Anaksagoras patrzył już w nowym kierunku, skupiając uwagę daleko poza flotą.

Na perskim brzegu ziało szerokie ujście rzeki, coraz szersze, w miarę jak je mijali. Przez krótką chwilę Peryklesowi wydało się, że w głębi rzeki, na granicy widoczności, dostrzega jakieś zarysy. Podniósł dłonie, aby osłonić oczy, lecz dostrzeżony widok był zaledwie krótkim mignięciem, jak ruch ptasiego skrzydła, i po chwili zniknął w zamglonej dali. Słońce było coraz niżej i pomyślał, że lada moment Kimon wyda rozkaz przybicia do tego brzegu i rzucenia kotwic na noc. Cypr leżał na południe od nich, ale dotarcie do tamtejszego, znanego im wybrzeża wymagałoby całego dnia żeglugi.

– Zastanawiam się, jak daleko w głąb lądu prowadzi ta rzeka – powiedział marzycielsko Anaksagoras. – Kiedy mieszkałem w Jonii, perscy kupcy mawiali, że imperium nie ma końca, że ciągnie się w nieskończoność. Opowiadali o górach, dolinach i tysiącach nieznanych nam miast.

– Myślisz, że mówili prawdę? – zapytał Zenon.

Anaksagoras wzruszył ramionami.

– Któż to wie? Jak dotąd płyniemy już wiele dni wzdłuż perskiego wybrzeża. Widzieliście tę rzekę? Jej ujście jest szerokie jak Hellespont, ale nigdy nie widziałem jej na mapie ani nie słyszałem jej nazwy. Jest tyle rzeczy na świecie, których nawet nie zobaczę! To upokarzająca myśl. Tym bardziej dla ciebie, Zenonie.

– Dlaczego dla mnie?

– Chodzi o twój wzrost, przyjacielu. Nigdy nie zobaczysz tyle świata co ja, ponieważ twój punkt widzenia jest znacznie niższy od mojego.

Zenon spojrział na niego z wyraźnym zdumieniem. Perykles już wiele razy słyszał podobne ich kłótnie.

– Uważasz, że człowiek na drabinie jest mądrzejszy od człowieka na ziemi? – zaczął Zenon.

Perykles roześmiał się i zostawił ich samych. Poszedł na rufę, żeby opróżnić pęcherz, zważając, by stanąć z wiatrem. Jedynymi okrętami, jakie widział, były te należące do Związku Delijskiego, do ich własnej floty. Do jego ziomków.

* * *

Sygnal do lądowania przyszedł jeszcze przed wieczorem, mieli więc sporo czasu. Kimon zawsze dbał o to, by było dość dziennego światła i wystarczająca odległość do brzegu, by kapitanowie mogli ostrożnie wpłynąć na płytkie wody i rzucić kotwice, nie ryzykując zgniecenia kadłubów. Kapitanowie byli mistrzami w podpływaniu do brzegu; wiosłowano z minimalną prędkością przez wodę dostatecznie przejrzystą, by chłopak na dziobie mógł oceniać głębokość na oko. Gdy zbliżał się wieczór, w wielkiej flocie panował spokój, załogi zasiadały na pokładzie, toczono rozmowy, jedzono i grano w kości albo reperowano sprzęt bojowy. Niektórzy snuli różne opowieści albo brzdąkali na instrumentach własnej roboty, akompaniując innym do pieśni starych jak świat. Zanim zrobiło się ciemno, niektórzy wiosłarze brali łódkę albo płynęli wpław na brzeg, gdzie zastawiali sidła albo szukali owoców. Zabierali ze sobą broń, ale na tych nagich, spalonych słońcem, brunatnych wzgórzach nie było śladu nawet pasterzy czy wieśniaków.

Był to czas odpoczynku i spokoju dla tych, którzy cały dzień wiosłowali. Inaczej dla dowódców. Po dniu obserwowania okrętów Efiatesa Perykles nie był zdziwiony, gdy wezwano go na okręt flagowy, choć nie miał jeszcze odpowiedniej rangi we flocie. Poniżej trzydziestki nie mógł być strategiem, archontem, epistatesem w zgromadzeniu ani sędzią. Mógł jedynie głosować w dowolnej sprawie albo zasiadać w sądach przysięgłych. Mógł opowiadać się po stronie obrony albo po stronie oskarżenia w każdej sprawie, jeśli strony się na to zgadzały. Nie cieszył się jednak pełnym zaufaniem w kwestiach, w których chodziło o ludzkie życie, bo nie nabył jeszcze *praotes* – spokoju dojrzałego mężczyzny.

W rezultacie Perykles nie odpowiedział na pierwsze wezwanie dla starszych dowódców, dopóki Kimon nie posłał po niego łodzi. Potem zrozumiał, że cieszy się tak wielkim zaufaniem swego przyjaciela, jak mało kto z pozostałych. Może dlatego, że miał za sobą podobne doświadczenia, choć nie lubił o nich myśleć,

a może też dlatego, że ich ojcowie dobrze się znali. Uświadomił sobie, że Kimon jest takim człowiekiem, jakim on musiał się stać. Perykles próbował traktować go jak równego sobie, czując, że Kimon tego potrzebuje. Wódz był młody jak na przywódcę Związku Delijskiego. Kapitanowie i archonci akceptowali jego władzę jako nauarchy nad nimi wszystkimi. Perykles zmarszczył brwi na tę myśl. Jak na ironię, tylko Efiates kwestionował jego autorytet, choć był Ateńczykiem z urodzenia.

W gasnącym świetle dnia zauważył Efiatesa, który kiwnął na powitanie i wspiąwszy się na pokład, zbliżył do nich. Westchnął, ujrawszy gniewny wyraz jego twarzy. Może za sprawą dnia spędzonego na nieustannym użeraniu się z niesfornymi załogami Efiates był w złym nastroju. Przywiózł ze sobą jednego załoganta, który wygładził szatę i płaszcz stratega, gdy ten stanął już na pokładzie. Efiates zerknął na Peryklesa i zupełnie go zlekceważył, krzywiąc się.

– Gdzie nauarcha Kimon? – zapytał.

Mówiąc to, nie patrzył na Peryklesa, który nie odpowiedział. Strateg irytował go w sposób, którego nawet nie potrafił nazwać. Niektórzy ludzie są po prostu głupcami. Perykles zauważył, że asystujący strategowi załogant wynurzył się z cienia swego pana. Poczul nagły ucisk w gardle.

Attikos skinął mu głową, gdy ich spojrzenia się spotkały. Mężczyzna powracał nieustannie, jak fatum. Perykles nie widział go od tygodni, lecz kilka rzeczy zrozumiał natychmiast. Kapitan, który przywiózł Peryklesa, skorzystał z pierwszej okazji, by pozbyć się człowieka, którego kazał kiedyś wychłostać, Attikos zaś łatwo awansował pod skrzydłami kogoś pokroju Efiatesa. Mężczyzna był trochę nerwowy, co wydawało się zrozumiałe. Perykles się zastanawiał, ile z całej tej historii poznał Efiates. Kimon też pewnie chciałby go zobaczyć, choć nie byłoby to przyjemne spotkanie.

– Pytałem, gdzie nauarcha Kimon – powtórzył Efiates. – Czy już nie wita swoich towarzyszy? – Tym razem zwrócił się wprost do Peryklesa.

Młodzieniec oderwał wzrok od Attikosa.

– Spotkanie już się rozpoczęło, strategu. – Zamilkł na chwilę, lecz nie mogąc się powstrzymać, dodał: – Jakiś czas temu. Nauarcha Kimon jest w pokoju zebrania pod pokładem, ze wszystkimi strategami i dowódcami sojuszu. Przybyłeś jako ostatni. Poprosił mnie, żebym na ciebie poczekał.

Efiates poczerwieniał. Spóźnił się, bo przypłynęli parę godzin za innymi. Nie znaleźli bezpiecznego miejsca do zakotwiczenia przed zapadnięciem zmroku i musieli zaryzykować bezpieczeństwo załóg i kadłubów. Załogi nie spieszyły się

też zanadto w dostarczeniu Efiatesa na okręt flagowy. Wydawało się jednak, że ta świadomość tylko pogłębiła jego uczucie rozżalenia.

– W takim razie opóźniasz mnie jeszcze bardziej – warknął. – Dalejże!

Perykles zawrócił na pięcie i poprowadził mężczyznę po schodach na dół. Słyszał szmer rozmów i śmiech zebranych tam ludzi, brzmiący jak brzęczenie pszczoł. Za chwilę się to zmieni, pomyślał. Przyprowadził osę.

Przytrzymał drzwi i Efiates wszedł do środka. Attikos stanął z tyłu.

– Mam nadzieję, kyriosie... – zaczął mały żylasty mężczyzna.

Perykles zamknął mu drzwi przed nosem. Był to drobiazg, ale gdy wrócił do pokoju, wciąż jeszcze się uśmiechał.

Gwar rozmów ucichł. Większość zebranych trzymała pucharki z winem i w powietrzu zawisła atmosfera wesołości, która stężała, gdy Efiates uniósł podbródek i popatrzył gniewnie.

– Spodziewałem się ciebie już od dłuższego czasu – rzucił Kimon.

Odezwał się łagodnym tonem, ale Efiates wyraźnie odebrał to jako napomnienie.

– Nie przysłano mi w porę powiadomienia, nauarcho Kimonie.

– Naprawdę? No cóż, teraz to już bez znaczenia. Przybyłeś. Nie ma już żadnych ważnych problemów do przedyskutowania. W gruncie rzeczy wydaje mi się, że możemy wznieść toast za dobry dzień i rozejść się na posiłek i nocny spoczynek.

Wzniósł puchar i wszyscy stłoczeni w pomieszczeniu zrobili to samo. Nastrój był lekki i tylko Efiates stał przy drzwiach jak chmura gradowa. Wychodząc, dowódcy prowadzili swobodne rozmowy, a w pomieszczeniu ponownie zapanował klimat przyjaźni i zadowolenia.

– Hm... strategu Efiatesie? – powiedział Kimon. – Chciałbym prosić cię na słowo, jeśli można.

Tamten skinął sztywno głową i zaczekał, aż wszyscy wyszli. Wielu zerkało na niego, niektórzy z wyraźnym rozbawieniem. On jedynie zmarszczył brwi, trwając tak godnie, jak tylko zdołał.

Nad głowami słyszeli stłumione wołania do czekających łodzi i kroki mężczyzn przechodzących otwartym pokładem. Ciasny pokój mieścił się w ładowni na rufie. Perykles zauważył w kącie worki z mąką, których wcześniej nie było. Pomieszczenie było zbyt małe, nawet dla grupy najstarszych dowódców, ale wciąż zdawało się rozbrzmiewać echem, gdy wszyscy wyszli, zostawiając Kimona i Peryklesa sam na sam z ateńskim strategiem.

Perykles skłonił się i postąpił ku drzwiom, aby zapewnić tamtym warunki do rozmowy. Miał niejaki wyobrażenie, o czym Kimon chce mówić, i nie palił się do roli świadka, którego Efiates być może chciałby kiedyś powołać. Uchylił je do połowy, gdy Kimon się odezwał:

– Zostań, proszę, Peryklesie, dobrze? Chciałbym, żebyś mógł potwierdzić to, co się tu wydarzy.

Serce mu zamarło. W półotwartych drzwiach dostrzegł Attikosa, który miał wyraźnie speszoną minę. Bez wątpienia podsłuchiwał, pomyślał Perykles.

Wyglądało na to, że Efiates również wyczuł wiszącą w powietrzu kłopoty. Jego reakcją był atak, przemówił prędko, uprzedzając Kimona:

– Co to ma znaczyć? Odsyłanie ludzi i zatrzymywanie mnie tutaj? Zapraszanie później i kończenie zebrania, gdy przybywam! Żądam jedynie szacunku odpowiedniego do mojej rangi, nauarcho, niczego więcej.

– Jeśli zwolnię cię z twoich obowiązków, Efiatesie, już nigdy nie będziesz nic znaczył w Atenach.

Strateg zmrużył oczy.

– Bez dostatecznych powodów, archoncie Kimonie, zmuszę cię do wytoczenia mi procesu, jeśli poważysz się na coś takiego. Rozumiesz? Nie jesteś ponad prawem! Dziwię się, że muszę tłumaczyć takie rzeczy synowi Miltiadesa! Jeśli spróbujesz zaszkodzić mojemu imieniu z nienawiści lub zazdrości, nie ujdzie ci to na sucho. – Zerknął na Peryklesa, który stał jak porażony tym, co usłyszał. – I nieważne, kim są twoi przyjaciele.

Perykles obserwował Kimona. *Praotes* to rodzaj spokoju, ale nie między przyjaciółmi ani w słoneczny dzień. Mężczyźni przywoływali *praotes* podczas sztormu, kiedy liczyło się najbardziej. Ci, którzy je mieli, szcycili się, że potrafią stawić czoło nieszczęściu z pogodnym uśmiechem. Kimon właśnie je wykorzystał.

– Dowodzę flotą, Efiatesie. Nie, pozwól mi odpowiedzieć. Nie zawarliśmy pokoju z Persją. Pozostajemy w gotowości do wojny, przynajmniej chwilowo. Nie będę więc przekonywał cię do swoich racji. Jakikolwiek jest powód twojej wrogości, ja jej nie podzielam. Też jestem Ateńczykiem, ale jestem także nauarchą większej floty, odpowiedzialnym za dyscyplinę i zachowanie kapitanów pozostających pod moim dowództwem. Czyli ludzi takich jak ty, strategu. Mógłbym wyznaczyć bardziej doświadczonych kapitanów dla twoich okrętów. I może powinienem to zrobić.

Efiates znowu zaczął coś mówić, ale zamilkł, kiedy Kimon uniósł stanowczo dłoń. Podległość wyraźnie zraniła stratega, który jeszcze bardziej spłoszył, tak

że jego twarz przybrała kolor ceglastej czerwieni.

– Jako nauarcha chcę utrzymać naszą władzę na morzu... jako Ateńczyk zaś nie chcę być świadkiem, jak ośmiesza się i upokarza moich starszych dowódców we flocie! Dlatego zwrócisz swoich najgorszych ludzi na poprzednie okręty. Położę zdecydowany nacisk na lepszy wybór tych, którzy zostaną wysłani do ciebie, żebyś nie przyjmował więcej takich szumowin.

– A więc tak to się odbyło! – rzucił Efiates. – Czy powodem był twój zły humor, czy może chodziło o to, żeby dać mi lekcję? Powiniennem wiedzieć...

Kimon ciągnął dalej, jakby go nie słyszał:

– Wyślę ci cztery tuziny najlepszych, jakich mamy, włączysz ich do swoich załóg. Jeśli nadal będzie ci brakowało ludzi, będziesz musiał jakoś sobie poradzić. Przekonasz się, że ci, których ci pošlę, różnią się od tych, których masz teraz. Dokonamy zamiany na Cyprze, jutro wieczorem, jeśli Posejdon pozwoli.

– Ja nie...

– To rozkaz, strategu Efiatiesie. Jeśli odmówisz jego wykonania, nie uratuje cię żaden proces na Pnyksie. Przekonał się o tym mój ojciec. To Ksantyppos wystąpił przeciwko niemu tamtego dnia, wiedziałeś o tym? Ojciec Peryklesa działał na rzecz Aten, aby ukrócić człowieka, który przesadził, co kosztowało życie wielu ludzi. Nie wyobrażaj więc sobie, że jestem nieświadomy konsekwencji porażki albo utraty honoru. Byłem tam wtedy. Rozumiem też i biorę na siebie odpowiedzialność za bycie nauarchą tej floty. Zrozum to, Efiatiesie, a wszystko będzie między nami w porządku.

Perykles przekonał się naocznie, że Kimon osiągnął najwyższy standard dowódczy. Efiates patrzył wybałuszonymi oczyma jak ryba złapana w sieć. Gdy skinął głową, jego twarz była zimna i pozbawiona wyrazu.

– Podejrzewam, że nigdy nie zrozumiesz ludzi z moich załóg, nauarcho Kimonie. Nie mieli twoich przywilejów. Nie nauczyli się też klękać przed władzą, jak niektórzy by chcieli. Jednakże akceptuję twój autorytet w obecności twego świadka. Nie będziesz mógł temu zaprzeczyć. Czy mogę już odejść?

Kimon poczuł się urażony mściwością tego człowieka i Perykles widział to doskonale. Nauarcha opuścił głowę i odwrócił się, nie widział więc wychodzącego Efiatesa. Perykles przez chwilę stał niepewny, czy też powinien wyjść, czy może będzie jeszcze potrzebny.

– Tak naprawdę wcale nie muszę go przekonywać – powiedział w końcu Kimon. – Chcę tylko, żeby jego okręty utrzymywały szyk i nadążały za resztą. – Uśmiechnął się, ale z wyraźnym bólem. – Przypuszczalnie ma rację, bojąc się

pozbawienia dowództwa. Pewnie mógłbym to zrobić, ale zgromadzenie mogłoby też odebrać mi wszystko, co dla mnie coś znaczy.

– Naprawdę? – zapytał Perykles. – Sojusz to teraz więcej niż same Ateny. Może mógłbyś pozostać nauarchą.

– Nie, jeśli wyznaczą kogoś innego na dowódcę ateńskiej floty – odparł Kimon. – A jeśli, dajmy na to, tym kimś byłby Efiates... – Pokręcił głową. – Nie. Będę stąpał bardzo ostrożnie... – Przerwał, gdy Perykles podszedł do drzwi i otworzył je.

Ujrzeni podsłuchującego Attikosa, który natychmiast odskoczył w tył.

– Tylko wiązałem rzemień sandała – rzucił chytrze, nie kryjąc się zbyt. –

– Wracaj do swego pana – powiedział zimno Perykles.

Mężczyzna ukłonił się i zniknął. Perykles zamknął drzwi i westchnął.

– Mógłbyś wysłać Efiatesa w górę tej rzeki, którą mijaliśmy. Dałoby mu to jakieś zajęcie na kilka dni. Wydawało mi się, że dostrzegłem tam żagiel, a Anaksagoras stwierdził, że nie mamy map perskiego wybrzeża.

Kimon spojrział z zainteresowaniem, choć równocześnie pokręcił głową.

– Nigdy nie spotkałem człowieka bardziej podatnego na bunty załogi albo gotowego zaryć kadłubem w błotnisty brzeg. Nie, choć to bardzo kuszące, ale nie zaoferowałem mu wymiany ludzi lekką ręką. Dam mu załogi z prawdziwego zdarzenia, którym naprawdę ufam. Wolę raczej go urazić i zyskać trzy sprawne okręty, niż go zadowolić i je stracić.

Perykles przeczuł to, zanim te słowa padły. Otworzył usta, żeby zaoponować, po czym zamknął je, gotów przyjąć cios.

– Ludzi, którym ufam... takich jak ty, Peryklesie – dokończył Kimon.

Wyglądał na nieco zakłopotanego. Miesiące na morzu z Efiatesem będą trudne, ale taka była natura służby, a także *praotes*. Perykles przełknął niepewnie ślinę.

– Chciałbym zabrać Anaksagorasa, Zenona i Epikleosa – powiedział.

– Nie targuj się, Peryklesie. Dam ci wszystko, czego będziesz potrzebował. W ciągu sześciu miesięcy flota będzie wzmocniona, a nasz nowy strateg nauczy się kochać morze.

– Mam nadzieję.

Kimon uśmiechnął się, lecz po chwili zmarszczył brwi i wyraz jego twarzy się zmienił.

– Zdawało ci się, że widziałeś żagiel? Dzisiaj?

Perykles machnął dłonią.

– Może jednak nie. To mógł być ptak.

– Nikt o niczym nie donosił.

– Ja też nie. – Perykles wzruszył ramionami.

Kimon kiwnął głową. Szybko podjął decyzję.

– Powiosłuj z powrotem i wpłyn tam o świcie, rozumiesz? Zanim podniesiemy żagle. Przeprowadź rozpoznanie do pierwszego zakola i wracaj.

* * *

Artabazus czekał w ciemnościach. Na brzegach Eurymedonu nie rozpalono żadnych ognisk po tym, jak Grecy zakotwiczyli wzdłuż wybrzeża. Na pokładach i na lądzie jego ludzie w milczeniu jedli zimny posiłek. Było tak, jakby w pobliżu pływał wygłodniały lewiatan. Poczłł pot spływający kroplami po policzku. Otarł go, czując przy tym, jak bardzo zeszywniały mu mięśnie. Kiedy był chłopcem, stłukł talerz, który bardzo lubił jego ojciec, po czym godzinami czekał na jego powrót, lękając się ojcowskiego gniewu i kary. Było to gorsze od rzeczywistej reprimendy, tego był pewien. To, co teraz czuł, stanowiło echo tamtego lęku: wypatrywanie zmroku, czekanie na rychłą burzę, gniew i przemoc. Czuł, że drży, i przeklinał swoje nerwy. Miał oddziały Nieśmiertelnych i flotę większą od greckiej! Był z nimi król, w namiocie bardziej przypominającym pałac niż obozowe posłanie. Czego zatem się lękał? Przecież był teraz raczej jak jego ojciec wracający do domu, zagniewany, trzymający ramię! Takie myślenie było lepsze. Zacerpnał głęboki haust powietrza i sięgnął po małą lepką kulkę. Jeszcze jedną, dla ukojenia nerwów i przywołania snu. Flota rankiem odpłynie.

Drgnął, słysząc jakiś hałas w ciemnościach. Chciał użyć pochodni do oświetlenia obozu, ale zabraniał tego jego własny rozkaz. Brzmiało to jak kroki jego ojca na schodach, powolny chód, który go przerażał. Wyruszył do Grecji i spalił Ateny. A oni podążyli za nim aż na Cypr. Teraz zaś przybyli znowu, ścigając go nieustannie, dręcząc lękami. Pozwól mi zasnąć, błagał. Będę już dobry. Proszę, pozwól mi zasnąć.

Perykles patrzył, jak fałdy żagla opadają na pokład, ściągane przez kilkanaście par sprawnych rąk. Żagiel był sztywny od soli, poznaczony plamami krystalicznych, połyskliwych zacieków. Widział również miejsca, w których został połamany. Płótno ucierpiało, zużyło się w trakcie żeglugi, jak wszystko inne. Jego wizja wielkiej floty była nieco inna, podczas gdy w rzeczywistości były to nieustanne naprawy. Na zadbanych, dobrze utrzymanych okrętach do napraw przystępowano, zanim jakaś ważna część pękła lub uległa nieodwracalnemu uszkodzeniu. Dla niektórych członków sojuszu, zwłaszcza tych ze starszymi okrętami, chwila taka następowała, ilekroć powiał wiatr.

Uśmiechnął się na widok Anaksagorasa i Zenona zwijających żagiel. Umieci być przydatni pomimo braku formalnych funkcji w załodze. Perykles podejrzewał, że Anaksagoras potrafiłby narysować z pamięci plan całej triery, bo tyle razy przeprowadzał szczegółową inspekcję. Zdążył już zasugerować nowy kształt sterowego rumpla, który Kimon obiecał zamówić i przetestować.

Wiosła robiły wielki hałas, gdy wysuwano je spod pokładu, kawałek po kawałku, aż w końcu dotknęły wody. W przeszłości pojedyncze ławki pozwalały okrętom na niewielką szybkość. Później trzy rzędy wiosłarzy wyćwiczonych w tym zawodzie sprawiły, że triery stały się znacznie szybsze, a szybkość oznaczała też siłę. Udowodniła to bitwa pod Salaminą.

Ze zrolowanym i związanym żaglem oraz wysuniętymi wiosłami okręt wsunął się w głąb ujścia rzeki, które stało przed nimi otworem. Perykles nagle skojarzył to z połykającą ich paszczą i zachichotał nerwowo. Takie rzeczy mogły być zwykłymi fantazjami albo przesłaniem od bogów. W noc przed jego urodzeniem matka śniła o lwie. Wciąż nosił ten sen w sobie jako symbol swojej woli. Cokolwiek oznaczał, sama ta świadomość dawała mu siłę.

Perykles patrzył, jak kapitan przechodzi na dziób. Chłopiec okrętowy wspiął się na maszt jak małpka i przywarł do niego w najwyższym punkcie. Na obcych wodach cała załoga stawiała się nerwowa, co Perykles widział wyraźnie. Nieznane prądy mogły znieść trierę, a pod powierzchnią wody mogły się kryć skały albo piaszczyste lub kamieniste mielizny, które mogły schwytać okręt

w objęcia mocno jak kochanka. Kiedy cała flota wraz z Kimonem czekała na ich powrót, byłoby to upokorzenie, którego za wszelką cenę pragnęli uniknąć.

Ujście rzeki było szerokie, w kształcie rybiego ogona. Wody były brunatne, spienione, brudne od piasku i szlamu niesionego z nieznanymi gór. Gdy okręt wpłynął na czystszy ton, Perykles wbił oczy w dal. Siłę rzecznoego nurtu dało się odczuć natychmiast i wiosłarze zaczęli wiosłować z całych sił, żeby utrzymać tempo. Parli naprzód w głąb wielkiego kanału jak samotna strzała.

Kiedy oddalili się nieco od morza, prąd stał się mniej gwałtowny. Wiosła pracowały teraz spokojniej, a szybkość wzrosła, choć od pierwszego zakrętu dzieliła ich jeszcze spora odległość. Widać było wyrastające nad wodą wzgórza z czerwonej gliny, porośnięte starymi drzewami i krzewami trzymającymi się stromych zboczy. Nad głowami przelatywały nisko ptaki. Kwitło tam życie.

Kapitan na dziobie wykonywał drobne, szybkie ruchy, niemal ptasie, wpatrzony w wodę. Perykles mu współczuł. Rzeka znów pełna była szlamu. Mogli nawet nie zauważyć podwodnej skały, która z łatwością rozprułaby kadłub. W chwili refleksji wspomniął z dumą ojca, który mawiał, że kiedy już nic nie da się zrobić, to okazywanie strachu nie ma sensu. Kiedy zły czas minął, ludzie wspominali tych, którzy stawili czoło śmierci z zupełnym spokojem. Stał wyprostowany na pokładzie, patrząc na świat zupełnie różny od tego, który znał.

Wiosłowali w stronę pierwszego dużego zakola. Na brzegach widać było tylko stada pasących się dzikich kóz. Rozbiegły się, gdy dostrzegły ich samotny okręt, co wyraźnie znaczyło, że widok ludzi i ich głosy nie były im obce. Widząc to, Perykles zmarszczył brwi. Krajobraz był zupełnie bezludny. Będzie musiał wrócić do Kimona z przeprosinami...

Chłopak na maszcie krzyknął ostrzegawczo. Perykles spojrział dalej i z opóźnieniem dostrzegł to, co przyciągnęło uwagę tamtego. Kapitan ponownie wbił wzrok w zmaconą wodę, a keleustes krzyczał, żeby mu powiedzieć, co tamci zobaczyli. Zapanowała chwila chaosu, Perykles zaś patrzył osłupiały.

Za załomem rzeki czekała flota zakotwiczona na obu jej brzegach. Widać było maszerujące perskie oddziały niknące w zamglonej dali. Gdy Perykles łapał w zdumieniu oddech, kapitan wykrzykiwał rozkazy, by zawracać. Na rzece widać już było mknące ku nim łodzie. Były jak wąskie małe sztylety obsadzone przez sześciu wiosłarzy. Perykles zauważył całą ich chmarę płynącą w ich stronę z ogromną prędkością w nader czytelnym zamiarach. Odwrócił się, by sięgnąć po tarczę, a za nim stał już Epikleos, który mu ją podał. Z hełmem zsuniętym na czoło wyciągnął też rękę po miecz i włócznię, które Epikleos też wsunął mu do ręki. Reszta hoplitów uzbroiła się sama i stanęła w gotowości, by bronić okrętu.

Stanowili zdyscyplinowaną i doświadczoną załogę, uzbrojoną też w długie włócznie, które chwycili, zanim pierwsze łodzie do nich dotarły.

Pod pokładem keleustes rykiem wydawał nowe rozkazy wiosłarzom. Był to trudny manewr, ale wykonywali go tysiące razy podczas ćwiczeń. Długi obrót za pomocą sterów byłby zbyt powolny i pchnąłby ich jeszcze dalej na wody nieprzyjaciela. Zamiast tego wszystkie trzy ławki wiosłarzy po jednej stronie zaczęły wiosłować szaleńczo do tyłu, odwracając dotychczasowy ruch, podczas gdy druga strona wciąż wiosłowała do przodu jak poprzednio. Znaczyło to, że okręt zaczął obracać się prawie w miejscu, choć manewr ten był bardzo niebezpieczny na nieznanymi wodach. Triera skrzypiała i trzeszczała, i straszliwie się przechylała.

Perykles stał na otwartym pokładzie, obserwując wąskie łodzie tnące wodę jak nóż, aby się do nich dobrać. Poza wiosłarzami miały też na pokładach wojowników klęczących na jakichś drzewcach pośrodku, ubranych w perskie zbroje, jakich nie widział od czasów walki o Cypr. Na sam ich widok poczuł chłód w żołądku. Tacy jak oni zabili mu brata, a stało się to na nie tak odległym wybrzeżu. Nie zamierzał odwrócić od nich wzroku, choć po tysiąckroć zaludniali jego nocne koszmary.

Gdy się zbliżyli, z ich łodzi pofrunęły włócznie, wznosząc się cienistą chmurą. Perykles uniósł tarczę, podobnie jak inni. Trzymali je tak, że zachodziły na siebie jak łuski. Poczuł silne uderzenie, które pchnęło go w tył jak niespodziewany cios. Dobry tuzin kolczastych drzewc uderzył w pokład, ślizgając się i tocząc pod stopami. Nagle bez ostrzeżenia Epikleos rąbnął go z góry pięścią w hełm, wbijając mu go na twarz tak mocno, że zadrapał mu nos. Perykles poczuł jednak wdzięczność. Patrzenie na świat przez wąską wizurę było typową perspektywą wojownika. Redukowała go ona do chłodniejszej, bardziej zabójczej wersji samego siebie, pozbawiając zbędnej słabości. Uniósł ramię, gotów rzucić dorycką włócznią, ale zatrzymał się w pół gestu. Jego zadaniem była przecież obrona okrętu. Wieści o tym, co zobaczyli, musiały dotrzeć do Kimona.

Choć zawrócili, nastąpiła zapierająca dech chwila bezruchu, kiedy wiosłarze przygotowywali się do ruszenia naprzód. W tym czasie Persowie wprowadzili flotyllę łodzi przed ich dziób, przecinając im drogę. Więcej włócznie poleciało na nich z obu stron, a któraś trafiła hoplitę w plecy. Upadł z jękiem na pokład, Perykles zaś nie miał nawet czasu sprawdzić, czy uratowała go zbroja. Inna, wirując w powietrzu, przeleciała tuż obok niego, aż musiał przykucnąć,

nakrywając się tarczą. W ślepej wściekłości niemal sam rzucił włócznię, kiedy rozległ się głos lochagosa, spokojny, choć trochę poirytowany.

– Czekać z tym! Niech nikt nie rzuca, zanim nie powiem. Każda włócznia rzucona w wodę zostanie potracona z waszej pieprzonej zapłaty.

Perykles uśmiechnął się szeroko, aż rozboleły go policzki. Anaksagoras i Zenon stanęli obok niego ze starymi drewnianymi tarczami powiązanymi drutem i zbitymi gwoździami. Ćwiczyli tysiące razy na pokładzie walki na miecze i włócznie, lecz sytuacja, gdy musieli stanąć oko w oko z uzbrojonymi Persami mającymi wyraźny zamiar ich zabić, była czymś zupełnie nowym. Perykles uświadomił sobie, że patrzą na niego, oczekując instrukcji.

– Po prostu zachowajcie spokój – powiedział.

Jeden lub dwóch hoplitów też to usłyszało i skinęło głowami. Panika była najgorszym wrogiem, większym niż Persowie. To była pierwsza lekcja, jakiej wszyscy się uczyli, i jedyna, jaką Perykles zapamiętał: panika zabija ludzi szybciej niż zaraza i porzucona kochanka razem wzięte. Odetchnął głęboko i udało mu się nawet uśmiechnąć do przyjaciół.

– Naszym zadaniem jest powrót do floty – dodał. – A nie walka z tymi łódkami.

Gdy to mówił, keleustes narzucił szybsze tempo. Wioślarze zginali się mocniej, wiosła zanurzały się głębiej i szybkość wzrosła. Byli otoczeni przez przynajmniej kilkanaście wąskich łodzi kręcących się wokół i objających o burty. Leciało ku nim mnóstwo strzał, ale celne strzelanie w ciągłym ruchu z jednego ruchomego punktu do drugiego było prawie niemożliwe. Perykles dziękował Posejdonowi, a może bardziej Artemidzie, za upośledzenie ich umiejętności celowania.

Niektórzy z atakujących czepiali się szczebli drabinki okrętu i wspinali w górę, licząc na swoją szybkość i zaskoczenie nieprzyjaciela. Napotykali pchnięcia tarcz nieubłaganych hoplitów i spadali z powrotem w wodę. Inni łapali za wiosła i trudno powiedzieć, czy próbowali się po nich wspinać, czy po prostu blokować ich ruchy. Perykles miał skojarzenie z wijącym się i walczącym z kęsającymi mrówkami lwem. Nagle wspinacze wdarli się na okręt ze wszystkich stron.

Dwaj pojawili się blisko niego, przetoczywszy się przez burtę pod ich stopy. Byli zupełnie mokrzy i oszołomieni, jakby trzymając się wiosła, wielokrotnie znaleźli się pod wodą. Perykles wbił włócznię w pierś jednego i dźwignął go, spychając z powrotem w fale. Pers nie zdążył nawet krzyknąć z bólu. Z drugim

rozprawił się hoplita. Rozległy się trzy głośne uderzenia miecza i walka się zakończyła, a krew wroga trysnęła na deski i spłynęła do ładowni.

Przed okrętem rozległ się trwający dłuższą chwilę ogłuszający zgrzyt i trzask. Perykles przykucnął za tarczą, by lepiej widzieć, i zobaczył wznoszące się przed dziobem końce połamanej łodzi, którą zmiażdżył ich taran. Jej przerażona załoga próbowała czepiać się dziobu triery, ale nieuchronnie spadli w spienioną wodę i chwilę potem zostali wkręceni pod kil.

Perykles zadrżał na tę myśl, wyobraziwszy ich sobie, jak toczą się i wirują w mętnej wodzie ku rufie. Znaczyło to jednak, że triera się uwolniła. Przed nim majaczyło już ujście rzeki i wolne morze. Perykles zrozumiał, że łodzie zostały odwołane. Ponury głos rogu zabrzmiał na brzegu i prześladowcy, klnąc głośno i wykonując gwałtowne gesty, zarzucili pościg.

Dysząc, patrzył na Anaksagorasa i Zenona, którzy oczyszczali pokład z kilku leżących na nim ciał. Strzały i włócznie sterczały z desek. Wyrywano je i wyrzucano za burtę albo zachowywano jako trofea.

Epikleos pomagał zbierać porzucone części uzbrojenia, zanim cenne przedmioty ześlizną się i stoczą przez reling do wody. Perykles nie był chwilowo w nastroju do pomocy, choć przechodząc, poklepał starszego przyjaciela po ramieniu. Do przemocy doszło nagle, lecz jego bardziej oszołomiło to, co zobaczył. Obserwował kiedyś perską flotę z brzegów Salaminy, siedząc na wydmie z matką, siostrą i bratem. Był to wówczas koniec świata, gdy daleko za ich plecami płonęły Ateny. Nie wiedział, co to oznacza, ale przepełniało go to zimnym gniewem, którego siła była zdumiewająca.

Czterej hoplici zginęli. Ich ciała zniesiono pod pokład, by potem zawinąć w płótno i potraktować z najwyższym szacunkiem. Ciała kilkunastu Persów rzucono do rzeki. Perykles nie wiedział, że było ich aż tylu. Śmierć była bliżej, niż przypuszczał. Patrzył, jak ostatniego wroga stoczono bezceremonialnie do wody. Spadł na wiosła.

Ciało zdawało się tańczyć na nich przez pewien czas, uderzając o nie i przetaczając się, wciąż utrzymując się nad wodą. Perykles to obserwował, aż w końcu zwłoki ześliznęły się, głową w dół, w głębinę.

* * *

Wieści rozeszły się we flocie lotem błyskawicy. Dowódcy sojuszu i starsi kapitanowie stawili się tak prędko, jak tylko zdążyły dowieźć ich łodzie, po czym równie prędko zostali odesłani z nowymi rozkazami, a flota zaczęła się przygotowywać do wojny.

Kimon był w swoim żywiole. Trzeba było zdecydować o tysiącach rzeczy i wydać setki rozkazów. Emanował satysfakcją. Przez chwilę Perykles się zastanawiał, czy wezwano go na okręt flagowy tylko jako świadka. Kimon podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Wysłał już kilkunastu kapitanów z misją wysadzenia na brzeg hoplitów i oddania ich pod dowództwo najstarszego stopniem.

– Miałeś rację. Masz wspierać instynkt, Peryklesie! Teraz mamy szansę wysłać pościg za odwiecznym wrogiem.

– Wchodzimy? – zapytał Perykles.

Kimon skinął głową.

– Każda stracona przez nas godzina to dla nich jedna więcej na przygotowania. Mógłbym spędzić miesiąc, planując atak, i mimo to ponieść klęskę. – Przełknął ślinę, a jego oczy nagle błysnęły ponuro. – Powiedz mi jeszcze raz, ilu ich jest.

– Widziałem tylko częściowo, ale na pewno wiele tysięcy. Więcej niż nas.

– W takim razie muszę wysadzić też załogi. Ćwiczyli i są sprawni jak psy. Mając miecze, będą walczyć, co?

Perykles zauważył, że Kimon szuka u niego aprobaty podejmowanych przez siebie decyzji. Nie mógł potępiać go za to, że dostrzega ich wagę. Ojciec Kimona uderzył na perskie pozycje i został pokonany. Powrócił jako ranny i złamany człowiek do Aten, gdzie przedtem ludność skandowała jego imię i rzucała mu kwiaty pod nogi. Myśl o tym, że historia może się powtórzyć, była przerażająca, lecz Perykles zgadzał się z wnioskiem. Przyszło mu do głowy, że powinien powiedzieć to, co Kimon za wszelką cenę chciał usłyszeć.

– Będą zachwyceni, o tak. To właściwa decyzja. – Dostrzegł iskierkę w oczach Kimona, która oznaczała, że wódz usłyszał go i zrozumiał.

Odpowiedzią był krótki uścisk jego ręki, stanowiący jedyne podziękowanie.

– Mogę spalić ich okręty, kiedy już rozbijemy ich armię – powiedział Kimon. – Wyślę kilku naszych w górę rzeki, niech się tym zajmą. Płonące strzały wywołają panikę.

– Pamiętaj o tych małych łodziach. Będą je trzymali w pogotowiu.

– Nasi kapitanowie będą musieli sobie z nimi poradzić, tak jak ty to zrobiłeś. Nie mogę wziąć wszystkiego na siebie. Przekaż im to, Peryklesie. Wszystkie załogi na ląd, okręty z pełną szybkością lądują na brzegach rzeki.

– Stracimy wiele jednostek – zauważył Perykles.

– Jeśli tego nie zrobimy, stracimy wszystko. Szybkość jest dzisiaj na pierwszym miejscu. Jeśli będę wysadzał załogi w dobrym porządku, jedną po

drugiej, tamci już będą czekać i urzędzą nam rzeź. Nasza największa szansa jest w masowym lądowaniu, wszyscy razem i równocześnie. A więc hoplici i załogi w formacjach okrętowych. Dowodzą lochagoi, stratedzy i dowódcy sojuszu. Ja sprawuję dowództwo nad wszystkimi. Wypatruj moich posłańców, gdy już zajmiesz pozycję. Na początku będzie chaos, ale... – Przerwał, zaczepiając posłańca, który próbował przemknąć obok nich. – Ty. Wszyscy kapitanowie mają... Czy ktoś w ogóle wie, jak się nazywa ta cholerna rzeka?

– Ja nie wiem, kyriosie. Przykro mi.

– Nie martw się, po prostu się dowiedz. Nie widziałem jeszcze Efialtesa. Weź dla niego rozkazy: wszystkie okręty w głąb ujścia rzeki i przybijemy z pełną szybkością. Sformować się na brzegu i czekać na dalsze rozkazy. Lądują całe załogi, hoplici i wioślarze. Zrozumiano?

Mężczyzna potaknął, po czym pobiegł dalej w poprzednim kierunku, szukając łodzi, która by go zabrała. Gdy wieść się rozniosła, flota zbliżyła się do ujścia. Zablockowała je i nikt nie mógłby się stamtąd wydostać, zanim dojdzie do konfrontacji.

Perykles poczuł, że znów się uśmiecha, choć wcale nie był w dobrym humorze i bolały go usta. Nienawidził chaosu, ale Kimon miał rację. Bywają sytuacje, kiedy dobry przywódca musi zaplanować akcję starannie, poświęcając na to czas i zlecając rozpoznanie terenu albo rezerw. Bywają też takie, gdy lepiej jest po prostu biec i uderzyć na przeciwnika z marszu. Perykles potarł szczękę. Oczywiście cała sztuka polegała na tym, by odróżnić jedną od drugiej.

Wrócił posłaniec.

– Eurymedon, kyriosie.

Kimon spojrział na niego, nie rozumiejąc.

– Co?

– Nazwa rzeki, kyriosie. Usłyszałem, jak któryś z naszych tak ją nazywał. Chciałeś wiedzieć.

– Eurymedon – powtórzył Kimon.

Mężczyzna kiwnął głową i zniknął, a wódz ujrzał zupełnie nową grupę wchodzącą na jego pokład. Wszedł im na spotkanie, a Perykles machnął ręką, przywołując łódź czekającą przy dziobie.

On i jego przyjaciele mieli znowu ruszyć na spotkanie Persów. W porannym słońcu miał ponownie wyciągnąć miecz i rzucić na szalę swoje życie. Minąwszy kontyngent z Naksos, zadrżał. Poczł irtację, jakby jego ciało postanowiło wybrać ten właśnie moment, żeby go zawieść. Nie, to raczej radość, powiedział sobie, a może ekscytacja. Jego ojciec stawał do walki pod Maratonem,

a mężczyźni tacy jak Arystydes czy Pauzaniasz odepchnęli Persów pod Platejami. Skoro Persowie zebrali się w podobnej liczbie po raz trzeci, mogło to oznaczać tylko tyle, że szykują ponowną inwazję. To, że stał się częścią czegoś takiego, napełniło go determinacją. Właśnie po to trenował całe życie.

Zszedł po drabince do łodzi, siadł na dziobie i ruszył na swój okręt. Jego załoga musiała z niecierpliwością wyczekiwać wieści, jako jedyni z całej floty wzięli już udział w bitwie. Widział ich czekających na pokładzie, jak osłaniali oczy od słońca i wypatrywali jego powrotu. Sięgnął ręką do pasa i złapał mocno rękojeść kopisa, aż drzenie ciała ustało.

Gdy dotarł na pokład, stanął mu nagle przed oczyma teatr w Atenach oraz tłumy pobudzane do płaczu lub śmiechu wyłącznie za pomocą słów. Gdyby Kimon poniósł klęskę, wszystko to zniknęłoby z tego świata. Perykles przypomniał sobie, że Ajschylos jest kimś więcej niż tylko dramatopisarzem. Walczył także pod Maratonem, gdzie poległ jego brat.

Ateny to Pnyks i ludzie. Były to również opowiadane przez nich historie, ich myśli i wynalazki. A wszystko to mogło spłonąć. Wszystkie te rzeczy mogły zostać utracone, gdyby nie srodzy mężowie, którzy stawili czoło armii większej niż ich siły.

Perykles pokręcił głową, otrząsając się z obrazów przeszłości. Wylądował kiedyś na nieprzyjaznym brzegu, niosąc na ramieniu tarczę swego brata. Dowodził nimi ich ojciec, podobnie jak teraz dowodził Kimon.

Na bogów, nic nie pomogło, że był między pierwszymi, którzy wpłynęli do ujścia tej rzeki! Przekazał rozkazy Kimona Efialtiesowi i gdy od niego wracał, trzy okręty stratega wysunęły z łomotem wiosła z większą szybkością, niż kiedykolwiek widział. Mała łódka Peryklesa zakołysała się na fali, gdy przepłynęły obok i zaczął się wyścig. Cokolwiek Efialties zamierzał osiągnąć, rzucając się pierwszy do bitwy, Perykles miał ochotę mu tego odmówić. Strateg nie zasługiwał na żaden zaszczyt, który mógł przypaść w udziale lepszym od niego.

Przywiązał łódkę i wdrapał się na okręt, krzycząc do załogi, by wiosłowała tak szybko, jak się da, bo chodzi o życie. Na morzu wszystko odbywało się wolno, a potem, nieoczekiwanie, zbyt prędko. Perykles przekazał rozkazy Kimona, a Epikleos przyniósł mu broń i zbroję, po czym ponownie pomógł ją włożyć. Spiż był zbyt ciężki, by ryzykować kurs łódką, ale hoplici na pokładzie swoich zbroi nie zdjęli. Stali gotowi, z posepnymi minami, gdy triera skoczyła przed siebie, goniąc za trzema okrętami Efialtiesa.

Malejący dystans nie zaskoczył Peryklesa, gdy jego załoga zaczęła doganiać płynące przodem okręty. Pomysł Kimona, by zastąpić wicherzycieli, poszedł w zapomnienie, gdy nadeszły wieści o perskiej flocie. Ludzie Efialtiesa wciąż byli tymi samymi wyrzutkami. Widać to było w chaotycznych ruchach okrętów, w tłumie miotającym się po pokładach i w nierównej pracy wiosła. Utrzymali jednak nieznaczną przewagę i pierwsi dopłynęli do wielkiego zakola rzeki.

Różnica pomiędzy pierwszym spostrzeżeniem tego poranka a tym, co ujrzeli kilka godzin później, stała się oczywista, gdy minęli wielki załom. Rano Persowie byli spokojni, lecz potem było tak, jakby Perykles kopnął gniazdo os. Roili się wszędzie, biegali tam i z powrotem wzdłuż brzegu. Perykles przełknął ślinę, widząc białe odziane oddziały grupujące się w czworoboki. Słyszał o nich, o Nieśmiertelnych, którzy podjęli walkę z królem Spartan pod Termopilami

i posiekali go na kawałki. Byli elitą perskiej armii, obecni tutaj w liczbie większej, niż ktokolwiek zdołałby odgadnąć.

Perykles poczuł nieoczekiwane ucisk w pęcherzu. Obejrzał się za siebie, gdzie nadpływało kolejne kilkanaście okrętów sojuszu. Za nimi, fala za falą triery wiosłowały do ujścia rzeki, walcząc z prądem. Do walki wkroczył Kimon. Ale Efiates był pierwszy.

Perykles widział, jak jego kapitan patrzy ponad dziobem, wypatrując w mętnej wodzie najlepszego miejsca do lądowania. Dalej nie było już dość miejsca, a wrogie okręty kotwiczyły tam blisko siebie. Gdyby wpłynął między nie, mogliby dotrzeć do brzegu jedynie po złączonych pokładach nieprzyjaciół. Był to ten rodzaj decyzji, który kosztuje życie, i Perykles po raz pierwszy mógł tylko czekać i patrzeć. Jego ojciec uwielbiał dowodzić, teraz lepiej to rozumiał. Nie chodziło tylko o ciężar odpowiedzialności, ale o to, że alternatywą było całkowite podporządkowanie się cudzej woli. Gdy tak stał, ocierając pot z twarzy, pojął nagle, jak niezdolne to uczucie.

Efiates zauważył przed sobą płycizny. Perykles był dostatecznie blisko, by usłyszeć, jak krzyczy i coś pokazuje. Sternicy skręcili rumple i trzy okręty powiosłowały z całą mocą ku brzegowi. Zadrzały, wbijając się w muł i żwir, i gwałtownie wytraciły szybkość. Na dwóch pękły maszty, a potężne tarany wynurzyły się wysoko z wody, ociekając czarnym mułem. Ludzie zaczęli wyskakiwać z dziobów, ryzykując, że w nim ugrzęzną, próbując wydostać się na brzeg.

Perykles usłyszał, jak jego kapitan zaklął głośno. Pokazywał miejsce na brzegu, które nie miało łagodnego spadku mogącego złagodzić uderzenie potężnej masy okrętu wojennego. Miejscem lądowania był brzeg porośnięty trawą i drzewami zwieszającymi się nad wodą. Perykles przełknął ślinę, gdy okręt skręcił, co sprawiło takie wrażenie, jakby miał wyskoczyć na brzeg.

– Trzymać się! – ryknął kapitan. – Trzymać!

Okręt nie mógł przetrwać takiego zderzenia, Perykles był tego pewien. Nie wiedział tylko, czy ktokolwiek z nich to przeżyje.

Przybycie Greków nie przeszło niezauważone. Zdawało się, że cała perska armia rzuciła się ku nim, a przynajmniej tak uznał Perykles, rozglądając się w panice. Perscy dowódcy próbowali oczywiście zapobiec ich lądowaniu. Dla nich również szybkość była korzystna, tak więc strony miały się zderzyć w pragnieniu utoczenia pierwszej krwi.

Wioślarze pod pokładem słyszeli krzyk kapitana, ale nie wiedzieli, jak blisko są brzegu i ile czasu dzieli ich od uderzenia. Niektórzy mogli zginąć w tym

gwałtownym zderzeniu. Takie były skutki rozkazów wydanych przez Kimona, które były jednak słuszne. Perykles zauważył, że Efiates znalazł się już na brzegu, z nogami czarnymi od rzecznoego mułu, i patrzył w przerażeniu na mknący ku swej zgubie okręt. Perykles zacisnął pięści i zaczął się modlić.

* * *

Kserkses siedział na siedzisku z owczej wełny i jedwabiu, wysoko ponad głowami swojej straży, na grzbiecie ogromnego słonia. Zawsze kochał zwierzęta, zwłaszcza te wielkie bestie. Były symbolem królewskiej władzy – panami lasów. To szczególne zwierzę towarzyszyło mu już podczas wyprawy jego ojca na wybrzeża Jonii, dziesiątki lat wcześniej. Kserkses wplątał palce w opadające mu na plecy pukle włosów i bawił się nimi, patrząc na Eurymedon wypełniony greckimi okrętami. Są jak szerszenie, pomyślał, atakują i próbują żądlić. Tylko jeden okręt przedarł się wcześniej w górę rzeki, aż do pierwszego zakola. Ich małe łodzie wyruszyły natychmiast, aby go przechwycić, ale im uciekł. Nie miało to wielkiego znaczenia. Kserkses znał Greków wystarczająco dobrze. Szukaliby zaginionego okrętu. Byli ludźmi ciekawymi i jakimś niepojętym sposobem znaleźli jego armię i flotę, zanim osiągnęły pełną gotowość.

Skutki były widoczne w kolejnych falach okrętów wpływających na rzekę, którą jego ludzie tak pracowicie pogłębiali. Rok wcześniej nie można było tu przepłynąć, nie szorując o muliste dno i brzegi. Grecy zaś wykorzystali jego prace i plany przeciwko niemu.

Na tę myśl wyszczerzył zęby, krzywiąc twarz w grymasie i na wpół unosząc się na grzbiecie słonia. Jego własna ziemia! Była to niewyobrażalna obelga, oznaka ich bezgranicznej bezczelności. Należałoby wybić im z głowy tę arogancję zrodzoną ze szczęścia i spartańskiej... Rozejrzał się w poszukiwaniu czerwonych żagli i odetchnął głęboko, zmuszając się do spokoju. Czuł konsternację na myśl, że został zaatakowany, ale jego armia ćwiczyła pracowicie i zgromadziła się w wielkiej liczbie. Artabazus był doświadczony w nienawiści do Greków. To on ściągnął z powrotem Macedończyka, wybacząc mu porażki w poprzedniej kampanii. Król Aleksander nie potrafił nakłonić Ateńczyków do kapitulacji, co leżało w ich dobrze pojętym interesie, ale wciąż dowodził macedońskimi oddziałami dobrej jakości. Artabazus pierwszy to dostrzegł.

Po prawdzie Kserkses liczył jeszcze na dodatkowe sześć miesięcy, najwyżej rok przygotowań. On i jego Nieśmiertelni wyszliby w końcu w pole i wymusili bitwę. Nie mógłby spokojnie spojrzeć w oczy cieniowi swego ojca, gdyby tego nie zrobił.

Teraz Grecy musieli poświęcić swoje okręty, żeby dostać się na brzeg. Jednak jego ludzie dobrze znali i czuli teren, po którym stąpali. Chodzili po własnej ziemi należącej do jego cennego imperium. Wiedzieli też, że on sam ich obserwuje, król królów, a jego przodkowie wraz z nim. Ojciec otulał syna swoim tchnieniem obecnym w porywach wiatru.

Kserkses dostrzegł jadącego ku niemu Artabazusa. Wódz zeskoczył z wierzchowca i padł na twarz u stóp słonia. Wielki król wyciągnął rękę i słon sięgnął trąbą, pozwalając swemu panu stanąć na niej, po czym niezwykle ostrożnie opuścił go na ziemię. Kserkses spojrzał na pierwsze lądujące greckie okręty. Zbliżały się ku niemu.

– Powstań, Artabazusie – powiedział. – Czego pragniesz ode mnie w takiej chwili?

– Jedynie twego błogosławieństwa, Wasza Wysokość – odparł wódz.

Jego oczy były szeroko otwarte i czarne; Kserkses zastanawiał się, czy przypadkiem nie żuł już małej kulki tego ranka.

– Masz je. Oto koniec, Artabazusie, rozumiesz? Co mój ojciec zaczął pod Maratonem, ja pomściłem bitwą pod Termopilami. Jednak biednemu Mardoniuszowi nie udało się dokończyć tego pod Platejami. Zdobyliśmy wiele bitewnych zaszczytów, lecz ponieśliśmy też wiele strat. Zakończ to teraz dla mnie. – Król rozejrzał się, jakby powierzał mu największy sekret. Jego strażnicy stali niewzruszenie, niemi i ślepi. – Użyj wszystkiego, do ostatniego człowieka i ostatniej monety, Artabazusie. Nie zniosę kolejnej klęski. Rozumiesz? Umieścili mnie w swoich sztukach w Atenach... z duchem mego ojca mówiącym rzeczy, których nigdy nie powiedział. To zbyt wiele. Spuść im na głowy mój gniew, Artabazusie. Uczynię cię wielkim.

* * *

Załoga łapała się wszystkiego w zasięgu rąk. Wielki okręt sunął jak kamień niemal w zupełnej ciszy, aż uderzył dziobem w ląd.

Zderzenie zbiło ich z nóg. Maszt złamał się czysto u samej podstawy i runął na rufę, miażdżąc jednego ze sterników. Mężczyzna krzyknął, a oni wciąż sunęli w narastającym trzasku, który był jak ludzki głos, krzyk bólu. Perykles chwiejnie stanął na nogi i patrzył ze zgrozą, jak dziób okrętu unosi się jak wyskakujący z wody wieloryb, coraz wyżej, a cały pokład drżał pod jego stopami. Nagle skojarzyło mu się to z jazdą konną i ryknął głośno, w porywie radości unosząc tarczę i włócznię. Niektórzy spojrzeli na niego tak, jakby postradał zmysły, ale wrażenie, jakiego doznał, było wspaniałe, więc uśmiechnął się do nich.

Okręt pękł, można to było opisać tym jednym słowem. Coś nagle puściło w ładowni, może sama belka kila utrzymująca całą trierę. Zabrzmiało to jak głośne, głuche tąpnięcie, po którym nastąpił szereg słabszych odgłosów. Jak na zakończenie burzy triera spoczęła w ciszy, ale wiadomo już było, że nie da się jej ściągnąć z powrotem na wodę i wypłynąć w morze. Perykles czuł to całym sobą, bo znał i kochał ten okręt. Został strzaskany, pchnięty za daleko.

Przed nim załoga wioślarzy wysypywała się z centralnego luku, rozglądając się w szoku, patrząc na przechylony pod dziwnym kątem pokład i obalony maszt. Mieli krótkie miecze, niektórzy nawet tarcze. Odbiegali wyglądem od zdyscyplinowanych hoplitów w nagolennikach, napierśnikach i hełmach, ale nie było w nich śladu wahania. Byli wioślarzami, ale ich okręt stał się martwy. Jako wojownicy wysypali się na brzeg i stanęli na solidnym gruncie.

Perykles wyskoczył wraz z nimi, oglądając się za siebie ze zgrozą. Sam brzeg został rozdarty i wypchnięty do przodu jak zamarznięta fala przez dziób i taran ich triery. Stępka rzeczywiście pękła w dwóch miejscach i serce okrętu zostało zniszczone. Miał uczucie, jakby nastał koniec. Klęknął na kolano i wziął w garść trochę suchej ziemi spod sandała. Jego brat zginął na perskiej ziemi. Może jakaś część jego duszy nadal tu mieszkała.

– Witaj, bracie – szepnął. – Wróciłem.

Mężczyźni z jego okrętu stanęli w szyku za rzędami hoplitów i tak dwustu ludzi dołączyło do blisko sześciuset dowodzonych przez Efiatesa. Czerpali otuchę ze swej liczby i z widoku następnych okrętów, wciąż szukających miejsca, gdzie można by podjąć ryzyko przybicia do brzegu. Perykles ujrzał Efiatesa przechodzącego wzdłuż pierwszej linii swoich ludzi. Serce mu zamarło, gdy dostrzegł u jego boku Attikosa, który najwyraźniej wciąż był jego zaufanym adiutantem.

Strateg wpatrywał się w dal, obserwując Persów ruszających do ataku. Był czerwony na twarzy i spocony. Zaciskał i otwierał dłoń na rękojeści miecza wciąż tkwiącego w pochwie. Gdy Perykles podniósł głowę i go pozdrowił, zamiast tamtego przemówił, wyciągając szyję, Attikos. W tym czasie dowódcy poszturchiwali hoplitów i wioślarzy, formując z nich właściwy szyk.

– Jak za dawnych czasów, co, kyriosie? – powiedział Attikos. – Pamiętasz Skiros? Tę wyspę, z której pochodzi twoja żona?

Nie było w tych słowach niczego, do czego można by się przyczepić, zwłaszcza pod nosem Efiatesa, który z łatwością by to usłyszał. Jednakże Perykles poczuł emanującą z mężczyzny mściwość. Zerknął na stratega i zauważył, że opuściła go zwykła arogancja. Wyglądał na zdenerwowanego

i nagle nabrało sensu to, że trzymał tak blisko siebie Attikosa. Efiates miał na sobie piękną zbroję hoplity ze wspaniałą kitą na hełmie i nową, lśniącą tarczę połyskującą złotem. Jednak nie spotkał się jeszcze z Persami w bitwie, inaczej niż wielu innych. Oczywiście się bał. Po raz pierwszy Perykles miał nad nim przewagę.

– Jeśli Persowie mają choć krztynę rozumu – powiedział – uderzą na nas szybko i mocno wszystkim, czym dysponują. Będą się starali zdobyć nad nami miażdżącą przewagę.

Zwracał się do Efiatesa, myśląc, że ten doceni te kilka życzliwych słów. Ale strateg poderwał głowę, jak ugryziony i spojrzał na niego.

– Jesteśmy tu wystawieni na atak bez żadnego wsparcia. Zastanawiam się, czy taki był zamiar Kimona: wysłać mnie przodem.

Perykles otworzył szeroko oczy na tak oburzające posądzenie. Nikt nie zmuszał Efiatesa, by ruszył pierwszy przed całą resztą. Ktoś jednak musiał wyładować i utrzymać pozycję. Na bogów, była to niewdzięczna robota, ale...

Przed nimi odezwało się granie rogów, a Attikos mruknął coś do swego nowego pana. Gwałtownie skinąwszy głową, Efiates dołączył do pierwszego szeregu, łącząc swoją tarczę ze zbrojną linią hoplitów.

Perskie oddziały zbliżały się szybko, czemu towarzyszył rytmiczny, dźwięczny odgłos. Powietrze było czyste i Perykles mógł widzieć wszystkie szczegóły, począwszy od zaplecionych bród po białe lamelkowe zbroje i tarcze. Widział też czerwone, dyszące usta. Biegli z daleka, od podnóża wzgórz, przez dolinę aż na brzeg. Miał nadzieję, że są wyczerpani, choć nic na to nie wskazywało. Na skrzydłach towarzyszyła im chmara łuczników. Na ich widok Perykles przełknął nerwowo ślinę, polecając swoje życie Aresowi i Atenie.

Zabraknie czasu na ocenę sił przeciwnika, to było oczywiste. Persowie zbliżali się szybko z wyraźnym zamiarem zepchnięcia Greków do wody. Szeregi dowodzone przez Efiatesa złączyły tarcze. Będą starali się wytrzymać, aby dać czas tym, którzy postępują za nimi.

Zanim Perykles opuścił hełm, zerknął za siebie. Następna fala Greków brodziła przez płyciznę, zamiast uderzyć prosto od przodu. Uświadomił sobie, że Persowie dopadną ich, zanim nadejdą posiłki. W wielkiej liczbie. Spojrzał w lewo i w prawo i ujrzał napięte twarze mężczyzn, których tu przywiódł. Był tam Zenon z tarczą, którą zrobił dla niego Anaksagoras. Anaksagoras zaś dominował wzrostem nad resztą, w potrzaskanym hełmie, który naprawił stopionym ołowiem. Hełm błyszczał srebrzyście, choć mógł pęknąć po jednym mocniejszym uderzeniu. Perykles nerwowo przełykał ślinę. Epikleos też tam był,

stał blisko niego w szeregu, bacząc na niego jak zawsze. Byli dobrymi ludźmi, ale wszyscy mogli tam umrzeć tylko po to, by utrzymać kawałek brzegu nad rzeką, której tego ranka jeszcze nie widzieli.

Perykles patrzył, jak posuwa się ku nim formacja Nieśmiertelnych. Ich drugi czworobok szedł na nich zza wzgórza, widoczny w zamglonej dali, niczym blade liście niesione w stronę Greków przez maleńkie mrówki. Persowie chcieli obronić rozległy obszar nad rzeką, być może nawet po obu jej stronach. Perykles wiedział, że stanowi grot włóczni, bo grunt, na którym stał, należało utrzymać za wszelką cenę.

Zbliżali się coraz bardziej, szybkim krokiem, podczas gdy ośmuset ludzi z Efiatesem i Peryklesem zapierało się sandałami w ziemię, przygotowując się do odparcia szturm. Perykles zauważył, jak jeden z hoplitów, któremu brakowało palców, przywiązuje dłoń do drzewca włóczni, aby nie można mu było jej wytrącić.

Dwieście kroków dalej Nieśmiertelni stanowili już morze głów i przebierających nóg oraz zbroi, które migotały w słońcu. Trudno było wyobrazić sobie, że jakaś siła mogłaby ich zatrzymać, a stanowili tylko drobną część armii. Peryklesowi zaschło w gardle. Na polu bitwy byłoby wielu chłopców biegających z bukłakami wody między wojownikami. Ich brak był tylko drobną niedogodnością w obliczu tak wielkiej armii, ale dotkliwą.

W masie Persów słychać było pokrzykujące głosy i nagle spośród ich szeregów wzbila się w powietrze chmura strzał, wzniosła łagodnie i opadła gwałtownie, jak ciernie. Celność niewiele znaczyła. Zapelniali powietrze masą skrzydlatych pocisków, wirujących i świszczących, i odbijających się z grzechotem od tarcz, które Grecy trzymali w górze. Czasem je przebijały lub omijały, wywołując przeciągłe okrzyki bólu.

Nie wszyscy mieli tarcze. Często wioślarze dogadywali się z cieślami, którzy robili im długie, szerokie osłony z pokładowych desek zbitych gwoździami. Mężczyźni chowali się pod nimi w grupach po pięciu, sześciu, dopóki trwał świst nadlatujących strzał. Sądząc po tempie strzelania, perscy łucznicy najwyraźniej mieli pełne kołczany. Nie strzelali pojedynczo, tylko ślali strzały jedna za drugą, tak prędko, jak tylko zdołali, aż wystrzelali wszystkie, dysząc z wysiłku. Osiemdziesiąt kroków.

W pierwszych szeregach nie padł żaden hoplita Efiatesa, choć kilku musiało wyrwać zakrwawione strzały z ramion. Sześć rzędów za nimi jakimś krępemu wioślarzowi strzała przygwoździła dłoń do tarczy. Patrzył na rękę w zdumieniu, nie czując jeszcze bólu, który miał nadejść później. Z tyłu nie było miejsca dla rannych, nie tym razem. Jeden z jego towarzyszy zaczął mu pomagać, czemu towarzyszyły przekleństwa i mnóstwo śmiechu.

Nieśmiertelni podeszli jeszcze bliżej, aż szcęk ich zbroi i tupot zagłuszył wszystko. Było ich tak wielu... Perykles wyczuwał nerwowość załogi za plecami. Wzdłuż jej szeregów przechodzili sztywnym krokiem lochagoi, popychając i korygując ich ustawienie i krzycząc, by wytrwali, wytrwali.

Perykles wiedział, że w innych miejscach tego dnia dowódcy sojuszu będą przemawiać do mężczyzn z kilkunastu poleis. Tutaj, obok niego, stali Ateńczycy. Znał dobrze ludzi z własnego okrętu, a oni znali jego. Był to jeden z sekretów ich formacji. Nie było wśród nich rozbudowanej, niezrozumiałej biurokracji jak w perskim imperium. Wciągali żagle na maszt i miesiącami ćwiczyli na pokładzie sztukę operowania mieczem i tarczą. Dzielili się chlebem i winem, a teraz żaden z nich nie mógłby uciec, nie na oczach towarzyszy. Perykles pomyślał nagle o Spartanach pod Termopilami, o opowieściach, które słyszał. Rozumiał to już nieco lepiej. Hańba była gorsza od śmierci.

Lochagos przechodzący wzdłuż linii zatrzymał się przy nim, dostrzegłszy zapewne strach na twarzach niektórych. W obliczu wroga miał już tylko kilka chwil, ale postanowił je spędzić w tym miejscu. Strzały wciąż padały, a on osłaniał się uniesioną tarczą, stojąc w jej cieniu. Z uśmiechem klepnął Peryklesa wolną ręką po ramieniu, co tamtego zaskoczyło.

– Pamiętajcie, jesteśmy lepsi! – krzyknął lochagos do stojących wokół. – Walczcie za waszych ojców i za bogów, za Atenę. Na końcu tylko ona się liczy.

Perykles skinął głową.

– I dbajcie o przyjaciół – dodał ciszej, zerkając na Zenona i Anaksagorasa.

Perykles ponownie potaknął, a lochagos przeszedł na koniec szeregu, skąd mógł obserwować połowę ludzi, których tak długo szkolili.

Przed nimi zabrzmiał ogłuszający dźwięk rogów. W odległości dwudziestu kroków Persowie rzucili się biegiem, zdyscyplinowani, z krzykiem, który w miarę jak przyłączały się do niego dalsze szeregi, przeszedł w ogłuszający ryk. Pokonali ostatnie dzielące ich kroki i wpadli na tarcze Ateńczyków. Odgłos zderzenia był potężny, ale linia obrony wytrzymała i zaczęło się prawdziwe zabijanie. Perykles zauważył, że pierwsze linie Persów zaczęły się rozdzielać i uderzać na skrzydła.

Tam nie było hoplitów weteranów, tylko wioślarze, którzy rąbali mieczami i włóczniami ze straszliwą siłą, nieustraszenie. Spotkawszy się jednak z tak dzikim przeciwnikiem, zapomnieli o swoim treningu. Hoplici pamiętali jedną rzecz, którą wpajano im od najwcześniejszych lat: twoja tarcza ma chronić towarzysza po lewej, nie ciebie. Wyjątkowej dyscypliny wymagało, by nie szarpnąć nią w kierunku nadchodzącego ciosu, lecz zaufać towarzyszowi po prawej, że przyjmie uderzenie na swoją tarczę.

Pomimo setek godzin ćwiczeń szermierczych, pomimo niespożytej kondycji i wyjątkowej siły wioślarzy na skrzydłach zaczął ogarniać chaos. Włócznie, którymi nie umieli się dobrze posługiwać, rzucili w pierwszym odruchu, a miecze wyciągnęli zbyt prędko.

Perykles zaklął pod nosem. Mając więcej ludzi, Efiates mógłby rozciągnąć szeregi lub zagiąć ich końce, żeby osłonić skrzydła i zapobiec okrążeniu. W zaistniałej sytuacji został zaatakowany z trzech stron i mocno ucierpiał. Perykles widział stratega w gęstwie bitwy, stawiającego czoło ludziom spragnionym szybkiego zwycięstwa na własnym terytorium. Przez chwilę Persowie walczyli bez lęku i nie zdradzając śladu zmęczenia. Byli najlepsi, a kto wie, może ich król był niedaleko i obserwował, jak sobie radzą. Jednakże byli tylko ludźmi. Walcząc przeciwko równej linii tarcz i wystających spomiędzy nich włóczni, które cięły ich ciała i wbijały się pomiędzy żebra, zaczęli słabnąć. Broń robiła się ciężka, oddech zaczynał słabnąć, usta wysychały. Ateńczycy pokonali ich masę pod Maratonem, zachowując dyscyplinę i walcząc zgodnie z wojennym rzemiosłem. Gniew nie wystarczał, odwaga też nie.

Na przedzie greckie włócznie czyniły straszliwe spustoszenie, kłując raz za razem i cofając się unurzane w czerwieni. Dopóki pierwsze szeregi stały wytrwale przeciwko powodzi wrogów, Perykles wiedział, że mogą zyskać przewagę.

Rozkazy były proste: wytrzymać i dać innym czas na wylądowanie i sformowanie się. Kimon będzie wiedział, co robić, Perykles w to nie wątpił. Kimon ich nie porzuci. Wiedział to z taką samą pewnością, z jaką znał imiona bogów. Jednak w miarę wyczekiwania, licząc kolejne oddechy, zauważył zmianę w formacji przed sobą.

Linia tarcz przestała utrzymywać szyk. Na ten widok Perykles poczuł ucisk w żołądku. Nagle przypomniał sobie, że mężczyźni stawiający czoło Nieśmiertelnym należą do najgorszych w całej flocie, podporządkowani strategowi, który nie przyjmował dobrych rad. Dowódcy po tamtej stronie byli zupełnie cicho, podczas gdy powinni wykrzykiwać rozkazy, albo byli zupełnie

ignorowani przez tych, którymi dowodzili. Perykles ujrzał z przerażeniem, że Efiates został zbity z nóg i upadł. Podniósł się, z czerwoną twarzą, machając rękoma; był przy nim Attikos, który wyciągnął go bezpiecznie ze ścisku. Perykles dostrzegł krew na obliczu stratega. Może został częściowo ogłuszony uderzeniem w głowę. Nie opierał się, gdy Attikos go prowadził.

Perykles widział, że coś się załamało. Kiedy sztyk tarcz pęka, wszystko postępuje bardzo szybko. Każdy wojownik jest nagle samotny i bezbronny. Nieśmiertelni wyczuli, że ten moment nadchodzi, i zawyli triumfalnie, a głos ten zmroził Peryklesowi krew w żyłach. To oni kiedyś przybyli do Grecji, by palić i zniewalać. Słudzy imperium, dzicy i nieznający litości.

Front się załamał, ludzie zaczęli ginąć. Jedyłą szansą ocalenia życia było wycofywanie się wolnym krokiem, z tarczą trzymaną wysoko, by pokazywać wrogowi tylko spiżowy hełm z wizurą, tarczę i nagolenniki oraz miecz lub włócznię gotowe do zadania ciosu. Persowie napierali jednak mocno, nie pozostawiając im żadnej przestrzeni, i siekli bez ustanku, nie dbając o własne życie, byle zmusić ich do potknięcia, upadku albo odwrócenia się plecami i ucieczki.

Peryklesowi żołądek podszedł do gardła, gdy linia zaczęła się cofać. W panującym chaosie miał wrażenie, że jego załoga jakoś się trzyma, przerażona, lecz nieskora przyłączyć się do ogólnej paniki. Lochagos wykrzykiwał do nich jakieś obsceniczne słowa, które dziwnym trafem ich uspokajały. Perykles spojrział w prawo i zobaczył Zenona, Anaksagorasa i Epikleosa, którzy tworzyli w szeregu niezachwianą grupę. Nie zamierzali uciekać, nie ulegali panice. Jeśli miał to być ich dzień i ich chwila, potrafili to przyjąć. Hoplici weterani też woleli umrzeć, stojąc na nogach, otrzymując rany z przodu. Na tym polegało *kleos*, a przynajmniej nadzieja na jego osiągnięcie, kiedy wszystko inne już zawiodło.

Szyki, którymi miał dowodzić Efiates, załamały się i przestały stawiać opór. Persowie runęli na nich z rykiem otwartych szeroko gardzieli, jak burza, ze szczękami broni. Peryklesa potracił i obrócił tłum przebiegających obok mężczyzn, ociekających krwią lub oszalałych na myśl o własnej śmierci, która musnęła ich już swoimi skrzydłami. Linie hoplitów rozmyły się w chaosie i cofały w ucieczce, jak przed dzikimi psami, mając blisko za plecami rzekę.

– Jak za starych czasów, co? – zakrzyknął jakiś głos.

Perykles obejrzał się i zobaczył Attikosa, który szeroko się uśmiechał. Efiates był dalej, po lewej, poprawił hełm na głowie i wciąż wyglądał na mocno oszołomionego. Perykles potrząsnął głową, nagle rozgniewany. Jeżeli miał

umrzeć, to z pewnością nie w towarzystwie obserwującego i komentującego ten fakt Attikosa. Tamten miał w sobie niewyczerpane źródło nienawiści, którego goryczy żadną miarą nie dało się wykorzenić.

– Znasz modlitwy do Ateny? – Attikos nachylił się ku niemu. – Jest inna bogini, którą lubię dużo bardziej.Adrastea. Bardzo mi się podoba, także ludziom takim jak ja, którzy czują na gardle stopę świata. Atena mogłaby uratować wojownika, ale nieAdrastea. Nie ma w niej krzty litości, synu. Jest boginią sprawiedliwości.

Perykles odwrócił wzrok od dzikiego spojrzenia Attikosa. Perskie wojsko spychało greckie szeregi wstecz w zupełnym bezładzie. Załogom, które Efialter przywiódł ze sobą, jego kapitanowie i lochagoi nie ufali zupełnie. Co prawda niektórzy byli wojownikami, ale reszta to byli złodzieje i kłamcy, gwałciciele albo ludzie, którzy nie umieli podporządkować się żadnej władzy. Gdy zabrakło Efialtera, który ich skupiał wokół siebie, ich szyki się załamały i zaczęły cofać, ludzie przewracali się nawzajem i zapanowała panika. Perykles został odepchnięty przez mężczyznę, który dotąd trzymał przed nim tarczę. Błysnęły mu tylko białka przerażonych oczu. Dostrzegł Anaksagorasa, który rzucił się w bok, nie chcąc przebić włócznią któregoś z cofających się towarzyszy. Tamten nawet nie zauważył niebezpieczeństwa, którego uniknął o włos.

– Wracać na okręty! – ryknął Efialter.

Głowy obróciły się, szukając tego, który wydał rozkaz, ale nikt nawet nie próbował go wykonać. Perykles jęknął, widząc, że wycofywanie się przeszło w pogrom. Jego ludzie byli lepiej wyszkoleni, ale dobrze wiedzieli, że dzień jest stracony. Gdy nikt już nie walczył, jedynym celem pozostało ratowanie życia. Uciekający mijali go w biegu.

Mężczyźni upadali i byli porzucani albo ciągnięci dalej przez przyjaciół. Niektórzy ginęli, próbując ucieczki, i krzyczeli w agonii, gdy Persowie kłuli ich w plecy. W środku tych rozpaczliwych zmaganiań coś mignęło z boku i Perykles dostrzegł kątem oka wymach ręki trzymającej jakiś ciemny przedmiot. Próbował się uchylić, ale trafił go silny cios i upadł na ziemię. Nic w tym wszystkim nie ma sensu, pomyślał, usiłując się podnieść. Miał wrażenie, że słyszy Anaksagorasa wykrzykującego jego imię, lecz stopniowo ogarnęła go ciemność. Mijały go przebiegające stopy, on zaś zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego biegną na wysokości jego głowy. Ktoś dźgnął mieczem w dół, a ból był tak straszny, że nie mógł go znieść. Ostatnie greckie szeregi się wycofały, a Nieśmiertelni ryczeli w triumfie na pustym polu, spychając niedobitków w stronę rzeki.

Kimon obserwował pierwsze okręty, które z całym impetem uderzyły w brzeg. Była to najstarsza taktyka, polegająca na wysłaniu ludzi z morza na ląd z największą możliwą szybkością, nawet za cenę samej floty. Będąc człowiekiem morza, nienawidził tego, lecz nie miał wyboru. Persowie mieli przewagę liczebną oraz tę wynikającą ze znajomości terenu i zaopatrzenia. Wiedział, że jeśli nie zdąży w porę rozwinąć szyków, tamci połkną go niczym wąż wyzerający pisklęta z ptasiego gniazda, jedno po drugim.

Rola dowódcy oznaczała podejmowanie decyzji, które miały zaważyć tego dnia na zwycięstwie lub przegranej i oczywiście na życiu jego ludzi. Wiedział o tym, gdy skierował okręty na płyciznę w pobliżu zakola rzeki. Oznaczało to, że tracą mniej okrętów, a ludzie będą musieli wyskoczyć na ląd i posuwać się naprzód w sformowanych prędko czworobokach. Wiedział, że pierwsze siły na brzegu działały pod straszliwą presją.

Gdy sam ruszył z całą resztą, doznał palącego jak ogień poczucia winy. Na pewno nie zamierzał porzucić Efialtaesa, a już z pewnością nie Peryklesa. Dobrze wiedział, że będą wypatrywali jego nadejścia, wyczekiwali głównych sił, choć on wylądował dobrą godzinę drogi od nich, w dole rzeki. Mieli działać jak świeca przyciągająca perskie ćmy. Persowie musieli bronić pierwszego kawałka ziemi za zakolem, nie widząc większych greckich sił posuwających się ku nim od strony ujścia. Był to dobry plan, lecz Kimon w marszu zagryzł wargi, czując na ustach smak krwi. Ciekaw był, czy jego ojciec znał to uczucie osamotnienia i zarazem radości, ale wiedział dobrze, że tak. Słodczy i bólu tego stanu ducha nie dało się z niczym porównać.

Wyciągnął szyję, gdy usłyszał przed sobą odgłosy walki, lękając się, co ujrzy. Dostrzegł z jednej strony wbite w brzeg okręty, a z drugiej cały oddział odzianych na biało Nieśmiertelnych spychających jego ludzi w tył. Niektórzy stali już na płyciźnie, walcząc rozpaczliwie o każdy krok dzielący ich od zepchnięcia w głębinę.

– W zwartym szyku! – krzyknął Kimon w głąb swoich linii. Przyspieszyli kroku. Chcieli spaść na niespodziewającego się niczego wroga. – Formować falangę! Kolumna do fa-lan-gi!

Ćwiczyli to tysiące dni, w pocie czoła powtarzając wszystkie manewry. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że maszerująca kolumna dzieli się na czworoboki, a lochagoi wyrównują linie natarcia i nachylenie włóczni. Długie doryckie włócznie były straszliwą bronią w obronie. A jeszcze straszliwszą w ataku.

Na brzegu rzeki Persowie zauważyli, że nadchodzą. Ich dowódcy nawoływali, by zaprzestać triumfalnego pościgu i rzezi i stawić czoło nowej groźbie. Kimon zmarszczył brwi, widząc, jak poruszają się przeciwnicy. Nieśmiertelni byli najlepszą częścią perskiej armii, a przynajmniej tak mówiono. W jednym ze swoich wykładów w budynku rady Arystydes opisywał kiedyś, w jaki sposób walczyli pod Platejami. Nawet ten starzec był do pewnego stopnia pod wrażeniem ich metody walki. Ci ludzie jednak nie reagowali z taką dyscypliną i precyzją na wydawane rozkazy. Nie dokonywali prędkich zwrotów, by stawić czoło wrogom atakującym z flanki. Kimon uśmiechnął się, szczerząc zęby. Może i mieli białe płaszcze, ale z pewnością nie byli prawdziwymi Nieśmiertelnymi.

– Włócznie i tarcze! Sojusz! Sojusz, do ataku! – ryknął, a jego rozkaz powtórzono we wszystkich maszerujących szeregach.

Kimon obserwował błysk włóczni przed sobą, wzmocnionych masą ciała i spiżu. Mieli wybić dziurę w chwiejnej perskiej flance, która właśnie dokonywała nieudolnego zwrotu. Zatrzyma to miejsce dla głównej floty, kiedy się tu zbierze. Niewątpliwie Persowie rzucą na tę stronę rzeki wszystko, czym dysponują.

Przełknął ślinę, czując suchość w ustach, i ruszył wraz z innymi. Greckie formacje były zdyscyplinowane i nie miały sobie równych w świecie. Taka była prawda. Ale nie spodziewali się bitwy, gdy się obudzili tego ranka. Nikt się nie spodziewał. Kimon posłał cichą modlitwę do swoich boskich patronów i przygotował się do mającej nastąpić rzezi. Było już wystarczająco jasno. Czekala ich krwawa robota i dobrze o tym wiedział.

Perykles poczuł, że jest unoszony i dokądś ciągnięty, a jego stopy zawadzają o ziemię. Robiło się ciemno, chmury zasnuwały powoli nocne niebo. Jak długo był nieprzytomny? Został mu przed oczyma obraz Attikosa stojącego obok niego w ścisku, a potem nie pamiętał już nic. Czyżby ten mały sukinsyn go ogłuszył? Zaczęło się w nim rodzić podejrzenie. Próbował się wyrwać, ale zaraz zrozumiał, że został związany. Spojrzał w lewo i w prawo i serce w nim zamarło. Persowie. Nawet w wieczornym zmroku rozpoznał z łatwością ich namaszczone i utrefione brody o głęboko czarnej, matowej barwie. Usiłował zapanować nad ogarniającą go paniką. Wiele opowiadano o tym, co spotykało Ateńczyków pojmanych przez Persów. Mieli w sobie tyle samo litości co Spartanie, czyli wcale. Mógł jedynie się modlić, by szczegóły tych opowieści były przesadzone; ludzie kochają też opowiadać o klątwach i duchach, żeby nastraszyć przyjaciół.

Po nieskończeniu długim czasie Perykles został złożony, a raczej rzucony na ziemię, aż odezwał się ból jego świeżych ran. Wszędzie wokół widział obóz z niezliczonymi namiotami i wytyczonymi między nimi ścieżkami wiodącymi we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej był w centrum wielkiego obozowiska.

Tam, gdzie leżał, rzucono także kilku innych jeńców. Niektórzy spoczywali cicho i nieruchomo, inni zaś jęczeli z powodu ran, jakie otrzymali. Zauważył, że strażnicy, z nader czytelną intencją, przywiązują ich linami do metalowych prętów, do jakich przywiązuje się niewolników. Pomimo bólu i wyczerpania, które groziły mu ponowną utratą świadomości, Perykles zaczął odpełzać, centymetr po centymetrze, w mrok, czując się jak wąż zrzucający skórę.

Zatrzymał się, kiedy jeden ze strażników podszedł do niego i kopnął go mocno w żebra. Nowy ból zaparł mu dech w piersiach, na co Pers się roześmiał. Perykles zrozumiał wreszcie, że jest ranny, choć nie pamiętał, w jaki sposób się to stało. Gdy strażnik odszedł, więzień poczuł rosnący gniew: na Attikosa, na porzucenie przez własnych ludzi, na sukinsyna, który go ogłuszył, kiedy był bezbronny, a nawet na tego, który go kopnął, gdy nie mógł zareagować. Z gniewem było mu lepiej, znacznie lepiej niż ze strachem. Pozwolił mu

wniknąć w siebie i działać, aż poczuł się drżący i słaby, ale mniej przerażony niż przedtem.

Strażnik przyłożył mu nóż do gardła, gdy przewlekli jego więzy cienkim łańcuchem i umocowali go do pręta. W jego osłabionym stanie wszystko to wydawało mu się zbędną ostrożnością. Teraz Perykles mógł jedynie siedzieć z ciasno złączonymi stopami i rozglądać się po wrogim obozie. Po pewnym czasie zwymiotował, choć w żołądku miał już tylko żółć. Głowa pękała mu z bólu, a przed oczyma, gdy je zamykał i otwierał, migotały błyski.

– Czy ktoś widział Kimona? – mruknął.

Dwaj jeńcy wciąż leżeli nieprzytomni. Inny drgnął, słysząc jego głos, i spojrzął w górę.

– Przybył. Zepchnął Nieśmiertelnych w tył. Pochwycili mnie, kiedy uciekali. W celu zdobycia języka, jak mi się zdaje. To dzikusy, wiedz o tym. Potraktuj nas rozżarzoną żelazem.

Perykles otworzył jedno oko i zerknął na skutego przy nim biedaka. Nie czuł się dzielniejszy od niego, ale coś w załamany tonie tamtego wzbudziło w nim pogardę.

– Przynajmniej będzie nam ciepło – powiedział. – I o to chodzi.

Poczuł, że mężczyzna patrzy na niego z uwagą. *Praotes* było spokojem w obliczu śmierci. Obcy zaśmiał się do siebie.

– Mam na imię Laodes – przedstawił się. – Z *Penelopy*. Pod strategiem...

– Efialtesem. Tak, wiem. Widziałem tego ranka, jak lądowaliście, a raczej się rozbijaliście. Czułem, jak nam złamał się kil, kiedy uderzyliśmy w brzeg.

– Cicho tam! – rzucił jakiś głos.

Perykles podniósł wzrok zaskoczony, że słyszy grekę w obozie wroga.

– Możesz nas... – zaczął.

– Głupcze... – syknął Laodes. – On tu idzie! Nie podawaj mu swojego prawdziwego imienia.

Mężczyzna w stroju hoplity podszedł i popatrzył na nieszczęśników przywiązanych do pręta. Perykles domyślił się po jego akcencie, że jest Macedończykiem. Naprężając więzy, wychylił się i spróbował splunąć. Okazało się to niemożliwe. Jego usta były suche jak ziemia wokół nich.

– Jak się nazywasz? – zapytał Macedończyk.

– Ja? Laodes – odparł Perykles. Usłyszał zduszony głos od strony towarzysza i mimo woli się uśmiechnął.

Przybyły szturchnął go butem dostatecznie mocno, by stało się jasne, że może być dużo gorzej.

– No dobrze, Laodesie, będziesz pierwszy, gdy wódz Artabazus przyjdzie was przesłuchiwać. Sugeruję, żebyś powiedział mu wszystko, o co zapyta. Wtedy szybko to zakończy.

– A co jest z wami, Macedończykami? – spytał Perykles. – Bo jesteście Macedończykami, prawda? Wasz król przybył do Aten, żeby prosić nas, byśmy się poddali. Żeby pozwolić Persji zyskać chwałę, odbierając wam waszą. Odesłaliśmy go z kwitkiem, a potem wyruszyliśmy na spotkanie Persom pod Platejami. Słyszeliście może o tym w tych waszych północnych lasach?

– Biedny głupcze – powiedział mężczyzna, a jego głos ociekał pogardą i gniewem. – Myślisz, że przyszłość należy do tej waszej mieścinki? Ja widziałem *imperium*, rozleglejsze i potężniejsze od wszystkiego, co możesz sobie wyobrazić. Zanim staliśmy się sojusznikami Persji, myślałem, że nasze wielkie dni są już za nami. Nasz król wyczuł przyjący wiatr, to wszystko.

– Nie, sprzedał was – zaproponował Perykles. – Sprzedał Macedonię, żeby siedziała u stóp obcego króla.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie zabiję cię, Laodesie, jeśli do tego dążysz. Będę się przyglądał twojemu przesłuchaniu. To będzie moja mała przyjemność. – Zmusił się, by odejść.

Perykles patrzył za nim.

Jego towarzysz naprężył więzy, by zwrócić się lekko ku niemu.

– Dlaczego podałeś mu moje imię?

Perykles zaśmiał się ze znużeniem.

– Pierwsze przyszło mi do głowy.

W oddali ujrzał blednące niebo. Zrozumiał, że wstaje świt, a on stracił całą noc, bo był nieprzytomny. Uderzenie w głowę to paskudna rzecz. Pamiętał, że zbiegł na brzeg, a potem nie pamiętał już prawie nic, miał jedynie przebliski świadomości.

Na przeciwległym horyzoncie zajaśniało jakieś inne światło. Perykles zwrócił spojrzenie na wschód, potem na zachód, żeby porównać te jasności, i na zachodzie dostrzegł jakieś poruszenie, które oznaczało ogień. Momentami słyhać było, że spokój nocy uległ zakłóceniu. Zagrały rogi obwieszczające rozpoczęcie ataku.

– Podpalił ich flotę – powiedział zachwyconym szeptem Laodes. – Zobacz, jakie światło! Na Aresa, musiał podpalić im wszystkie okręty.

Perykles spojrział na swoje skrepowane nadgarstki i przechodzące między nimi ogniwa niewolniczego łańcucha. W świetle poranka przesuwiał je między palcami, wyczuwając ich chropowatość. Były zbyt mocne, by je rozerwać, poza

tym bał się rozszarpać na nowo jakąś ranę. Persowie wstawali w całym wielkim obozie. Nie sądził, by zmuszeni do odejścia, pozostawili jeńców przy życiu. Mężczyźni wybiegali z krzykiem z namiotów, pokazując coś palcami, chaotycznie szukali broni tam, gdzie złożyli ją poprzedniego wieczoru, i pospiesznie przywdziewali płaszcze.

– Kimon nadchodzi – stwierdził z satysfakcją Perykles.

Znał swego przyjaciela. Przysunął się bliżej pręta i przytrzymał go między udami. Laodes patrzył ze zdziwieniem, jak trze sznurami o szorstkie żelazo, próbując je rozerwać.

* * *

Światło świtu nie mogło współzawodniczyć z okrętami płonącymi wzdłuż rzeki, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Kiedy słońce wynurzyło się zza horyzontu, Kserkses ujrzał długą linię ognia wznoszącą się nad wodą na pełną wysokość zakotwiczonych okrętów. Ludzie wrzeszczeli w żarze, a on słyszał ich wyraźnie. Tysiącami skakali do wody i próbowali wpław dostać się na brzeg.

Z siodła bojowego konia patrzył z rozpaczą na kres swoich nadziei. Artabazus towarzyszył mu na wierzchołku, a jego ciemna twarz pobladła jak wosk na widok tego zniszczenia. Grecy, zawsze Grecy. Koń Kserksesa opuścił łeb, by skubnąć rosnącą nad rzeką trawę. Król zacisnął dłonie na uździe, nie znajdując słów na wyrażenie swojej wściekłości.

– Nie możemy przejść do kontrataku, wodzu? – zapytał. Nawet we własnych uszach jego głos zabrzmiał słabo i żałośnie. Kserkses odchrząknął i spróbował jeszcze raz. – Powiedz mi tylko, dokąd maszerować, Artabazusie! Wiem, że gdy ludzie mnie zobaczą, zbiorą się znowu. Flotę można odbudować.

– Znowu? Jaki miałyby to sens? – mruknął pod nosem Artabazus.

Kserkses spojrział na niego w zdumieniu. Mężczyzna był zwykle wzorem dowódcy, spokojnego i godnego szacunku. Wyglądało na to, że widok płonących okrętów wytrącił go z równowagi.

– Co powiedziałaś, wodzu?

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Miałem na myśli tylko to, że przeprowadzili to starannie. Okręty po obu stronach rzeki zostały podpalone, a ogień prędko się przeniósł. Stępki i żebra zablokują rzekę na długie lata. Nie można odbudować tej floty, przynajmniej nie teraz.

Kserkses skinął głową, jakby otrzymał zwykły codzienny raport, a nie wyrok śmierci na swoje marzenia. Próbował powściągnąć ogarniającą go panikę. Lepiej niż inni, lepiej niż Artabazus wiedział, że ludy imperium nie dopuszczą do

kolejnej próby. Doprowadził królów do nędzy i tysiące niewolników do śmierci. Koszt tego wszystkiego w złocie i krwi przekraczał nawet jego wyobrażenie. Zubązał Persję stopniowo, od Maratonu, przez Salaminę i Plateje, prowadząc do tego ostatniego rzutu kośćmi. Ten szpaler ognia, który przyćmił słońce, oznaczał koniec.

Kserkses odchrząknął raz jeszcze, usiłując przemówić równym, zdecydowanym głosem. Uświadomił sobie, że ręce mu drżą.

– Widzimy wroga, wodzu?

Artabazus pokręcił głową ze znużeniem.

– Ponieważ ich okręty wciąż pływają, niewiele możemy zrobić, nawet gdybyśmy widzieli. – Znowu w jego głosie pojawiła się ta nietypowa nuta.

U innego człowieka byłaby to arogancja. Król zmarszczył brwi, lecz Artabazus nie zsiadł z konia, żeby się ukorzyć, jak zrobiłby to dawniej. Kserkses mógł jedynie otworzyć szerzej oczy ze zdumienia. Pomyślał, że zażądanie czegoś takiego wyglądałoby teraz na słabość z jego strony.

Artabazus ruszył dalej, z niesmakiem machając ręką w stronę rzeki. Blask płomieni ukazywał greckie okręty próbujące płynąć środkiem nurtu. Wódz widział załogi polewające wiadrami wody liny i pokłady, aby nie dopuścić przelatujących nad nimi iskiei, grubych i złocistych w porannym powietrzu. Niektóre z pewnością nie przetrwają pożaru, który same wznieciły. Była to pociecha żebraka.

Artabazus potarł podbródek wierzchem dłoni, uważniej przyglądając się rzece.

– Wasza Wysokość... – zaczął – ruszyliśmy, kiedy podpalili nam pierwsze okręty. Myślałem wtedy, że uda się je uratować. Ale tutaj nie doszło do masowego lądowania. Wygląda to raczej jak...

Rogi zagrały w oddali, a wódz zaklął i zawrócił konia. Kserkses zaczął pytać, co się dzieje, lecz Artabazus go zignorował. Gwizdnął na swoich dowódców i wskazał główny obóz.

– To miało odwrócić naszą uwagę! – krzyknął. – Są za nami.

– Co się dzieje? Wodzu! – zawołał Kserkses.

Artabazus zapanował nad sobą z widocznym wysiłkiem.

– Wasza Wysokość, Grecy, paląc nasze okręty, chcieli nas odciągnąć. Musimy wracać do obozu. Nie ma chwili do stracenia. Proszę, Wasza Wysokość. Jedź ze mną.

Kserkses zacisnął zęby i skinął zdecydowanie głową.

– Bardzo dobrze, Artabazusie. Prowadź nas w tej wojnie.

Perykles ujrzał linię tarcz, którą znał tak dobrze jak twarz przyjaciela. Kimon zebrał wszystkich hoplitów z floty, żeby przeprowadzić atak na obóz. Perykles patrzył w zachwycie, jak blisko sześć tysięcy mężczyzn w złocistych zbrojach wynurza się przed nimi. Włócznie połyskiwały, a on w przyпіływie paniki zrozumiał nagle, że grozi mu śmierć z ich ręki.

– Jeńcy! Grecy! – krzyknął, pokazując puste dłonie. Ujrzał z bliska srogie twarze w spizowych hełmach nad ogromnymi tarczami, pod którymi błyszcząły nagolenniki. Żelazne groty włóczni mierzyły prosto w niego. Usłyszeli jego słowa przez tupot stóp i hałas niedalekiego starcia. Szereg rozstał się jak rzeka opływająca kamień. Perykles wołał głośno o nóż, aż w końcu jeden z mężczyzn zrozumiał i zatrzymał się. Szybkimi ruchami przeciął ich więzy. Wszyscy jeńcy się wtedy ocknęli, choć jeden wciąż był półprzytomny, podtrzymywany przez towarzysza.

– Gdzie jest Kimon? Zenon? Anaksagoras? Epikleos? – wykrzykiwał Perykles, choć mijający go ziomkowie klęli i potracali go.

Nastawieni już byli na przemoc i nie podobało im się, że stoi im na drodze. W krótkim czasie Perykles usłyszał pod swoim adresem więcej przekleństw niż w ciągu całego życia. To bardzo pouczające, pomyślał i roześmiał się głośno.

– Peryklesie! – krzyknął ktoś z lewej strony.

Był to Kimon, który szedł z najlepszymi wojownikami. Otaczało go kilkunastu posłańców, a Perykles zauważył, że jednym z nich jest Zenon. Niewielki mężczyzna zawsze był szybki. Pozdrowili się z zadowoleniem.

– Tutaj! – odkrzyknął.

– Syn Ksantypposa? – powiedział stojący obok Laodes.

Właśnie podniósł się z ziemi i rozcierał zdętwiałe nadgarstki. Kiedy Perykles skinął głową, tamten sprawiał wrażenie uszczęśliwionego.

– Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Jestem zaszczycony.

– Wszyscy ojcowie są dobrymi ludźmi – odparł lekkim tonem Perykles.

Laodes pokręcił głową.

– Zdziwiłbyś się. Ale jestem szczęśliwy, że zostałem uwolniony. Byłbym wdzięczny, gdybyś znalazł mi jakąś tarczę i włócznię.

Słyszeli toczącą się z przodu walkę, a hoplici szli w tamtą stronę. Oni zaś, przepraszając, zmierzali w przeciwnym kierunku, przepychając się przez napierające szeregi, ściągając na siebie kolejne przekleństwa, niektóre tak wulgarne, że Perykles, dotarłszy do Kimona, był pąsowy na twarzy.

– Tutaj i wciąż żywy – powiedział.

Kimon kiwnął mu głową.

– Spaliłem ich okręty. Gdy rozbijemy tych tutaj, zawrócimy i stawimy czoło reszcie. – Nauarcha zmierzył Peryklesa spojrzeniem, a widząc, że jest brudny i ranny, pokręcił głową. – Nie masz tarczy ani zbroi, Peri. Powinieneś wracać. Anaksagoras z Epikleosem są na pokładzie okrętu. Obaj odnieśli wczoraj rany.

– Ratując mnie? – zapytał Perykles.

Kimon wzruszył ramionami.

– Próbując do ciebie dotrzeć. Tak czy owak, nie możesz tu zostać.

– Pożycz mi swój kopis – powiedział Perykles. – Będę walczył obok ciebie, jak na Skiros i na Cyprze.

Kimon zagryzł wargę, ale podał mu ostrze bez dalszych protestów. Zauważył towarzysza Peryklesa.

– Nie widziałem cię już przypadkiem, jak otrzymywałeś chłostę? – zapytał. – Za kradzież? Nie, za napaść na dowódcę?

Zaskoczony Perykles ujrzał, że Laodes spokorniał, zakłopotany jak chłopiec, w obecności mężczyzny, którego podziwiał.

– Myślę... tak, kyriosie, to możliwe. Na swoją obronę powiem, że to był wyjątkowy sukinsyn.

Kimon obejrzał się i wyjął miecz z za pasa jednego z idących mężczyzn. Hoplita nie zaprotestował, tylko spojrzał uważnie, kto to zrobił. Laodes pochylił głowę, przyjmując broń.

– Zrehabilituj się – polecił Kimon.

Nie zauważył łez wzruszenia u Laodesa, który szybko je otarł, skulił ramiona i zniknął w szeregu z innymi.

* * *

Artabazus zmierzał ze swoim oddziałem do obozu tak prędko, jak zdołał, choć z każdym krokiem podupadał na duchu. Jego ludzie po nagłym alarmie nie spali i nie odpoczęli, tylko pomaszrowali w stronę rzeki jedynie po to, by tam zawrócić. Miał nadzieję, że Grecy po tej nocy są równie wyczerpani.

Ranek wstał chłodny i świeży, a powietrze było czyste, mógł więc widzieć daleko. Obóz płonął i unosiły się z niego smugi czarnego dymu. Podeszedłszy bliżej, mógł sobie wyobrazić, jaka rzeź się tam rozegrała. Nie toczyły się już walki, a Grecy uformowali się i na nich czekali. Artabazus przełknął ślinę. Przypomniał sobie Plateje.

Aby dopełnić tej sceny, brakowało tylko czerwonych płaszczy. Linia tarcz błyszczała w słońcu z dziesiątkami tysięcy wojowników na każdym skrzydle.

Dobrze znał tę złocistą skałę, podobnie jak tych, których jego król uparł się nazywać Nieśmiertelnymi, choć nie posiadali ani umiejętności, ani sprawności tej elity. Przebranie ludzi w stroje lepszej formacji niczego im nie daje z wyjątkiem fałszywego obrazu samych siebie. Widział, jak kroczą dostojnie w białych płaszczach, na które nie zasłużyli.

Odetchnął głęboko, wciągając kilka haustów chłodnego powietrza. Niedaleko było wzgórze, a on skierował posłańców, by zaprowadzili tam otoczonego osobistą strażą Kserksesa. Nie można było narażać króla w miejscu, gdzie gęsto fruwały strzały i włócznie. Jego życie było jedynym, które się liczyło. Artabazus poczuł narastającą w duchu urazę, którą natychmiast w sobie zdławił. Miał zadanie do wykonania i dość ludzi, by to zrobić. Mimo wszystkich greckich manewrów i rzezi w obozie wciąż miał armię dwukrotnie liczniejszą od stojącego przed nim przeciwnika.

Patrzył, jak Kserkses ze swymi ludźmi jechał na wzgórze. Zastanawiał się, czy król pozwoli mu żyć, nawet po zwycięstwie. Utrata floty była bolesną raną i Artabazus wiedział, że może ponieść koszt tej straty, niezależnie od tego, co jeszcze nastąpi. Odwróciło to jego uwagę, gdy zmierzał w kierunku płonącego obozu i uformowanych do bitwy greckich szeregów.

Sojusz! Sojusz! – krzyknął Kimon. Przeciągnął te słowa, tak że brzmiały jak wycie wilka. Kiedy już wszystkie oczy skupiły się na nim, zwrócił się do stojących szeregów. – Mój ojciec stał pod Maratonem – zawołał.

Resztki perskiego obozu dymiły za jego plecami, a on w tym momencie mógłby należeć do tamtego błogosławionego pokolenia. Potoczył wzrokiem po tych, którzy żeglowali lub wiosłowali z nim aż do tego miejsca. W końcu uświadomił sobie, co znaczy zaprzeć się i trwać w miejscu, z braćmi i mężczyznami ze swego miasta, wiedząc, że stawką jest cały świat. Ateny... Nie, zreflektował się. Chodziło o coś więcej. Szukał właściwych słów. Nagle popłynęły, jak woda z pucharu, podczas gdy perska armia parła z naprzeciwka jak nieprzebyta ściana.

– Niektórzy z was, którzy stoją tu dzisiaj, stali też z nimi. Z Miltiadesem, Ksantyposem, Arystydesem i Temistoklesem, ludźmi takimi jak wy. Walczyli na polu kopru z ogromną armią, aż zepchnęli Persję do morza. Imperium wróciło z żądaniem, byśmy się ukorzyli, żebyśmy padli na kolana. Powiedzieliśmy *nie*... i podnieśliśmy przeciwko nim włócznie i tarcze. – Rozejrzał się, omiótłszy wzrokiem odzianych w spiż hoplitów i tysiące innych stojących na skrzydłach. Wszyscy trwali w ciszy, nasłuchując każdego słowa. A przez cały ten czas Persowie podchodzili coraz bliżej. – To była wielka chwila w życiu mego ojca – ciągnął dalej Kimon, nabierając powietrza, by jego głos dotarł do wszystkich. – Tak mi powiedział. Kiedy wracał do domu, jego ludzie nieśli go na ramionach, wkładając mu w dłonie amarantowe kwiaty. Mówili, że Miltiades będzie nieśmiertelny. I nieśmiertelna jest pamięć o nim.

Wielu w szeregach potaknęło. Młodzi zrozumieli, starsi niekoniecznie. Perykles poczuł ucisk w gardle z silnych emocji. Nie słyszał jeszcze, żeby Kimon przemawiał w taki sposób. Słuchali słów nauarchy w milczeniu.

– Walczyłem pod Salaminą, kiedy przybyli – kontynuował Kimon. – Przywiedli armię większą od tych resztek, które tu widzicie, większą od całych poleis. Wiosłowaliśmy, atakowaliśmy abordażem i paliliśmy ich okręty przez cały dzień, aż padaliśmy z wyczerpania. Ale ich rozbiliśmy, na morzu i na lądzie.

Byłem Ateńczykiem. – Rozejrzał się znowu. – Dziś jestem kimś więcej. Widzę tu Ateńczyków, jak tamtego dnia pod Maratonem, ale widzę też mężczyzn z innych miast-państw, z dalekich królestw, jak Jonia. Wszyscy złączeni razem, we wspólnej lidze, w naszym sojuszu. Przyjaciele! Maraton i Plateje należą do przeszłości. To jest nasz dzień, nasz czas, nasz rok. To dzień synów. W tym miejscu, nad tą rzeką. Wtedy przyszedli do nas... a teraz my przyszedliśmy do nich. To tu ich zatrzymamy. Spójrzcie na tych, którzy was otaczają, na twarze, które znacie. Persowie rozbiją się o nas jak morze o skałę.

Odczekał chwilę, by dać znać lochagowi, aby przywrócili dyscyplinę w szeregach, aby ponownie zaczęli szturchać i ustawiać ludzi, byle odwrócić ich uwagę od zbliżającego się wroga. W tej ciszy zaczęli wznosić radosne okrzyki, bez słów, po prostu rzucając wyzwanie nadchodzącym Persom. Jeśli Kimon zamierzał powiedzieć coś jeszcze, zginęło to po chwili w nieartykułowanym ryku, aż ziemia zadrzała. Choć może sprawił to także rytmiczny marsz Persów.

Perykles zauważył, jak białe oddziały połączyły się w jeden front. Wyglądały potężnie, nadzieja imperium, i było ich tak wiele. W oddali dostrzegł grupkę odjeżdżającą od tej pracy naprzód masy i wspinającą się na wzgórze, na którym rosło kilka drzew. Mógł to być jedynie ich król, który postanowił stamtąd obserwować, jak kiedyś, siedząc na brzegu pod Pireusem, osłonięty białym namiotem trzepoczącym mu nad głową.

Perykles rzucił na Kserksesa wszystkie znane sobie klątwy. Wolał go jednak w wersji przedstawionej przez Ajschylosa: w rozpacz, prowadzonego przez chór do świata cieni. To nie mogło być jego zwycięstwo! Persja przywiodła do Grecji masy wojsk, aby rzucić ją na kolana. Kimon stracił ojca w walce z nimi, Perykles stracił brata. Przez całe dziesięciolecia perskie złoto i przelewana krew obmywały i zmieniały ich wszystkich. Perykles zadrzał na tę myśl. On i Kimon wciąż trwali na tym czerwonym brzegu, widząc, jak załamuje się przed nimi wielka fala.

* * *

Artabazus, galopując wzdłuż skrzydła, tłumiał wszelkie przejawy strachu. Miał zbyt wiele wspomnień spod Platejów, by znów patrzeć ze spokojem na szereg hoplitów. Ale przecież nie było wśród nich Spartan! Brakowało tam czerwonych płaszczy. Artabazus upewnił się, żeby rozniesiono tę wiadomość między oddziałami. A jednak Ateńczycy też walczyli pod Platejami. Pamiętał ich. Oni także nie ulegli.

Poczuł ogarniającą go rozpacz. Dlaczego niektórzy nie odwracali wzroku, patrząc niebezpieczeństwu w twarz, podczas gdy inni uciekali? Grecy nie byli silniejsi ani odważniejsi od jego ludzi. Był tego pewien. Helleni byli sprawnymi i bezlitosnymi wojownikami, ale jego ludzie też tacy byli. Artabazus szkolił ich surowiej niż kiedykolwiek, aby nabrali siły i wytrzymałości. Choć uważał insygnia Nieśmiertelnych za nieszczerólnie wygodne, to oni sami najwyraźniej je kochali. Jakże to możliwe, by Grecy nie uciekli przed taką potęgą? Bogowie, którym służyli, byli zaledwie echem, myślami w umyśle Ahura Mazdy, Pana Mądrości.

Artabazus zagryzł zęby, zdeterminowany. Plateje były daleko za nimi, zagubione w czasie i przestrzeni. Ich cień nie mógł sięgać tak daleko, miał zupełną pewność. Jego stopy kroczyły w pyłe perskiej ziemi skrapianej krwią przodków od dziesięciu tysięcy lat. Znali cywilizację już w czasach, gdy Grecy wciąż żyli w jaskiniach i lękali się każdej burzy.

Jak szept wróciło do niego wypowiedziane przed laty zdanie. On i jego ludzie byli burzą. Mieli zmieść Greków jak wielka wichura. Modlił się teraz o to, gdy Kserkses i jego świta odjechali w stronę wzgórza, które wybrał dla nich Artabazus.

Królewskie oczy miały obserwować bitwę pokolenia, któremu należał się rewanż, jak obiecał sobie Artabazus. Przełknął ślinę, od wszechobecnego pyłu czując suchość w gardle. Czuł ten kurz na języku, jakby wciąż był pod Platejami. Potrząsnął głową, broniąc się przed napływem lęku.

– Łucznicy! – krzyknął.

Mieli uderzyć pierwsi, jak pod Termopilami, zmuszając tamtych jak dzieci do uników i przysiadów. To był pierwszy grzmot i pierwsza krew.

– Nieśmiertelni! Gotowi – ryknął.

Jego głos nie dotarł do wielu. Powtarzano jego słowa wzdłuż i w głąb szeregów, a ich głosy nakładały się na siebie jak poezja. Zadrzał, czując, jak na nagich ramionach cierpnie mu skóra. To chłodny poranek, wytłumaczył sobie, od strony rzeki dolatywała bryza. Nie chodziło więc o to, że jechał ku własnej śmierci.

Tempo było coraz szybsze i musiał zmusić konia do powolnego kłusa, aby utrzymać swoją pozycję. Był to dobry znak. Jego ludzie to ćwiczyli, choć spodziewali się spotkać Greków w innej krainie i w innym roku. Może jednak poczuli tę samą urazę do nich, spotkawszy ich na własnej ziemi, widząc płonące wzdłuż rzeki okręty i smugi dymu nad swoim obozem. W ciągu jednego dnia

i jednej nocy Grecy objawili im się jako straszliwi niszczyciele. A teraz on niósł im odpowiedź. Uświadomił sobie, że mruczy do siebie, i zagryzł wargi.

Ujrzał zwrócone ku sobie twarze. Strzały leciały tylko na jego rozkaz, a on zmarnował kilkanaście kroków, przyglądając się nieprzyjacielowi, który był coraz bliżej!

– Łucznicy! Strzelać chmurą! – krzyknął nad ich głowami.

Dziesięć tysięcy łuków napięło się, po czym puszczono cięgiwy. Rój strzał wyleciał w powietrze jak wiatr. Szeregi Greków zafalowały, gdy unieśli tarcze. Artabazus wyczuwał ich lęk na obcej ziemi.

– Atakować! Za króla Kserksesa! – zawołał znowu.

Jego głos zginął w tupocie i brzęku cięgiw, ale powtórzono go we wszystkich szeregach, we wszystkich oddziałach, odczuto w sercach. Usłyszeli i odpowiedzieli gardłowym krzykiem, nacierając z impetem.

Artabazus posuwał się naprzód razem z nimi, utrzymując pozycję na wysokości trzeciej linii. Widział twarze Greków, jak trzymali tarcze nad głowami, przyklękając pod ulewą strzał. Z pewnością wielu zginęło, pomyślał. Nie widział, by ich linie się zachwiały, lecz ludzie znikali z szeregów tu i ówdzie, jak zdmuchnięci. Uśmiechnął się, po czym zsiadł z konia i oddalił go klepnięciem w zad.

Widział, że wielu jego ludzi uśmiecha się w reakcji na dziki wyraz jego twarzy. Serce zabiło mu szybciej, gdy usłyszał straszliwy szcęk zderzających się szeregów. To pierwsze uderzenie miało przełamać linię Greków i zmusić ich do ucieczki.

Usłyszał gniewne okrzyki swoich ludzi, gdy odnalazły ich groty greckich włóczni, wbijane raz za razem i cofane, już ubroczone krwią. Linia połączonych tarcz wytrzymała pierwszy napór. Więcej szczęścia mieli łucznicy strzelający do Greków na skrzydłach, gdzie Artabazus dostrzegł więcej padających ludzi. Centrum greckich linii trzymało się jednak mocno mimo potężnego naporu, choć liczebna przewaga była po stronie Persów.

Poczuł przypływ zwątpienia, gdy zawiódł pierwszy wielki szturm. Ludzie mogli się rozpędzać tylko wtedy, gdy było dość miejsca. Gdy pierwsi zostali przyciśnięci do greckich włóczni i tarcz, szeregi za nimi mogły jedynie przeć do przodu, z trudem stawiając kroki. Lecz rzeź się nasilała i ludzie umierali setkami. Z dala od środka Artabazus widział Greków bez złocistych zbroi, jakie pamiętał z sennych koszmarów. Mieli włócznie i miecze jak reszta, ale ich tarcze były zrobione z drewna i sznurów, a hełmów nie mieli wcale.

Wydał nowe rozkazy, by zwiększyć nacisk na greckie skrzydła, i zaraz poczuł ich reakcję, gdy się lekko ugięły. Artabazus ryknął wtedy głośno, aby jego ludzie go widzieli, i radował się każdym krokiem naprzód, jaki udało mu się zrobić. Dodawał im ducha. Jednakże środek greckich linii opierał się mocno, jak czubek klina, i wszystkie siły, jakie przeciwko niemu rzucił, nie zdołały zepchnąć go w tył. Zamiast tego widział, jak jego nowi Nieśmiertelni padają, zderzywszy się ze spżem i żelazem.

Jeden z obcych dowódców zauważył cofające się skrzydła i wykrzyknął jakieś rozkazy w swoim języku. Pod ich wpływem cała grecka siła cofnęła się dobre dwadzieścia kroków. Persowie wrzasnęli radośnie i rzucili się w powstałą lukę, przewracając się nawzajem. Artabazus machał rękami i głośno protestował, obawiając się podstępu.

Prawdziwi Nieśmiertelni ruszyliby w zdyscyplinowanym porządku, nie porzucając swoich linii. Ci tutaj mieli na sobie tylko płaszcze tamtych, lepszych wojowników. Pobiegli w nieładzie w tej samej chwili, gdy szeregi naprzeciwko się przegrupowały, zamykając linię tarcz.

Znowu spomiędzy nich wynurzyły się włócznie, a było ich mnóstwo. Dwa lub trzy ostre jak brzytwa groty trafiły każdego z nadbiegających. Artabazus słyszał głuche rozkazy kapitanów nakazujących pchnięcia i wycofania włóczni, w przód i w tył. Było to brzydkie, niemal rzemieślnicze podejście, ale jego ludzie podupadli na duchu na ten widok. Nieważne, jak dzielni byliby w natarciu, jak silni, na ich spotkanie, wysoko i nisko, wysuwały się ostrza. Choć próbowali je odtrącać, wciąż było ich więcej, kłujących, tnących i rozrywających uda, ramiona, szyje i barki, aż padali osłabieni na ziemię, dysząc i umierając.

Artabazus poczuł ogarniającą go rozpacz. Jego ludzie nie znajdowali żadnego sposobu, by przedrzeć się przez te ciernie. Grecy zabijali ich setki, tysiące, a sami stracili ledwie kilku. I wciąż stali z nastawionymi włóczniami i złączonymi tarczami. Artabazus widział tylko wizury w ich hełmach, nagolenniki pod tarczami i wymalowane na tarczach szydercze twarze, które śmiały się z niego.

Jego oddziały ponownie zepchnęły greckie skrzydła i znowu cała linia się cofnęła. Artabazus zrozumiał nagle, że kroczy po spalonych resztkach własnego obozu, po strzępach namiotów i trupach wdeptanych w ziemię. Może zdołałby zepchnąć wrogów ku rzece i pokonać ich skrzydła. Mając za plecami wodę, nie mogliby się przeformować. Skinął głową. Kserkses patrzył. On zaś wreszcie zdołałby zredukować liczbę przeciwników.

Nabrał powietrza do płuc, aby wydać nowe rozkazy, lecz jeden z Greków go przekrzyczał, wydając swoje polecenia. Artabazus był dostatecznie blisko frontu i zwrócił głowę w tamtą stronę. Otworzył szeroko oczy, rozpoznając Kimona z Cypru. A u jego boku... nie zapamiętał jego imienia, ale tamten dowodził grecką łodzią, która dostarczyła Artabazusa na brzeg, umożliwiając mu ucieczkę. Zawahał się i w tym właśnie momencie linie greckich tarcz naparły ponownie. Wytrzymywali przeciwko przeważającej sile, lecz oni również dostrzegli niebezpieczeństwo coraz bliższej rzeki. Aby odzyskać nieco miejsca, cała linia ruszyła naprzód równocześnie, cofając włócznie i używając tarcz jako broni, uderzając nimi twarze Persów na całej długości ich szeregów. Zyskali tylko parę kroków, lecz Artabazus dostrzegł coś, od czego serce zamarło mu w piersi.

W centrum kilkunastu ludzi cofnęło się przed tym nagłym naporem. Artabazus nie wiedział, czy byli zmęczeni i musieli nieco odstąpić, by się przegrupować, czy też uznali nagle, że grozi im śmierć. Dość, że odwrócili się raptownie i rzucili do ucieczki, wpadając między własne szeregi. Strach zaczął się szerzyć jak ogień w suchej trawie.

Grecy nie runęli naprzód, jak zrobili to wcześniej jego ludzie. Ich dowódcy dostrzegli jednak prędko tę nieoczekiwaną przewagę i wykrzyknęli nowe rozkazy. Jeszcze raz pochyłono włócznie i cała linia postąpiła do przodu równocześnie, najpierw uderzając tarczami, a potem kłując włóczniami w twarze i boki zataczających się i cofających Persów, wszędzie tam, gdzie pojawiły się luki. Centrum ich linii cofnęło się znowu i Artabazus zauważył tworzącą się wielką wklęsłość tam, gdzie perskie szeregi się ugięły. Jego ludzie nie byli zdolni odeprzeć tego naporu. Byli zupełnie bezradni i ogarnęła ich panika.

– Utrzymać! Utrzymać środek! Za króla! – ryknął do nich Artabazus.

Niektórzy go usłyszeli, inni zaś w panującym zgiełku nie. Wiedzieli tylko, że ich szeregi cofają się przed nacierającym nagle przeciwnikiem.

Wielu próbowało stawić opór dla honoru i imienia Nieśmiertelnych. Ale i tak każdy z nich stanął w obliczu nieubłaganej śmierci na swój sposób. Cofali się w końcu lub ginęli zakłuci włóczniami, a ich krew pryskała na złociste tarcze.

– Utrzymać! – krzyczał w rozpacz Artabazus, lecz oni nie byli już w stanie tego zrobić.

Poszli w rozsypkę i zaczęła się straszliwa rzeź.

* * *

Kserkses patrzył z przerażeniem, jak złocisty klin wbija się niczym włócznia w samo serce jego oddziałów. Jego ludzie nie umieli stawić oporu i utrzymać

szyków, on zaś zaczął zadawać sobie pytanie, czy jego życie jest przeklęte. Był tak blisko zwycięstwa i w ostatniej chwili mu je wydarto.

Podniósł nogę, by wsiąść na konia, drugą oparłszy na podsuniętych usłudnie dłoniach osobistego niewolnika. Przerzucił nogę nad końskim grzbietem i spojrział znowu na wciąż toczącą się bitwę. Ogarnęła go gorycz.

– Dość tego – powiedział. – Wsiadajcie na konie i zabierzcie mnie stąd. Szybko, zanim oni tu dotrą.

Zauważył, że jego świta wciąż się nie rusza. Stali, poklepując w roztargnieniu szyje wierzchowców i osłaniając oczy, by lepiej widzieć. Ogarnął go gniew na klęskę oraz na ich osłą głupotę.

– Bitwa jest przegrana! – krzyknął. – Na koń! A może chcecie, żeby pojmano też waszego króla?

Ocknęli się, słysząc ton jego głosu. Z czterdziestu ludzi, których tu przyprowadził, kilku zarumieniło się w zakłopotaniu, po czym wsiadło na konie. Nawet wtedy zauważył, że trwożliwymi spojrzeniami wciąż śledzą przebieg bitwy, obracając w miejscu wierzchowce. Kserkses pokręcił głową. Bitwy staczają ludzie, ci zaś mnożą się jak chwasty w zaułkach niezliczonych miast. Minie trochę czasu i wróci tu, odbudowawszy armię.

Dowódca jego osobistej straży służył jeszcze jego ojcu. Prawdę mówiąc, Hafez był już trochę za stary do tej roli, bardziej ceremonialnej niż praktycznej. Broda mu posiwiiała i poskręcała się, a ogorzała skóra wyglądała jak wygarbowana. Kserkses znał go od dzieciństwa. Kiedy starszy człowiek chrząknął znacząco, król spojrział na niego.

– Wasza Wysokość, powinieneś zsiąść z konia – powiedział Hafez. Przemawiał łagodnie jak do dziecka.

– Co znaczy „powinieneś”? – rzucił Kserkses. Czyżby ten stary dureń postradał zmysły? Widział teraz Greków kroczących po obrzeżach pola bitwy i ograbiających zwłoki. Nieśmiertelni byli tak samo martwi jak wszyscy inni.

Jeden ze strażników chwycił za uzdę królewskiego wierzchowca, zatrzymując go w miejscu. Kserkses wytrzeszczył oczy. W porywie złości spiął konia piętami, mając nadzieję, że skoczy do przodu. Jednak mężczyzna skręcił koński łeb w bok. Koń kręcił się w kółko, rżąc cicho i parskając. Kserkses sięgnął do pasa po wysadzany klejnotami sztylet, lecz przytrzymało mu rękę. Ośmielili się go dotknąć!

Niewolnicy, którzy zwykle szli z tyłu, przypadli twarzą do ziemi. Spojrzenia strażników były twarde. Kserkses zadrżał, głos mu się załamał.

– Pozwól mi jechać, Hafezie – powiedział. – Przecież nie złamiesz przysięgi złożonej mnie i mojemu ojcu.

– Zsiadaj, Wasza Wysokość – rzucił Hafez już bardziej stanowczo.

Oszołomiony Kserkses zrobił, co mu kazano. Zadrżał, gdy położyli dłonie na jego ramionach.

– Odjeżdżajcie stąd wszyscy – rozkazał Hafez głosem tnącym jak bicz. – To nie wasza sprawa. Wracajcie do domu w pokoju.

– Dam całe miasto temu, kto zabije tego człowieka – powiedział wyraźnie Kserkses.

Podniósł oczy, ale nikt nie pochwycił jego spojrzenia. Jeden po drugim cała świta, strażnicy i niewolnicy, odeszli, zostawiając go samego.

Wreszcie Kserkses stał już tylko z Hafezem i jeszcze jednym mężczyzną. Jego synem, przypomniał sobie.

– Puśćcie mnie – polecił. – Mogę stworzyć nową armię, nową flotę.

– Nie – odparł z żalem Hafez. – Nie możesz.

Zbliżający się tętent kopyt wywołał nowe, zgoła inne napięcie na opuszczonym wzgórku. Kserkses spojrzał z nadzieją i jego oczy rozszerzyły się, gdy rozpoznał jeźdźca.

– Artabazusie! Ratusz mnie z rąk tych zdrajców. Dotrzymaj przysięgi!

Młody król patrzył ufnie, jak Artabazus obraca konia w miejscu i spogląda na pole bitwy, na którym dobiegała końca rzeź. Nie uśmiechnął się, patrząc na swego króla. Zamiast tego pokręcił głową i odjechał.

Kserkses upadł na duchu. Gdy Artabazus odciągnął uwagę mężczyzn, wyrwał zza pasa sztylet i rzucił się na nich. Hafez się uchylił i ostrze tylko zarysowało zbroję, nie czyniąc mu krzywdy. Starszy mężczyzna wyrwał mu sztylet z dłoni i brutalnie potrząsnął królem.

– Mój ojciec ci ufał – wybełkotał Kserkses ze strachem. – Patrzy teraz na ciebie.

– A zatem bardzo mi przykro – odparł Hafez.

Wbił sztylet w górę, pod żebra króla, cofnął i pchnął jeszcze raz, żeby mieć pewność. Kserkses westchnął i wyzionął ducha. Ojciec i syn powoli i łagodnie opuścili go na ziemię, po czym przenieśli i oparli o pień drzewa.

Popatrzyli na siebie ze smutkiem. Ich konie skubały obok trawę, a słońce powoli zachodziło, zmieniając rzekę w płynne złoto. Na polu bitwy Grecy ruszyli ku ich pozycji, zainteresowani ludźmi na wzgórzu.

– Dokonał się tego – mruknął Hafez. Pochylił się i przyjrzał królowi, którego kochał przez całe życie. – Nie żyje. Imperium jest w żałobie. Chodź,

musimy zabrać jego ciało do domu.

Efialtes kroczył przez pole zasłane ciałami poległych i porzuconą bronią. Nie było to spokojne miejsce, odkąd można już było obdzierać trupy Persów z amuletów, monet, nawet wplecionych w brody koralu, często ze złota lub nefrytu. Krzatali się tam wioślarze, zazdrośnie wydzieliwszy dla siebie dużą część pola, i zerkali groźnie na wszystkich przechodzących, broniąc swojego terytorium i prawa do grabieży.

Strateg zadrżał, pochwywszy kilka takich spojrzeń, gdy szedł do Kimona. Attikos sadził u jego boku jak oswojony wilk, a Efialtes był bardzo zadowolony z jego obecności. To Attikos utrzymał go przy życiu w potężnym zderzeniu walczących i w szczękę żelaza. Rana, którą otrzymał Efialtes, była tylko cięciem pod linią włosów, ale popłynęła z niej po twarzy ciemna krew i przez jakiś czas myślał, że rana może być śmiertelna. Zszył mu ją cieśla okrętowy, lecz co najważniejsze, Efialtes przeżył dzięki Attikosowi i był mu za to wdzięczny.

Zerkał na niskiego mężczyznę u swego boku, który patrzył nieufnie na każdego, kto podszedł bliżej. Attikos był chudy jak szczapa, niedożywiony i pokryty bliznami. Efialtes wiedział, że istnieje jakaś wrogość między nim a Kimonem, a także Peryklosem. Nie znał szczegółów, ale trudno było nie zauważyć, jak na niego patrzyli. Strateg, podchodząc do Kimona, wiedział, że powinien odesłać Attikosa dokądkolwiek, choćby na okręty, na których już się krzątano. Potrzeba było chętnych do pomocy rąk. Przywrócenie flocie wystarczającej sprawności, by mogła wyruszyć w podróż powrotną, mogło im zająć dobry tydzień. Kimon rzucił dosłownie wszystko na brzegi Eurymedonu. Wiele uszkodzonych okrętów zamierzano użyć do naprawy innych. Ich stępki i żebra miały już na zawsze pozostać na dnie i zgnieć w perskim mule. W żegludze powrotnej, a miał to być powrót triumfalny, każdy pokład będzie zatłoczony, pomyślał Efialtes.

Kimon stał się sławny. Bez udziału Spartan zniszczył perską flotę i unicestwił wielką armię na morzu i na lądzie. Wraki pozostałe po perskich ambicjach wciąż dopalały się na rzece, sycząc w miarę pogrążania się w błotnistej wodzie.

Efialtes zauważył, że Kimon rozmawia z jednym z wrogów, który stał tam ubrany w nieco inną zbroję, ze związanymi rękoma. To dla niego typowe, to odgrywanie wielkiego archonta tam, gdzie jeszcze umierali ludzie.

Efialtes odsunął na bok strażnika, który próbował go zatrzymać. Kimon zauważył to i uśmiechnął się; niewątpliwie czuł się bezpiecznie po odniesionym zwycięstwie. Efialtes zrewanżował się tym samym, choć coś się w nim gotowało. Kimon nie odniósł żadnej rany. Jak wszyscy przedstawiciele jego warstwy, stanął sobie z boku i pozwolił, by inni za niego pracowali. Z pewnością nie będzie się bronił przed owacjami i uwielbieniem tłumu po powrocie do domu.

– Strategu Efialtesie – powiedział Kimon na powitanie. – Jestem szczęśliwy, widząc cię na nogach. Ta rana wyglądała brzydko.

Efialtes spojrział na niego nieufnie. Przez chwilę poczuł się wzruszony jego troską, ale się opamiętał. To był jeden z ich trików, to zauważanie różnych drobiazgów, żeby ludzie myśleli, że naprawdę są dla nich ważni. Archonci i synowie archontów. Był pewien, że eupatrydzi uczą się takich rzeczy od kołyski.

Skłonił głowę, przyjmawszy jego słowa.

– Założono mi kilka szwów. A tobie udało się uniknąć zranień?

– Tak, dzięki bogom – odparł Kimon.

– Widzę – rzucił sucho Efialtes.

Ku jego zadowoleniu rozweselony Attikos chrząknął znacząco. Kimon zmarszczył brwi, rozpoznawszy go.

– Człowiek, który stoi obok ciebie, jest wichrzycielem sprawiającym kłopoty, strategu. Attikos został wychłostany przynajmniej dwa razy, a i tak potraktowano go pobłaźliwie, jeśli wziąć pod uwagę, co zrobił.

Efialtes wyprostował się i spojrział na niego z wyższością.

– Czyżby? Wobec mnie był bardzo lojalny. Oceniam ludzi raczej po tym, kim są, a nie po ich przeszłości.

– Jest niebezpieczny – upierał się Kimon. – Przeszłość może być nauczycielką, ale też przestrogą. – Zreflektował się i zagryzł wargę. Podczas gdy Efialtes rozważał uszczypliwość jego słów, on już ciągnął dalej, wskazując na stojącego obok związanego jeńca. – Chciałbym przedstawić Jego Wysokość króla Aleksandra z Macedonii, pojmanego dzisiaj.

Król skłonił się im, choć w odczuciu Efialtesa on również miał w sobie ten nieuchwytny odcień wyższości, jakby Kimon z Macedończykiem usłyszeli ten

sam żart. Częścią tej postawy było rozbawienie, nawet gdy jeden był więźniem drugiego.

– To zdrajca Grecji – zauważył Efiates.

Król spojrział na niego ostro, ale nic nie powiedział. Kimon westchnął, jakby nagle poczuł się zmęczony. Był zakurzony, spocony i posiniaczony. Nie jadł cały dzień ani nie spał poprzedniej nocy. Podniecenie walką uchodziło z niego powoli, pozostawiając ociężałość.

– Jego Wysokość nie jest Grekiem – stwierdził Kimon.

Dał znak Aleksandrowi, aby się odwrócił, ten zaś zrobił to, w pełni mu ufając. Piłującym ruchem Kimon przeciął sznury na jego nadgarstkach. Aleksander odwrócił się z powrotem i zaczął rozcierać sobie nadgarstki, patrząc pytająco.

– Zabierz resztę swoich ludzi i wracajcie do domu – powiedział Kimon. – Taka jest moja decyzja.

– Pozwalasz mi odejść? – zapytał Efiates.

Kimon zbladł z gniewu. Odwrócił się ku Efiatesowi tak prędko, że Attikos położył ostrzegawczo dłoń na rękojeści miecza.

– To ja jestem starszym wodzem na tym polu, Efiatiesie. Nauarchą i archontem Aten. Zdaje ci się, że możesz dołączyć kilka dni wcześniej do mojej floty, zniszczyć moje okręty i zepsuć załogi, a potem kwestionować mój osąd na polu bitwy? Posuwasz się zbyt daleko. Ty zaś, Attikosie, *jeśli wysuniesz ten miecz choćby na szerokość palca, każę ci go połknąć.*

Efiates poruszał bezgłośnie ustami. Król odchrząknął i Kimon spojrział na niego ponownie.

– Daj mi słowo, Wasza Wysokość, że nigdy więcej nie wyruszysz w pole przeciwko siłom sojuszu, że od dziś nazywać nas będziesz przyjaciółmi i czcigodnymi sprzymierzeńcami.

– Przysięgam – odparł z mocą Aleksander.

Kimon podniósł głowę, król zaś oddalił się tak prędko, jak zdołał, gwizdnąwszy na grupkę swoich ludzi, którzy czekali nieopodal bez broni i zbroi, prawie niepilnowani. Efiates patrzył na to z rosnącym gniewem. Wyglądało na to, że Kimon zachowywał się nader przyjaźnie wobec ludzi, którzy tego dnia walczyli dla perskiego króla, choć sami mówią po grecku. Był zdumiony, że nie skrócono ich o głowę albo nie zagnano na okręt i nie podpalono go. To byłby odpowiedni koniec, nie zaś puszczanie ich wolno, żeby pojechali sobie do domu.

Od chwili zakończenia bitwy Efiates wiedział, że ma podstawy, by pogodzić się z Kimonem. Walczył i został ranny. Po tym wielkim zwycięstwie na pewno będą mogli odłożyć na bok wszelkie drobne urazy i zacząć od nowa. Ale od

samego początku spotkał się z uszczypliwymi uwagami i pogardą dla swego osobistego strażnika. Efiates opanował się, choć policzki wciąż miał czerwone z oburzenia.

– To oczywiście twoja decyzja – powiedział. – Mam tylko nadzieję, że zgromadzenie się z nią zgodzi, kiedy już wrócimy.

A niech ma! Niech się teraz martwi! Efiates miał poważny wyraz twarzy, kiedy Kimon na niego spojrział.

– To groźba, strategu?

– Wcale nie... chyba że chciałbyś zaprzeczyć roli zgromadzenia? Kiedy wrócimy do Aten, ludzie zdecydują o zaszczytach bądź potępieniu, nieprawdaż? Jak po Salaminie? Oczywiście będzie dochodzenie z powoływaniem świadków, którzy powiedzą, co widzieli, a czego nie. Wyobrażam sobie, że wielu się zdziwi, iż uwolniłeś tak znacznych jeńców, ale to może poczekać. W końcu kampania się jeszcze nie skończyła, prawda? – Efiates zakończył swoją wypowiedź bardziej pozytywną nutą, uświadamiając sobie nagle, że póki co lepiej będzie, jeśli Kimon nie będzie myślał o nim jak o wrogu.

Armie traciły ludzi każdego dnia, na morzu i na lądzie. Rany powodowały gorączkę i śmierć, były też dezercje, walki, jednym słowem – setki powodów, dla których mężczyzna mógł nie wrócić z wojny. A tak właśnie Efiates załatwiłby sprawę, gdyby ich role się odwróciły. Uznał, że od tej chwili musi być ostrożniejszy i z pewnością mieć cały czas Attikosa przy boku. O niego nie musiał się martwić. Attikos wiedział, że najlepsze szanse ma przy nim.

Kimon zmierzył Efiatesa dziwnym spojrzeniem. Zaczął odpowiadać, ale ujrzał nadchodzących Peryklesa i Epikleosa. Efiates poczuł niemal ukłucie zazdrości, gdy Kimon natychmiast odwrócił od niego wzrok, jakby wcale się nie liczył.

Nowo przybyli wyglądali na wyczerpanych, lecz Epikleos bardziej. Stał z przymkniętymi oczyma, chwiejąc się sennie. Był wśród nich najstarszy, jednak znalazł w sobie dość energii, by spojrzeć gniewnie na Attikosa.

– Znowu ty? – mruknął.

Attikos mrugnął do niego, zadowolony, że jest znany i że się go boją.

– Jak tam teatr? Już całkiem odbudowany? – rzucił Attikos.

Epikleos skrzywił się, jakby skosztował czegoś obrzydliwego. Jednak zamiast odpowiedzieć, odwrócił wzrok.

Również Perykles dostrzegł Attikosa. Mina mu zrzędła i stanął z półotwartymi ustami i wrogim wyrazem twarzy. Efiates pokręcił głową.

– Przecież zwyciężyliśmy dzisiaj, prawda? – powiedział głośno. – Widząc tyle ponurych twarzy, śmiem w to wątpić! Bądźcie pewni, że gdy złożę świadectwo przed zgromadzeniem, o wszystkich wypowiem się dobrze. – Uśmiechnął się, zachwycony własną przemyślnością.

Kimon i Perykles wymienili zrezygnowane spojrzenia.

– Ile okrętów wciąż pływa? – zapytał Kimon przyjaciela.

– Straciliśmy dobry tuzin takich, które nie nadają się już do naprawy. Kolejne dwadzieścia można uratować, mając dobry port z suchym dokiem. Póki co, można je prowizorycznie załatać i doprowadzić do domu, tak twierdzi Anaksagoras. On dobrze ocenia takie rzeczy, Kimonie. Wierzę jego słowom. Jeśli załadujemy ich załogi na sprawne okręty i unikniemy złej pogody, zdołamy je jakoś doholować. Wystarczy paru ludzi przy sterach i do obserwacji. Im lżej, tym lepiej, jak sądzę.

– To dobrze, znacznie lepiej, niż myślałem – powiedział Kimon. – Bardzo dobrze. Teraz jest już zbyt ciemno, by wchodzić na pokład. Przekaż ludziom mój rozkaz, żeby rozbili tu obóz. Nie ma wiele jedzenia, a raczej nie ma go wcale, ale mają rzekę, w której mogą się napić i umyć porządnie. Muszą na tym przetrwać do jutra rana, kiedy wrócimy na okręty.

– Zaczekaj... nie idziemy dalej? – przerwał mu Efiates. – Połowa nieprzyjaciół wciąż uchodzi! Pozwolisz też uciec im wszystkim?

Kimon zacisnął szczęki i odpowiedział spokojnie, świadomy, że jego słowa mogą któregoś dnia zostać powtórzone przed zgromadzeniem w Atenach.

– Spaliliśmy ich flotę i rozbiliśmy armię, ale nie mam ludzi ani dość zapasów na dłuższą kampanię w sercu Persji. Moim zadaniem tutaj, strategu, było zniszczenie, spalenie i unicestwienie sił, które Persowie zgromadzili w tym miejscu. To zostało wykonane. Poza tym nie mam rozkazów od zgromadzenia ani od sojuszu, żeby przeprowadzić inwazję na obszarze imperium. Nie ma tego w planie.

– A jednak wydaje się rzeczą nierozważną tak po prostu opuścić te pozycje – obstawał przy swoim Efiates. – Dlaczego nie ruszyć w głąb lądu choćby na jeden dzień? Kto wie, co nas tam czeka?

– Zapraszam cię do tego, strategu – odparł zimno Kimon. – Ale nie poświęcę ani jednego życia więcej bez ważnego powodu. Jako nauarcha sojuszu mam rozkazy, by wracać na morze. Aha, i jeszcze jedno, strategu Efiatesie. Zastąpię ludzi na twoim okręcie lepszą załogą. Twoi są kiepsko wyszkoleni i po każdym manewrze zostają w tyle.

– A jednak to ja przewodziłem w lądowaniu na brzegu rzeki – rzucił Efiates.

Attikos ponownie zareagował znaczącym chrząknięciem.

– Ale zostałeś rozgromiony – stwierdził Perykles.

Efialtes spojrział na niego. No tak, oczywiście będzie wspierał Kimona. Pochodzili z tej samej warstwy społecznej. On i Kimon, który uwolnił króla Macedonii z mrugnięciem oka i uśmiechem. Tak właśnie działał ich świat.

– W obliczu miażdżącej przewagi wroga moje załogi poradziły sobie całkiem nieźle, jak sądzę. Wolałbym zachować tych ludzi. Jeśli zostaną mi odebrani, nastąpi to wbrew mojej woli i będę zmuszony złożyć oficjalną skargę, kiedy wrócimy do Aten. Oczywiście niezależnie od całej reszty mojego świadectwa. –

Strateg przesunął kciukiem po dolnej wardze, jakby w głębokim namyśle. – Ciekaw jestem ponadto... choć modłę się, żeby to nie była prawda. Czyżby zabrakło ci odwagi, Kimonie? A może...

Przerwał zaskoczony, kiedy Kimonowi wyrwało się nagłe parsknięcie, coś jak krótki wybuch śmiechu. Peryklesowi wydało się zaś, że wyczuwa w tym głęboki ból.

– Mój ojciec walczył pod Maratonem, a gdy potem postanowił jeszcze ukarać Persów, otrzymał ranę, która go zabiła. Służyłem pod Salaminą i widziałem więcej topielców, niż spotkałem żywych. Tak wielu, Efialtesie! Persów i Greków splątanych razem. Widziałem, jak Cypr wraca pod nasze panowanie, i jestem nauarchą sojuszu. Ta rzeka, Eurymedon, jest teraz czerwona i czarna od krwi, smoły i popiołu. Nie, tu już skończyliśmy. Ruszaj, dokąd chcesz. Widziałem dzisiaj dość śmierci.

Efialtes tylko patrzył, poruszony do głębi. Nienawidził Kimona w tym momencie. Chciał, żeby eupatrydzi byli tacy, jakimi chciał ich widzieć. Nie zaś tacy jak teraz. Szukał nerwowo jakiegoś sposobu, żeby zranić tego szlachetnego syna Aten.

– A jednak... – odezwał się – kiedy pozwoliłeś macedońskiemu królowi odjechać wolno, nie sądziłem, że równocześnie postanowisz wycofać armię i flotę właśnie w chwili naszego wielkiego triumfu. Czy on ci coś ofiarował, archoncie? Rozmawiałeś z nim, kiedy podszedłem, pamiętasz? Co takiego obiecał ci król i sojusznik Persji?

– Ty wiarołomny, niewdzięczny sukinsynu – warknął do niego Epikleos.

Zaczął wyciągać miecz, a Attikos sięgnął po swój. Efialtes złapał swego strażnika za nadgarstek, wiedząc, że nie mają przewagi.

– Nie ma potrzeby uciekać się do przemocy, zwłaszcza między sobą – powiedział. Uśmiechnął się ponownie i nawet jeśli nie zamierzał na tym poprzestać, wiedział, że wciąż będzie mógł to wykorzystać. Przyskrzypił

Kimona, był tego pewien. Żadna protekcja jego środowiska mu nie pomoże, tak jak nie pomogła jego ojcu. – Myślę, że kiedy wrócimy do domu – ciągnął – to moim obowiązkiem będzie wniesienie o prawne rozstrzygnięcie tej sprawy, z odwołaniem się do osądu ludu, aby ocenił działania, których byłem tu świadkiem. Wtedy dokona się sprawiedliwość, nie zaś tutaj, na obcej ziemi.

Oskarżenie wystarczy, pomyślał, tak jak wystarczyło w przypadku Pauzanasza ze Sparty. Efiates widział, jak twarda świadomość tego faktu mignęła w oczach Kimona. Właśnie on spośród wszystkich ludzi najlepiej wiedział, jak nisko upaść może bohater i zwycięzca. Kimon był na procesie swego ojca oskarżonego tylko o porażkę w bitwie. Zgromadzenie było kapryśne i karało najmniejszy dyshonor. Gdyby to ateński strateg był oskarżycielem, Kimon byłby skończony...

– Ja go oskarżę – odezwał się nagle Perykles. – Tak jak mój ojciec oskarżył jego ojca.

– Co? – wykrztusił Efiates wytrącony z równowagi.

Perykles wzruszył ramionami.

– Mam takie prawo jako wolny Ateńczyk. Ty poruszyłeś temat, ale to ja wniosę oskarżenie.

– Myślałem, że sam to zrobię...

– Och, przepraszam – powiedział Perykles. – Powinieneś mnie uprzedzić. Ale już się nie wycofam. Powiedziałem raz i takie mam prawo. Podobnie jak mój ojciec, będę domagał się sprawiedliwości, szybko i bez żadnej ulgi.

Kimon spojrział na młodzieńca wzrokiem pełnym poczucia zdrady. Efiates dostrzegł to i skinął głową do siebie. Są jak koguty, uświadomił sobie. Pod byle pretekstem ci szlachetni synowie zwracają się przeciwko sobie i skaczą sobie do gardła, aż tryska krew. To nawet lepiej, że wyjdzie to od Peryklesa, którego Efiates widział od tej chwili już w innym świetle. Skoro potrafił być tak bezlitosny wobec tych, których nazywał przyjaciółmi, to w przyszłości trzeba będzie na niego bardzo uważać.

– Wracajcie do swoich obowiązków – rzucił krótko Kimon. Jego głos zabrzmiał szorstko, on zaś odwrócił się od nich. – Opatrzcie rannych i pobierajcie broń i zbroje z pola. Jutro opuszczamy to miejsce.

Król Tasos poruszył się, zbudzony o świcie. Usiadł, gdy służący chrząknął, dając mu znać o swojej obecności. Słońce już wschodziło, lecz on się nie wyspał i ziewał. Wstawał w nocy dwa razy, żeby się wysikać do stojącego pod łóżkiem nocnika. Opuściwszy nogi na podłogę, poczuł jej chłód, gdy dotknął ją piętą.

– Wasza Wysokość, przynoszę ważne wieści – powiedział służący.

Pochylił głowę, gdy Hezjod na niego spojrział. Nogi króla były pomarszczone, a przywiedła skóra zwisała jak luźna tkanina. Hezjod wciąż patrzył na nie z zaskoczeniem, pamiętając, jakie były kiedyś mocne. Jako młodzieniec przeskakiwał przez mury, szukając wrogów, a czasem ich córek. Jego żona była zdobyczą, którą porwał kiedyś i wyniósł w ramionach, podczas gdy jej mąż i bracia przeczesywali krzaki, szukając go. Potarł oko, czując rosnący niepokój. Tamte czasy były lepsze. Nie uszło wtedy jego uwagi, że była ubrana jak do podróży ani że bracia szukali jej w niewłaściwym miejscu. Wciąż go to dziwiło.

Często sięgał ręką i po omacku poklepywał miejsce, na którym leżała przez tyle lat. Odeszła już. Wciąż mu jej brakowało.

Powoli, jako że rankami wszystko działo się powoli, Hezjod wstał i podreptał do toalety, gdzie już przed świtem zagrzano dla niego wodę w kadziach. Niewolnicy zawsze przygotowywali mu kąpiel, która odejmowała dwadzieścia lat jego zmęczonym stawom i skutecznie go budziła. Spojrział ponownie. Służący wciąż czekał. Hezjod westchnął, gdy go wycierano. Potem odtrącił usługne dłonie, bo ubierał się sam. W końcu nie był taki stary! Jego żona pod koniec potrzebowała pomocy, przypomniał sobie, gdy jej twarz obwisła po jednej stronie. Było to dziwne, ale jemu jak dotąd udało się tego uniknąć.

Gdy wkładał szatę i sandały, obecność służącego zaczęła go irytować.

– Bardzo dobrze! Jakież to wieści przynosisz jak natrętna mucha? Zanim jeszcze zjadłem śniadanie?

Młody człowiek zaczął mówić pospiesznie, mogąc wreszcie uwolnić się od ciężaru wiadomości, którą przyniósł.

– Flota sojuszu powróciła, Wasza Wysokość. Otoczyli Tasos. Kapitan Waszej Wysokości pyta o rozkazy.

Król Hezjod wyprężył się, niemal prostując ramiona. Był kiedyś wojownikiem i dobrze pamiętał arogancję Ateńczyków.

Wyszedł z komnaty i ruszył kruzgankiem do schodów wiodących do najwyższego punktu na wyspie, czyli szczytu wieży jego pałacu. Kiedy dotarł na górę, poczuł ból w nogach. Osiemdziesiąt stopni sprawiło, że przed oczyma zaczęły mu migotać jasne błyski, i zastanawiał się, czy jego również powali jakiś atak.

Gdyby nie dyszał tak ciężko, wstrzymałby oddech na widok, który go powitał. Dzień był ciepły, a wiatr łagodny, on jednak stał jak rażony gromem, a na czoło wystąpił mu pot.

Sto okrętów otaczało Tasos. Znał ich sylwetki i typ, podobnie jak zadanie, z którym pojawiły się na jego wodach. Kiedy Kimon przybył poprzednim razem, jego własna flota była w morzu, co bardzo mu odpowiadało. Łatwiej było twierdzić, że nie może pozwolić sobie na daninę albo na okręt dla sojuszu, kiedy miał w swoim doku raptem kilka okrętów.

Hezjod potarł dłonią podbródek, opierając się łokciem o kamienny parapet. Czuł się mocno poruszony. Wejście po schodach poniekąd dobrze mu zrobiło. Chwilę potem dostrzegł jednak okręty przybijające do brzegu bez jego pozwolenia. Hoplici z Tasos stali w porcie i było już pewne, że dojdzie do walki, jeśli nie obejmie dowodzenia. Król zaklął i zaczął wlec się po schodach w dół. Tam zatrzymał się i wezwał posłańca. Istnieje wiele sposobów wygrywania wojen.

* * *

Kimon podpłynął okrętem flagowym i zakotwiczył obok jednostki, której nie znał, a której nie było w porcie podczas jego ostatniej wizyty. Denerwowało go, że król mógł po prostu przekazać sojuszowi dwa z tych pięknych okrętów i nie byłoby problemu. Flota potrzebowała złota i ludzi, ale najbardziej ze wszystkiego potrzebowała trier. Kimon stracił ich dużo nad Eurymedonem.

Kilkunastu hoplitów w zbrojach paradowało po nabrzeżu, najwyraźniej zamierzając przeszkodzić mu w zejściu na ląd. Sternicy Kimona byli dostatecznie sprawni, aby podpłynąć na tyle blisko, żeby mógł głośno przemówić do tamtych. Nareszcie nie było przy tym czujnych oczu Efiatesa, który ze swoją kiepską załogą błąkał się gdzieś na obrzeżach floty. Kimon nie uśmiechnął się, wyobrażając sobie jego wściekłość. Strateg na własne życzenie stał się zagrożeniem i jak dotąd, niezazegnanym.

Był to jeden z powodów, dla których Kimon wrócił na Tasos. Gdyby dochodzenie w Atenach potoczyło się źle, mógłby zostać wygnany albo i stracony. Nawet gdyby udało się oddalić większość zarzutów, nadal mógłby stracić dowództwo floty, a wraz z nim szansę na uczynienie z Hezjoda i Tasos odstraszonego przykładu.

Zagryzł zęby, gdy na nabrzeżu pojawił się konno sam król, który zsiadł z wierzchowca z taką gracją, jakby był o połowę młodszy. Strażnicy królewscy mieli łuki, zauważył Kimon, podobnie jak niektórzy członkowie załóg stojących w porcie okrętów, którzy obserwowali ich uważnie.

Kimon pochylił głowę jak byk naprzeciwko wroga. Jeśli miał to być jego ostatni czyn jako nauarchy, to nie mógł okazać litości. Spojrzał na zbliżającego się Hezjoda i dostrzegł w oczach króla niechęć.

– Miałeś dość czasu, by rozważyć swoją odpowiedź dla sojuszu – zawołał Kimon. – Dotrzymasz zatem przysięgi, którą złożyłeś na Delos? A może ją złamiesz przed bogami i skazesz na śmierć swój lud oraz swój ród?

– Wieści o twoim zwycięstwie dotarły do mnie już kilka tygodni temu – odparł Hezjod, starając się, by jego głos zabrzmiał równie mocno jak Kimona. –

Jaką flotę ma teraz Persja? Tasos jest wyspą, Kimonie. Tylko flota może nas zaatakować. – Może dlatego, że stał na własnej ziemi, przemawiał z pewnością siebie i uśmiechem na ustach. – Zakończmy więc to wszystko. Zwalniam sojusz z odpowiedzialności za Tasos, wy zaś zwolnijcie mnie z moich zobowiązań. I poprzestańmy na tym.

Kimon westchnął. Nie spodziewał się niczego innego, choć piękne okręty wojenne stały w porcie, a kopalnie złota mogłyby po wielokroć spłacić należną daninę. Wiedział, że mógłby w nieskończoność dyskutować z królem o przyzwoitości i niczego by to nie zmieniło. Ale nie wrócił na Tasos, by dyskutować.

– Jako nauarcha Związku Delijskiego nakazuję pojmanie cię i natychmiastowy proces. Bierzcie go.

Na słowa Kimona Hezjod wybałuszył oczy, rozglądając się ze zdumieniem. Jego mała straż zwarła szyk, przygotowując się na atak, a ludzie z okrętów zaczęli schodzić na nabrzeże. Hezjod pocił się w porannym słońcu, zdawał sobie sprawę z beznadziejności swojej sytuacji. Sojusz nie miał władzy poza obszarem, który jej zagwarantował, ale okręty były wszędzie wokół Tasos, on zaś...

Zauważył, że ci schodzący z jego okrętów nie sformowali się, by go bronić, ale otoczyli jego straż. Po chwili doszło do krótkiego starcia i jasna krew

spłynęła na kamienie nabrzeża. Król skulił się na widok tej nagłej przemocy. Ludzie Kimona związali mu ręce za plecami i przytrzymali w oczekiwaniu.

Kimon zszedł z okrętu na nabrzeże przez wahadłową drewnianą bramkę. Nie uśmiechał się i Hezjod przełknął ślinę, widząc ponury wyraz jego twarzy, którego nie miał przy poprzednich spotkaniach. Wojna zmienia człowieka, pomyślał. Nie była to przyjemna myśl. Groził i chełpił się i został ukrócony. Ta świadomość była przytłaczająca.

– Nie ma potrzeby dalej zabijać! – powiedział. – Coś ty zrobił? Gdzie są moi ludzie?

– Większość leży związana w ładowniach twoich okrętów – odrzekł Kimon, podchodząc bliżej. – Chociaż kilku próbowało wczoraj walczyć. To kiepskie dowództwo, Hezjodzie. Nie lubię karać niewolników i popleczników. Nie wtedy, gdy mogę stanąć z człowiekiem oko w oko.

– Zapłacę daninę, Ateńczyku – obiecał Hezjod. – Weź jeden z moich okrętów z ładownią pełną srebra. Podwoję tegoroczny trybut!

Kimon potoczył spojrzeniem po wyspie, która rozciągała się przed nim. Odkąd wpłynął na te wody, miał zamiar posłużyć się królem dla przykładu. Hezjod najwyraźniej rozumiał, że jego życie waży się na szali, i kropla potu spłynęła mu po policzku jak łza. Mając związane ręce, nie mógł jej obetrzeć.

Kimon potarł podbródek, zastanawiając się, czy egzekucja wzmocni, czy osłabi sojusz. Pamiętał, co Perykles powiedział o swoim ojcu, gdy Ksantyppos na jakiś czas postradał zmysły. Spalił wtedy kilkanaście perskich miast po stracie syna. Ta utrata panowania nad sobą wciąż ciążyła wstydem rodzinie i nadal o tym opowiadano.

Nie miało znaczenia, że Kimon nie mógł już ufać Peryklesowi. Nie zamienili ze sobą ani słowa, odkąd Perykles wyraził chęć opowiedzenia się za Efiatesem po powrocie do Aten. Kimon pomyślał o swoim ojcu i podjął decyzję. Może będzie to jeszcze jeden kamień, którym Efiates w niego rzuci, gdy wróca, ale nie – nie zabije starego człowieka.

– Zrobisz coś więcej, Hezjodzie. Widzę w twoim porcie sześć okrętów. Zabiorę je, żeby zastąpiły te, które straciliśmy w tym roku w perskiej kampanii.

– To zbyt wiele... – wybełkotał Hezjod.

Kimon mówił dalej, ignorując go:

– Poprowadzisz moich ludzi do skarbcza i otworzysz go. Cokolwiek tam znajdziemy, będzie należeć do sojuszu. Na razie możemy na tym poprzestać...

– To piractwo! Jak śmiesz...

– Dobrze! Obalimy mury twojej stolicy...

– Nie masz prawa! Jestem królem!

– Chcesz więcej? – ciągnął Kimon nieubłaganym głosem. – Bardzo dobrze! Obrócimy twój pałac w ruinę. Powiedz coś jeszcze, Wasza Wysokość, a splądruję twoją stolicę. Nazywasz mnie Ateńczykiem? Pamiętaj więc, że dobrze wiem, co to spalenie miasta. Złamałeś przysięgę złożoną na Delos. Proponuję ci pokutę przed bogami, abyś to wiarołomstwo odkupił, albo zniszczenie. Wybieraj.

Hezjod patrzył gniewnie. Kimon widział, jak jego umysł pracuje, ale król najwyraźniej jeszcze nie uległ. W jego oczach widać było jaskrawy błysk gniewu, a nawet triumfu.

– Bardzo dobrze – powiedział w końcu.

– Doskonale. Prowadź zatem, Hezjodzie. Chcę zobaczyć ten twój słynny skarbiec. Każdy przedmiot musi zostać starannie odnotowany.

Hezjod nie zamierzał odzywać się więcej. Pogrążony w myślach szedł, patrząc w ziemię, i potykał się, popychany. Od pierwszej chwili, gdy zauważono ich okręty, wiedział, że wylądują. Nie wiedział tylko, czy pozwolą mu żyć, lecz przygotował się na ich powrót, odkąd Kimon zaczął mu grozić. W każdym jego spojrzeniu i w każdym ruchu głowy widział ateńską arogancję.

Zaprowadził ich pieszo do swojej stolicy, widząc kulące się pod ścianami rodziny, wystraszone widokiem obcych wojowników. Niektórzy z przechodniów mieli tyle odwagi, żeby zawołać i zapytać, czy nie uczyniono mu krzywdy. Czuli przejmujące upokorzenie. Doradcy uprzedzali go, że Kimon nie zapomni jego odmowy. Po upływie pewnego czasu król zaczął jednak nabierać przekonania, że jego decyzja była całkowicie słuszna, a Kimon jest zbyt zajęty wielką bitwą, którą stoczył nad daleką wschodnią rzeką o nieznanej mu nazwie. A potem flota sojuszu powróciła i wszystkie jego nadzieje zgasły.

Hezjod popełnił błąd, myśląc, że Kimon nigdy nie ośmieli się zaatakować członka związku. Persowie stracili przecież swoją siłę! Począwszy od Maratonu, Termopil i Platejów, aż po ten ostatni rzut kośćmi nad tamtą rzeką. Nie było już powodu, by dłużej utrzymywać ten sojusz. Ludzie w rodzaju Ksantypposa zniknęli z tego świata. Podobnie jak święte przysięgi.

W pałacu Hezjod ujrzał setki hoplitów sojuszu, którzy już tam byli, niewątpliwie, aby się upewnić, że jego ludzie nie ukrywają gdzieś należących do niego skarbów. Nie mógł znieść widoku obalanych murów, przy użyciu włóczni wyposażonych w haki oraz lin i wielkich młotów. Było w tym jakieś wyrachowane okrucieństwo, lecz gdy spojrzał na Kimona, nie zauważył w nim nawet śladu wyrzutów sumienia.

Hezjod skinął głową. Wyobrazili sobie, że uczynią z niego przykład. Nazywali siebie sojuszem, ale w jego sercu było tylko jedno miasto. Taka była prawda, czy godzili się z nią czy nie. Ateny były potęgą, o czym świadczyła obecność Kimona w jego królewskim pałacu.

Tylko jedno miasto-państwo miało dość siły, by ich powstrzymać. Gdy Hezjod ujrzał, jak otwierają jego skarbiec i wynoszą na światło dzienne pierwsze worki, pomyślał o młodym posłańcu, któremu zaufał przed wyjściem. Gdy jeszcze było ciemno, chłopiec zabrał małą łódkę z obciągniętej skórą wikliny i powiosłował na stały ląd. Miał znaleźć drogę do jego sprzymierzeńców, skąd królewskie słowa rozniosą się po Grecji. Nie będzie można ich już zatrzymać. Jego krzyk o pomoc dotrze do królów Sparty, a oni zaczną działać.

EPILOG

Spartański król patrzył przez wysoką trawę na człowieka, którego zamierzał zabić. Plejstarchos przycupnął w terenie bardziej przypominającym ogród niż pole bitwy. Ciemne trzciny osłaniały jego ludzi przed niepowołanym wzrokiem, a przez tę część Peloponezu przepływała rzeka. Było to zupełnie odmienne od pylistej ziemi wokół Sparty, gdzie o wodę i żywność trzeba było walczyć. Arkadia była kwitnącym miejscem, pełnym zielonych pastwisk i drzew uginających się pod ciężarem owoców. Skutki tego Plejstarchos widział w zachowaniu młodego króla, który jechał na koniu tak beztrosko, jakby myślał, że jest myśliwym, a nie zwierzyną.

Plejstarchos poczuł, że mężczyzna przy jego boku chciałby się podnieść. Sięgnął i złapał go za przedramię na tyle mocno, żeby zabolalo. Tisamenos jęknął, próbując się wyrwać, ale bezskutecznie. Woda zafalowała pod nimi na bagnistym gruncie i coś się w niej poruszyło, plusnąwszy blisko. Plejstarchos jeszcze mocniej przytrzymał towarzysza. Tisamenos może i był Spartaninem, ale nie z urodzenia. Mimo tego, co Apollo obiecał wróżbicie, Plejstarchos mu nie ufał.

– Puść mnie! – syknął Tisamenos, pobladłszy z bólu.

– Żeby zobaczyć, jak moje szczęście umyka wraz z tobą? Nie. Bądź cicho – odparł Plejstarchos.

Puścił go, wiedząc, że rozkaz wystarczy. Tisamenos spojrział na niego, a w oczach zabłysnął mu prawdziwy gniew. Plejstarchos nie odwrócił wzroku i czekał, aż mężczyzna przypomni sobie, że w konfrontacji z którymkolwiek z obecnych tu Spartan jest bezbronny jak dziecko. Gdyby Plejstarchos rozkazał go zabić, Tisamenos nie byłby w stanie się obronić nawet przed najsłabszym z nich. A gdyby zdradził ich obecność, sam by tego nie przeżył.

Sto kroków dalej młody król Dipai podniósł rękę, żeby osłonić oczy. On i jego myśliwi tropili czterech mężczyzn po tym, jak zauważyli ich pod murami miasta. Podążali ich śladem przez cały dzień aż do tego miejsca, na granicy swego terytorium. Jego ludzie byli sprawni i doskonale znali teren. Choć przymusił ich do szybkiego kroku, w jakiś sposób ci, za którymi szli, wciąż ich

wyprzedzali. Widać ich było w oddali, jak pokonywali grzbiety wzgórz. Król Anais nie wiedział, które z kilkunastu terytoriów Peloponezu nazywają swoim domem, zauważył tylko, że sadzili wzdłuż brzegów rzeki i środkiem bujnych łąk, zostawiając ślady, za którymi dziecko mogłoby podążyć. Król był doskonałym myśliwym. Potężnie zbudowany Anais nosił na sobie skórę lwa, którego sam upolował.

Był to dobry plan i zaczął się sprawdzać doskonale. Młody król, który usiłował zjednoczyć wszystkie ludy Peloponezu, wyjeżdżał ze sztandarami i graniem rogów, gdy tylko zauważono jakichś obcych, którzy uciekali przed jego strażą. Podążając wyraźnym, czytelnym tropem, Anais ze swoją osobistą strażą zmierzał prosto w objęcia czekającego na nich spartańskiego oddziału.

Plejstarchos zerknął za siebie na osiemdziesięciu wojowników, których tu przyprowadził. Każdy miał powyżej trzydziestu lat i spłodził syna. Byli elitą jego miasta, słynęli ze swoich umiejętności. Każdy z nich cieszył się w Sparcie znakomitą renomą, a jego imię było powszechnie znane. Teraz klęczeli w śliskim błocie i czekali, aż syn Leonidasa poderwie ich do walki.

Miasta i miasteczka na północy były położone zaledwie kilka dni drogi od Sparty. Zaplanował szybką kampanię, która miała stłumić rebelię w zarodku, zanim na dobre się zaczęła. Symbolicznym przywódcą Arkadyjczyków był Anais. Inspirowali się Ateńczykami, ich sojuszem oraz Związkiem Delijskim. Na tym to wszystko polegało. Owce, które nauczyły się nie bać wilka.

Plejstarchos rozsunął chroniącą go zasłonę z liści. Nie ulegało wątpliwości, że Anais przemawiał bardzo dobrze. Mówił o nowym pokoleniu, o młodości, o sile. W innych czasach mogliby zostać przyjaciółmi. Jednak wkroczył na drogę prowadzącą do upadku. Nie mogło być związku małych poleis rzucających wyzwanie Sparcie. Nie na świętej ziemi. Ich przywódca powinien zostać zabity, a jego głowa zatknięta na włócznie na jego własnych murach. Idea związku powinna zostać poroniona i zapomniana w ciągu jednego pokolenia. Sparta rządziła. Nie miało już być żadnych nowych wyzwań.

Plejstarchos nie obawiał się tej małej siły, która towarzyszyła królowi. Jego czterej ludzie wiedli za sobą pościgową grupę nie więcej niż stu ludzi do miejsca, gdzie czekał Plejstarchos. Problem polegał na znacznie większych siłach zbliżających się do ich pozycji zza najbliższego wzgórza. Plejstarchos wciąż nie wiedział, czy pochodzili oni z pobliskiego miasta Mandinii czy z jakiegoś odleglejszego miejsca. Cekał, oceniając ich siłę, czując przy tym łożące mu w ciszy po udach żaby i dokuczliwe pijawki.

Za każdym razem, gdy król zerkał nad moczarami, Plejstarchos miał wrażenie, że go dostrzegł. W zachowaniu młodego władcy było coś, co sugerowało, że zauważył słońce odbite od tarczy. Ludzie Plejstarchosa wysmarowali tarcze błotem, aby temu zapobiec, ale nie było łatwo ukryć osiemdziesięciu Spartan na bagnie, zwłaszcza gdy kilku łowców jechało konno. Jeden z nich powiedział coś do króla i mężczyźni się roześmiali.

– Chcesz się wycofać? – szepnął Tisamenos.

Sześciuset ludzi pojawiło się w tym miejscu i niezależnie od tego, czy przywołał ich jakiś niewidoczny sygnał, czy po prostu odbywali tu ćwiczenia, z pewnością pokrzyżowali plan zgładzenia Anaisa.

Plejstarchos spojrział na niego z wściekłością jedynie z powodu wysunięcia tej sugestii. Tisamenos nie jest mu sojusznikiem, przypomniał sobie. Był tu obecny dlatego, że obiecano mu zwycięstwo w pięciu kolejnych bitwach. Plateje były pierwszą, potem zapewne Cypr, skoro Ateńczycy nazwali to zwycięstwem. Plejstarchos uważał, że kolejne trzy jeszcze na niego czekają. Zamknął na chwilę oczy, polecając swoje życie Apollinowi i Aresowi, po czym poprosił o błogosławieństwo swego ojca.

– Wstawajcie – powiedział. – Zabijcie tych śmiejących się sukinsynów.

Spartanie wstali z bagna jak jeden mąż. Opuścili odsunięte wcześniej hełmy i podnieśli leżące w czarnym błocie włócznie i tarcze. Król patrzył ze zdumieniem, jak nagle wyrosli przed nim. Tisamenos uznał, że lepiej będzie ruszyć razem z nimi, niż dać się stratować. Młody król ściągnął wodze, a jego koń wybałuszył oczy na widok uderzających Spartan.

Anais nie miał żadnych szans. Włócznie rzucono celnie w niego, nie zaś w jego konia. Spartanie wiedzieli, że ranne zwierzę potrafi ponieść jeźdźca daleko poza ich zasięg. Trafiony włócznią król zsunął się z siodła i dopiero wtedy rumak wierzgnął i pogalopował, lecz było już za późno.

Jego strażnicy przybyli na te bagna, żeby ścigać przestępców, nie zaś stawiać czoło uzbrojonym i żądnym mordu Spartanom. Prędko zwarli szyk, gdy Anais upadł, i zaatakowali w porywie oburzenia. Nie pomogło im to jednak. Pierwszych kilkunastu natknęło się na wojowników, którzy z łatwością odtrącili ich miecze i zbili ich z nóg uderzeniami tarcz.

Tisamenos musiał postępować za nimi, trzymając się blisko syna Leonidasa, który napierał na wyraźnie zdenerwowanych przeciwników. Wieść o tym, kim są, rozeszła się wśród nich lotem błyskawicy i Tisamenos widział teraz wyraźnie, że nazwa Sparty warta jest całego oddziału. Broniący się mieli miażdżącą przewagę liczebną, lecz Plejstarchos prowadził swoich osiemdziesięciu Spartan

w samo serce ich szyku. Ich włócznie trafiały celnie i strażnicy padali gęsto w ramiona stojących za nimi towarzyszy.

Utworzyli linię obronną, wznosząc włócznie przed sobą. Spartanie z postępowaniem je zbijali. To nie broń wygrywała wojny, ale umiejętności walczących. Każdy wojownik Plejstarchosa uczył się długo rozbijania szyków obronnych i równie długo ich utrzymywania. Przeszli przez przednie szeregi hoplitów, jakby mieli do czynienia z grupą bezradnych chłopców.

Kiedy włócznie popękały albo upadły, nie wyciągnęli mieczy, lecz straszliwe kopisy, którymi walczyli z przerażającą skutecznością. Każdy walczący spartiatą był twardą ścianą spiżu i wirującą mgłą kopisa, który odrąbywał palce, ciął piszczele i otwarte do krzyku usta. Rzeź była krwawa i brutalna.

Ryk gniewu zagłuszały wrzaski rannych, aż w końcu linie załamały się i nastąpiło coś jakby moment ulgi i wycofania. Spartanie ich nie ścigali, bo Plejstarchos im tego nie nakazał. Wiedzieli, że wciąż są w mniejszości, choć przynajmniej połowa Arkadyjczyków leżała martwa lub wiła się, krwawiąc i jęcząc, na miękkiej trawie.

Plejstarchos dyszał ciężko. Wiedział, że zabił Anaisa, lecz nie mógł znaleźć jego ciała wśród porąbanych kończyn i zmasakrowanych zwłok. Wciąż trzymał w dłoni kopis i mało brakowało, a zabiłby Tisamenosa, kiedy wróżbita pojawił się na granicy jego pola widzenia. Mężczyzna podniósł ręce, poblady na widok dzikości w zachowaniu spartańskiego króla wojennego.

Wysiłkiem woli Plejstarchos powściągnął bojowy szal. Wytarł do czysta kopis i sprawdził, czy na ostrzu nie ma pęknięć i wgnieceń. Oczywiście trzeba będzie go ponownie naostrzyć. Część po części starannie sprawdził całe swoje uzbrojenie. Zdjął też hełm i sprawdził stan nosala. Rytuał ten, wpojony od dziecka, uspokajał go.

– To dobry dzień – powiedział.

Tisamenos stał nieco poza jego zasięgiem, obserwując, jak powraca do zwykłego stanu spokojnej uwagi.

– To moje trzecie zawody – stwierdził ponuro Tisamenos.

– I jeśli będzie kolejna rebelia przeciwko spartańskim rządóm, znów zabiorę cię ze sobą – zapowiedział Plejstarchos.

– Zmarnujesz to, co mi obiecano! – odparł Tisamenos.

– Wykorzystam – odrzekł Plejstarchos ze wzruszeniem ramion. – Dla chwały Sparty. Może zdołalibyśmy dziś zwyciężyć bez ciebie, a może nie. Któż to wie? Nie będę gardził obietnicą Apollina.

– Mam inne plany... – odezwał się Tisamenos.

Plejstarchos spojrział na niego z nieskrywanym zdziwieniem.

– Zostałeś przyjęty jako spartiata, Tisamenosie. Nie mogę tego odwołać, ale podporządkowuje cię to mojej władzy, tak jak przedtem władzy Pauzanasza. A jeśli uznam, że wykorzystam cię jeszcze do dwóch bitew, a potem odeślę, zrobię tak. Albo zabiję. – Król wzruszył ramionami. – Bądź posłuszny albo nie, Tisamenosie. Jesteś mężczyzną i wybór należy do ciebie.

– W takim razie chciałbym prosić o pewną przysługę – powiedział Tisamenos.

– Nie mogę obiecać, że spełnię prośbę. Mów.

– Jeśli pozostanę przy twoim boku na jeszcze jedno zwycięstwo, czwarte, to chciałbym prosić, żeby z tym ostatnim poczekać... do czasu, gdy staniemy w bitwie przeciwko Ateńczykom. Złożyłem Pauzanaszowi przysięgę i chciałbym jej dotrzymać.

Plejstarchos zaśmiał się cicho. Dzień był piękny i czuł na twarzy łagodny, ciepły powiew. Skinął głową.

– Zgadza się, wróżbito. Bardzo dobrze. Masz moje słowo.

NOTA HISTORYCZNA

Kimon to z pewnością jedna z największych postaci starożytnej Grecji. Syn Miltiadesa dowodzącego pod Maratonem był w młodości pijakiem i birbantem, który wielkim wysiłkiem woli zapanował nad swoim życiem i wyrósł do roli ateńskiego stratega podczas perskiej inwazji. Jego późniejsze życie jest dobrze udokumentowane. Wraz ze starannie dobranymi załogami spalił perskie bastiony na wyspach takich jak Egina, rozgromił piratów na Skiros, gdzie również odnalazł szczątki Tezeusza i przywiózł je do Aten. Kimon zdobył też Cypr. A także zniszczył perską flotę na rzece Eurymedon, po czym wylądował tam z wojskami i pokonał Persów w bitwie lądowej. W ten sposób przyczynił się do śmierci Kserksesa, którego zamordowała jego własna straż. Kimon stał się największym strategiem Aten, lwem nowego pokolenia.

* * *

Ubolewam nad brakiem informacji na temat kluczowych lat pomiędzy wojnami perskimi a konfliktem ze Spartą. Szczegóły na temat śmierci Ksantypposa zaginęły, choć wiadomo, że zmarł około roku 478 p.n.e. – krótko po utworzeniu Związku Delijskiego. Pod wieloma względami było to fundamentalne wydarzenie w powstaniu nowej Grecji i ma w jej historii szczególne znaczenie. Ludzie tacy jak Arystydes i Ksantyppos zwołali przywódców miast-państw na Delos, gdzie złożyli oni wieczystą przysięgę. Żelazne sztaby z okrętów zostały zatopione w morzu jako fizyczny dowód przymierza, a zarazem jego metafora. Przez długie lata skarbiec związku spoczywał na Delos.

Przed ukończeniem trzydziestego roku życia Perykles często znika z zapisów. Biorąc pod uwagę aktywne zaangażowanie jego ojca we flocie, wielce prawdopodobne jest, że w kluczowych chwilach opisanych w tej książce rzeczywiście przebywał z Kimonem, nie ma jednak co do tego całkowitej pewności. W późniejszym życiu dowodził siłami wojskowymi na morzu i lądzie. Jego wczesne wyszkolenie mogło odbywać się tylko tutaj i w tych właśnie latach.

* * *

Wykorzystałem licentia poetica, umieszczając Artabazusa na Cyprze w czasie ataku Greków na wyspę. Artabazus przeżył Plateje jako jedyny starszy perski dowódca. Posługując się przekupstwem, perswazją, przemocą i kłamstwem, wyprowadził około dwudziestu tysięcy Persów przez Macedonię i dzisiejszą Bułgarię (Trację) do domu. Istnieje uderzające podobieństwo tej wędrówki z wyprawą dziesięciu tysięcy opisaną przez Ksenofonta (a opowiedzianą przeze mnie w *Sokole spartańskim*), lecz wynika z tego jedna lekcja: nieważne, czy rzeczywiście tylko zwycięzcy piszą historię, ważne, że ktoś musi to zrobić. Bez Ksenofonta, który zrelacjonował ten heroiczny powrót, szczegóły wyprawy Cyrusa zostałyby utracone bezpowrotnie. Kserkses serdecznie powitał Artabazusa i w podzięcie za jego zasługi obdarował go satrapią nad Hellespontem. Umieściłem go w bitwie nad Eurymedonem, choć nic na ten temat nie wiadomo. Jednakże jego wojskowa kariera trwała jeszcze długo po tych wydarzeniach.

* * *

Perykles wrócił do Aten po śmierci swego ojca. W wielkim festiwalu ku czci Dionizosa, który odbywał się co roku w Atenach, rzeczywiście był choregiem („producentem”) zestawu sztuk Ajschylosa, do którego należała najstarsza z zachowanych tragedii *Persowie*. Opisałem teatr grecki tak dokładnie, jak tylko zdołałem. Same sztuki, zarówno ich opracowanie, jak i oglądanie, rzeczywiście musiały być formą kultu Dionizosa, w którym uczestniczyli widzowie. Każdy dramatopisarz oceniany był przez dziesięciu sędziów wybranych losowo z fyl ateńskich. Dramatopisarz i jego choreg wystawiali zestaw czterech sztuk: trzy tragedie i jedną satyrę.

(Uwaga: satyry były rodzajem tragikomedii wystawianych razem z poważniejszymi dziełami. Satyrowie, o których mowa, nosili przypięte ogromne fallusy oraz ośle uszy i mieli raczej niewiele wspólnego z subtelnością. Niestety, przetrwała w całości tylko jedna taka sztuka, napisana przez Eurypidesa, oraz kilka fragmentów innych. Na tej podstawie bardzo trudno opisać cały gatunek. Przedmiotem dyskusji jest również to, czy siedzenia na widowni w Atenach rzeczywiście rozdzielane były według fyl i czy kobiety oraz niewolnicy mieli własne, odrębne sekcje).

W każdym razie dramat miał być dziełem bardzo poważnym i często polegał na odgrywaniu na scenie legend oraz mitów. Osadzenie akcji we współczesnych

latach, z wciąż żyjącymi bohaterami, było czymś niezwykłym i bardzo odważnym. Mam nadzieję, że udało mi się przedstawić teatr z V wieku p.n.e. z odpowiednią dozą jego pierwotnej energii. Polecam też, co prawda nieco późniejsze, sztuki Arystofanesa. Był szalonym geniuszem, czasem niezwykle zabawnym.

Sponsorowanie przedstawień było w starożytnych Atenach dość typową drogą do sławy. Wspierając Ajschylosa, Perykles wspierał zarazem człowieka, który stał u boku jego ojca w bitwie pod Maratonem. Perykles z Ajschylosem wygrali nie tylko wielkie współzawodnictwo podczas Dionizjów, ale też, jak się wydaje, Perykles w omawianej dekadzie zdołał zgromadzić wokół siebie wspaniałą grupę śmiałych myślicieli. Uczył się sztuki prowadzenia sporów od Zenona z Elei i nauk przyrodniczych od Anaksagorasa. Obaj byli trzymającymi się na uboczu oryginałami, ale stali się jego wielkimi przyjaciółmi i mieli na niego wielki wpływ w tym kluczowym czasie. Perykles z tej książki nie jest jeszcze człowiekiem, jakim miał się stać.

* * *

Uwaga: Imiona dwóch synów Peryklesa to Ksantyppos, nazwany tak na pamiątkę ojca Peryklesa, oraz Paralus, na pamiątkę jednego z ateńskich bohaterów. Luki w przekazach zawsze pociągają pisarzy, jak choćby brak danych o pierwszym małżeństwie Peryklesa. Ciekawe jest to, że Grecy starali się nie powierzać władzy ludziom między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, uważając tę dekadę za wyjątkowo niebezpieczną. Mężczyźni w tym wieku byli już oczywiście dojrzałi i pełni energii, ale z braku doświadczenia skłonni do popełniania wielkich błędów. Dlatego zwykle nie pozwalano im podejmować poważnych decyzji. Nie mogli być strategami i wysokimi urzędnikami ani członkami rady przed osiągnięciem trzydziestki.

* * *

Opisałem koniec Pauzanasza tak, jak został opowiedziany przez Tukidydesa. Wydarzenia to jedno, lecz dotarcie do motywacji jest rzeczą trudniejszą. Stawiano mu wówczas zarzuty z powodu zniknięcia niektórych perskich jeńców, którym towarzyszyły posądzenia o przekupstwo, lecz to, w jaki sposób umarł, wciąż jest zagadkowe. Wyobraziłem sobie, że król Plejstarchos i eforowie mogli być zadowoleni z powodu ponizenia zwycięzcy spod Platejów.

Pauzaniasz znalazł azyl w maleńkiej świątyni Ateny zwanej Mosiężnym Domem albo Spizowym Domem w niektórych współczesnych przekładach. Nie można go było stamtąd wyprowadzić, więc jego matka Teano położyła na progu świątyni cegłę, wyrzekając się swego syna. Został tam zamurowany i zmarł z głodu i pragnienia. Wydaje mi się, że zdecydowanie zasługiwał na lepszy los. Kiedy król Plejstarchos zmarł bezpotomnie, ród Pauzaniaша powrócił na arenę dziejów. Jego syn został królem, co tłumaczy fakt umieszczenia w tamtym miejscu posągów.

* * *

Po bitwie nad Eurymedonem groźba ze strony Persji pod rządami Kserksesa zniknęła. Kimon odegrał w tym kluczową rolę i nie dziwi fakt, że jako przywódca Związku Delijskiego po upadku Pauzaniaша źle zareagował na małą rebelię na wyspie Tasos. Mieszkańcy wysunęli nie tak znowu absurdalną tezę, że wpłacanie ogromnej sumy, jaką musieli co roku wносить do skarbcza sojuszu, nie jest już konieczne. W reakcji na to Kimon otoczył wyspę okrętami i blokował ją przez dwa lata, zniszczył ich niewielką flotę i obległ stolicę. Oburzeni mieszkańcy Tasos wysłali posłańców do Sparty, jedynej militarnej siły w Grecji zdolnej wywrzeć nacisk na Ateny i zażądać sprawiedliwości.

Życie jest w pewnym sensie procesem linearnym, w którym wydarzenia następują po sobie. Niekiedy występują także gromadnie, a czasem wszystko dzieje się równocześnie. Kusi narzucenie prostej kolejności: Skiros, Cypr, Eurymedon, Tasos. Historia jest jednak zawsze bardziej złożona. Po dwóch tysiącach lat wydarzenia wydają się czasem nieuchronne. W rzeczywistości ludzie podejmują w swoim odczuciu najlepsze decyzje, na dobre i na złe, a często wszystko, co ma dla nich wartość, zostaje zmiecione przez siły, nad którymi nie mają żadnej kontroli i których nie potrafią przewidzieć. Tym, którzy chcieliby poczytać więcej o tym fascynującym okresie, polecam książkę: *Pericles: A Biography in Context* autorstwa Thomasa R. Martina.

* * *

Na koniec dodam, że starałem się wycinać lata, w których niewiele się działo, choć czasem to powodowało, że zostawałem ze zbyt młodymi bohaterami. Ścieśniłem niektóre mniej ważne lata Peryklesa, krótko po dwudziestym roku jego życia. Starożytny świat poruszał się powoli, a floty pływały jeszcze wolniej. Miałem poczucie, że wątki powinny przebiegać prędzej.

* * *

Ostatnia książka tej serii prowadzi nas do wielkich lat Peryklesa, co od początku było moim zamiarem. Później dojdzie też do wojny ze Spartą.

Conn Iggulden, Londyn 2021

Spis treści

Strona tytułowa

Polecamy

Dedykacja

Mapa

Terminy wojskowe

Miejsca

Postaci

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

CZĘŚĆ DRUGA

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

CZĘŚĆ TRZECIA

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

EPILOG

NOTA HISTORYCZNA

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Lion*

Copyright © Conn Iggulden, 2022

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony.

Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce

© Stephen Mulcahey / Trevillion Images

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Lew*, wyd. I, Poznań 2024)

ISBN 978-83-8338-816-8

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**